



Kellerman Faye

Prosto w ciemności

Tytuł oryginału
Straight into darkness

TLR

Dedykuję świętej pamięci sierżantowi Davidowi Kellermanowi, mojemu drogiemu teściowi, i świętej pamięci kapralowi Oscarowi Marderowi, mojemu ukochanemu ojcu, którego życie i opowieści mieszkają we mnie.

Podziękowania

Prosto w ciemności, jak wiele powieści historycznych, stwarza problemy gatunkowe, które momentami wydawały się nie do przewyciężenia. Na szczęście wiele osób nie szczędziło mi swego czasu i wiedzy fachowej, za co jestem im niezmiernie wdzięczna. Pisząc tę historię, nie trzymałam się wiernie prawdy historycznej i wszelkie rozbieżności są owocem mojej twórczej wyobraźni, toteż wymienione poniżej osoby w żadnym razie nie ponoszą za nie odpowiedzialności. Mam nadzieję, że podając ich nazwiska, nie narażam ich na kompromitację.

Następującym osobom mówię: dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję.

Robert Hultner jest wybitnym niemieckim autorem kryminałów. Otrzymane od niego informacje na temat międzywojennych Niemiec były dla mnie bezcenne. Wciąż pamiętam jego wieczór autorski w niemieckiej piwiarni, z udziałem orkiestry i aktorów. To był prawdziwy spektakl dramatyczny!

Heinz Prinz, *Erster Hauptkommissar*^{*1} policji w Monachium, jest teraz na emeryturze. Napisał opasłą historię monachijskiej policji, która była dla mnie ważnym źródłem informacji. Przy kawie podczas festiwalu powieści kryminalnej w stolicy Bawarii naświetlił funkcjonowanie policji od nieznanej mi wcześniej strony.

Dr Barbara Distel jest dyrektorką Muzeum Obozu w Dachau. Zgodnie z żydowskim powiedzeniem świat opiera się na sprawiedliwych gojach. Takim sprawiedliwym gojem z pewnością

jest Barbara, która niestrudzenie wykonuje swoją niewdzięczną pracę. Mimo że nie miała takiego zamiaru, stała się bohaterką.

Rudolf Herfurtner to wielokrotnie nagradzany niemiecki autor książek dla dzieci. Obwoził mnie po całej Bawarii, nie szczędząc mi swojej wiedzy na temat jej historii. Wprowadził mnie w zawiłości bawarskiego życia, po-

¹ * *Erster Hauptkommissar* (niem.) — pierwszy, główny komisarz (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

cząwszy od architektury rokokowej, a skończywszy na urządzeniach rolniczych.

Chaim Frank szczegółowo przedstawił mi dzieje Żydów w Monachium. Od lat nieustrudzenie pracuje nad utrzymaniem ich obecności w kraju, który tak bardzo starał się tę obecność wykorzenić.

Ellen Presser jest dyrektorką Żydowskiego Ośrodka Kulturalnego w Monachium. Jej ciepło i gościnność sprawiły, że pobyt w tym mieście był dla mnie wyjątkowym przeżyciem. Synagoga stała się dla mnie domem z dala od ojczyzny, miejscem swojskim i pełnym wzruszeń.

Deanna Frankel to moja droga przyjaciółka, której serdecznie dziękuję za lekcje rosyjskiego.

Ilu Niemców, którzy żyli w czasach Holocaustu, odważyłoby się porozmawiać z Żydówką, która nie ukrywa swojego pochodzenia? Znalazło się takich dwoje. Maxi Besold zmarła w 2004 roku, lecz doskonale pamiętam, jak opowiadała o łzach, które płynęły po policzkach jej matki, kiedy w 1933 roku radio podało wyniki wyborów. Spotkanie z nią było wzbogacającą podróżą w przeszłość, którą w coraz większym stopniu zamyka się w książkach historycznych.

Franz Geiger jest powieściopisarzem, dramaturgiem i tłumaczem. Przekroczył już osiemdziesiątkę, a podczas II wojny światowej był członkiem podziemnej organizacji „Biała Róża”. Jego pamięć i energia wzbudziły mój podziw. Niezmiernie mi pomógł, zwłaszcza opisami Monachium z czasów swojego dzieciństwa. Oprawdając mnie po Bogenhausen, pomógł mi znacznie lepiej zrozumieć ducha tamtych czasów.

Dzięki Ulrichowi Moritzowi i Sabine Deitmer pobyt w Dortmundzie był cudownym przeżyciem, począwszy od koszernej kolacji, a skończywszy na opowieściach o ich nowej izraelskiej rodzinie.

Dr Andreas Heusler, specjalista od historii współczesnej i żydowskiej, należy do najwybitniejszych monachijskich archiwistów i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że bez jego pomocy niniejsza książka by nie powstała. Dr Heusler był źródłem trudno dostępnych informacji — o liniach

tramwajowych, instalacjach gazowych i elektrycznych, komendzie policji — oraz materiałów: planów miasta i książek telefonicznych. Przez minione dwa lata był dla mnie dostępny osobiście i listownie, dokładnie, cierpliwie i z humorem odpowiadając na moje namolne pytania.

Szczególne podziękowania kieruję do dr Reguli Venske, uczonej, autorki kryminałów i wielokrotnie nagradzanych książek dla dzieci, a także, co najważniejsze, wspaniałej przyjaciółki. Od początku mojego pobytu w Niemczech służyła mi za przewodniczkę i tłumaczkę (biegle i pięknie mówi po angielsku). Pięć lat temu towarzyszyła mi podczas wieczorów autorskich w Niemczech, a podczas moich kolejnych wizyt skontaktowała mnie ze wszystkimi źródłami informacji, których potrzebowałam do *Prosto w ciemności*, wożąc mnie po całym kraju oraz tłumacząc teksty i rozmowy. W gruncie rzeczy zorganizowała mi życie, układając terminarz spotkań, znajdując ortodoksyjne synagogi i kosztowną żywność. Była pod każdym względem bardzo skrupulatna i bezbłędna. Zasypywałam ją pytaniami, a ona nieustrudzenie mi odpowiadała, raczyła mnie historiami i anegdotami, wzbogacając moją wiedzę o Niemczech, jak również moje życie.

Na koniec chciałabym podziękować osobie, która była dla mnie wiernym i stałym oparciem nie tylko podczas pisania tej książki, ale też przez całe moje życie. Jonathan Kellerman jest nie tylko wybitnym pisarzem, ale również wymarzonym mężem i przyjacielem dla każdej kobiety. Dziękuję Ci za ostatnie trzydzieści cztery lata, skarbie. I jak to mówią: sto dwadzieścia lat.

Prolog

Nowy Jork, 2005 rok

Maluję, bo wciąż mogę to robić. Palce mam sztywne i sęcate, ale zginają się na tyle, żeby uchwycić pędzel i zanurzyć sierść dzika w kałużach czerwieni: karmazynowej, rubinowej, koloru granatu, cynobru, rdzawej, koloru fuksji, weneckiej — lista zdaje się nie mieć końca — i zamienić moją drewnianą paletę w pełne spektrum tonalne. Jestem znany jako malarz czerwieni, ponieważ tak widzę świat.

W 1980 roku, na wernisażu jednej z moich licznych nowojorskich wystaw, szczuplutka dziewczyna spytała mnie, dlaczego wszystko maluję na czerwono. Miała śmiertelnie poważną minę i była bardzo ładna: ciemne oczy, długie rzęsy, alabastrowa cera i proste czarne włosy sięgające podbródka. Usta miała pociągnięte jasnoczerwoną szminką i pochlebiam sobie, że zrobiła to na moją cześć. Ocenilem ją na dwadzieścia parę lat. Ubrana była w obcisłą czarną sukienkę z cienkimi ramiączkami, które krzyżowały się ze sobą na gładkich, kremowych plecach. Piękny tył uzupełniający piękny przód: pełne piersi wylewające się z nisko wciętego dekoltu. Jakby zeszła ze stronicy mojej historii: zobaczyłem w niej zmysłową hostesę w berlińskim Kabarett z lat dwudziestych.

Natychmiast zapragnąłem zabrać ją do jakiegoś pokoju, wyswobodzić jedną z tych bujnych piersi i ssać ją godzinami. Pomyślałem nawet o tym, żeby się z nią kochać. W tamtych czasach byłoby to jeszcze możliwe — trudne, ale możliwe. Teraz jestem już w tak podeszłym wieku, że chociaż nastąpiła epoka małych niebieskich tabletek, pewne rzeczy lepiej jest pozostawić w idealnym świecie wyobraźni.

„Dlaczego wszystko maluję na czerwono?”

Wielu krytyków analizowało moją twórczość i próbowało ją rozgryźć. Panuje pogląd, że zważywszy na mój życiorys — wychowywałem się w mieście pochłoniętym przez straszne wydarzenia, zamęt i śmierć — nie mógłbym wyrazić swojej duszy inaczej niż w kolorze krwi. Niektórzy z

kolei porównują moje czerwienie do błękitów Picassa, co też jest jakąś interpretacją. Furda, że mistrz był o wiele starszy ode mnie i malował swoje cyranki i łupki, kiedy ja nosiłem jeszcze pieluchy. Po co stawiać myśleniu logiczne przeszkody? Wreszcie są ci indywidualiści, którzy mówią, że maluję w czerwieni, ponieważ jest to kolor wstydu.

Bardzo celne spostrzeżenie.

Kiedy człowieka ogarnia wstyd, robi się czerwony. Im większy wstyd, tym głębszy kolor. Chodzi o wstyd mojego pokolenia, które zaakceptowało ludobójstwo jako najwygodniejszy sposób na oczyszczenie Ojczyzny i przywrócenie jej do stanu świętości. Maluję na czerwono, ponieważ dzieci mojego kraju, dzieci mojego pokolenia muszą dźwigać brzemię wstydu i winy za niesłychane postęпки ich przodków. Chodzi o prawdziwy niemiecki wstyd.

Owszem, ale ja nie taki niemiecki wstyd zapamiętałem. Niemiecki wstyd z mojego dzieciństwa brał się stąd, że dobry *Volk*^{*2} cierpiał krzywdy ze strony listopadowych zbrodniarzy i autorów znieprawionego traktatu wersalskiego. Do tego dochodziło poczucie upokorzenia biorące się stąd, że pomiatali nami przywódcy Republiki Weimarskiej, ci nienadający się do niczego Prusacy, którzy patrzyli z góry na Bawarię i całe południowe Niemcy.

Już wszystko wyjaśniam.

Sprawa jest prosta. Niemcy tak naprawdę nie przegrały pierwszej wojny światowej. „Przegraliśmy”, ponieważ uwzięły się na nas wszystkie ciemne siły tego świata: żądni krwi komuniści, rozpasani Amerykanie, porywczy podżegacze wojenni — Serbowie, a przede wszystkim ohydni, szatańscy Żydzi z ich hakowatymi nosami, poślednią genealogią i zgubnymi kabałami i spiskami, które miały na celu przejęcie władzy nad całym światem.

Dlaczego mielibyśmy brać na siebie odpowiedzialność za fiasko, z którego powinni rozliczyć się Austriacy, za katastrofę, do której się nie przyczyniliśmy? Jeśli ktoś uległ zmanipulowanej propagandzie i rzeczywiście

² * *Volk* (niem.) — tu: naród, lud.

uważa Niemcy za kraj pokonany w Wielkiej Wojnie, to powinien na nowo przemyśleć sprawę. To nie Bawarczycy zostali pokonani. Na naszej ziemi nie toczyły się żadne bitwy, więc jak można zrzucić na nas winę za porażki? Nie, widzicie, odpowiedzialności nie ponosi Bawaria, lecz ci znienawidzeni Prusacy z północy i pogardzana Republika Weimarska z jej haniebnymi prawami i przepisami, a także cudzoziemcy, którzy rozdrapali między siebie nasz ukochany kraj. Taki wstyd zapamiętałem — że podlejszym umysłem pozwolono zawładnąć naszym krajem.

My, Bawarczycy, nie potrzebowaliśmy Prusów i ich śmiesznego eksperymentu z amerykańską demokracją. Nie potrzebowaliśmy też sowieckiego wpajania nam ideałów komunizmu. Potrzebowaliśmy przywrócenia umiłowanej monarchii Wittelsbachów, chociaż wiedzieliśmy, że to się nie zdarzy, póki Prusacy dzierżą stery władzy. A zatem, zamiast króla, Niemcy powinny wynieść do władzy dyktatora, który uwolni nas od wstydu porażki i na nowo okryje nas nimbem chwały.

I *Vaterland*³ znalazł sobie idealnego Fiihrera, pomazańca, który miał unieważnić upokorzenie klęski i położyć kres degradacji rasy aryjskiej.

Taki wstyd zapamiętałem. Taki jest wstyd mojej młodości.

Wstyd z powodu ludobójstwa przyszedł później, kiedy alianci zwrócili nam uwagę, że może Niemcy zaskarbiliby sobie przynajmniej odrobinę sympatii, gdyby pokazali, że czują się choć trochę nieswojo z powodu zwłok wysypujących się z komór gazowych oraz kości i popiołów zatykających piece.

Maluję na czerwono, ponieważ wyrażam siebie w malarstwie. Słowa zawsze sprawiały mi większą trudność. Próbowałem pisać, ale to nie to samo. Malowanie wymaga cielesnego udziału — oko, dłoń, palce, fizyczność pociągnięcia pędzlem po płótnie, nóż paletowy przebijający się przez warstwę impastu. Nie ma cielesnego udziału w pisaniu, w wystukiwaniu czarnych literek w tej samej czcionce, w tym samym odcieniu, w tym samym rozmiarze — kartka za kartką równiutkich linijek. Nie, nie mogę pi-

³ * *Vaterland* (niem.) — ojczyzna.

sać, ale gdybym pisał, to sądzę, że miałbym ciekawą historię do opowiedzenia.

TLR

Rozdział pierwszy

Monachium , 1929 rok

— Tato, to znowu oni!

Łomot do drzwi i panika w głosie Joachima pobudziły Berga do działania. Zrzucił z siebie ciepłą pierzynę i ledwo zarejestrowawszy, jak zimna jest dębowa podłoga w zetknięciu z jego bosymi stopami, wbiegł do pokoju dziennego. Czuł się rozbudzony i gotowy do walki.

Było jeszcze ciemno, ale Berg wyłowił z mroku kołdrę na sofie. Jego syn zaczął ostatnio sypiać na sofie, zostawiając siostrę samą w pokoju, który kiedyś ze sobą dzielili. Kwestie intymne, typowe dla piętnastoletniego chłopca. Jego ciało wymagało zabiegów, których jego siostra nie mogła być świadkiem. Joachim był wysoki, szczupły i po aktorsku przystojny, z niebieskimi oczami ogara i gęstą grzywą włosów, jasnych po matce, ale kręconych po ojcu.

Pokój trzął się od kamieni uderzających o zewnętrzną ścianę.

— Dosyć tego!

Berg włączył pojedynczą żarówkę, która wisiała nad stołem jadalnianym, i zamontował korbkę otwierającą okno. Jego rodzina miała szczęście, że mieszkała na najwyższym piętrze. Zbiry na dole nie miały dosyć siły, aby dorzucić kamieniami do ich okien.

—Dosyć tego!

—Co robisz, Axel?

Głos jego żony. Berg zatrzymał się i odwrócił. Oczy miała zaspane, a sploty włosów sterczały na wszystkie strony. Mimo że burza minęła, powietrze było naładowane elektrycznością.

—Wracaj do łóżka, Britta. Zmarzniesz — polecił.

—Jeśli ja zmarznę, to ty też — upierała się kobieta.

— W takim razie bądź tak miła i przynieś mi szlafrok.

— Zostaw ich w spokoju, Axel. Przynajmniej niczego nie rozbili.

—Jeszcze nie.

—Nie wiesz, kim oni są.

—Oczywiście, że wiem. To kwiat austriackiej...

—Skąd wiesz? Nie są ubrani w brunatne stroje.

—Umiem poznać chuligana! — Nacisnął na korbkę do podnoszenia okna i poczuł, że jego twarz robi się gorąca z wysiłku. — To są chuligani.

—Jeśli przysłał ich Hitler, to nie chodzi im o ciebie, tylko o tych Żydów z dołu.

—Których Żydów?

—Weinstocków z drugiego piętra. Albo Maslanokovow.

—Maslanokovie są Rosjanami, nie Żydami.

—Komunistami. Co za różnica?

—Myślałem, że są socjaldemokratami. Britta zbyła go ruchem ręki.

—To jest to samo.

—Pozwolę sobie wyrazić inny pogląd. W ostatnich wyborach głosowałem na socjaldemokratów.

—Na twoim miejscu bym się z tym nie afiszowała, jeśli chcesz mieć całe szyby.

Berg zignorował ją i znowu nacisnął na korbkę.

—Co jest z tym oknem? Przykleiliśmy je do framugi czy co?

—Tak. Zagipsowaliśmy je, bo wlatywało za dużo zimnego powietrza — potwierdziła Britta.

—Co takiego? Kiedy to było?

—Jakiś miesiąc temu...

—Aha!

Okno odskoczyło i siarczasty ziąb uderzył Berga w twarz. Prawie poczuł smak alpejskiego śniegu. Krzyknął na chłopaków na dole, co ich jeszcze bardziej zmobilizowało. Pociski zaczęły latać ze zwiększoną częstotliwością.

—Pokrzycz na nich, Britta! — poprosił.

—Nie! — odmówiła żona.

—Musisz odwrócić ich uwagę. Proszę cię o tak niewiele.

—Tak, żeby naraziła się na ukamienowanie.

—Ja to zrobię, tato.

Britta zgromiła wzrokiem swoje starsze dziecko.

— Czyli doganiasz ojca pod względem głupoty! Myślałam, że mam mądrego syna, ale po osiągnięciu pewnego wieku stał się takim samym idiotą jak wszyscy mężczyźni!

Pomstując pod nosem, wróciła do sypialni i trzasnęła za sobą drzwiami.

Joachim z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

— Co mam zrobić? — spytał ojca.

— Zaprzątnij ich uwagę. — Berg wyjął z szafy płaszcz, zimowe buty i grube wełniane skarpetki. — Wrzeszcz na nich, rób do nich miny, wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Żeby byli czymś zajęci.

Chłopiec wyjrzał przez okno i zmarszczył brwi.

— Jest ich czterech, tato.

Berg włożył skarpetki i buty, po czym szybko zawiązał sznurówki.

— To dobrze. Będę miał większą szansę któregoś złapać, jak się rozpierzchną.

Włożył płaszcz.

— Wychodzisz w pidżamie? — zdziwił się Joachim. — Zamarzniesz.

— Na ruchomym obiekcie nie tworzy się lód. — Berg pocałował syna w czoło. — Zdaje się, że tracą zainteresowanie. Obrzuć ich wyzwiskami. Głośno i agresywnie. To powinno ich ożywić.

Berg wyszedł z mieszkania i ruszył korytarzem w stronę prawej czarnej klatki schodowej. Przytrzymując się ściany, pokonał cztery piętra, brzękając obcasami o metal. Krzywił się z obrzydzeniem, kiedy rozmaite smrody atakowały jego nozdrza: zgniła kapusta, świeża kocia szczyna i wczesne zapachy gotowania, a konkretnie skwierczącej kiełbasy. Zaskoczyło go, że kogoś stać na mięso do śniadania. Śniadanie Berga — jeśli w ogóle je jadł — składało się zazwyczaj z bułki z masłem. Owszem, sytuacja się poprawiła, ale nikt nie miał oszczędności. Miasto wciąż zmagало się ze skutkami hiperinflacji sprzed pięciu lat. Ludzie nie mieli zaufania do obecnej waluty ani do tych idiotów w Berlinie, którzy chlubili się, że prowadzą zdrową politykę monetarną.

Po dotarciu na parter Berg natychmiast otworzył drzwi i ruszył biegiem. Chłopcy obrócili się ze skrzypieniem obcasów na śniegu, zobaczyli szarżującą postać i rozbiegli się we wszystkie strony. Berg postanowił upolować nie tego, który był najbliżej, tylko najwyższego — szefa ferajny.

Chłopiec wyglądał na rówieśnika Joachima, ale był mocniej zbudowany, miał bardziej umięśniony tors, jak typowy Bawarczyk. Joachim odziedziczył po ojcu szczupłą budowę zniewieściałego angielskiego ucznia. Ale — również po ojcu — miał dużo siły w tych żyłastych ramionach. Joachim nieraz wrócił do domu z rozkwaszonym nosem i zadowoloną z siebie miną. W gimnazjum zasłynął jako chłopiec, który nie daje sobie w kaszę dmuchać.

Berg wydłużył krok i przybliżył się do swojej ofiary, nad którą miał taką przewagę, że był już rozpędzony. Chuligan zdołał jednak uniknąć natychmiastowego pojmania. Biegł zygzakiem, chcąc zgubić swego prześladowcę, ale efekt był taki, że obu ich to tylko spowolniło. Wreszcie chłopiec uświadomił sobie, że w prostej linii biegnie się szybciej, i oddalił się o kilka metrów. Zmierzał na północny zachód w stronę Izary — wątpliwa strategia, ponieważ ograniczała liczbę dostępnych opcji. Po dotarciu nad rzekę mógł tylko biec wzdłuż brzegu albo przepawić się na drugą stronę jednym z mostów. Berg nie należał do najszybszych biegaczy, ale miał niezłą kondycję. Uznał, że najlepiej będzie utrzymywać równe tempo i przyspieszyć później, kiedy chłopaka zmęczy wiatr, wilgoć i zimno.

Zbliżał się świt, ale nieba nie rozświetlały poranne zorze, ponieważ łożowane chmury brnęły przez kłęby czarnego jak sadza dymu. Ta niewielka ilość światła, która się przez nie przebijała, nadawała miastu jeszcze bardziej przygnębiający wygląd, ujawniając rzędy domów z krytymi strzechą dachami i zamkniętymi okiennicami, zamiast bardziej nowoczesnych przeszklonych okien. Pośród budynków mieszkalnych lokowały się okryte złą sławą palarnie, ale pora była zbyt wczesna nawet dla prostytutek. Z łomoczącym sercem Berg minął kilka zawszonych hoteli, za których witrynami spali zawinięci w koce bezrobotni. Po dotarciu na wał przeciwpowodziowy chłopak skręcił w lewo, zbiegł nad rzekę i skierował się na północ. Berg dotrzymywał mu tempa.

Na skutek nocnej ulewy ziemia była zdradliwym trzęsawiskiem błota, odpadków i korzeni drzew, które co rusz próbowały podłożyć mu nogę. Na tle pograżonych w ciszy ulic szum wody był ogłuszający. Z ogniem w płucach Berg kontynuował pościg, przy każdym kroku zachlapując błotem nogawki pidżamy i dół kurtki. Pilnując się, żeby nie stracić równowagi, łykał lodowaty rozprysk wody, która tańczyła na kamieniach i zderzała się z ogromnymi głazami. Lepka, galaretowata mgiełka mroziła mu twarz. Nos i uszy mu zdrętwiały. Stracił czucie w zeszywniałych palcach. W środku jednak był rozgrzany od biegu, pod pachami i wokół szyi gromadził się pot. Ciało było zsynchronizowane z metronomem stóp: pam, pam, pam, pam. Po paru minutach minął Niemieckie Muzeum Nauki i Techniki, monachijski dowód dla reszty kraju, że jest to miasto skierowane ku przyszłości. Niebo szarzało. Ulice miały się niedługo zaroić od rowerów, wózków, motocykli, autobusów, tramwajów i coraz liczniejszych prywatnych samochodów.

W tłumie chuliganowi łatwiej byłoby go zgubić, więc Berg wydłużył krok. Chłopak spojrział przez ramię. To go spowolniło i Berg zmniejszył dzielący ich dystans. Siedział mu na karku... wystarczy trochę przyspieszyć.

Końcowy sprint, nogi maksymalnie wyciągnięte i Berg złapał chuligana za płaszcz, usiłując nie potknąć się o własne nogi. Nastolatek próbował rzucić płaszcz, ale Berg był na to przygotowany. Długimi, zręcznymi palcami chwycił chłopaka za kark i szarpnął nim do tyłu. Potem mocno kopnął przeciwnika w tył kolan. Nastolatek ugiął się i padł twarzą w błoto. Berg postawił go na nogi i walnął nim o druciane ogrodzenie, które biegło wzdłuż rzeki.

—*Heil Hitler!*—jęknął chuligan, osuwając się na kolana.

—Twoje oddanie jest wzruszające — syknął Berg. Dyszał ciężko, ale panował nad sytuacją. Złączył chłopakowi dłonie za plecami, wyjął z kieszeni płaszcz kajdanki i skuł chłopaka. Znowu brutalnie postawił go na nogi.

— Może odwiedzi cię w więzieniu. Dobrze zna ten lokal z autopsji.

— Wasze dni są policzone. Nas jest więcej niż was.

—Tak, tak. Ale póki co ty jesteś skuty kajdankami, a ja nie.

Berg popychał go przed sobą i wyszli na górę. W milczeniu szli ulicą, aż dotarli do mostu Ludwiga. Berg pchnął go w lewo.

— Tędy.

Berg zdziwił się, że chłopiec nie stawia żadnego oporu. Mimo znacznego obwodu w klatce piersiowej był miękki w ramionach. I niski. Miał różową twarz, ale przy takiej pogodzie każda twarz by się zaróżowiła. Świńskie niebieskie oczy. Dla Berga oni wszyscy byli świniami. Pod znoszonym płaszczem chłopiec miał szorstką, beżową koszulę roboczą, grube wełniane spodnie i dziurawe jak rzeszoto buty.

Nagle z ust młodego nazisty popłynęła pieśń.

—„O Niemcy pełne chwały...” Berg ścisnął go mocniej.

—Cicho! Ludzie śpią.

Nastolatek zmienił pieśń, ale nie głośność wykonania.

—*Deutschland, Deutschland liber alles...* Berg kopnął go kolaniem w plecy.

—Powiedziałem cicho!

—Przeszkadza panu niemiecki hymn narodowy?

—Nie hymn, tylko twój głos.

Rozważywszy kilka możliwości, Berg zdecydował się na główną komendę policji przy Ett Strasse, oddaloną o dziesięć minut drogi, bo czułby się bardziej komfortowo, przetrzymując chłopaka na swoim terytorium. Brnęli przez mgłę i zimno po kocich łbach, starając się omijać kałuże. Berg usłyszał, że miasto zaczyna budzić się do życia: stukot kopyt, skrzypienie drewnianych osi furmanek, warkot silników pojazdów samochodowych, klekot tramwajów. Ciężkie przedmioty — najpewniej rozładowywane skrzynki z żywnością — uderzały o ziemię na Viktualien-markt, zaledwie parę ulic dalej. Berg postanowił ominąć targ, aby uniknąć niechcianej uwagi, zwłaszcza ze strony kompanów chuligana, których wszędzie było ostatnio pełno.

—Jak się nazywasz, *Junge*^{*4}? — spytał Berg.

⁴ * *Junge* (niem.) — tu: chłopcze.

—Nie muszę odpowiadać na pana pytania.

—W końcu będziesz musiał.

— Nie, myli się pan. Któregoś dnia to pan będzie musiał odpowiadać na moje pytania.

—Ten dzień jeszcze nie nadszedł. Jak się nazywasz? Chłopak wzruszył ramionami.

—Lothar.

—A dalej? — dociekał Berg.

—Lothar Felb.

—Czemu rzucasz kamieniami w nasz budynek, Lothar? Mieszka tam wielu twoich pobratymców.

—Ale też wielu degeneratów — żydów, komunistów, niezależnych socjalistów, socjaldemokratów, bawarskich robotników, niemieckich demokratów, liberalnych drobnomieszczan, niemieckich socjalistów...

— To mnóstwo ludzi, *Junge*, całe miasto poza nazistami.

— Właśnie. — Chłopiec zatrzymał się i odwrócił głowę. — Niech pan robi, co pan musi robić. Ale wie pan, inspektorze, że policja spojrzy na mnie przychylnym okiem. Zwłaszcza że jest pan tak komicznie ubrany.

Berg przypomniał sobie, że wciąż jest w pidżamie. Zawstydzony i zły, trzepnął nastolatka w twarz wierzchem dłoni.

— Nie doceniasz mnie, *Junge*. — Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, Berg poprawił z drugiej strony. — Nie mów już więcej. Denerwujesz mnie.

Chłopak otworzył usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Berga przeszły ciarki. Był zmarznięty, zmoknięty i bardzo zaniepokojony. W słowach brunatnej koszuli było więcej prawdy niż kłamstwa.

Rozdział drugi

Zbudowana na terenie dawnego klasztoru augustianów główna komenda policji przy Ett Strasse była gotyckim labiryntem wielopiętrowych kamiennych konstrukcji okalających centralny dziedziniec. Fasady budynków świeciły szachownicowym wzorem okien. Na wysypanym szutrem parkingu stały służbowe pojazdy policyjne — motocykle, samochody i furmanki z silnikami. Bramę parkingu flankowały dwa monumentalne kamienne pilastry z dwoma muskularnymi, szczerzącymi kły lwami — herbem Bawarii. Stajnia dla koni znajdowała się na tyłach kompleksu. Było ich coraz mniej, ponieważ szybko zastępowały je motocykle.

Do głównego wejścia szło się po kamiennych schodach pomiędzy kwadratowymi pilastrami ozdobionymi fryzami. Drzwi były okazałe i ciężkie. Za nimi znajdował się wąski, wysoki hol, gdzie siedział za biurkiem funkcjonariusz z księgą wejść. Do jego obowiązków należało kierowanie przychodzących do rozmaitych pomieszczeń. Rozdawał również formularze. W Bawarii, podobnie jak w całych Niemczech, roiło się od formularzy, z których najważniejsze były meldunkowe. Każdy Niemiec przenoszący się do innego miasta musiał to zgłosić i podać nowy adres właściwym władzom. *Vaterland* chciał wiedzieć, gdzie znajdują się w danym momencie jego obywatele. Panował dzięki temu większy porządek, a poza tym znacznie ułatwiało to zaciąg do wojska, który z mocy traktatu wersalskiego był zabroniony. Istniały też odpowiednie formularze do zawiadamiania o przestępstwie i zgłaszania skarg.

Wszystkie piętra miały niemal identyczny układ: połączone ze sobą pomalowane na biało korytarze z licznymi drzwiami. Sosnowe podłogi, zmatowiałe i starte, skrzypiały pod niezliczonymi stopami. Zanim Berg doprowadził zatrzymanego na czwarte piętro, była prawie siódma. Dochodziła ósma, kiedy zakończył procedurę i przekazał młodzieńca w inne ręce. Kilku jego kolegów było już w pracy.

Ponieważ Berg i pozostali ludzie należeli do powołanego niedawno *Mordkommission* — wydziału zabójstw — i często mieli do czynienia ze skomplikowanymi przestępstwami, otrzymali prestiżowe biuro z wysokimi sufitami, ozdobnymi profilami i oknami kwaterowymi od podłogi do sufitu, które wpuszczały do środka ostre światło i mnóstwo przeciągów. Staroświeckie kinkiety gazowe nadal wspomagały niedawno zainstalowane, ale dosyć wątle, żółtawe światło elektryczne, które zaczynało migotać, kiedy wzmógł się wiatr. Chociaż kaloryfer pracowicie syczał, w biurze było zimno jak w psiarni.

Pocierając dłonie o siebie, Berg poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Był to Georg Müller, patrzący zza stołu do pracy, którego używali we trzech: on, Berg i Ulrich Storf. Müller właśnie skończył czterdzieści lat, był człowiekiem średniego wzrostu i krępej budowy — grube kończyny, tors jak beczka, szeroka szyja. Twarz miał krągłą i rumianą, zwieńczoną hełmem kasztanowych włosów. Grafitowe oczy, zaopatrzone w leniwe, opadające powieki, zdradzały szybki umysł, aczkolwiek Müller mało się przykładał do pisania raportów... Oszczędnie operował szczegółami. Georg nie miał serca do precyzji, która stanowi znak firmowy niemieckiego charakteru narodowego. Był jednak dobrym pracownikiem i sympatycznym człowiekiem, którego Berg uważał za swojego przyjaciela. Teraz patrzył na pidżamę Berga, z trudem powstrzymując się od uśmiechu.

—*Grüss Gott**⁵, Axel.

—*Guten Morgen**⁶.

Berg dmuchał w dłonie, obserwując swoich kolegów, którzy w przeciwieństwie do niego przyszedli do pracy w odpowiednich strojach. Podstawowy monachijski mundur policyjny składał się z ciemnej kamizelki z guzikami schowanymi za zaszewką, odpinanego okrągłego kołnierza i spodni w tym samym kolorze. Czapka policyjna Georga — nowszy fason, bez ciężkiej metalowej iglicy — leżała koło jego papierów.

⁵ * *Grüss Gott* (niem.) — tradycyjne: Niech będzie pozdrowiony.

⁶ * *Guten Morgen* (niem.) — dzień dobry. Pozdrowienie używane do godziny dwunastej w południe, później *Guten Tag*.

— Idę do domu się przebrać. Wpadłem tutaj, żeby nikt mi nie zarzucił migania się od obowiązków — wytłumaczył Berg.

— Mogę zapytać, dlaczego jesteś półnagi?

— Nie jestem nagi — ani pół, ani całkiem. — Ale nie jesteś też ubrany.

Kwestię tę podjął Ulrich Storf. Nie skończył jeszcze trzydziestu lat, ale został niedawno przeniesiony do tego wydziału. Chociaż zakładanie, że w grę wchodził nepotyzm, było niesprawiedliwe, Berg podejrzewał, że Storf zawdzięczał awans jakiemuś wysoko postawionemu krewnemu z policji albo członkostwu we właściwej partii i odpowiednim koneksjom. Mimo że wysoki i dość chudy, miał podwójny podbródek. Od błyszczącej, rumianej twarzy biła młodość i bezczelność, ale głębokie, ciemne oczy niewątpliwie emanowały inteligencją.

—Jeśli to ma być strój przebierańca, to przypominam ci, że *Fasching*^{*7} już się skończył.

—Jak widzę tych wszystkich błaznów w brunatnych koszulach, którzy tłoczą się na Königsplatz, to mam wrażenie, że w tym mieście odbywa się nieustanny karnawał.

—Jeśli masz poczucie, że codziennie jest *Fasching*, to przynajmniej bądź dobrym Bawarczykiem i włóż *lederhosen*^{*8}.

—Nie jestem Bawarczykiem. Müller zbył go machnięciem ręki.

—Ach, wy, Prusacy, nie macie poczucia humoru.

—Nie jestem Prusakiem — odparł spokojnie Berg.

— Jest gorszy od Prusaka. — Müller puścił oko do Storfa. — To Duńczyk!

—A... — Ulrich uśmiechnął się szeroko. — Jak dorośnie, pozwolimy mu zostać Niemcem.

—Wielu Duńczyków nastroszyłoby się na taką propozycję — odrzekł Berg. Gwałtowny powiew wiatru zatrzęsł oknami. Ściany były wilgotne i

⁷ * *Fasching* (niem.) — tu: karnawał.

⁸ * *Lederhosen* (niem.) — tu: skórzane spodnie, element tradycyjnego bawarskiego stroju męskiego.

pachniały pleśnią. — Nie, moi *Kameraden**⁹, chociaż wielu Bawarczyków by z tym polemizowało, obawiam się, że jestem takim samym Niemcem jak reszta z was.

— Czyli jest jeszcze gorszy od Duńczyka — szepnął Storf do Müllera *sotto voce*. — To komunista!

Berg uśmiechnął się.

— Do zobaczenia później.

— Zapnij płaszcz, Axel — powiedział Storf. — Nie powinieneś straszyć porządnych ludzi w tramwaju.

— Chyba pójdę na nogach. To niedaleko.

— Jesteś za słabo ubrany, żeby chodzić na nogach przy takiej pogodzie — zaprotestował Müller. — Zagotuję wodę na herbatę. Rozgrzejesz się w środku. Dla wszystkich, nie tylko dla ciebie. Kaloryferowi brakuje dziś rano energii. Życzysz sobie ze sznapssem czy bez?

— Cokolwiek przyniesiesz, Georg, z chęcią wypiję.

Berg zajął miejsce przy stole i zamknął oczy, usiłując nie myśleć o stertach papierów, które przed nim leżały. Wskaźniki przestępczości znowu wzrosły, po spadku w 1924 roku, tej anomalii, która wyniknęła z ustabilizowania się kursu zdewaluowanej marki. Nie było jednak tak źle jak w 1923 roku, podczas hiper-inflacji. Teraz obniżyła się liczba przestępstw przeciwko mieniu i wskaźnik przestępczości młodocianych. Berg miał na to swoją teorię. Uważał, że odkąd rząd ponownie zalegalizował NSDAP, młodociani przestępcy skanalizowali swoje antyspołeczne skłonności w byciu dobrymi małymi nazistami. A zatem może jednak Hitler na coś się przydał. Bezrobocie wzrosło. Na ponad siedemset tysięcy osób zamieszkałych w Monachium i okolicach ponad czterdzieści tysięcy nie miało pracy. Owszem, niepokojące, ale nawet wahające się statystyki zatrudnienia nie dawały takiego powodu do zmartwienia jak rosnąca liczba śmiertelnych wypadków motoryzacyjnych. Ludzie bogaci jako środek transportu coraz częściej wybierali samochód, ich auta wypełniały ulice hałasem i trującym dymem. Pojazdy zmotoryzowane stanowiły wyłącznie zagrożenie, wypy-

⁹ * *Kameraden* (niem.) — towarzysze.

chały konkurencję swoimi gabarytami i ciężarem, trąbiły na rowery, wywracały furmanki i — o wiele za często — ludzi. Prawo do korzystania z samochodów powinni mieć tylko urzędnicy państwowi.

— Śpimy podczas pracy, Axel?

Berg otworzył oczy i zerwał się z krzesła, rozpoznawszy głos swego zwierzchnika.

— Zresztą jest pan nawet ubrany do spania. — *Hauptkommissar**¹⁰ Martin Volker uniósł lewą rękę. W prawej trzymał plik kartek. — Nie musi pan nic tłumaczyć. A nawet wołałbym, żeby pan się nie tłumaczył i w ogóle nic nie mówił, zanim nie zadam panu kilku pytań w związku z tą błahą sprawą.

Błahą sprawą był Lothar Feld. Ktoś go doczyścił, wyszorował mu twarz, aczkolwiek we włosach pozostały ślady po porannej kąpieli błotnej. Stał po lewicy Volkera z drwiącym uśmiechem na ustach.

Z jasnoniebieskich oczu komisarza nie dało się nic wyczytać. Miał na sobie nienagannie skrojony ciemny garnitur, jedwabny krawat i wykrochmaloną koszulę z białym kołnierzykiem, a złoty łańcuszek zegarka sięgał od kieszeni kamizelki do kieszeni spodni. Wysoki, siwowłosy Volker miał arystokratyczną urodę. Krążyły pogłoski, że jest samowystarczalny finansowo. W takim razie dlaczego pracuje w monachijskiej policji, niechby nawet na prestiżowym stanowisku szefa *Kriminalpolizei*!

Wyraz twarzy chuligana wskazywał, że Berg niepotrzebnie wstawał o tak wczesnej porze.

—To pan zatrzymał tego chłopca, Axel?

—Ja go przyprowadziłem, tak.

—Za co?

—Zakłócanie porządku publicznego, wandalizm, niszczenie mienia, stawianie oporu przy zatrzymaniu i ucieczkę przed funkcjonariuszem policji — wyliczył Berg.

¹⁰ * *Hauptkommissar* (niem.) — główny, naczelny komisarz..

—Nie wiedziałem, że jest pan funkcjonariuszem policji...

—Milczeć! — warknął Volker.

— Wszystko dokładnie opisałem — stwierdził Berg. — Znajdzie to pan w jego aktach.

—Czytałem akta, inspektorze. Berg przełknął ślinę.

—Oczywiście.

Volker pokazał mu papiery.

— Może pamięć mnie zawodzi, Berg, ale nie przypominam sobie, aby wzmiankował pan o tym, że został pan przez niego zaatakowany.

—*Herr*¹¹ *Kommissar*, przez ponad tydzień rzucał kamieniami w mój budynek.

—Rozbił coś?

—Jeszcze nie.

—Pan pozwoli, że o coś pana zapytam, inspektorze. Czy zaatakował pana fizycznie? Uderzył pana albo kopnął?

Berg oblizał wargi.

—Nie, *Herr Kommissar*.

—Groził panu?

—Nie bardziej niż inni ludzie z jego partii.

—To nie jest sprawa polityczna, tylko kryminalna.

—Nie, nie groził mi, a w każdym razie nie serio.

—Czy używał w pana obecności wulgaryzmów?

—Nie.

—Innymi słowy, jest... uciążliwy. Czy to jest właściwe określenie? — zapytał Volker, patrząc na niego z wyteżeniem.

—Bardzo uciążliwy.

—Niech będzie, że bardzo uciążliwy. — Volker pokręcił z niesmakiem głową. — Ten chłopiec jest moim siostrzeńcem, synem mojej zbłąkanej siostry. Jej mąż od ponad roku nie ma pracy. Mój szwagier jest leniem i pijakiem. Rodzina właściwie się jej wyrzekła. Mojej siostrze ciężko się żyje, siostrzeńcom też — jest ich sześciu, plus trzy siostrzenice.

¹¹ * *Herr* (niem.) — pan.

—Płodna pani... — mruknął Berg.

TLR

— Słucham? — odparł Volker.

Berg milczał. *Kommissar* zmiął papiery w jednej ręce i upuścił na podłogę.

— Uważam, że *Junge* otrzymał dostateczną nauczkę. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Trzymam pana za słowo, *Herr Kommissar* — wycedził powoli Berg. Volker uśmiechnął się do siostrzeńca.

— Posłuchaj mnie uważnie, Lothar. Jeśli ty i twoi koledzy jeszcze raz weźmiecie do ręki kamień, nie mówiąc już o rzucaniu nimi w budynki, to własnoręcznie obetnę ci jaja. Rozumiesz?

Chłopak z trudem powstrzymał się od chichotu.

— Tak, wujku, rozumiem.

— To dobrze. Jest pan usatysfakcjonowany? — zapytał Berga. Berg skinął głową.

— Jeśli pan jest usatysfakcjonowany, to ja też, *Herr Kommissar* — odparł.

— Chyba nie jestem.

Błyskawicznym ruchem Volker dwa razy uderzył chłopca w twarz wierzchem dłoni. Nawet Berg się skrzywił, kiedy usłyszał trzask przegrody nosowej Lothara. Z ust i nosa puściła mu się krew. Wybuchnął płaczem. Volker otrząpywał w tym czasie prawą dłoń.

— Jeśli chcesz być dobrym niemieckim żołnierzem, Lothar, to najpierw musisz nauczyć się dyscypliny. Czy ktoś ma chusteczkę?

Oślupiały Storf zaproponował Volkerowi swoją.

— Serdeczne dzięki, Ulrich. — Volker wytarł zawodzącemu chłopcu twarz. Krew wciąż się lała. — Przestań się mazać! Co by powiedział Ernst Röhm, gdyby cię takiego zobaczył? — *Kommissar* znowu pokręcił głową. — Idź umyć twarz i wracaj do domu. I powiedz matce, że jeśli to się powtórzy, ja cię z tego nie wyciągnę. — Pchnął go w stronę drzwi. — Idź już. Mam pilne sprawy do załatwienia. — Bardziej natarczywie pchnął. — Idź!

Przyciskając do twarzy białą chusteczkę, chłopiec opuścił pomieszczenie akurat w chwili, kiedy zaskoczony Müller wrócił z dwoma kubkami herbaty zaprawionej sznapsem.

— Co tu się dzieje? Volker wziął jeden z kubków.

— Jak miło, że pan o mnie pomyślał, Georg. — A do Berga: — Niech pan idzie do domu i się ubierze. Może pan wziąć któryś motocykl. Potem niech pan się stawi w Englischer Garten, tam się spotkamy. Pan też, Müller. I pan, Storf.

— Jakiś problem, *Herr Kommissar!*

— Na razie niekoniecznie problem, raczej zagadka. Znalezione ciało kobiety. Jeśli była ustosunkowana, to będziemy mieli problem.

— Zabójstwo? — spytał Berg. Volker wzruszył ramionami.

— Może zabójstwo, może samobójstwo, może wypadek, może nawet zgon z przyczyn naturalnych. Na razie wiemy tylko tyle, że kobieta nie żyje.

TLR

Rozdział trzeci

Cztery lata wcześniej policja monachijska przestawiła się z rowerów i wozów konnych na tabor złożony z dziewięciu dwuosobowych *Krafrader**¹², czyli motocykli, marki Stolle-Viktoria, dwóch Viktoria-Solo, jednoosobowych Krafrader i jednego BMW-Dixi-Wagen Typ 3/15, które zastąpiły konny wóz używany do przewożenia policjantów i podejrzanych. BMW spisywało się tak dobrze, że rozrastający się *Mordkommission* zamówił jeszcze jeden taki pojazd do użytku jako *Mordwagen* — czyli służbowy samochód dla swoich śledczych. Chociaż Berg tak bardzo narzekał na wzrost natężenia ruchu zmotoryzowanego na ulicach, ucieszył się, że po porannym pościgu wraca do domu *Krafrad*.

Kiedy on przebywał na komendzie, miasto przebudziło się i wypełniło różnymi dźwiękami, od skrzypienia drewnianych kół wózków do pchania po nieustanny brzęk tramwajów. Puste uprzednio ulice tętniły życiem: grubo ubrani przechodnie przytrzymywali nakrycia głowy, żeby wiatr ich nie zdmuchnął, rowerzyści usiłowali utrzymać równowagę, slalomując między pieszymi, zwierzętami i samochodami. Berg zauważył grupkę chłopców w wieku szkolnym z tornistrami, którzy próbowali wprawić kubek w ruch wirowy za pomocą kija — zabawa zwana *Kreisel*. Było też kilka grupek starszych chłopców — socjaldemokratów, sądząc po zielonych koszulach — którzy rozdawali ulotki informujące o wiecu na Teresienwie-se, dużych błoniach, na których odbywał się doroczny Oktoberfest. Ludzie, którzy brali ulotki, zerkali na nie i rzucali na ziemię, skutkiem czego wiatr unosił walające się kartki papieru.

Chociaż Berg miał na sobie gruby płaszcz, dygotał z zimna, kiedy znalazł się na zewnątrz. Mroźne powietrze szczypało go w twarz, nos miał zaczerwieniony, a palce zgrabiałe. Dobrze przynajmniej, że piętnastominu-

¹² * *Krafrader* (niem.) — motorower. Później użyty *Zweikrafrad* to motorower z doczepionym z boku koszem dla pasażera.

towy marsz uległ skróceniu do czterominutowej jazdy. Berg zajechał pod swój dom i zgasił silnik. Otworzył drzwi klatki schodowej i przytrzymując je ramieniem, wciągnął motocykl do środka. Nie miał do niego żadnego zabezpieczenia. Liczył na to, że nikt go nie ukradnie, bo nie zamierzał taszczyć maszyny na czwarte piętro. W połowie drogi na górę spotkał Joachima i Monikę, którzy szli do szkoły. Joachim niósł oba tornistry, swój i siostry.

— *Guten Morgen*.

Berg ucałował dzieci w policzki.

—*Griiss Gott*, tato. Wszystko w porządku? — zapytał Joachim.

—W jak najlepszym.

—A ten chłopak...?

—Sprawa załatwiona.

—Jaka sprawa załatwiona? — dociekała Monika.

—Chłopców, którzy rzucają kamieniami w nasz budynek — odpowiedział Joachim za Berga.

—Oni mi się nie podobają. — W oczach ośmioletniej Moniki pojawiły się strach i łzy. Bergowi pękało serce, że jego córka musi żyć w takich burzliwych czasach. — Boję się ich. Czasem idą za mną, jak wracam ze szkoły.

—Jeśli znowu to zrobią, to mi powiedz — poprosił Berg. Monika nagle pojaśniała.

—Jedziemy dzisiaj na wycieczkę!

—Świetnie. Dokąd?

—Zobaczyć prawdziwego wielbłąda. I *Niggerlippen!* Berg zmarszczył nos.

—Co takiego?

—Wielbłąda i *Niggerlippen* — powtórzyła Monika.

—W galerii jest wystawa z afrykańską wioską — wyjaśnił Joachim. — Na jednym ze stoisk jest *Niggerlippen* w przepasce biodrowej.

Berg długo przyswajał sobie tę informację.

— Afrykanin... w przepasce biodrowej... na wystawie. Monika skinęła głową z przejęciem.

— Co on robi? — zapytał Berg. — Po prostu stoi, grając... Afrykanina? Dzieci wzruszyły ramionami.

— Może śpiewa *Swingjugend*.

— Może sprowadzi kobietę, żeby wykonała taniec z wachlarzem jak Josephine Baker — powiedział Joachim z figlarnym błyskiem w oczach.

— Wątpię, skoro jej samej nie wpuszczono do Monachium.

— Co to jest taniec z wachlarzem? — zapytała Monika.

— Niech cię o to głowa nie boli — odparł Berg. A do syna rzekł: — I nie mów nic mamie. Wystarczy, że wymykam się do klubów, żeby posłuchać amerykańskiego jazzu. Jak mama usłyszy, że mówisz o Josephine Baker, to wywali mnie z domu. — Zmierzył Joachimowi włosy. — No, idźcie. Nie ma sensu się spóźniać. Jeszcze was ominie niezwykła wycieczka.

Uśmiechnęli się i ruszyli w dół schodów. Berg zaczekał, aż dotrą na parter, zanim poszedł dalej. Przed wejściem do mieszkania zdjął zabłocone buty. Było ciepło. Widać ktoś włączył kaloryfer. Berg czuł zapach kawy w dzbanku. W brzuchu mu burczało.

Britta siedziała przy stole kuchennym wciąż w szlafroku, trzymając w ręku czerwoną puszkę Onko Kaffee z Bremy. Odgarnęła z oczu pasemka blond włosów i uniosła puszkę do góry.

— Skończyła się — rzekła.

Berg nalał kawy z dzbanka do dwóch kubków, po czym dodał do każdego łyżeczkę mleka i cukru.

— Już druga w tym miesiącu — poskarżył się.

— To jeden z moich nałogów. Mogę sprawdzić na czarnym rynku. Powinna być tańsza niż w sklepach.

— Jak chcesz.

Britta wyjęła z czerwono-białej puszkii Schimmelpennick papierosa i zapaliła. Berg przyniósł kawę do stołu i unióśł brwi.

— Przecież mówiłaś, że twoim nałogiem jest kawa. Zaciągnęła się i z uśmiechem dmuchnęła mu dymem w twarz.

—Mam kilka nałogów.

Spytała, czy sam nie chce zapalić, ale on wziął jej papierosa i zaciągnął się głęboko. Potem uniósł kubek z parującą kawą, żeby ogrzać sobie twarz. Britta zanurzyła w kawie kromkę czerstwego chleba, żeby ją trochę rozmiękczyć. Radio bardziej trzeszczało, niż grało, chociaż można się było dosłuchać bardzo ostatnio modnej nacjonalistycznej bawarskiej muzyczki akordeonowej.

— Kupiłeś gazetę? — spytała Britta. Berg oddał jej papierosa i wypił łyk kawy.

—Nie. Mam teraz pilną sprawę w pracy. Jeśli chcesz, to kupię „Post”, jak będę wracał.

—To kup jeszcze „Beobachter” dla równowagi.

—Nie życzę sobie w moim domu tej szmaty.

—To kup przynajmniej „Neueste Nachrichten”. W zeszłym tygodniu do szkoły przyszli jacyś ludzie i pytali dzieci, jakie są w domu gazety.

Berg zastanowił się, jakie mogą być tego konsekwencje.

—I nic im nie powiedziały?

—Oczywiście, że nie. Zostały przeszkolone i nie są w ciemni bite. — Żuła nasiąknięty kawą chleb. — Ale co będzie, jeśli jakiś kolega albo koleżanka wygada? Były u nas w mieszkaniu. Dzieci są gadatliwe. Musisz być ostrożny.

—Masz rację. Kupię obie gazety.

Jego potulność zdziwiła Brittę. „Pewnie ma inne sprawy na głowie”, pomyślała.

—Więc twój chuligan trafił za kratki? — spytała po chwili.

—Myślę, że nie będzie nas więcej niepokoił.

—A! — Pokręciła głową i zaciągnęła się papierosem. — Z kim jest spokrewniony?

Berg zaczął czyścić paznokcie scyzorykiem.

—To siostrzeniec Volkera.

—Ręka rękę myje. Ależ oni są obrzydliwi!

—Volker przywalił mu w nos. — Odłożył scyzoryk i dokonał oględzin paznokci. Wypadły zadowolająco i na powrót złożył scyzoryk. — Chyba mu go złamał.

—Dobrze. Może następnym razem przetrąci mu czaszkę.

—Całkiem prawdopodobne. — Berg podszedł do szafy i wyjął z niej mundur. — Ten człowiek nie toleruje głupoty.

—Czyli nasze okna są bezpieczne do czasu, aż przyjdzie następny chuligan. — Rozejrzała się po pokoju. — Byłoby lepiej, gdybyś zdjął te okropne obrazki. Każdy, kto zajrzy nam w okna, pomyśli, że tu mieszkają komuniści.

Przebiegł oczami wzdłuż ściany i zatrzymał się na rysunku Joachima — roślinnej martwej naturze wykonanej pastelami, kiedy chłopiec miał dziesięć lat. Berg był z niego taki dumny, że wprawił obrazek w ramkę, którą zrobił z wyrzuconego na śmietnik drewna i starej szyby.

— Jesteś przeciwniczką twórczości własnego syna? Co z ciebie za matka?

— Przestań, Axel. — Westchnęła. — Wiesz, o co mi chodzi. Chodziło jej o ołówkowe rysunki Szwajcara Klee i Żyda Jawlensky'ego.

—Zamiłowanie do sztuki awangardowej nie czyni z człowieka komunisty.

—Ale członkowie partii robotniczych nie patrzą na to przychylnym okiem.

Berg zgodził się z nią w duchu, wkładając czysty podkoszulek i usiłując trafić ramionami do rękawów góry od munduru. Umył twarz i ogolił się nad zlewem kuchennym. Potem przyniósł z korytarza buty i zeskrobał błoto z podeszew.

— Czy to moja wina, że w południowych Niemczech jest pełno filistrów? Mogę użyć tej szmaty do wysuszenia butów?

—Po co chcesz suszyć buty? Przecież zaraz ci się zmoczą. Wsunął scyzoryk do cholewy.

—Żeby nie roznosił błota po domu.

— To rozsądne. — Znowu zanurzyła chleb w kawie. — Ohyda. Jakbym jadła jakiś erzac.

—Są świeże bułki.

—Wiem, ale nie znoszę, kiedy coś się marnuje.

Berg ucałował ją w czubek głowy i podszedł do lodówki. Wyjął masło i dwie bułki żytnie, które Britta kupiła poprzedniego dnia rano.

— Pomyśl, jakie były kolejki pięć lat temu. — Wgryzł się w jedną z bułek. — Nie ufam Hindenburgowi, tak samo jak nie ufam Scharnagłowi. — Podał żonie drugą bułkę i masło. — Powiedziałbym, że jemy tak, jakby za rogiem czyhała inflacja.

Britta posmarowała bułkę masłem. Ugryzła mały, a potem duży kęs. Zamknęła oczy i żuła powoli.

—Masz rację. Tak jest dużo smaczniej.

—Marmolady?

—Nie, dziękuję. — Kolejny kęs. — Ja też im nie ufam. Nikt im nie ufa. Co mają robić ludzie, kiedy przestaną wierzyć władzy?

—Wolę się nad tym nie zastanawiać. — Berg usiadł i włożył buty. — Miło się z tobą rozmawia o polityce, Britta, ale niektórzy muszą pracować. Jest nowe śledztwo. Zwłoki w Engli-scher Garten.

Britta otworzyła usta.

—Żartujesz!

—Nie.

—Morderstwo?

—Na razie nie wiemy.

— Kim jest denat? Zgasła papierosa.

— Tego też nie wiemy. — Zasznurował buty i pocałował żonę w czoło.

— Uważaj na siebie, kochanie. Żyjemy w niespokojnych czasach.

Rozdział czwarty

Ciepło i sucho odziany, z żołądkiem udobruchanym za pomocą kawy i bułki, Berg był gotów zmierzyć się ze śmiercią. Nawet niebo złagodniało i spomiędzy ołowianych chmur wyzierały plamy błękitu. Przez most Maksymiliana przejechał na zachodnią stronę Monachium i skręcił w prawo w Widenmayer Strasse, aleję zabudowaną z obu stron dostojnymi, bogato zdobionymi gotyckimi gmachami. Fasady były pomalowane na miękkie kremowe kolory, maślane żółcienie, terakotę i paloną umbre, ziemiste odcienie bardziej pasujące do rozśonecznionego Lugano niż do wiecznie zachmurzonej stolicy Bawarii. Niektóre wielopiętrowe budynki były podzielone na mieszkania, ale niektóre wciąż pozostały prywatnymi rezydencjami starych patrycjuszowskich rodów i nuworyszów.

Skrecając na zachód w Prinzregenten Strasse, Berg minął grupę młodzieńców w czarnych koszulach i czerwonych muszkach, marszowym krokiem podążających za swoim dowódcą — *Kommunisten*, około dwudziestu, młodzi i zuchwali. Głupie dzieci bawiące się w wojnę, ze swoimi mundurami, płomiennymi oracjami, wymachiwaniem flagami i niekończącymi się paradami, politykowali z bezpiecznej odległości, z dala od sowieckiej krwawej łaźni. Berg nie przypominał sobie żadnych romantycznych aspektów wojny. Wszystko, co pamiętał, to śmiertelny strach człowieka, który kuli się w okopach w mokrych od własnego moczu spodniach, uchylając się od kul Angoli i wpychających nos w nie swoje sprawy jankesów.

Nagle poczuł, że ma spierzchnięte usta. Przełknął sucho ślinę, myśląc o drugim śniadaniu złożonym z białej kiełbasy i Lowenbrau prosto z beczki. Na niedużej bułce i kubku kawy człowiek daleko nie zajędzie. Może szybka przekąska po wstępnym rozpoznaniu sprawy...

Przy południowym krańcu Englischer Garten Berg podjechał do krawęznika, zgasił silnik i zsiadł z motocykla. Wchodząc do parku, zdał sobie sprawę, że Volker nie określił dokładnie miejsca zdarzenia. Park miał prawie czterysta hektarów i Berg z pewnością szybciej znalazłby kolegów,

gdyby jechał, zamiast prowadzić *Kraftrad* obok siebie. Wybrał jednak taki sposób poruszania się, bo nie chciał zakłócać panującej w parku błogiej ciszy industrialnym hałasem.

Ta zaprojektowana ponad sto lat wcześniej przez Friedricha Ludwiga von Sckella oaza zieleni pełnię świetności osiągała latem, kiedy drzewa były baldachimami ulistnionych gałęzi, a zarośla eksplodowały barwami i zapachami. W porze ciepłej Klein-hesseloher See — jezioro opodal sporego ogródka piwnego — marszczyło się leniwie od wiosł kajaków i łopatek rowerów wodnych. Ale nawet zimą była to spokojna kraina, ze strumieniami i alejkami, które doskonale nadawały się na refleksyjną przechadzkę i rozmyślania o zawiłościach niemieckiej polityki.

W tym momencie myśli Berga nie były skupione na losach *Vaterland*. Zaraz za Japońską Herbaciarnią, w wysokich zaroślach otoczonych klonami, brzożami i kasztanowcami, toczyły się rozmaite gorączkowe działania, w większości mało produktywne. Kilkunastu policjantów kręciło się, paliło papierosy i rozmawiało. Trochę dalej stał na trawie *Mordwagen*, z szeroko otwartymi drzwiami. Profesor Josef Kolb wyjmował z niego pudła i budował prowizoryczne laboratorium kryminalistyczne z mnogością akcesoriów: butelek, ampułek, szczypiec, lup, pił, chemikaliów, nożyczek, linijek, suwmiarek, pędzelków i sprzętu fotograficznego ustawionego na szrudłowatych statywach. Kolb był drobnej postury mężczyzną z rozwichrzonymi włosami. Pomachał zbliżającemu się Bergowi, który postawił motocykl na nóżkach, ale zanim zdążył podejść do Kolba, z tłumu wyłonił się Volker z niezadowoloną miną. To jednak o niczym nie świadczyło, ponieważ prawie zawsze miał niezadowoloną minę. Szef zapalił papierosa i przekrzywił głowę. Obaj oddalili się zarówno od zarośli, jak i od *Mordwagen*.

—Niech pan spojrzy! Banda trutni. Mnóstwo zamieszania i nic z tego nie wynika. — Volker wydmuchnął pióropusz dymu. — Jak pan sądzi, ile dni pan potrzebuje na przeprowadzenie śledztwa?

—A czego ono dotyczy?

—Kobieta uduszona pończochą. Goniec na rowerze zauważył ją w zarostach. Wezwał jednego z policjantów, który wlepił mu mandat za jazdę na rowerze po alejkach.

—Żaden dobry uczynek nie ujdzie bezkarnie.

—Przepisy są przepisami. Myślał, że o tak wczesnej porze mu się upiecze. Papierosa?

—Tak, dziękuję — odparł Berg. — Czy ta kobieta była prostytutką?

—Nie wiem. Na razie mogę powiedzieć, że nie była ubrana jak prostytutka. Miała na sobie drogie rzeczy. Więc jeśli jest panią wieczoru, to ma hojnego dobroczyńcę.

—Co mówi profesor Kolb?

—Profesor Kolb bawi się swoimi przyrządami. Nie potrzeba wybitnego naukowca, aby ustalić, że przyczyną śmierci było uduszenie. Pończocha jest ciasno obwiązana wokół szyi. — Volker prychnął niezadowolony. — Muszę kierować wydziałem w mieście, które balansuje na krawędzi chaosu.

—Chaos to normalna rzecz, *Herr Kommissar*.

—Ale nie duszenie kobiet pończochą. Nie cieszy mnie ten obrót wydarzeń. Proszę się dowiedzieć, kim była ta kobieta i co się stało. Ilu ludzi pan potrzebuje?

Berg spojrział na tłum funkcjonariuszy.

—Tylko Storfa i Müllera. Damy radę we trójkę przeszukać teren i znaleźć świadków. Czy oni tutaj są?

—Przesłuchują gońca.

—Świetnie. W charakterze podejrzanego?

—A skąd mieliby wiedzieć? Nadaje się na podejrzanego tak, jak każdy inny. Jeśli coś nie będzie panu grało, to niech go pan zapudłuje i uznamy sprawę za zamkniętą. — Volker oddalił się i warknął na patrolowców: — Wszyscy z powrotem na swoje stanowiska! — Klasnął głośno w dłonie. — Natychmiast!

Zaskoczeni zajadłością Volkera policjanci rozpierzchli się jak mrówki. Berg zmarszczył brwi.

— Byłoby lepiej, gdyby rozeszli się w sposób uporządkowany. Mogli zadeptać ślady sprawcy.

Volker skierował swój gniew na Berga.

—Po pierwsze, to jest problem Kolba, a nie pana. Po drugie, profesor na pewno potrafi odróżnić odcisk buta policyjnego od innego!

—Przyznaję się do błędnej oceny sytuacji. Mogę spojrzeć na zwłoki, *Herr Kommissar*?

Volker szybkim krokiem podszedł do ciała. Po chwili Berg stanął obok niego.

Była młoda i mimo trupiej bladości bardzo ładna. Owalna twarz o drobnych rysach i wielkich niebieskich oczach utkwionych w jednym miejscu. Bujne czarne włosy opadały na ramiona i okalały twarz, jakby kobieta pozowała prerafaelicie. Była szczupła i płaska. Zgrabne nogi były zgięte w kolanach i wystawały spod wieczorowej sukni. Volker miał rację: drogie ubranie. Nowoczesna suknia z czarnego szyfonu, odsłaniająca kostki. Trzy metry od ciała leżał wachlarz z piór. Berg podniósł go z ziemi i przesunął palcem po czarnych piórach.

—Zatrzymam to, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Volker wzruszył ramionami. Berg wsunął wachlarz do kieszeni płaszcza, a potem wyjął notatnik i zaczął zapisywać szczegóły — ułożenie ciała, gdzie je znaleziono, co przy nim było. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu śladów stóp, ale zobaczył tylko błoto i śmieci.

—Kolb zrobi zdjęcie?

—No, mam nadzieję, że ten sprzęt nie jest od parady.

—Kobieta nie ma na sobie płaszcza — zauważył Berg.

—I?

—Na pewno nie wyszłyby wieczorem z domu bez płaszcza.

—Na pewno — przytaknął Volker.

—I jest tylko jeden but. Może zabójca kolekcjonuje płaszcze i buty. — Berg zastanowił się chwilę. — Jedna pończocha wciąż na nodze, druga na szyi. Czy ktoś sprawdził bieliznę?

— Pończochę na nodze podtrzymuje podwiązka. Majtek nie ma. Tak, została zgwnłconą — powiedział Volker z beznamiętną miną. — Z bliska nawet to czuć.

—Czy ona się panu wydaje znajoma, *Herr Kommissar!* — spytał Berg.
— Pan jest lepiej ustosunkowany wśród śmietanki towarzyskiej.

—Nie, nie wydaje mi się znajoma — odparł Volker po chwili wahania.

— *Herr Kommissar?*

Berg i Volker odwrócili się na ten głos. To był Storf. Nos i policzki miał zaczerwienione. Dmuchał w dłonie i pocierał je o siebie.

— Dostaliśmy wiadomość, że dzwono na numer alarmowy 22222. Pewien pan — Herr Anton Gross — złożył zawiadomienie o zaginięciu żony.

Volker wyjął z kieszeni zegarek. Dochodziła dziewiąta.

— Zauważył to właśnie teraz?

Storf podawał dalsze szczegóły, pomagając sobie notatnikiem.

—Frau Gross zwykle wstaje o ósmej. Mąż mówi, że jest punktualną kobietą. Ale wczoraj nie czuła się dobrze i Herr Gross sądził, że małżonka śpi dłużej niż zwykle.

—To znaczy, że mają osobne sypialnie — stwierdził Berg. — I duże mieszkanie, skoro mogą przeznaczyć dwa pokoje na sypialnie.

—Słyszałem, że to rodzina jubilerska. — Storf prychnął. — Na pewno dobrze mu się powiodło podczas hiperinflacji.

Jakby to była wina tego człowieka, że kamienie szlachetne były w cenie, kiedy marka stała się bezwartościowa. Ale czy to nie jest typowa cecha niemieckiej mentalności? Łatwiej wskazać palcem winnego, niż dokonać rzetelnej analizy. Progresywizm jest synonimem komunizmu i nieładu, a wszystko jest lepsze od nieładu.

Volker rzucił papierosa na ziemię i zgniótł obcasem rozżarzoną końcówkę.

—Ma pan jego adres, Storf?

—Tutaj, *Herr Kommissar*.

Storf podał mu pasek papieru. Volker przeczytał, schował karteczkę do kieszeni i poprawił fular.

— Ulrich i Georg posprzątają ten bałagan — powiedział do Berga. — Pan pojedzie ze mną. Porozmawiamy z nim obaj. Niech pan zostawi moto-

cykl innym. Weźmiemy mój samochód. — *Herr Kommissar* pokazał na leżący na ziemi niedopałek. — Niech się pan tym zajmie, Ulrich, dobrze? — Ruszył w stronę samochodu i obejrzał się przez ramię. — Nie ma sensu zaśmiecać naszych pięknych parków, co?

Storf schylił się po niedopałek i zawołał:

—Oczywiście, że nie, *Herr Kommissar*. Co za drań — szepnął do Berga.

—Ulrich, przypilnuj profesora Kolba, żeby zrobił dużo zdjęć zwłok i dokładnie sprawdził wszystko, co mógł zostawić po sobie sprawca, łącznie z odciskami i odzieżą. I myślę, że taka kobieta miała ze sobą torebkę, a żadnej nie widzę.

—Złodzieje? — zasugerował Storf.

—Nie wątpię. Pierwszym podejrzanym jest dla mnie goniec. Przeszukaj go dokładnie.

—Dobra, Axel. Lepiej już idź. Dyktator potrzebuje przybocznego. — Storf pożegnał Berga.

—W istocie. — Berg musiał przetruchtać kilkadziesiąt metrów, żeby dogonić Volkera.

—Na pewno pan chce, żebym z panem pojechał, *Herr Kommissar*?

—O co panu chodzi?

—Może ten człowiek lepiej zareaguje, jeśli będzie przesłuchiwany przez osobę ze swojej warstwy społecznej, bez ingerencji z mojej strony.

—A, rozumiem. — Volker zwolnił, bo byli już blisko czarnego mercedesa. — Celne spostrzeżenie, inspektorze, ale i tak chcę, żeby pan ze mną pojechał. Jeśli ktoś ma go urazić, to lepiej, żeby to był pan, a nie ja.

Rozdział piąty

Nasuwał się wniosek, że znalezione ciało należy do Frau Gross, ponieważ adres podany policji — czteropiętrowa morelowa kamienica przy Widenmayer Strasse — znajdował się góra dziesięć minut drogi od parku. Może kobieta wracała ze schadzki w Schwabing i dla większej dyskrecji postanowiła pójść na skróty przez Garten. A może została zamordowana w domu i wrzucona w krzaki, ponieważ było to najbliższe i najlepsze miejsce na ukrycie *corpus delicti*. W głowie Berga kłębiło się od różnych teorii, kiedy szli z Volkerem do samochodu.

Berg zdziwił się, że *Kommissar* postanowił pojechać autem, chociaż prościej byłoby pójść pieszo. Martin Volker nie należał do ludzi, którzy podejmują niepraktyczne decyzje, więc w grę musiały wchodzić jakieś inne względy. Mercedes był prywatny, nie służbowy — może Volker postanowił zaafiszować się ze swoją majątnością, żeby móc rozmawiać z Grossem na równej stopie.

Zaparkowali o jedną przecznicę od kamienicy. Kiedy pokonali ten dystans, odźwierny zaprowadził ich do wykonanych z grawerowanego mosiądzu drzwi windy. Dźwig, obsługiwany przez umundurowanego windziarza w białych rękawiczkach, jechał bardzo powoli i ciągle nim szarpało. Wreszcie zatrzymał się na czwartym piętrze i windziarz otworzył drzwi klatki z kutego żelaza. Herr Gross zajmował całe piętro. Volker i Berg wysiedli. *Kommissar* zaczekał, aż windziarz zniknie w środku i strzałka pokaże w stronę cyfry trzy, zanim udał się ku drzwiom państwa Grossów. Chwycił za żelazną kołatkę i kilkakrotnie głośno zastukał o czerwonawobrazowe drzwi z mahoniem. Po chwili stanął w nich kamerdyner w liberii, z mdłymi rysami twarzy i przerzedzonymi siwymi włosami.

—Tak?

—Jesteśmy z policji. — Volker wręczył mu wizytówkę. — Sądzę, że Herr Gross nas oczekuje.

—A, tak. Chwileczkę.

Kamerdyner zamierzał zamknąć drzwi i kazać im czekać na korytarzu, ale Volker ani myślał pozwolić mu na takie traktowanie. Bezceremonialnie wszedł do środka, przy okazji spychając kamerdynera na bok.

— Pan wybaczy, *mein Herr**¹³! — powiedział sztywno kamerdyner.

Volker wbił w służącego spojrzenie stalowych oczu.

— Nie mamy czasu, żeby czekać cały dzień, człowieku. Zawołaj swego pana.

Upłynęło kilka chwil milczenia. W końcu kamerdyner ustąpił. — Jak pan sobie życzy.

Kiedy zaczął się oddalać, Volker zawołał za nim. Kamerdyner odwrócił się akurat na czas, żeby złapać jego płaszcz.

— Bądź łaskaw powiesić. Dziękuję.

Kamerdyner z najwyższym trudem pohamował gniew, zwłaszcza że Volker dodał *sotto voce*:

— Tyrolska służba nie jest już taka jak dawniej.

— Nic mi na ten temat nie wiadomo, *Herr Kommissar* — odparł Berg takim tonem, jakby wziął słowa zwierzchnika za dobrą monetę.

Volker parsknął śmiechem. Zdjął kapelusz i polecił Bergowi uczynić to samo.

— Chodźmy. Rozejrzemy się.

— Nie zostaliśmy oficjalnie zaproszeni, *Herr Kommissar*.

— Nuworysz kosmopolita — prychnął pogardliwie Volker. — Co on się zna na etykiecie?

— Ale...

Protesty nie zdały się na nic. *Kommissar* zdążył się już oddalić o kilka kroków, jego buty, przed wyjściem do pracy, wypastowane na glanc, stuknęły o biały marmur, zostawiając ślady błota. Berg nie miał innego wyboru, jak tylko pójść za nim. Obaj stanęli w wejściu do wielkiej sali i zaparło im dech z podziwu. Cztery i pół metra wysokości kasetonowy sufit z orzecha włoskiego. Podłoga wyłożona czarnymi i białymi marmurowymi

¹³ * *Mein Herr* (niem.) — mój panie, moi panowie.

plytami w karo, aczkolwiek w znacznej części pokryta perskimi dywanami w skomplikowane wzory. Volker odważył się wejść.

Wystrój był elegancki i zgodny z najnowszą modą, nowoczesne politurowane meble, utrzymane w czystych obłych formach. Wszystko było najlepszej jakości, ale największe wrażenie robiła skrzynia bombé z palisandru i hebanowy stół Macassar uwieńczony flakonem Lalique ze świeżymi kahlami. Sprzęty te mogły pochodzić z paryskiej Wystawy Wzornictwa i Przemysłu, która odbyła się kilka lat wcześniej — nowatorskie wzornictwo w najlepszym wydaniu. Dla równowagi i z szacunku dla tradycji nowoczesne umeblowanie uzupełniono kilkoma sprzętami w stylu empire. Kilka zestawów sof i krzeseł umożliwiało jednoczesne prowadzenie kilku rozmów naraz. W kamiennym kominku, za osłoną z grawerowanego szkła, huczał ogień. Sześć wysokich kwaterowych okien okalały draperie z bordowego aksamitu. Większość powierzchni ścian zajmowały jednak nowoczesne dzieła sztuki, które Partia Robotnicza z pewnością uznałaby za zdegenerowane: płótna artystów związanych z grupą Blaue Reiter — Franza Marca, Augusta Mackego i Wassily'ego Kandinsky'ego. Było też wiele obrazów, rysunków i szkiców ekspresjonistów: dzieła Egona Schielego, George'a Grosza, Gabrielli Munter, Paula Klee, Georges'a Braque'a i Lyonela Feiningera.

—Awangarda, ale niemiecka — zauważył Volker. — Nikt nie może mu zarzucić, że jest za bardzo *Kosmopolit*.

—Braque i Klee to Szwajcarzy — poinformował go Berg — Schiele to Austriak, Grosz, Kandinsky i Feininger to Żydzi, a Kandinsky na dodatek urodził się w Rosji.

—Każdy, kto mówi naszym ojczystym językiem, albo jest Niemcem, albo chce być Niemcem. Niech pan zapyta Hitlera.

— Czy dostał już obywatelstwo?

—A skąd ja miałbym to wiedzieć?

—Pan wszystko wie, *Herr Kommissar*. Volker uniósł brwi.

—Rumienie się przez pana, Axel.

Berg podszedł do jednego z okien. Przed jego oczami rozciągał się panoramiczny widok na Izarę, Bogenhausen i jeszcze dalej. Chmury zaczy-

nały się rozstępować i Berg czuł przez szybę stępione ciepło słońca. To w połączeniu z żarem buchającym od kominka sprawiło, że zrobiło mu się za gorąco w płaszczu. Kiedy rozważał, czy go zdjąć, usłyszał za plecami chrząknięcie i odwrócił się.

Podejrzewał, że patrzy na Herr Grossa, delikatnego, ale przystojnego mężczyznę o bladej cerze i inteligentnych ciemnych oczach. Na wąskim, sterczącym nosie wspierały się okulary. Roz-masowywał długie, kościste palce ze zmartwienia. Był chudy i wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Skinął głową najpierw do Volkera, potem do Berga.

— Anton Gross — przedstawił się. — Kazałem zrobić herbatę. Jest tutaj całkiem ciepło, może pan spokojnie zdjąć ten gruby płaszcz. Haslinger powiesi go panu.

Berg zdjął płaszcz i podał go Haslingerowi, czyli kamerdynerowi. Ten wziął płaszcz, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Widać było po jego oczach, że nadal jest obrażony wielkopańskimi zagrywkami Volkera.

— Proszę usiąść.

Gross przycupnął na skraju sztywnej sofy z satynowym obiciem w kolorze rubinowym. Volker wybrał jedno z dwóch tapicerowanych krzeseł i również usiadł wyprężony jak struna. Berg zdecydował się na drugie z bliźniaczych krzeseł. Policjanci patrzyli na Grossa i czekali, aż zabierze głos.

—Jestem bardzo zaniepokojony. Anna nie ma zwyczaju wychodzić z domu bez odpowiedniej eskorty. Żyjemy w... burzliwych czasach. Jest wielu ulicznych chuliganów.

—W istocie — odparł Volker. — Takie są skutki wzrostu stopy bezrobocia.

—Tak, oczywiście. Ale nie zmienia to samego faktu, niezależnie od przyczyny. Chuliganów jest o wiele za dużo. Wystarczy, aby mężczyzna się przestraszył, a co dopiero młoda kobieta.

—Jest pan pewien, że nikt jej nie towarzyszył? — zapytał Berg.

—W ogóle mnie nie poinformowała, że zamierza wyjść z domu. Zresztą, kto miałby jej towarzyszyć oprócz mnie?

„Nieznany kochanek?“, pomyślał Berg. Na głos zaś powiedział:

—Może ojciec albo brat? Gross machnął ręką.

—Nie.

Berg rozejrzał się po wielkiej sali. Liczne dzieła sztuki można było zobaczyć również na stołach i na kominku: flakony od Tiffany'ego dmuchane z opalizującego niebieskiego lub złotego szkła z Favril, dekoracyjne misy Galie wykonane z warstw kamei, ogród zoologiczny ze zwierzętami z *pate de vert* braci Dau-mów. Nie było natomiast ani jednej pamiątkowej fotografii.

— Czy ma pan może zdjęcie swojej żony, Herr Gross? Gospodarz znowu pomasaował dłoń.

—Mam przy łóżku jej fotografię ślubną. Ale nie jest zbyt aktualna, sprzed pięciu lat.

—Wystarczy.

—Już przynoszę.

Ale zanim zdążył wstać, zjawił się Haslinger, wtaczając wózek z barokowym srebrnym serwisem do herbaty, plus porcelanowe talerzyki, filiżanki i spodeczki oraz platera z herbatnikami i ciastkami.

Rozpoczął się rytuał. Volker i Berg posłodzili herbatę jedną kostką cukru, Gross dwiema. Volker i Berg wzięli po jednym kawałku *Mandelbrot* — biscotto migdałowego — i makowca. Gross zdecydował się na jedno petit four z różowym lukrem.

—Coś jeszcze, Herr Gross? — spytał Haslinger.

—Tak. Proszę, przynieś panom policjantom fotografię ślubną Anny z mojej szafki nocnej.

—Oczywiście, Herr Gross.

Kamerdyner wyszedł. Gospodarz i jego goście jedli i pili w milczeniu. Dobre maniery wymagały, aby Berg zjadł co najmniej połowę swojego kawałka ciasta. Nie miał z tym kłopotów, ponieważ było pyszne — z dużą ilością masła, maku i jajek. Po paru minutach Berg odłożył talerzyk na wózek, a filiżankę ze spodeczkiem postawił sobie na kolanie. Wyjął notatnik i ołówek.

— Dziękuję za poczęstunek, Herr Gross. A teraz, jeśli mógłbym, zadam panu kilka pytań. — Gospodarz skinął głową. — Kiedy po raz ostatni widział pan swoją żonę?

— Wczoraj wieczorem o ósmej. — Gross wypił łyk herbaty. — Zanio-
słem jej kubek kakao i trochę makowca. Nie czuła się dobrze.

—Czy mogę spytać, o jaką dolegliwość chodziło? Herr Gross zarumie-
nił się.

—Bóle podbrzusza.

—Przy nadziei? — zapytał Volker neutralnym tonem. Gross skinął
głową.

— W piątym miesiącu, chociaż wcale nie było tego po niej widać —
powiedział z dumą. — Miała piękną figurę i starannie kontrolowała swoją
wagę. Tak starannie, że lekarz uznał to za nierozsądne. — Uśmiechnął się,
ukazując garnitur równych zębów. — To dlatego raczyłem ją kakao i cia-
stem.

Berg dopił herbatę i odstawił filiżankę na wózek, uradowany, że udało
mu się nie rozbić porcelany.

—I nie widział pan jej od ósmej godziny wczoraj wieczorem.

—Tak. Odkąd... jest w stanie błogosławionym, dbamy o... intymność.

—Rozumiem — odparł Berg.

Wrócił Haslinger ze srebrną ramką w dłoni. Herr Gross wziął od niego
zdjęcie, rzucił na nie okiem i przekazał Volkerowi. Spojrzenie komisarza
niczego nie zdradzało. Podał fotografię Bergowi.

Wyglądała tak promiennie w białej sukni i welonie. Jakie to smutne, że
ta kobieta, a właściwie dziewczyna została tak okrutnie pozbawiona życia.
Volker dyskretnie skinął do niego głową. Oczywiście: drań chce, żeby to on
przekazał tragiczną wiadomość. Dzień zaczął się kiepsko i na razie nic nie
wskazywało, żeby miało być lepiej.

— Herr Gross... — Berg spojrział na Haslingera, czekając, aż ten się
odmelduje. Kamerdyner w końcu zrozumiał aluzję. — Herr Gross. Ciężko
mi o tym mówić. W Englischer Garten znaleziono dzisiaj rano ciało. Wia-
domość dotarła do nas przed dwoma godzinami. Po obejrzeniu tej fotografii
mam powody sądzić, że to jest... była... pańska żona.

Ze spojrzenia Grossa przebijała pustka i zamęt. Po kilku falstartach spytał:

—Chce mi pan powiedzieć, że moja żona nie żyje?

—Tak, takie mam obawy po obejrzeniu tego zdjęcia. — Przełknął ślinę i spojrzał na Volkera, szukając u niego wsparcia. Nie otrzymał go, więc dodał: — Tak, to ona.

—Jest pan pewien? — Gross patrzył na niego błagalnym wzrokiem. — Nie mógł się pan pomylić?

—Ja... — Berg wypuścił ze świstem powietrze. — Nie sędzę, nie.

Gross wstał powoli i odłożył filiżankę na wózek. Potem przez chwilę przechadzał się tam i z powrotem. Nagle stanął i zebrał się w sobie.

—Chciałbym się osobiście przekonać!

—Naturalnie, Herr Gross — Volker wkroczył do akcji. — Zaraz tam pana zabierzemy. Ale czy mógłbym najpierw zadać panu kilka pytań? To rutynowa procedura.

—Tak, oczywiście.

Gross miał mokre oczy, a myślami był gdzieś daleko.

—Zakładając najgorsze, Herr Gross, czy zna pan kogoś, kto źle życzyłby pańskiej żonie?

—Nie! — zaprotestował stanowczo Gross. — Absolutnie nie!

—Przepraszam, Herr Gross, ale musiałem panu zadać to pytanie.

Gross zagryzł dolną wargę.

—Mogę ją teraz zobaczyć?

—Proszę o jeszcze odrobinę cierpliwości. Powiedział pan, że miała zwyczaj wstawać koło ósmej, ale zczekał pan do dziewiątej, bo wczoraj nie czuła się dobrze i nie chciał pan jej budzić.

—Tak.

—A poszła spać koło...

—Ósmej.

—I w nocy nie słyszał pan żadnych odgłosów wychodzenia z domu? — zapytał Berg.

—Nie.

—Czy to możliwe, że coś się działo, ale pan nie usłyszał, bo znajdował się pan w innym pokoju?

—Mało prawdopodobne. Nic nie słyszałem. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

—Tak, oczywiście — odparł Berg. — Ale założmy na chwilę, że jednak coś się działo, tylko pan tego nie usłyszał. Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego mogłaby wyjść w nocy z domu, nie mówiąc panu o tym, Herr Gross?

Sugestia była oczywista. Oczy Grossa zapalały wściekłością.

—Absolutnie żaden! Nie wierzę, żeby wyszła, nie mówiąc mi o tym, zwłaszcza w jej stanie! Może jakiś chuligan włamał się w nocy, kiedy spałem, i ją zabrał.

—To najzupełniej możliwe, Herr Gross, i przyjrzymy się tej wersji — odparł Volker. — Ale tym samym przyznaje pan, że w jej części domu mogły się zdarzyć różne rzeczy bez pana wiedzy...

Gross zaczerwienił się z gniewu.

— Nie uwierzę... Nigdy by nie wyszła z domu tak późno, i do tego sama.

Berg próbował załagodzić sprawę.

—Jestem pewien, że w normalnych okolicznościach by tego nie zrobiła, ale może zdarzyła się jakaś sytuacja wyjątkowa i żona postanowiła pana nie budzić. Z miłości i troski o pana wyszła sama.

—Ma pan jakiś pomysł na sytuację wyjątkową, która mogła wyciągnąć ją z domu? — spytał Volker.

—Tylko coś związanego z jej rodziną, a nie miałem od nich... *O mein Gott**¹⁴! Jej rodzina! — Wbił w Berga błagalne spojrzenie. — Ktoś musi ich zawiadomić. Ja nie mogę...

Zacisnął powieki, żeby zatrzymać łzy. Odwrócił się i wytarł twarz w białą lnianą chusteczkę.

—Zrobię to za pana, Herr Gross. Gospodarz głęboko odetchnął z ulgą.

¹⁴ * *O mein Gott* (niem.) — o mój Boże.

—Dziękuję. Będę panu bardzo zobowiązany.

—Oczywiście będą mi potrzebne nazwiska i adresy. Gross otrząsnął się z rozpaczy i wyjął z kieszeni marynarki notatnik i ołówek. Ucieszył się, że może zrobić z rękami coś innego, niż je załamywać.

—Już panu napiszę.

—Czym trudni się ojciec pańskiej małżonki? — spytał Volker.

—Jest bankierem.

Gross skończył pisać, z rozmachem wydarł kartkę z notatnika i podał ją Volkerowi. *Kommissar* nic nie powiedział, ale Berg zarejestrował nieznaczące uniesienie brwi przez swego zwierzchnika.

—To jest bank rodzinny, czyż nie tak? — spytał Volker.

—To jest pytanie natury osobistej, *Herr Kommissar*.

—Nie pytam z czerzej ciekawości, Herr Gross, tylko próbuję ocenić sytuację. Zastanawiam się, czy nie wchodzi w grę porwanie dla okupu.

Szok ustąpił miejsca wściekłości:

—Jak można żądać okupu, skoro nie ma co wykupywać?

—Może planowano dostarczyć list z żądaniem okupu dzisiaj rano, ale zwłoki zostały za wcześnie znalezione — powiedział Berg.

Gross zignorował tę hipotezę.

—Pytam po raz kolejny: kiedy mogę ją zobaczyć?

—Najpierw musimy ją trochę przygotować, żeby pan...

—Chcę ją zobaczyć! — Gross podniósł głos. — Chcę ją natychmiast zobaczyć!

Jego krzyki ściągnęły Haslingera.

— Wszystko w porządku, Herr Gross? Gospodarz wbił w służącego wściekle spojrzenie.

— Nie! Nie wszystko w porządku. Chodzi o Annę. Policja uważa, że...
— Spojrzał na Berga. — Niech pan mu powie.

Haslinger zachłysnął się powietrzem, kiedy usłyszał tragiczną nowinę. Gross powtórzył podniesionym głosem, że chce zobaczyć ciało żony. Haslinger próbował go uspokoić, proponując mu kieliszek brandy. Gross wyrwał mu kieliszek z dłoni i zaczął przemierzać salę. Był coraz bardziej po-

ruszony, bo w końcu w pełni dotarło do niego znaczenie słów policjantów. „Moja żona nie żyje!”.

Sytuacja uległa rozprężeniu. Volker postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wstał i powiedział:

— Pójdę z panem do Englischer Garten, Herr Gross. Ale ostrzegam pana, to może być trudne dla osoby nienawykłej do takich widoków.

Na twarzy Grossa odmalowała się zgroza.

—Zmasakrowano ją?

—Nie, w żadnym stopniu — uspokoił go Volker. — Ale zawsze jest coś w wyrazie twarzy... czasem przejmującego... oczy, które już nie reagują. Szczerze panu radzę poczekać, aż minie pierwszy szok.

Pokonany Gross usiadł z powrotem na sofie.

—Skoro pan uważa, że tak będzie najlepiej.

—Takie jest moje zdanie.

—Czy została... zgwałcona?

—Nie wiem — skłamał Volker. — Ale naturalnie sprawdzimy to.

—Przykro mi, ale muszę panów poprosić, aby panowie wyszli! — interweniował Haslinger. — Herr Gross nie wytrzyma kolejnych wstrząsów!

Volker protekcyjnie poklepał kamerdynera po ramieniu.

—Oczywiście, dobry człowieku, rozumiemy. Możemy prosić płaszcz?

—Odprowadź ich do drzwi, Haslinger — powiedział Gross. — Nic mi nie będzie.

—Tędy — powiedział sztywno kamerdyner.

Kiedy szli korytarzem w stronę drzwi wejściowych, Haslinger zostawił ich na chwilę, by powrócić z ich płaszczami, które rzucił w ich stronę, a następnie ostentacyjnie otworzył drzwi. Volker nie spieszył się jednak z wkładaniem płaszcza.

— Nie poganiaj nas, Haslinger. Musimy wyglądać jak ludzie, zanim wyjdziemy.

Haslinger tupnął. Berg czekał, obracając w palcach otrzymaną od Grossa karteczkę papieru. Volker przyglądał rondo swego borsalino i pstryknął w nie palcami.

— Może być. Nie musisz jechać z nami na dół, Haslinger. Damy sobie radę.

Kamerdyner ani drgnął.

Volker z uśmiechem wyszedł na korytarz. *Kommissar* i Berg nie odzywali się do siebie, zanim nie wyszli z budynku. Berg zaczerpnął głęboko tchu i wypuścił powietrze. W mieszkaniu było potwornie duszno i mimo mrozu ucieszył się, że znowu jest na dworze. Włożył kapelusz.

Volker spojrział na karteczkę otrzymaną od Grossa.

—Kurt Haaf. Czyli Anna była jego córką. Interesujące. — Berg czekał na wyjaśnienia. — Południowoniemiecki Bank Ludowy. W dwudziestym piątym o mało nie splajtowali.

—Nie ma w tym nic sensacyjnego, *Herr Kommissar*. Wiele banków upadło w tym okresie.

—Owszem, upadły te banki, których prezesi nie wydali swoich córek za bogatych Żydów. — Volker zaśmiał się z cicha i pokręcił głową. — Rozwiązanie żywcem wzięte z karykatury w „Simplicissimus”. Znając Kurta, nie jestem zaskoczony. Tak bardzo kocha pieniądze, jakby sam był Żydem.

— Tak jakby tylko Żydzi kochali pieniądze...

— Widzę, że jest pan gotów przystąpić do wyklętego ludu ziemi — rzucił z uśmiechem Volker.

Berg zignorował go.

— Przesłuchamy go razem, *Herr Kommissar*! Volker zastanowił się nad tym przez chwilę.

—Podał nam adres w Bogenhausen, czyli nie banku. Pójdzie pan do ich domu i sprawdzi, czy wszyscy są. Ja wrócę na miejsce zdarzenia i zobaczę, co działali. Kiedy uda się panu zlokalizować Kurta, skontaktuje się pan ze mną. Wtedy się spotkamy. Zgoda?

—Zgoda. — Berg westchnął. — Biedni ludzie. Co za tragedia!

Volker staksował go wzrokiem.

— Niech pan będzie uprzejmy, Berg, ale współczucie niech pan zostawi kobietom z ich rodziny. Policja ma być szanowana jako monachijscy strażnicy bezpieczeństwa. Sentymentalne uniesienia zostawmy teatrowi, dobra?

— To było zwykłe stwierdzenie faktu, *Herr Kommissar*, a nie rozczulanie się.

Volker przeanalizował te słowa i uznał je za zadowolające.

TLR

Rozdział szósty

Bergowi nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby w ramach śledztwa chodził z jednej okazałej rezydencji do drugiej. Większość monachijskich tragicznych zgonów była bardziej przyziemna: mężczyzna stratowany przez spłoszonego konia albo przejechany przez pojazd, nad którym kierowca stracił panowanie, zgnieciony pijany uczestnik jednego z licznych wieców politycznych w mieście, karczemna burda, która zakończyła się nieoczekiwanym skutkiem śmiertelnym. Rzadko mordowano piękne młode kobiety z bogatych rodzin.

Wystarczyło przejść przez most Luitpolda, żeby Berg znalazł się w Bogenhausen, dzielnicy mieszkaniowej z dostojnymi rezydencjami, ulicami wysadzonymi drzewami, zielonymi parkami i alejkami brukowanymi solidną kostką. Cichej i spokojnej, lecz nie apatycznej jak większość bogatych dzielnic, ponieważ mieszkało tutaj sporo artystów. Na przykład Thomas Mann, Oskar Maria Graf, Hans Knappertsbusch i Max Halbe. W zimnych miesiącach większość drzew była naga, ale zbliżała się wiosna, o czym świadczyły zielieniejące gałęzie wiązów, brzoź i kasztanowców. Byłoby to doskonale miejsce na spacer, gdyby nie fakt, że myśli Berga zaprzętało morderstwo.

Dwupiętrowa willa Kurta Haafa była pomalowana na żółto i miała zielone okiennice. Wysoki, dwuspadowy dach kryty czerwoną dachówką mieścił pod sobą kilka mansardowych pomieszczeń. Na drugim piętrze ciągnął się balkon ze zdobioną wolutami barierką z kutego żelaza. Całą posesję otaczało ogrodzenie utrzymane w tej samej stylistyce. Drogi dom, ale jak na bankiera dosyć skromny. Jeśli jednak Volker nie minął się z prawdą, mówiąc, że bank o mało nie splajtował, to Haaf miał szczęście, że mieszkał tak wygodnie.

Berg zapukał do drzwi. Otworzył mu niekompletnie ubrany młodzieniec w długich, czarnych wełnianych spodniach na szelkach i białej koszuli z mankietami, ale bez kołnierzyka i krawata. Twarz miał szczupłą i chłopię-

cą, a usta tak cienkie, że prawie niewidoczne. Ciemnobrązowe oczy skrywały się za okularami wspartymi na długim nosie. Z jego postawy przebiła rozdrażnienie. W prawej ręce trzymał filiżankę kawy.

—Tak? — spytał szybko.

—*Guten Tag* — powiedział Berg. — Szukam Herr Kurta Haafa.

—Tak — padła krótka odpowiedź. Milczenie.

—Czy to pan jest Herr Haaf?

—Nie, jestem jego synem. Franz Haaf. O co chodzi?

—Przepraszam za naj...

—Tak, tak. Proszę się streszczać.

—Jestem inspektor Axel Berg z policji. Mogę wejść?

—Z policji? — zapytał Haaf po chwili milczenia.

— Tak. — Berg podszedł o krok do przodu. — *Bitte*¹⁵?

W końcu Haaf otworzył drzwi do końca. Berg poszedł za młodzieńcem przez marmurowy hol do sporego salonu, który pomniejszały optycznie liczne stylowe meble. Wysoki sufit, ozdobne profile i błyszczący dębowy parkiet nie zmieniały faktu, że w salonie panowała dosyć ponura atmosfera, ponieważ ciemne, melancholijne meble i ciężkie kotary pochłaniały większość światła dziennego. Ściany koloru kości słoniowej zdobiły pejzaże w tonacji sepii i portrety różnych srogich osobistości.

Haaf nie usiadł.

— Mogę spytać, w jakiej sprawie pan przyszedł, inspektorze?

—W sprawie... osobistej. Muszę porozmawiać z pańskim ojcem.

—Mój ojciec jest już w pracy — to dobry monachijski mieszczanin, wzór przedsiębiorczości. Ja natomiast, będąc absolutnym przeciwieństwem spędzam zbyt wiele nocy w najbardziej podejrzanych Kabartta.

Berg oblizwał wargi i milczał. Haaf rozejrzał się po pokoju.

— Gdyby mój ojciec był w domu, to chciałby, żebyśmy rozmawiali w tym dusznym mauzoleum — powiedział z uśmiechem. — Ale go nie ma,

¹⁵ * *Bitte* (niem.) — proszę.

prawda? Proszę tedy. Nie ma powodu, żebym przez pana przerywał picie porannej kawy.

Młody człowiek zaprowadził Berga do szklanej oranżerii. W pomieszczeniu było zaskakująco ciepło i wilgotno, bez wątpienia za sprawą dziesiątek roślin doniczkowych, które emitowały ciepło, jak również zapach mchu i torfu. Oranżeria przylegała do ogrodu różanego, teraz uśpionego, ale Berg potrafił sobie wyobrazić paletę kolorów, którą ogród miał wybuchnąć za kilka miesięcy. Siedziało się na wiklinowych meblach z obiciami w tropikalne kwiaty. Na stole był zestaw do kawy, talerz z ciastkami i trzy gazety — „Münchner Neueste Nachrichten”, „Münchner Post” i „Völkischer Beobachter”, a także egzemplarz „Czerwonego Psa” — czasopisma satyrycznego „Simpli-cissimus”.

Oczy Berga przeskakiwały z jednego partyjnego nagłówka na drugi. „So viele Meinungen haben wie Winde auf dem Dach” — „Tak wiele opinii niby wiatr na dachu”.

— Proszę usiąść. — Haaf uniósł swoją filiżankę. — Napije się pan kawy? Może świeżego ciasta z Viktualienmarkt? Strudel jabłkowy jest doskonały.

Berg pozostał na stojąco.

— Dziękuję, nie jestem głodny ani spragniony. I myślę, że wiadomość, z którą przychodzę, może odebrać panu apetyt. — Zamknął oczy i na powrót je otworzył. — Dzisiaj rano policja znalazła w Englischer Garten ciało kobiety. Mamy powody sądzić, że jest to pańska siostra Anna...

Franz zaniósł się spazmatycznym kaszlem, plując kawą. Drgając, wychlapał też gorący płyn z filiżanki, parząc sobie rękę. Krzyknął z bólu, po czym odstawił filiżankę na stół i otrzepał palce.

—To niemożliwe!

—Obawiam się, że...

—Niemożliwe! — Młody człowiek zaczął chodzić tam i z powrotem. — Jak to się mogło stać?

—Miałem nadzieję, że to pan dostarczy mi jakichś wskazówek.

— Ja? — Posiniał z wściekłości. — Co pan sugeruje?

— Tylko to, Herr Haaf, że bracia na ogół trochę wiedzą o swoich siostrach.

— Droga Anna nie mieszka tutaj od pięciu lat.

— I nie jesteście ze sobą blisko?

— Oczywiście, że jesteśmy! — obruszył się młody Haaf. — O rany, tylko że... Jest pan pewien, że to ona?

— Tak sądzimy. Jej mąż jeszcze dzisiaj dokona identyfikacji.

— Czyli nie jesteście pewni.

— Widziałem jej zdjęcie. Raczej nie ma mowy o pomyłce.

— O, *mein Gott!* Musi mi pan powiedzieć, co się stało.

— Wciąż to badamy. Mogę pana poprosić o pomoc w tej sprawie?

— Oczywiście! — Haaf zatrzymał się i usiadł. — To straszne. ----- Tak.

— Straszne, straszne, straszne.

— Tak — ponownie zgodził się z nim Berg. — Chciałbym pana o coś zapytać. Próbujemy ustalić, dlaczego kobieta o takiej pozycji społecznej miałaby wyjść w nocy z domu bez obstawy. Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód?

— Dlaczego pan sądzi, że wyszła bez Antona?

— Bo nie towarzyszył jej zeszłej nocy. Twierdzi, że jego żona położyła się wczoraj do łóżka około ósmej, ponieważ źle się czuła. Podobno była brzemienna.

— O rany... — Westchnienie. — Co za tragedia. Bardzo długo starali się o dziecko. Antonowi bardzo zależało na spółdzeniu dziedzica.

Brew Berga poszła do góry.

— Pańska siostra nie paliła się do macierzyństwa?

— Oczywiście, że chciała mieć dziecko.

Haaf zamierzał pociągnąć ten wątek, ale się rozmyślił.

— Nie mówi mi pan wszystkiego, Herr Haaf — odparł Berg.

— To nie jest czas na dyskrecję. Musimy jak najszybciej postawić za bójcę pana siostry przed obliczem sprawiedliwości. Jakie są pańskie przemyślenia na ten temat? Haaf pokręcił głową.

— Może jej małżeństwo nie było szczęśliwe? — zasugerował Berg.

— To jest osobista sprawa, inspektorze.

—Tak, ale może mieć związek z tą zbrodnią. Chce się pan dowiedzieć, co się stało, prawda?

—Oczywiście. — Haaf oblizał wargi. — Co mam powiedzieć? Obaj ojcowie byli zadowoleni z tego małżeństwa. Anton jest dżentelmenem. Wygląda całkiem znośnie, ma nienaganne maniery.

— Ale...

— Anton to porządny człowiek i doskonale dba o moją siostrę, ale nawet na tle burżuazji z naszego regionu wyróżnia się sztywniactwem. Absyntent. Nawet piwa nie pije. Ma skrajnie konserwatywne poglądy polityczne. Z kolei moja siostra... — Berg czekał na dalszy ciąg. — Moja siostra jest postępową, bardzo nowoczesną, obdarzoną wielką wrażliwością społeczną.

—Socjaldemokratka?

—Raczej...

—Komunistka? — podpowiedział mu Berg. Haaf odwrócił wzrok.

— Odwiedzała mnie, kiedy studiowałem w Berlinie. Śmiała się jak szalona i umiała dotrzymać kroku w picciu moim najbardziej zaprawionym w bojach kolegom. Teraz ma zupełnie inne życie — piękny ptak w złotej klatce. Gdyby ktoś otworzył drzwiczki, to moim zdaniem jest całkiem możliwe, że by wyfrunęła.

— A... Inny mężczyzna w jej życiu?

—Nie sugeruję, że tak jest. Ale wiem, że uwielbiała teatr, a Anton nie. Ich mieszkanie jest niedaleko od Schwabing.

—I poszłaby sama na wieczorny spektakl? Przy tym wszystkim, co się dzieje?

—Z drugiej strony w nocy łatwiej się przemknąć niezauważonym. — Haaf zwiesił smutno głowę. — Ale chyba nie tym razem.

— Nie widział pan się z nią wczoraj wieczorem?

Pokręcił głową.

—Nie, inspektorze. I bardzo tego żałuję.

—Sprawdzimy teatry. Może ktoś ją zapamiętał. Taka piękna kobieta, i to sama, nietrudno zapamiętać. — Berg zastanowił się chwilę. — Ale może nie była sama. — Haaf milczał. — W każdym razie mam jej ślubne zdjęcie.

—A, to strasznie sztywne i upozowane. Proszę zaczekać.

Haaf wyszedł z oranżerii. Berg zerkał na ciasta. Szczególnie smakowicie wyglądał strudel, z jabłkami i rodzynkami sterczącymi ze skorupki ciasta. Z najwyższym trudem powstrzymał się przed zjedzeniem kawałka owocu. Po chwili wrócił Haaf z fotografią w ręce.

— Jeden z moich znajomych eksperymentuje z fotografią. Sądzę, że to zdjęcie oddaje nie tylko urodę, ale i charakter.

I rzeczywiście. Błyszczące oczy pałały pośród anielskiej twarzy. Gęste włosy spływały po długiej szyi na gołe ramiona. Ponieważ zdjęcie kończyło się tuż poniżej szyi, można sobie było wyobrazić, że Anna jest naga, a nie ubrana w bluzkę bez ramionek.

—Dziękuję — powiedział Berg. — Przyda się.

—Chcę je dostać z powrotem.

—Oczywiście. — Włożył zdjęcie do kieszeni płaszcza. — Teraz czeka mnie ciężkie zadanie przekazania tragicznej nowiny pańskiemu ojcu.

—Pójdę z panem.

—Jest pan pewien?

—W takiej chwili ojciec musi mieć przy sobie kogoś, kto wesprze go na duchu.

—Ma pan słuszość. Jak daleko jest do banku?

—Pięć minut samochodem.

—Nie mam samochodu — poinformował go Berg.

—To weźmiemy mój. Jest zaparkowany na zewnątrz. Zawołam kogoś ze służby, żeby pokręcił korbką.

—Jeśli pan pozwoli, skorzystałbym z telefonu... O ile macie telefon.

—Oczywiście.

—Chciałbym zadzwonić do *Herr Kommissar Volkera*. Z szacunku dla rangi społecznej pańskiego ojca Herr Volker chciałby być obecny, kiedy prześlemy wiadomość Herr Haafowi.

— Nie ma problemu. Proszę chwilę zaczekać, ja wszystko zorganizuję. I proszę się częstować.

— Dziękuję.

Po wyjściu Haafa Berg znowu tęsknym okiem spojrzał na ciasta. Zagryzł wargę, strzepnął ze stołu trochę okruszków, po czym zwilżonym palcem podniósł kilka ziarenek cukru i zlizął końcem języka.

„Co się stało, to się nie odstanie”. Ręka podkradała się do talerza ze smakołykami. „Życie jest kruche”.

Wziął do ręki kawałek strudla i odgryzł spory kęs.

TLR

Rozdział siódmy

Przechodnie rozstepowali się przed błyszczącym czarnym BMW, bo tak wspaniałej maszynie należał się szacunek. Jazda była hałaśliwa, ponieważ silnik głośno warczał. W Monachium postęp mierzył się w decybelach, aczkolwiek głównym źródłem hałasu wciąż pozostawały ludzkie struny głosowe — używane podczas nieustannych parad umundurowanych członków partii politycznych albo pijackich nasiadówek w piwiarniach.

Oglądając swoje miasto, które przesuwało się za boczną szybą, Berg podziwiał jego urodę: wijące się brzegi Izary, zielone parki, ozdobne mosty, wysadzone drzewami bulwary, majestatyczna architektura, bliźniacze kopuły Frauenkirche sterczące nad starym miastem. Chociaż fabryki oznaczały miejsca pracy i pieniądze, Berg miał nadzieję, że Monachium nie upodobni się do miast zagłębia węglowego, szarpanych spazmami choroby przemysłowej, ponurych i szarych.

Południowoniemiecki Bank Ludowy mieścił się przy Leopold Strasse, za miejską biblioteką, kawałek na północ od Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana — prywatnej enklawy akademickiej ufundowanej przez monarchię, lecz teraz zarządzanej przez miasto. Krążyły pogłoski, że wielu profesorów i studentów należy do okultystycznego pravicowego stowarzyszenia Thüle i popiera Hitlera. Kiedy po stronie dyktatora stają ludzie wykształceni, zawsze są powody do zmartwienia. Berg nie miał jednak czasu na rozmyślanie o polityce. Były pilniejsze sprawy.

Gmach banku, podobnie jak sąsiednie, miał pięć pięter, z kasami na parterze. Volker już się zjawił, stał na chodniku i niecierpliwie spoglądał na zegarek. Haaf junior zaparkował samochód między wózkiem z kiełbaskami a stadkiem rowerów. Wysiedli i Berg od razu zauważył, że Volker wygląda niechlujnie. Płaszcz był pomięty na plecach, rondo kapelusza nie tak idealnie gładkie jak zazwyczaj, buty zabłocone. U Martina Volkera te drobne niedociągnięcia rzucały się w oczy. Berg dokonał prezentacji i Volker zło-

żył kondolencje Franzowi Haafowi. Ten ostatni skinął głową z powagą i otworzył drzwi do banku.

Jeśli wskaźnikiem sukcesu banku jest liczba klientów, to tutaj z pewnością można było mówić o sukcesie. Okularnicy w trzyczęściowych garniturach z płaszczami przewieszonymi przez ramię tudzież kilka eleganckich pań w kapeluszach przystrojonych piórami cierpliwie stało w czterech kolejkach do kas. Szykownie odziani, kompetentni pracownicy siedzieli w żelaznych klatkach z wolutami. Sala była bogato urządzona: marmurowe posadzki i żłobkowane kolumny doryckie wspierające belki nośne, które bieły wzdłuż płaskorzeźbionego drewnianego stropu. Na ścianach wisiały portrety korpulentnych burżujów, dawnych prezesów banków, z nobliwą tarczą herbową Haafów na wszystkich obrazach.

Młody Haaf szybko przeprowadził Berga i Volkera do labiryntu służbowych pomieszczeń. Haaf ojciec miał młodego sekretarza ze ściągniętymi rysami twarzy i skwaszoną miną. Sekretarz spojrział na Franza karcącym wzrokiem i nosowym głosem poinformował go, że pan prezes jest na ważnym spotkaniu z ważnymi finansistami bawarskimi.

—Pański ojciec prosił, żeby pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzać.

—To jest sytuacja wyjątkowa, Wilhelm. Niech pan go zawiadomi, że muszę z nim natychmiast porozmawiać.

Wilhelm zmarszczył nos.

—Polecił mi, żebym mu nie przeszkadzał, Herr Franz. Niech pan sam mu to powie.

—Jest pan jego sekretarzem. To należy do pańskich obowiązków.

—Nie w sytuacji, kiedy jest na spotkaniu i polecił mi, żebym mu nie przeszkadzał.

—Och, na litość boską—interweniował Berg. — Ja mu powiem.

Haaf zatrzymał Berga i wbił wzrok w upartego młodego człowieka.

— Jeśli pan natychmiast do niego nie pójdzie, pożegna się pan z posadą.

— Wątpię — prychnął Wilhelm.

Ale wstał, zapukał do drzwi sąsiedniego gabinetu i wszedł do środka.

—Co za smarkacz! — wściekał się Franz. Volker zdjął rękawiczki.

—Rzeczywiście. Powinien pan donieść na niego ojcu.

—Zrobię to, ale w bardziej stosownej chwili. — Oczy młodego Haafa zaszyły mgiełką. — Nie wiem, czy potrafię powiedzieć mu o tym, co się stało.

—My się tym zajmiemy, Herr Haaf.

W głosie Volkera nie było ani śladu współczucia.

Wilhelm powrócił ze starszym Haafem za plecami. Kurt Haaf był wysoki i chudy jak szkielec. Pięknie skrojony garnitur zwisał mu z ramion, co wskazywało, że pan prezes ważył kiedyś więcej. Twarz miał wychudzoną, oczy zapadnięte.

—*Grüss Gott*. — Stuknął obcasami. — Kurt Haaf melduje się na rozkaz. Mam ważne spotkanie. Co to za sprawa, która nie mogła poczekać godzinę?

—Tato — powiedział Franz. — Usiądź...

—Nie chcę siadać! Chcę wrócić do pracy. Ktoś musi zarabiać pieniądze. Jeśli chodzi o kolejny dług hazardowy, to nie chcę o tym słyszeć, Franz! To nie moja sprawa.

Na policzkach Franza wykwitły symetryczne różowe plamy.

—Chodzi o Annę.

—O Annę? — Bankier zrobił zaskoczoną minę. — Co takiego tym razem zbroiła?

Franz przeniósł błagalne spojrzenie na Volkera, a potem na Berga.

—Jestem *Polizei Inspektor* Axel Berg, Herr Haaf. To mój przełożony, *Erster Kriminal Hauptkommissar* Martin Volker...

—Tak, tak. — Haaf spojrział na Volkera. — Mieliliśmy okazję się poznać.

—W istocie, Herr Haaf— odparł Volker. — W domu *Polizei Kriminal Direktor**¹⁶ Maxa Brummera. To jeden z powodów, dla których przyszedłem tutaj osobiście. Jak również z szacunku dla pańskiej rangi społecznej. Obawiam się, że mamy dla pana straszną wiadomość.

Berg poczuł, że mięśnie jego twarzy się napięły. Oczy Kurta Haafa pociemniały.

¹⁶ * *Polizei Kriminal Direktor* (niem.) — dyrektor policji kryminalnej.

— Jaka?

Volker skinął na Berga.

„Drań!”, pomyślał Berg i skierował spojrzenie trochę ponad ramię Herr Haafa.

— Dzisiejszego ranka wezwano policję do Englischer Garten. Znalaziono ciało kobiety. Mamy powody sądzić, że ta kobieta... — Przełknął ślinę. — Mamy powody sądzić, że ta kobieta to pańska cór...

Haaf chwycił się za serce i poleciał do przodu. Volker złapał go za prawe ramię, a Berg za lewe, jednocześnie prosząc Franza, żeby przyniósł ojcu whisky. Wilhelm, który stał jak sparaliżowany, próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wyszły tylko nieartykułowane dźwięki.

— Rusz się! — Volker zepchnął młodego sekretarza z drogi. Kurt Haaf został powoli opuszczony na krzesło Wilhelma.

Franz wrócił z bursztynowym płynem w kieliszku do wódki. Kurt wypił whisky, zakrztusił się i zatrzepotał rękami na znak, że nie potrzebuje pomocy.

— Idź i powiedz im — rozkazał Wilhelmowi — że stało się coś ważnego. Wróć do nich za pięć, góra dziesięć minut. Poczęstuj ich cygarami — tymi z Hawany — i powiedz im, żeby sobie zrobili *Zigarettenpause**¹⁷.

Franz patrzył na ojca z niedowierzaniem.

— Tato, powinniśmy ich odesłać do domu.

Kurt zlekceważył syna i szepnął do Wilhelma wściekłym tonem:

— Idź!

Młody sekretarz zniknął za drzwiami. Berg skorzystał z chwili

¹⁷ * *Zigarettenpause* (niem.) — przerwa na papierosa.

lowej przerwy, by rozejrzeć się po wyłożonym boazerią gabinecie sekretarza. Biurko było małe, ale nowoczesne, zrobione z jasnego jesionu i ozdobione mahoniem. Na zasłanym papierami blacie stał piękny, złożony zestaw biurowy w stylu egipskim, inkrustowany macicą perłową. W rogu tykał dziewiętnastowieczny zegar szafkowy.

Twarz Kurta była teraz purpurowa, a na czole kroplił się pot.

—Pański zięć dał mi zdjęcie... pański syn również. — Berg patrzył na czubki butów. Potem spojrzał starszemu panu w oczy. — To jest ta sama kobieta.

—Chciałbym sam się o tym przekonać — powiedział Haaf łamiącym się głosem. — Kiedy mogę dokonać identyfikacji?

—Herr Haaf— wkroczył Volker — chcemy pójść panu na rękę w tych trudnych dla pana chwilach. Ale najpierw chcielibyśmy doprowadzić ciało do porządku.

Kurt skinął głową, a potem znowu chwycił się za serce.

—*Mein Gott!* — krzyknął Franz. — Wezwę doktora Wiessa.

—Nie potrzebuję żadnego doktora! Mówi pan, że znaleźliście jej ciało dzisiaj rano? — spytał Berga.

Inspektor przytaknął ruchem głowy.

Kurt wyjął z kieszeni zegarek, otworzył, sprawdził godzinę i zamknął ze stuknięciem.

—Czyli nie została napadnięta w domu?

—Istnieje możliwość, że ją... że zgon nastąpił w domu, a potem przeniesiono ciało do parku, ale w takim wypadku nie mamy żadnych podejrzanych.

—A co z Antonem? — zasugerował Kurt. — Przecież on był w domu.

Franz spojrzał na ojca takim wzrokiem, jakby ten użył jakiegoś obcego języka.

—Bądź poważny, tato. Anton ma za mało odwagi, żeby nastąpić na gąsienicę.

—Bo sam jest robakiem. Robakiem i Żydem...

—Przecież zaakceptowałeś ich małżeństwo, ojcze!

— Zaakceptowałem pieniądze, ale nie tego lisa. — Haaf senior ze świąstem wypuścił powietrze. — Rozrzutny styl życia twojej siostry wymagał niemałej fortuny. A żydowska fortuna jest równie dobra jak każda inna. Franz przewrócił oczami.

—Wybaczcie mojemu ojcu. Przemawia przez niego wzburzenie.

—Nic przeze mnie nie przemawia! — zaprotestował starszy Haaf. Tym razem zdołał wstać. — Ich małżeństwo było fikcją. Nieustannie się kłócili.

— Ojczy! To nie są sprawy dla policji!

— Nie bądź idiotą, Franz! — Na twarzy Haafa wykwitł niezdrowy rumieniec. — Odkąd się wprowadziła do jego domu, były same konflikty.

— O co się kłócili? — spytał komisarza.

— Łatwiej byłoby powiedzieć, o co się nie kłócili. O pieniądze, religię, politykę, znajomych, co zjeść na kolację. Jediną pozytywną cechą Antona jest jego nieomylny zmysł do interesów. Oni się z tym rodzą. I proszę mi nie mówić, że gadam jak jeden z popleczników Hitlera. Nie we wszystkim się z nim zgadzam, ale nie cała jego retoryka jest bzdurą. — Jego oczy miały pociskami w stronę Berga. — Ten Żyd nie umiał nawet jej zapłodnić!

Franz pokręcił głową jak ojciec, który z trudem znosi wybryki niesfor- nego dziecka.

— Bogiem a prawdą, Herr Haaf — powiedział Berg — była w ciąży.

—Zapewniam pana, że nie za jego sprawą!

—Ojczy! — oburzył się Franz.

— Wie pan na pewno, że to nie było jego dziecko, Herr Haaf? — zapytał Berg.

Haaf prychnął coś niezrozumiałego.

— Nie, nie wiem tego na pewno. — Wyjął z kieszeni chusteczkę i osuszył twarz. — Ale jeśli to nie było jego dziecko, to może taki był powód jej...

— Zgonu — dokończył za niego Berg. Haaf pokiwał w powietrzu palcem.

— W tym robaku coś pękło. Rozgniewał się. Podczas kolejnej kłótni stracił panowanie nad sobą. Jeśli był pan w jego w domu, to wie pan, że znajduje się o rzut kamieniem od Garten. — Dźgnął Berga w klatkę pier-

siową. — Aresztujcie go! Wyduście z niego przyznanie się do winy! To słabeusz. Szybko się ugnie.

Wrócił Wilhelm.

— Panowie czekają na pański powrót, Herr Haaf.

— Jeszcze chwila. Daj mi swoją chusteczkę, Wilhelm. U ciebie marnuje się jako ozdoba, a ja jej naprawdę potrzebuję!

Młody sekretarz zawahał się, ale wykonał polecenie. Starzec wytarł mokre od potu czoło.

—Zanieś im coś do przegryzienia. Preclę, kielbasę, musztardę i ciemne Löwenbräu. To im da jakieś zajęcie, a ja się przez ten czas uspokoję.

—Tak jest. Lepiej się pan czuje, Herr Haaf? — martwił się sekretarz.

—Lepiej? Ani trochę!

Odprawił go, machając chusteczką. Wilhelm znowu zniknął, a Haaf zwrócił się do Berga.

—Będzie mnie pan informował o postępach śledztwa.

—Oczywiście, Herr Haaf.

—Co z Antonem?

—Może należy mu się jeszcze jedna wizyta — powiedział Berg.

—Jasne, że należy mu się jeszcze jedna wizyta!

—Zadbam o to, Herr Haaf — zapewnił go. Volker.

—Mam nadzieję, *Herr Kommissar*. Poświęciłem panom mnóstwo mojego cennego czasu. Nie chciałbym, żeby to był czas zmarnowany. — Zaczepnął głęboko tchu i wypuścił powietrze. — Kiedy mogę ją... zobaczyć?

—Dzisiaj po południu, za jakieś trzy godziny. — Volker zastanowił się chwilę. — Powiedzmy o drugiej?

Starszy pan pokręcił głową.

—Mam inne spotkanie. Może ty pójdziesz za mnie i dokonasz identyfikacji, Franz?

—Oczywiście, tato.

Starzec położył kościstą dłoń na ramieniu syna, a potem zwiesił głowę i zacisnął powieki.

— Powinniśmy obaj dziękować Bogu, że matki nie ma już z nami i nie musi przeżywać tej tragedii, co?

Franz skinął głową. Berg milczał. Żeby dziękować Bogu za coś tak strasznego?

TLR

Rozdział ósmy

Po wyjściu na zewnątrz Berg poczuł się tak, jakby z serca spadł mu olbrzymi kamień. Pod dachem smutek jeszcze bardziej ciąży. Wciągnął głęboko powietrze, a potem powoli wypuścił, dostrajając oddech do rytmu miasta. Zerknął na swoich kompanów. Haaf miał poważną, a Volker roz-targnioną minę. *Kommissar* poprawił kapelusz.

—Pogląd pańskiego ojca na zięcia jest całkiem interesujący, Herr Haaf.

—Mój ojciec się ośmiesza — prychnął Haaf. — Anton wielbił Annę. Nigdy by jej nie skrzywdził.

—Uwielbienie połączone z nagłym odkryciem zdrady może uruchomić irracjonalne działania.

— Nonsens! — upierał się Haaf. Volker wciąż nie był przekonany.

—Nawet jeśli pański ojciec mówił, co mu ślina na język przyniosła, żeby uporać się z szokiem, to moim zdaniem konieczna jest jeszcze jedna wizyta u pańskiego szwagra. — Volker podniósł kołnierz płaszcza. — Zostawiam to inspektorowi Bergowi. A my spotkamy się na komendzie przy Ett Strasse o trzynastej trzydzieści. — Haaf zrobił zdezorientowaną minę. — Na identyfikację.

—A, tak, oczywiście. Dziękuję, że pan mi towarzyszył.

—Jak mógłbym postąpić inaczej? — Szef skinął głową do Berga. — A teraz zostawiam panów. *Auf Wiederschau'n**¹⁸.

—*Auf Wiederschau 'n* — wybąkał Haaf.

Volker podszedł do swojego mercedesa, wsiadł i odjechał w kłębach czarnego dymu.

—Ekstrawagancja, żeby policjant miał samochód, co? I to tuki imponujący. — Haaf schował ręce do kieszeni płaszcza. — Chodzi w droгим ubraniu. Stać go na to za urzędniczą pensję?

—Może pan go o to zapytać.

¹⁸ * *Auf Wiedersehau 'n* (niem.) — w dialekcie południowoniemieckim: do widzenia.

—Ja pytam pana.

—Nie wiem, Herr Haaf. Nigdy z nim nie rozmawiałem na tematy finansowe.

—Pański zwierzchnik ma swój styl.

—*Kommissar* jest jedyny w swoim rodzaju.

—Co pan mówi bez cienia ironii.

—Tak, po prostu stwierdzam fakt.

—Hm. — Haaf wyjął papierośnicę, wsunął papierosa między wargi, zapalił i wydmuchał gęsty kłęb dymu. — Co dalej?

Berg odruchowo spojrział na papierośnicę. Angielski tekst. Tytoń ze Stanów był drogi.

—O, przepraszam. — Haaf poczęstował go papierosem. — Ależ proszę. Nalegam. — Berg wziął papierosa, a Haaf podał ogień. — A więc spotka się pan ponownie z Antonem?

—Sądzę, że tak. Czy Herr Gross i pańska siostra kłócili się tak często, jak twierdzi pański ojciec?

—A pan nie kłóci się z żoną?

—Moja żona żyje. Czy Anna zwierzała się panu, że jest niezadowolona ze swego małżeństwa?

—Owszem, czuła się sfrustrowana. Ale było między nimi uczucie. Wiele razy widziałem, jak uśmiechali się do siebie flirtując I było to szczere.

Berg zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym.

—Mimo to chciałbym usłyszeć, jak pański szwagier zapatrywał się na swoje małżeństwo.

—Na pewno panu powie, że idealnie się dobrali, że nie było żadnych problemów.

—To będę wiedział, że kłamie. W małżeństwie zawsze są problemy. I mamy też kwestię ciąży Anny. Jeśli nie on był ojcem dziecka, mógł to być motyw zabójstwa.

— Przez mojego ojca przemawiał gniew, uprzedzenia i szok. Nie wierzę, żeby Anton maczał w tym palce. Oczywiście może pan go przesłuchać, ale wątpię, żeby mój szwagier źle się wyrażał o mojej siostrze albo mówił,

że był niezadowolony ze swego małżeństwa. A już na pewno nie w jego obecnym stanie ducha.

Brzmiało to rozsądnie. Pograżony w rozpacz Gross na pewno nie powie o swojej żonie złego słowa. Przez następne kilka miesięcy przypuszczalnie ją kanonizuje.

—Chciałbym również pokazać fotografię Anny, którą od pana dostałem, właścicielom teatrów w Schwabing, żeby sprawdzić, czy pańska siostra była tam wczoraj wieczorem.

—To bardziej sensowne niż gnębienie biednego Antona — powiedział Haaf. — Życzy pan sobie, żebym go gdzieś podrzucił?

—Dziękuję, Herr Haaf. Papieros i krótki spacer pomogą mi uporządkować myśli.

—Gdyby chciał pan przekąsić coś szybko, przy Türken Strasse jest bardzo dobra piekarnia. Kulms, blisko Komödien Theater.

— Dziękuję za rekomendację.

— W takim razie opuszczę pana. — Nieznacznym ukłonem. — *Auf Wiederchau'n.*

— *Auf Wiederchau'n.*

Berg patrzył, jak młody człowiek obraca się na pięcie i odchodzi, a potem szepnął: *Pfueti*. Było to utarte bawarskie pożegnanie, skrót od *Behüt dich Gott* — „Niech Bóg cię strzeże”. Tym razem Berg dokładnie to chciał powiedzieć na pożegnanie.

*

Berg przeszedł paręset metrów wzdłuż Leopold Strasse, po czym skręcił w prawo w Franz Joseph Strasse, która prowadziła do Schwabing, artystyczno-intelektualnego serca miasta. Dzielnica zwana monachijskim Montmartre nadal tętniła życiem, aczkolwiek z upływem dekady blask jej świetności nieco przygasł. Kiedyś nie był niczym niezwykłym widok Kandinsky'ego pijącego kawę z Brechtem albo Lenina toczącego ożywioną dyskusję z Trockim pod jedną z wielu licznych rosyjskich herbaciarni, które leżały u źródła określenia Schwabing Soviet.

Kiedyś znaczyło w tym przypadku bardzo dawno.

Roilo się tutaj od kawiarni ze stolikami na chodnikach, z niebiesko-białymi flagami państwowymi, jak również najróżniejszymi proporczykami. Mimo zimowej pory przy stolikach na zewnątrz siedziało mnóstwo ludzi, paląc papierosy i pijąc grzane piwo lub wino, a jednocześnie grając w karty lub szachy. Berg co kilka kroków mijał jakiś Kabarett, tawernę, piwiarnię albo restaurację z najnowszą włoską kuchnią — bieżący trend zapoczątkowany przez Osteria Bavaria.

Boczne ulice były zabudowane kamienicami mieszkalnymi, dostojnymi, lecz funkcjonalnymi — uproszczona architektura odchodziła od srogiego stylu budynków państwowych z ich ciężkimi gotyckimi fasadami. Były to rezydencje burżuazji — lekarzy, prawników i przedsiębiorców, protestantów i bogatych Żydów. Jakiś czas temu Berg rozważał przeprowadzkę do Schwabing, dzielnicy położonej blisko Englischer Garten i pełnej wielu atrakcji dla dzieci. Britta obawiała się jednak, że nie wszystkie te atrakcje będą dla nich odpowiednie i Berg z niechęcią przyznał jej rację. Nieraz mijał plakaty ze skapo odzianymi bokserami płci żeńskiej albo z Josephine Baker w jej słynnej spódniczce ze skórek banana. Ponieważ nie pozwolono jej zatańczyć w Monachium, stała się ikoną, postacią ważniejszą, niż na to zasługiwała.

Berg wyjął z kieszeni notatnik i naszkicował plan sytuacyjny okolicy. Potem rutynowa procedura: sprawdzić lokal po lokalu i odfajkowały kolejne tawerny, piwiarnie, kawiarnie i kabarety.

„Widział/a pan/i kiedyś tę kobietę?”

Zaprzeczenie ruchem głowy albo krótkie: *Nein, es tut mir leid* — „Nie, przykro mi”. Te same odpowiedzi od właścicieli i klientów, mężczyzn i kobiet. Nikt z ulicznych sprzedawców nie rozpoznał Anny Gross, także chłopcy sprzedający gazety nie przypominali sobie jej twarzy.

Cóż za tajemnicza pani! Jeśli wykradała się z domu na nocne igraszki, to robiła to bardzo dyskretnie.

Minęła godzina i wciąż żadnych rezultatów. Dochodziła pierwsza i pusty żołądek Berga zaczął się buntować. Może Ulrich i Georg znaleźli jakieś istotne wskazówki na miejscu zdarzenia. Znacznie lepiej będzie omówić z

nimi przy lunchu inne możliwości, niż ciągnąć te bezowocne poszukiwania. Postanowił wrócić na komendę.

Po drodze mijał mały teatr. Przybytek ten reklamował szyld złożony z uśmiechniętej maski komediowej pomalowanej na złoto i butelek szampana chlustających musującym trunkiem pod różnymi kątami. Czarne litery obwieszczały: „Das Spielhaus*¹⁹: Kabarett und Komödie". Berg przebiegł wzrokiem po afiszu. Teatr specjalizował się w satyrycznych skeczach wyśmiewających kapitalizm i konserwatywne Monachium, symbolizowane na plakacie przez spasionego burżuja z monoklem powiększającym jego zachwycone oko, które spoglądało na sterty marek. Wiele monachijskich teatrów miało ściśle określoną linię repertuarową, dostosowaną do konkretnej grupy widzów. Ponieważ Anna Gross flirtowała kiedyś z komunizmem, Berg uznał, że jego żołądek jeszcze trochę wytrzyma, a on podejmie ostatnią próbę. Zastukał do drzwi i usłyszał zza nich poirytowany męski głos. Po chwili rozległ się szcęk zasuwy i drzwi się otworzyły.

Młody człowiek był chorobliwie chudy i ziemisty. Oczy miał jasnoniebieskie, a obcięte na jeża włosy prawie białe. Czarny sweter nie dosięgał do spodni, dzięki czemu Berg mógł zobaczyć sterczącą kość biodrową.

Brwi do góry. Ciężkie westchnienie.

—Znowu! — poskarżył się mężczyzna.

—Słucham?

—Pan jest z policji.

—Zgadza się.

— Wszystkie licencje mamy w porządku. Czemu ciągle się nas czepiacie, skoro naziści regularnie rzucają nam cegłami w okna? Czy nie ma choć jednego policjanta, który nie byłby członkiem NSDAP?

— Ja nie jestem — odparł Berg.

— Naprawdę? To niech pan się na coś przyda i pójdzie zaaresztować jakiegoś nazistę.

¹⁹ * *Spielhaus* (niem.) — dom zabawy, uciechy.

— Niech pan uważa na to, co pan mówi, *mein Herr* — skarcił go Berg ze zmrużonymi oczami. — Taka impertynencja wo-bec władzy może panu przysporzyć kłopotów.

Młody człowiek przebiegł palcami przez ściernisko na swojej głowic.

—Chce pan zobaczyć nasze licencje? Berg ruszył w stronę progu.

—Porozmawiajmy w środku.

Upłynęło kilka chwil, zanim jego oczy oswoiły się z półmrokiem — przez zakurzone okna holu przedostawało się bardzo niewiele światła. Pod jedną ze ścian stał lustrzany barek reklamujący absynt i papierosy. Naprzeciwko niego ciągnęła się tapicerowana aksamitem ława. W ścianie na końcu znajdowało się dwoje drzwi — *Eingang*^{*20} i *Ausgang*^{*21}. Drewniana podłoga była mocno pokieroszowana obcasami i przydałoby się jej mycie. Hol był wyposażony w oświetlenie elektryczne, ale ktoś postanowił z niego nie skorzystać.

—Jak już mówiłem, wszystkie nasze licencje są w porządku.

—Nie interesują mnie wasze licencje. Jak pan się nazywa?

— Gerhart Leit. — Nieufność w jasnoniebieskich oczkach. — Czego pan chce?

— Cierpliwość, Herr Leit, nie jest pańską cnotą, prawda? Leit milczał, utkwivszy wzrok w jakimś odległym punkcie.

Berg wyjął z kieszeni zdjęcie Anny i pokazał mu.

— Zna pan tę kobietę?

Oczy Leita powoli skierowały się na fotografię i zareagowały, ale bardzo nieznacznie.

—Nie znam jej — odpowiedział.

—Ale widział pan ją, tak?

—Widuję mnóstwo ludzi.

—Tak czy nie? Widział pan ją kiedyś?

—Być może.

²⁰ * *Eingang* (niem.) — wejście.

²¹ * *Ausgang* (niem.) — wyjście.

— A mógł pan ją widzieć wczoraj wieczorem?

— A co? Ma jakieś kłopoty? Uciążliwy typ.

— Już nie. Nie żyje.

Leit oparł się bezwładnie o barek i zasłonił usta dłonią.

—*Mein Gott!* Nie żyje?

—Tak.

—Morderstwo?

Berg puścił to pytanie mimo uszu.

— Bywała w waszym teatrze? — Leit skinął głową. — A wczoraj wieczorem?

Leit odwrócił wzrok.

— Co się stało?

— Dziś rano znaleziono jej ciało w krzakach w Englischer Garten. Może pan ma jakąś teorię?

— Ja?! — zawołał Leit, wyraźnie zbulwersowany.

— Zawsze mnie intryguje, skąd wy, ludzie teatru, bierzecie swoje historie. Jak by pan to napisał?

— Ja piszę satyrę, *Herr Inspektor*, a nie ponure dramaty o martwych kobietach.

—Ale co twórca, to twórca. Niech pan spróbuje, Herr Leit. Oczy Leita spoczęły na twarzy Berga.

—Nie wiedziałbym, od czego zacząć!

—Może pan zacząć od jej wyglądu zewnętrznego. Jak wyglądała wczoraj wieczorem? Co miała na sobie?

—To akurat łatwe. Zapamiętałem ją, bo była bardzo ładna i rozkosznie się śmiała. Miała na sobie piękną czarną suknię, która kołysała się przy chodzeniu... nowoczesny krój... dłuższa z tyłu niż z przodu. Czarne buty... chyba satynowe. Wachlarz z piór.

—Czyli dokładnie ją pan zapamiętał.

—Pamiętam wachlarz, bo sporo go wczoraj używała, i to nie tylko dla zadania szyku. Było gorąco... sala nabita. Spektakl był bardzo udany. Nadal

jest sporo idealistów, którzy sprzeciwiają się temu szowinistycznemu szaleństwu.

Opis Leita brzmiał wiarygodnie ze względu na swoją szczegółowość. Berg wyjął notatnik.

—A płaszcz?

—Płaszcz nie widziałem, ale na pewno go zdjęła po wejściu do środka.

— Piła coś? — spytał Berg, pokazując na barek.

— Pamiętam tylko, że miała w ręku kufel piwa. Jej towarzysz zamówił absynt.

— A, towarzysz. Proszę mi o nim opowiedzieć.

— Wysoki, wykwintny, gładki jak berlińczyk. Wie pan, elegancko ubrany i szarmancki. W typie tego marszanda Putziego Hanfstaengla.

— Ale nie on sam? Leit prychnął śmiechem.

—Jakby nazista ośmielił się wejść tutaj w innym celu niż po to, żeby zdemolować lokal. Po co miałyby tu przychodzić?

—Żeby posłuchać piosenek kabaretowych?

—Raczej poszpiewować dla Austriaka. To raczej nie był on.

—Ale nie jest pan pewien?

—Tylko na niego zerknąłem w przelocie. Nie miałem czasu dokładnie mu się przyjrzeć.

Berg przewrócił kartkę notatnika.

—Pan mi go opisze, a ja sporządzę portret pamięciowy. — Narysował owal. — Zaczniemy od kształtu twarzy. — Pociągła czy okrągła?

—Pociągła.

Berg przedłużył owal.

—Kolor oczu?

—Chyba niebieskie.

—Duże, małe, blisko osadzone?

—Nie wiem. Niech pan coś narysuje, a ja skoryguję.

Berg narysował standardowe oczy, standardowy nos i standardowe usta. Po poprawkach Leita miał przed sobą wąsatego mężczyznę o pociągłej twarzy, orlim nosie i cienkich ustach. Wyglądał jakby znajomo, ale przy

rysowaniu człowiek zawsze odwołuje się do zasobów pamięci. Wyszła jedna ciekawa rzecz: Leit przypomniał sobie, że mężczyzna miał monokl i cylinder.

Właściciel kabaretu spojrział na gotowy portret.

— Rysunek przypomina Hanfstaengla, ale to nie był on. Jestem tego pewien. Mężczyzna, którego wczoraj widziałem, był niższy i miał mniej wydatne czoło i podbródek.

—Może jeden z jego braci? — Leit wzruszył ramionami. — Jak Anna i jej towarzysz zachowywali się wobec siebie?

—Nie pokłócili się, jeśli o to panu chodzi. Wręcz przeciwnie, wychodzili pod ramię. Ale oczywiście nie śledziłem ich poza teatrem, bo i po co miałbym to robić?

—Wyglądali na ludzi, którzy dobrze się ze sobą czują?

—Bardzo dobrze, inspektorze. Jako człowiek sentymentalny mogę nawet powiedzieć, że wyglądali na zakochanych.

Rozdział dziewiąty

Nasunął mu się wariant słynnego powiedzenia amerykańskiego prezydenta, Abrahama Lincolna: „Bóg musi kochać głupców, bo strasznie dużo ich stworzył”. Dotykając się dyskretnie w czoło, Volker usiłował zachować spokój i panowanie nad sobą. W końcu *Polizei Kriminal Direktor* Max Brummer i *Polizei Kriminal Kommandant**²² Stefan Roddewig byli jego zwierzchnikami. Ale im dłużej mówili, tym bardziej go denerwowali.

Wypił kolejny łyk piwa i zlizął pianę z ust.

Hans und Franz: dwa matoly bliźniaczo do siebie podobne w swoim wąskim myśleniu. Brummer był głupszy. Zagorzały zwolennik NSDAP, dobry znajomy Hitlera i człowiek zupełnie pozbawiony uroku. Zajadły ksenofob, antysemita i przeciwnik modernizmu w sztuce, który dzieła takich geniuszy jak Klee, Picasso, Dix, Grosz, Kandinsky, Feininger i Marc nazywał zdegenerowanym chłamek. Ta ostatnia wada — całkowity brak gustu estetycznego — była absolutnie niewybaczalna.

Barczysty, z obwisłymi policzkami i niesfornymi kosmykami siwych włosów, Brummer skończył niedawno sześćdziesiąt lat. Swoich konserwatywnych poglądów politycznych nie zaczerpnął od nazistów, lecz od rojalistów, tych anachronicznych stworzeń pielęgnujących w sobie płonne nadzieje, że któregoś dnia Wittelsbachowie przywrócą Bawarię do dawnej — szczerze mówiąc, mitycznej — świetności. Co tam, że od ponad dekady nie było króla, a Monachium nie tylko przeżyło, ale i rozkwitło. Niektórzy mają słaby refleks.

Direktor zręcznie wspinał się po szczeblach kariery w wydziale, najwyższe stanowisko osiągając dzięki układom. Nie miał szczególnie hero-

²² * *Polizei Kriminal Kommandant* (niem.) — komendant policji kryminalnej, podległy dyrektorowi policji kryminalnej.

icznej karty kombatanckiej, ale służył pod odpowiednimi dowódcami. Nie był zbyt inteligentny, ale życie pokazało, że potrafi być bardzo brutalny.

Kommandant Stefan Roddewig stanowił większą zagadkę. Prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, długie ramiona, duże dłonie, urodzony na północy kraju, ale jako dwudziestoparola-tek przeprowadził się do Monachium. Po spędzonej w innym regionie młodości pozostał tylko nieznacznym, ale zauważalnym akcentem, który nadawał jego bawarskiej niemiecczyźnie swoistego uroku. Poza tym tak gruntownie wtopił się w otoczenie, że stał się typowym Bawarczykiem, z wydatnym *Bierbauch* — brzuszkiem od piwa — i rzednącymi włosami, które miały kolor brunatnych pomyj. Trudno było uwierzyć, że ten człowiek nie skończył jeszcze czterdziestu lat. Cechował go spryt wytrawnego policjanta.

Roddewig zrobił błyskawiczną karierę w monachijskiej policji, co dało asumpt do rozmaitych plotek, między innymi takich, że kupował stanowiska za pieniądze. *Kommandant* stłumił te nieprzychylnie głosy, oczyszczając wydział ze swoich wrogów. W tamtym czasie — po zamachu na Kurta Eisnera i nieudanym puczu Hitlera — do najzagorzalszych zwolenników Roddewiga należał Volker, który uważał, że miastu potrzebna jest twarda ręka. Wkrótce stało się oczywiste, że *Kommandant* jest zakochany w swoim stanowisku i związanej z nim władzy. Teraz ledwo się tolerowali i Volker zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzymają.

Dochodziła pierwsza, w piwiarni był tłok i hałas, każdy związek zawodowy, każda partia polityczna, każda *Verein**²³ znakowała zarezerwowany dla siebie stół — *Stammtisch**²⁴ — za pomocą chorągiewki z insygniami. Stołownicy wznosili buńczuczne okrzyki, każda ekipa przekonywała pozostałe, że to ona tu rządzi. Czasami rywalizacja przybierała niesympatyczną postać. Volker badał wzrokiem wszystkich klientów, oddzielając ziarna od plew: kto pomoże, a kto stanie na drodze, kogo należy obserwować, a kogo można zignorować.

²³ * *Verein* (niem.) — grupa, towarzystwo.

²⁴ * *Stammtisch* (niem.) — stały, zarezerwowany dla jakiejś grupy stół.

W głowie iskrzyło mu od bodźców słuchowych. Mówił Max.

— Panika i bezprawie to ostatnia rzecz, której nam potrzeba, Martin — perorował Brummer. — I bez tego panuje zbyt duża destabilizacja.

Volker utkwił spojrzenie w krępym współbiesiadniku.

—Sprawa nie ma jeszcze sześciu godzin, *Direktor*.

—Ale wiesz, że takie historie podsycają w społeczeństwie niepokój.

—Poza kilkoma osobami z rodziny nikt o tym nie wie.

—Martin... — westchnął Roddewig. — Ile czasu potrzeba, żeby gazety się o tym rozpiisały? A wtedy mamy chaos.

—Z nikim o tym nie rozmawiałem, Stefan. — Volker zacisnął dłonie w pięści, a potem powoli rozprostował palce. Złość nic nie pomoże. Spojrzał szefowi prosto w oczy. — Zakładam, że wszyscy inni są równie dyskretni.

Kommandant wyjął papierośnicę i skrył uśmiech za operacją zapalania papierosa.

— Na pewno wiesz lepiej od innych, Martin, że wszędzie są szpiedzy.

Volker wyjął swoją papierośnicę i usiłował ukryć swoją wściekłość na tego drania.

— Jeżeli zachowamy powściągliwość, Stefan, to nie przewiduję masowej hysterii. Poza tym robimy postępy.

— Jakie postępy? — spytał Brummer. Łyk piwa plus westchnienie cierpiętnika.

— Stałe postępy. Nad sprawą pracują moi najlepsi inspektorzy. Nie możemy być pochopni w osądach.

— Dlaczego? — zdziwił się *Direktor*. — To była kurwa! Sąsiedni stół umilkł i wszyscy wytrzeszczyli oczy na Brum-mera. Volker chrząknął znacząco i zniżył głos.

—Całkiem niewykluczone, Stefan, ale nie wiemy tego na pewno — powiedział tonem nauczyciela strofującego swoich uczniów.

—To zmyślcie jakąś historię, Martin — powiedział Brummer. — Puśćcie w obieg informację, że zamordował ją sekretny kochanek, bo rozkraczała się dla kogoś innego. Albo że ten kochanek szantażował ją, chcąc od niej wymusić pieniądze.

— Żadna z tych wersji nie przypadłaby do gustu Herr Haafowi, *meine Herren* — odparł Volker. — Zapomnieliście, że ta kobieta była jego córką? Brummer odstawił swój kufel piwa i wydał wargi.

—Kurt Haaf nie jest już tak majątny jak dawniej, ale nadal pozostaje właścicielem banku. Musimy to uwzględnić. Skandal mógłby się odbić na jego klientach.

—Może trzeba zasugerować, że mordercą jest Anton Gross — podpowiedział Roddewig.

Volker spojrzał na swego zwierzchnika z niedowierzaniem, ale Brummer z entuzjazmem podchwycił tę propozycję.

—Dopiero co nam powiedziałaś, Martin, że Herr Haaf nie cierpi tego żydowskiego psa. Kto będzie po nim płakał?

—Święta racja, Martin — poparł go Stefan. — Kogo to obejdzie, że jeszcze jeden bogaty Żyd zawiśnie na stryczku?

—Policji raczej nie wypada oskarżać ludzi o ciężkie przestępstwa metodą losową — stwierdził Volker. — Dlaczego uparliście się, żeby zamknąć tę sprawę po tak nienaturalnie krótkim czasie?

—Bo ostatnią rzeczą, której potrzebuje to miasto, jest pretekst do wpadnięcia w panikę — odparł *Direktor*. — I to akurat w chwili, kiedy sytuacja zaczęła się trochę uspokajać.

—Nikt nie panikuje — łagodził Volker. „Poza wami dwoma”, pomyślał, a głośno odparł: — Przyrzekam wam, że sprawa nie wymknie się spod kontroli.

„A jak spędziliście wczorajszy wieczór?”, rozmyślał komisarz.

—Skoro Haaf uważa — powiedział Brummer — że śledztwo powinno się skoncentrować na tym parchu, to proponuję, żebyś się nad tym poważnie zastanowił. W końcu wygląda na to, że jego żona puszczała się z innym mężczyzną.

—Dlaczego tak mówisz?

—Jak to dlaczego? — spytał *Kommandant* z ustami pełnymi kiełbasy na gorąco. — Przecież tonęła w spermie.

—Tak, odbyła stosunek, ale nie można wykluczyć, że zrobiła to z mężem — zaprotestował Volker.

— Jej mąż nawet nie wiedział, że wyszła z domu, Martin, a wy znaleźliście ją w sukni wieczorowej i pełną nasienia. Czy może być bardziej ewidentny dowód na zdradę?

— Suknię ktoś mógł na nią włożyć pośmiertnie, Stefan.

—Tylko jej mąż mógłby to zrobić. Może się pokłócili, nerwy puść ily i niechcący ją zabił, a potem spanikował, ubrał w suknię wieczorową i zostawił ciało w parku. Twoja sugestia, że suknię włożono na nią pośmiertnie, wzmacnia moją hipotezę, a nie osłabia.

—Trafna uwaga, Stefan — powiedział Brummer. — A nawet jeśli Herr Gross jej nie zamordował, to jest współwinny śmierci żony, ponieważ nie miał nad nią kontroli. A ponieważ Herr Haaf nie darzy Herr Grossa szczególną sympatią, to jeśli rzucimy podejrzenie na męża ofiary, Herr Haaf będzie usatysfakcjonowany, a miasto się uspokoi.

Volker przewrócił oczami do nieba.

— Chcecie, żebym bez żadnych dowodów oskarżył Antona Grossa o zamordowanie żony? — Spróbował innego argumentu. — Czy Anton Gross nie wspomógł finansowo wystawy policji monachijskiej w Berlinie przed kilku laty? Jak również tutaj, w Monachium? Jeśli mnie pamięć nie myli, burmistrz osobiście mu podziękował.

Brummer ponownie rozważył sytuację i doszedł do wniosku, że zadzieranie z burmistrzem to nie jest dobry pomysł.

—Naszym naczelnym zadaniem jest zapobiec panice. Jestem pewien, że Stefan się ze mną zgodzi.

—Oczywiście. Może nie musimy go aresztować ani stawiać mu zarzutów — myślał na głos Roddewig. — Może wystarczy, że rzucimy podejrzenie, a plotka sama zrobi swoje.

— Stugębna plotka, Stefan? — *Kommandant* wzruszył ramionami. — To wszystko bardzo przedwczesne. Pozwólcie mi trochę popracować nad tą sprawą, zanim podejmiemy takie drastyczne działania.

—A jeśli nic nie wykryjesz? — spytał Brummer.

—Stugębna plotka... — Volker skinął głową do swoich zwierzchników. — Przy odrobinie wysiłku to jest do zrobienia, *Herr Direktor*.

Rozdział dziesiąty

W Monachium były piwiarnie dla turystów i piwiarnie dla miejscowych. Te pierwsze lokowały się na Starym Mieście. Das Kellner-haus, przybytek położony w południowej części Giesing, należał do tej drugiej kategorii. Natychmiast po wejściu do środka Berga spowiła gęsta chmura gorąca, dymu i oparów tłuszczu. Woń smażących się kielbasek i tytoniu mieszała się ze smrodem potu i gazów puszcanych przez hałaśliwy tłum robotników jedzących obiad. Przy takiej frekwencji nawet bez kapeli w piwiarni byłoby głośno. A że dochodziła do tego muzyka, którą raczyła klientów sekcja instrumentów dętych blaszanych plus akordeonista, hałas był ogłuszający. Ludzie nie zważali jednak na to, zadowoleni, że nie marzną, piwo jest tanie, jedzenie smaczne, a atmosfera domowa.

Oczy Berga szybko oswoiły się z półmrokiem. Chociaż okiennice były otwarte, do środka przedostawało się bardzo niewiele popołudniowego światła słonecznego. Wystrój był utrzymany w ciemnej tonacji: ciemna boazeria, ciemne drewniane podłogi, ciemny strop i belki nośne. W Niemczech „Czarny Las” to nie tylko nazwa, ale także styl życia.

Lokal składał się z jednej sali, wypełnionej długimi ławami i stołami na kozłach. Ludzie siedzieli ramie przy ramieniu. Kelnerzy w *Lederhosen* i kelnerki w *Dirndl* nosiły piramidy kufli z piwem i talerzy z jedzeniem. Złana potem obsługa pracowała szybko i sprawnie. Berg od razu zauważył Ulricha i Georga, ale musiał umykać przed rozpędzonymi kelnerami, żeby przedostać się do kolegów od drzwi. W końcu zdołał wcisnąć się za ławę. Na stole stały talerze z wędlinami, serem, chlebem żytnim i preclami. Po paru chwilach pojawił się przed Bergiem kufel piwa.

Berg pociągnął długi haust, po czym krzyknął: — Nie możemy tutaj rozmawiać o sprawach służbowych!

— To najpierw zjedzmy, a potem pogadamy! — odkrzyknął Georg Müller.

Była to rozsądna propozycja. Berg nałożył sobie wędlin i sera, posmarówował kromkę chleba masłem i zaczął jeść, nawet nie rejestrując smaku tego, co połyka. Po kilku minutach spałaszował precla, Nasyciwszy żołądek, małymi łydkami popijał piwo, aż do wyczerpania trzydziestominutowego limitu. Duchota, hałas i smrody rozregulowały jego procesy trawienne. Zapłacił rachunek, wstał i dał sygnał kolegom, żeby poszli za nim.

Na dworze było wietrznie i chłodno, ale siarczysty mróz ustąpił. Kawałek dalej znajdował się placyk, przy którym była kawiarnia z kilkoma stolikami na zewnątrz. Berg pokazał w tamtą stronę.

— Może tam?

— Wtedy będziemy musieli zamówić kawę — protestował Storf.

Berg usiadł.

— Ja stawiam.

— W takim razie nie narzekam. Nie wejdziemy do środka?

— Tutaj będzie bardziej dyskretnie.

Berg rozejrzał się dokoła. Do placyku przylegał niewielki park publiczny. Drzewa wciąż były nagie, ale na rabatach kwiatowych zasadzono już tulipany.

— Wypij coś ciepłego, jeśli ci zimno. Potarł dłonie o siebie.

— Tobie też jest zimno — przypomniał mu Storf. — Należało zaczekać, aż w Kellnerhaus zrobi się puściej.

— Nie ma szans, Ulrich. Tam zawsze jest tłok. Tutaj przynajmniej nie musimy wachać zapachów pierdzenia i bekania — tłumaczył Berg.

— Jeśli lubisz przesiadywać ze zniewieściałymi intelektualistami, Berg — nastroszył się Storf — to idź do Kabarett w Berlinie i popijaj absynt. Monachijska piwiarnia jest przeznaczona dla ludzi z krwi i kości — tych, którzy jedzą, bekają, pierdzą i ruchają.

— Świnie jedzą, bekają, pierdzą i ruchają.

— Być może to tłumaczy, dlaczego jemy tak dużo świniny

— zaśmiał się Müller.

— Nie zaszkodzi czasem wziąć prysznic — powiedział Berg.

— Tak, żeby złapać przeziębienie i wykitować — szydził Storf. — Nie wszyscy mają centralne ogrzewanie.

— Poza tym kto się poci w zimie? — poparł go Müller.

— Mój nos mi mówi, że mnóstwo ludzi poci się w zimie. — Berg postawił kołnierz płaszcza. — Lepiej trochę pomarznąć, niż oddychać wonią ciał i tytoniu.

— Jesteś za delikatny na to miasto — skomentował Storf. — Brunatne koszule cię zjedzą.

— Brunatne koszule to zwykłe pętaki.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego koniecznie chcesz być kosmopolitą. — Storf wzruszył ramionami. — Zadawać się z tego rodzaju ludźmi.

— Chodzi ci o Żydów? — dopytywał Berg.

— Żydów, komunistów, intelektualistów. To wywrotowcy. Przy obecnych nastrojach nie jest dobrze zadawać się z wywrotowcami.

— Uchodzę za wywrotowca, bo nie chcę się przyłączyć do bandy chuliganów...

— Szs... — uciszył go Müller. — Giesing to jego matecznik.

— To dlaczego tutaj przyszliśmy? — naburmuszył się Berg.

— Jest niebezpiecznie, cuchnie śmieciami i końskim łajnem, a Austriak ma swoich szpiegów za każdym rogiem.

— To gdzie mamy pójść, Axel? — spytał Müller. — Nie wszyscy z nas tak korzystnie się ożenili.

— Twój rozwichrzony umysł wyrobił sobie zdecydowanie przesadne wyobrażenie o mojej kondycji finansowej.

— Masz trzypokojowe mieszkanie z kanalizacją, elektrycznością i centralnym ogrzewaniem. Jak dla nas to jest wielki luksus. — Müller nie ustępował.

Berg przewrócił oczami.

— Złożmy zamówienie.

Skinał na kelnerkę, znudzoną, krępej budowy kobietę w niebieskim fartuchu. Zamówił dla wszystkich kawę i talerz ciasteczek.

Storf nie uznał jednak dyskusji za skończoną.

— Czemu koniecznie musisz bronić degeneratów?

— Nie bronię degeneratów, tylko intelektualizm. Nie ma nic zdegenerowanego w tym, że ktoś jest wykształcony.

—Poza tym, że uniwersytety są opanowane przez Żydów.

—Bo są wykształceni.

—Są wywrotowi — zezłościł się Müller. — Skąd twoja sympatia do tych, którzy okradają porządnych niemieckich obywateli, Berg?

—Spytaj go o młodą kobietę o wywrotowych przekonaniach, Georg — powiedział Ulrich pod nosem.

— Ty! — Berg wycelował palcem w Storfa. — Dostyc tego! Ulrich wiedział, że posunął się za daleko. Zasłonił się rękami

w obronnym geście. Uśmiech Müllera rozciągnął się od ucha do ucha.

—Nareszcie mówisz do rzeczy. Takiemu kociakowi trudno się oprzeć, niezależnie od jego przekonań politycznych. Jeśli mi nie powiesz, kto to jest, pójde donieść twojej żonie.

—Nie rzucaj słów na wiatr, Georg — odparł Berg spokojnym tonem. — Znam co najmniej dwie pracujące *Fräulein*^{*25}, które biorą od ciebie pieniądze.

—Widzę, że mamy wspólne kobiety.

—Nie całkiem.

—Tak, to prawda. Ja nie zniżyłbym się do dmuchania Żydówki.

—Może byś się zniżył, gdybyś zobaczył rzeczoną Żydówkę. — Storf wytrzymał miotające piorunami spojrzenie Berga. — Ja cię tylko bronię, inspektorze.

—Oj, Axel, przestań! — powiedział Müller. — Nie stwarzaj wrażenia, że się w niej durzysz. Nie wolno się zakochiwać w kurwach.

—Zwłaszcza w żydowskich wywrotowych kurwach — dodał Storf. — Zanim się obejrzysz, będziesz z nią rozmawiał o rewolucji.

Na szczęście przyszła kelnerka z kawami i ciastkami. Berg wybrał makowe i ugryzł kawałek, zastanawiając się nad tym, jak zakończyć ten idiotyczny spór. Najchętniej dałby im obu po gębie, ale w tych niepewnych czasach lepiej jest ukrywać emocje.

²⁵ * *Fräulein* (niem.) — panna, panny, czasem używane w znaczeniu lekko żartobliwym, kpiącym: panienka, panienki.

—Chronię swoją własność, włączając w to kurwy — powiedział Berg, co przyszło mu z najwyższym trudem. — Zwłaszcza takie młode.

—Tak, kobiety bardzo szybko się wyeksploatowują— stwierdził Storf z lubieżnym uśmiechem. — Ile ona ma lat? Piętnaście? Szesnaście?

—Jesteś obrzydliwy.

Berg zbył go śmiechem, ale tak naprawdę Margot nie była o wiele starsza. Trzy miesiące temu skończyła osiemnaście lat, ale romans trwał już od ponad roku. Berg poczerwieniał. Ukrył swoje zażenowanie za filiżanką kawy.

—Najmłodsza dziewczyna, jaką dupczyłem, to znaczy jako dorosły człowiek, miała trzynaście lat — powiedział Müller. — Cyganka. I nie była dziewicą. Cyganki zaczynają bardzo młodo.

—Jaka była? — spytał Ulrich.

—Ciemna — odparł Müller. — Bardzo ciemna. Ale różowa tam gdzie trzeba: różowa, napęczniała i chętna. Miałem taki okres, że dupczyłem się z wieloma Cygankami. Ale teraz... — Zniżył głos. — Teraz to jest zbyt niebezpieczne. Muszę się zadowalać starymi niemieckimi kurwami, chociaż przyjemność już nie ta sama.

—A dlaczego nie z młodymi niemieckimi kurwami? — spytał Storf.

—Kwestia finansowa — westchnął Müller.

—Która Axela nie dotyczy — dodał Storf.

—A jak wyjaśniłbym żonie, że wydaję pieniądze na kurwy?

—Jestem pewien, że nie rozlicza cię z każdej wydanej marki. — Storf połakomił się na babeczkę z kremem. — Ile cię kosztuje ta twoja młoda?

Berg odwrócił wzrok.

—Papierosy, piwo, czasem jakiś drobny prezent. Typowa taryfa. Czy możemy porozmawiać o Annie Gross? — spytał, gromiąc kolegów wzrokiem.

—Morderstwo przez uduszenie — zaczął Storf.

—Znaleźliście drugi but? — pytał Berg.

—Nie wiedziałem, że mam szukać drugiego buta — zdziwił się Storf.

—Nie znaleźliśmy w pobliżu nic, co mogło do niej należeć — włączył się Müller. — Żadnej odzieży.

—Czyli nie ma drugiego buta?

—Nie.

—Ani płaszcz?

—Ani płaszcz.

—Torebka?

—Nic znaczy nic, Berg.

—Miała w sobie spernę — powiedział Storf. — Profesor Kolb obejrzał ją na miejscu pod mikroskopem. Nie umiem sobie wytłumaczyć, jak ona zdołała wyjść z domu w wieczorowym stroju bez wiedzy męża. Wydaje mi się, że mąż musiał wiedzieć.

—Może się zorientował, dopiero jak wróciła — spekulował Müller. — Przyłapał ją i spytał, gdzie była. Potem ją zabił, zawłókł ciało do parku i zawiadomił policję o jej zaginięciu.

—Trzyma się kupy. Ale co z butem? — zapytał Berg. Koledzy spojrzeli na niego zdziwieni. — Dlaczego jej mąż miałby zdjąć jej but? I płaszcz?

—A dlaczego ktokolwiek miałby zdjąć jej buta? — zripostował Storf.

—Bo są zboczeńcy, którzy kolekcjonują pamiątki po swoich ofiarach — odpowiedział Berg.

—Czytasz za dużo sensacyjnych historii w brukowych czasopismach. Berg wzruszył ramionami.

—Jest świadek, który przypuszczalnie widział Annę wczoraj wieczorem z mężczyzną. Sprawiali wrażenie zakochanych w sobie.

—Skoro tyle żon się łajdaczy, to co się dziwić, że porządni niemieccy mężczyźni szukają pociechy w ramionach innych kobiet? — prychnął Müller.

— Czy możemy się skupić na Annie Gross?

Berg zreferował im swoją rozmowę z Gerhartem Leitern, a następnie pokazał portret pamięciowy tajemniczego towarzysza Anny. Koledzy z uwagą pochyłili się nad rysunkiem.

—Wygląda znajomo, prawda? — powiedział Berg.

—Wygląda jak tysiące ludzi. Berg zgodził się z nim w duchu.

—Odpowiadając na twoje pytanie, Ulrich, jak zdołała się wymknąć bez wiedzy męża: co powiesz na środek nasenny dosypany do wieczornej herbaty lub alkoholu?

—Poza tym, że położyła się do łóżka wcześniej od niego — zaproponował Storf.

—Ale w nim nie została — przypomniał Müller.

—Zaufany sługa mógł coś dorzucić do jego szklanki — stwierdził Berg. — Kiedy Herr Gross zapadł w głęboki sen, ktoś mógł poinformować Annę, że może teraz bezpiecznie wyjść z domu.

—Chyba można rozważyć taką wersję — powiedział Müller.

—Pójdę jeszcze raz do domu Herr Grossa — oznajmił Berg. — Myślę, że więcej się dowiem, jeśli porozmawiam ze służbą. Pokojówka powinna wiedzieć, czy jej pani ma dostęp do laudanum albo innego środka nasennego.

Całe trio napiło się kawy.

—Pokażesz Herr Grossowi swój rysunek?

—Na pewno powie, że go nie zna — odparł Berg. — Służba to inna sprawa. Zwłaszcza kobiety. Są bardziej otwarte na pytania policji, nie? — Berg wyjął z kieszeni zegarek i zmarszczył brwi. Już dawno minęła druga. — Za dużo gadamy o bzdurach. Herr Gross jest z Volkerem, identyfikuje Annę. Nie zdążę pójść do jego domu, tak żeby go nie było.

—To idź jutro rano — zasugerował Müller. — Jak człowiek jest wyspany, to lepiej mu się myśli.

—Ale Gross będzie siedział w domu i planował pogrzeb. Muszę porozmawiać ze służbą pod jego nieobecność.

—Musisz poczekać na okazję, Axel — doradził Storf. — Jestem pewien, że ten Żyd ma jakieś interesy do uporządkowania. Bądź cierpliwy.

—Jak zamierzasz nakłonić pokojówkę Anny, żeby z tobą rozmawiała o tak intymnych sprawach? — zapytał Müller.

—Mój drogi Georgu, o intymnych sprawach się nie rozmawia, tylko płynnie do nich przechodzi, kiedy już się dostatecznie zauroczyło daną panią.

—A jeśli twój urok zawiedzie, Berg?

—To rzecz ogólnie znana, że policja monachijska nie tylko popiera hasła głoszone przez Austriaka, ale również jest biegła w metodach bojówkarskich. — Berg schował portret pamięciowy do kieszeni. — Groźba nocy spędzonej w areszcie rozwiąże najzapieklesze usta.

TLR

Rozdział jedenasty

Już dawno minęła trzecia, kiedy Berg zjawił się na komendzie przy Ett Strasse. Na biurku czekały na niego dwie koperty z urzędowymi pieczęciami. Czyż to nie jest dowód na niemiecką sprawność organizacyjną?

Najpierw wyjął zieloną teczkę na akta zabójstwa — *Mordak-te* — Anny Gross. W kopercie znajdowało się również osiem pośmiertnych fotografii z miejsca zdarzenia, wszystkie bardzo wyraźne, ostre i obsceniczne. Druga koperta zawierała obszerny raport na temat przyczyny zgonu, czyli uduszenia. Wyszczególnione były wszelkie ślady i sińce na ciele. Na ramieniu i nadgarstku znaleziono świeże wgniecenia, po ściskających palcach. Próbowano uciec, a on ją przytrzymał?

Było też kilka wykazów: przedmiotów znalezionych na miejscu zdarzenia, nazwisk podejrzanych, nazwisk potencjalnych świadków. Berg dołożył do tego wszystkiego własne notatki, protokoły przesłuchań i raporty, jak również portret pamięciowy towarzysza Anny z teatru. Aby nie zniszczyć rysunku nadmiernym jego eksploatowaniem, Berg możliwie jak najdokładniej przerysował twarz do swojego notatnika. Zanim dzwony kościelne wybiły szóstą, akta zabójstwa Anny Gross znacznie się pogrubily. Berg pracował od ponad dwunastu godzin. Był zmęczony, brudny i spragniony. Z wielką chęcią napiłby się piwa.

Ale nie poszedł do najbliższej piwiarni, jak to robi większość mężczyzn po ciężkim dniu pracy. Nie skierował się też w stronę domu. Sterowały nim inne popędy niż głód i pragnienie. Pracowała zaledwie kilka ulic od komendy.

Właśnie ta bliskość miejsc pracy sprawiła, że się poznali: oboje jedli lunch na okolicznym placu. Był piękny jesienny dzień, niebo bezchmurne i błękitne, liście w feerii barw, a powietrze między rześkim a chłodnym, tuż przed tym punktem zwrotnym, kiedy zima zaczyna zapuszczać kły w szpik kostny. Ona ubrana była w znoszony wełniany płaszcz, szalik i czapkę narciarską. Zęby jej klekotały. Dłonie chroniły rękawiczki, ale od-

słonięty nos zrobił się jasnoczerwony. Gdyby Berg od razu wiedział, że jest Żydówką, to dałby sobie spokój, ale miała zwodniczą urodę: jasna cera, niebieskie oczy. Poczęstował ją gorącą kawą ze swego termosu i zaczęli rozmawiać.

Miesiąc później wylądowali w łóżku.

Margot pracowała w małej fabryce tekstylnej w dzielnicy Isarvorstadt — położonej niewiele powyżej poziomu rzeki i podmokłej, zwłaszcza po ulewnych deszczach. Izara często zalewała pobliskie ulice, przy których mieszkali ludzie biedni, w tym wielu imigrantów z Europy Wschodniej. Ludzie tłoczyli się w niehigienicznych warunkach, panowały choroby i przestępczość. Ale nawet na skalistym terenie wyrosnie czasem róża.

W fabryce było gorąco i wilgotno od pary używanej do prasowania płótna i potu pracowników: tkaczy, farbiarzy, praczek i prasowaczek. Produkowano tam wiele rodzajów tego materiału, ale fabryka specjalizowała się w niebieskim, z którego szyto typową *Arbeitsmaidkleid* — sukienkę dziewczyny pracującej na roli. Praca Margot polegała na prasowaniu sukna, które szło potem dalej i ktoś inny nawijał je na bele do hurtowej dystrybucji.

Dawniej Berg puszczał posłańca z instrukcjami, kiedy chciał się z nią zobaczyć, ale w ostatnich miesiącach rozzuchwalił się i przychodził do fabryki bez zapowiedzi. Zbliżał się do jej stanowiska pracy, obejmował ramieniem jej szczupłą talię i całował ją w szyję jak ktoś, komu bezwzględnie przysługuje ten przywilej. Oczywiście zawsze go karciła, także teraz.

—Nie tutaj!

—To wyjdź na zewnątrz.

—Pracuję.

—Jest już po szóstej.

— Tak, ale jak nie skończę tej partii sukna, to szef wywali mnie z pracy.

—Jak długo jeszcze?

—Może dziesięć minut.

—Zaczekam.

Uśmiechnęła się do niego z twarzą perlistą od potu. Jej ogorzała, szorstka dłoń delikatnie spoczęła na ramieniu Berga.

— To zaczekaj na zewnątrz. Obojgu nam szkodzi, że jesteśmy ze sobą kojarzeni.

Berg przyglądał się jej różowej, okrągłej twarzy. Długie, kręcone włosy zakrywała biała chusta. Margot miała na sobie niebieską sukienkę z tego samego płótna, które prasowała, i biały fartuch. Koniuszki palców miała zrogowaciałe. Pocałował ją w dłoń, delikatnie liżąc jej skórę.

—Dziesięć minut, he? — zapytał tęsknie.

—Tak, proszę cię.

Uwielbiał to napięcie w jej głosie. Wszystko robiła w napięciu, jakby czas się kończył.

—Dobra. Tam gdzie zawsze?

—Tak. Proszę cię, idź, zanim szef cię zobaczy.

Berg niechętnie wyszedł na dwór. Było już ciemno i padał lodowaty deszczyk. „Tam gdzie zawsze” to była palarnia — a tak naprawdę burdel. Policja dobrze znała te przybytki, ale ponieważ wielu funkcjonariuszy z nich korzystało, nigdy nikogo nie aresztowano. Czekał niecierpliwie, stukając butem o bruk i paląc papierosa. W końcu zobaczył jakiś zbliżający się kształt, ale było tak ciemno, że rozpoznał w nim Margot, dopiero kiedy była parę metrów od niego.

Berg natychmiast porwał ją w ramiona i pocałował namiętnie, wsuwając jej rękę między swoje nogi. Zabrała ją.

—Boże, jaki ty jesteś szybki.

—A ty cuchniesz potem.

—Ty też — zripostowała. — Ale ja przynajmniej pocę się od uczciwej pracy. Która piwiarnia tym razem zabrała moje pieniądze?

— Twoje pieniądze? — zdziwił się Berg. Margot uniosła brew.

— Co mi przyniosłeś?

Z kieszeni płaszczka wyjął papierośnicę.

—I? — Była wyraźnie zaskoczona.

—I? — Zmarszczył czoło. — To nie wystarczy? Zrobiła nadąsaną minę. Papierosy wypalę i nic mi nie zostanie. Chcę czegoś, co będę mogła wziąć do ręki.

— Czegoś, co będziesz mogła zamienić na pieniądze.

—Papierosy też mogę zamienić na pieniądze, matole.

—W takim razie może to?

Błyskając zębami w uśmiechu, wyjął wachlarz skradziony z miejsca zdarzenia.

Otworzyła szeroko oczy.

— Mój ty Boże! Jaki piękny! — Wzięła go do ręki i zaczęła wachlować szyję mokrą od potu, pary i deszczu. — Pasuje mi?

— Idealnie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno go ucałowała. Uśmiechała się promiennie.

—Bardzo ci dziękuję. Ale teraz muszę ci się odwdzięczyć.

—Nie mogę zostać długo, Margot.

— To nie potrwa długo, Axel — zapewniła. Pogroził jej palcem.

— Ty łobuzico.

— Nie jesteś szczęśliwy, że ja jestem szczęśliwa? Wzięła go pod ramię i przedostali się na drugą stronę ulicy, żeby

wejść do zapuszczonego pensjonatu. Mężczyzna w recepcji był gruby, czerwony na twarzy i znudzony, wydłubywał sobie brud zza paznokci. Spojrzał najpierw na nią, a potem na Berga. Podniósł klucz do góry. Berg zapłacił. Cała transakcja odbyła się bez słów.

Ich pokój na trzecim piętrze był zawilgły i zapleśniały. Umeblowanie składało się z łóżka nakrytego podartą pierzyną oraz dzbanka i miednicy do mycia rąk. Sprężyny łóżka głośno skrzypiały, ale Margot nie minęła się z prawdą, mówiąc, że to nie potrwa długo. Kiedy było już po wszystkim, wyskoczyła z łóżka i zaczęła zakładać pas do pończoch.

—Nienawidzę tego — powiedział Axel. — Ten brudny pokój, to brudne łóżko... Przemykamy jak para złodziei.

—Jesteś żonaty. — Naciągnęła pończochę na nogę, a potem spojrzała mu w oczy. — Jesteś żonaty, masz dzieci, a ja jestem Żydówką. Byłoby samobójstwem dla nas obojga, gdybyśmy pozwolili sobie na więcej.

—Za mało ambitne cele sobie stawiasz, moja droga. — Berg włożył spodnie i zapiął rozporek. — Kto nie marzy, ten niczego nie osiągnie.

—Czasem marzenia zamieniają się w koszmary senne. — Naciągnęła drugą pończochę i przypięła do pasa. Potem włożyła przez głowę sukienkę. — Nie cieszy cię to, co między nami jest?

—Oczywiście, że mnie cieszy. Jesteś taka piękna, Margot. Zaslugujesz na coś więcej.

— Jesteś zakochany w młodości, nie we mnie.

— Nieprawda! Myślisz, że gdyby chodziło tylko o młodość, to wybrałbym Żydówkę?

—Kosztuję taniej niż młode chrześcijańskie kurwy.

—Przestań, Margot, nie jesteś kurwą.

—Spytaj moją matkę, to usłyszysz coś innego. Berg wytrzeszczył na nią oczy.

—Twoja matka wie?

—Oczywiście, że wie! Wszyscy wiedzą. Nie bądź naiwny. Patrzył na nią bez słowa. Zirytowała się.

— Axel, nie możesz przychodzić do mnie do pracy i nie wzbudzać podejrzeń. — Wyjęła puderniczkę z lusterkiem i zaczęła przyglądać loki. — Moja matka jest tym bardzo zasmucona. Mówi, że trudno mi będzie znaleźć męża. Jaki żydowski chłopiec weźmie sobie dziewczynę, którą ukąsił nieobrzezany wąż?

Skrzywił się na te słowa.

—Muszę iść.

—To idź.

Ale nie poszedł, tylko dalej siedział na łóżku. Położył sobie rękę na czole, a potem zaczął masować skronie. Po chwili usiadła koło niego, wciąż emanująca zapachem seksu.

— Nie wygłupiaj się.

— Twoja matka ma rację. — Pocałował ją w policzek. — Powinnaś wyjść za mąż.

Zrobiła wielkie oczy.

— A! Chcesz to zakończyć?

—Tego nie powiedziałem.

—To po co to gadanie o moim zamążpójściu? Ścisnęło go w żołądku.

—Nie mogę dać ci tego, czego chcesz.

— Co za arogancja! — zezłościła się. — Nawet nie wiesz, czego chcę.

Nie odpowiedział. Może przez miniony rok za bardzo sobie pochlebiał.

—W ogóle nie powinienes ze mną być — powiedziała Margot zimnym tonem. — Brunatne koszule są wszędzie... Zwłaszcza w szeregach policji.

—Ja się tym nie przejmuję — odparł.

—A powinienes. — Zapaliła dwa papierosy i dała mu jednego. — Oni są wszędzie. Nic dziwnego, że naziści mają takie poparcie wśród młodych chłopców. Pomachają pięścią i biorą, co chcą.

—Straszą cię, Margot? — spytał z zatroskaną miną. — Powiedz mi, co to za jedni, a ja się tym zajmę.

Zaśmiała się bezradośnie.

—Nie trudź się. Jak jeden zniknie, to zaraz przyjdzie drugi na jego miejsce. — Zagryzła wargę. — Z każdym tygodniem Austriak ma więcej władzy. Naprawdę nie powinienes więcej do mnie przychodzić.

—Czy chcesz w ten sposób powiedzieć, że powinniśmy zerwać ze sobą?

Znowu prychnęła chrapliwym od dymu papierosowego śmiechem. Potem wzięła go za rękę i włożyła ją między swoje nogi, gdzie wciąż była mokra od kochania się.

— Nikt mnie tak nie podnieca jak ty. Jak tylko o tobie pomyślę, robi mi się gorąco. Dlatego wciąż narażam nas oboje na niebezpieczeństwo.

Całowali się długo i namiętnie. To ona pierwsza się odsunęła.

—Muszę iść.

—To minie, Margot. Hitler ma swoich zwolenników, ale nie cały kraj jest taki jak Bawaria. Reszta Niemiec jest bardziej... światowa. To minie.

Oczy Margot zaszyły łzami.

— Obyś miał rację. Boję się, że jej nie masz. Nie powinienes więcej przychodzić.

W jej słowach nie było przekonania. Oboje wiedzieli, że Berg wróci.

TLR

Rozdział dwunasty

Jego nos i oczy spowiła nikotynowa mgła. Wciągnął głęboko powietrze, a potem powoli wypuścił, ogarniając to wszystko: zarys jej rozkołysanych bioder, jej muskularne ramiona, jej podskakujące włosy, kiedy odrzuciła głowę do tyłu, zanosząc się serdecznym śmiechem. Chociaż słabo widział w ciemnościach, dostrzegał jej szyję — gładką, długą, alabastrową. Z tej odległości wyglądała na drobną kobietę, ale jej sylwetka składała się wyłącznie ze zmysłowych krzywizn. Na chwilę zbliżyli się do siebie, a potem znowu oddalili. Ona wróciła do swego codziennego kieratu, a on do ogniska domowego.

Jeszcze raz zaciągnął się papierosem, który przyjemnie gryzł go w gardło, i nadal obserwował przestrzeń niegdyś zajętą przez dwoje kochanków. Rękawiczki chroniły przed zimnem dłonie, a kapelusz głowę.

Był zupełnie sam. W mieszkaniu nikt na niego nie czekał, żadnej trokliwej żony, żadnych dzieci z lepкими palcami, żadnego towarzyskiego psa. Tylko kolejne pokoje, starannie i gustownie urządzone, ale statyczne. Tej nocy tęsknił za muzyką zaraźliwego śmiechu, za namiętymi pocałunkami, spoconą skórą i rozchyłonymi nogami, dającymi wszystko, co ciepłe, mokre i kobiece.

To był ciężki dzień. Na przekór jego staraniom popołudniówki już krzyczały z nagłówków o morderstwie. Przydałaby się jakaś rozrywka na uspokojenie nerwów.

Rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół obcasem. Podniósł kołnierz płaszcza i przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się ku fabryce.

*

Joachim namoczył gruboziarnisty chleb w resztkach sosu pieczeniowego i tęsknie spojrzał na kotlet wieprzowy ojca.

— Nie jesteś głodny, tato?

Brak odpowiedzi. Britta chrząknęła.

— Axel, twój syn mówi coś do ciebie.

Berg zamrugał powiekami. Pochylił się i odgarnął niesforny kosmyk włosów z czoła Joachima.

— Przepraszam, zamyśliłem się.

— Tak — potwierdziła Britta. — Nie tknąłeś jedzenia, chociaż po raz pierwszy od dwóch tygodni mamy mięso. A twoja lewa ręka ciągle zsuwa się ze stołu. Jak mamy nauczyć dzieci dobrych manier, skoro sami ich nie przestrzegamy?

Berg przeciął kotlet na dwie części.

— Mam świadomość, czego to od ciebie wymagało, żeby zdobyć to mięso, Britta. Nie jestem szczególnie głodny.

Przerzucił połowę kotleta na talerz Joachima, a potem sam odciął sobie kęs, pilnując się, żeby lewa ręka leżała na stole.

— Pyszne — mruknął.

Przeżuwając gruntownie, Berg uznał, że kotlet rzeczywiście jest pyszny, świetnie przyrządzony. Popęłnił głupstwo, oddając połowę synowi, który miał ostatnio gargantuiczny apetyt. Chłopiec jadł tak szybko, że prawie nie czuł smaku. Berg był przekonany, że jego syn z równą ochotą spałaszowałby skórę z buta.

Joachim skończył swoją porcję i skierował spojrzenie na talerz siostry.

—Odczep się od jedzenia Moniki — skarcił go Berg. — I trzymaj lewą rękę na stole. — Spojrzał na swoją córkę. — Ty też.

—Byłoby zbrodnią, gdyby mięso się zmarnowało, a ona nigdy nie kończy — powiedział Joachim.

—Bo nigdy mi nie pozwalasz — tłumaczyła się Monika. — Ja jem powoli.

— Zostaw ją w spokoju, Joachim — przykazał Berg. „Jeśli coś zostanie, to zjem”, pomyślał. Na razie zadowolili się ziemniakami i kapustą. Przyprawione i omaszczone, rozplływały się w ustach.

— Więc jak się toczy życie członków rodziny Bergów? — zagadnął.

— Co się stało z chuliganami, ojczy? — spytał Joachim. „Z chuliganami? To naprawdę było dzisiaj rano? Wydawało mi się, że całe wieki temu”, pomyślał Berg.

— Mówiłem ci, że nie będą nas już więcej niepokoiли — odpowiedział głośno.

Joachim uśmiechnął się.

— Wsadziłeś ich do więzienia?

— Nie, są za młodzi. — Berg puścił do syna oko. — Ale mamy na nich inne sposoby.

Joachim znowu się rozpromienił. Bardzo dobrze wpływa na poczucie własnej wartości, jeśli jest się dla kogoś bohaterem.

—: Pyszna kolacja — pochwalił Berg swoją żonę. — Powinnaś być zawodową kucharką.

— Bardzo jesteś dzisiaj wesoły — powiedziała Britta trochę oskarżycielskim tonem.

Czyżby widać było po nim, że niedawno przeżywał erotyczne uniesienia?

— Cieszę się, że jest już po pracy — odparł. — To nie był zwykły dzień.

— Teraz wyglądasz mi na głodnego, Axel. Usmażę ci kielbasy — odrzekła Britta.

— Weź mojego kotleta, tato — włączyła się Monika. — Joachim ma rację: ja nigdy go nie kończę.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powiedział Berg. — Chętnie zjem za ciebie.

Monika przerzuciła resztę kotleta na jego talerz.

— Widzieliśmy dzisiaj wielbłąda! I *Niggerlippen!*

— A, racja — przypomniał sobie Berg. — I jak było?

— Zrobili wystawę z afrykańską wioską — wyręczył siostrę Joachim. — Były chaty z trawy i wypchane dzikie zwierzęta. Ludzie walili w bębny, podobno to była autentyczna afrykańska muzyka. Ale grali nie Afrykanie, tylko biali z twarzami pomalowanymi na czarno. Wielbłąd cuchnął. Było to wszystko dosyć głupie.

— Mnie się podobał *Niggerlippen* — powiedziała z entuzjazmem Monika. — Był wysoki, ubrany na fioletowo, bardzo umięśniony i miał wielkie białe zęby.

—Co robił? — spytał ojciec.

—Głównie siedział — odparł Joachim.

—Strzelał z łuku — zaprotestowała Monika. — I umiał mówić.

—Oczywiście, że umiał mówić — obruszył się Joachim. — Przecież nie jest zwierzęciem.

—Wyglądał jak zwierzę. Był ubrany w spódniczkę z trawy, miał farbę na twarzy i wyglądał strasznie dziko.

—To słynny afrykański aktor — poinformował ją Joachim.

—Skąd wiesz? — zapytała Monika.

— Powiedział mi. Rozmawialiśmy. Znośnie mówi po niemiecku.

—Mówi po niemiecku? — zdziwiła się Monika. Joachim przewrócił oczami.

—Narysowałem jego portret.

—Bardzo dobry — włączyła się Britta.

—Chcesz zobaczyć, tato? — spytał Joachim.

—Oczywiście.

Kiedy Joachim wstał od stołu, Berg odniósł wrażenie, że chłopiec rośnie z godziny na godzinę. Był jednak chudy jak patyk. Rozrastał się przede wszystkim wzdłuż, nie wszerz. Berg spojrzał na córkę, która obdarzyła go anielskim uśmiechem. Była niska jak na swój wiek i trochę niedojrzała. Koleżanki Moniki spędzały większość czasu na plotkowaniu, a ona wciąż wolała czytać i rysować.

Chłopiec wrócił z bardzo szczegółowym rysunkiem. Można było się doszukać pewnych usterek: oczy zbyt szeroko rozstawione, usta za duże. Doskonale natomiast została oddana ekspresja twarzy: połączenie bijącej z oczu zawziętości ze smutkiem wyrażanym przez opuszczone w dół kąciaki ust.

—Gdzie kość w nosie? — spytała Monika.

—To nie była prawdziwa kość — odparł Joachim.

—Wyglądała na prawdziwą.

—To znaczy była prawdziwa, ale nie przebijała nosa. Jak strzała przez głowę, którą widuje się podczas *Fasching*.

—Nawet bez kości rysunek jest świetny — powiedział Berg.

—Lepszy od tych okropnych kwiatów, które rysowałem, jak miałem dziesięć lat — odparł Joachim. — Czemu się upierasz, żeby wisiały na ścianie?

—Podobają mi się te kwiaty. Są szczęśliwe.

—Byłem szczęśliwy, jak miałem dziesięć lat. Berg spojrzał na niego badawczo.

—A teraz nie jesteś?

—Joachim staje się coraz bardziej dorosły, Axel — wtrąciła Britta. — Życie nie składa się wyłącznie z pastelowych kolorów i kwiatów. — Nad ramieniem męża spojrzała na portret Murzyna. — Popatrz na tego *Niggerluppen*. Sprawia wrażenie takiego zniechęconego. — Zebrała ze stołu talerze. — Na pewno dlatego, że mieszka w Monachium. Jestem przekonana, że w Afryce nie brakuje mięsa.

—W Afryce generalnie nie mają co jeść. Panuje tam straszny głód. Nie wspomnę o braku wody.

—W Afryce nie ma wody? — zdziwiła się Britta. — A Nil?

—To jest pustynny kontynent — tłumaczył Berg.

—A my żyjemy w europejskim spichlerzu zbożowym i mamy mnóstwo taniego jedzenia?

—Rolnicy tak.

—W mieście dużo nam z tego przychodzi. — Wzięła kolejny talerz. — Ja posprzątam ze stołu, Joachim umyje naczynia, a Monika wytrze. Jak odrobicie zadania, to możemy wszyscy posłuchać *Liebe und Leben an der Welt*.

—A co ojciec będzie robił? — spytał Joachim. — On nie lubi słuchowisk radiowych.

—Nie wszystkich, tylko złych — odparł Berg. — To jest złe.

—Ojciec będzie robił, co będzie chciał — stwierdziła Britta. — Jak zawsze.

Płomień świecy przy łóżku zatrzepotał, rozbłysnął i zgasł. Berg odłożył książkę na podłogę, po czym przeciągnął się na łóżku z miękkim puchowym materacem. Przez wciąż otwarte okiennice można było zobaczyć pograżone w spoczynku miasto. Rozsiane żółte światełka migotały we mgle, ale poza tym nic się nie ruszało. Britta milczała nieruchoma, ale Berg wiedział, że nie śpi. Przewrócił się na bok i przyciągnął ją do siebie, przywierając brzuchem do jej jędrnych pośladków. Położył dłoń na jej piersi zakrytej flanelową nocną koszulą. Nie zaprotestowała, więc wsunął rękę pod flanelę, dotykając nagiej skóry.

—Ach, masz zimne ręce! — poskarżyła się Britta.

—Za to ty jesteś ciepła. — Pracował palcami w jej kroku.

—Nie jestem kocem! — Odtrąciła jego dłoń. — Zjeżdżaj!

—Nie bądź wredna.

— Mam nie być wredna? Tak się przepracowuję, że konam ze zmęczenia, i co z tego mam?

— Całą moją miłość — szepnął.

Britta odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w twarz.

—Nie obrażaj mnie.

—To ty mnie nie obrażaj.

Szukała w jego oczach oznak, że mówi to szczerze, ale w jego stalowym spojrzeniu nie było żadnych uczuć. Szczepili się wzrokiem. Tak samo przy stojny jak w dniu ślubu. Zdradza ją i okłamuje, ale co z tego? Ma stałą pracę, nie przepija zarobków i nigdy nie podniósł na nią ręki. Ona ma obrączkę, dom, dzieci i zapewniony byt, a jego kurwy nie mają nic.

Powoli musnęła usta mężczyzny, którego przed piętnastu laty poślubiła. Przebiegła dłonią po jego torsie i twardym jak skała brzuchu. W przeciwieństwie do swoich kolegów z wydziału nie obrósł tłuszczem. Poklepała go po brzuchu.

—Tak trzymać.

—Cieszę się, że aprobujesz.

Uśmiechnęli się do siebie. Pomógł jej zdjąć nocną koszulę. Kochali się
namiętnie, ale nie padły między nimi słowa miłości.

TLR

Rozdział trzynasty

Kamerdyner, odziany w wykrochmaloną i wyprasowaną liberię, usiłował zachowywać się zgodnie z regułami swego zawodu, ale jego wyćwiczona beznamiętna mina zdążyła się od poprzedniego dnia skwasić. Nie mógł znieść tego, że tak wcześnie rano musi się zajmować sprawami policyjnymi.

— Herr Gross jest niedysponowany. Berg uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

—Mam tego świadomość, Haslinger. Wiem również, że nie ma go w domu. Co oznacza, że nie przyszedłem do niego. Wpuści mnie pan?

—Nie mogę, *Herr Inspektor*. Muszę pana poprosić, żeby wrócił pan innym razem.

Berg nie miał wątpliwości, że bez problemu przełamie upór siwowłosego służącego.

—Nie zostawia mi pan wyboru, Haslinger. Zaczekam na korytarzu, dzięki czemu sąsiedzi będą mieli możliwość zobaczyć umundurowanego policjanta. Tylko żeby nie miał pan do mnie pretensji, jak zaczną się plotki.

—Już się zaczęły.

—To chyba lepiej ich nie podsycać, co?

Skwaszona twarz kamerdynera pociemniała. Skapitulował i odstąpił na bok. Berg wszedł do mieszkania.

—Pozwoli pan, że zdejmę płaszcz?

—Na pana miejscu za bardzo bym się nie rozgaszczał, *Herr Inspektor*.

—Nie przepada pan za mną, Haslinger?

—Moje osobiste upodobania nie mają znaczenia.

—Dla mnie mają. — Berg zdjął płaszcz i podał kamerdynerowi. — Bardzo pana proszę.

Haslinger tupnął, ale wziął płaszcz.

—Czego pan chce?

—Chciałbym porozmawiać z pokojówką Frau Gross.

—Jest zajęta.

— To niech pan ją oderwie od obowiązków. Przypuszczalnie należy do osób, które ostatnie widziały Frau Gross żywą. Jej pani nie czuła się dobrze, kiedy kładła się do łóżka. Może przyniosła Frau Gross coś na żołądek.

— A czemu to jest takie istotne?

— Na przykład może pomóc w ustaleniu sekwencji wydarzeń. Gdyby nie było istotne, to bym się tym nie zajmował.

Haslinger wziął od Berga płaszcz.

— Niech pan tutaj zaczeka, *Herr Inspektor*. Podkreślam: tutaj, nie w sali recepcyjnej.

Kamerdyner prychnął, zostawiając Berga z jego myślami. Mało prawdopodobne, żeby pokojówka podała coś swojej pani wczoraj wieczorem. Frau Gross nie była chora. Wyszła z domu. Berg miał nadzieję, że pokojówka wie coś na temat nieznanego mężczyzny. Zaprzestał tych refleksji, kiedy zobaczył nadchodzącego Haslingera. Płaszcz zniknął, był to znak, że Berg może zostać.

—Fräulein Astrid Mauer spotka się z panem w saloniku Frau Gross. Jak pan się domyśla, jest zrozpaczona, więc proszę, żeby to nie trwało długo.

— Spojrzał na buty Berga i prychnął wzgardliwie. — Mogę je panu wyczyścić, *Herr Inspektor!* — Powiódł znaczącym spojrzeniem po nieskalanej marmurowej posadzce. — Teraz?

—Bardzo pan łaskawy. — Berg zdjął buty i podał je kamerdynerowi, który wziął je od niego ze srogą miną. — Z góry dziękuję.

Haslinger znowu prychnął.

— Tędy, *Herr Inspektor*.

Berg spodziewał się, że salonik młodej żony będzie ciemny, ciężki i anachronicznie wiktoriański, ale nie taki wizerunek Anny odmalował jej brat. Miejsce współgrało z tymi faktami, które zdążył poznać Berg: bywalczyni kabaretów, która flirtowała z komunizmem. Pomieszczenie było urządzone z doskonałym awangardowym smakiem. Na ścianach jedwabna tapeta z nieregularnie rozlokowanymi gałązkami wiśni na zielonym jak szałwia tle. Do siedzenia Frau Gross wybrała zestaw z połączanego drewna

i tapiserii: krzesło, dwuosobowa kanapka i otomana. Obicia pokryte były zawijasami w różnych odcieniach koloru pomarańczowego, zielonego i złotego, o inspiracji japońskiej, ale w stylu francuskim. Między dwoma wysokimi oknami z pionowymi szprosami stała palisandrowa komoda bombe ozdobiona hebanowymi kwiatami macassar i zawijasami z macicy perłowej. Ściany zdobiły między innymi dzieła kubistyczne: złoto-zielona figura pędzla Aleksandra Archipienki, rycina Waltera Dexela na papierze ryżowym, kolaż Pabla Picassa i czerwona kula namalowana na aluminium Laszła Moholy-Nagya.

Obok Dexela stała kobieta w średnim wieku, zażawiona, lecz opanowana. Miała na sobie czarny uniform i biały fartuch. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, figurę miała szczupłą, ale twarz pomarszczoną. Uszy jej sterczały. Mimo tych usterek prezentowała się całkiem nieźle. Biust miała obfity i gdyby ją odpowiednio odziać i umalować, mogłaby udawać damę.

— *Grüss Gott* — powiedziała cicho.

— *Guten Tag*. — Berg skłonił głowę. — *Fräulein Mauer?* Inspektor Berg.

— Na imię mi Astrid. — Zmusiła się do uśmiechu. — Proszę usiąść, *Herr Inspektor*. Przynieść panu coś do picia?

— Nie, dziękuję. Jeśli pani będzie stała, to ja też nie usiądę. Oboje usiedli. Berg wybrał kanapkę, a pokojówka otomanę.

Siedziała wyprężona z rękami na kolanach.

— Mogę zadać pani kilka pytań, *Fräulein Mauer?* — Przytaknęła ruchem głowy. — *Herr Gross* poinformował mnie, że jego żona dwa dni temu wcześniej położyła się do łóżka.

— Tak.

— Pamięta pani, o której godzinie, *Fräulein Mauer?*

— Najdalej o dziewiątej.

Spuściła oczy na kolana, co oznaczało, że nie jest do końca szczerą.

— O dziewiątej, mówi pani.

— Tak — zapewniła szybko.

— *Herr Gross* twierdził, że koło ósmej.

— W takim razie pamięć mnie zawodzi.

—Każdy może się pomylić, Fräulein Mauer.

— Tak, każdy może się pomylić — powtórzyła z uśmiechem.

—Była pani pokojówką Frau Gross, zgadza się?

—Tak.

—Od jak dawna?

— Od ślubu. — Oczy jej zwilgotniały. — Zanim przeniosłam się do domu Herr Antona, pracowałam dla starszej pani Gross.

—Jak się pani układało z chlebodawcą? Przełknęła ślinę.

—Myślę, że bardzo dobrze.

— Proszę mi powiedzieć, jakie wrażenie robiła na pani młodsza Frau Gross.

—Czemu pana interesują moje opinie? One nic nie znaczą.

—Może dla innych, ale dla mnie znaczą bardzo wiele. Pokojówka uśmiechnęła się.

—Sprowadził mnie tutaj Herr Anton Gross. Chyba nie ma na świecie miłszego człowieka. Ale ma problem z matką. I problem ten przeniósł się też na panią Annę. Darzę Frau Gross najwyższym szacunkiem, ale to kobieta, która nie znosi, aby się jej sprzeciwiać. Dla młodej małżonki to może być trudne. A kiedy mężczyzna znajdzie się pomiędzy swoją matką i żoną— och, to jest ciężki krzyż.

—Teściowa i synowa nie dogadywały się ze sobą?

—Czasem dochodziło między nimi do wymiany zdań. — Astrid zniżyła głos do szeptu. — Od początku były problemy. Herr Gross to wspaniały człowiek, ale bardzo konserwatywny. Anna... Frau Gross była liberalna. — Astrid mówiła jeszcze ciszej. — Wolny duch. Herr Gross tolerancyjnie traktował jej młodzieńczość, ale jego matka nie. — Urwała na chwilę. — Za dużo mówię. Mogę stracić pracę za swoje gadulstwo. Ale Anna była mi tak droga...

— Fräulein Mauer, proszę mi opowiedzieć o znajomych Frau Gross.

— Astrid, jeśli można prosić — nieśmiało napomknęła pokojówka.

—Dobrze, Astrid. Kto odwiedzał Frau Gross?

—Frau Hultner... Frau Grün... Mieszkają w pobliżu.

—Czy są rówieśniczkami Frau Gross?

—Chyba tak. Frau Hultner jest może trochę starsza.

—Jakieś inne znajome?

—Wiele, ale w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć nazwisk.

—A mężczyźni?

—Ale skąd! — nastroszyła się Astrid.

Berg pozwolił tym słowom wybrzmieć, po czym nachylił się ku pokojówce.

—Jest pani o tym absolutnie przekonana?

—Tak! — Nerwowo gniotła w dłoniach skraj fartucha. — Tak!

—Czy można powiedzieć, że byliście zaprzyjaźnione z Frau Gross?

—Oczywiście.

—Czyli gdyby Anna miała sekretny związek, pani by o tym wiedziała?

—Frau Gross była wzorową żoną, inspektorze. Jeśli moje słowa zasugerowały panu coś innego, to bardzo za to przepraszam.

—A ja przepraszam, jeśli błędnie zinterpretowałem pani wypowiedzi. Ale widzi pani, ta bestia, która odebrała jej życie, musi ponieść karę. Na pewno się pani ze mną zgodzi.

—Oczywiście. — Astrid spuściła wzrok na kolana. — Uwielbiałam Frau Gross, ale to nie znaczy, że wiedziałam wszystko na temat jej życia osobistego.

—Czyli mogę przypuścić, że miała znajomych, o których pani nie wiedziała?

—Oczywiście.

Berg postanowił przejść do konkretów. Z kieszeni munduru wyjął portret pamięciowy sporządzony pod kierunkiem Gerharta Leita, przedstawiający mężczyznę o pociągłej twarzy, drobnych rysach i głęboko osadzonych oczach. Astrid sapnęła, kiedy zobaczyła rysunek.

—Rozpoznaje go pani, Astrid? — spytał Berg. Zaprzeczanie nie zdałoby się na nic. Uznała, że najlepiej będzie milczeć.

—Może bywał w tym domu? — zasugerował Berg. Milczenie.

—Niech pani da spokój. Jest pani winna lojalność swojej pani, nawet po jej śmierci. Zwłaszcza po śmierci.

—Zawsze twardo stałam po jej stronie! — zaprotestowała pokojówka, z której oczu popłynęły łzy.

—Nikt tego pani nie odbiera — pocieszał ją Berg. — Nie wątpię, że była pani jedyną kobietą na świecie, której Anna mogła powierzać swoje tajemnice. Proszę panią, Astrid, niech mi pani powie o tym jegomościu.

—To było jakiś czas temu — zaczęła ściszym głosem — dwa miesiące albo i więcej. Odwiedził ją dwa razy. Za drugim razem spytałam Frau Gross, kto to jest. Powiedziała mi, że polityk. A kiedy chciałam wiedzieć, z jakiej partii, wykręcała się od odpowiedzi.

—Jeden z chłopców Hitlera?

—Wielkie nieba, nie! — krzyknęła Astrid. — Wręcz przeciwnie. *Komunist*. Mówił z leciutkim akcentem.

—Rosjanin?

—Może. Siedzieli w tym pokoju, kiedy Herr Gross był w pracy. To była środa po południu, Haslinger ma wtedy wychodne. Rozmawiali o polityce i rewolucji. Frau Gross kazała mi przysiąc, że nie zdradzę tajemnicy jej mężowi, który jest bardzo konserwatywny.

— Jest pani pewna, że zaprzętała ich tylko polityka, Astrid?

—Absolutnie pewna. Słyszałam przez drzwi, jak rozmawiali. Ożywiona dyskusja, nie odgłosy niewierności małżeńskiej. Żadnych zdrożności.

—Ale nie stała pani pod drzwiami przez cały czas.

—Nie. — Astrid poczerwieniała. — Ale nie zauważyłam nic, co by sugerowało, że łączy ich coś więcej niż polityka.

Po raz pierwszy Berg wziął pod uwagę możliwość, że przyczyny śmierci Anny Gross nie mają nic wspólnego z seksem.

—I ten człowiek na rysunku przypomina mężczyznę, który odwiedził Annę?

—Tak.

—Zna pani jego nazwisko?

—Frau Gross nie przedstawiła nas sobie.

—Ale na pewno sam się przedstawił albo wręczył Frau Gross bilecik wizytowy.

—Tak — odparła Astrid po namyśle — za pierwszym razem przyniósł wizytówkę.

—Czy Frau Gross trzymała bilety wizytowe?

—Niektóre. — Astrid podniosła się jednym sztywnym ruchem. — Chwileczkę, *bitte*.

Wróciła po paru minutach z plikiem wizytówek. Berg zaczął je przeglądać.

—Pomoże mi pani zidentyfikować te nazwiska?

—Oczywiście. — Astrid stanęła obok niego. — To jest wujek Anny. To kuzyn, to kuzynka, to znajoma, to kuzynka, to ciotka, to kuzyn, to też kuzyn...

—Całkiem sporo kuzynów ją odwiedzało — stwierdził Berg.

—Frau Gross była pełną życia kobietą. — Astrid wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. — Każdy, kto ją poznał, był nią zauroczony.

Berg rozpoznał jedno z nazwisk: Elizabeth Hultner.

—To jest *ta* znajoma, która mieszka w pobliżu?

—Tak.

„Wypadaloby złożyć jej wizytę”, pomyślał Berg.

—Mogę zatrzymać wizytówkę?

—Oczywiście.

Berg kontynuował przeglądanie bilecików, aż dotarł do nazwiska, którego Astrid nie znała: Robert Schick.

—Nie pamiętam takiego — powiedziała zaskoczona.

—Może to nasz Rosjanin?

—Schick to nie jest rosyjskie nazwisko.

—Ma pani rację. Mogę zatrzymać wizytówkę?

—Jeśli pan uważa, że to coś pomoże. Przypominam panu, że Frau Gross odwiedzali wyłącznie szacowni ludzie.

—A czy istnieją powody, by sądzić, że ten pan — Herr Schick — nie jest dżentelmenem w każdym calu?

—Na pewno jest dżentelmenem godnym najwyższego szacunku. Ja po prostu go nie pamiętam. — Postukała się w czoło.

—Starość nie radość.

— Nie sędzę. — Berg uśmiechnął się i schował wizytówki do kieszeni.
— Myślę, że ma pani bardzo dobrą pamięć.
Wymienili spojrzenia. Astrid wstała.
— Odprowadzę pana do drzwi.
Przypadkowo spojrzała na stopy Berga i zrobiła wielkie oczy.
— Haslinger był uprzejmy wziąć moje buty do czyszczenia
— wyjaśnił Berg. — Pewnie nie życzył sobie, żebym zabrudził ten piękny biały marmur.
—Haslinger jest niezwykle pedantyczny. Przyniosę je panu.
—Dziękuję.
Wróciła po chwili z obuwiem, które Berg ledwo rozpoznał.
— Proszę — powiedziała Astrid. — Mam nadzieję, że efekt pana zadawała.
— Nigdy tak dobrze nie wyglądały.
Berg usiadł, żeby włożyć buty. Śledztwa w bogatych środowiskach mają swoje zalety.

*

Siwowłosy kamerdyner obracał wizytówkę na wszystkie strony. Nie był wysoki, ale przez swoją chudość sprawiał takie wrażenie.
—Frau Hultner odpoczywa w swoim pokoju.
—Przyszedłem w ważnej sprawie — nalegał Berg. Służący zerknął na twarz, a potem na buty Berga.
—Chwileczkę.
Zamknął drzwi, każąc Bergowi czekać na siarczystym mrozie. Inspektor podskakiwał dla rozgrzewki. Masował się w ramiona. Owinął twarz szalikiem. Ten drań mógł przynajmniej kazać mu zaczekać w przedpokoju, a nie na dworze jak koniowi.
Kamerdyner wrócił po kilku minutach, ale Berg miał wrażenie, że minęła godzina.
—Może pan wejść. Dygoczący Berg przekroczył próg.
—*Danke*^{*26}.

²⁶ * *Danke* (niem.) — dziękuję.

—Tędy.

Kamerdyner zaprowadził go do niewielkiego saloniku w stylu francuskim. Na ścianach pastelowiebieskiego pokoju wisiały owalne obrazy z nimfami i satyrami. Ozdobne meble były utrzymane w stylu rokokowym. Przed oknem kwaterowym stało stylowe biurczko z końca osiemnastego wieku, a obok lustro chevalier znajdowała się niewielka harfa. Berg usiadł na różowej otomanie, najsolidniejszym z dostępnych mebli. Zęby mu szczękały.

—Napije się pan herbaty, *Herr Inspektor*?

—*Bitte*.

Po dziesięciu minutach pokojówka przyniosła parującą herbatę, która zdążyła wystygnać, zanim Frau Hultner postanowiła się zjawić. Była kobietą może nie piękną, ale zadbaną — gibką i umalowaną, z estetycznie obciętymi kasztanowymi włosami. Miała na sobie leśnozielony komplet z kołnierzem, mankietami i dołem zakietu obszytymi sobolem. Kształtne nogi odziała w jedwabne pończochy i czarne czółenka. Miała bladą karnację, chociaż policzki pokryła różem. Usta pociągnęła szminką. Berg poznał po zaczerwienieniu niebieskich oczu, że coś jest nie w porządku.

— *Grüss Gott* — powitała go chrapliwym głosem.

—Inspektor Axel Berg — powiedział, podnosząc się z otomany.

—Tak, przyniesiono mi pańską wizytówkę. Jeszcze herbaty? — Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła za sznur dzwonka. — Przepraszam, że kazałam panu czekać.

—Nie, Frau Hultner, to ja przepraszam za najście. Nie zakłócałbym pani spokoju, gdyby nie było takiej konieczności.

—Chodzi o Frau Gross? O Annę? — Berg skinął głową. — Co za straszna tragedia! Nie mogę przestać myśleć... — Jej oczy napelniły się łzami. — Kochana, droga Anna. — Pokręciła głową. — To mógł być każdy. To mogłam być ja!

—Dlaczego pani to mówi? Spojrzała mu w oczy.

—Wie pan, ile razy przechodziłam przez ten park?

— Jestem pewien, że bardzo wiele. Lecz jak często chodzi pani tamtędy sama w nocy?

Elizabeth sapnęła.

— Anna była sama, kiedy to się stało?

— Być może. Wiem, że nie była z mężem ani z bratem. Elizabeth odwróciła wzrok.

—Sądzymy, że poszła do teatru. Jeden z właścicieli pamięta, że towarzyszył jej mężczyzna — kontynuował Berg.

—Kto? — spytała skwapliwie Elizabeth.

—Właśnie dlatego pozwalam sobie zabierać pani czas. Miałem nadzieję, że pani mi to powie.

Elizabeth pokręciła głową ze łzami w oczach.

—Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

—Bardzo panią proszę, Frau Hultner. Wiem, że nie chce pani szargać jej pamięci. Wiem, że Frau Gross była pani przyjaciółką. Ale proszę, żeby pani to przemyślała. Mamy prawny i moralny obowiązek ukarać sprawcę, nawet kosztem dobrego imienia Frau Gross.

—Powiedziałabym panu, gdybym wiedziała. — Spojrzała na niego wilgotnymi oczami. — Ale nie wiem. — Pokojówka wróciła z kolejnym parującym czajniczkiem. — Ja dziękuję, Isolde. Dolać panu?

—*Bitte*.

Isolde naląła mu herbaty, którą Berg pił małymi łydkami, rozkoszując się gorącym aromatem.

—Może nie znała pani nazwiska, ale wiedziała pani, że w jej życiu jest ktoś nowy.

—Nie, Anna nie zwierzała mi się z tak intymnych spraw.

—Ale jako kobieta... widziała to pani po niej.

—Coś podejrzewałam — skapitulowała po dłuższym namyśle.

— Tak myślałem — stwierdził Berg z uśmiechem. — Co wzbudziło pani podejrzenia?

Elizabeth parsknęła śmiechem.

—Była szczęśliwa.

—A... jej małżeństwo nie było... zgodne? Elizabeth westchnęła i naciągnęła krótkie rękawiczki.

—Z tego, co widziałam, nie było między nimi wrogości. Anna zachowywała się wobec męża... miło. Ale nagle zrobiła się radosna i beztroska. Jak młoda dziewczyna, a nie zamężna kobieta.

—Była młodą dziewczyną.

—Która bardzo starała się być dojrzała. Która bardzo poważnie traktowała swoje obowiązki. Taką Annę znałam na początku. I nagle... jakby chmury się rozproszyły. Wzorowa żona zniknęła, a na jej miejsce wróciła młoda dziewczyna. Jeśli to nie była miłość, to nie znam się na miłości.

—Może zmiana wzięła się stąd, że Frau Gross spodziewała się dziecka.

—Anna spodziewała się dziecka?! — Elizabeth znowu sapnęła. — Och, to straszne! Biedna, biedna Anna! Biedny Anton! Nic mi nie powiedziała. — Pokręciła głową. — Przepraszam, ale nie mogę więcej na ten temat rozmawiać. Za bardzo mnie to przygnębia. Poza tym jestem umówiona z matką. Nie chcę, żeby mnie zobaczyła w tym stanie. Ma już swoje lata i strasznie się wszystkim przejmuje.

—Czy mogę pani zadać jeszcze jedno pytanie?

—Tylko szybko.

—Czy zna pani niejakiego Roberta Schicka? Być może jest Rosjaninem.

—Nie — odparła po chwili namysłu. — Czy to był ów towarzysz Frau Gross?

—Być może.

—Nie zdziwiłabym się, gdyby chodziło o Rosjanina. Anna zaczęła ostatnio dużo mówić o polityce. Do znudzenia. Przepraszam pana, ale naprawdę muszę już wyjść.

—Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. Czy mogę odprowadzić panią do tramwaju albo zamówić taksówkę?

—Mam samochód. Podwieźć gdzieś pana, *Herr Inspektor!*

—Komenda jest niedaleko stąd.

—Ale zmarznie pan. Z przyjemnością podwiozę pana na komendę... w ramach obywatelskiego obowiązku. — Elizabeth wyjęła ze skórzanej brą-

zowej torebki jedwabną chustkę, którą zawiązała sobie pod szyją. — Nalegam. Chodźmy.

Berg zmusił się do uśmiechu, chociaż miał spory dylemat: zmarznąć na kość czy pojechać samochodem z kobietą za kierownicą.

*

— Sukces! — oznajmił Berg po wejściu do biura *Mordkommission* na komendzie przy Ett Strasse. Georg jeszcze się nie zjawił, ale Ulrich siedział za biurkiem z przejętą, żeby nie powiedzieć zaaferowaną miną. — Nie tylko podejrzewam, że Anna Gross miała romans, to jeszcze przypuszczalnie znam nazwisko mężczyzny z portretu pamięciowego. Dobra wiadomość, co?

— Owszem, dobra wiadomość, ale raczej nie równoważy złej. Znaleźli kolejne ciało.

— *Ach, mein Gott!* Nie mówisz poważnie! Gdzie?

— Nie w Englischer Garten, ale blisko. Znaleziono zwłoki kobiety w gęstych zaroślach nad Izarą. Była ubrana w suknię wieczorową.

— Tak samo jak pierwsza. — Przygnębiony Berg usiadł. — Jestem...

— Wstrząśnięty?

— Tak, to dobre słowo.

— To może być zbieg okoliczności.

— Mam nadzieję. Bo jeśli to jest schemat wypracowany przez jednego zabójcę, to czeka nas mnóstwo pracy.

Storf oblizał wargi.

— To byłoby coś. Haarmann w Monachium — powiedział beznamiętnym tonem.

Typowe dla tych ludzi: wylewają wiadra łez, słuchając rzewnych piosenek miłosnych, ale śmierć kwitują wzruszeniem ramion.

Rozdział czternasty

Nad rzeką mgła zawsze była bardziej gęsta. Po paru minutach Berg poczuł, że chłód przenika mu przez ubranie aż do kości. Pod stopami chlupotała namoknięta materia organiczna. Co nie znaczy, że słyszał odgłos swoich kroków. Wody Izary z ogłuszającym hukiem spływały po turbinach. Z łomotem w głowie Berg maszerował szybko wzdłuż brzegu, zastanawiając się, z kim albo z czym ma do czynienia.

Ciało porzucono w południowej części miasta, o kilka minut spaceru od Niemieckiego Muzeum Nauki i Techniki — monumentalnego, krytego kopułami gmachu, który zajmował swoją własną wyspę na Izarze. Otwarte z wielką pompą muzeum było hołdem dla epoki przemysłowej — przeszłej, teraźniejszej i przyszłej. Policja miała w tych szacownych murach wystawę zatytułowaną „Morderstwo od strony naukowej”. Pokazane tam były nowoczesne metody pobierania odcisków palców, analizy zwłok i oceny materiału dowodowego pod mikroskopem. Cała ta najnowsza wiedza w żadnym stopniu nie łagodziła jednak wymowy bestialstwa, którego skutki leżały opodal na ziemi.

Okolo pięćdziesięciu metrów z przodu zobaczył gromadę funkcjonariuszy wokół *Mordwagen*. Krążył pośród czarnych mundurów, póki nie znalazł Müllera. Georg zaprowadził go na miejsce zdarzenia. Berg uklękł, aby obejrzeć ciało. Wyglądała na trzydzieści kilka lat, miała okrągłą twarz, a jej woskowata cera zszarzała po śmierci, ale za życia przypuszczalnie była różowa. Chemicznie rozjaśnione blond włosy zakrywały twarz podobnie jak pukle Anny Gross. Na głowie miała czarny kapelusz w kształcie hełmu, ocieniający zmętniałe, niebieskie oczy. Ofiara była kobietą pospolitej urody, czego nie zdołała zakamuflować szminka i róż. Czarna suknia dansingowa wyszywana paciorkami rozszerzała się u dołu. Suknia była droga, z licznymi paciorkami u góry i u dołu. Skojarzyła się Bergowi ze zdjęciami amerykańskich swingujących dziewczyn. Również ta kobieta miała na sobie tylko jedną pończochę. Obok leżało boa. Profesor

Kolb uklęknął obok Berga z wyrazem zdziwienia w wylupiastych oczach. Berg wpatrywał się w poziomą czerwoną linię na szyi kobiety.

— Zamordowana tak samo jak Anna Gross?

— *Ja*, obie uduszone — odparł Kolb. — Ale ta bardziej brutalnie. Rana sugeruje coś ostrzejszego i cieńszego — dratwę albo drut. Przecięło chrząstkę aż do kręgu szyjnego.

Berga zemdliło na chwilę.

— Czyli nie została uduszona pończochą?

— Raczej nie.

— W takim razie gdzie się podziała druga pończocha? Kolb skierował na Berga spojrzenie swoich owadzich oczu.

— Nie mam zielonego pojęcia.

Berg zawołał Müllera, który po chwili przykucnął obok niego.

— Czy ktoś zdejmował coś z ofiary, Georg?

— O ile mi wiadomo, w ogóle jej nie dotykano. Policjant, który odpowiedział na wezwanie, był bardzo rygorystyczny.

— Interesujące. — Berg wstał i reszta poszła w jego ślady.

— Kto zawiadomił policję?

— Pewien pan, który spacerował z psem. Nazywa się...

— Müller wyjął notatnik służbowy — Anders Johannsen. Mieszka na Widenmayer Strasse. Nawiasem mówiąc, blisko Anny Gross. — Georg schował notatnik, wyjął dwa papierosy, zapalił oba i podał jednego Bergowi. — Nie chcę przez to nic sugerować.

— Przesłuchano go? — Berg zaciągnął się głęboko. Kolb zaczął się oganiać od dymu. — Czy dym panu przeszkadza?

— To jest trucizna — oznajmił Kolb.

— Bzdura. — Müller zaciągnął się jeszcze raz. — Rozjaśnia w głowie i pomaga myśleć.

— Papierosy są ze smoły — poinformował go Kolb. — Miejsce smoły jest na jezdni, a nie w płucach.

Berg zgasił papierosa w palcach i schował do kieszeni.

— Czy Johannsen został przesłuchany, Georg?

— Złożę mu wizytę — odparł Müller.

—Tak, mądrze byś zrobił. — Berg zastanowił się chwilę. — Zagadkowa sprawa: pierwszy zabójca dusi Annę Gross jej pończochą, a ten używa dratwy albo drutu. Dobrze mówię, profesorze?

—Sądzę, że tak.

—To mogli być dwaj różni ludzie, ale jeśli ten sam człowiek zamordował najpierw Annę Gross, a teraz tę kobietę, nasuwa się pytanie: czy podszedł do tej kobiety z zamiarem zabicia jej?

Kolb uśmiechnął się.

—Podejrzewa pan, że zamordowanie Anny Gross sprawiło mu taką przyjemność, że postanowił znowu kogoś zabić, ale tym razem przy użyciu bardziej profesjonalnego narzędzia?

—Właśnie. Wczorajsze gazety krzyczały o tym z pierwszych stron. Są potwory, które czerpią perwersyjną rozkosz z takiego rozgłosu. Tacy ludzie jak Haarman, Grossman albo Denke.

—*Lustmord**²⁷. — Berg skinął głową. — Stawia pan ciekawą hipotezę, *Herr Inspektor*, że zabicie Anny rozbudziło w sprawcy apetyt na kolejne morderstwa — skomentował Kolb z uniesionym do góry palcem. — Niestety, jest to hipoteza błędna. Analiza wzrokowa jaj złożonych na ciele przez muchy skłania mnie do wniosku, że ta *Frdulein* została zamordowana pierwsza.

Berg zatrzepotał powiekami.

—Zabito ją wcześniej niż Annę Gross?

—Tak, *Herr Inspektor*, co najmniej trzy dni temu. *Rigor mortis* już ustąpił, pojawiła się natomiast siność i robaki. — Kolb ponownie uklęknął. — Robaki wykluwają się po kilku dniach. Proszę spojrzeć, *meine Herren*.

Berg zawahał się, ale skorzystał z propozycji. Müller nie miał innego wyboru, jak tylko przyłączyć się do nich. Kolb wsunął długi instrument w nozdrze denatki i rozchylił je. Wypełzła skłębiona kula białych larw.

— Tutaj też — powiedział profesor, rozchyliwszy usta ofiary.

Potem przysła kolej na kanał uszny.

²⁷ * *Lustmord* (niem.) — tu: morderstwo z namiętności.

— *Herrjemine!* — Müller wstał i dwa razy zakaszłał, połykając żółć. — Coś obrzydliwego!

Kolb wstał.

— Czy nauka może być obrzydliwa, inspektorze Müller? Berg podniósł się gwałtownie i poczuł wirowanie w głowie.

Mimo mroźnej pogody zalał się potem. Nie przywykł do oglądania skutków morderstwa z takimi dosadnymi detalami.

— Co za obłąkaniec zrobiłby coś takiego?

—To zabawne, Berg. Kiedy ktoś zabije dwie kobiety, jest obłąkańcem. Kiedy ktoś zabije tysiące ludzi, jest generałem, który okrywa swoich żołnierzy bitewną chwałą.

—Od kiedy zrobił się z pana taki, sceptyk? — Müller starł pot z czoła. Z ulgą zauważył, że Berg identycznie zareagował na mało apetyczny widok.

—Odkąd naziści wrócili do życia politycznego — odparł Kolb.

—Hitler ma wielu zwolenników w naszych szeregach — ktoś wtrącił się do ich rozmowy.

—Witamy, Storf — powiedział Kolb. — Czyżby dołączył pan do grona miłośników Austriaka?

—Ma sporo racji, kiedy mówi o degeneratach... — odparł Storf.

—Żydach — przerwał mu Kolb.

— Żydach, cyganerii, homoseksualistach, nowoczesnych artystach, kosmopolitach. Wszędzie sięją bezprawie i nieład.

—W przeciwieństwie do brunatnych koszul, które tylko biją staruszków na ulicach i demolują wszystkie piwiarnie w Monachium — zakpił Müller.

—Ja ich nie popieram, ale rozumiem ich gniew — bronił się Storf.

—Czy moglibyśmy na chwilę odłożyć politykę i zająć się tym morderstwem? — spytał Berg. — A właściwie... Może powinniśmy porozmawiać o polityce. Anna Gross interesowała się polityką. Miała komunistyczne ciągoty. Może komuś się to nie podobało.

—*Fememord**²⁸! — zasugerował Kolb.

²⁸ * *Fememord* (niem.) — tu: morderstwo z przyczyn ideologicznych.

—Nie ma dowodów na istnienie tego tajnego sprzysiężenia — przypomniał Storf.

—Ale wszyscy wiedzą, że istnieje — stwierdził Berg. — Wystarczy spytać rodzinę Amalie Sandmeyer.

Młoda wiejska dziewczyna dokonała ciekawego odkrycia, na porzuconej farmie znalazła nielegalny arsenał. Popelniła błąd, zawiadamiając o tej kryjówce policję. Wkrótce po tym została zamordowana.

—Powinniśmy co najmniej uwzględnić taką hipotezę.

—Tak, to możliwe, że Annę Gross zabili fanatyczni nacjonaści — powiedział Storf po namyśle. — Była żoną Żyda i flirtowała z komunizmem. Ale dwa morderstwa? Czy tajne stowarzyszenie ściągałoby na siebie taką uwagę?

—Coś w tym jest — poparł go Müller. — Brunatne koszule próbują oczyścić swój wizerunek. Po co narażaliby się na taką złą reklamę?

—Żeby ludzie się ich bali. Strach jest mocnym argumentem politycznym — stwierdził Axel Berg.

—Taka reklama zaprowadzi Hitlera z powrotem do więzienia, Axel — powiedział Storf.

Berg splótł ramiona na piersiach.

—Dobra, na razie pomińmy motyw polityczny i zajmijmy się osobistym. Zgwałcono ją?

—Podejrzewam, że nie, ale szczegółowych badań w tym kierunku jeszcze nie przeprowadziłem — zakomunikował Kolb.

—Wróćmy do spraw podstawowych: kto to jest? — spytał Berg. Nie usłyszawszy odpowiedzi, podjął: — Georg, jak tylko skończymy tutaj, pójdziesz porozmawiać z Herr Johannsenem.

—Myślisz, że on jest sprawcą?

—Mieszka blisko Anny, zawiadomił o znalezieniu ciała... Budzi moją ciekawość.

—Zrobi się.

—Dobra. Następna rzecz to identyfikacja ofiary. Ty się tym zajmiesz, Georg.

—Jeśli nikt nie zgłosił jej zaginięcia, to co mam robić? Chodzić od domu do domu ze zdjęciem?

—Dam ci paru patrolowców do pomocy. Będę też cię potrzebował do innego zadania, Ulrich. Brunatne koszule znają moje przekonania polityczne. Ty jesteś im przychylniejszy...

—Nie przychyliam się do ich bezprawnych działań — obruszył się Storf. — Nie podoba mi się, że zaliczasz mnie do tej samej kategorii, co zwykłych chuliganów.

—Ja cię nie klasyfikuję, Ulrich, tylko stwierdzam, że z nas trzech będziesz budził najmniejsze podejrzenia, jeśli się przyśiądziesz do ich *Ver-
ein*, nieprawda? — Storf burknął coś niezrozumiałego. — Jak następnym razem pójdziesz na piwo, posłuchaj, o czym mówią. Może znają tę kobietę, zwłaszcza jeśli była wywrotowcem. Kiedy ta sprawa trafi na czołówki gazet, wszyscy będą o niej mówili.

—I myślisz, że nie będą wobec mnie podejrzliwi? — spytał Storf. — Nigdy wcześniej nie siedziałem przy ich *Stammtisch*.

—Sam powiedziałeś, że mają wielu zwolenników w naszych szeregach. I uwiarygodnisz ich swoją obecnością. Powitają cię z otwartymi ramionami. Nawet jeśli naziści nie mają z tą zbrodnią nic wspólnego, to mogą posiadać przydatne dla nas informacje.

Nikt się nie odzywał.

—Czyli postanowione? — zapytał Berg. Storf skinął głową.

—Pięknie rozdzieliłeś zadania, Axel. A co zostaje dla ciebie?

—Mam podobiznę mężczyzny, który być może ostatni widział Annę Gross żywą, posiadam również znaną u Anny wizytówkę niejakiego Roberta Schicka, być może Rosjanina. Chciałbym pokazać to zdjęcie w herbaciarniach sowieckiego Monachium i sprawdzić, czy ktoś rozpozna na nim owego pana.

—Łatwiejsze zadanie niż moje — ocenił Storf. — Chętnie się z tobą zamienię.

—Doskonale — odparł Berg. — To oznacza, że musisz spotkać się z *Hauptkommissar* Volkerem.

—Co takiego? — wyjąkał Storf.

—Ulrich, jeśli zaczekam, aż Kolb wywoła zdjęcie tej kobiety, to spóźnię się na spotkanie z Volkerem. — Sprawdził godzinę. — Jestem z nim umówiony za trzydzieści minut. Idź. On nie lubi, jak każe mu się czekać.

Storf poczerwieniał, a potem odwrócił wzrok.

—Volker nie będzie zachwycony, kiedy przyjdę ja zamiast ciebie.

—Ja też tak sędzę. Nie jest człowiekiem zbyt elastycznym — powiedział Berg z kamienną miną. — Czyli co, wracamy do pierwotnych ustaleń?

Ulrich uniósł ramiona, po czym opuścił je wzdłuż ciała.

— Skoro uważasz, że tak będzie rozsądniej, to oczywiście. Berg uśmiechnął się i skinął głową. Łatwiej stawić czoło Hitlerowi niż gniewowi Volkera.

TLR

Rozdział piętnasty

W biurze Volkera unosił się gęsty dym papierosowy.

— Ohyda!

Kommissar zdjął marynarkę, żeby jego ramiona miały więcej swobody, i chodził tam i z powrotem. Złoty zegarek zwisał z kieszeni kamizelki i kołysał się jak wahadło. Znoszone buty na gumowym obcasie odstawały od ręcznie skrojonego niebieskiego garnituru w prążki. Z furją zgasił papierosa w niebieskiej popielniczce ze szkła Murano, by po chwili zapalić następnego.

— Woła o pomstę do nieba!

— To prawda, *Herr Kommissar* — zgodził się z nim Berg. — Za pańskim pozwoleniem dam do tej sprawy wszystkich wolnych ludzi.

— Jak to możliwe, że takie rzeczy dzieją się nam pod nosem, Berg? Dogrzebał się pan do czegoś?

— Jest kilka tropów.

Volker stanął w miejscu i spojrzał na Berga.

— Niech mi pan powie.

— Mam portret pamięciowy mężczyzny, który prawdopodobnie towarzyszył Annie wieczorem w dniu jej śmierci.

— Kto to jest?

— Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy, ale...

— Więc co nam przyjdzie z portretu pamięciowego? W Monachium mieszka pół miliona ludzi, z czego co najmniej pięćdziesiąt procent to mężczyźni! Szukaj wiatru w polu!

Takie irracjonalne zachowanie oznaczało, że ktoś wywiera na *Herr Kommissar* presję.

— Chciałbym zacząć od porozmawiania z aktywnymi członkami partii. Ta sprawa może mieć tło polityczne, *Herr Kommissar*.

— Ach, *Gott im Himmel**²⁹! Jakie znowu tło polityczne?

²⁹ * *Gott im Himmel!* (niem.) — Boże w niebie!

—Anna Gross spotykała się z jakimś Rosjaninem. Mogła zostać zamordowana z pobudek politycznych, osobistych albo jednych i drugich.

—Komunista?

—Niewykluczone. Brat Anny, Franz Haaf, powiedział mi, że flirtowała z komunizmem, zanim wyszła za mąż.

—I myśli pan, że morderca jest komunistą?

—Być może.

—A w jaki sposób polityka łączy się z nowymi zwłokami? Czy ta kobieta została przynajmniej zidentyfikowana?

—Pracujemy nad tym.

—Pracujecie nad wieloma rzeczami. Miło byłoby uzyskać jakieś odpowiedzi.

Berg pohamował złość.

—Ma pan słuszość, *Herr Kommissar*, odpowiedzi zawsze są pożądane. Georg Müller przesłuchuje Andersa Johannsena, człowieka, który znalazł ciało. Mieszka blisko Grossów.

—Czy to jest istotne? — spytał Volker, zwięziwszy oczy.

—Tego nie wiemy. Nikt nie zgłosił zaginięcia kobiety o takim rysopisie. Poleciałem profesorowi Kolbowi wykonać kilka zdjęć twarzy tej kobiety. Planuję pokazać je w okolicy.

—Powolna metoda. I mało apetyczna. Nie wszyscy nasi obywatele lubią oglądać takie drastyczne fotografie. Nie może pan wymyślić jakiegoś innego sposobu?

— Jeśli ma pan jakieś sugestie, to chętnie z nich skorzystam.— Volker milczał. — Kobieta miała na sobie strój wieczorowy. Jeśli bywała w Kaba-
retten, to ktoś mógł ją zapamiętać.

—To może potrwać wiele dni, a nawet tygodni.

—Sprawa ma dopiero dwa dni, *mein Herr*.

—A ile czasu potrzeba, żeby miasto ogarnęła panika, Berg?

— Volker osuszył czoło białą chusteczką. — Musimy kogoś aresztować. Niech pan zatrzyma jakiegoś włóczęgę i powie gazetom, że mamy podejrzanego.

Berg był w najwyższym stopniu zbulwersowany.

—Chce pan, żebym aresztował przypadkową osobę?

—Nie, nie przypadkową osobę, tylko włóczęgę, pijaka, człowieka bez domu i rodziny. Jest ich pełno na ulicach. Niech pan go dobrze traktuje, da mu coś ciepłego do zjedzenia i pozwoli wziąć gorący prysznic. W końcu go wypuścimy, ale wiadomość, że mamy kogoś za kratkami, uspokoi obawy, które na pewno się pojawią, kiedy ukażą się dzisiejsze popołudniówki. — Volker wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. — Tak, to dobry pomysł. Niech pan idzie i kogoś aresztuje.

—Nie uważa pan, że skompromitujemy się, kiedy kogoś aresztujemy, a potem wypuścimy po znalezieniu prawdziwego podejrzanego?

—Wręcz przeciwnie, wyjdziemy na odpowiedzialnych i skutecznych. Rajcy miejscy nam przyklasną. Mam nadzieję, że będą o nas pamiętali, kiedy przyjdzie do podziału budżetu.

—A jeśli szybko nie znajdziemy podejrzanego, to powiesimy tego niewinnego człowieka?

Volker machnął ręką.

—Raczej umrze na suchoty albo zapalenie płuc.

—Czy dobrze pana zrozumiałem, *Herr Kommissar*?

—Nie, nie powiesimy go — odparł Volker beznamiętnym tonem. — Nie zrobimy tego, bo zanim kat przygotowuje pętlę, pan znajdzie właściwego człowieka. — Usiadł za biurkiem. — Niech pan idzie poszukać kozła ofiarnego. — Berg zawahał się. Volker zgasił następnego papierosa. — Czego pan jeszcze chce?

—Zanim pójde aresztować naszego włóczęgę, chciałbym przynajmniej spróbować zidentyfikować tajemniczego mężczyznę z portretu pamięciowego. Planowałem pokazać rysunek bywalcom rosyjskich herbaciarni w Schwabing. Popołudniówki wychodzą o trzeciej, więc obywatele dopiero za kilka godzin dowiedzą się o kolejnych zwłokach.

Po chwili zastanowienia Volker przekonał się do tego pomysłu.

—Jeśli znajdzie pan człowieka godnego aresztowania przed wyjściem popołudniówek, to będę zachwycony.

—Przyświeca nam zatem ten sam cel. Różny jest natomiast harmonogram.

— Nie rozumiem.

— Zanim kogokolwiek aresztuję, chciałbym naradzić się z Mullerem i z Ulrichem, który próbuje zidentyfikować drugą denatkę. Gdyby dał mi pan jeszcze dzień lub dwa, to sądzę, że dowiedziałbym się ważnych rzeczy.

— Nie interesują mnie rzeczy, tylko nazwiska!

—*Herr Kommissar*, jeśli kogoś aresztujemy i dojdzie do następnego morderstwa, to będzie oczywiste, że daliśmy plamę.

—To zgarniemy drugiego włóczęgę i powiemy, że pierwszy miał współnika. Przynajmniej na ulicach będzie mniej lumpów.

— *Mein Herr?*

— Dobrze, dobrze, daję panu jeden dzień. — Volker pokręcił głową. — Może zdołam do tego czasu opędzić się od hien.

—Ma pan na myśli górę? — spytał z uśmiechem Berg. Volker nie odwzajemnił uśmiechu.

—Górują nade mną tylko ranga.

*

Liczne rosyjskie lokale gastronomiczne w północno-wschodniej części miasta to małe pomieszczenia z drewnianymi okiennicami i nazwami ręcznie wypisanymi cyrylicą na drzwiach. Idąc Kaiser Strasse, Berg pomyślał, że miałby ułatwione zadanie, gdyby Rosjanie, jak wszyscy inni mieszkańcy Niemiec, nosili mundury. A ponieważ nie nosili, musiał zgadywać, do którego lokalu uczęszczają członkowie poszczególnych partii. W tej sporej grupie etnicznej występowało wiele wewnętrznych podziałów i waśni.

Urok, piękno i dostępność Monachium działały jak magnes na rosyjskich imigrantów. Pierwsza fala imigracji zaczęła się po tym, jak Gieorgij Gapon stanął na czele marszu pod Pałac Zimowy w Petersburgu, zakończonego zamieszkami zwanymi krwawą niedzielą. Późniejsze demonstracje

i strajki zmusiły cara do powołania Dumy, w jakimś stopniu demokratycznego rosyjskiego parlamentu. Mimo że zamach stanu nie powiódł się, rząd Rosji wyszedł z tego rozprzężony i słaby. Kiedy wielka wojna doprowadziła do jeszcze większej destabilizacji gospodarczej, Trocki, a potem Lenin w 1917 roku dostrzegli niepowtarzalną szansę na przejęcie władzy.

Brutalne wymordowanie całej rodziny carskiej poskutkowało masową ucieczką rosyjskich rojalistów za granicę, gdzie znaleźli przytulisko u bawarskiej monarchii. Wittelsbachowie od setek lat rządili tym regionem, nakładając podatki, utrzymując własne armie i budując liczne zamki w Alpach.

W 1918 roku wszystko to rozwiązało się jak sen złoty. Niemcy poszli za przykładem swoich rosyjskich braci i Bawaria znajdowała się o maleńki kroczek od przystąpienia do Związku Radzieckiego. Na czele buntu stanął niemiecki komunista, Kurt Eisner, chudy, brodaty Żyd, którego ludziom w końcu udało się posłać Wittelsbachów na wygnanie. Wybrany na premiera Republiki Bawarskiej, Eisner obiecał rząd, który będzie służył wszystkim obywatelom. Rok później utopijnemu marzeniu Eisnera położyła kres kula zamachowca, która zdestabilizowała region i doprowadziła do hiperinflacji w 1923 roku. Jeszcze nie tak dawno na zakup jednego jajka potrzebna była cała taczka banknotów.

Po wojnie komunistyczna gospodarka Rosji, podobnie jak gospodarki wszystkich krajów europejskich, niedomagała. Kiedy władzę przejął Stalin, jego poczynania wywołały kolejny exodus Rosjan, którzy w połowie lat dwudziestych ściągali do Monachium. Tym razem byli to bolszewicy.

Każda frakcja rosyjska zakładała swoje herbaciarnie, gospody, salony szachowe i sale dancinowe. We wszystkich Kabaret-ten był identyczny jadłospis, zapachy i język. Ludzie wyglądali tak samo, ubierali się tak samo, pili to samo. Od czasu do czasu jakaś herbaciarnia czy gospoda podkreślała swoją tożsamość, wywieszając flagę carską, sierp i młot czy nawet plakat z Trockim. Po krótkim czasie przeciwnicy usuwali drażniący ich symbol. Berg nie przyszedł do sowieckiego Schwabing dyskutować o polityce, ale wszelkie rozmowy jakoś zawsze zbaczały w tym kierunku.

Była pora obiadu. Z otwartych okien były przenikliwe zapachy jedzenia: robotniczy posiłek złożony z cebuli, kapusty, rzepy i ziemniaków — i odrobiny mięsa, jeśli starczyło pieniędzy. Wieczorne menu było bardziej urozmaicone, obejmowało takie rosyjskie przysmaki jak bliny czy marynowany w wódce łosoś na zimno. Do tych pyszności podawano takie niemieckie dania jak *Spätzle*^{*30} i *Maultaschen*^{*31}. Jedzenie podlewano lokalnym piwem albo wódką— im więcej płynęło alkoholu, tym radośniej-sza panowała atmosfera.

Odbywał się turniej szachowy. Na chodniku ustawiono dziesiątki stolików, a na ławkach siedzieli mężczyźni z wszystkich przedziałów wiekowych, w grubych roboczych koszulach, połatanych portkach, podartych marynarkach i wełnianych czapkach. Zawodnicy pili piwo i palili jak smoki, analizując sytuację na szachownicy i naciskając guzik zegara po każdym ruchu. Turniej zbliżał się do końca. Po zakończeniu zawodów Berg zamierzał puścić wkoło zdjęcie Anny i portret pamięciowy jej nieznanego towarzysza. Na razie znalazł niewielką gospodę, która wyglądała zachęcająco i usiadł na stołku przy barze, jako jedyny klient.

— Löwenbräu, *bitte* — powiedział do barmana.

Na dźwięk języka niemieckiego barman zrobił się podejrzliwy, ale nalał mu kufel piwa z obfitym kołnierzem piany. Podał je Bergowi wraz z talerzykiem orzechów i pokruszonego precla.

— *Danke*. Dawno pan tutaj pracuje?

W oczach barmana pojawiła się wrogość z domieszką strachu.

— Czemu pan pyta?

Berg pokazał mu portret pamięciowy.

— Zna pan tego człowieka? Myślę, że jest Rosjaninem.

— *Niet* — odparł barman, przyjrzawszy się rysunkowi. — Nie znam go.

— A zna pan człowieka, który nazywa się Robert Schick?

— Nie. A kto to jest, jeśli można wiedzieć?

³⁰ * *Spätzle* (niem.) — zacierki.

³¹ * *Maultaschen* (niem.) — pierogi z ciasta makaronowego w kształcie kieszonki z cebuli, szpinaku i mięsa. Specjalność kuchni szwabskiej.

Barman mówił po niemiecku z wyraźnym akcentem, ale całkiem przyzwoicie. Mieszkał w Monachium już od jakiegoś czasu. Berg dopił piwo, wytarł usta rękawem i wyjął fotografię Anny Gross.

—A tę kobietę pan zna? Wzruszenie ramion.

—Nie.

—Z nikim się panu nie kojarzy?

—Nie.

—Wczoraj ją zamordowano. Pisali o tym w gazetach.

—Nie czytam niemieckich gazet.

—Jestem pewien, że w rosyjskich gazetach też o tym było.

—W ogóle nie czytam gazet.

—Nazywa się Anna Gross. Ale może się przedstawiać jako Anna Haaf.

— Nie słyszałem. Zadaje pan dużo pytań. Jest pan z policji? Berg włożył sobie do ust garść kawałków precla i wzruszył ramionami.

—Wszystkie papiery mam w porządku — zastrzegął się barman.

—Nie interesują mnie pana papiery.

—To co pana interesuje?

—Odpowiedzi. Niech pan się jeszcze raz zastanowi. Zna pan Roberta Schicka?

—*Niet!* — Stanowcze zaprzeczenie ruchem głowy. — Nie znam go. I tego człowieka z rysunku też nie. Niech pan idzie pomęczyć kogoś innego.

Berg wyjął z kieszeni kilka monet, ale barman powstrzymał go ruchem dłoni.

—Dam panu piwo. Pan nie mówi, że mnie pytał. Niemiecka policja tutaj to źle, *verstanden?*

—Tak, rozumiem. — Berg napisał na karteczce swoje nazwisko i numer telefonu na komendę. — Zostawiam pana. — Przesunął karteczkę po kon-tuarze. — Ale jak się pan czegoś dowie, to wypełni pan swój obywatelski obowiązek i poinformuje mnie. *Verstanden!*

—*Da, da...* — Berg zmierzył go srogim spojrzeniem. — Mówię panu. Mówię panu. Ja dobry człowiek.

—Wiem. Wszystkie papiery ma pan w porządku.

TLR

*

Turniej właśnie się skończył, kiedy Berg wyszedł z pijalni. Wyjął portret pamięciowy, fotografię Anny i zaczął pokazywać szachistom.

Nein.

Nein.

Niet.

Nein.

Niet.

Niet.

Niet.

Jakiś konus w kaszkiecie spytał, czy ten człowiek na rysunku to komunistą. Kiedy Berg odparł, że to niewykluczone, mężczyzna zeszytniał i oznajmił, że sam jest rojalistą. Berg zapytał, gdzie znajdzie Kommunisten. Konus zareplikował, że najprędzej w masowym grobie. Na nazwisko Robert Schick wszyscy reagowali tępyimi spojrzeniami. Nie pozostało nic innego, jak odwiedzać poszczególne lokale. Berg wyjął notatnik i zaczął od narożnego przybytku.

Po wejściu do siódmej herbaciarni — niewielkiej salki ze stolikami, krzesłami i nieodłącznym mosiężnym samowarem — uzmysłowił sobie, że jest głodny. Zaczekał dziesięć minut na wolne krzesło i za jedną markę zjadł obiad złożony z wędzonej ryby, sałatki z buraków i selera, bułki i nie-limitowanej ilości gorącej herbaty. Drogo, ale można się najeść do syta.

Szesnasto- albo siedemnastoletni chłopak grał na bałajce. Berg lubił muzykę ludową, ale najchętniej słuchał amerykańskiego jazzu. Przeżył rozczarowanie, kiedy po koncercie Andresa Se-govii Joachim wyraził preferencję dla gitary klasycznej.

W herbaciarni było tłoczno i gwarno, ale Berg nic nie rozumiał, bo mówiono po rosyjsku. Pijąc herbatę, uzmysłowił sobie, że ludzie czekają na jego miejsce. Kiedy muzykant na chwilę przestał grać, Berg wstał i wyszedł za młodzieńcem na dwór. Chłopiec miał gładką, jasną skórę, śladowy zarost, brązowe oczy i włosy koloru rdzy. Oparł się o ścianę i wyjął papiero-

sa. Berg podsunął mu zapalną. Zdziwiony młodzieniec skorzystał z jego uprzejmości. W jego oczach pojawiła się nieufność.

— *Spasibo*.

— Nie jestem Rosjaninem, tylko Niemcem — powiedział Berg. — Podobalo mi się, jak grałeś.

Młodzieniec śmigał oczami podejrzliwie, ale przyjął komplement skinięciem głowy, zaciągając się papierosem.

—Grasz w innych kawiarniach?

—Gram wszędzie, gdzie mi zapłacą. Pan ma kawiarnię?

—Może. Jak ci na imię?

—Na imię?

Berg uśmiechnął się i oparł wyciągniętą dłonią o ścianę, żeby uniemożliwić muzykantowi ucieczkę.

—Tak.

—Pan nie jest właścicielem kawiarni — orzekł młodzieniec.

—Nie, jestem policjantem. Jak ci na imię? Muzykant zastygł. Berg wyjął mu z ust papierosa.

—Chcesz zostać w Monachium, tak?

—Moje papiery są w porządku.

—W to nie wątpię. Jak ci na imię?

—Siergiej.

Na pewno fałszywe, ale Berg nie drażył tego tematu.

— Na pewno grałeś w wielu kawiarniach, Siergiej. Na pewno znasz dużo ludzi.

Młody człowiek milczał. Berg pokazał mu portret pamięciowy mężczyzny i zdjęcie Anny.

— Znasz którąś z tych osób?

Siergiej przyglądał się rysunkowi i fotografii. Jego oczy niczego nie zdradzały.

—Czemu pan pyta?

—Tak czy nie? Poznajesz którąś z tych osób?

—Kobiety nie. — Pokazał na portret pamięciowy. — Jego może widziałem.

—Może? — naciskał Berg, starając się ukryć podniecenie.

—Jak pan mówi: widuję dużo ludzi. — Siergiej odebrał Bergowi papierosa.

—Ten człowiek... ma nazwisko? — kontynuował Berg.

—Na pewno ma, ale ja go nie znam.

—Opisz mi go.

— Po co opisz? Pan ma obrazek.

—Wysoki, niski?

—Wysoki.

—Kolor włosów?

—Chyba brązowe.

—Oczy?

—Oczy nie pamiętam. Ale nosił monokl, jakby był ważny. Berg skinął głową, usiłując nie okazywać po sobie emocji.

—W jakim sensie ważny?

—Jak jakiś hrabia. — Młody człowiek splunął na ziemię.

—Arystokrata?

—Może. Ale tutaj jest dużo takich, co grają ważnych.

—*Schlawiner**³²?

—Może się podszywa, ale dobrze się podszywa. Zawsze jest z paniami.

—Z tą kobietą? — Berg ponownie pokazał mu fotografię Anny.

—Przecież panu mówię, że jej nie znam. — Strzepnął popiół na ziemię.

—Piękna jest. On zna dużo pięknych kobiet.

—Mówi ci coś nazwisko Robert Schick?

—Czy to jest on? — spytał Siergiej.

—Ty mi powiedz. Siergiej wzruszył ramionami.

—Robert Schick to nie jest rosyjskie nazwisko.

—Wiem o tym. Jeśli to *Schlawiner*, to mógł posługiwać się więcej niż jednym nazwiskiem. — Kiedy Siergiej dopalił papierosa, Berg poczęstował go drugim. — Słyszałeś, żeby ktoś tak do niego mówił?

³² * *Schlawiner* (niem.) — chytrus.

—Może słyszałem, jak ktoś do niego mówił Ro. Berg przypalił Siergiejowi papierosa.

—Ro? A cóż to za imię?

—Mówi pan, że na imię mu Robert. Może Ro jest od Robert.

—Czy Ro to może być rosyjskie imię?

—Chyba tak. Może Roman, może Rodion, może Rościsław, może nawet od nazwiska ostatniego cara: Romanow — powiedział z ironicznym uśmiechem. — Więc może to rzeczywiście jakiś hrabia. Takie dzisiaj czasy, że nie odróżni swojego od wroga.

—Ale jesteś pewien, że to Rosjanin?

—Słyszałem, jak mówił po rosyjsku, ale gdzie urodzony...?

— Muzykant wzruszył ramionami.

— Jak go znowu zobaczysz, to skontaktuj się ze mną. — Berg wręczył wyrostkowi swoją wizytówkę. — *Bitte*. A może powinienem powiedzieć *pażalsta!*

Siergiej uniósł brwi.

—Pan zna rosyjski?

—Umiem powiedzieć „proszę” i „dziękuję” — odparł Berg.

— Matka wychowała mnie na kulturalnego człowieka.

Rozdział szesnasty

Anders Johannsen siedział na sofie obitej adamaszkiem. Na kolanach miał jakieś zwinięte w kłębek białe, kudłate stworzenie ze złotym naszyjnikiem i różową muszką, a u jego stóp znajdowało się coś żywego, dużego i groźnego.

— To było coś potwornego! Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, bo Otto szarpał za smycz, ale nie spodziewałem się... — W roziskrzonych niebieskich oczach miał łzy i trochę paniki. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był wysoki i chudy. Wymachiwał rękami przy mówieniu, o mało nie strącając z kolan małego stworzenia. Ciężkie, ponure zwierzę na podłodze uniosło łeb. Obwisłe szczęki ociekały śliną. Otto przez chwilę wpatrywał się przed siebie tępym wzrokiem, po czym schował głowę między łapami i znowu zasnął. — Otto podjął zapach.

Pogłaskał francuskiego pieska i białe kłaczkę uniosły się w powietrze jak płatki śniegu. Kichnął.

—*Gesundheit*^{*33} — powiedział Müller.

—*Danke*. Moja mała — powiedział Johannsen, dotykając pyszczka suczki swoimi długimi, wytwornymi palcami — pobiegła prosto na miejsce.

Włosy miał prawie tak samo jasne jak sierść suczki. Bez wątpienia pochodził z północy.

—Psy mają dobre nosy — powiedział Müller.

—Bardzo dobre — potwierdził Johannsen.

Georg Müller siedział na ciemnofioletowej kanapie naprzeciwko Johannsena, ze stopami wsuniętymi pod siedzenie, żeby nie trącić groźnego brytana w żebra. Na kolanach miał notatnik i z zastruganym ołówkiem czekał na jakieś warte zapisania informacje. Na razie jednak doczekał się tylko niegodnych mężczyzny emocjonalnych wynurzeń.

³³ * *Gesundheit* (niem.) — na zdrowie.

Mieszkanie Johannsena było prosto urządzone, ale pedantycznie wysprzątane, począwszy od wypastowanych podłóg, a skończywszy na idealnie czystych szybach, które wpuszczały skąpe światło późnej monachijskiej zimy. Na ścianach wisiało kilka obrazów kubistycznych — kanciaste torsy w jasnych kolorach, bez ramion, nóg i głów — grupa prymitywnych rysunków, które mogły pochodzić z afrykańskich jaskiń, i jeszcze jedna, wykonana bardzo cienką kreską.

—Czy dotykał pan czegoś na miejscu zdarzenia? — zadał pytanie Müller.

—Chodzi panu o ciało? — Johannsena przeszły ciarki. — Wielkie nieba, nie! Otto lizał jej twarz. Chyba próbował ją obudzić. W pierwszej chwili myślałem, że jest pijana, ale potem stało się dla mnie oczywiste, że nie żyje! Byłem w absolutnym szoku!

— Tak, to musiało być dla pana ciężkie przeżycie.

—Bardzo ciężkie. — Znowu zadygotał. — Muszę powiedzieć, że jako obywatel oczekuję od policji, że zapewni nam bezpieczeństwo. Pozwolę sobie zatem spytać, co tu się dzieje?

—To zagadkowa sprawa — niejasno odpowiedział z sofy Müller.

—Czy morderstwa miały charakter polityczny?

—Czemu pan o to pyta?

—Ponieważ w Niemczech wszystko jest polityczne.

— Mówi pan w Niemczech, a nie w Monachium, Herr Johannsen. Czy pan się tutaj urodził?

—Nie, na północy.

—Hamburg?

—Dalej. Neumiinster.

—Co sprowadziło pana do Monachium?

Johannsen odgarnął włosy z czoła. Miał drobne rysy, wydatne czoło i haczykowaty nos. Wyglądał jak jasnowłosy brat bliźniak Beethovena. Westchnął głęboko.

—Przyjechałem przed wojną do miasta, które cieszyło się wtedy opinią bardzo twórczego i pełnego życia.

—Ja zawsze uważałem, że Bawarczycy są strasznie konserwatywni — odparł Müller.

—Okręg monachijski tak, ale samo miasto... Tutaj było inaczej. Na przełomie stuleci byliśmy prawdziwą cyganerią, a nie głupawymi paryżanami. Byliśmy Błaue Reiter.

—Pan jest malarzem, Herr Johannsen?

—Nie, mówię metaforycznie. — Pociągnął w powietrzu dłonią, by opuścić ją z powrotem na swojego francuskiego pieska. — Kolekcjonuję dzieła sztuki. — Wskazał kubistyczne obrazy. — Monachium to było niezrównane środowisko artystyczne. Wojna i przybycie Austriaka wszystko zmieniło. Hitler uważa się za artystę. Śmiechu warte. Na pewno pan kiedyś widział Karla Valentina z Lieslem Karlstadtem. Jego najnowsza interpretacja najnowszych czasów jest całkiem à propos tego, o czym mówimy.

„Skoro pan tak twierdzi”, Müller nie lubił ludzi, którzy wyrażali się tak jednoznacznie. Polityczni rywale zawsze zastawiają na siebie pułapki.

—O jakiej porze wyprowadza pan psy na spacer, Herr Johannsen?

—Wstaję o szóstej, z psami wychodzę o siódmej. Można regulować zegarek według mojego rozkładu dnia. Taki duży pies jak Otto nie może czekać ze swoją potrzebą.

—Oczywiście. Czyli znalazł pan zwłoki koło...

—Nie spojrzałem na zegarek, ale powiedziałbym, że mniej więcej kwadrans od wyjścia z domu.

—O siódmej piętnaście.

—Tak sędzę.

—I co pan wtedy zrobił?

—Znalazłem policjanta i opisałem mu sytuację. Widziałem, że ma ochotę mnie przesłuchać, ale zapisał tylko moje dane i puścił mnie do domu, żebym mógł uspokoić nerwy.

—Czy widział pan w pobliżu jakąś podejrzaną wyglądającą osobę?

—Było wokół mnie trochę ludzi, ale nie zauważyłem żadnej osoby, którą określiłbym jako podejrzaną.

Zresztą cóż to miało za znaczenie? Zdaniem profesora Kolba kobietę zamordowano co najmniej przed dwoma dniami. Müller zastukał ołówkiem w notatnik.

—Nie mam nic więcej do dodania — zniecierpliwił się Jo-hannsen i wstał z sofy. — Jeśli nie ma pan dalszych pytań, *Herr Inspektor*, to chciałbym wrócić do mojej pracy.

—A... — Przy wstawaniu Müller zbudził brytana, który wciąż się ślinił. Z jego gardzieli dobył się charkot. — Ugryzie mnie?

—Otto? — Johannsen postawił stopę na głowie psa. — To jest dziecko.

—Bardzo duże dziecko — stwierdził Müller, obchodząc bestię. — Można zapytać, na czym polega pańska praca?

— Jestem kompozytorem.

—A... — Müller rozejrzał się po salonie. — Ale bez fortepianu.

—Mam osobny pokój muzyczny. Dźwiękoszczelny. — Na twarzy Johannsena wykwitł uśmiech. — Nie chciałbym, żeby sąsiedzi się skarżyli. *Auf Wiedersehen**³⁴.

*

Pokazywanie zdjęcia zamordowanej kobiety przypadkowym osobom w nadziei, że ktoś ją zidentyfikuje, było czystym hazardem. Ale mimo prawdopodobieństwa sukcesu bliskiego zeru procedura ta niekiedy okazywała się skuteczna. Taki właśnie zaszedł przypadek, kiedy Storf zobaczył młodą, atrakcyjną kobietę wychodzącą w nowym nakryciu głowy od modystów Konigenów w pobliżu Maximilian Strasse. Posuwała się naprzód dosyć niezdarne, ponieważ niosła dwa duże pudła z kapeluszami. Miała na sobie kostium z brązowego tweedu i skórzane czółenka.

Storf podszedł do niej, kiedy próbowała wygodniej chwycić pudła, i pokazał pośmiertną fotografię. Nie spodziewał się wiele, toteż osłupiał, kiedy kobieta zrobiła wielkie oczy, ułożyła pomalowane czerwoną szminką usta w kształt litery „O”, a z jej gardła dobyło się sapnięcie. Szybko odwróciła wzrok.

³⁴ * *Auf Wiedersehen* (niem.) — do widzenia.

— Czy to jest Marlena?

Serce Storfa zabiło szybciej.

—Nie wiem, *meine Dame*, może pani mi powie.

—Jestem Fräulein Erika Schulweiss, a pan?

—Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Jestem inspektor Ulrich Storf. Przykro mi, że panią narażam na takie nieprzyjemne przeżycia, ale bardzo nam zależy na poznaniu tożsamości tej kobiety. Czy mogłaby pani jeszcze raz zerknąć na fotografię?

Zerknęła.

—Tak, to chyba Marlena.

—A dalej?

—Marlena Druer.

Storf dyskretnie przyjrzał się młodej kobiecie. Wyglądała na dwadzieścia parę lat i była szczupłą, ale rozrośniętą w biodrach. „Śliczna dziewczyna z ciałem doskonałym do rodzenia dzieci”, przeszło mu przez myśl. Poczł szarpnięcie między udami i odwrócił wzrok, wiedząc, że jest cały czerwony, ale kobieta chyba tego nie zauważyła.

— Myślę, że to Marlena. — Zaczęła obgryzać paznokiec. — Jest bardzo do niej podobna.

Storf wyjął notatnik i ołówek.

—A gdzie Frau Druer...

—Fräulein Druer.

—A. Więc gdzie Fräulein Druer mieszka?

—Nie tutaj — odparła Erika. — To znaczy nie w Monachium. Mieszka w Berlinie. Znajoma rodziny. Koleżanka mojej starszej siostry. Moja siostra też mieszka w Berlinie. Przyjeżdżają do nas raz do roku mniej więcej o tej porze, zaraz po *Fasching*. Ale w tym roku Henrietta — moja siostra — nie czuła się dobrze. Dwa miesiące temu urodziła czwarte dziecko. Więc Marlena przyjechała sama. Pan to wszystko zapisuje? — zdziwiła się.

—Tak, a przynajmniej próbuję.

—To będę mówiła wolniej. Strasznie szybko mówię. Moją rodzinę doprowadza to do szału. Wychowywałam się w Hiszpanii. Mieszka tam wielu

Niemców. Jeśli pan uważa, że mówię za szybko, to powinien pan posłuchać Hiszpanów. Do mojej szkoły chodzili uczniowie przeróżnych narodowości — Hiszpanie, Kubańczycy, Niemcy, Portugalczycy... istna Liga Narodów...

—Fräulein Schulweiss? — przerwał jej Storf. — Chciałbym porozmawiać o Marlenie Druer.

—A, tak. Marlena. — Erika postawiła pudełka na chodniku, poprawiła kapelusz i uniosła welon, żeby lepiej widzieć. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. — Ach, *mein Gott!* Jestem pewna, że to Marlena. To po prostu straszne! Na tej fotografii wygląda tak młodo.

Śmierć często odmładza, zwłaszcza twarz. Usuwa zmarszczki.

—Ile ona ma lat? — spytał Ulrich.

—Trzydzieści pięć. Tyle samo, co moja siostra.

—Czyli pani jest znacznie młodsza od siostry?

—Tak, to prawda. Mam dwadzieścia lat. Pochodzę z licznej rodziny. Henrietta jest najstarsza, a ja najmłodsza. Tylko mój brat i ja zostaliśmy w domu. Reszta pozakładała rodziny i wyprowadziła się. Dom jest coraz bardziej pusty, ale moi rodzice nie chcą stąd wyjeżdżać.

—Marlena zatrzymała się u was?

—Nie. Moja siostra zawsze mieszkała u nas, ale Marlena wynajmowała pokój w pensjonacie. Mówiła, że ceni sobie prywatność, co mnie zawsze dziwiło, bo w naszym domu nietrudno o prywatność.

—Kiedy ją pani widziała po raz ostatni?

—Och, może trzy dni temu.

—I nie była pani zaniepokojona, że od trzech dni nie ma pani od niej wiadomości?

—Absolutnie nie. Marlena zawsze chodziła swoimi ścieżkami. Jeśli nas nie odwiedzała przez kilka dni, to myśleliśmy sobie, że jest czymś zajęta. Dziewczęta zawsze przywoziły ze sobą narty, więc mogła pojechać w góry, nawet do Szwajcarii. Albo zmienić nagle plany i wrócić do Berlina. Czy pojechać do Paryża. Taka już była. Myślę, że moja siostra dlatego tak ją uwielbiała. Henrietta jest bardzo nieśmiała, a Marlena wręcz przeciwnie. Dziwna z nich para. — Oczy napłynęły jej łzami. — Co za straszna historia!

Storf poklepał ją pocieszająco w plecy.

— Tak mi przykro. Chcielibyśmy skontaktować się z kimś, kto przyszedłby do kostnicy zidentyfikować zwłoki. Czy pani ojciec albo brat podjąłby się tego nieprzyjemnego zadania?

Łzy Eriki popłynęły szeroką strugą.

— Tak, oczywiście. — Wyjęła z torebki chusteczkę. — Pan im przekaże tę potworną wiadomość. Ja nie potrafię.

— Oczywiście, Fräulein Schulweiss. Nie możemy pozwolić, aby taka śliczna dziewczyna jak pani brudziła sobie ręce takimi strasznymi sprawami.

Erika uśmiechnęła się do niego.

— Bardzo pan miły, inspektorze.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Storf podniósł z chodnika pudła. — Będzie pani tak uprzejma i zaprowadzi mnie do swojego domu, żebym mógł porozmawiać z panami?

Erika poczerwieniała.

— Mój ojciec jest w pracy, brat też.

— W takim razie może mi pani podać adres miejsca zatrudnienia pani ojca? — Erika milczała. — Sprawa jest pilna, Fräulein Schulweiss.

— Mój ojciec jest lekarzem, *Herr Inspektor*. Dzisiaj operuje.

— Czy w takim razie mogę porozmawiać z pani bratem?

— Jego też nie ma w domu.

— No to mamy kłopot. Proszę przynajmniej pozwolić mi odprowadzić się do domu i zanieść te pudła. Chciałbym chociaż w jakimś stopniu wynagrodzić pani to, że przyniosłem pani tę straszną wiadomość.

— Bardzo miło z pana strony, *Herr Inspektor*. — Uśmiechnęła się do niego. — Chodźmy na przystanek tramwajowy, to niedaleko.

Szli w milczeniu. Storf chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Marlenie Druer i jej zwyczajach, ale w gęstym tłumie musiał skupić się na tym, żeby jakiś przechodzień nie wytrącił mu z ręki pudeł z kapeluszem.

— Mam pomysł — powiedziała Erika pogodnym tonem. — Może pan zaczeka na mojego brata u nas? Myślę, że będzie lepiej, jeśli sprawy policyjne zostaną załatwione w domu.

—A o której brat ma wrócić?

—Jest trzecia... Za godzinę, może trochę później.

Serce Storfa znowu zabiło żywiej. Dziewczyna nie tylko była kształtna, ale miała również bardzo urodziwą twarz. Oczywiście pochodziła z zupełnie innej warstwy społecznej, ale nie zaszkodzi trochę odpocząć w miłym towarzystwie. Był na nogach od co najmniej trzech godzin. Napije się herbaty, może nawet zostanie poczęstowany piwem.

—Jeśli pani matce nie będzie to przeszkadzało, to zaczekam u państwa w domu.

—Absolutnie nie będzie jej to przeszkadzało — odparła Erika z szerokim uśmiechem. — Nie ma jej w mieście.

TLR

Rozdział siedemnasty

W piwiarni panował tłok, większość stołów była zajęta przez *Vereine*, liczne stowarzyszenia, które nieustannie zawiązywały się, rozwiązywały, reaktywowały. Na każdym stole stał proporczyk z insygniami. Do *Vereine* zaliczały się nie tylko przybudówki partii politycznych, ale również związki zawodowy stolarzy, związek zawodowy hydraulików, związek zawodowy murarzy, związek zawodowy krawców i oczywiście miejska policja, aczkolwiek w tej piwiarni — Der Bierkeller — Berg nie widział proporczyka swojej formacji. Zlustrował okiem towarzystwo i po chwili zauważył kilka wolnych miejsc na końcu długiego stołu na kozłach. Usiedli razem z Müllerem i zamówili dwa Löwenbräu.

Berg porównał wskazania zegara na ścianie z zegarkiem, który nosił na przegubie — prezentem ślubnym od teścia. Miał grawerowaną kopertę z osiemnastokaratowego złota, ale spóźniał się. Berg przestawił go na kwadrans po piątej, nakręcił i przyłożył do ucha, żeby sprawdzić, czy tyka.

— Storf nie zwykł się spóźniać — zauważył Berg. Stały przed nimi dwa ociekające pianą kufle.

—Może się czegoś dowiedział. — Müller pociągnął duży haust piwa. — Ach... *das tut gut*^{*35}.

—Czego się dowiedział? Kontaktował się z tobą?

—Nie. — Müller wypił kolejny łyk. — Tylko tak sobie gdybam.

—Czy profesor Kolb powiedział coś więcej na temat denatki?

—Nie, to samo, co tobie. Jaja owadów wskazują, że zmarła około trzech dni temu. Mnie się wydaje, że on lubi się bawić takimi obrzydliwościami.

—Że też dopiero Johannsen ją znalazł. Szkoda.

—Tak, szkoda.

—Czy coś jeszcze wiadomo, oprócz tego, że została uduszona?

—Nie zrobiono tego pończochą.

³⁵ * *Das tut gut* (niem.) — dobre, wyśmienite.

—Tak. Kolb powiedział, że dratwą albo drutem. Byłem przy tym. Georg zakąsił preclem.

—Kiedy oglądał ranę pod mikroskopem, zauważył w pobliżu regularny deseń płytkich zagłębień w skórze. Złożony z małych kólek...

—Odcisnięty łańcuszek naszyjnika — stwierdził Berg.

—On też tak uważa.

—Znaleźliście przy niej naszyjnik?

—Nie — odparł Müller — ale była ubrana w wieczorowy strój, więc można przyjąć, że nałożyła naszyjnik. Sprawca zamordował ją za jego pomocą, a potem zabrał go.

—Znaleźliśmy drugą pończochę?

—Nie.

—Może ją też zabrał.

—Po co?

Berg zastanowił się chwilę.

—Niektórzy przestępcy tacy są. Zabierają ofiarom różne rzeczy, ubranie albo biżuterię.

—Na ogół chodzi im o rzeczy wartościowe.

—Tak, oczywiście, ale czasem biorą też takie, których nie można sprzedać. Pamiętam przypadek mordercy, który ucinał ofiarom pukle włosów. Powiedział, że chciał mieć jakąś pamiątkę.

Müller pokręcił głową.

—Przedziwne.

—I nie zgwałcono jej? — spytał Berg.

—Wygląda na to, że nie, ale rozkładała się już od kilku dni. Profesor Kolb porobił wymazy, może czegoś się dopatrzy pod mikroskopem.

—Czyli już są różnice. Jedną zgwałcono, drugiej nie. Może mamy dwóch różnych sprawców.

—Rzeczywiście. — Müller wypił kolejny łyk piwa. — Umieram z głodu. Jesz coś, Axel?

Berg był zatopiony w rozmyślaniach.

—Ale w obu przypadkach zniknęła pończocha, i to z tej samej nogi. To wskazuje na jednego mordercę, nie sądzisz?

—Sądzę, że jestem głodny. Co byś powiedział na chleb z serem i wędliną?

Berg przez chwilę przyglądał się Mullerowi bez zrozumienia, a potem powoli wrócił na ziemię.

— Tak, pyszny pomysł.

Wezwali kelnera. Müller musiał krzyczeć, żeby go usłyszano. Ludzie śmiali się głośno i ryczeli do siebie, a poza tym zaczęły się śpiewy — a cappella i fałszujące. Orkiestra dęta nie rozpoczęła jeszcze swojego występu, na razie szykował się do grania akordeonista w tradycyjnym bawarskim stroju, złożonym z białej koszuli, szelek i *Lederhosen*. Szkło dzwoniło o szkło i zadzierzgały się chwilowe przyjaźnie. Piwo nastraja lekkomyślnie — i czemu nie? Życie jest smętne, pogoda też — trzeba brać, co daje los.

Idąc tym torem, Berg pomyślał o Margot. Wyobraził ją sobie, jak uśmiecha się uwodzicielsko przed lustrem, wachlując twarz pięknymi czarnymi piórami. Zastanawiał się wcześniej, czyby jej nie odwiedzić przed spotkaniem z Müllerem, ale szybko zarzucił ten pomysł. Lepiej się za bardzo nie angażować, chociaż dłuższe okresy wierności małżeńskiej wprawiały go w rozdrażnienie.

—Gdzie ten Storf? — burknął.

—Przyjdzie, Axel. Nie gorączkuj się.

„Zapomnij o niej!”, pomyślał. Głośno zaś zapytał Müllera:

—Czy z przesłuchania Andersa Johannsena coś wynikło?

—Tylko o pracy umiesz gadać?

—Myślisz, że zadaję się z tobą dla przyjemności? Müller uśmiechnął się.

— Herr Johannsen twierdzi, że znalazł ją piętnaście po siódmej rano.

—Jest tego pewien?

—Zawsze wychodzi na spacer z psami o tej samej porze.

—W jakim jest wieku?

—Po pięćdziesiątce, ale wygląda młodziej, nie licząc siwych włosów.

—Opisz mi go.

—Ostre rysy, długi nos...

—A wzrost? — przerwał Berg.

—Co?

Müller nie usłyszał go w tym zgiełku.

—Pytałem o wzrost.

—Na moje oko metr dziewięćdziesiąt.

Śpiewy zrobiły się głośniejsze i bardziej entuzjastyczne. Każda *Verein* chciała pokazać, że dysponuje lepszymi głosami. Konkurs momentami przeradzał się w litanie wyśpiewywanych wyzwisk. W ogólnej kakofonii zatracaly się wszelkie melodie.

—Mężczyzna, który towarzyszył Annie Gross, był wysokim blondynem — zauważył Berg.

—Johannsen ma włosy siwe, a nie blond.

—Przy pewnym oświetleniu można to pomylić. — Berg wyjął portret pamięciowy. — Podobny?

Müller bardzo uważnie przyjrzał się rysunkowi.

— Tylko bardzo ogólnie. Wąska twarz, ostry nos. Ten rysunek może przedstawiać tysiące mężczyzn, Berg.

Miał rację. Mimo to Berg nie mógł się opędzić od myśli, że Herr Johannsen jest kimś więcej niż tylko przechodniem, który przypadkowo znalazł ciało.

—Czy Johannsen sprawiał wrażenie zdenerwowanego, kiedy z tobą rozmawiał?

—Jasne, że był zdenerwowany. W końcu nie codziennie człowiek znajduje rozkładające się zwłoki. Czemu go podejrzewasz?

—Bo niektórzy zbrodniarze lubią ponownie odwiedzać miejsce, w którym dokonali swego dzieła. Może on się z nami bawi. Jak Kuba Rozpruwacz...

—Frau Gross była mężatką, nie prostytutką.

—Niewykluczone, że miała romans. A o drugiej kobiecie nic nie wiemy.

—Może Storfowi udało się coś wywęszyć — zasugerował Müller.

—Tylko gdzie on jest? — marudził Berg.

Kelner przyniósł talerze z wędliną i serem oraz koszyk razowego chleba. Rozmowa trochę straciła tempo.

—Pokazywałem dzisiaj portret pamięciowy w rosyjskich herbaciarniach — poinformował Berg kolegę. — Muzykant, który gra na bałajce, powiedział mi, że mężczyzna z rysunku przypomina niejakiego Ro, człowieka, który przedstawia się jako upadły arystokrata, ale jest niezbyt przekonujący.

Müller uniósł brew.

—Czyli mężczyzna z portretu naprawdę istnieje?

—Sądzę, że tak. Pokojówka Anny Gross również go rozpoznała jako człowieka, którego Anna u siebie przyjmowała, być może Rosjanina. Znaleźliśmy wizytówkę, której pokojówka nie umiała przypisać żadnej osobie. Robert Schick. Ro — Robert, nie wygląda mi to na zbieg okoliczności.

—Mnie też. Skoro masz nazwisko i portret pamięciowy, to czemu w ogóle jako sprawcę bierzesz pod uwagę Andersa Johannsen?

—Człowiek, który udaje kogoś innego, przedstawia się różnymi nazwiskami.

—Johannsen mieszka w ładnym mieszkaniu, sprawia wrażenie zamożnego. Nie wygląda na człowieka, który udaje kogoś innego.

—To tylko hipoteza — odparł Berg. — Poza tym nie mogę wykluczyć możliwości, że morderców jest dwóch.

Kątem oka zobaczył Storfa, zagonionego i rozchełstanego, i pomachał mu. Storf przebijał się przez tłum, trącając ludzi łokciami i przewracając kufle piwa. Po każdej kraksie wylewnie przeproszał. W końcu usiadł obok Müllera.

—Przepraszam — wysapał.

Berg spojrział na zegarek: za piętnaście szósta.

—Sprawy służbowe cię tak długo trzymały?

—Oczywiście. — Storf był umęczony jak po długim biegu. — Gorąco tutaj.

—Gorąco i głośno — poskarżył się Berg. — Nie wiem, czemu zawsze musimy się spotykać w piwiarniach.

— Wyglądasz mi na spragnionego, chłopie. — Müller skinął na kelnera, żeby przyniósł jeszcze jedno piwo.

— Dziękuję ci, Georg — odparł Storf.

— Mam nadzieję, że przynajmniej masz dla nas jakieś ciekawe informacje.

Storf opróżnił kufel do połowy.

— Czy dla ciebie istnieją tylko sprawy zawodowe, Axel? — Z uśmiechem wyjął z kieszeni fotografię. — Ta kobieta to nasza denatka, prawda?

Zdjęcie przedstawiało ofiarę w żywotniejszej fazie jej egzystencji: ładna, ciemnowłosa dziewczyna z okrągłymi brązowymi oczami, szerokim uśmiechem i dwoma uroczymi dołeczkami. Berg i Müller spojrzeli na Storfa z uznaniem.

— Bravo! — powiedział Müller.

— Skąd wzięłeś tę fotografię? — spytał Berg. Storf pominął tę kwestię milczeniem.

—Nazywa się Marlena Druer. Pochodzi z Berlina. Przyjechała do Monachium odwiedzić znajomych, rodzinę Schulweis-sów. Od trzech lub czterech dni nie mieli od niej wiadomości. Nie zgłosili jej zaginięcia, bo często się zdarzało, że znikła bez słowa na wiele dni. Zatrzymała się w pensjonacie Der Blumengarten w Giesing. Nie przeszukałem pokoju. Pomyślałem, że zrobimy to razem po kolacji.

—Jak się o niej dowiedziałeś?

—Miałem szczęście.

—Dobra robota — pochwalił go Berg. — Co tam dobra — świetna!

—*Danke*. — Storf dopił piwo i oblizał wargi. — Tego mi było potrzeba. Müller zamówił mu kolejne piwo. — Pij — rzekł.

—Z miłą chęcią. — Storf pociągnął spory haust, po czym spojrział zaniepokojony na Berga. — Czy coś jest nie tak?

—Masz na sobie krew.

—Krew? Gdzie?

—Na szyi. — Berg starł mu palcem czerwoną plamę tuż poniżej szczęki. — Już nie ma.

—Zaciałeś się przy goleniu? — spytał Müller.

—To była szminka — stwierdził ze śmiechem Berg i uniósł kufel. — Za człowieka, którego zawodowe poświęcenie nie zna granic!

TLR

Rozdział osiemnasty

Volker słuchał jednym uchem. Temat przemówienia był zgrany, ale Hitler perorował z taką energią i zaangażowaniem, jakby wygłaszał tę diatribę po raz pierwszy. W jego niebieskich oczach błyskało coś nie do końca ludzkiego. Pewność siebie przebijająca z jego głosu kłóciła się z nerwowością dłoni, które wzięły z koszyka trzecią już bułkę i roztarty ją w palcach na proszek. Natychmiast pojawił się jeden z jego akolitów, nie więcej niż czternastoletni chłopiec z pryszczatą cerą i sterczącym jabłkiem Adama. Nastolatek strzepnął okruszki miotełką z blatu stołu na talerz. Austriak był człowiekiem pedantycznym.

Ostria Bavaria należała do ulubionych restauracji Volke-ra. Serwowano tam kuchnię włoską, ze wspaniałymi serami, przyprawami, egzotycznymi warzywami typu karczochy oraz makaronem w przeróżnych kształtach i rozmiarach. Tego wieczoru szef kuchni polecał pyszną cielęcinę po parmeńsku ze świeżymi szparagami. Lokal znajdował się w samym sercu Schwabing i przyciągał wielu turystów, jak również nazistów, którzy mieli się za malarzy. W inne dni Ostria Bavaria była tłoczna od przedstawicieli cyganerii, którzy być może obrzuciliby dzisiejszego mówcę talerzami, ale Hitler i NSDAP wyciągnęli od darczyńców dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wynająć wszystkie sale dla zwolenników partii. Mówca przeskakiwał z tematu na temat — od zwyrodniałej sztuki do zwyrodniałych Żydów.

Restauracja była urządzona tradycyjnymi bawarskimi sprzętami z ciemnego orzecha, zdobionymi południowoniemieckimi wolutami. Obite brązową skórą boksy oświetlało bursztynowe światło elektryczne. Na każdym stole stały świeże kwiaty, a rysunki na ścianach sławiły rozkosze polowania. Na półkach i gzymsach kominków stały wielkie kufle i pomalowane kubki. We wszystkich trzech paleniskach huczał ogień, a mimo to w kamiennym budynku było chłodno. Nic nie szkodzi. Kto siedział za daleko od ognia, rozgrzewał się alkoholem.

Bębniąc palcami o udo, Volker przyglądał się kompanom: swoim bezpośrednim zwierzchnikom, dyrektorowi Maxowi Brum-merowi i komendantowi Stefanowi Roddewigowi, oraz ich przełożonemu, wiceburmistrzowi Roderickowi Schlüsselowi, ponuremu mężczyźnie po pięćdziesiątce. Schlüssel oficjalnie wybaczył Hitlerowi jego wpadkę z 1923 roku — błąd w ocenie sytuacji, który pociągnął za sobą szesnaście ofiar śmiertelnych — ale wciąż nie do końca ufał naziście. Volker zdawał sobie sprawę, przed jakim dylematem stoi ten człowiek. Schlüssel i władze musiały uporać się z problemem rosnącej popularności humorzaste-go mężczyzny, który potrafił w jednej chwili zmienić się z czaru-sia w obłąkańca. Taka nieprzewidywalność wymagała najwyższej czujności.

Hitler snuł swoją tyradę przez kolejne dziesięć minut, po czym nagle urwał. Bez słowa wyjaśnienia strzelił po prusku obcasami, uklonił się nieznacznie i wyszedł z sali, zanim ludzie zdążyli się zorientować, że wystąpienie skończone. Jego przybocznicy szybko wyszarpnęli spod szyj serwetki i udali się za nim, również zaskoczeni tym nagłym zejściem ze sceny. Kola-cja Hitlera — spaghetti z warzywami w sosie pomidorowym — stała nie-
tknięta.

Po wyjściu świty wodza Volker zadarł głowę i szepnął w stronę sufitu:

— Mój Boże, ten to się rozgaduje...

Roddewig nachylił się ku niemu i ostrzegł go szeptem:

—Ostrożnie...

—Nie odmawiam jego poglądom pewnej dozy słuszności — odparł Volker — sugeruję tylko, że mógłby je wyrażać zwięźle.

W głębi duszy był jednak zadowolony, że Hitler przemawiał tak długo. Dzięki temu jego zwierzchnikom zostało niewiele czasu na omówienie sprawy dwóch morderstw — i braku postępów śledztwa.

Schlüssel pił kawę z alkoholem.

— Tak, są sprawy, które fachowiec załatwia szybko — potwierdził wiceburmistrz.

Polityk zawsze ma na podorędziu kąśliwy komentarz. Schlüssel był łysym okularnikiem o pociągłej twarzy i wydatnym nosie. Ignorując przytyk,

Volker sięgnął do kieszeni i poczęstował współbiesiadników cygarami. Po paru chwilach spowity ich kłęby paskudnego dymu.

—Zauważył pan, że Hitler więcej niż raz wspomniał o morderstwach? — nie ustępował Schlüssel.

—Tematy zastępcze to chleb powszedni polityki — zripo-stował Volker.

—To nie jest temat zastępczy, Martin — odrzekł wiceburmistrz. — Całe Monachium o tym mówi. Nie możemy pozwolić, żeby miasto ogarnęła panika. — Schlüssel wydmuchnął kwaśny dym. — Musimy mieć jakieś odpowiedzi.

Volker powoli przebiegł zawziętym wzrokiem po swoich zwierzchnikach. Obaj wiedzieli, że komisarz ustępuje im rangą, ale nie realną władzą, którą zawdzięcza majątności i pozycji społecznej swojej rodziny. Znacząco wspomagał też policję finansowo. Bez jego zmysłu organizacyjnego w wielu wydziałach, także w nowo utworzonej *Mordkommission*, panowałby bałagan. Co najistotniejsze jednak, Volker jakimś sposobem zdołał zgromadzić haki na ważnych monachijskich polityków. Dawało mu to sporą zakulisową władzę, którą posługiwał się jednak z umiarem. Gdyby przesadził z pazernością, skończyłby z kulą w plecach.

— Co panowie proponujecie, żebym zrobił?

Cisza. Roddewig zamówił kolejną brandy, unosząc kieliszek w stronę kelnera.

— Co z Antonem Grossem?

„Znowu wracamy do tej koncepcji?“, pomyślał Volker.

—A co ma być?

—Myślę, że byłoby rozsądne, gdybyś go aresztował.

—A jak wytłumaczyłbyś naszym mieszkańcom związek Herr Grossa z drugą ofiarą, Marleną Druer?

Roddewig zareagował głuchym milczeniem. Schlüssel wypił łyk kawy. Kłęby dymu cygarowego zgęstniały.

Max Brummer dopił sznapsa jabłkowego i zabrał głos.

—Zatrzymaj Grossa i puść w obieg informację, że morderstwa nie są ze sobą powiązane. Wtedy przynajmniej do jednego morderstwa będziemy mieli podejrzanego.

—A jeśli morderstwa są ze sobą powiązane? — zaproponował Volker.

—Ponieważ nie ma przesłanek za żadną z wersji, nie zaszkodzi założyć, że nie są — powiedział Schlüssel. — Może zabójstwa są efektem żydowskiego spisku, o którym mówi Herr Hitler. Żydzi mordują swoje niemieckie żony.

Volker z trudem powściągnął złość.

—Druer nie była nawet zamężna.

—Ale mówiłeś nam, że należała do środowisk artystowskich — stwierdził Brummer. — Może zamordował ją żydowski narzeczony.

—Jaki żydowski narzeczony? — zaprotestował Volker. — Szukamy Rosjanina, nie Żyda.

—Może rosyjski Żyd? — zasugerował Roddewig. — Nie dają się zniechęcić działaniom Stalina i wciąż drzwiami i oknami walą do partii bolszewickiej.

—Jeśli to bolszewicki Żyd, pozwólcie mi go znaleźć — powiedział Volker.

—To można robić niezależnie — stwierdził Schlüssel — a na razie postawi się zarzuty Grossowi, z czym nie powinno być problemu. Podobnie jak wielu innych przedstawicieli swojej rasy jest zarażony *Lustmord*, popychającym go do gwałtów na naszych dziewiczych niemieckich kobietach.

—Przed chwilą Druer była wyuzdaną artystką, a teraz jest Marią Dziewicą. — Volker wydmuchnął obłok dymu i uśmiechnął się. — Z całym szacunkiem, panowie, ale sądzę, że byłoby bardziej konstruktywne zatrzymać sprawcę tych zbrodni niż zwać je na Żydów.

—Ale może to Żydzi je popełnili.

—Świetnie — powiedział Volker. — Jeśli to Żydzi zamordowali te kobiety, wszyscy będą zadowoleni. A jeśli nie Żydzi, to znajdziemy sposób, żeby zrzucić winę na Żydów. Ale teraz trzeba znaleźć mordercę, bo zależy nam przede wszystkim na tym, żeby nie doszło do kolejnych morderstw.

—Nawet nie chcę słyszeć o kolejnych morderstwach — obruszył się Schlüssel. — Byłaby to woda na młyn propagandy Herr Hitlera, której mógłby użyć do obalenia władz. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny pucz.

—Do tego nie dojdzie. Jeśli Austriakowi znowu powinie się noga, będzie na zawsze skompromitowany.

—A jeśli mu się nie powinie? — Schlüssel pokręcił głową. — Sądzę, że jest pan trochę naiwny, Martin.

—To może powinniśmy oskarżyć o te morderstwa siepaczy Hitlera, zanim on ich użyje przeciwko nam.

—Lepiej trzymajmy się Żydów, Martin — wtrącił się Brummer. — Aresztuj tymczasowo Grossa, a jak znajdziesz prawdziwego mordercę, to go wypuścisz.

—Nie mam żadnych podstaw do jego aresztowania, Max. Już przerabialiśmy ten temat.

Schlüssel spojrział na niego z nienawiścią w oczach.

— Muszę pana o to zapytać, *Hauptkommissar* Volker: czy pana powściągliwość jest oznaką sympatii do parchów?

Volker uśmiechnął się, nieznacznie unosząc kąciki ust.

— Nie mam żadnych sympatii ani antypatii, tylko próbuję rozwikłać zagadkową sprawę.

— Któregoś dnia będziesz musiał zająć stanowisko! — pouczał go Brummer.

—Może któregoś dnia, ale nie w tej chwili.

—Skoro koniecznie chce pan być bezstronny — powiedział Schlüssel — to obawiam się, że będę zmuszony wydać panu polecenie służbowe. Jutro rano aresztuje pan Antona Grossa pod zarzutem zamordowania żony. Ja zadbam o to, żeby wszystkie gazety zostały o tym poinformowane. Jeśli Anton Gross okaże się winny tej zbrodni, to nie ma problemu. Jeśli okaże się niewinny, to po znalezieniu prawdziwego sprawcy wymyślimy, jak to załatwić. Ale musimy uspokoić mieszkańców. Czynię cię za to odpowiedzialnym — zwrócił się do Brummera.

— Zrobi się. Oczywiście nie masz problemu z zaakceptowaniem tych poleceń, Volker? — spytał Brummer.

Volker kipiał z gniewu, ale nie dał tego po sobie poznać. — Skoro dostałem taki rozkaz, to go wykonam.

—Porządny z ciebie człowiek — powiedział Brummer.

—Czy już omówiliśmy sprawę do końca? — spytał Volker.

—Spiesz się pan gdzieś? — dociekał Schlüssel.

—Nie, ale nie czuję się zbyt komfortowo — odparł Volker.

— Jestem najedzony, trochę pijany i jest mi tutaj za gorąco.

— Pójdę z tobą do samochodu, Martin — powiedział Roddewig.

— Trzeba cię gdzieś podwieźć, Stefan? — spytał skonsternowany Volker.

—Skoro proponujesz, to nie odmówię. Pozwolicie panowie, że się odmeldujemy.

—Jutro spotkanie ze Scharnaglem, Stefan — powiedział Brummer. — Punkt dziesiąta.

—Będę o dziesiątej — odparł Roddewig. — Przecież mnie znasz, Max. Jestem punktualny jak szwajcarski zegarek. Dobranoc.

Zaraz za drzwiami Volker powiedział:

—Jakiś byłeś dzisiaj zgaszony, Stefan. Sądziłem, że lubisz polowania na czarownice.

—Nie przeszkadza mi, że oskarżymy Żydów, ale to nie rozwiązuje problemu, prawda? Jeśli morderstwa są ze sobą powiązane, to mamy na głowie potencjalnego Haarmanna.

—Zginęły dopiero dwie osoby.

—Tacy ludzie nigdy nie kończą na dwóch ofiarach. Spójrz na to, co się dzieje w Dusseldorfie. Ile osób zabił Wampir? — Volker milczał. — Tamtejsza policja wychodzi na nieudolnych idiotów. My też będziemy tak wyglądali, jeśli go nie znajdziemy.

— Na jego ustach zaigrał uśmiech. — Hitler wykorzysta to propagandowo. *Herr Direktor* chyba nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo zagrożona jest jego pozycja.

—Masz rację.

—Aresztowanie tego Żyda może odwrócić uwagę mieszkańców na dostatecznie długi czas, żeby twoi chłopcy znaleźli prawdziwego sprawcę.

— To byłoby miłe.

— Tak, to byłoby miłe. — Stefan skinął głową. — *Gute Nacht**³⁶, Martin.

— Czyli nie chcesz, żebym cię podwiózł?

— Wolę się przespacerować. To mi pomaga w myśleniu.

*

Margot oglądała się w lusterku puderniczki i musnęła palcami siniec na policzku. Ból minął, ale brzydko to wyglądało — żółta plama w widocznym miejscu na twarzy. Chciała głośno zaprotestować, ale komu miała się poskarżyć, skoro źródłem zarówno fizycznych, jak i psychicznych obrażeń był mężczyzna, który kiedyś uroczyście zobowiązał się chronić mieszkańców Monachium?

Różne myśli przemykały jej przez głowę. Dlaczego zrobił się ostatnio taki agresywny? Na pewno nie z powodu morderstw, bo zaczął się wściekać parę tygodni wcześniej. Margot podejrzewała, że jest zazdrosny.

„Idiota”, pomyślała. „Wszyscy mężczyźni to idioci”.

Ale miał też swoje zalety. Był silny. Był przystojny. Co ważniejsze, miał władzę, miał znajomości i użył ich kiedyś, żeby jej pomóc. Kiedy te świnię w pracy zaczęły ją szykanować, wystarczyło, że raz o tym wspomniała i natychmiast się od niej odczepili.

Dobrze jest znać kogoś takiego, kiedy jest się Żydówką.

W sumie warto było, mimo nierzadkich wybuchów wściekłości i okazjonalnych siniaków. Zresztą makijaż wszystko ukryje. Margot wzięła do ręki wacik i przypudrowała ohydne przebarwienie.

Wyglądała prawie jak nowa. „Prawie” ją zadowalało.

³⁶ * *Gute Nacht* (niem.) — dobranoc.

Rozdział dziewiętnasty

Pensjonat dla kobiet Der Blumengarten, dwupiętrowa konstrukcja drewniana, zaliczał się do licznej grupy zaniedbanych budynków, które szpeciły południową część miasta. Przebiegała przed nim wypełniona błotem koleina, która w bardziej suchych okresach udawała ulicę, a sam dom pilnie potrzebował remontu. W niektórych okiennicach brakowało listewek, schody na ganek zmurszały, a z desek ścian odłaziła farba. Łatwo było wziąć pensjonat za jedną z okrytych złą sławą „palarni”, ale właścicielka powiesiła dodatkową tablicę z napisem TYLKO DLA PAŃ PORZĄDNEGO PROWADZENIA SIĘ. Większość pokoi i apartamentów zamieszkiwali rezydenci, ale dwa mieszkania na parterze wynajmowano według tygodniowych stawek.

W maleńkim holu wyłożona była księga, do której musieli się wpisywać nie tylko goście hotelowi, ale również odwiedzający. W recepcji siedziała Angielka nazwiskiem Ruth Baylor, zasuszonej staruszka z siwymi włosami upiętymi w kok. Powitała ich zblazowaną miną, ale natychmiast się ożywiła, kiedy Berg, Müller i Storf wyjęli legitymacje policyjne.

Frau Baylor zaczęła kartkować księgę gości i po chwili potwierdziła, że Marlena Druer wpisała swoje wyjście cztery dni temu, dokładnie o piętnastej trzydziści, i później jej nazwisko już w księdze nie figuruje. Ponieważ zapłaciła za dwa tygodnie z góry i okres ten jeszcze nie minął, Frau Baylor nie widziała powodu do zaniepokojenia.

—A o co chodzi? — spytała w końcu.

—Musimy zajrzeć do pokoju Fräulein Druer.

Berg potoczył w krąg spojrzeniem. Ciekawe, dlaczego ktoś taki jak Marlena Druer, kobieta podobno całkiem dobrze sytuowana, postanowił zatrzymać się w takim przybytku? Na twarzy Angielki pojawiła się konsternacja.

—Z jakiego powodu? Czy ta pani ma kłopoty?

—Nie, *meine Frau*, nie ma kłopotów — odparł Storf.

—To skąd najście policji?

W porannych gazetach nie pojawiło się nazwisko ostatniej ofiary, więc Berg uznał, że wygodniej będzie skłamać.

— Otrzymaliśmy informację, że Fraülein Druer poszukuje pewnego ważnego przedmiotu. Być może zostawiła go w pokoju.

—A co to za przedmiot? — spytała Frau Baylor.

—Tego nie wolno nam ujawnić — wtrącił się Müller.

—Czy słusznie zakładam, że po wyjściu Fraülein Druer w jej pokoju niczego nie ruszano?

—Ależ oczywiście! Chyba nie posądzacie mnie, panowie, o okradanie moich gości!

— Czy byłaby pani łaskawa zaprowadzić nas do jej pokoju?

Frau Baylor zawahała się, dając świadectwo swego angielskiego pochodzenia. Prawdziwa Niemka natychmiast wykonałaby rozkaz, bo przecież był to ubrany w uprzejme słowa rozkaz.

— *Bitte?* — nalegał Berg.

Właścicielka pensjonatu powoli wstała zza biurka i zdjęła z haczyka pęk kluczy.

— Tędy, proszę.

Wszyscy trzej ruszyli ciemnym korytarzem. Drewniana podłoga skrzyiała pod stopami. W nikłym świetle kinkietu gazowego na ścianie Frau Baylor dopiero za którymś razem znalazła właściwy klucz. Ponieważ zapadł już zmrok, w pokoju było ciemno. Frau Baylor zapaliła dwie lampy naftowe, które zalały pokój migoczącym pomarańczowym światłem i wypełniły go wonią nafty. Kiedy oczy Berga nawykły do półmroku, szybko zlustrował pokój wzrokiem. Starczało miejsca na łóżko, krzesło i biurko, na którym wały się książki, papiery i broszury, była też maszyna do pisania Remington 2.

Angielka uniosła brwi, zauważywszy całą tę literaturę na biurku. Kiedy wyciągnęła rękę ku jednej z broszur, Berg zastąpił jej drogę.

— Dziękuję, Frau Baylor, może nas pani zostawić. Wiem, że musi pani wracać do swoich obowiązków. Ja i moi ludzie poradzimy sobie z rewizją, nie zabierając pani czasu.

Frau Baylor odstąpiła o krok i skrzyżowała ramiona na piersi.

—A skąd wiem, że nic nie ukradniecie?

—Oskarża pani policję o złodziejstwo? — Berg udał oburzonego.

Po chwili pełnej skrepowania Frau Baylor obróciła się na pięcie i wyszła. Oczekali parę chwil, po czym zatrzęśli się od tłumionego śmiechu.

—Co za jędra! — powiedział Storf.

—Porządne ruchanie by ją z tego wyleczyło — ocenił Müller.

—Gdyby nałożyć jej worek na głowę, to może by się dało — stwierdził Storf.

Berg parsknął jowialnym śmiechem, po czym wziął z biurka dwie sterty papierów i jedną podał Storfowi, a drugą Mullerowi. Ten ostatni spytał, czego szukają.

— Zorientujesz się, jak znajdziesz.

Berg wziął trzecią stertę, złożoną głównie z ulotek rozdawanych podczas licznych monachijskich wieców. Przeglądając materiały w kiepskim świetle, Berg znalazł dwie broszury z odręcznymi notatkami na marginesach i podkreśleniami. Jedna była zatytułowana *Apel do towarzyszy*, druga *Robotnicy wszystkich krajów*, rosyjska propaganda wzywająca niemieckich robotników do przebudzenia się i przyłączenia do wielkiej sprawy socjalizmu.

—Wygląda na to, że Marlena, podobnie jak Anna Gross, flirtowała z komunizmem.

—Czy te kobiety nie mają nic lepszego do roboty niż knucie przeciwko władzy? — spytał Müller.

—Czy Fräulein Schulweiss wyraziła zainteresowanie komunizmem, kiedy ją przesłuchiwałeś? — zwrócił się Berg do Storfa.

Ulrich zrobił nadąsaną minę.

— Rozmawialiśmy o Marlenie, Axel, nie o polityce. Fräulein Schulweiss z niesmakiem określiła Druer jako kobietę niepoukładaną i artystowską. Chociaż śmierć Marleny nią wstrząsnęła, myślę, że byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że przyjaciółka jej siostry interesowała się takimi bezecenstwami.

—Jeśli Marlena była komunistką, to czemu zadawała się z takimi zartwardziałymi konserwatystami jak Schulweissowie? — dociekał Müller.

—To ją uwiarygodniało — odparł Berg. — Pozwalało przeniknąć do kręgów, które inaczej byłyby dla niej niedostępne. Zaczyna się wyłaniać jakiś schemat, co? Dwie burżujki z komunistycznymi ciągotami: polityczny motyw zabójstw wygląda coraz lepiej.

Müller podniósł wzrok znad papierów.

—Myślisz, że to jakiś fanatyczny antykomunista?

—Może...

—To śmieszne — stwierdził Storf. — Jest dużo grubsza zwierzyna do upolowania niż te żalodne kobiety, które ubierają się jak arystokratki i wachlują pawimi piórami, a jednocześnie popierają proletariackie hasła.

—Obie miały pieniądze — wywodził Berg. — Jeśli chcesz osłabić jakąś sprawę, odcinasz jej źródło finansowania. — Podniósł papiery. — Ktoś musi zapłacić za te broszury i za wszystkich zawodowych agitatorów politycznych. — Zmrużył oczy w nikłym świetle lamp naftowych. — Posortujmy te papiery według daty. O ile są datowane. Szukamy wzmianek o tajemniczym Rosjaninie albo o Robercie Schicku.

Pracowali w milczeniu przez piętnaście minut. Kiedy papiery były uporządkowane, Berg zaczął przeszukiwać szuflady biurka. W jednej z nich trafił na zamkniętą na klucz stalową kasetkę. Storf z zainteresowaniem podniósł wzrok.

—Pieniądze?

—Może. — Berg potrząsnął kasetką.

Wyjął z buta scyzoryk i wsunął ostrze do zamka, który był tandetny i bez problemu się otworzył. Wewnątrz znajdowały się listy i gruby plik nowych marek.

— *Herrjemine!* Ta kobieta mogła wesprzeć znacznie więcej niż kilku proletariuszy!

— Ile tego jest? — spytał zafrapowany Müller. Berg wypuścił powietrze, licząc pieniądze.

—Prawie pięćset nowych marek. Mamy dowód na to, że po jej zniknięciu nikt nie był w tym pokoju.

—Dla kogo to miało być?

—Diabli wiedzą.

Zapadła cisza. Berg bez słowa odliczył trzy razy po sto marek. Wszyscy schowali banknoty do kieszeni.

—Co zrobisz z resztą? — spytał Müller.

—Odnotujemy je w protokole z przeszukania.

—Dlaczego zostawiasz tak dużo, Axel? Przecież to bardziej logiczne, że podczas podróży nosiła pieniądze przy sobie.

—To jest istotna kwestia — zauważył Storf. — Dlaczego nie zabrała takich pieniędzy ze sobą?

—Bo się bała, że zostanie obrabowana — wyjaśnił Müller. — W tych niebezpiecznych czasach nie można nosić przy sobie tak dużej sumy.

—Lepiej zostawić je tutaj? — zdziwił się Storf. — W tej zatechłej norze?

—Nikommu nie przyszłoby do głowy, że podróżuje z taką ilością gotówki. I może nikt, oprócz Schulweissów, nie wiedział, że ona tutaj jest.

—Ciekawsze jest pytanie, co zamierzała zrobić z tymi pieniędzmi. — Berg podzielił listy na trzy części. — Dowiedzmy się czegoś na temat jej życia osobistego, dobra?

—A co z resztą pieniędzy, Axel? — nalegał Müller.

—Wozila ze sobą tę fortunę z jakiegoś powodu. Jeśli znajdziemy ten powód, a nie zostawimy żadnych pieniędzy, to ściągniemy na siebie podejrzenie. I tak nam się poszczęściło, więc nie kuśmy losu, co?

Po pięciu minutach przeglądania korespondencji Storf podniósł głowę.

—Szczęście nas nie opuściło. Oto nasz radziecki towarzysz ze Schwabing.

Podał list Bergowi.

Najdroższa!

Liczę dni do Twego przybycia, moja Ty najpiękniejsza i najwytworniejsza z kobiet. Jakże los mi sprzyja, że Cię poznałem. Nie ma sposobu, aby człowiek, który zrzędzeniem kapryśnego losu i skutkiem knowań nienawistników popadł w ruinę, odplacił Ci za całą Twoją dobroć, wielkoduszność i

wsparcie. Zrobię wszystko, aby Twoja dobra wola nie poszła na marne i aby w przyszłości Monachium zostało uwolnione od ohydnych burżujów, którzy pasą się na nieszczęściu porządnych obywateli Niemiec. Oby nasze wspólne dni były pełne przygód, dramatyzmu i uczuciowego zbliżenia, o którym marzymy. Pragnę, abys ciągle miała mnie w sercu — i to nie tylko jako swojego dłużnika — póki się nie spotkamy.

Przyjmij wyrazy mojego prawdziwego przywiązania, najgłębszej wdzięczności i — czy ośmielę się to powiedzieć? — miłości.

Robert

—Robert — powiedział na głos Berg. — Mamy powiązanie. Wygląda na to, że był amantem Marleny. Chociaż to nie w niej znaleziono nasienie. Ciekawe, czy była w ciąży?

—Dlaczego?

—Motyw zabójstwa. Dwie kobiety, obie w ciąży, i mężczyzna, który nie chce żadnej z nich. — Berg podał list Mullerowi. — Chociaż ten list wskazuje, że Fraulein Druer była bardziej zainteresowana polityką. Finansowała jakieś spore przedsięwzięcie.

—Na przykład duży wiec? — zasugerował Müller. — Nie, to nie jest takie drogie. Wystarczy wynająć bojówkarzy albo uczniów do rozdawania ulotek. A oni prawie nic nie kosztują.

—Tak, bojówkarze nic nie kosztują — potwierdził Berg. — Co innego żołnierze.

—Finansowała pucz? — spytał Müller.

—Czemu nie? Herr Hitlerowi prawie się udało. Przy trochę staranniejszym planowaniu i znacznie większej ilości pieniędzy kto wie, jak by się to skończyło?

—Myślisz, że to Robert jest winny śmierci Anny i Marleny?

—Wydaje się bez sensu, żeby miał zabić kobietę, która wspierała go finansowo — odparł Berg.

—Może z jakiegoś powodu przestała to robić — zasugerował Storf.

—Na przykład jakiego? — spytał Müller. Wszyscy trzej zaczęli się zastanawiać.

—Jeśli mamy tutaj do czynienia z Robertem Schickiem, dobrym znajomym Anny Gross, to może Marlena była o nią zazdrosna — spekulował Berg. — Wiemy, że Anna miała romans.

—Czyli Marlena dowiedziała się o Annie i postanowiła, że nie będzie już dawała pieniędzy Robertowi? — spytał Müller.

—Może.

—Ale dlaczego Robert miałby od razu zabijać Druer?

—To był wypadek — odrzekł Berg. — Pokłócili się i doszło do rękoczynów. Albo Marlena zagroziła, że poinformuje męża Anny o jej romansie z Robertem. Robert zabił Marlenę, żeby zamknąć jej usta.

—Powiedziałaś nam, Axel, że według pokojówki żadnego romansu nie było — przypomniał Müller.

—Mówiła tak z lojalności wobec swojej pani. Osłaniała ją.

—Przed chwilą mówiłaś, że to było zabójstwo na tle politycznym — wytknął mu Storf.

—Nie wiem niczego na pewno, Ulrich, tylko rozważam różne możliwości.

Po chwili milczenia Müller zakomunikował:

—Dłużej nie wytrzymam bez papierosa.

Wszyscy trzej zapalili. Pokój szybko wypełnił się dymem.

—Axel — zaczął Storf — nawet jeśli przyjmujemy, że Robert Schick zamordował Marlenę Druer, to dlaczego potem zabił Annę Gross? Pamiętaj, że ona zginęła później.

—Może Anna dowiedziała się o śmierci Marleny i zagroziła, że zawiadomi policję. Szybkie bara-bara to co innego niż krycie mordercy.

—Skąd Anna Gross miałaby wiedzieć o śmierci Marleny, skoro dopiero wczoraj znaleziono ciało?

Berg wzruszył ramionami.

—Może Robert Schick jej powiedział.

—Mało prawdopodobne — uznał Storf.

—To tylko hipoteza — bronił się Berg.

—Może zabójstwa nie są ze sobą powiązane — zasugerował Storf.

—To jest inna hipoteza. — Berg podniósł list. — Ale jeśli się okaże, że ten Robert to Robert Schick, to raczej nie ma mowy o zbiegu okoliczności. Nie podpisał się nazwiskiem, ale jest adres zwrotny. To niedaleko stąd. — Spojrzał na zegarek, było wpół do siódmej. — Złożymy mu wizytę?

—Od rana jesteśmy na nogach — zaprotestował Müller. —Wątpię, żeby był w domu. Może lepiej będzie zaczekać do jutra.

—I wypuścić tego człowieka z rąk? — Berg zmarszczył czoło. — Nie będę ryzykował. Skoro nie chcecie mi towarzyszyć, pójdę sam.

Storf wzruszył ramionami.

—Idę z tobą, Axel.

—Nie zostawiacie mi wyboru. — Müller wznosił oczy. — Co zrobimy z jej rzeczami?

Berg rozejrzał się po pokoju. Pod łóżkiem znalazł skórzaną walizkę, otwartą i pustą.

—Włóżmy wszystko tutaj.

—Łącznie z kasetką? — spytał Müller. — Czy nasi koledzy się nie zdziwią, że zamek jest wyłamany, ale mimo to w środku są pieniądze?

—Powiemy im prawdę — odparł Axel. — Że wyłamaliśmy zamek. A fakt, że pieniądze nadal są w kasetce, świadczy o naszej uczciwości. To, co się zdarzyło w tym pokoju, zostaje między nami. Umowa stoi?

—Stoi — odparł Müller.

—Ulrich?

—Oczywiście, oczywiście.

—Więc skąd ta smutna mina? — dociekał Müller.

—Gdzie ja schowam tyle forsy? — martwił się Storf.

—Nie schowasz, tylko przepuścisz. Od czego są kurwy? — spytał Müller z lubieżną miną.

Rozdział dwudziesty

Niskiego wzrostu mężczyzna tarasował drzwi. Sztywne wąsy mu drżały ze złości na policyjne najście.

—Mówię wam, że Herr Schicka nie ma w jego pokoju! I nie pozwolę, żeby obcy ludzie grzebali w jego rzeczach...

—Nie jesteśmy obcymi ludźmi, tylko policjantami! —przypomniał mu Storf.

Recepcjonista nie prezentował się zbyt imponująco pod względem fizycznym. Przy swoim niewielkim wzroście był krępy, co zawdzięczał jednak bardziej tłuszczowi niż mięśniom. Berg mógł bez problemu odblokować drogę jednym pchnięciem. Ale dyplomacja często sprawdza się równie dobrze jak brutalna siła.

—Jeśli ma pan obawy, to może pan iść z nami. Przypilnuje nas pan, żebyśmy niczego nie zabrali.

—Nawet nie przeszło mi przez głowę, że miałibyście coś zabrać! — Recepcjonista poczerwieniał.

—Ta dyskusja zaburza nasz harmonogram. — Berg po-stukał w zegarek kieszonkowy. — Nie przeszkodzi nam pan w przeszukaniu pokoju Herr Schicka, więc niech pan bierze klucz i chodźmy na górę.

—Nie mogę opuścić mojego stanowiska.

—To proszę dać nam klucz. I niech się pan pospieszy! — zirytował się Berg. — Jest późno, a my mamy rodziny!

Recepcjonista z niechęcią dał Bergowi pęk kluczy. — Odnieście, jak skończycie.

— Który to klucz? — spytał Berg.

Mężczyzna wrzucił obojętnie ramionami, po czym pokazał na schody.

— Piąte piętro.

Powlekli się na górę. Kiedy dotarli pod właściwy pokój, Berg zaczął wypróbowywać kolejne klucze. Pierwszy nie pasował, drugi też nie. Berg

głośno zlorzeczył przy kolejnych próbach. Jego narzekania wyciągnęły z pokoju sąsiada.

— Przepraszam, ale co panowie wyprawiają? — spytał z angielskim akcentem.

Mężczyzna był chudy jak patyk i nie miał ani jednego włosa na głowie, gładkiej i okrągłej jak pupa niemowlęcia. Miał na sobie pomięty czarny garnitur i szarą koszulę, która kiedyś była biała. Bez krawata. Przypuszczalnie spał w ubraniu.

— Jesteśmy z policji — warknął Berg. — Niech pan wraca do swojego pokoju.

— Wątpię, czy coś znajdziecie, nawet jeżeli uda wam się zidentyfikować właściwy klucz.

— Słucham? — spytał Berg, podnosząc głowę.

— Lord Robert wyjechał wczoraj. Zabrał wszystkie bagaże.

— Lord Robert? — zdziwił się Müller. — Jest arystokratą?

— Tak mi się przedstawił — odparł z uśmiechem łysy Anglik. — Ale ja mam pewne wątpliwości.

Storf wyjął notatnik.

— A pan się nazywa...?

— Michael Green. Jestem reporterem „London Eagle”. — Wyciągnął rękę do Berga. — Z kim mam przyjemność?

— Inspektor Axel Berg z *Mordkommission*.

Uściskał dłoń Greena, po czym wyjął portret pamięciowy mężczyzny, który był z Anną wieczorem w dniu jej śmierci.

— Czy mówimy o tym samym mężczyźnie?

— To może być on — odparł gość hotelowy po chwili namysłu. — Jeśli da mi pan ten rysunek, to zamieszczę go w mojej gazecie.

— Bardzo dziękuję, ale chyba nie skorzystamy — odparł Berg. — Mówi pan z angielskim akcentem, *mein Herr*, ale jakoś inaczej.

— Ma pan dobre ucho — odparł Green. — Jestem Amerykaninem. Urodziłem się i wychowałem w Bostonie. Wyjechałem na studia do Oksfordu i zostałem w Anglii. Czego chcecie od lorda Roberta? A, zapomniałem. Jesteście z policji. To wy zadajecie pytania.

—Widzę, że zna pan niemieckie obyczaje — stwierdził Berg z ironicznym uśmiechem. — Proszę nam opowiedzieć o lordzie Robercie.

—Czemu miałbym to robić?

—Bo jestem władny pana aresztować — wyjaśnił Berg.

—Na jakiej podstawie?

—Wszystko jedno. To także należy do niemieckich obyczajów.

Wypróbował kolejny klucz, tym razem z powodzeniem. Otworzył drzwi i włączył światło elektryczne. Przed oczyma miał posprzątany pokój bez żadnych osobistych rzeczy. Green śmiałym krokiem wszedł do środka i podrapał się po łysinie.

—A nie mówiłem?

—Nie wygląda to zbyt obiecująco, ale przeszukajmy szuflady — powiedział Berg do kolegów.

—Co policja tak naprawdę myśli o Herr Hitlerze? — Green z rękami w kieszeniach przechadzał się po pokoju.

—Czy byłby pan łaskaw wyjść na korytarz i nie przeszkadzać nam w pracy? — zbeształ go Müller.

—W jakiej pracy? — zezłościł się Storf, zamykając z trzaskiem szafę. — Nic tu nie ma!

—Mówiłem panom, że zabrał wszystkie bagaże.

—Powiedział panu, dokąd się wybiera? — spytał Berg.

—Czemu miałby mi to mówić? Prawie się nie znaliśmy.

—Proszę nam powiedzieć, co pan wie o lordzie Robercie Schicku — polecił Müller.

—Schicku? — Green uniósł brwi. — Przedstawił mi się jako Robert Hurlbutt.

Berg zajrzał pod łóżko.

—Recepcjonista zna go jako Roberta Schicka. Wygląda na to, że ten człowiek posługuje się wieloma nazwiskami.

—Lord Robert był zagadkową osobą — stwierdził Amerykanin z uśmiechem.

—W jakim sensie? — spytał Berg.

—Przyzwóicie mówił po angielsku, ale nie był to język osoby wykształconej. Nie dziwi mnie to jednak. Jeśli ktoś ma ojca dyplomatę i wychowuje się za granicą, jego angielski może być mniej wyrafinowany niż osób, które wychowywały się w Anglii. Ale jego akcent wydał mi się podejrzany. Jeśli ktoś ma ojca Anglika, który mówi do niego po angielsku, to nie powinien mówić z kontynentalnym akcentem.

—A konkretnie jakim? — spytał Müller.

—Może niemieckim, może rosyjskim.

—A po niemiecku jak mówił?

—Dla mojego zagranicznego ucha płynnie i pięknie. Wyrażał się bardzo poetycko i używał długich słów. To także wzbudziło moje podejrzenia. Chciał mi zaimponować? Po co?

—Jakieś domysły? — spytał Müller.

—Moim zdaniem to jest... po angielsku ktoś taki nazywa się *impostor*.

—Hochsztapler — przetłumaczył Berg.

—Tak, ma pan rację. Hochsztapler. Chociaż nie wiem, w co grał. Otarłem się o angielską arystokrację i większość z nich to nadęte bufony, ale Hurlbutt miał w sobie coś zwichrowanego.

Berg wyjął notatnik służbowy.

—W jakim sensie zwichrowanego?

—Jako reporter wyczuwam takie rzeczy na kilometr. Kto kłamie i tak dalej. Był szarmancki, jak większość naciągaczy.

—Naciągaczy?

—Widziałem kilka elegancko ubranych pań, które wchodziły i wychodziły z jego apartamentu — odparł Green z nieznacznym uśmiechem. — Człowiek ciekawski by zapytał, co one tam robią.

—I zapytał pan? — Berg uśmiechnął się.

—Jestem reporterem, więc oczywiście zapytałem. Powiedział, że jego kontakty z tymi kobietami mają charakter czysto zawodowy. I nie dotarły do mnie żadne sygnały o jakichś źródłach, na przykład w postaci wymownego dyszenia. A ściany są tutaj bardzo cienkie. Jednym ciosem można wybić dziurę.

—Czy ta pani była jednym z jego gości? — Berg pokazał mu zdjęcie Marleny Druer.

—Ta pani wygląda mi na martwą.

—Tak czy nie? Green westchnął.

—Nie umiem jednoznacznie odpowiedzieć.

—A ta? — Przyszła kolej na fotografię Anny Gross. Green znowu nie był pewien.

—Chyba tak, ale nie dam sobie za to głowy uciąć. Nie spędzam w hotelu zbyt wiele czasu. Ta wygląda na żywą. Jest żywa?

—A do jakiegoż to zawodu przyznawał się lord Robert?

—Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

—Mam tego świadomość, ale sam pan powiedział, że w tym kraju to policja jest od zadawania pytań.

—Twardy gliniarz, co? — odparł z uśmiechem Green. — Lord Robert nigdy nie rozwinął tego tematu. Sądzę, że jego zawód polegał na wyłudzeniu pieniędzy od kobiet.

—Ma pan jakieś konkretne powody, żeby tak sądzić? —>-spytał Storf.

—Raczej nie. Po prostu pewne drobne rzeczy układają się w pewien obraz.

—Dziękuję panu, Herr Green, bardzo nam pan pomógł — powiedział Berg.

Amerikanin przyjrzał się Bergowi, nie mając pewności, czy inspektor przypadkiem nie kpi sobie z niego.

—Nie ma za co.

—Gdyby lord Robert wrócił, to byłbym panu bardzo wdzięczny za skontaktowanie się z nami. — Wręczył Greenowi swoją wizytówkę.

—Dobrze. Ale czy nie należy mi się jakieś wyjaśnienie? Mówicie, że jesteście z *Mordkommission*. Pokazujecie mi zdjęcia dwóch kobiet, w tym co najmniej jednej martwej. Nie mogę nie zapytać, czy lord Robert ma coś wspólnego z dwiema zamordowanymi kobietami, o których pisały gazety.

—To są Niemcy, a nie Ameryka, Herr Green, i jak pan raczył na początku zauważyć, to my pytamy, a pan odpowiada. — Berg włożył notatnik do kieszeni marynarki. — Jeśli będę miał więcej pytań, to pana odwiedzę.

—Oczywiście. Nigdzie się nie wybieram. Chyba że wywalą mnie z kraju.

TLR

—Czemu mieliby pana wywalić z kraju? — spytał Storf.

—W Anglii wielu ludzi nie przepada za waszym monachijskim *Meister*³⁷, Herr Hitlerem.

—On nie jest naszym *Meister*, Herr Green — oznajmił Berg.

—Jeszcze nie... — Green wyjął papierosa. — Ale sytuacja jest niestabilna, *Herr Inspektor*.

Berg otworzył drzwi i wypuścił wszystkich na korytarz.

—*Guten Abend*³⁸, Herr Green.

—Czy wy, Bawarczycy, nie mówicie *Pfueti*?

—Może *good-bye*? — zaproponował Berg.

Green wydmuchnął chmurę dymu, która unosiła się w chłodnym powietrzu na słabo oświetlonym korytarzu.

— Tak nawiasem mówiąc, Hurlbuttowie to wpływowy ród z Nowej Anglii. Lord Robert, czy jak on tam się nazywa, mógł spędzić trochę czasu na Harvardzie, a przynajmniej w Cambridge. Nie tym angielskim, tylko w Massachusetts.

— Tak, wiem, że Harvard jest w Massachusetts, Herr Green. Czy wybór nazwiska Hurlbutt pana zdaniem coś sugeruje? Green wzruszył ramionami.

— Nie wiem, *Herr Inspektor*. To pan jest z policji, niech pan kombinuje.

³⁷ * *Meister* (niem.) — mistrz.

³⁸ * *Guten Abend* (niem.) — dobry wieczór

Rozdział dwudziesty pierwszy

Mając niewiele konkretnych tropów i jeszcze mniej twardych dowodów, Berg uciekł się do środków aktorskich i udawał przejętego, ale poznał po minie Volkera, że jego starania idą na marne.

—Depczemy mu po piętach, *Herr Kommissar*. Wczoraj namierzyliśmy jego mieszkanie.

—Czyje mieszkanie?

— Podejrzanego. Posługuje się różnymi nazwiskami. Volker przyglądał się swoim paznokciom, co było oznaką znudzenia.

Berg zatarł ręce. Porywisty wiatr poruszał źle dopasowanymi oknami i chłodził kamienne podłogi komendy przy Ett Strasse. Niemieckie zapasy węgla były na wyczerpaniu. Kopalnie były wyeksploatowane niemal do środka ziemi. Dostawcy żądali astronomicznych cen. Volker i jego rodzina z każdą minutą stawali się bogatsi. Nic dziwnego, że *Herr Kommissar* przychodził do pracy w eleganckim trzyczęściowym garniturze i jedwabnym krawacie; Można było tylko spekulować, dlaczego ten człowiek nadal pracuje jako urzędnik państwowy. A z jakiego powodu rodzina Volkera hojniej nie wspomaga jego siostry, było. ponurą zagadką.

—Posługuje się imieniem Robert — Robert Schick albo Robert Hurlbutt. Na razie nie rozesłaliśmy...

—Jest Anglikiem?

—Mówi po angielsku.

—To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

—Przypuszczalnie jest Rosjaninem, który nauczył się angielskiego i niemieckiego. Podejrzewamy, że może mieć coś wspólnego z dyplomacją.

—To nie byłoby dobre...

—A może nie — dodał szybko Berg. — Podniosłem tę kwestię, ponieważ wydaje się, że ten człowiek spędził jakiś czas w Anglii lub w Ameryce.

—Oskarżenie dyplomaty o zabójstwo nie wchodzi w grę — zakomunikował mu Volker. — Mam nadzieję, że pan to rozumie.

„Nikommu nie powinno być wolno bezkarnie zabijać”, Berg postanowił zbadać trop dyplomatyczny bez pomocy Volkera.

—Najbardziej prawdopodobne, że to burżuj, który trochę podróżował.

—Chciałbym wiedzieć, czy poczynił pan jakieś znaczące postępy — zirytował się Volker.

—Moim zdaniem to są znaczące postępy.

—Może dla pana, ale nie dla innych.

—Czy wywierają na pana naciski?

—Ujmijmy to w ten sposób, że oczekują ode mnie odpowiedzi. Ale to ja podejmuję decyzje — powiedział agresywnie i z nutką megalomanii. Podciągnął węzeł krawata pod samą szyję, raczej po to, żeby było mu cieplej niż z próżności. — Postanowiłem wrócić do mojego pierwotnego planu. Aresztuje pan Antona Grossa za zamordowanie swojej żony. Jeśli ludzie spytają o powód, a sądzę, że nie spytają, bo Gross jest Żydem, to powie pan, że Anna przyprawiała mężowi rogi. I była w ciąży z innym mężczyzną. Kiedy Anton się o tym dowiedział, wpadł w morderczą furję.

Berg przełknął ślinę. Zaszło mu w gardle. Tego ranka kawa była gorzka, prawdziwa zmieszana ze zbożową. Britta dosypywała o wiele za dużo zbożowej i Bergowi mikstura ta z trudem przechodziła przez gardło.

—A gdzie mamy dowody winy Antona?

—Do aresztowania nie trzeba dowodów winy, Axel. O tej porze Herr Gross powinien być jeszcze w domu. Może pan wziąć *Zweikraftrad*.

—A co z Marleną Druer?

—A co ma być?

—Chce pan powiedzieć, że zabójstwa nie są powiązane?

—Może pan znaleźć coś, co łączy Antona Grossa z Marleną Druer?

—Ależ skąd. Na razie nie umiem nawet połączyć go z zabójstwem Anny. Całą noc spędził w łóżku.

— Czyli wynajął kogoś do mokrej roboty.

Volker wyjął papierosa i grawerowaną srebrną zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko, po czym poczęstował Berga papierosem.

— *Danke* — powiedział Berg.

„Drań!”, pomyślał Berg, miał świadomość, ile kosztują takie papierosy. Volker próbował go przekupić.

— Będzie pan dalej badał sprawę zabójstwa Fräulein Druer. Jeśli potwierdzi się pańska hipoteza, że Marlenę i Annę uśmierciła ta sama ręka, i znajdzie pan wiarygodnego podejrzanego, to zwolnimy Antona Grossa.

— A jeśli go powieszają, zanim poczynię solidne ustalenia?

— Taki jest los Żydów, Axel. Od urodzenia ciąży na nich klątwa. Ale my, Niemcy, jesteśmy cywilizowani. Egzekucji dokonujemy szybko i bezboleśnie. Na pewno nie można nam zarzucić niekompetencji w tej dziedzinie.

*

— To jest skandal! — zawołał kamerdyner. — Absolutny skandal!

— Spokojnie, Haslinger. — Gross poklepał służącego po ramieniu. — Jestem pewien, że ta straszna pomyłka jeszcze dzisiaj się wyjaśni. — Zgromił Berga wzrokiem. — Nie wystarczy, że straciłem żonę? Że jestem pogrążony w rozpacz? Ma pan czelność oskarżać mnie o jej zamordowanie?

Berg poczuł się mały. Uznał, że najlepiej będzie nic nie odpowiadać.

— Mój adwokat zadba o to, żeby stracił pan pracę za swoją lekkomyślność. Trafi pan na bruk!

— Nie sądzę, Herr Gross, i radziłbym panu współpracować z nami.

Gross włożył ciemny wełniany płaszcz.

— Nie rozumiem, czemu muszę jechać na tym pańskim głupim motor-ku, skoro mam samochód.

— Tak rozkazał *Herr Kommissar Volker*.

— Myśli, że ucieknę?

— Ja nie jestem od kwestionowania rozkazów moich przełożonych, tylko od ich wykonywania.

— Tak, broń, Panie Boże, żeby taki porządny człowiek miał kwestionować rozkazy!

Berg skrzywił się na tę sarkastyczną uwagę. Wziął Grossa pod ramię, ale ten się wyszarpnął.

— Potrafię iść bez pańskiej pomocy, dziękuję panu. Haslinger, zawsze wierny sługa, otworzył swemu panu drzwi,

podbiegł do windy i nacisnął guzik. W oczach miał łzy.

— Niech pan na siebie uważa, *mein Herr*. Błagam pana. Monachijski klimat nie sprzyja...

Urwał.

— Nie sprzyja Żydom, chcesz powiedzieć. — Gross uśmiechnął się do swego sługi. — Twoja lojalność była dla mnie pro-myczką światła w tych mrocznych czasach.

Kamerdyner skłonił głowę.

— Dziękuję, Herr Gross.

— Bądź silny, Haslinger, bądź silny. Drzwi windy otworzyły się i Gross wsiadł, energicznie machając służącemu na pożegnanie.

— Pan nie wsiada, *Herr Inspektor!*

Berg dołączył do niego bez słowa. Jazda na dół na szczęście trwała krótko, ale była bardzo krepująca, windziarz stał ze wzrokiem utkwionym w przyciskach, a Gross miał pozbawioną wyrazu minę.

Kiedy wyszli na ulicę, banda wyrostków z symbolami swastyki na ubraniach obrzuciła Grossa wyzwiskami. Berg pomógł Grossowi wsiąść do wózka *Zweikraftrad*, po czym zerknął na grupę bojówkarzy. Twarz najmłodszego z nich była znajoma — pociągła, czerwona i pryszczata. Lothar Felb, siostrzeniec Volke-ra, wszedł w wiek dojrzewania i zaczął nabierać

mieśni. Bardzo niepokojące. Lothar szydził z Grossa, jakby w ogóle nie liczył się z konsekwencjami swoich działań, co było dosyć nierozsądne, jeśli zważyć, że wciąż miał spuchniętą szczękę po ciosie otrzymanym przed tygodniem od swojego wujka.

—Zjeżdżać stąd! — krzyknął Berg. — To jest sprawa dla policji. Z drogi!

—To jest sprawa dla ludzi! — zareplikował Lothar. — Herr Hitler dopilnuje, żeby sprawiedliwości stało się zadość!

Berg podszedł do Lothara tak blisko, że poczuł od niego zapach cebuli i taniego piwa.

— Herr Hitler będzie wymierzał sprawiedliwość, kiedy dojdzie do władzy — powiedział z naciskiem. — Na razie jej nie sprawuje, w przeciwieństwie do twojego wujka. — Milczenie. — Nie wchodź mi w drogę, chłopcze. Bądź rozsądny.

Lothar nie cofnął się. Berg nie chciał konfrontacji, więc odwrócił się i zajął swoimi sprawami.

— Idioci — szepnął, ale Gross go usłyszał.

—To idioci tacy jak pan ich rozzuchwalają.

—Niech pan uważa, do kogo pan mówi. — Słowa Berga zabrzmiały nieprzekonująco.

Inspektor robił się coraz bardziej nerwowy. Szeregi bojówka-rzy rosły. Jeden z wyrostków podniósł nieduży kamień i rzucił nim w Grossa, trafiając go w ramię. To ośmieliło innych. Poleciał następny kamień, a potem jeszcze następny. Berg włączył silnik i ruszył z kopyta, chcąc jak najszybciej się oddalić. Na ulicach tłocznych od przechodniów, rowerów, samochodów, furmanek, taksówek i autobusów trudno było rozwinąć jakąś przyzwoitą prędkość. Chłopcy biegli za motocyklem, miotając wyzwiskami.

Jude! Jude!

Schmutziger Jude!

Dreckiger Jude!

*Übler Jude!**³⁹

Ich okrzyki ściągnęły uwagę przechodniów. Grupa pościgowa rozrastała się i zbliżała do *Zweikraftrad*, którym Berg gorączkowo przebijał się zatłoczonymi ulicami. Na motorze bez wózka bez problemu uciekłby chuliganom, a tak, bardzo trudno było mu manewrować między pojazdami. Zaczął się martwić o bezpieczeństwo Grossa.

„Cholerny Volker!”, pomyślał z narastającą wściekłością. Berg był zmuszony zatrzymać się za tramwajem. Tłum gęstniał.

— To jest już więcej niż absurdalne! — protestował Gross. — Czuję się zagrożony. Wysiadam.

Kamień trafił Berga w pierś.

— Niech pan zostanie!

— I da się ukamienować? Jak pan śmie!

— To dla pańskiego bezpieczeństwa!

Berg zawołał do ludzi, żeby natychmiast się rozeszli, ale jego okrzyki utonęły w buczeniu motłochu. Berg odruchowo sięgnął do buta po scyzoryk, ale zanim zdążył go wyjąć, dostał kolejnym kamieniem w pierś.

— Cholera!

— Widzi pan, jaki jestem z panem bezpieczny? — Gross uchylił się przed nadlatującym pociskiem. — Do diabła z panem i do diabła z policją! Wysiadam, zanim te bestie zabiją nas obu!

Gross dźwignął się z wózka.

— Ucieka! — krzyknął jeden z młodocianych zbirów.

— *Jude* daje nogę! — zawołał inny.

— Masz, draniu! — wrzasnął zachwycony Lothar, waląc Grossa pięścią w brzuch.

Berg zeskoczył z motocykla, przypadł do Lothara i uderzył go w szczękę. Lothar szarpnął się do tyłu i mocno uderzył Berga łokciem w zębra. Berg upadł na kolana. Posypały się na niego kopniaki. Lothara i jego kum-

³⁹ * *Jude! Jude! Schmutziger Jude! Dreckiger Jude! Übler Jude!* (niem.) — Żyd! Żyd! Brudny Żyd! Plugawy Żyd! Zły Żyd!

pla. Leżał na ziemi, zasłaniając twarz ramionami, a głowę dłońmi. W końcu kopanie ustało, ale tylko dlatego, że był deptany, bity i miażdżony przez cuchnącą górę ludzkiego mięsa.

Dusił się i pluł. Jego płuca domagały się powietrza, a ręce biły na oślep.

„Nie umrę w ten sposób. Nie poddam się bez walki!”, powtarzał w myśli. Posługując się kończynami jako bronią, kopał, chwycił, szturchał i szarpał, aż wreszcie jego oczy zobaczyły szare, mżyste światło dzienne. Drapiąc pazurami jak zamknięty w klatce kot, wygrzebał się na powierzchnię i chciwie zaczerpnął powietrza, po czym jego płuca i klatkę piersiową przeszył ostry ból. Z nosa i wargi leciała mu krew. Przebiegł językiem po zębach i podziękował Bogu, że siekacze mocno siedzą w dziąsłach. Z ulgą usłyszał w oddali dźwięk syren. Kątem oka zobaczył policyjny wóz. Tak bardzo kręciło mu się w głowie, że ledwo stał na nogach. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Wykonał piruet i ciarki przeszły mu po kręgosłupie. Stał i patrzył w spokojne niebieskie oczy. Czarne włosy, pociągła twarz i czarny wąsik zasłaniający cienką górną wargę.

—Nigdy nie zezwoliłbym na atakowanie naszej wspaniałej niemieckiej policji — powiedział Hitler do Berga. — Nigdy!

—Tak jak nigdy nie zezwoliłby pan na pucz! — Oburzony Hitler zmrużył oczy i poruszył nozdrzami. — Pan sankcjonuje bezprawie! — Berg nagle uświadomił sobie, że mówi niewyraźnie.

Na ustach Hitlera zagościł uśmiech.

—Sankcjonuję wszystko, co jest konieczne do pozbycia się wrogów *Vaterland*. Niech pan uważa, żeby nie został pan do nich zaliczony.

—Dla mnie jest pan odpowiedzialny za to, co się stało! — warknął Berg i splunął śliną zmieszaną z krwią.

Górna warga Hitlera zadrgała. Odwrócił się do jednego z wyrostków i skinął głową. Berg został chwycony za kołnierz płaszcza i dźwignięty do góry. Zanim zdążył zareagować, twardy jak granit przedmiot uderzył go w policzek. Natychmiast zrobiło mu się słabo, a przed oczami miał tylko jasne kropki. Żołądek zarzucił mu treść pokarmową do przetyku. Po chwili Berg zobaczył świat zamglony i podwojony. Mimo to zdołał zauważyć zwłoki Antona Grossa, a raczej kupę krwawej miazgi, która nie bardzo przypomi-

nała człowieka. Jedno z oczu Żyda zwisało z oczodołu na białej nitce nerwu. Nos tak mocno mu wgnieciono, że twarz miał teraz wklęsłą.

Był to ostatni obraz, który odcisnął się w pamięci Berga przed utratą świadomości.

TLR

Rozdział dwudziesty drugi

Co jakiś czas rozbudzał się z farmakologicznego snu, ale na szczęście na krótko, bo ból był nieznośny. Dopiero po kilku dniach na tyle zmniejszono dawkę leku, że Berg zdał sobie sprawę, w jak bardzo złym stanie się znajduje. W głowie mu pulsowało, usta miał zdrętwiałe, a każde uderzenie serca wysyłało impuls potwornego bólu do jego szczęki. Mrugnął kilka razy, a potem próbował przełknąć ślinę, żeby zwilżyć gardło. Kiedy ślina się nie pojawiła, zakaszłał sucho, co spowodowało bolesne pulsowanie w skroniach. A zatem przeżył, ale czy tak się czuje żywy człowiek?

— Tata się obudził! — wrzasnęła Monika. — Tata się obudził!

— Cicho! — skarciła ją Britta, po czym dodała łagodniejszym tonem: — Jesteśmy w szpitalu, skarbie.

— Masz, tato.

Joachim zwilżył mu usta mokrą ścierką, po czym z synowską miłością przemył mu twarz. Z wielkim wysiłkiem Berg dźwignął się do pozycji półsiedzącej. Monika przyglądała koldrę, a Britta podparła mu głowę poduszkami.

— Chcesz się napić wody, Axel? — spytała.

Chciał odpowiedzieć twierdząco, ale nie mógł ruszyć głową. Potrafił tylko mrugnąć, ale i to sprawiło mu ogromny trud. Był podłączony do kroplówki. Znajdował się zatem w szpitalu. Mięśnie szyi zaskrzypiały, kiedy powoli odwrócił głowę.

Dziesięć łóżek po obu stronach, wszystkie zajęte. Nad łózkami drewniane krzyże. Zakonnice w czarnych habitach i pielęgniarki w wykrochmalonych białych fartuchach uwijały się przy chorych — szachownica z naturalnej wielkości figurami. Kiedy w głowie trochę mu pojaśniało, zaczął rejestrować szpitalne od' głosy. Jęki, stękania, szlochy. Szepty przypominały trzaski w *ra*-dio. Wyciągnął dłoń spod koldry i pokazał na szklanekę z wodą. Britta przystawiła mu ją do ust.

— Pij powoli.

Jakby miał inną możliwość. Kiedy chłodna woda zwilżyła mu spierzchnięte gardło, dał znać ruchem głowy, że chce więcej. Tym razem pił łąpoczywie, próbując zrekompensować sobie czterdzieści osiem godzin oddychania gorącym, stęchłym powietrzem.

—Powoli, Axel — upomniała go Britta. Po chwili w szklance skończyła się woda.

—Zuch chłopak — usłyszał głos Müllera. „Georg jest tutaj?”, pomyślał zaskoczony Berg.

— Jeszcze wody — powiedział Berg nikłym głosem, który rozbrzmiewał mu echem w głowie.

Britta zasłoniła twarz dłonią, zza której pociekły łzy.

—Dobrze jest usłyszeć twój głos, Axel — powiedziała wzruszona.

—Wody.

—Spytam pielęgniarki, czy... — zawahała się Britta.

—Do diabła z pielęgniarką! — przerwał jej Berg. — Jeszcze wody.

— *Das ist gut*^{*40} — ocenił Storf. — Szybko odzyskuje siły „A więc przyszedł nie tylko Georg, ale i Ulrich. Musiałerr

być jedną nogą na tamtym świecie”, pomyślał Berg. Joachirr nalał z dzbanka wody do szklanki, którą przystawił ojcu do ust Berg zdołał wyjąć mu ją z ręki.

— Nic mi nie jest — oznajmił.

Wszyscy oprócz Britty zareagowali na ten komunikat śmiechem.

—Trochę ci jest, Axel. Pobili cię i musisz jeszcze jakiś czas poleżeć w łóżku.

—Gówno prawda! — zdenerwował się Axel. — Jak długo tu jestem?

— Mów powoli, Axel — hamował go Storf. — Szczękę i wargi masz dwa razy większe niż normalnie. Trudno cię zrozumieć.

— Jak... — Ponownie przełknął ślinę. — Jak długo... je-stem... w szpitalu?

⁴⁰ * *Das ist gut* (niem.) — To dobrze.

—Przywieźli cię w poniedziałek rano, a dzisiaj mamy środę - - poinformował go Storf.

—Czego niektórzy nie zrobią, żeby móc dłużej pospać — zażartował Müller.

Berg poczuł, że na jego ustach wykwita krzywy uśmiech. Delikatnie przebiegł palcami po opuchniętej szczęce. Nie wyczuł żadnych bandaży. Usta, choć obolałe, ruszały się.

— Szczęka... nie jest złamana?

Monika stanęła przy łóżku i pocałowała go w czubek głowy.

—Masz olbrzymią gułę, tato. Wielkości jajka. Nie wiedziałam, że kość może się zrobić taka duża.

—Szczęka nie jest złamana, tato, tylko mocno stłuczona — powiedział Joachim.

— Jest fioletowo-czerwona i oślizła — uzupełniła Monika. Joachim odgarnął kosmyk jasnych włosów z niebieskich oczu.

— Lekarz był zdumiony, tato. Nie masz złamanej ani jednej kości. Twoje kości są chyba z ołowiu.

— Raczej mózg—powiedziała Britta szeptem, ale ją usłyszał. Wyciągnął do niej rękę. Kiedy ujęła ją w swoją dłoń, z jej oczu znów popłynęły łzy.

— Daj spokój — powiedział. *Gott im Himmel*, ależ go wszystko bolało. — Jestem twardym człowiekiem. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Co mówi lekarz?

—Że wstaniesz za jakiś tydzień — odpowiedziała.

—Tydzień?!

—Może trochę wcześniej — pocieszał go Müller.

— Może trochę później — skontrolowała Britta i odwróciła głowę.

Kroki. Berg skierował wzrok w stronę źródła dźwięku. Volker.

— O, widzę, że nasz pacjent się obudził.

„Pies cię jebał”, pomyślał Berg. A raczej, jak się okazało, powiedział, i to wyraźnie. Volker się nastroszył.

— Britta, moja droga, może pani zabrać dzieci, żeby się trochę przewietrzyły.

Britta ani drgnęła. Kiedy Volker powtórzył swoją prośbę, odpowiedziała, że za pierwszym razem go nie usłyszała. Spuściła wzrok na swoją dłoń splecioną z dłonią męża.

—Czy to nie może poczekać, *Herr Kommissar!*

—Muszę porozmawiać z pani mężem, Britta. — Bez „moja droga”. Volker był zły.

„Pies go jebał”, tym razem jednak Berg nie wypuścił tej myśli na zewnątrz.

Britta z niechęcią puściła dłoń męża i wzięła za rękę Monikę.

— Wrócę za pięć minut, Axel.

Upewniwszy się, że rodzina Berga go nie słyszy, Volker powiedział:

—Składam te wyzwiska na karb pańskiego majaczącego stanu. Jak się pan czuje, Axel?

—Będzie dobrze — odparł cicho. — Co się stało z Antonem Grossem? Müller głośno wypuścił powietrze. Volker bawił się węzłem krawata.

—Zginął podczas próby ucieczki.

—To kłamstwo! — Berg usiadł z furją w oczach.

—Próbował uciec przed wymiarem sprawiedliwości — Volker zignorował ten wybuch — i pobił pana, kiedy usiłował pan go obezwładnić. Jest pan prawdziwym bohaterem, Axel, ryzykował pan życie dla obrony honoru swego zawodu. Zasłużył pan na oficjalną pochwałę. Rozmawiałem w tej sprawie z burmistrzem...

—To są kompletne bzdury! — przerwał mu Berg.

—Niech się pan nie gorączkuje, Axel — odrzekł z uśmiechem Volker. — I nie męczycie niepotrzebnie, i tak nikt nie rozumie ani słowa z tego, co pan mówi.

—To pana siostrzeniec... — W tym momencie w jego głowie eksplodowała bomba bólu. Na chwilę wrócił do okopów. Nie potrafił dokończyć zdania.

—Powiedział pan coś na temat Lothara? — Volker pokręcił głową i mlasnął językiem z dezaprobatą. — Co za wichrzyciel!

Ale niech się pan nim nie przejmuje, Axel, zrobię z nim porządek. Musi pan skoncentrować całą energię na powrocie do sił. Spróbuję do pana zaj-

rzeć wieczorem, po wiecu. — Volker wyjął z kieszeni zegarek. — Za kwadrans dziewiąta. — Czy panowie też idą? Ie by wyglądało, gdyby funkcjonariusze spóźniali się do pracy.

—Pięć minut, *Herr Kommissar* — powiedział Müller.

—Ale nie dłużej, Georg. Wie pan, że bardzo nie lubię spóźnialstwa.

—Będziemy na czas, *Herr Kommissar* — obiecał Storf.

—Zuch z pana, Ulrich. — Volker odwrócił się i wyszedł.

—Sukinsyn! — bluznął Berg. — To wszystko brednie!

—Musisz zrozumieć, Axel — przekonywał go Storf. — Doszło do zamieszek. Byli też inni ranni.

—Ciężko?

—Nie tak ciężko jak ty. Ale były stłuczenia i połamane kości — wyjaśnił Müller.

—Obwiniają za to Żyda — poinformował go Storf.

—To nie on jest winny — zaprotestował Berg — tylko banda Hitlera. Zbiry i bandziory. — Boże, ależ bolała go głowa od tego mówienia, ale nie mógł się powstrzymać. — Czekali pod domem Grossa, rzucali w niego kamieniami, we mnie też. Żadnego szacunku dla stróża prawa!

—Naziści mówią, że ten Żyd próbował uciec...

—Kłamstwo!

—Taka wersja pojawia się w oficjalnym raporcie policyjnym — powiedział Storf. — Sprawa jest zamknięta, Axel. Nie ma sensu protestować, bo i tak nic nie wskórasz.

Berg oparł się o poduszkę. Co za koszmar — ból rozrywający ciało, upokorzenie, że został pobity przez zbirów, makabryczna śmierć Grossa.

—Wszystko mnie boli. — Tylko tyle potrafił powiedzieć.

—To musisz zasnąć — stwierdził Müller.

—Wracaj do zdrowia, inspektorze. — Storf delikatnie poklepał go po ramieniu. — Nie wszystko stracone. Pracujemy nad sprawą zabójstwa Marleny Druer. Musisz jak najszybciej stanąć na nogi. Potrzebujemy twojej pomocy, nie wspominając już o dodatkowych obowiązkach, które musimy wykonywać pod twoją nieobecność.

Dodatkowych obowiązkach? Mózg Berga nareszcie zaskoczył.

—O jakim wiecu mówił Volker?

—Herr Hitler organizuje dziś wieczorem kolejne spotkanie w Das Kellerhaus — wyjaśnił Storf. — Spodziewamy się, że przyjdzie mnóstwo ludzi. Będą duże emocje.

—Wydział obawia się powtórki puczu z 1923 roku — powiedział Müller. —Naziści wychodzą ze swoją działalnością polityczną na ulice. Volker zapewnił burmistrza Scharnagla i *Polizeipräsident* Mantela, że wszystko będzie pod kontrolą. Jeśli wybuchną kolejne zamieszki, to pożegna się z pracą.

—Dzisiaj wieczorem jest wiec? — spytał Berg.

—Tak, Axel — odparł Storf. — Nie martw się, tym razem policja nie da się zaskoczyć.

Wiec polityczny pod wodzą narwanego maniaka, a on leży w szpitalu. Zamknięty w klatce, jest w życiu tylko widzem. Oblał się zimnym potem.

— Za chwilę wróci moja żona. — Chwycił Müllera za rękę. — Pozbędę się jej do obiadu. Musicie tutaj wrócić. Przynieście w torbie dwie poduszki, ukryjecie pod nimi płaszcz, szalik i kapelusz. Jak ktoś was zapyta, co tam macie, to powiecie, że dodatkowe poduszki dla mnie.

Jego koledzy sprawiali wrażenie osłupiałych. Może go nie zrozumieli?

—Chcę... żebyście...

—Zrozumieliśmy cię — powiedział Storf.

—Dobrze. To nie ma problemu...

—Musisz odpocząć, Axel — mitygował go Müller.

—Nie kłóć się ze mną, Georg. Nie potrzebuję odpoczynku. Potrzebuję, żebyście mnie stąd zabrali!

Georg westchnął.

—Axel, ty...

—To jest rozkaz. Jestem waszym zwierzchnikiem.

—A Volker twoim.

—Volker nie musi o tym wiedzieć, tak jak nie musi wiedzieć o zawartości kasetki Marleny Druer.

Storf sposepniał. Więzi współnictwa w grzechu okazały się silniejsze niż nakazy obowiązku. Berg opadł na poduszki.

—Musicie mi pomóc. To jest polecenie służbowe. Müller wzruszył ramionami.

—Rozkaz to rozkaz. Zrobię to. Uważaj na siebie. Oddalili się zaledwie o parę kroków, kiedy usłyszeli, że Berg znowu nadweręża struny głosowe:

— I przynieście laskę!

*

Berg nalegał, żeby Britta poszła do domu i zajęła się dziećmi. Ostatnie dwa dni wszyscy troje spędzili przy jego łóżku — muszą wreszcie porządnie zjeść i odpocząć. Kiedy już pozbył się rodziny, kazał Storfowi zaprowadzić się do łazienki, a Georg wsunął w tym czasie poduszki pod kołdrę. Każdy ruch sprawiał mu potworny ból i Berg na chwilę zwątpił w swoją poczytalność. Ale jak zawsze najtrudniejsze były pierwsze kroki. Kiedy już odnalazł odpowiedni rytm, poruszał się z prędkością niebudzącą podejrzeń u starca, za którego był przebrany. Laska naprawdę ułatwiała mu życie.

Storf podtrzymywał go z lewej strony.

—To jest obłąd — wysapał.

—Nie — zripostował Berg — to jest głupota. Obłąd to Hitler. Przez zasłaniający usta szalik ledwo go było słychać.

— Ostrożnie... — Przyłączył się do nich Georg i wziął Berga pod prawe ramię. — Czemu właściwie ma służyć ta ucieczka? Nie wytrzymasz długo w żadnej pozycji oprócz leżącej.

Berg bez słowa człapał korytarzem w stronę windy. Drzwi się otworzyły. Windziarz nie zwrócił na nich szczególnej uwagi. Jechali na dół w milczeniu. Jak tylko znaleźli się na zewnątrz, Berg poczuł upajający zew wolności — obrazy, dźwięki, zapachy życia. Nawet szare niebo nad Monachium wydawało się radosne i optymistyczne.

—Zabierz mnie do swojego mieszkania, Müller. Odpocznę tam aż do wieczu.

—A jak myślisz, do kogo pobiegnie twoja żona, kiedy się dowie, że zniknąłeś?

— Powiesz jej, że nie masz pojęcia, gdzie się podziałem.

— Nie umiem zbyt dobrze kłamać.

W rzeczywistości Müller był urodzonym kłamcą. Berg od niego nauczył się, jak należy utrzymywać w tajemnicy fakt posiadania kochanki — nigdy do niczego się nie przyznawać.

— W takim razie wezmę pokój w jakimś *Wirtshaus*^{*41}. Wtedy naprawdę nie będziesz wiedział, gdzie jestem. Sam dotrę do piwiarni.

— To nie jest dobry pomysł — zaproponował Müller. — Jak się nie pojawisz, to będziemy myśleli, że wpadłeś pod samochód.

— Takie jest życie — stwierdził filozoficznie Berg. — Niczego nie można być pewnym.

TLR

⁴¹ * *Wirtshaus* (niem.) — gospoda.

Rozdział dwudziesty trzeci

Brunatne koszule wybrały na swój cyrk dużą piwiarnię i zajęły ją do ostatniego miejsca. W napchanym Das Kellnerhaus unosił się odór ludzkiego ciała, ale lepiej oddychać zapachami życia niż szpitalnego rozkładu. Nawet gdyby Berg należał do jednej z *Vereine*, nie znalazłby wolnego krzesła. Pocił się obficie w płaszczu i szaliku, ale nie miał co z nimi zrobić. Wieszaki uginały się od ciężaru wełny, a niemało płaszczy i meloników tworzyło stertę na podłodze. Poza tym nie chciał zdejmować szalika, żeby nie wystraszyć ludzi swoją twarzą.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył się w lustrze, o mało nie zemdlał. Z taką twarzą mógłby śmiało pozować do kubistycznego obrazu. Nie mógł nic zrobić w sprawie asymetrii kości, o to musiał zadbać uzdrawiający upływ czasu, ale mógł zakamuflować sińce przy użyciu pudru i różu. Jego talent artystyczny znajdował również praktyczne zastosowania.

Berg przesunął się w głąb sali i stanął pod tylną ścianą obok innych gli-niarzy. Policjanci byli tutaj służbowo, z pałkami w dłoniach przebiegali wzrokiem salę w poszukiwaniu wichrzycieli. Władze monachijskie nie zamierzały ryzykować. Policja otrzymała rozkaz tłumienia nawet najmniejszych przejawów zakłócania porządku publicznego.

Zaczęły się śpiewy. Poszczególne związki zawodowe udowadniały sobie nawzajem, kto jest lepszy pod względem wokalnym. Zaczęli hutnicy, wymachując chorągiewką. Krępy mężczyzna z pulchnymi ramionami i zaczerwienioną cerą uniósł kufel piwa. Mówił bełkotliwym, nosowym głosem. Był już nieźle pijany. Miał na sobie tradycyjny bawarski strój, poza tym że nogawki *Lederhosen* były długie.

Urządник państwowy siedzi za biurkiem, W klatce dokumentów, za pieczętek murkiem I różne papiery podbija ciurkiem. Na uprzykrzenie życia naszego.

Lecz ramiona hutnika są wykute w stali I uczciwa robota w rękach mu się pali. Po pracy rzecz ma prawo, żeby mu jeść dali, Bo wyprodukował coś trwałego.

Sala pohukiwała i zaśmiewała się, kufle stukały o siebie do wtóru okrzyków: *Auf ihre Gesundheit**⁴². Berg spojrzał na rumianego *Staatsbeamter**⁴³, prychającego szyderczo i gotowego do podjęcia rękawicy. Urzędnik był niski, drobny, łysy, z cienkim wąsikiem i w okularach zsuniętych na koniec nosa.

Człowiek, co wytapia stalową surówkę, Nie zaznając ni chwili ochłody, Mięśniami odrabia dniówkę, A nogi ma jak kłody.

Haruje dzień i noc, By przynieść rodzinie chleb. Jego atuty to krzepa i moc, Bo pusty jest jego łeb.

Kolejne pohukiwania i śmiechy, i tak przez godzinę. Każdy następny związek zawodowy zachowywał się bardziej zawadiacko. Policja była gotowa do interwencji, gdyby, jak zawsze, doszło do pijackich rękoczynów. Ale tego wieczoru rywalizacja dobiegła końca, zanim emocje przekroczyły miarę, a mianowicie po wejściu *Schutzstaffel**⁴⁴, pachołków Hitlera potocznie zwanych SS. Brązowe mundury skrzyły się gwiazdami i innymi insygniami. W wysokich butach i wojskowych czapkach weszli do zatłoczonej sali i spychali ludzi na boki, żeby zrobić miejsce dla *Kampfbund* — elity NSDAP.

Wchodzili gęsiego. Na czele ulubieniec Hitlera, Ernst Rohm, o okrągłej i rozlanej twarzy. Stawili się wszyscy: Hermann Göring, Rudolf Hess, Heinrich Himmler i Putzi Hanfstaengl, przewyższający o głowę swoich kolegów. Trochę z boku razem z *Kampfbund* wmaszerował na salę inny człowiek — nowy, ale znany. Berg zrobił wielkie oczy ze zdziwienia, ale była

⁴² * *Auf ihre Gesundheit* (niem.) — Na (wasze) zdrowie.

⁴³ * *Staatsbeamter* (niem.) — urzędnik państwowy.

⁴⁴ * *Schutzstaffel* (niem.) — brygada ochrony.

w tym pewna logika. Kurt Haaf — ojciec Anny Gross — okazywał solidarność z nazistami za pomocą czarno-czerwonej opaski ze swastyką, kłócącej się z eleganckim garniturem z niebieskiego jedwabiu. Oddziały wysforowały się na czoło i orkiestra dęta fałszywie zagrała *Deutschland iiber alles*. Wszyscy zerwali się na równe nogi i prawe ramiona wyskoczyły do przodu.

Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg Heil!

Berga ogarnęło obrzydzenie. Mali ludzie bawią się w wojnę, w wykrochmalonych mundurach i pięknych oficerkach. W rzeczywistości wojna nie jest taka piękna, mundur dziurawią kule

1 brudzą krwawe strzępy mięsa po wybuchu granatu.

Po wejściu Hitlera hałas zrobił się ogłuszający. Austriak kroczył wyprężony, wpatrzony prosto przed siebie, z kamienną miną. Uzbrojony był w poparcie ludzi i niepohamowaną ambicję. Mówił prostym, robotniczym językiem. Ludzie dzielą się na złych i dobrych. Niemcy są dobrzy, wszyscy inni źli, szatańscy. A najbardziej szatańscy ze wszystkich są Żydzi. I tak dalej. Bo łatwiej zohydzić sukces Żydów, niż wyjaśnić porażkę Niemców. Mowa ciągnęła się bez końca. Krzyczał. Wrzeszczał. Dziurawił pięścią powietrze. Miażdżył w dłoniach pumperniel, którego okruszki spadały mu na buty. Jeden z usługujących mu chłopców omiatał je na czworakach.

Demagogia Austriaka obejmowała cały świat i podsycala emocje tłumy. Zaprosił na podium Kurta Haafa, który ze łzami w oczach mówił o swojej córce, pięknej niemieckiej dziewczynie, zgwałconej i zamordowanej przez rogatego Żyda z rozszczepionym ogonem i widłami: najbardziej diabelski typ, podszywający się pod dobrego niemieckiego obywatela. Hitler mówił o wszystkim, co w mieście zwyrodniało, czyli głównie o Żydach, ale taki że o innych kosmopolitach, czyli zdemoralizowanych artystach, aktorach, pisarzach i homoseksualistach. Uczepił się komunistów, zwłaszcza żydowskich, ale wszyscy komuniści byli źli. Mówił o podstępnych Cyganach, o zbrodnicy rządzie Republiki Weimarskiej, o bezprawiu w jego umiłowanym Monachium, chociaż był Austriakiem.

Austriakiem niskiego pochodzenia.

Może na tym polegał problem.

Pomstował na złodziei, gwałcicieli i morderców przeczystych niemieckich dziewczyn na przeczystej niemieckiej ziemi. Jego orację raz po raz nagradzano brawami. Mówił do ludzi, którzy podzielali jego poglądy. Perorował coraz bardziej jadowicie i płomiennie. Twarz czerwona, na szyi pulsują żyły. Usta pryskają śliną. Oczy miotają pioruny. Mówił o zbawieniu dla narodu niemieckiego, głosząc hasła nienawiści. Policjanci kołysali się w miejscu, niektórzy zaniepokojeni buzującymi w słuchaczach emocjami. Berg wiedział jednak, że równie wielu z nich daje się ponieść tej retoryce. Po każdej kolejnej uwadze towarzystwo coraz bardziej rwało się do działania, do wybijania szyb i rozwalania głów.

Wreszcie Berg zobaczył, że Volker wstaje z krzesła i zbliża się do podium. *Herr Kommissar* był człowiekiem bezprzykładnie aroganckim, ale czy naprawdę uroił sobie, że uciszy Hitlera w chwili jego największej chwały? Serce Berga nie mogło sobie znaleźć miejsca w klatce piersiowej. Najrozsądniej byłoby zniknąć, zanim sytuacja eksploduje, ale ciekawość zwyciężyła.

Co powie Volker?

Herr Kommissar jak zwykle był elegancko ubrany: w trzyczęściowy garnitur, białą koszulę i szeroką czerwoną apaszkę. Kołnierz i mankiety wykrochmalone na sztywno, w nadgarstkach iskrzą się spinki z brylantami.

Twarz miał gładko ogoloną i czerwoną, a niebieskie oczy pały takim samym żarem jak ślepie Hitlera.

Co powie Volker?

W pierwszej chwili Hitler nie zauważył intruza. Kiedy go do-Ntrzegł, oczy wyskoczyły mu z orbit, a na dolną wargę wypełzły kropelki śliny. Jego zastygła mina wyrażała zgrozę i oburzenie: „Kto śmie mi przerywać?”.

Co powie Volker?

— Herr Hitler — zaczął *Herr Kommissar*. — Pańskie uwagi są bardzo ciekawe, ale zbliża się pora zamknięcia lokalu. Wkrótce trzeba będzie się rozejść i upraszam pana o poinstruowanie swoich ludzi, żeby odpowiednio się zachowywali.

Hitler pociągnął wkoło ramieniem.

— Przychodzi pan tutaj... przerywa mi... żeby powiedzieć mi coś takiego?! — Milczenie. — Ja nie jestem od tego, żeby dyktować porządnym obywatelom Monachium, jak mają się zachowywać! — wrzasnął. — To jest sprawa ich sumienia! Mają na głowie ważniejsze rzeczy niż przestrzeganie małodusznych przepisów narzucanych przez słabych ludzi, którzy chcą wyprzedać nasze dziedzictwo narodowe!

Na sali wybuchł gromki aplauz. *Sieg Heil!*

„Nie powstrzymacie naszego ruchu!”. *Sieg Heil!*

„Nie powstrzymacie woli ludu!”. *Sieg Heil!*

Człowiek skromniejszy by się wycofał, ale nie taki megaloman jak Volker. Miał jednak rozum w głowie. W piwiarni było około setki ludzi plus dwa razy więcej na ulicy. Volker dysponował mniej więcej setką funkcjonariuszy. Był wprawdzie hazardzistą, ale przy tak niskim prawdopodobieństwie wygranej nie zamierzał ryzykować.

Przyszędł czas na pojednawcze gesty.

— Herr Hitler — powiedział najłagodniej jak umiał. — Cieszy się pan zasłużonym szacunkiem swoich zwolenników. Musi im pan powiedzieć, że prawo góruje nad wszystkim, że bez prawa i porządku nie może istnieć żadna cywilizacja.

—Ale nie szatańskiego prawa!

—Wszyscy pana słuchamy, Herr Hitler. Niech pan nie doprowadza do wojny Niemców przeciwko Niemcom. Niech pan nie zmusza nas do czegoś, co wszystkim by zaszkodziło, łącznie z panem.

—Jeśli chodzi panu o więzienie, to nie boję się więzienia!

— zaperzył się Hitler.

Tłum wzniósł zachwycony okrzyk. *Sieg Heil! Sieg Heil!*

Oczywiście, że nie bał się więzienia. Podczas swojej odsiadki miał tyle jedzenia, wina i kobiet, ile tylko zapragnął, a jego zwolennicy mogli go odwiedzać bez żadnych ograniczeń. Było to dla niego osiemnaście miesięcy darmowego wikt i kwaterunku.

— Wszyscy wiedzą, że pan się niczego nie boi, Herr Hitler — pochlebiał mu Volker. — Pańska odwaga i męstwo nie budzą wątpliwości. Ja proszę pana tylko o to, żeby wykorzystał pan swoje talenty i zadbał o to, żeby to zgromadzenie wspaniałych ludzi zakończyło się spokojnie. Nie chcemy, żeby kolejni po-rządni obywatele Monachium trafili do szpitala.

— Miejsce Żydów nie jest w szpitalach, tylko na cmentarzach! — krzyknął Hitler.

Znowu gromki aplauz. *Sieg Heil!*

Z wierzchu Volker zachował spokój, jeśli nie liczyć widocznie napiętej szczęki.

—Niestety, Herr Hitler, trudno jest odróżnić Żyda od nie-Żyda. Póki nie każe się Żydom malować sobie na czole Gwiazdy Dawida, nadal trudno będzie odróżnić Żyda od nie-Żyda. A broń, Panie Boże, żeby któryś z naszych porządnych obywateli został omyłkowo wzięty za Żyda i pobity.

—Jest to cena, którą musimy zapłacić za oczyszczenie naszego miasta z robactwa.

—Interesujące — powiedział Volker. — Może zechciałby pan zajrzeć jutro na komendę, abyśmy mogli szerzej omówić tę kwestię. Teraz jest już późno. Zwracam się do pana, aby dla dobra policji i dla dobra naszego miasta polecił pan swoim jakże liczny zwolennikom, aby rozeszli się w spokojny i uporządkowany sposób. Proszę nie nadwierać dobrej woli policji.

Hitler patrzył na Volkera z połączeniem zaciekawienia i obrzydzenia. Potoczył wzrokiem po sali. Znajdowało się w niej wielu nieuzbrojonych

zwolenników. Policja była mniej liczna, ale z pałkami. Jutro będzie nowy dzień. Po tym drobnym ustępstwie może wzrosną wpływy nazistów w policji. Mieć po swojej stronie takiego szanowanego człowieka jak Volker — to byłoby znakomite.

Demagog zwrócił się do swoich słuchaczy.

— Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby umocnić się w walce z roz-pełzającym się podstępnie złem — z żydowskimi krwiopicjami, żyjącymi poza prawem Cyganami, zwyrodniałymi komunistami, libertyńskimi homoseksualistami, zepsutymi artystami i pisarzami, którzy dążą do podcięcia korzeni naszej moralności, aby w naszej ojczyźnie zapanował nieład i deprawacja! Ale z szacunku dla was — wielkodusznym gestem ogarnął wszystkich swoich słuchaczy — i z szacunku dla policji — pokazał na tylną ścianę — która ciągle musi się zmagać z robactwem zanieczyszczającym nasze miasto, proszę was, abyście rozeszli się w ciszy i spokoju. Abyśmy mogli spotykać się znowu, i znowu... — W tym miejscu podniósł głos. — I znowu, i znowu, aż wytepiemy wszystkie szczury z kanałów Monachium! — Jeszcze głośniej: — Nie damy się zatrzymać, nie damy się udobruchać, nie spoczniemy, póki *Vaterland* nie znajdzie się z powrotem w niemieckich rękach!

Stuknął obcasami i ruszył do drzwi. Tłum rozstępował się niby Morze Czerwone przed Mojżeszem. Berg był zniesmaczony Hitlerem i wściekły na swego bezpośredniego zwierzchnika. Mimo że chodzenie sprawiało mu ból, przebił się przez ludzką ciżbę, aż stanął twarzą w twarz z Volkerem. Na widok Berga *Kommissar* uniósł brew.

— Czy mnie oczy nie mylą?

— Jak pan mógł tak do niego mówić! — Berg z trudem panował nad głosem.

— Nadal znajdujemy się pośród naszych obywateli. Jest wysoce niepolityczne rozmawiać tak niedyskretnie.

— Wszystko, co zostało powiedziane dziś wieczorem na tej sali, to w najlepszym razie oszczerstwa. A w gruncie rzeczy zaszranie bzdury!

Volker zmrużył oczy.

—Zdaję sobie sprawę, że otrzymał pan potężny cios w głowę, ale jeśli jeszcze raz użyje pan w mojej obecności wulgaryzmów, skończy się to dla pana więzieniem.

—Do więzienia powinien trafić Hitler. I pański siostrzeniec!

—Tak, chyba muszę zająć się Lotharem. Nie możemy pozwolić, żeby bojówkarz bił policjantów. To podważa nasz autorytet. — Objął Berga ramieniem, ale ten się otrząsnął. — Wiem, że kocha pan góry, Axel — powiedział z uśmiechem. — Doskonała pora na urlop w Alpach, na koszt wydziału. Śniegu jest jeszcze pod dostatkiem, można wyjechać się na nartach.

—Tak, już wpinam narty, *Herr Kommissar!* — warknął Berg.

—To może się pan przespaceruje do swojej młodej przyjaciółki, póki jeszcze wolno jej tu mieszkać. Obecny klimat polityczny jest dla niej nieprzychylny. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Żadne słowa nie oddałyby szoku, który odmalował się na twarzy Berga. Volker uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Owa niewiasta ochładza się wachlarzem łudzaco podobnym do znalezionego ostatnio przy pewnej ofierze zabójstwa. Zadaję sobie pytanie, czy go przypadkiem nie skradziono. — Berg przełknął ślinę i czekał na dalszy ciąg. — Ale może moje podejrzenia są bezzasadne.

Berg otworzył i zamknął usta, miotając się między osłupieniem a furją. Najchętniej walnąłby zwierzchnika w mordę i rzucił pracę, żeby nie musieć dalej znosić tych upokorzeń, ale do tego pierwszego był fizycznie niezdolny, a na drugie nie mógł sobie pozwolić z przyczyn bytowych.

— Może pańskie podejrzenia są bezzasadne.

Co za tchórzostwo. Znienawidził się za to kłamstwo.

— Tak, biorę tę możliwość pod uwagę — odparł Volker. — Jak pan widzi, Axel, nie ja jeden uprawiam politykę ustępstw. Wracając do tematu: wpływy Hitlera rosną, a ona jest Żydówką. Gorąco panu doradzam, żeby korzystał pan z wdzięków swojej pięknej, młodej kurwy, póki jeszcze chodzi na dwóch nogach.

Berg już miał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Jaki jest sens grać męczennika, ryzykować utratę pracy, narażać żonę i dzieci na nędzę z ja-

kiegoś absurdalnego poczucia uczciwości — albo jeszcze gorzej, dla tej... kurwy!

A więc jednak! Powiedział to sobie! Margot była kurwą i niczym więcej. Berg zmusił się do uśmiechu.

—Sypie pan dzisiaj dobrymi radami jak z rękawa, *Herr Kommissar*.

—Cieszę się, że mogłem panu służyć pomocą, *Herr Inspektor*.

Berg odwrócił się i pokuśtykał przed siebie.

Volker pokręcił głową. Biedny Axel. A raczej biedna Margot. Ależ zostanie dzisiaj poturbowana. Cóż, takie jest życie Żydówki, która kupczy swoim ciałem. Zapalił papierosa i patrzył, jak obywatele w uporządkowanym szyku opuszczają piwiarnię. Wiedział jednak, że ugodowa postawa Hitlera jest chwilowa. Ten potwór dyszał nienasyconą żądzą władzy.

Volker wydmuchał pióropusz dymu. Był zmęczony i zadał sobie pytanie, co go trzyma w tej bezsensownej pracy, która w porównaniu do rodzinnego interesu przynosi znikome dochody. Może dlatego, że podobnie jak Hitler lubił, żeby w życiu dużo się działo, a w życiu monachijskiego policjanta działo się bardzo dużo. Była to *par excellence* beczka prochu, a jemu tak niewiele brakowało do tego, żeby stanąć na czele tutejszych organów ścigania.

Ściągnął na siebie złość najlepszego inspektora w *Mordkommission*. Niedobrze. Bo chociaż znalazł się kozioł ofiarny — Gross został w ciągu godziny osądzony, skazany i stracony — Volker wiedział, że po mieście wciąż grasuje morderca.

Rozdział dwudziesty czwarty

Berg wiedział, że o tej porze nie zastanie jej w fabryce. Albo kurwi się z kimś innym, albo jest w domu z rodzicami i udaje porządną dziewczynę. Ponieważ nie miał pojęcia, gdzie Margot mieszka, postanowił zajrzeć do palarni, mając świadomość, że może ją na czymś zaskoczyć.

„Suka!”.

„Kurwa!”.

„Zasrani Żydzi!”.

„Wracajcie do Polski!”.

„Wracajcie do Rosji!”.

Tak jakby od początku nie wiedział, co jest grane. To on był idiota.

Berg postawił kołnierz płaszcza, a potem owinał szalikiem szyję i szczękę. Szedł powoli i z bólem. Kamienica znajdowała się za mostem Ludwika blisko Gärtnerplatz w dzielnicy Isarvorstadt, wylęgarni owadów, robaków i chorób. Idąc na drugi brzeg Izary i kierując się na południowy zachód w stronę getta, miał niechciany czas na refleksję. Zamiast wystygnąć, gniew jeszcze bardziej się w nim rozpałił. Suka! Powinien iść do domu... do tych, którzy go kochają... do żony i dzieci. Ale co czeka go w domu? Britta będzie wściekła, że uciekł. Prędzej czy później będzie musiał z nią porozmawiać w cztery oczy. Britta skrzyczy go i wyśmieję, oczywiście jak zawsze z miłości... Ale może nie powinien z tego kpić. Britta od piętnastu lat jest jego żoną. To Britta powinna go interesować, a nie jakaś chciwa dziwka. „Suka dostanie za swoje”, poprzysiął sobie Berg. Jeszcze dziś w nocy dostanie za swoje.

Wokół siebie miał brunatne koszule — wysypywali się z Kell-nerhaus, maszerowali ulicami, fałszywie śpiewali pijackie ballady o ckliwej, sentymentalnej miłości do *Vaterland*, która nigdy nie istniała. Nie stanowili w Monachium większości, ale byli najbardziej hałaśliwi. Zamiast maszerować w tempie jak żołnierze, młodzieżowe bandy zataczały się, wpadały na siebie nawzajem. Niektórzy próbowali rozdawać ulotki, ale więcej papieru

lądowało na ziemi niż w rękach nielicznych przechodniów. Gdzieś w tle Berg usłyszał brzęk tłuczonego szkła — kolejny żydowski sklep został zdemolowany i złupiony. Ale nie to w tej chwili najbardziej zaprzętało jego myśli. Zresztą, co mógłby zrobić w jego stanie?

Znowu śpiew okraszany wulgaryzmami, rubasznym śmiechem i odgłosami rzygania. Bojówkarze płacili za pijaństwo torsjami na ulicy. Berg nie rozróżniał bełkotliwie artykułowanych słów, ale znał tę piosenkę. Czy w Monachium był ktoś, kto jej nie znał?

Durch Krieg und Schrecken aus der Welt verbannt Kam wieder ich in mein geliebtes Land^{*45}.

Ach, Bawarczycy z ich rzewnymi piosnkami. Niemcy, które znał Berg, były bojowym krajem wzburzenia i agresji, wojowniczym państwem stale dążącym do poszerzenia swoich granic, w Europie i za morzami. Jeszcze przed wielką wojną Kaiser o mało nie wypowiedział wojny Rooseveltowi i Stanom Zjednoczonym o jakieś głupie wysepki na Morzu Śródziemnym, tysiące kilometrów od *Vaterland*. Agresja sama w sobie nie jest zła." Podbój rodzi dumę. Ale porażka rodzi wstyd.

Nach München, in die schöne Isarstadt, Die mich so hoch geehrt seit alters hat^{*46}.

Aryjski sentymentalizm był dziwnym połączeniem nordyckiej mitologii i barbarzyńskiej brutalności. Mieli swoje marzenia i mieli swoje kozły ofiarne. Ale w ich rojeniach była jakaś logika. *Berliner Kosmopoliten*^{*47}, skumplowani z artystowską cyganerią, wykwintnie odziani popijają wy-

⁴⁵ * *Durch Krieg und Schrecken...* (niem.) — Wygnany ze świata przez wojnę i strach, wróciłem do mego umiłowanego kraju.

⁴⁶ * *Nach München...* (niem.) — Do Monachium, do pięknego Isarstadt, które od dawna darzy mnie wielkim szacunkiem.

⁴⁷ * *Berliner Kosmopoliten* (niem.) — berlińscy kosmopolici.

kwintne alkohole, paląc papierosy przez lufkę. Żłopanie piwa w piwiarniach nie jest komilfo, trzeba pić absynt w nocnych klubach. Prusacy nieustannie kpią z Bawarii, z jej stroju, z jej kuchni, z jej rozlewnego akcentu.

„Pieprzyć ich wszystkich”. „Pieprzyć Żydów”. „Pieprzyć Margot”, kołatało Bergowi w głowie. Sam też był nieźle pijany. „Idź do domu, Axel”, radził sam sobie. Jeśli jej nie znajdzie, to tak zrobi. Ale co jej powie, jeśli ją znajdzie?

Pijackie śpiewy ucichły, kiedy oddalił się w kierunku południowym. Wstały mgły, zamieniając miasto w układ sylwet i cieni. Zanurzał się coraz głębiej w noc, w dzielnicę balansującą na skraju wymarcia. W zakamarkach czynszówek roiło się od szakali i szczurów. Berg bez przerwy oglądał się przez ramię. Jak nie naziści tłukący szyby, to złodzieje wyciągający portfele z kieszeni obywateli.

Wyśpiewywane w piwiarniach ballady kiedyś odmalowywały prawdziwy obraz rzeczywistości. Monachium było onegdaj bezpiecznym i pięknym miastem artystów i intelektualistów, południową alpejską perłą. Berg sięgnął myślami w przeszłość. Kiedy to się zaczęło — ta choroba, ta paranoja? Reparacje wojenne pogrążyły Niemcy w długach. Znienawidzona Republika Weimarska z siedzibą w Berlinie nakładała wysokie podatki na całe Niemcy, ale szczególnie wysysała bogatą w surowce Bawarię. Potem przyszło obalenie Wittelsbachów i zamach na Kurta Eisnera. Czasy były bardzo ciężkie, sześć lat temu szalała hiper-inflacja, ale teraz sytuacja się poprawiła. Czemu zatem pleni się przestępczość, a przemoc jest tak powszechnie akceptowana? Pobicia, grabieże żydowskich sklepów, parady wojskowe z hasłami nienawiści i zemsty. A teraz brutalny mord na dwóch kobietach. Kiedy to się skończy?

Berg nagle uświadomił sobie, że dotarł pod palarnię. Dokoła nie było nikogo. Wziął głęboki wdech i wszedł do środka. W recepcji siedział ten sam czerwony na twarzy grubas co w ciągu dnia. Czytał pisemko z reportażami o przestępstwach. Na okładce zmysłowa, piersiasta blondynka trzymała się za policzki, wrzeszcząc bezgłośnie. Recepcjonista ledwo ode-
rwał oczy od tekstu.

— *Herr Inspektor* — pozdrowił Berga i wrócił do lektury.

— Czy jest... — Mężczyzna skinął głową bez podnoszenia wzroku. — Sama?

Tym razem grubas spojrział na Berga z obleśnym uśmiechem.

— Nie pilnuję tego, *Herr Inspektor*.

Za późno, żeby zrezygnować, nie narażając się na śmieszność. Z ogromnym wysiłkiem wgramolił się na schody i zapukał. Cicho, nie jak człowiek ogarnięty furją. Berg był dumny z tego, że umie panować nad emocjami.

— *Wer ist da?* *⁴⁸ — spytał przytłumiony głos.

— *Polizei* — odparł oficjalnym tonem.

Liczył na to, że odstraszy ewentualnego klienta, tymczasem drzwi natychmiast się otworzyły i powitały go uśmiechnięte oczy.

— Co za miła niespo... — Margot urwała na widok jego twarzy. — Co się stało?

Berg zamknął z hukiem drzwi.

— Widzę, że jesteś za leniwa, żeby czytać gazety. — Spojrział na skotłowaną pościel i na jego twarzy pojawił się gniew. Zaczął powoli przemierzać pokój.

— Po co mam czytać? — Osłupiałym wzrokiem patrzyła na utykającego Berga. — Same przygnębiające wiadomości. Co się stało, Axel?

— Jesteś w tym mieście obca — powiedział ostrym tonem. — Dla własnego dobra powinnaś śledzić bieżące wydarzenia.

— Wiem, kim jestem, i wiem, co o mnie myślisz.

— Tylko tak ci się wydaje — szepnął Berg. — A poza tym nie wszyscy monachijczycy są tacy jak ja.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Axel. Kto cię pobił? Okręcił się na pięcie i chwycił ją za brodę.

— To ja powinienem cię o to zapytać. Co ci się stało? Skąd te sińce na twarzy? — Odepchnął ją. — Traktuję cię jak królową, a tak mi się odpła-

⁴⁸ * *Wer ist da?* (niem.) — Kto tam?

casz? Dupczysz się z innymi mężczyznami, którzy tłuką cię jak worek bokserski?

Z jej oczu popłynęły łzy, żłobiąc koleiny w niedawno nałożonym różu.

— A jak mam się utrzymać z drobiazgów, które od ciebie dostaję? Fabryka mi nie płaci. Czy moja rodzina ma umrzeć z głodu? Czy to ja mam być potępiona za to, że niemieccy mężczyźni mają nieposkromiony apetyt na smukłe młode dziewczyny?

— Mogłaś mnie wcześniej poprosić! — warknął Berg.

— Żeby twoja żona nie miała co do garnka włożyć, bo jej mąż przepuszcza pensję na Żydówkę? — spytała łamiącym się głosem i pokręciła głową. — Nie sędzę, Axel.

Berg znowu poczuł się podły i mały.

— Ile ci potrzeba?

— Więcej, niż może mi dać żonaty mężczyzna na państwowej posiadzie. Moi krewni giną w pogromach w Rosji albo umierają z głodu. Moja potrzeba pieniędzy jest nienasycona. Ale to nie ja się skarżę. — Dotknęła jego twarzy. — Co ci się stało?

Odsunął się od niej. Nie miał odwagi spojrzeć w jej oskarżycielskie oczy.

—Dwa dni temu były zamieszki — powiedział cicho.

—Słyszałam.

—W takim razie słyszałaś też na pewno, że policjant został pobity tak ciężko, że trafił do szpitala.

—To byłeś ty?! — przeraziła się Margot. — Volker wysłał ciebie na linię frontu?

—Volker wysłał mnie po tego Żyda. Chłopcy Hitlera zrobili resztę.

—Sukinsyn! — mruknęła Margot pod nosem. — Nie byłabym zdziwiona, gdyby to on ich na ciebie napuścił.

—Co powiedziałaś? — Berg wykonał piruet i przeszył ją spojrzeniem.

— Nic. — Margot uciekła wzrokiem.

Berg powoli usiadł na łóżku, które pachniało potem i seksem. Płonął z zazdrości, ale ostatnie słowa Margot skierowały jego uwagę na inne tory.

— Margot, powiedz mi, co miałaś na myśli.

Usiadła koło niego.

—Volker to sukinsyn. To na pewno już wiesz.

—Dlaczego powiedziałaś, że napuścił na mnie chłopców?

—Nie wiem, czy tak było...

—Czy Volker chce się mnie pozbyć?

Margot oblizwała usta i milczała. U Berga włączył się instynkt samozachowawczy. Przed chwilą był gotów udusić kochankę, wyobrażał sobie swoje dłonie na tej białej, kruchej szyi. Teraz pogłaskał ją delikatnie po ramieniu i próbował stłumić w sobie strach.

— Powiedz mi, kochanie. Co *Kommissar* ci mówi?

—Domyśli się, że wiesz to ode mnie. — Patrzyła na niego wilgotnymi oczami. — Bez przerwy mnie magluje.

—O mnie? — Skinęła głową. — Tylko o mnie czy o innych funkcjonariuszy też?

—Nic nie rozumiesz? — Zezłościła się. — On ma pieniądze, on ma władzę, której może użyć nie tylko przeciwko mnie, ale także przeciwko tobie.

Berg zmarszczył czoło.

— O co pyta w związku ze mną?

— Z kim się przyjaźnisz! Jakie masz przekonania polityczne! Co robisz po godzinach!

— I co mu odpowiadasz?

— Że nie rozmawiamy zbyt wiele. Bo taka jest prawda, nie? Ale coś muszę mu mówić. Wie, że spędzasz tu więcej czasu niż potrzeba na załatwienie sprawy.

— I co mu mówisz?

— Prawdę. — Znowu dotknęła jego twarzy. Tym razem Berg się nie cofnął. — Mówię mu, że jesteś samotnym i tajemniczym mężczyzną. Że niewiele opowiadasz o swojej rodzinie i nic o pracy. Że nie mam pojęcia, jak spędzasz wolny czas i z kim się zadajesz.

Berg rozejrzał się po małym pokoju. Rolety były spuszczone. Wstał i wyjrzał na zewnątrz, rozchylając listewki. Ulice były puste.

—Volker wysłał mnie tu dzisiaj. Ciekawe dlaczego.

—Jak to cię wysłał?

— Poszedłem na nazistowski wiec. Zezłościłem się na Volkera, bo zamiast powiedzieć Hitlerowi, żeby skończył z tym podżeganiem, ten sukinyś próbował go udobruchać. Kiedy go za to zjechałem, powiedział mi, żebym odwiedził swoją kurewkę. Przekazał mi w ten sposób dwie rzeczy: że z tobą sypia i że wie, gdzie bywam. — Zaśmiał się gorzko. — Coś czuję, że zastawił na mnie pułapkę. Że jak tylko stąd wyjdę, znowu zostanę napadnięty.

Margot przełknęła ślinę. Berg jeszcze raz rozsunął listewki rolety. Tym razem zobaczył ich trzech — hitlerowcy w swoich głupawych mundurach kręcili się po ciemnej uliczce.

—Są te zbiry. Może Volker próbuje mnie zabić.

—To śmieszne, Axel. Jesteś jego najważniejszym inspektorem. Cały czas mi to powtarza. Mówi mi, żebym ci dogadzała.

—Może chce osłabić moją czujność.

—Czujność na co?

Odpowiedź nasuwała się sama. Berg puścił rolety.

—Chce osłabić moją czujność, bo... to on jest zabójcą!

—Co ty wygadujesz?

—Zna angielski. Może zna też rosyjski. Na pewno ma wykwintne maniery. Jest wysoki. To on zabił te dwie kobiety. I wie, że zaczynam deptać mu po piętach. Więc wysyła siostrzeńca do mokrej roboty! — Oparł się plecami o ścianę i przeszył go dreszcz bólu. — *Mein Gott*, jak mogłem być taki głupi!

—Axel, gdyby Volker chciał twojej śmierci, to byś już nie żył!

—Bardzo niewiele brakowało, żebym nie żył, Margot. Ci chłopcy mają za zadanie załatwić sprawę do końca. — Spojrzał na nią zdesperowanym wzrokiem. — Czy jest tutaj jakieś drugie wyjście?

—Tak, przeciwpożarowe...

—Pewnie też obstawione.

—Bzdury wygadujesz, Axel! Berg wbił w nią wzrok.

—Co będzie, jeśli wejdą do tego pokoju, Margot?

—Drzwi są zamknięte na klucz.

— Myślisz, że trzech roślących chłopaków nie potrafi ich sforsować?

— Pod łóżkiem jest zapadnia — wyznała Margot. — Dziewczyny z niej korzystają, kiedy jest nalot.

— Pokaż mi!

Ostry dźwięk policyjnego gwizdka rozdarł nocną ciszę. Berg usłyszał tupanie policyjnych butów. Margot wstała i wyjrzała przez okno.

— Policja przegania bojówkarzy. Chodź i sam zobacz. Berg stanął obok niej. W nikłym świetle latarni dostrzegł dwóch umundurowanych mężczyzn biegnących za młodymi zwolennikami Hitlera.

— Musisz mnie tak straszyć? — skarciła go Margot. — Tak jakbym miała za mało zmartwień. O Volkerze można powiedzieć różne rzeczy, ale na pewno nie można mu zarzucić braku logiki. Czemu miałby zabijać swojego człowieka numer jeden? Pobicie poprzestawiało ci coś w mózgu. Potrzeba ci urlopu.

Volker powiedział mu to samo. Czyżby byli ze sobą w zмовie? Nie, to jest już paranoja. Coś mu jednak brzydko pachniało. Co Volker powiedział mu na temat Margot? Że nie jest w tym mieście mile widziana. Chciał go ostrzec, że intymne stosunki z Żydówką narażają go na niebezpieczeństwo, czy też chciał go od niej odsunąć, żeby mieć ją wyłącznie dla siebie? I ta uwaga o kradzieży... Czy Volker wie, że Berg zabrał pieniądze z kasetki Marleny Druer? Jeśli ją zabił, to ma prawo wiedzieć. Volker zupełnie jednak nie przypominał mężczyzny z portretu pamięciowego. Ale czy to rozstrzyga sprawę? Ulrich miał rację — rysunek mógł przedstawiać tysiące mężczyzn.

Berg ledwo żył z bólu. Tak nie można funkcjonować. Musiał z niechęcią przyznać, że Volker miał rację. Margot miała rację. Britta miała rację.

Trzeba wziąć urlop.

Rozdział dwudziesty piąty

Britta zawsze lubiła góry. Uwielbiała jazdę na nartach, wyprawy rowerowe po malowniczych dolinach, zwiedzanie starych zamków czy piesze wędrówki krętymi górskimi ścieżkami. Od razu się uśmiechnęła, jak tylko zeskoczyła na peron w Garmisch i spojrzała na majestatyczne granitowe górskie grzbiety, które muskały błękitne niebo. Wiosna okryła zbocza miękkim zielonym kobiercem, sosny strzelały do góry i rozsiewały wokół rzeński aromat, krokusy i żonkile wystawiały zielone nosy spod ostatnich płacht śniegu.

Popijając grzane wino, Berg obserwował rodzinę, która jeździła na nartach z Zugspitze, i usiłował zapanować nad strachem. Chciał zapomnieć o pracy, kiedy wparty na ramieniu syna spacerował po lesie. Powoli wędrowali pozarastanymi ścieżkami i szlakami albo chodzili po rzymskim mieście Partenkirchen. Zatrzymali się w małym pensjonacie na obrzeżach miasta. Rano podawano świeże bułki z masłem, szynką i serem, makowiec, a do picia kawę i herbatę. Na kolację serwowano siekaną wieprzowinę z kłuskami albo domowej roboty kiełbaski z kapustą. Spali w puchowej pościeli, a sny często mieli równie orzeźwiające jak powietrze, którym oddychali. Oniryczna sielanka... poza jednym koszmarem.

Jednym jedynym.

Ciemno i ponuro... Berga goniły cienie i zjawy, bezkształtne i niepolite. Mógł uciekać drogą, która ciągnęła się w nieskończoność. Nie ma innego wyboru, jak tylko biec do przodu z kłuciem w płucach i skrętem kiszek. W końcu kolana ugięły się pod nim ze zmęczenia. Zanim zdążył upaść, obudził się zdyszany i zlany potem, mimo górskiego chłodu, który przenikał przez szpary w oknach. Britta spytała, co się stało, ale Berg nie mógł jej odpowiedzieć. W końcu przekonał żonę, żeby na powrót zasnęła, sam jednak leżał bezsennie, ogarnięty narastającą nieufnością.

A jednak, mimo swojej złości na Volkera, Margot, Hitlera i całe Monachium, mimo swoich podejrzeń i lęków, Berg z czasem zdał sobie sprawę,

że urlop istotnie ma na niego uzdrawiający wpływ. Okazał się niezbędnym spoiwem dla jego nadwątlonego małżeństwa i balsamem na skołatane dusze jego dzieci, które często patrzyły na niego ze zdziwieniem i strachem w oczach. Podczas podróży powrotnej koleją Britta i Monika spały, uśpione miarowym stukotem kół lokomotywy, Joachim natomiast siedział nad szkicownikiem. Berg zerknął na najnowsze dzieło syna, wykonane szybkimi, grubymi pociągnięciami węgla. Rysunek ukazywał rozmazany górski krajobraz, który uciekał do tyłu za oknami wagonu.

Berg rozwinął z papierka kanapkę ze schabem wieprzowym i cebulą. Zaproponował synowi połowę, ale Joachim odmówił ruchem głowy.

—Nie jestem głodny. — Pokazał na czarne palce. — Poza tym musiałbym umyć ręce.

—Musisz jeść, bo nie będziesz miał mięśni — zaprotestował Berg i zwinął połowę kanapki w papier. Joachim posłusznie wziął swoją część.

—Zjem, jak skończę.

—A skąd będziesz wiedział, że skończyłeś? Joachim powoli skierował spojrzenie na twarz ojca.

—A ty skąd wiesz, że skończyłeś?

Berg podrapał się w brodę. Opuchlizna już prawie całkiem zesła.

— Uznaję, że skończyłem, kiedy nie ma już nic do dodania. Praca niekoniecznie jest taka, jakiej sobie zyczyłem, ale wiem, że nic nie pomoże, jeśli coś jeszcze dodam. Godzę się więc z usterkami, przeklinam swoją niezdolność do przekazania pędzlem tego, co mam w głowie i mówię: „Poddaję się”. — Joachim skinął głową. — To jest najbardziej frustrujący moment: widzę coś wyraźnie w głowie, ale brakuje mi umiejętności, żeby przenieść to na płótno.

Joachim ponownie przytaknął. Podczas tej rozmowy nie przestawał rysować. Berg zastanawiał się, co siedzi w głowie jego syna — pięknego chłopca zbliżającego się do wieku dorosłego Materiał na pogromcę serc niewieścich — poza tym, że był na to zbyt wrażliwy.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, synu. Skąd będziesz wiedział, że skończyłeś?

Joachim ze zmarszczonym czołem rozcierał węgiel na kartce żeby stworzyć smugowe złudzenie ruchu.

—Dawniej wiedziałem, że rysunek jest skończony, bo czułem się szczęśliwy.

—Jak z tym kwiatkiem, który wisi w salonie.

—Właśnie. — Joachim spojrzał na ojca. — Ale ostatnio jestem coraz mniej zadowolony ze swojej pracy. Pewnie dlatego że «jestem starszy. Rzeczy, które nas satysfakcjonują, kiedy jesteśmy) dziećmi, przestają się wydawać takie dobre, kiedy wchodzimy w dorosły świat rywalizacji.

Berg nie znalazł na to odpowiedzi. Ogarnął go wielki smutek Czemu jego syn odczuwa taką presję? Może dlatego, że Berg nigdy nie dawał mu zbyt dobrego przykładu.

— Zjedz kanapkę, Joachim.

Chłopiec wzruszył ramionami, zamknął szkicownik, wziął z siedzenia kanapkę i ugryzł spory kęs. Drugie śniadanie trwało dziesięć minut. Ojciec i syn jedli w milczeniu.

*

Zapach karczka duszonego w piwie, jabłkach i kapuście: zapach niedzielnego obiadu. Kaloryfer był ledwo ciepły, chociaż rury prychały jak rozgniewany wulkan. Na szczęście było jeszcze dodatkowe źródło ciepła w postaci rozgrzanego pieca. Britte miała włosy w mące, której użyła do swojego specjalnego świątecznego wypieku — ciasta gruszkowego z orzechami włoskimi. Berg powoli odzyskiwał poczucie normalności. Był żonatym mężczyzną, miał dzieci, miał pracę, był porządnym niemieckim obywatelem. Myśli o jędrnym ciele Margot, o jej gardłowym śmiechu i wilgotnej kobiecości rozbudzały w nim drgnienia, które natychmiast wygasały. Skoro Volker jej chce, to niech jama. A przecież była boska.

Britta zawołała ich do stołu. Właśnie wyłożyła pieczeń na talerz, kiedy zaczęły się hałasy — stuk kamieni o boczną ścianę budynku. Berg zerwał się i podszedł do szafy, żeby wyjąć z niej strzelbę myśliwską.

—Dosyć już tego dobrego!

—Nie wygłupiaj się, Axel! — krzyknęła Britta.

—Koniec!

Berg otworzył okno. Lothar. Tym razem mały zbir był sam. Coś niesamowitego! Miał czelność i odwagę nękać Berga bez swojej bandy wyrostków. Berg odbezpieczył strzelbę i wymierzył chuliganowi między oczy.

—Rusz się i jest po tobie!

—Zwariowałeś, Axel? — wrzasnęła Britta.

—Przestań, tato — błagał Joachim, szarpiąc Berga za ramię. — Proszę cię, przestań!

—Nie strzelać, nie strzelać, nie strzelać! — odezwał się chłopiec.

Paniczne krzyki z dołu zaskoczyły Berga, ale wciąż trzymał chłopaka na muszce. Mógł sobie pozwolić na czupurne gesty: broń nie była nabita.

—Daję .ci minutę na wytłumaczenie się!

—Nie jestem Lothar, nie jestem Lothar! — Chłopak był zziajany, z trudem łapał powietrze, jakby całą drogę pokonał biegiem. — Jestem młodszy brat Lothara, Friedrich.

—Nie obchodzi mnie, kim jesteś! Jak się tylko ruszysz, to cię zastrzelę!

—Proszę, niech pan nie strzela! — błagał płaczliwie. — Nie wiedziałem, jak wejść do budynku. Drzwi są zamknięte. Nie ma dozorczy. Jak miałem inaczej pana wywołać? Wujek przysłał mnie po pana. Jeśli wrócę sam, to wujek mnie zbije.

—Wujek? — Berg przełknął ślinę. — Masz na myśli Volkera?

—Tak, tak, wujka Martina. Chce się z panem zaraz zobaczyć!

Berg nie opuścił strzelby.

— Skąd mam wiedzieć, że to nie jest pułapka? Że za węglem nie czeka twój brat z bandą chuliganów?

Friedrich zwiesił głowę.

—Lothar nie żyje. Bergowi zaczęły drżeć ręce.

—Nie żyje?

— W zeszłym tygodniu stratował go spłoszony koń. To był straszny wypadek. Przysięgam, że mówię prawdę — wyszłochał chłopiec. — Proszę, niech pan nie strzela!

Berg powoli obniżył lufę.

— Idź i powiedz wujkowi, że będę za trzydzieści minut. Jestem tak pobijany, że na razie nie mogę jeździć na motorze. Muszę chodzić na piechotę, a to trwa o wiele dłużej. — Berg wciągnął strzelbę do mieszkania. — No, goń stąd, mały!

Chłopiec jeszcze chwilę stał bez ruchu, po czym wystrzelił przed siebie jak błyskawica.

Berg usiadł za stołem i rozłożył na kolanach serwetkę.

— Najpierw zjem. Muszę się wzmocnić, zanim usłyszę złą wiadomość.

Kolacja przebiegała w kłopotliwym milczeniu. Potem Joachim pomógł ojcu zejść po schodach. Berg pomachał stojącym w oknie żonie i córce, a następnie pokuśtykał do tramwaju.

Stratowany przez konia... Volker załatwił sprawę. To była jego mocna strona.

TLR

Rozdział dwudziesty szósty

Ponieważ była niedziela, na komendzie panowała cisza, a zwłaszcza w *Mordkommission*. Bardzo niewielu inspektorów pracowało w dni wolne. Efektami pijackich burd w piwiarniach mogli się spokojnie zająć funkcjonariusze mundurowi. Musiało więc zdarzyć się coś nadzwyczajnego, skoro Volker wezwał Berga w porze tradycyjnego niedzielnego obiadu. Mało tego, sprowadził również dwóch innych inspektorów z *Mordkommission*. Rudolf Kalmer stał pod ścianą i stuknął obcasami na widok Berga. Sześćdziesięciolatek, chudy jak szparag, służył w armii Kaisera, dzięki czemu był zdyscyplinowany i obowiązkowy. Miał jednak żal, że nie znalazł się w trzyosobowym zespole Berga. Heinrich Messersmit również zbliżał się do sześćdziesiątki. Siwowłosa, z przygarbionymi ramionami i siódmką dzieci, po wydaniu za mąż najmłodszej córki pracował już tylko na część etatu. Miał dom letniskowy nad jeziorem w górach przy granicy z Austrią i częściej przebywał tam niż w Monachium.

Herr Kommissar, jak zawsze elegancki, był zdenerwowany, o czym świadczyła zaciśnięta szczęka. Berg usiadł i rozejrzał się po bogato urządzonej biurze. Szczególnie godne uwagi było biurko Volkera. Znajdowała się na nim lampa elektryczna, kalendarz, ozdobny kałamarz, cały szereg piór, nóż do otwierania listów, stojak na listy i suszka. A jednak przy całym tym wyposażeniu leżała na nim tylko jedna teczka, którą *Kommissar* pchnął w stronę Berga.

— Niech pan przeczyta — polecił.

Były to *Kriminalakte*, z datą sprzed ośmiu dni — Berg miał wtedy przed sobą jeszcze połowę urlopu. Sprawę, dotyczącą zaginionej kobiety, przydzielono inspektorom Kalmerowi i Messersmitowi. Chodziło o trzydziestosześcioletnią żydowską imi grantkę nazwiskiem Regina Gottlieb. Przykre, lecz wcale nie wyjątkowe. Między imigrantami często dochodziło do starć, na noże, na pięści, czasem nawet z użyciem zakazanej broni palnej. Przy wysokim bezrobociu mężczyźni nie mieli lepszego zajęcia niż bić

swoje kobiety. Czasem katowali je na śmierć i głęboko zakopywali dowody swojej zbrodni.

Berg przeglądał akta. Mąż zgłosił zaginięcie dzień przed datą widniejącą na teczce. Zawiadomił policję, że Regina poszła na spotkanie ze swoją pracodawczynią i nie wróciła.

—Czego mam szukać? Czy mąż jest w kręgu podejrzanych? — spytał Berg.

—Przesłuchaliśmy go i nic na to nie wskazuje — odparł Kalmer.

—Czy są jeszcze jakieś inne zaginione Żydówki? — dociekał Berg.

—Czemu pytasz? — zdziwił się Kalmer.

—Przecież Żydzi ostatnio ciągle padają ofiarą agresji, Rudolf.

—Żadna inna kobieta nie zaginęła — poinformował go Messersmit — ale zamordowano kilku Żydów.

—Nic odbiegającego od normy — dodał Kalmer. — Paru starych żydowskich sklepikarzy. Jednego wywleczono ze sklepu na ulicę i śmiertelnie pobito. Innego znaleziono na ulicy, też skatowanego. Duchownego żydowskiego dźgnięto nożem w szyję. Przeżył, ale nie potrafił zidentyfikować napastników.

—Podejrzewamy chłopców Hitlera — stwierdził Messersmit.

—Podejrzewacie, ale nikogo nie aresztowaliście — odparł Berg.

—Dopóki nie dopasujemy grupy krwi do konkretnej osoby, nie bardzo możemy to zrobić — bronił się Volker.

—Zajmujemy się tymi sprawami, Axel — zakomunikował Kalmer. — Bardzo gruntownie.

—Trudno o szybkie postępy w śledztwie — włączył się Messersmit. — Naziści nie chcą z nami rozmawiać, Żydzi też nie. Skoro sami nie chcą sobie pomóc, to co policja może zrobić?

Berg milczał. Coś ścisnęło go za żołądek. Czy na pewno tak bardzo się starają?

— Tak naprawdę Heinrich jest zbyt skromny. — Volker położył dłoń na ramieniu Messersmita. — Sprawa posuwała się do przodu. A potem mego siostrzeńca spotkał ten straszny los. Uznałem, że nie wypada przesłuchiwać kolegów Lothara na jego pogrzebie.

— Ale chyba teraz możemy ich przesłuchać? — spytał Berg. Kalmer zgromił go wzrokiem.

— Chyba Heinrich i ja możemy ich przesłuchać — skorygował go.

— Niestety, Axel, są inne sprawy, którymi musimy się zająć. Volker wyjął inną teczkę — *Mordakte* sprzed czterech dni.

Podał ją Bergowi, który zaczął ją przeglądać z drzeniem serca. Denatką była młoda Aryjka w wieczorowym stroju. Berg spotkał się wzrokiem z Volkerem.

— Jeszcze jedna?

— Niech pan czyta dalej.

Profesor Kolb jako przyczynę śmierci podał obfity krwotok wewnętrzny. Potem Berg zrobił wielkie oczy.

— Ciało znaleziono w Englischer Garten? Odpowiedzią była cisza. Berg zapanował nad emocjami. — Dlaczego nie zostałem o tym natychmiast poinformowany?

— Ponieważ ofiarą okazała się Regina Gottlieb, a to jest nasze śledztwo! — uniósł się Kalmer.

— Jej śmierć w sposób oczywisty łączy się z pozostałymi dwiema — odparł Berg.

— Z jedną. Annę Gross zamordował jej mąż — upomniał go Volker.

„Nie obrażaj mojej inteligencji”, pomyślał Berg, a głośniejszym głosem dodał:

— Należało mnie bezzwłocznie zawiadomić!

— Teraz pana zawiadamiam — powiedział Volker ze zmarszczonym czołem. — Dlatego jest pan tutaj, a nie przy rodzinnym stole. Chciałbym, żeby pan się przyjrzał tej sprawie i ocenił, czy morderstwo to rzeczywiście jest powiązane ze zgonem Marleny Druer. Odciąży pan Kalmera i Messersmita, którzy będą mogli poświęcić całą energię śledztwu w sprawie zamordowanych Żydów.

Dwaj inspektorzy zmarszczyli się jak suszone śliwki, ale nie polemizowali z Volkerem. *Herr Kommissar* odebrał im bardzo intrygujące dochodzenie. Berg zdał sobie sprawę, że sytuacja jest drażliwa. Przyszedł czas na pokorę.

—Jeśli pan się zgodzi, *mein Herr*, to chciałbym, żeby Rudolf i Heinrich ze mną współpracowali. Bardzo liczę na wasze pomoc, panowie. Mogę wam zadać kilka pytań?

—Proszę bardzo — zgodził się Volker.

—Czy rozpoznaliście w ofercie Reginę Gottlieb?

—Nie — odparł Messersmit. — Nie mieliśmy jej zdjęcia,

— To kto ją zidentyfikował, mąż? Messersmit pokręcił przecząco głową.

—Pokazywaliśmy w okolicy pośmiertną fotografię. Niedaleko od miejsca znalezienia ciała mieszka rodzina Schoennach-tów. Frau Julia Schoennacht rozpoznała na zdjęciu Reginę Gottlieb, swoją dawną krawcową.

—Co tłumaczy, dlaczego nie skojarzyliśmy ofiary z Reginą Gottlieb, Żydówką imigrantką— stwierdził Kalmer. — Nie była ubrana jak żydowska imigrantka. Miała na sobie eleganckie ubranie.

—Teraz wiemy, że zapewne sama je sobie uszyła.

—A materiał, nie był drogi? — dociekał Berg.

—Nie znam się na materiałach, z których kobiety szyją sobie ubrania — zareplikował Kalmer.

—Ale chyba odróżniasz jedwab od wełny.

—W ogóle nie wyglądała na Żydówkę. Czarne włosy, niebieskie oczy, jasna cera.

—Po śmierci każdy ma bladą cerę.

—Bardzo jesteś dowcipny, Axel. Może powinieneś występować na scenie z Karlem Valentinem. Zresztą macie chyba podobne poglądy polityczne.

—Nie przenośmy tego na grunt osobisty, Rudolf — skarci go Volker.

—Ja tylko mówię, że nie wyglądała na żydowską chłopkę która przyjechała z Polski — tłumaczył się Kalmer.

— Mimo pękniętej czaszki dało się poznać, że była piękną kobietą — dorzucił Messersmit.

Berg zastrzygł uszami.

— Tamte uduszono, ale ta zmarła od ciosu w głowę, tak? Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi, ponieważ do biura wszedł profesor Kolb. Miał

na sobie fartuch laboratoryjny włożony na garnitur. Wsparty na lasce, wyjął z kieszeni zegarek i zmrużył oczy.

— Dzień dobry, *meine Herren*. Mam nadzieję, że nie kazałem wam czekać.

Volker spojrzął na zegar ścienny. Dochodziła czwarta.

—Przyszedł pan punktualnie.

—Ale zaczęliście beze mnie.

—Axel zjawił się szybciej, niż sądziłem — wyjaśnił Volker. — Tempo jego powrotu do zdrowia zakrawa na cud.

—Nadprzyrodzone zjawisko, które może konkurować z całunem turyńskim — zażartował Berg z kamienną twarzą. — Stwierdził pan coś ciekawego w związku ze śmiercią tej kobiety, *Herr Professor!*

—A od czego innego jestem? — zaśmiał się Kolb.

—Właśnie doszliśmy do tematu, z którego pan jest fachowcem: ran głowy ostatniej ofiary — powiedział Messersmit.

Kolb zaczął przechadzać się po biurze, stukając laską o podłogę. Miejsca nie było zbyt wiele, więc kręcił się w kółko. Wycelował palcem w Berga.

—Frau Gottlieb została uderzona w tył głowy, ale są również podłużne ślady na szyi. Frau Gottlieb pobito i uduszono.

—Pięknie — odparł Berg. — Co uczyniono najpierw?

—Ciekawe pytanie. Usiłowałem wczuć się w mentalność mordercy. Na jego miejscu najpierw spróbowałbym duszenia. — Ożywił się. — Bardziej osobista metoda, z zachowaniem kontaktu wzrokowego.

—Dlaczego miałyby robić z zabójstwa osobistą sprawę? — spytał Messersmit.

—Ci seryjni mordercy często podchodzą do tego osobiście. Ale to temat na inną rozmowę. Wróćmy na miejsce zdarzenia.

—Słusznie — poparł go Volker.

Kolb skinął głową.

—Założmy, że kiedy była duszona, zaczęła się bronić. Nie był to delikatny kwiatusek. Dwa paznokcie są złamane, pod innymi jest zdarta skóra. Drapała jak tygrysica.

—Powinniśmy sprawdzić, czyjej mąż nie ma jakichś zadrapań — zasugerował Berg.

—Dobry pomysł, inspektorze. Pod paznokciami ofiary znalazłem skórę z czyichś ramion i twarzy. — Kolb przebiegł sękatymi palcami po rozwichrzonych siwych włosach. — Sądzę, że w pewnym momencie zdołała się wyrwać. Gdybym był mordercą i miał szybki refleks, to nie pozwoliłbym jej się oddalić, żeby nie zdążyła krzyknąć. Złapałbym ją za spódnicę, uniósłbym laskę...

—Znaleźliście laskę? — przerwał mu Berg.

—Nie, nie znaleźliśmy, ale ślad na czaszce pochodzi od twardego, okrągłego przedmiotu. A jaki przedmiot pasuje do tego opisu i można mieć go przy sobie, nie budząc podejrzeń? Laska.

Berg skinął głową. Gustowna laska pasowałaby do przyjętego przez zabójcę wizerunku arystokraty.

— A więc ona mi się wrywa — podjął Kolb — i łapię ją za ubranie. Potem szybki cios w tył głowy. — Zademontstrował. — Potem ona upada, a ja ją dobijam duszeniem. Ktoś rozdarł spódnicę z tyłu. Taka wersja najlepiej odpowiada zebranemu przez nas materiałowi dowodowemu.

Berg rozważył tę hipotezę.

—Czy ofiara miała na sobie pończochy?

—Niestety, jej elegancja była bardzo powierzchowna — odrzekł Kolb. — Pod koronkę i jedwab sukni włożyła bardzo praktyczną jedwabną bieliznę.

—Czy czegoś brakowało?

—Znowu celne pytanie, inspektorze. Ja też bym się spodziewał, że będzie brakowało któregoś elementu odzienia. — Kolb spojrział na Messersmita, a potem na Kalmera.

—Znaleźliśmy tylko jeden but — odrzekł Kalmer. — Skąd pan wiedział?

—Czy w pańskiej fachowej opinii, *Herr Professor* — spytał Berg — ofiara została zamordowana w ten sam sposób co Druer i Gross?

—Annę Gross zamordował jej mąż — oznajmił Volker spokojnym tonem — więc proszę skorygować pytanie. Czy śmierć Gottlieb daje się porównać ze śmiercią Druer?

—Można powiedzieć, że były nie tyle podobne, ile identyczne — odparł Kolb z entuzjazmem. — Marlena miała bardzo wyraźne odciski na szyi...

—Łańcuszek! — wtrącił się Berg. — Zarówno Marlenę, jak i Reginę uduszono za pomocą łańcuszka. Widać było deseń na skórze.

—Racja, inspektorze! — Kolb uśmiechnął się do niego. — Trafił pan w dziesiątkę!

—Regina Gottlieb nie miała na sobie naszyjnika — przypomniał Messersmit.

—Może jej mąż go zabrał — zasugerował z uśmiechem Kalmer. — Znasz Żydów z ich upodobaniem do złota.

Kolb głęboko poczerwieniał na twarzy. Bergowi nie przyszło do głowy, że Kolb może być Żydem, ale teraz zaczął się nad tym zastanawiać.

—Nie sądzę, Rudolf — odparł Berg.

—Ale nie wiesz tego na pewno, prawda, Axel?

—Czemu zakładasz, że to był jej mąż?

—A czemu ty zakładasz, że to nie był jej mąż? Zresztą co cię to obchodzi? Czy naprawdę ma dla ciebie znaczenie, co te zwierzęta robią sobie nawzajem?

—Ktoś powinien jeszcze raz porozmawiać z Herr Gottliebem — przerwał im Messersmit, ucinając spór. — Powiedział nam, że jego żona poszła do Schoennachtów po zaległą pensję. Frau Schoennacht stanowczo zeznała, że Frau Gottlieb nie zjawiała się u niej tego wieczoru, a ona nie była jej nic winna.

—Może Frau Gottlieb chciała pożyczyć pieniądze bez wiedzy męża — zasugerował Kalmer. — Oni kochają pieniądze prawie tak samo jak kochają złoto.

Kolb znowu poróżowiał.

—A my, Niemcy, nie kochamy pieniędzy?

—Nie tak jak Żydzi.

—Pamiętam, że w czasach hiperinflacji było wiele zamieszek.

—Musieliśmy coś jeść! — Kalmer nie ustępował.

—To nie Żydzi wywindowali ceny — stwierdził Kolb — tylko rolnicy, wśród których Żyda nie uświadczysz.

—Bardzo proszę, czy moglibyśmy zakończyć ten temat? — interwieniował Volker.

Umilkli.

—Gdzie mieszkają Schoennachtowie? — spytał w końcu Berg.

—Na Widenmayer Strasse.

„Tak samo jak Anna Gross”, skojarzył Berg.

—Nie ma potrzeby składać Frau Schoennacht wizyty — powiedział Kalmer. — Długo ją przesłuchiwaaliśmy. Nic nie wie. Była przerażona.

—Jestem pewien, że masz rację, Rudolf. — Berg uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. — Mimo to chciałbym z nią porozmawiać.

Messersmit zmarszczył brwi.

—Po co, Berg? Nie masz zaufania do naszych kompetencji?

—Na pewno nie o to chodzi — włączył się Volker. — Berg to tajemniczy osobnik i chodzi swoimi ścieżkami. Może jako szef *Mordkommission* ma lepszą intuicję do tych ponurych spraw niż my. Pozwólmy mu to wykorzystać. Robi się późno. Proponuję, żebyśmy nie wspominali o możliwym związku między śmiercią Gottlieb i tej drugiej, Druer, *ja?*

—*Herr Kommissar*, nawet jeśli wiadomość o tym morderstwie trafi do gazet, to kto przejmie się losem Żydówki? — spytał Kalmer.

—Słuszna uwaga, Rudolf — zgodził się z nim Volker. — Gdyby zaczęły się spekulacje, to zawsze możemy powiązać sprawę z ostatnimi zamieszkami. Właśnie uspokoiliśmy naszych mieszkańców i byłoby niedobrze, gdyby panika się odrodziła.

—Zwłaszcza że tak sprytnie przypisujemy śmierć Anny jej nieżyjącemu mężowi — powiedział Berg. — Ie by to wyglądało.

Oczy Volkera pociemniały z gniewu.

—Dziękuję, że poświęcili mi panowie tyle czasu, *meine Herren* — powiedział do Messersmita i Kalmera. — Możecie się odmeldować.

Zaskoczeni inspektorzy zareagowali dopiero po chwili, ale wyszli bez słowa.

— Ja pana bronię przed tymi dwoma, a pan tak mi się odpłaca? — wyszeptał z furią Volker, zacisnąwszy dłonie w pięści. — Miałem nadzieję, że kiedyś utemperuje pan swój cynizm. Widzę, że się przeliczyłem. Jeszcze jedna kpiąca uwaga i zwolnię pana za niesubordynację. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

— Najzupełniej — odparł Berg.

— W takim razie może pan odejść. — Berg nie ruszył się. — W tej chwili!

Berg spuścił wzrok. Jeśli chce znaleźć sprawców tych morderstw, musi być bardziej pojednawczy.

— *Herr Kommissar!* Przepraszam za mój wyskok. Volker przyjrzał mu się uważnie i uznał, że inspektor mówi

szczerze, bardziej ze strachu niż z poczucia, że zachował się niewłaściwie. Volker skinął głową.

— Jeśli pan się zgodzi, *Herr Kommissar*, to chciałbym skorzystać z obecności profesora Kolba i porozmawiać z nim o raporcie z sekcji zwłok.

— Dobrze — zgodził się Volker po chwili namysłu.

— Chodźmy do mojego biura, żebyśmy mógł robić notatki — powiedział Berg.

— Możecie rozmawiać tutaj — zaprotestował Volker.

— *Herr Kommissar*, nie chciałbym zabierać panu więcej czasu, niż to jest konieczne.

— Nie zabiera mi pan czasu. Nie mam w tej chwili nic innego do roboty, a skoro macie rozmawiać o śledztwie, to chciałbym się temu przysłużyć.

Berg nie mógł się powstrzymać:

—Dlaczego mam poczucie, że nie do końca mi pan ufa?

—To nie jest poczucie, tak jest rzeczywiście. Mam wiele powodów, żeby panu nie ufać, Berg. Poczawszy od pańskiej bezczelności.

— To dlaczego mi pan przekazał akta Frau Gottlieb?

— Bo jest pan najbardziej kompetentnym z moich ludzi do tego zadania. Bo musi pan złapać sprawcę, zanim znowu zabije. Obaj wiemy, że kolejne morderstwo wywołałoby w mieście panikę. Czy możemy wrócić do omawiania śledztwa, inspektorze? Czy może pan na chwilę zapomnieć o swoich fochach, żebyśmy mogli lepiej służyć naszemu miastu i jego mieszkańcom?

— Pod warunkiem, że pan też to zrobi.

Volker błyskawicznie uderzył Berga w twarz otwartą dłonią. Zapadła ponura cisza. Volker zastanawiał się, jaka będzie reakcja podwładnego, ale nagłość ataku komisarza sparaliżowała Berga. Kiedy odzyskał rezon, splunął na niego. A dokładnie obok jego butów. Wymowa tego gestu była jednoznaczna. Berg wiedział, że jest to linia wykreślona na piasku. Był taki wściekły, że nie zważał na konsekwencje swego zachowania. Mijały sekundy. W końcu Volker uśmiechnął się pogardliwie.

— Problemy z gardłem, Axel? Powinien pan iść z tym do lekarza.

Berg nie odpowiedział i na tym sprawa się skończyła. Zawarli kolejny podszyty nieufnością rozejm: jak rozejm między Berlinem i Monachium... między Berlinem i jankesami. Rozejm, który dopraszał się o to, by go re-negocjować i ostatecznie zerwać.

Profesor Kolb chrząknął. Volker i Berg odwrócili się na ten dźwięk. Zapomnieli o obecności profesora.

—Ma pan coś do powiedzenia, *Herr Professor*?

—Jak tylko panowie będą gotowi.

—Gotowy, inspektorze? — spytał Volker.

Berg skinął głową, powoli odejmując dłoń od policzka. Skóra go piekła, ale znacznie mniej dotkliwie niż urażona duma. Mordercza furia minęła im obu. Na pociechę pozostawał Bergowi fakt, że na razie jego posada nie była zagrożona.

Rozdział dwudziesty siódmy

Volker najchętniej wylałby sukinsyna z pracy, ale popełniłby błąd, gdyby uległ temu impulsowi. I na kogo zrzuciłby winę, gdyby zagadka tych irytujących morderstw pozostała nierozwikłana? Nie, trzeba zachować zimną krew. A po wykryciu mordercy przyjdzie pora na rozprawienie się z Axelem. Bez podnoszenia wzroku spytał:

—Co takiego ma pan do powiedzenia, *Herr Professor*, czego nie mógł pan powiedzieć przy Messersmicie i Kalmerze?

—Brawo, *Herr Kommissar!* — Profesor emfaticznie stuknął laską o podłogę. — Rozgryzł mnie pan! Mogę zapytać, czy słyszał pan o Środowym Kółku Psychologicznym, później przemianowanym na Wiedeńskie Stowarzyszenie Psychoanalityczne?

Volker zmarszczył brwi.

—Nic nie wiem o psychoanalizie. I nie śledzę kariery tego śniadego żydowskiego lekarza.

—A powinien pan, *Herr Kommissar*. Zajmuje się on między innymi podświadomością, wewnętrznym funkcjonowaniem mózgu. Jestem przekonany, że profesor Freud miałby wiele uwag na temat naszego zbrodniarza.

—Na przykład? — dociekał Berg.

—Ten człowiek czerpie seksualną przyjemność z gwałcenia kobiet, *ja!*

—Do tego nie potrzeba profesora Freuda — prychnął Volker.

—Co istotniejsze, człowiek ten czerpie jeszcze większą satysfakcję seksualną z zabijania kobiet. Kipi w nim *Lustmord*.

—A może po prostu chciał się pozbyć koronnego świadka gwałtu? — powiedział Volker ze sceptyczną miną. — Poza tym Marlana Druer nie została zgwałcona. Nawet co do Anny Gross nie mamy takiej pewności. Być może odbyła dobrowolny stosunek. Nie sądzę, żeby pańska hipoteza była słuszna.

—Żadna z nich nie wyraziła zgody na to, że zostanie uduszona, *Herr Kommissar*. A Regina Gottlieb walczyła z napastnikiem. A jeśli nie doszło do gwałtu, przemawia to na korzyść mojej koncepcji. Stosunek seksualny nie był w stanie zaspokoić tego człowieka. On musiał zamordować te kobiety. I kolekcjonuje pamiątki po ofiarach — raz była to pończocha, dwa razy but. Najwyraźniej mamy tu do czynienia z osobą, która przeżyła traumę w analnej fazie rozwoju, czego dowodzi fakt, że ten człowiek nie umie się z niczym rozstać. Bez wątplenia wynika to z konfliktu emocjonalnego z matką. Matka, która go odrzuciła plus traumatyzujące wydarzenie — istna mieszanka wybuchowa.

—Jakiego rodzaju traumatyzujące wydarzenie? — spytał Berg, zanim Volker zdążył zaprotestować.

—Narzuca się udział w bitwie podczas Wielkiej Wojny.

—Wszyscy byliśmy żołnierzami — przypomniał Volker. — Nie każdy, kto zabijał w bitwie, stał się mordercą.

—Z ust mi pan wyjął te słowa, *Herr Kommissar*. — Kolb uniósł palec do góry. — Większość z nas umie odróżnić zabijanie na wojnie od zabijania w ogóle. Inna możliwość jest taka, że nie walczył, bo był za młody albo niesprawny fizycznie, co zrodziło w nim kompleksy. Ale to wszystko za mało, aby uczynić zeń bestialskiego mordercę. Potrzebne było połączenie traumy i złej matki. *Ja*, nie ulega wątpliwości, że ten człowiek nienawidzi swojej matki za to, co mu zrobiła.

Zapadła długa cisza.

—Czy pan mówi poważnie, *Herr Professor!* — spytał w końcu Volker.

—Śmiertelnie poważnie. — Kolb zaśmiał się ze swojego dowcipu. — Może matka tego człowieka była nadmiernie uwodzicielska, a może chłodna i odrzucająca. Niezależnie od rodzaju traumy mamy tutaj do czynienia z doskonałym przykładem *de-strudo*. On nie wybiera swoich ofiar przypadkowo. Zabija młode kobiety. Za każdym razem, kiedy ten potwór zabija kobietę, wyobraża sobie, że uśmierca swoją matkę.

Berg zastanowił się nad tą teorią i uznał ją za wyjątkowo niesmaczną.

—Po co te wszystkie substytuty, *Herr Professor!* Dlaczego po prostu nie zabije swojej matki?

—Na to pytanie doktor Freud również udziela odpowiedzi, inspektorze. Ten potwór nie morduje swojej matki, ponieważ pragnienie jej zabicia jest ukryte głęboko w jego podświadomości. Morduje inne kobiety, na nich wyładowując swoją nienawiść.

— I nie ma wyrzutów sumienia? Kolb wzruszył ramionami.

— Może ma, ale nie umie się powstrzymać. Jest trawiony obsesją zabijania.

— Na litość boską, *Herr Professor* — zirytował się Volker

— czy nie może pan po prostu powiedzieć, że ten człowiek zamordował swoje ofiary, bo chciał je zgwałcić albo okraść? Wszystkie te kobiety były bogate.

— Regina Gottlieb nie była bogata.

— Ale nosiła się tak, jakby była. Miał prawo uznać, że jej biżuteria jest coś warta.

— Regina Gottlieb nie nosiła biżuterii — zaproponował Kolb.

— Była chłopką.

— Z daleka tego nie widać — powiedział Berg.

— Panowie, ten człowiek zamordował trzy razy. Nie poprzestanie na tym, bo odczuwa nieodpartą potrzebę zabijania. Paradoks polega na tym, że nigdy nie zaspokoi swego pragnienia, bo nie może zamordować kobiety, o którą naprawdę mu chodzi. Rozważmy fakt, że sprawca zabiera różne rzeczy z miejsca zdarzenia. Trzymając skradziony przedmiot w dłoni, potwór usiłuje ponownie przeżyć moment swego triumfu, ale po jakimś czasie dreszcz rozkoszy przestaje go przenikać, więc zabija znowu. Nie poprzestanie na trzech ofiarach, *Herr Kommissar*, za to dam sobie głowę uciąć.

— Dwóch — skorygował go Volker. — Annę Gross zamordował mąż.

— Z całym szacunkiem, *Herr Kommissar* — powiedział Berg — ale w tym gronie moglibyśmy dać sobie spokój z tymi bzdurami. Anna Gross została uduszona, *mein Herr*. I we wszystkich trzech przypadkach zaginał jeden but albo jedna pończocha. Musimy założyć, że wszystkie te sprawy są ze sobą powiązane, no chyba że Anton Gross wstał z grobu, aby ukraść but Reginy Gottlieb.

—Dwie kobiety, trzy kobiety... — Kolb obracał laską w dłoniach. — Może jest dziesięć innych, o których nie wiemy. A u korzeni tych zbrodni tkwi nienawiść tego człowieka do matki.

—Wszyscy mężczyźni nienawidzą swojej matki, *Herr Professor* — stwierdził Volker. — Niby jest czystej wody dziewicą, a przecież łajdaczyła się z ich ojcem, co czyni z niej pospolitą kurwę. Ale ludzie cywilizowani nie mordują swoich matek, nawet żołnierze z krwią na rękach, czyli większość z nas.

—Ludzie na różne sposoby radzą sobie ze swoimi wojennymi doświadczeniami — powiedział Kolb. — To zależy na przykład od skłonności do różnych rodzajów ekspresji. Artyści, tacy jak Otto Dix, malują swoje wojenne doświadczenia, pisarze o nich piszą, kompozytorzy tworzą dysonansowe symfonie, a ci chorzy osobnicy, którym w dzieciństwie złamano psychikę, wybierają mroczniejszy sposób ekspresji, czyli morderstwo.

—Nie mogę uwierzyć, że porównuje pan morderstwo do malowania czy komponowania — powiedział Volker.

Berg przypomniał sobie, że Gross i Druer miały tak uczesane włosy, aby tworzyły swoistą ramę dla twarzy. Morderstwo jako sztuka? Zachował tę refleksję dla siebie.

—Nie porównuję, *Herr Kommissar*, tylko stwierdzam, że osoba o wypaczonej psychice może znaleźć nietypowy sposób wyrażania swoich traumatycznych przeżyć. Jeśli stosunki z matką zaszczerpiły w człowieku mordercze odruchy, to wojna może je wydobyć na wierzch.

—Zwróćcie, panowie, uwagę — włączył się Berg — jak wojenne obrazy Ottona Dixsa są podobne do dzieł z cyklu *Lustmord*, których tematem są gwałt i morderstwa na tle seksualnym.

—Gdybym tak bardzo nienawidził swojej matki, to bym ją po prostu zabił — zakomunikował Volker. — Freud i jego teorie to wierutne brednie. Ale czego się spodziewać po austriackim Żydzie?

— Nie tylko Żydzi mówią o podświadomości, *Herr Kommissar* — stwierdził Kolb. — Carl Jung nie jest Żydem. Prawdę powiedziawszy, nie przepada za Żydami. Ale jego teorie również opierają się na koncepcji podświadomych popędów *destrudo*.

— Czy byłby pan łaskaw wyjaśnić nam to pojęcie? — poprosił Berg. Kolb uśmiechnął się.

—Freud wysunął tezę, że w każdej jednostce tkwi siła życiowa, świadoma lub nie, która popycha ją do działania w określony sposób. Tę siłę życiową nazwał libido. Ale po kataklizmie Wielkiej Wojny Freud musiał się zmierzyć z następującą trudnością: jak włączyć w swoje teorie tę straszną tragedię śmierci i zniszczenia. I doszedł do wniosku, że poza siłą życia, czyli libido, w każdym działa również siła śmierci, którą nazwał *destrudo*. A u niektórych osobników nie potrzeba wojny, żeby spuścić tę siłę z uwięzi. Spójrzmy choćby na NSDAP. Wszystkie elementy cywilizacji zdają się wyzwać *destrudo* w ludziach Hitlera.

—W jaki sposób ta teoria ma nam dopomóc w rozwiązaniu zagadki morderstw? — spytał Berg.

—Bardzo dobre pytanie, *Herr Inspektor*. Przeanalizujmy dostępne nam dane. Nasza bestia morduje, ale nie w sposób przypadkowy. Dwie z trzech kobiet były bogate, a trzecia, Frau Gottlieb, wyglądała na bogatą. Ponieważ bestia nienawidzi swojej matki i morduje w jej zastępstwie bogate kobiety, można wysunąć hipotezę, że jego matka jest bogata.

—Czyli człowiek majątny? — spytał Volker.

—Być może. Albo odwrotnie. — Kolb potrząsnął laską w powietrzu. — Pochodzi z ubogiej rodziny. Nienawidzi wszystkich majątnych kobiet i dlatego je zabija.

—W takim razie nie zabija swojej matki, która była biedna tak jak on — zaoponował Volker. — Gdyby zabijał z nienawiści do niej, wybierałby na ofiary biedne kobiety. Przeczy pan sam sobie.

—Niekoniecznie, *Herr Kommissar*. Może zabijać swoją matkę, a jednocześnie mieć uraz do bogatych kobiet. Niezależnie od pochodzenia ten człowiek wyraźnie uważa się za dżentelmena, a przynajmniej udaje dżentelmena. Modniś, który odwiedził Annę Gross, kwiecisty list do Marleny Druer... Wszystko wskazuje! na mężczyznę o wyrafinowanych gustach.

—To wiedzieliśmy od samego początku — stwierdził Volker. — Mężczyzna, który towarzyszył Annie Gross w teatrze, był albo prawdziwym

dżentelmenem, albo hochsztaplerem. Wiemy, że nie mamy do czynienia z jakimś bojówkarzem z NSDAP.

—Wśród zwolenników NDS AP są również ludzie bogaci — zaproponował Berg. — Wśród ich przywódców są lekarze, wojskowi...

—Sugeruje pan, że jeden z przywódców NSDAP to bestialski zabójca?

— Nie, stwierdzam tylko fakt.

— Co naprowadza nas na inny możliwy motyw zbrodni — powiedział Kolb. — Anna Gross flirtowała niegdyś z komunizmem. Z listu mężczyzny imieniem Robert do Marleny Druer wynika, że oboje brali udział w jakiejś misji politycznej. Uszczególnijmy więc naszą analizę. Musimy uwzględnić możliwość, że ten człowiek uzasadnia swoje zbrodnie w kategoriach politycznych, mimo że jego podświadomą motywacją jest nienawiść do matki.

— To mi pasuje do Austriaka — powiedział Berg. Volker wbił wzrok w swojego głównego inspektora.

—Jeśli jest pan rozsądnym człowiekiem, Axel, to skorzysta pan z mojej porady: niech pan uważa na to, co pan mówi, zwłaszcza na komendzie, gdzie roi się od zwolenników NSDAP.

—Ja tylko mówię — odparł Berg niezmierny — że fanatycy często wykorzystują politykę do usprawiedliwiania morderstwa. Spójrzmy na *Femord*. Naiwna córka rolnika, która miała czelność zachować się zgodnie z prawem i donieść na policję, że znalazła nielegalny arsenał. Za jej obywatelską postawę spotkała ją śmierć.

—Nigdy nie będziemy mieli stuprocentowej pewności, czy Amelie Sandmeyer została zamordowana, Axel. Poza tym wydaje się, że przeszliśmy od jednej niedorzecznej dyskusji do drugiej.

—A jednak nie zaprzeczy pan, *Herr Kommissar*, że są to bezsensowne morderstwa popełniane przez fanatyków — powiedział Kolb. — I to fanatyków, którzy są dżentelmenami albo ich udają.

— Hrabia Anton Arco-Valley — odparł Berg.

— Otóż to! — zawołał Kolb triumfalnym tonem.

—Tyle że nie mamy żadnych danych po temu, aby Arco--Valley nienawidził swojej matki — zareplikował Volker. — Wiemy tylko, że nienawidził Kurta Eisnera.

—Tak, to prawda — zgodził się z nim Kolb — ale wiemy, że był zajadłym antysemitą i dlatego zabił Żyda. Morduje się osobę, której się nienawidzi, chyba że społeczne tabu to uniemożliwia. Tak, tak, jestem przekonany, że szukamy człowieka o fanatycznych poglądach politycznych, który nienawidzi swojej matki.

—Coraz bardziej wygląda mi to na Hitlera — drażnił się Berg ze swoim zwierzchnikiem. — Zanim każe mi pan milczeć, *mein Herr*, proszę, żeby przyjrzał się pan faktom. Austriak jest zaangażowany politycznie. Jest również sukinsynem, a skoro czyjaś matka jest suką, to taki człowiek ma powody jej nienawidzić. Wreszcie Austriak ma się za artystę.

—Absurd — odrzekł Volker. — Co innego atakować wrogów politycznych, a co innego mordować bezbronne kobiety.

—Regina Gottlieb była Żydówką, Anna Gross żoną Żyda, a Hitler to wściekły antysemita. — Berg wzruszył ramionami. — Nie widzę tutaj aż tak wielkiego przeskoku logicznego.

—Absolutnie wykluczone, abyśmy wciągali Herr Hitlera w te morderstwa, zrozumiano?! — rozjuszył się Volker.

—Nic takiego nie sugeruję, *Herr Kommissar* — odparł Kolb spokojnym tonem. — Po prostu prowadzimy intelektualną rozmowę, która może panu pomóc w złapaniu tego potwora. Bestia nie przestanie zabijać, zwłaszcza że Anton Gross został obwiniony o zamordowanie swojej żony. Zabójca uważa, że jest bezkarny! Przypuszczalnie śmieje się w tej chwili z głupoty i niekompetencji policji, która zatrzymała nie tego człowieka, co trzeba.

—Nie sądzę, aby tak się sprawy miały. — Wściekły Volker zazgrzytał zębami.

—Z drugiej strony — podjął Kolb — może być zły, że laury mordercy ozdobiły cudze skronie. Może przypomina pod tym względem swego londyńskiego poprzednika, Kubę Rozpruwacza. Obawiam się, że sprawca jest człowiekiem, który zabija z wewnętrznego przymusu. Poza tym chce ściągnąć na siebie uwagę swoimi zbrodniami i nie ustanie w wysiłkach, zanim tego nie dokona.

— Czyli będą kolejne morderstwa, dopóki go nie złapiemy — potwierdził Berg.

Przez chwilę wszyscy milczeli, pozostawiając to stwierdzenie bez komentarza. Oczywiście wszyscy wiedzieli, jaka jest odpowiedź, więc co tu komentować?

TLR

Rozdział dwudziesty ósmy

Rezygnując z komunikacji publicznej, Berg pokuśtykał do domu w gęstej mgle, która wypełniała ulice. Igiełki mżawki kłuły go w nos i rzęsy. W tych warunkach czuł się niewidzialny, ale silny, jakby poruszał się w eterze niebios. Otulony ciepłym wełnianym płaszczem, myślał o trzech zamordowanych kobietach, które łączył ze sobą przede wszystkim elegancki strój. Następnego dnia Berg miał przesłuchać Frau Julię Schoennacht, która zidentyfikowała Reginę Gottlieb. Nieszczególnie liczył jednak na to, że u-zyska jakieś istotne informacje. Ludzie bogaci traktują służących mniej więcej tak, jak życiowe udogodnienia w rodzaju elektryczności, samochodu albo... policji. Z pomocy domowej się korzysta, kiedy jest to potrzebne, a potem odkłada do szafy. Nawet gdyby Frau Schoennacht okazała się rozmowna, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, aby wiedziała o Reginie cokolwiek oprócz faktu, że denatka umiała szyć.

Gramoląc się na czwarte piętro, Berg oblał się potem. W mieszkaniu panował mrok, świeciła się tylko jedna żarówka nad stołem kuchennym. Joachim zerwał się na widok ojca.

—Tato! — Podbiegł do Berga, podciągając spodnie od pidżamy, które spadały mu z chudych bioder. Pomógł ojcu zdjąć płaszcz. — Zrobić ci herbaty?

—Bardzo proszę. — Wytrzeł twarz chusteczką. — Reszta śpi?

Joachim skinął głową i poszedł postawić czajnik na piecu. Dosypał węgla do uspiętego ognia.

Berg sprawdził zasobnik: węgiel sięgał do połowy. Sytuacja na rynku węgla wciąż była niepewna. Może powinien zrezygnować z gorącej herbaty. Joachim odgadł, co chodzi ojcu po głowie.

—Woda jest ciepła, tato. To nie potrwa długo.

—Świetnie.

Berg usiadł za stołem, przetrzeł oczy i spojrzął na to, co leżało na blacie. Jego syn rysował kawałkami węgla, szerokie czarne pociągnięcia na sta-

rych gazetach. Wykonanie było doskonałe, a temat niepokojący. Grupa młodocianych opryszków z nazistowskimi opaskami maltretowała starszego mężczyznę, który w zamyśle artysty miał być Żydem — haczykowany nos, wylupiaste oczy, wydatne czoło i szatański uśmiech. Żyd był narysowany karykaturalnie, ale chłopcy naturalistycznie — podobnie jak krew kapiąca z ust Żyda.

Joachim przyniósł dwa kubki herbaty, ale tylko jedną kostkę cukru. Widać Britta reglamentuje zapasy. Berg oddał cukier synowi.

—Nie tato, to dla ciebie.

—Bierz. I tak nie mam nastroju na słodkie picie. Joachim przyjrzał się ojcu uważnie, ale w końcu wziął cukier,

wrzucił do herbaty i zamieszał srebrną łyżeczką.

—Dlaczego to narysowałeś?

—Podoba ci się? — spytał Joachim niepewnie.

—A powinno? — Milczenie. — Widać, że jesteś zdolnym rysownikiem, ale dlaczego akurat coś takiego?

—Nie wiem, tato. Podejrzewam, że rysuję to, co widzę. Co zostaje mi w głowie.

—Widziałeś, jak jakieś wyrostki biją starca? — Joachim nie odpowiedział. — Należało donieść na nich na policję. To są bandyci.

Joachim spojrzał na ojca. W jego oczach dało się dostrzec coś nowego — iskierkę buntu.

—Gdyby zostali aresztowani, na ich miejsce przyszliby inni.

—I to usprawiedliwia takie okrucieństwo?

— Ja tego nie usprawiedliwiam, tato. Nie brałem udziału w tym pobiciu. Ja tylko rejestruję to, co widzę.

Berg wypił łyk herbaty, hamując gniew, który wzbierał mu w piersiach.

— Kiedy to było?

— Takie rzeczy dzieją się codziennie — odparł Joachim. — I wszędzie. Powinni się wynieść.

—Kto, Żydzi?

—Tak, Żydzi. To by ułatwiło życie im i nam.

—Myślisz, że to jest rozwiązanie problemów Niemiec? Chłopiec spoj-
rzał ojcu w oczy i powiedział z wyraźniejszą
nutką buntu w głosie:

—Gdybym nie był gdzieś mile widziany, to nie chciałbym tam zostać.
Wyjechałbym dla własnego dobra.

—A dokąd mają iść? — spytał Berg.

—Tam, skąd przyszli.

—Czyli skąd?

—Nie wiem. Pewnie z Palestyny. Niech będą problemem dla Turków
albo Brytyjczyków.

—Wielu z nich urodziło się tutaj. Mają urodzonych tutaj rodziców i
dziadków.

—To dalej nie znaczy, że są Niemcami. A wielu z nich urodziło się
gdzie indziej. Odbierają naszym pracę, tato. Zajmują miejsca na uniwersy-
tetach. Są właścicielami banków i okradają ludzi. Otwierają sklepy i zdzie-
rają z ludzi skandalicznie duże pieniądze za zwykłą żywność.

—Rozumiem... — Berg skinął głową. — Czy to się odnosi również do
twojego nauczyciela fizyki, profesora Gelba, i twojej nauczycielki wycho-
wania plastycznego, Frau Sonnenschein? Czy oni też powinni wyjechać?

Joachim zmarszczył brwi, zmartwiony tą informacją. Lubił swoich na-
uczycieli, więc nie odpowiedział na pytanie ojca.

—Wiem, że nie aprobujesz Herr Hitlera. Uważasz go za opryszka i mo-
że masz rację. Ale jeśli sami nie będziemy się bronili, to kto będzie nas
bronił?

—A kto nas atakuje, Joachim? — Chłopiec milczał. — Nie jest łatwo to
sobie powiedzieć, ale wina nie leży wyłącznie po stronie Żydów. Ani też
cudzoziemców, Cyganów, komunistów czy nawet nieudolnych władz w
Berlinie. W którymś momencie my — mówiąc „my”, mam na myśli naród
niemiecki — musimy wziąć odpowiedzialność za ten bałagan. Nasze ambi-
cje popchnęły nas do wojny, Joachim. Mamy mentalność wojowników i za-
wsze trawiła nas żądza podboju. Nie jest wadą, że idziemy na wojnę dumni
z naszego *Vaterland*, ale musimy pogodzić się z porażką, kiedy ambicja
przerośnie możliwości. Byłem tam, synu. Nosilem mundur i maszerowałem

ramię w ramię z moimi rodakami na obcej ziemi, gdzie ponad milion naszych żołnierzy spoczywa w masowych grobach, ponieważ wróg się nie zgodził, żebyśmy sprowadzili ciała do kraju i wyprawili im godny pochówek. Poszliśmy na wojnę i przegraliśmy. I nie jest to wina Żydów, synu. — Joachim odwrócił wzrok. — Owszem, jest narodową tragedią, że zostaliśmy upokorzeni. Że mamy marionetkowy rząd, który łupi nas podatkami, i że musimy płacić ogromne sumy krajom, których nie znosimy. Ale czy tragedią narodową nie jest również to, że do tej pory nie rozumiemy, że sami ściągnęliśmy na siebie tę hańbę? — Chłopiec znowu nie odpowiedział. — A największą tragedią narodową jest to, że przypuszczalnie znowu pójdziemy na wojnę. — Berg dopił herbatę i podniósł rysunek. — Ci chłopcy to tchórze, bo wybierają sobie na ofiary bezbronnych starszków. Trzymaj się od nich z daleka i trzymaj się z daleka od Hitlera. — Wstał i pocałował syna w rozwichrzone lniane włosy na czubku głowy. — Zgaś światło i polej żar wodą, zanim się położysz. Chłopiec skinął głową.

— Tato, jak możesz tak lekceważyć następnego przywódcę kraju?

Berg zrobił wielkie oczy.

— Myślisz, że zostanie kanclerzem?

— Tak, tato. Myślę, że zostanie kanclerzem.

— To byłaby jeszcze jedna tragedia narodowa.

*

W rzadkim porwywie obywatelskiego optymizmu postanowiło zaświecić słońce. Był piękny poranek na spacer, a gdzie się lepiej spaceruje jak nie w Bogenhausen, z jego parkami, ogrodami kwiatowymi i kawiarniami? Bogenhausen było dzielnicą willową. Ponieważ wciąż utrzymywała się moda na Paryż, wiele domów ozdobiono od zewnątrz motywami w stylu art déco. Czasami to się sprawdzało, a czasami wille wyglądały jak torty weselne ze stiuku. Ale powietrze było rześkie, ulice tętniły życiem, a wagony kolejki linowej pobrzękiwały na tle błękitnego nieba upstrzonego wełnistymi obłokami.

Na Prinzregenten Strasse Berg minął nowo zbudowany Brunatny Dom, oficjalną siedzibę NSDAP. Budynek zaprojektowany przez znanego archi-

tekta Paula Ludwiga Troosta znajdował się przy jednej z najładniejszych ulic w okolicy. Trzeba uczciwie przyznać, że gmach miał pewien styl, ale kolor był mdły — za jasny jak na espresso, za ciemny na mokkę. Krótko mówiąc, kojarzył się z gówienkiem — co współgrało z zawartością...

Państwo Schoennachtowie mieszkali w dwupiętrowym domu koloru morelowego, z oknami kwaterowymi i zielonymi okiennicami. Ostro zakończone mansardy sterczały z dachu krytego czerwoną dachówką, a sporą działkę otaczały przystrzyżone cyprysy, strzegąc domu przed wzrokiem ciekawskich. Kamienna alejka prowadziła do drzwi rzeźbionych z orzecha, które bardziej pasowałyby do architektury gotyckiej niż do tego prostego wiejskiego domu, ale stare tradycje są trudne do wykorzenia — dotyczy to również polityków, którzy wyśpiewują peany na cześć wyimaginowanej dawnej chwały *Vaterland*.

Berg zapukał i po chwili otworzyła mu służąca, młoda, pulchna, z ciemnymi włosami splecionymi w warkocze. Mówiła z tak ciężkim austriackim akcentem, że trudno ją było zrozumieć. Berg przedstawił się i usłyszał w odpowiedzi słowa, których nie umiał odcyfrować, ale poznał po postawie służącej, że nie jest mile widziany.

Berg zajrzał jej przez ramię i stwierdził, że wewnątrz jest jasne i lekko, nowocześnie urządzone.

— To nie jest prośba, *Fräulein*. Muszę porozmawiać z panią domu.

— To niemożliwe.

— Sprawa jest pilna, *Fräulein*. — Wręczył służącej swoją wizytówkę.
— Dotyczy morderstwa.

Na dźwięk słowa morderstwo dziewczyna zachłysnęła się powietrzem i zamknęła drzwi. Berg usłyszał cichnący tupot kroków. Westchnął i zapukał ponownie. Tym razem otworzył mu wysoki, poirytowany jegomość, który obracał w palcach jego wizytówkę. Miał na sobie smoking, prążkowane spodnie, skórzane półbuty i apaszkę pod szyją.

— Podejrzewam, że nic to nie da, jeśli panu powiem, żeby pan sobie poszedł.

Mówił z akcentem wykształconego Bawarczyka, chociaż wyglądał na Prusaka. Był wysoki i łysy jak kolano, miał haczykowany nos i okulary bez oprawek, za którymi kryły się niebieskie oczy.

—Nie, *mein Herr*, nic to panu nie da. — Berg znowu zajrzał do środka. — Może byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiali wewnątrz, tak żeby sąsiedzi nas nie widzieli.

—Nie widzą, bo krzewy im zasłaniają. Niemniej nie widzę powodu, by traktować pana nieuprzejmie, skoro prędzej czy później i tak dojdzie do tej rozmowy. Może pan wejść.

Otworzył do końca drzwi. Berg wszedł do holu zalanego światłem: wielka rzadkość wczesną wiosną w Monachium. Rolę posadzki pełniły białe marmurowe płytki z czarnymi rombami w rogach, ale w większości zakrywał ją jedwabny perski dywan w królewskich kolorach — granatowym, złotym i purpurowym. Na wprost wejścia znajdował się salon z oknami od podłogi do sufitu, pozwalającymi podziwiać drzewa w biało-różowej wiosennej krasie. Meble były pięknie dobrane i jeszcze piękniej wykonane — symfonia egzotycznych gatunków drewna i zachwycającego markietażu. Parawan kominka z kutego żelaza także pieścił oczy.

— Edgar Brandt — wyjaśnił mężczyzna. — Tędy proszę.

Berg poszedł za nim do saloniku, który był nietypowy nie tylko dla Bawarii, ale również dla całych Niemiec. Na tapetach koncentryczne desenie w kolorze pomarańczowym i zielonym, meble wysmukłe i wysokie, kojarzące się z drapaczami chmur, symbolami epoki nowoczesności. Bardziej pasowałyby do Nowego Jorku, gdzie naprawdę stały drapacze chmur. Dywan zakrywający ciemny parkiet olśniewał wirami dyskretnych zielonych odcieni. Dzieła sztuki — obrazy olejne, szkice, rysunki, grafiki Kandinsky'ego, Klee, Picassa, Channela, Fencera i Matis-se'a — byłyby ozdobą każdej paryskiej galerii. Berg na chwilę zapatrzył się na tę oazę zamożności i dobrego smaku.

— Podoba się panu, *Herr Inspektor!* — spytał gospodarz z nutką ironii.

— Moim zdaniem ma pan doskonały gust.

Jego spojrzenie spoczęło na obrazie olejnym Ottona Diksa. Podobnie jak cykl wojenny, dzieła z serii *Lustmord* były drastyczne i pełne przemocy.

Ten konkretny obraz, wykonany ku-bistycznymi kolorami podstawowymi, przedstawiał obłąkanego, krwiożerczego potwora w cylindrze, rechoczącego nad ciałem kobiety, które z obciętymi kończynami pływało w wodzie. Jaka szkoda, że nie ma tutaj profesora Kolba...

— Ale niektórzy mogliby uznać te dzieła za zwyrodniałe i brutalne.

Gospodarz prychnął kpiącym śmiechem.

— W takim razie koneserzy muszą ich wyedukować. Berg nie skomentował tej uwagi i nie zrobił żadnej miny.

Mężczyzna zaproponował mu, żeby usiadł na ogromnym fotelu z drewna różanego i czarnej skóry, należącym do zestawu.

—Rolf Schoennacht — przedstawił się gospodarz, stukając obcasami.

— Zgaduję, że pańska wizyta łączy się z tą paskudną historią zabójstwa byłej krawcowej mojej żony.

—Trafnie pan zgaduje. — Gospodarz pozostał na stojąco, tak że Berg musiał zadzierać głowę, kiedy do niego mówił. — Pańskie nazwisko jest mi znajome, ale nie wiem skąd.

—Często pisuję do „Völkischer Beobachter”.

—A, tak, „Völkischer Beobachter”.

—Zna pan tę gazetę?

—Czytam wszystko. Staram się zachować otwarty umysł.

—Chwalebna cecha, inspektorze. — Schoennacht w końcu usiadł na fotelu z tego samego zestawu i położył nogi na otomanie obitej w skórę zebry. — Piszę wyłącznie dla rozrywki. Nie zabiera mi to zbyt wiele czasu. Moje artykuły mają przynajmniej jakieś walory literackie, czego nie da się powiedzieć o większości tej sieczki, którą się nas ostatnio raczy. — Pokręcił głową. — Jeśli Hitler chce coś osiągnąć, musi usprawnić dział propagandy.

—Interesujące. Nie domyśliłbym się, że jest pan zwolennikiem Herr Hitlera, zwłaszcza patrząc na sztukę, którą się pan otacza.

—Na pewno nie podzielam upodobań artystycznych Herr Hitlera. Nie lubię też zbirów i chuliganów, którzy szargają dobre imię nazistów, ale podoba mi się to, co Herr Hitler ma do powiedzenia na temat honoru i lojalności. I sędzę, że ma dobre pomysły na krzewienie tych cnót.

—Z rozkoszą podyskutowałbym z panem o rzeczonych cnotach, ale niestety musimy się zająć tą „paskudną historią” zabójstwa.

— Regina Gottlieb.

Schoennacht prawie wypluł z siebie to nazwisko.

— Nie lubił jej pan?

—W ogóle nie lubię Żydów. I złościłem się na moją żonę, że korzysta z usług Żydówki, skoro tyle uczciwych Niemek jest bez pracy. Nalegałem, żeby Julia ją zwolniła i zatrudniła którąś z naszych kobiet.

—Nie wiedział pan, że jest Żydówką, kiedy zaczęła pracować dla pańskiej żony?

—Oczywiście, że nie. Nie wyglądała zbyt... Nie sądziłem, że moja żona może się zachować tak nierozsądnie. Ale cóż, nigdy nie wolno nie doceniać głupoty kobiet.

Berg wyjrzał przez okno i zobaczył drzewa owocowe obsypane kwieciami. Potem przeniósł wzrok z powrotem na Schoennachta. Na szczęście gospodarza zauważył kilka pionowych zadrapań, częściowo ukrytych pod apaszką.

—Co się panu stało w twarz?

—Słucham?

—Chodzi mi o zadrapania. Palce dotknęły twarzy.

—Ach, takie są skutki używania tępej brzytwy. Mina Schoennachta niczego nie zdradzała.

—Mogę zapytać, gdzie pan był w wieczór morderstwa? Schoennacht uśmiechnął się.

— W jakim celu zadaje mi pan to pytanie? Sądzi pan, że narażałbym się na konflikt z prawem tylko po to, żeby zabić szczura? Notabene uważam, że zabijanie szczurów nie powinno być sprzeczne z prawem.

— Czy byłby pan łaskaw odpowiedzieć na moje pytanie?

—Byłem w domu.

—Przez cały wieczór?

—Tak, przez cały wieczór. Jeszcze coś?

—Tak, Herr Schoennacht. Proszę o wyrozumiałość. Spędził pan cały wieczór w domu. Czy jest ktoś, kto może to poświadczyć?

—Moja żona, mój kamerdyner — odparł z wrogą miną.

—Chciałbym porozmawiać z nimi obojgiem.

—Nie mam nic przeciwko temu, żeby porozmawiał pan z Helmutem, ale musiałby pan wrócić później. W tej chwili jest bardzo zajęty, pakuje moje ubrania na trzytygodniową podróż w interesach do Paryża i Nowego Jorku. To niemałe zadanie.

—Nie obrazi się pan, jeśli zapytam o charakter tych interesów?

—Jestem marszandem. — Schoennacht uśmiechnął się.

—A, teraz pańska kolekcja nabiera sensu. Ma pan klientów w Stanach Zjednoczonych?

—Mam klientów na całym świecie. — Wstał. — A teraz będę zmuszony pożegnać się z panem.

Berg nie ruszył się z miejsca.

—Kiedy będę mógł porozmawiać z pańskim kamerdynerem?

—Wyjeżdżam dzisiaj wieczorem. Proszę przyjść jutro po południu.

—Świetnie. A z pańską żoną?

—Nie zgadzam się, żeby niepokoił pan moją żonę. — Schoennacht pokręcił głową. — To kobieta o kruchej psychice i jest bliska hysterii, odkąd dowiedziała się o śmierci Reginy. Nie rozmawiała z tą Żydówką, odkąd ją zwolniła. Nie ma sensu narażać jej zdrowia na szwank dla pańskiego kaprysu.

—Rozumiem pańskie zatroskanie, *mein Herr*. Obiecuję, że będę bardzo delikatny.

Schoennacht wydał z niesmakiem usta.

—Nie może pan z nią rozmawiać pod moją nieobecność. Niech pan przyjdzie za trzy tygodnie, kiedy wrócę z podróży.

—Niestety, nie mogę tak długo czekać. Sprawa jest pilna. To znaczy, że muszę porozmawiać z pańską małżonką dzisiaj. A skoro już tu jestem, najwygodniej byłoby zrobić to teraz.

—A jeśli odmówię?

—Nie rozumiem, czemu miałby pan to robić, Herr Schoennacht. Żle by to o panu świadczyło, gdyby odmówił pan współpracy z funkcjonariuszem służby publicznej.

—Tak, słowo „służba” dobrze oddaje pańską rangę. — Berg nie zareagował na tę obelgę. — Doskonale. — Schoennacht pociągnął palcami po zadrapaniach. — Porozmawiam z żoną i zawiadomię pana, czy przesłuchanie jest możliwe.

—Dziękuję, *mein Herr*. Im szybciej z nią porozmawiam, tym szybciej będę mógł dać państwu spokój.

—Tak, to byłoby wskazane — zakomunikował Schoennacht.

*

Minęła godzina bez żadnej wiadomości od Schoennachta. Bergowi to nie przeszkadzało. Został poczęstowany herbatą i ciasteczkami. Odmówić byłoby grubiaństwem. Potem stwierdził z zakłopotaniem, że jest głodny, i z trudem powstrzymał się przed zjedzeniem całego talerza. W dużym fotelu z podłokietnikami wygodnie mu się siedziało. Za wygodnie. Musiał walczyć z sennością. Wreszcie do salonu weszła pani domu, oczywiście w towarzystwie męża.

Julia Schoennacht była piękną kobietą z włosami upiętymi na czubku głowy w stylu kojarzącym się z wiktoriańską Anglią — wyraz lekceważenia dla nowoczesnych fryzur. Kok był oficjalny i wykwintny. Berg uznał, że to musi być peruka, ale pasowała do jej popielatych włosów. Julia Schoennacht miała jasnoniebieskie oczy, delikatny i cienki nos i kremową cerę gładką jak alabaster. Ubrana była w prostą sukienkę koloru ciemnofioletowego, sięgającą tuż za kolana. Łydki miała kształtne, a nadgarstki i dłonie kruche, z długimi, zgrabnymi palcami pianistki. Berg wstał i Frau Schoennacht pozdrowiła go skinieniem głowy.

—Madame Schoennacht zgodziła się odpowiedzieć na kilka pytań — oznajmił Rolf. — Proszę się streszczać, ponieważ moja małżonka nie czuje się dobrze.

—Proszę usiąść, madame — powiedział Berg.

Usiadła, splotła dłonie na kolanach i czekała. Herr Schoennacht zajął drugie krzesło, więc Berg musiał stać. To mu jednak nie przeszkadzało.

— Czy może mi pani powiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała pani Reginę Gottlieb? — zaczął Berg.

Dłonie napięły się i pobladły w zgięciach palców.

— To było już dosyć dawno.

Głos miała zwiewny, uroczy, z lekkim francuskim akcentem. Berg poznał jednak po jej zachowaniu i odwróceniu oczu, że skłamała. Ponadto profesor Kolb doradził mu kiedyś, żeby obserwował źrenice przesłuchiwanym, źrenice kłamców często się rozszerzają. Tak właśnie było teraz, oczy Frau Schoennacht zrobiły się ciemne i tajemnicze. Profesor Kolb dodał, że rozszerzone źrenice mogą również wskazywać na zainteresowanie natury seksualnej. Berg miał świadomość, że w tym względzie sobie pochlebia. Uśmiechnął się w środku.

— Sam pan słyszy — wtrącił się Henr Schoennacht. — Dawno nie widziała tej Żydówki. Nie wiem, co jeszcze mogłaby panu powiedzieć.

— Madame, kobiety często mają intuicję co do innych kobiet — stwierdził Berg. — Czy mógłbym panią zapytać, jakie wrażenie robiła na pani Frau Gottlieb?

— To wszystko bzdury — wypalił gospodarz.

— Być może, Herr Schoennacht, ale pozwoli pan, że sam to ocenię. A ponieważ mogą wypłynąć jakieś osobiste sprawy związane z Frau Gottlieb, chciałbym porozmawiać z pańską żoną w cztery oczy. To nie potrwa długo, góra dziesięć minut.

— Nie zgadzam się. Julia westchnęła.

— W porządku, Rolf. — Uśmiechnęła się do niego, jakże uroczo. — Nie rozkleję się, kochanie.

Schoennacht poróżowił.

— Chodzi mi wyłącznie o twoje dobro.

— Wiem, Rolf, zawsze myślisz przede wszystkim o mnie. — Spojrzała Bergowi prosto w oczy z hardością, której wcześniej nie zauważył. — Dziesięć minut.

— Oczywiście.

Berg zaczekał, aż Rolf Schoennacht wyjdzie. Gospodarzowi zajęło to sporo czasu i był zirytowany śmiałością żony. Podniósł się jednak z fotela i cicho zamknął za sobą drzwi salonu.

Berg otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Julia uciszyła go ruchem dłoni.

— Po raz ostatni widziałam Reginę niecały miesiąc temu. Była pracowitą, uczciwą i bardzo dobrą kobietą. Zdziwiłby się pan, jacy ludzie potrafią być leniwi mimo wysokiego bezrobocia. Ale Rolf uparł się, żebym ją zwolniła. Nie byłam z tego zadowolona. — Zaczęła wykręcać palce. — Wykonałabym polecenie, gdyby nie to, że bardzo potrzebowałam sprawić sobie niebieską suknię. A nie mogłam znaleźć równie uzdolnionej krawcowej wśród niemieckich kobiet. — Zdegustowana mina.

— Pochodzę z Paryża i mam trochę bardziej wymagający gust niż przeciętna bawarska *Dame*. Na pewno jestem też bardziej tolerancyjna od tych, którzy mnie otaczają. Żydzi ani mnie parzą, ani ziębią. Nie przeszkadzają mi, byle dobrze i uczciwie pracowali. Rolf z wielkim zaangażowaniem wyznaje pogląd, że Żydzi są podrzędną rasą. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, nawet gdyby to oznaczało kiepsko wykonaną pracę za większe pieniądze. — Opuściła dłonie na kolana. — To, co panu powiem, musi pozostać między nami, inspektorze. Rozumiemy się?

— Jak najbardziej. — Berg skinął zachęcająco głową. — Może mi pani zaufać.

Uśmiechnęła się anielsko.

—Mężczyznom nie wolno ufać, inspektorze! Berg spuścił wzrok.

—Co chciała mi pani powiedzieć, madame Schoennacht?

— Jak już wspomniałam, musiałam mieć tę niebieską suknię. *Le Comte Boucher* wydaje bal w swoim alpejskim *chateau* i nie mogę tam wystąpić w byle czym. Nie chodzi tu o mnie, tylko o Rolfa. Hrabia należy do jego najważniejszych klientów.

— Znowu pojawił się francuski akcent, zwłaszcza w słowie „hrabia”. — Nie zamierzam wyglądać jak obszarpaniec. Wieczorem, w dniu morderstwa, Regina miała do mnie przyjść z projektem sukni, ale nie dotarła. Bardzo się na nią zdenerwowałam. Byłam z nią umówiona o takiej porze, żeby Rolfa nie było w domu. Teraz już wiem, dlaczego nie dotarła... To po prostu straszne!

— Czyli nie widziała się z nią pani tego wieczoru.

— Nie. — Znowu zaczęła wykręcać palce. — Nie wiem, dlaczego ona lub jej rodzina miałyby twierdzić, że byłam jej winna pieniądze. Niczego nie zamówiłam. Jeśli uszyła suknię, spodziewając się, że ją kupię, to jej sprawa. Nie mam obowiązku za nią płacić. Nie powinni mnie nękać, zwłaszcza że byłam bardzo hojna wobec Reginy.

Żeby nie dać się prześcignąć profesorowi Kolbowi w jego zafascynowaniu Freudem, Berg zaczął sam wyciągać psychologiczne wnioski.

—Ciągłe ugniata pani dłonie, jakby je pani myła. Czy coś się stało?

—Tak, stało się! Zamordowano kobietę, która dla mnie pracowała.

— I to wprawia panią w zdenerwowanie? Julia zniżyła głos do szeptu.

—Regina miała na sobie suknię wieczorową. Nie zamówiłam jej, ale Regina знаła mój gust. Może przyszła mi pokazać gotową suknię. Wiedziała, że przyjmuję ją potajemnie.

—A, sądzi pani, że ktoś ją z panią pomylił?

—Nie chcę o tym myśleć, ale może powinnam.

—Kto miałby życzyć sobie pani śmierci?

—Mój mąż jest człowiekiem o wyrazistych poglądach. Miasto roi się od wywrotowych kosmopolitów — Żydów, komunistów, Cyganów, homoseksualistów i rozwiązłych murzyńskich tancerek, które osłaniają swoją gołiznę wyłącznie wachlarzami. Diabli wiedzą, co ci zboczeńcy sobie myślą.

„To by było na tyle, jeśli chodzi o tolerancyjną Francuzkę”. Berg żałował, że miasto nie jest tak różnorodne, jak to odmalowała Frau Schoennacht.

—To jest Monachium, a nie Berlin, madame. Ja tutaj widzę więcej brunatnych koszul niż zboczeńców.

—To prawda — westchnęła Julia. — Chciałabym, żeby wszyscy sobie poszli.

Berg postanowił wrócić do tematu rozmowy.

—Mówi pani, że pani męża nie było tego wieczoru w domu?

—Poszedł do jednego ze swoich klubów.

— Do którego? — Wzruszyła ramionami. — Herr Schoennacht powiedział mi, że był z panią.

Julia zrobiła zaskoczoną minę.

—No, tak, był ze mną, odkąd wrócił z klubu. A więc Herr Schoennacht skłamał w żywe oczy.

—A o której to było godzinie?

Poznał po jej oczach, że się waha, nie chce udzielić odpowiedzi, która rzuciłaby na jej męża cień podejrzenia.

— Niezbyt późno, ale dokładnej godziny nie pamiętam. Lepiej będzie spytać jego samego.

— Może jego kamerdyner pamięta?

— Helmut? Może. Kiedy Herr Schoennacht wraca późno, Helmut czasem już śpi i nie pomaga mu w wieczornej toalecie. Ale to nieistotne. — Machnęła ręką. — Jestem pewna, że Herr Schoennacht potrafi sam się rozebrać.

Powiedziała to z nutką złości. Co się kryje za fasadą lojalnej żony? Drzwi otworzyły się i wkroczył Herr Schoennacht. Przeskoczył wzrokiem z twarzy Julii na twarz Berga i z powrotem.

—Wszystko w porządku, kochanie? Zacisnęła mocno dłonie.

—Szczerze powiedziawszy, trochę mi słabo.

— Będzie pan musiał nas opuścić — zakomunikował Rolf. — Moja żona przeżyła niemały wstrząs i te pytania szkodzą jej wątłemu zdrowiu.

Tym razem Julia skinęła zdecydowanie głową. Jej policzki nieco pobrały. Mąż pomógł jej wstać i wziął ją pod ramię.

— To nie było miłe, inspektorze — powiedział rozgniewanym głosem.

—Przepraszam za najście, Herr Schoennacht. — Bo też jest za co przeproszać, do cholery!

—Nie ma potrzeby być niegrzecznym, Rolf.

— Przepraszam, kochanie. — Wwiercił się w Berga spojrzeniem. — Musi pan już iść. Służba odprowadzi pana do drzwi.

— Sam potrafię znaleźć drogę, *mein Herr*.

— Jestem pewien, że pan potrafi. W końcu sam jest pan służącym — stwierdził z uśmiechem. — Służba publiczna, służba domowa, bez różnicy: ta sama ciasna mentalność.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Był to prosty obiad złożony z kielbasy i kapusty, ale na świeżym powietrzu w słoneczny dzień wszystko lepiej smakuje. Orzeźwiający wietrzyk toczył po błękitnym niebie bałwanki chmur. Ponieważ było jeszcze przed jedenastą, Berg zdecydował się na *Weisswurst*^{*49}, którą pałaszował z apetytem. Wybrał lokalne piwo, Kochelbräu, z radosnym Schmiedem von Kochelem, ulubioną postacią z bawarskich baśni, na etykietce. Piwo podano dobrze schłodzone i z obfitą pianką.

Berg spojrział przez zmrużone oczy na częściowo zasłonięte chmurami słońce, po czym przeniósł wzrok na kolegów. Georg obżerał się kielbasą, a Ulrich, który nie był głodny, pił piwo i przyglądał się ludzkiemu korowodowi, który mijał ogródek restauracji.

— Schoennacht skłamał, że był przez cały wieczór w domu — zaczął Berg. — Jego żona twierdzi, że część wieczoru spędził w klubie. Na pewno miał czas zamordować Reginę Gottlieb i doprowadzić się do porządku przed powrotem do domu. Zauważyłem też na jego twarzy kilka zadrapań.

—Świeżych? — ożywił się Storf.

—Bladych, ale widocznych.

—Jak się z nich tłumaczył?

—Zaciął się przy goleniu.

—To możliwe — ocenił Müller.

— Albo Regina Gottlieb go podrapała, kiedy się przed nim broniła — odparł Berg.

—Ale dlaczego miałby ją zamordować?

—Nienawidzi Żydów. A Regina utrzymywała, że Frau Schoennacht była jej winna pieniądze. Może nie chciał zapłacić.

⁴⁹ * *Weisswurst* (niem.) — biała kielbasa.

Storf założył nogę na nogę.

—Wątpię, żeby taki człowiek jak Rolf Schoennacht narażał na szwank swoją pozycję społeczną dla zabicia byle Żydówki.

—To dlaczego skłamał, że był przez cały wieczór w domu?

—nie ustępował Berg. — Zwłaszcza że wiedział, że prawda musi wyjść na wierzch? Wystarczyło powiedzieć, że był w klubie, my byśmy to sprawdzili i miałby alibi.

— Może uznał, że prościej będzie skłamać? — zasugerował Müller.

Storf wzruszył ramionami.

—A może nie był w żadnym klubie, Axel, tylko na zebraniu nazistów albo z kochanką i nie chciał, żebyś się mieszał do jego osobistych spraw. Nawet inteligentni ludzie tacy jak on popełniają czasem głupstwa, kiedy czują się zepchnięci do narożnika.

—Przynajmniej mamy motyw zbrodni i dowody w postaci zadrapań. — Berg westchnął. — Czyli znacznie więcej niż w przypadku dwóch pozostałych kobiet... Chociaż Anna była żoną Żyda. Mamy wspólny wątek żydostwa — podniecił się.

—Dlaczego sprawca miałby zabić żonę Antona Grossa, a nie jego samego?

—Może Schoennacht nienawidzi kobiet — odparł Berg.

— Profesor Kolb uważa, że zabójca ma nierozwikłany konflikt z matką i wyładowuje swój gniew na kobietach.

—Axel, nie możemy aresztować człowieka na podstawie poronionych teorii jakiegoś żydowskiego pomyśleńca, który na dodatek jest Austriakiem — zaproponował Storf. — Jesteśmy pracownikami *Mordkommission*, a nie psychiatrami. Trzymajmy się faktów.

—Jesteś dzisiaj nie w sosie — ocenił z uśmiechem Berg. — Wczorajsza randka źle poszła?

—Jeśli nasz zabójca nienawidzi kobiet, to nietrudno go zrozumieć — mruknął Storf.

Berg dał znak kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze jedno piwo i pokazał na Storfa.

— Wszyscy miewamy takie myśli, ale bardzo niewielu z nas podejmuje w związku z nimi tak drastyczne kroki.

Po chwili kelner postawił przed Storfem kolejny kufel.

— Jakie są fakty? — spytał Ulrich. Berg wierzchem dłoni starł pianę z ust.

—Zacznijmy od początku. Mieliśmy morderstwo kobiety, którą po raz ostatni widziano z tajemniczym mężczyzną. Gerhart Leit rozpoznał Annę Gross na zdjęciu i przypominał sobie, że widział ją w swoim Kabarett z pewnym jegomościem. Narysowałem jego portret pamięciowy. Pokojówka Anny Gross rozpoznała na nim tajemniczego Rosjanina, który parę razy odwiedził Frau Gross. Wśród jej rzeczy znaleźliśmy wizytówkę niezidentyfikowanego mężczyzny nazwiskiem Robert Schick. I w sprawie Anny na tym się zatrzymaliśmy, ponieważ jej mąż został aresztowany pod zarzutem jej zamordowania, a potem śmiertelnie pobity na ulicy, zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić. Czy któryś z was ma coś do dodania? — Storf i Müller milczeli. — Morderstwo numer dwa: Marlena Druer. Zwłoki leżały niedaleko od miejsca, w którym znaleziono Annę Gross. Wydaje się, że zginęły z tej samej ręki, bo obie uduszono i obu zabrano pończochę. Marlena została nam opisana jako bogata, niezależna, ekscentryczna kobieta. Przeszukaliśmy jej rzeczy osobiste i znaleźliśmy nie tylko sporo gotówki, ale również list od niejakiego Roberta. Który nie podpisał się nazwiskiem, ale podał adres. Udaliśmy się pod ten adres, do taniego hotelu, i spotkaliśmy tam amerykańskiego reportera Michaela Greena, który w tajemniczym mężczyźnie z portretu pamięciowego rozpoznał Anglika, Roberta Hurlbutta.

—Czy można ufać Amerykaninowi? — prychnął Storf.

—Słuszna uwaga, Ulrich, ale posługiwanie się przez tego człowieka imieniem Robert uwiarygodnia wersję Michaela. Na razie wszystkie tropy prowadzą ku mężczyźnie imieniem Robert. Nawet Rosjanin, który grał na bałajce, rozpoznał w osobie z mojego rysunku Rosjanina, który udawał arystokratę, i ktoś zwrócił się do niego per Ro, co może być skrótem od Robert.

—Rosyjski arystokrata imieniem Robert? — uśmiechnął się Storf. — To coś nowego.

—Ten człowiek jest hochsztaplerem. A wybierając sobie pseudonim, hochsztaplerzy czymś się kierują. Czasem wybierają imię podobne do prawdziwego.

—Idiotyzm — ocenił Müller.

—Nie całkiem, Georg. Pseudonim trzeba zapamiętać.

—A może podszywa się pod kogoś, kogo podziwia — zasugerował Storf.

Berg skinął głową.

—Od Ro przez Roberta Schicka do Roberta Hurlbutta. Amerykanin powiedział nam, że Hurlbutt to znane nazwisko na Uniwersytecie Harvarda. Więc może nasz hochsztapler chce być Amerykaninem.

—Diabli wiedzą czemu — obruszył się Storf. — Jankesi są bezczelni i źle wychowani.

—Wygrali wojnę. Czyli mamy rosyjskiego, niemieckiego albo angielskiego arystokratę — podsumował Berg — albo Amerykanina.

—Ro to nie musi być Robert, tylko Rolf — olśniło nagle Storfa.

„Jak mogłem być taki tępy?“, pomyślał Berg.

— Masz przy sobie portret pamięciowy? — spytał Storf. Berg pokręcił głową. — Ale rysowałeś go: czy Schoennacht przypomina mężczyznę z portretu pamięciowego?

Berg zastanowił się nad tym. Bardzo chciał odpowiedzieć twierdząco, ale zwyciężyła ostrożność.

—Nie całkiem. Ale może był ucharakteryzowany. Na przykład Schoennacht jest łysy, ale mógł włożyć perukę.

—Przypomnij mi, czym się zajmuje Herr Schoennacht — poprosił Storf.

—Jest marszandem, właśnie wyrusza w podróż do swoich klientów w Paryżu i Nowym Jorku.

—Czyli mówi po angielsku.

Berg znowu stuknął się w głowę. Dobrze, że przynajmniej Storf jest myślącym człowiekiem.

—Możemy przyjąć takie założenie.

—Dosłuchałeś się w jego niemieckim jakiegoś akcentu?

—Nie, ale też nie zwracałem na to uwagi. Uznałem go za czystej krwi Bawarczyka. — W głowie kłębiło mu się od pomysłów. — Spójrzmy na Putziego Hanfstaengla — niemiecki ojciec, amerykańska matka, amerykańska żona.

—Też marszand — włączył się Müller. — Ciekawe, czy są ze sobą spokrewnieni.

—Nie wiem, czy są spokrewnieni, ale na pewno się znają— odparł Berg. — Światek artystyczny jest mały.

Spojrzał na niebo. Słońce świeciło coraz mocniej, prażąc go w szyję. Zdjął płaszcz i przerzucił sobie przez kolana.

—Gerhart Leit powiedział ciekawą rzecz, kiedy go przesłuchiwałem: że nasz tajemniczy mężczyzna był bardzo wysoki, w typie Putziego Hanfstaengla.

—Sugerujesz, że Hanfstaengl jest naszym zabójcą? — spytał z uśmiechem Ulrich.

—Płynnie mówi po niemiecku i angielsku — zaśmiał się Berg. — Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Ciekawe, czy... Myślicie, że dałoby się z nim porozmawiać, nie wzbudzając podejrzeń?

—Chyba nie mówisz tego poważnie, Berg! — przeraził się Müller. — Hanfstaengl jest wielkim sympatykiem policji. Ja nie wezmę w tym udziału!

—W porządku, Georg, zrobię to sam.

—Dobrze byłoby najpierw znaleźć jakieś poszlaki. W przypadku Schoennachta przynajmniej mamy zadrapania na twarzy.

—Czy żona Schoennachta jest Niemką? — spytał Storf.

—Francuzką.

—A jego rodzice?

—Nie wiem. — Berg wzruszył ramionami. — Michael Green wysunął ciekawą hipotezę, że ojciec Roberta Hurlbutta mógł być w korpusie dyplomatycznym. Trzeba sprawdzić, kto z Bawarii był albo jest w korpusie dyplomatycznym, zwłaszcza osoby wydelegowane do Rosji i krajów anglojęzycznych.

—I co, zapytasz ich, czy przypadkiem nie zajmowali się ostatnio mordowaniem kobiet? — zakpił Storf.

—Nie interesują nas oni sami, tylko ich synowie.

—A w jaki sposób to nam ułatwia sprawę? — spytał Müller.

—Masz jakieś pomysły czy zamierzasz się ograniczyć do ośmieszania moich?

—Co powiesz na to? — rozdzielił ich Storf. — Gross i Druer były libertynkami. Może na komunistycznych zebraniach obie poznały niemieckiego Kubę Rozpruwacza, który lubi zabijać kurwy? Skoro chcesz się przyczepić do wewnętrznego kręgu Hitlera, to przyczep się również do kosmopolitów, którzy uprawiają szemraną działalność.

—To jest jakaś koncepcja, Axel — poparł go Müller.

—Regina Gottlieb nie była bogatą kosmopolitką, tylko ubogą żydowską krawcową.

Storf z tłumionym uśmiechem zajrzał do kufla z piwem.

— Chyba nie muszę ci mówić, Axel, że wśród Żydówek też trafiają się kurwy.

Berg zaczerwienił się z wściekłości.

—Nic nie wskazuje na to, że Regina Gottlieb była kurwą.

—Skąd wiesz? Prześwietliłeś jej życie?

Berg milczał wściekły, ale wiedział, że Storf ma rację. Trzeba sprawdzić życie osobiste Reginy Gottlieb, bo większość ofiar morderstwa ginie z ręki znajomych.

—Prześwietlę ją. Nie skreślałbym jednak teorii z synem dyplomaty. Ale musimy działać ostrożnie. Na początek chcę tylko sporządzić listę. Kiedy już będziemy mieli nazwiska, zawężymy obszar poszukiwań.

—A jak nakłonimy tych dyplomatów, żeby z nami porozmawiali? — spytał Storf.

—Jeśli do tego dojdzie, to przekonamy ich, że sprawa jest poważna, w końcu zamordowano trzy kobiety. — „Tak wiele do roboty i tyle niewiadomych”, pomyślał Berg. — W którym dokładnie miejscu w Englischer Garten znaleziono ciało Reginy Gottlieb? Ja byłem na urlopie, kiedy to się stało.

—Bardzo blisko krzaków, w których leżała Anna Gross.

—Kto znalazł?

—Wypadałoby przeczytać akta, Axel — skarcił go z uśmiechem Müller.

Georg miał słuszość, ale jego pouczający ton zirytował Berga.

— Zdażyłem je tylko przejrzeć w biurze komisarza. Jest coś konkretnego, o czym powinienem wiedzieć?

—Ciało Reginy Gottlieb znalazł Anders Johannsen podczas porannego spaceru z psami.

—Ten sam człowiek, który znalazł Marlenę Druer? — Berg wyprężył się jak struna. — Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

—Myślałem, że czytałeś akta.

Berg z trudem pohamował wściekłość.

—I żadnemu z was nie przyszło do głowy, że warto jeszcze raz mu się przyjrzeć?

—Spokojnie, Axel. Messersmit go przesłuchał, kiedy ciebie nie było. Johannsen trzął się ze strachu, powiedział Heinrichowi, że już nigdy nie pójdzie ze swoimi kochanymi psinkami do tego okropnego parku.

Rozdział trzydziesty

Od zewnątrz wydawało się, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Zasłony w oknach od ulicy były zaciągnięte. Berg wszedł jednak na czwarte piętro, zamierzając wsunąć pod drzwi wizytówkę. Mimo wszystko zapukał i odpowiedziało mu basowe szczekanie, które po chwili zastąpił piskliwy jaszgot.

Berg usłyszał kroki, a potem roztrzęsiony głos zapytał:

—Kto tam?

—Policja. Do Herr Andersa Johannsena. Drzwi uchylły się odrobinę.

—Czego pan chce?

—Herr Johannsen?

—Tak. Już rozmawiałem z policją. Dwa razy. Niech pan stąd idzie.

—Bardzo pana proszę, Herr Johannsen, zabiorę panu tylko kilka minut.

Drzwi się zamknęły. Berg poczuł się głupio, że po nic laził na czwarte piętro. Chwilę później usłyszał jednak szczęk odpinanego łańcucha. Drzwi powoli otworzyły się ze skrzypieniem i Berg zobaczył wysokiego, pomarszczonego mężczyznę w szlafroku. Berg nigdy nie widział kogoś tak bladego: półprzezroczysta biała skóra kojarząca się ze zwiędłą cebulą. Zapadnięte ciemnoniebieskie oczy poczerniały w kontakcie ze światłem. Gospodarz trzymał w rękach futrzaną mufkę. Gdzieś w tle Berg usłyszał niski, groźny warkot.

— Inspektor Axel Berg z monachijskiej *Mordkommission*. Mogę wejść, Herr Johannsen?

Po długiej chwili blady mężczyzna odstąpił na bok. Teraz przyszła kolej na Berga, żeby się zawahać.

—O ile pamiętam, ma pan jeszcze drugiego psa, *mein Herr*.

—Tak, Ottona.

—Jest uwiązany?

— Nie robi panu krzywdy, jeśli nie wydam mu takiego polecenia. Jest doskonale wytresowany.

Niewielka pociecha, ale trzeba zaryzykować.

—Mogę wejść?

—Tak, tak, proszę do środka.

Berg ruszył w ślad za gospodarzem do ponurego pokoju od frontu. Ottona nigdzie nie było widać, ale warkot wyraźnie dał się słyszeć. Johannsen wskazał na obitą ciemnym aksamitem kanapę, po czym rozsunał grube zasłony. Zakurzone światło słoneczne natychmiast wypełniło pokój. Starszy pan zmrużonymi oczami wyjrzał przez okno.

—Widzę, że mamy dzisiaj bezchmurne niebo.

—Piękny dzień na spacer.

— Dziękuję, ale nie skorzystam. Za dużo już się naspacero-wałem.

Berg usiadł na ciemnofioletowej kanapie. Wszystkie dzieła sztuki na ścianach były wysokiej klasy, ale wzrok Berga przykuł obraz Ottona Diksa, podobny do serii *Lustmord*, ale z wyłącznie męskimi zwłokami.

— Ma pan interesujący gust artystyczny.

Wysoki mężczyzna okręcił się na pięcie i wbił w niego oburzone spojrzenie.

— Czy pan stroi sobie ze mnie żarty? Gwałtowność jego reakcji zaskoczyła Berga.

— Ależ skąd. Mnie szczególnie podobają się tancerki Matis-se'a. Taka dynamika oddana za pomocą tak niewielu linii. A Dix — taka... siła wyrazu!

Johannsen przeniósł wzrok na rysunek.

—Jestem zaskoczony, że podobają się panu te dzieła. Dwaj inni policjanci, z którymi rozmawiałem, to byli barbarzyńcy.

—A nazywali się...

—Straszni ludzie. Inspektor Müller zachowuje się jak słoń w składzie porcelany, ale Messersmit to już skończony cham. Ten człowiek miał chęć zasugerować, że miałem coś wspólnego z zabójstwami tych dwóch kobiet. — Johannsen zaczerwienił się ze złości. — Jak nie masz winnego, to oskarż ofiarę.

—Znalezienie drugiego ciała musiało panem wstrząsnąć...

—Znalezienie pierwszego ciała mną wstrząsnęło. Z drugim to już był istny horror! — Przechadzał się po niewielkim pokoju, w jednej ręce trzymając francuskiego pieska i gestykulując zawzięcie drugą. — Może dla pana takie makabryczne historie to chleb powszedni, ale dla mnie na pewno nie! — Z innego pokoju dobiegł ich głuchy jęk. — Biedny Otto — westchnął Johannsen.

—Nie przywykł widzieć mnie w takiej hysterii. Muszę go wypuścić, bo inaczej jego niezadowolenie znajdzie niszczycielskie ujście. Gryzie nogi fortepianu! — szepnął teatralnie Johannsen.

—Wie, że doprowadza mnie to do szału.

Zanim Berg zdążył zaprotestować, gospodarz wyszedł z pokoju, by po chwili wciągnąć do niego bestię na smyczy. A dokładniej, to bestia ciągnęła jego. Monstrualny pies był siwy i potężnie zbudowany, z groźnie obwisłymi szczękami. Ślinił się i toczył pianę z pyska. Twarde mięśnie falowały przy każdym kroku. Pies ważył chyba ze sto kilo. Natychmiast pomknął ku Bergowi i położył mu łeb na kolanach, żeby go obwąchać i obślinić mu koszulę. Berg lubił psy, ale ten brytan był tak ogromny, że nawet najbardziej zagorzały miłośnik zwierząt miałby prawo czuć się nieswojo. Inspektor nie ruszał się, czekając, aż ten idiota Johannsen przywoła psa do nogi.

— Otto pana lubi — powiedział Johannsen po dłuższej chwili. — Merda ogonem.

Nagle Berg poczuł na twarzy szorstki język.

— Może namówiłby pan Ottona, żeby się uspokoił, Herr Johannsen. Wtedy moglibyśmy porozmawiać.

— *Platz*⁵⁰. — Kolejne szarpnięcie za smycz. — *Platz*, Otto.

Dryblas szarpnął za smycz i pies wycofał się do pozycji siedzącej.

—Leżeć. — W końcu zwierz klapnął na parkiet, opierając łeb o buta Berga. — To takie duże dziecko, wie pan. Nigdy nie znalazł się w groźnej sytuacji i ciekaw jestem, co by zrobił, gdybym został zaatakowany.

—Ma pan takie obawy? — zapytał Berg.

⁵⁰ * *Platz* (niem.) — miejsce.

—Oczywiście, że mam. Mimo zapewnień władz na ulicach pełno jest opryszków, którzy szukają zwady.

—Agresja jest mniejsza, niż się o tym mówi i pisze, ograniczona do pewnych dzielnic i przedstawicieli określonych grup etnicznych.

—Bzdura. Po Żydach i Cyganach Hitler poszczuje swoich ludzi na innych degeneratów, jak to nazywa, komunistów, liberałów i wolnomyślnych profesorów uniwersytetów — powiedział Johannsen podniesionym, trochę histerycznym głosem. — Nie spocznie, dopóki każdy obywatel Niemiec nie pomaszeruje na Rosję w brudnym mundurze. Wiem, jak myślą tacy ludzie jak on. Byłem w wojsku — w rezerwie. Byłem w Belgii. Niemieckie zamiłowanie do porządku to rzecz znana, ale u tych bestii to już wykracza poza... — Pokazał na Matisse'a. — Tego rodzaju geniusz stanie się reliktem dawnych postępowych czasów.

Tyrada ta wyzwała go z ?ił. Padł na krzesło i starł pot z czoła chusteczką wyjętą z kieszeni szlafroka. Kudłaty piesek umościł się na podolku swego pana, natomiast Otto z zatroskaniem uniósł łeb. Johannsen z roztargnieniem poklepał go po głowie.

—Nie wiem... może jestem za stary na to miasto.

—A może po prostu zrozumiałe wstrząśnięty znalezieniem dwóch zamordowanych kobiet.

Johannsen pokiwał energicznie głową.

—*Herrjemine*, to było upiorne! Znaleźć jedną to już byłoby makabryczne, ale dwie?

—Straszne — współczuł Berg. — Wiem, że nie jest to dla pana łatwe pytanie, Herr Johannsen, ale czy przypomina pan sobie jakieś podobieństwa między ciałami?

—Nie mogę panu pomóc, inspektorze. Pamiętam tylko, że biegłem z Ottonem i Misty, aż trafiłem na policjantów.

—Czyli nie pamięta pan sposobu ułożenia zwłok ani...

—Nic nie pamiętam, a w każdym razie niewiele.

— Proszę mówić dalej.

— Obie biedaczki miały na sobie drogie ubranie. Pierwsza była ubrana w odważną sukienkę ozdobioną paciorkami, a druga w ciemnoniebieską taftę przybraną jedwabną koronką. Przepiękny materiał.

Berg nie usłyszał nic nowego, ale czego się spodziewał? Coś jednak nie dawało mu spokoju. Johannsen zupełnie nie pasował do tego miasta, a jednak to on znalazł dwie martwe kobiety.

„Jak nie masz winnego, to oskarż ofiarę”, powtórzył w myślach.

Kolb powiedział mu kiedyś, że homoseksualiści mają konflikt psychiczny z kobietami, głęboko ich nienawidzą. Berg wiedział jednak z doświadczenia, że większość zamordowanych kobiet pada ofiarą swoich partnerów — mężów lub kochanków — a nie homoseksualistów. Berg potrzebował więcej czasu, żeby się zorientować, co go tak dręczy w tym wysokim mężczyźnie i jego mieszkaniu.

Berg znowu spojrzał na obrazy.

— Jest pan marszandem, Herr Johannsen?

— Trochę się tym zajmuję. Niegdyś uważałem się za kompozytora. Był czas, że Niemcy interesowali się nowoczesnymi kompozycjami muzycznymi — Arnoldem Schoenbergiem, Al-banem Bergiem, Webernem... — Westchnienie. — A teraz... — Pokręcił ze smutkiem głową. — Teraz jestem zmuszony pisać głupawe songi kabaretowe. Pieśni biesiadne. Ho, ho, ho, ho, hi, hi, hi, hi. — Wywinął oczami. — Ale przynajmniej nadal są z tego jakieś pieniądze.

— Od kogo kupuje pan dzieła sztuki?

—Z różnych źródeł. — Starszy pan wzruszył ramionami. — Jeśli coś mi się podoba i zdołam wynegocjować dobrą cenę, to kupuję. Jeśli ktoś to zobaczy i chce mi zapłacić dobrą cenę, to chętnie sprzedaję.

—Czy zdarzyło się panu nabyć jakieś dzieło od Ernesta Hanfstaengla?

—Od tego nazisty?! Ręki bym mu nie podał, a co dopiero robić z nim interesy.

— A od Rolfa Schoennachta?

—On jest nie lepszy. Poza tym obaj handlują przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Tylko obrzydliwie bogatych przemysłowców w Ameryce stać na płacenie takich skandalicznych cen.

—Czy poznał pan któregoś z nich?

—Zostaliśmy sobie przedstawieni — odparł Johannsen bez emocji w głosie. — Pamiętam, że poznałem Hanfstaengla na wernisażu w Paryżu. A Schoennachta widziałem kiedyś z Ambrose' em Vollardem. Czasem bywamy na tych samych aukcjach. Ale żebym ich znał, to za dużo powiedziane.

—Mam jeszcze tylko kilka pytań, Herr Johannsen. Mam nadzieję, że nie będą dla pana zbyt uciążliwe.

—Oczywiście, że będą dla mnie zbyt uciążliwe — nastroszył się. — Słucham pana.

—Kiedy pan znalazł Marlenę Druer...

—To straszne, żeby nazywać ciało imieniem i nazwiskiem!

—Cóż, ta kobieta jakoś się nazywała. Powiedział pan inspektorowi Mullerowi, że wyszedł pan z psami koło siódmej rano.

—Siódmej, wpół do ósmej. Tuż po wschodzie słońca. Kiedyś spacerować nad Izarą pozwalały mi napawać się spokojem i pięknem okolicy. Często nawiedzały mnie wtedy melodie, piękne pieśni o kraju, który niegdyś był taki postępowy i nowoczesny. Nie mogę tego odżałować!

—A o której wyszedł pan z domu w dniu, kiedy znalazł pan drugie ciało?

—Chyba powiedziałem temu okropnemu Messersmitowi, że tuż przed świtem. Otto pilnie potrzebował wyjść, bo ma problemy żołądkowe. Chodziłem ostatnio do Englischer Garten, bo Izara mi zbrzydła. Co jest idiotyczne, bo pierwszą kobietę znaleziono właśnie w Englischer Garten. Ale przynajmniej są tam alejki i otwarta przestrzeń. A potem kolejny wstrząs. Teraz boję się gdziekolwiek chodzić. Jestem jak stary obłąkaniec, który siedzi po ciemku w domu. Jestem żywym symbolem tego, co stało się z tym miastem, że światło tego wszystkiego, co było nowe i świeże, zmierza prosto w ciemności. — Johannsen pomasaował się w ramiona i zadygotał. — Może powinienem wyprowadzić się w Monachium. Nie urodziłem się w tym mieście. Przyjechałem tutaj, bo myślałem, że ma ono do zaoferowania coś wyjątkowego.

—Jest pan z północy.

—Z Lubeki — odparł Johannsen. — Mój ojciec był przystojnym duńskim marynarzem, który zapalał głęboką miłością do mojej matki, pięknej i twórczej Niemki. Zupełnie do siebie nie pasowali. W końcu matkę zmęczyło ciągle czekanie, aż jej stateczny mąż wróci do domu. Któregoś dnia zapakowała cały nasz dobytek i przenieśliśmy się do Paryża, gdzie studiowała na akademii sztuk pięknych. Dla niej świetna rzecz, ale dla mnie coś strasznego. Żyliśmy w nędzy. Rok później zmarła na cholere. Odesłano mnie z powrotem do ojca, który nadal spędzał większość czasu na morzu i nie zamierzał się przestawiać na osiadły tryb życia dla jakiegoś smarkacza. Tak na mnie mówił: smarkacz.

Berg skinął głową i pomyślał o Joachimie i Monice. Im dzieci były starsze, tym ważniejszy stawał się dla niego ich los.

—Kiedy miałem czternaście lat, przekonałem ojca, że jestem dostatecznie dorosły, aby mieszkać sam. Wszystko było lepsze, niż mieszkać z moją duńską babcią, zajadłą luteranką i dosyć okropną kobietą — surową, drętwą i rygorystyczną. Nic dziwnego, że ojciec wybrał życie marynarza.

—Miał pan niezbyt przyjemne dzieciństwo.

—Niektórzy mają gorsze. Przynajmniej ojciec zapewniał mi jako taki byt. Poza tym miałem wrodzony talent muzyczny. Nauczyciel w gimnazjum przekonał mnie, żebym wziął dodatkowe lekcje muzyki. Rok później studiowałem grę na fortepianie w konserwatorium.

—Co pana sprowadziło do Monachium? Bawaria zawsze była bardzo tradycyjna.

—Tak, Monachium to postępową wyspą na morzu konserwatyzmu. Przed laty było to piękne, urocze miasto, gdzie kwitł śmiech i nowoczesne idee. A teraz... — Westchnął. — Często myślę o powrocie do Paryża, ale mój francuski obrósł kurzem, no i musiałbym żyć pośród tych wszystkich strasznych wspomnień. Ponadto wszyscy wiemy, że paryżanie nie przepadają za Niemcami. W Holandii i Belgii jest za zimno, a poza tym nie mówię po holendersku ani po walońsku. Austria jest jak Monachium, tylko jeszcze gorsza.

—A jak u pana z angielskim?

—Jestem w stanie się porozumieć. Ale jeśli Francuzi nie przepadają za Niemcami, to co powiedzieć o Anglikach?

—Pozostaje jeszcze Szwajcaria.

—Kiedy po raz ostatni słyszał pan o wybitnym szwajcarskim kompozytorze albo wybitnym szwajcarskim artyście?

—Paul Klee.

—On jest w zasadzie Francuzem. — Johannsen pogłaskał francuskiego pieska, ale zwrócił się do dużego: — Co myślisz o przeprowadzce do Szwajcarii, Otto?

Na dźwięk swego imienia pies uniósł łeb. Nagle Berg doznał olśnienia. Wielki pies miał na szyi ciężki, metalowy łańcuch, do którego przymocowana była skórzana smycz. Z kolei obrozę francuskiego pieska należałoby raczej nazwać naszyjnikiem. Gdyby otoczyć nim szyję kobiety i mocno zacisnąć, zostawiłby wzór makabrycznie podobny do tego, który znaleziono na szyi Reginy Gottlieb. A gdyby zacisnąć go jeszcze mocniej, wbiłby się w szyję Marleny Druer.

*

Volker podsunął ulotkę pod oczy Berga.

— Kolejny wiec, przewidziany na jutro po południu, o trzeciej na Königsplatz. Temat: niezdolność policji do zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa. Przemawiać ma nie tylko Hitler i jego akolici z NSDAP, ale także członkowie BWP. Nawet śmierć ubogiej Żydówki wywołuje niepokój. — Określił się na pięcie i dźgnął Berga palcem w pierś. — Co pan zamierza z tym zrobić?

—A czego pan oczekuje, *Herr Kommissar!* Żebym aresztował kolejną niewinną osobę?

—Jeśli nie ma pan innych pomysłów, to tak, niech pan aresztuje męża Gottlieb. Nikt się nie przejmie śmiercią kolejnego Żyda. Może to nawet uspokoić nastroje.

—Raczej tylko doraźnie, jak to było z Antonem Grossem. Zginie kolejny niewinny człowiek, a nas to nie przybliży do rozwiązania zagadki.

— Skąd pan wie, że jest niewinny? Przesłuchał go pan?

—Zrobię to, jak tylko wyjdę z tego biura.

—Nigdzie pan nie idzie! Siadać! — rozkazał Volker. Berg usiadł. Volker zrobił się jasnoczerwony na twarzy i żyły wystąpiły mu na szyi.

— Wysyłamy wszystkie dostępne siły. Nie będzie w Monachium kolejnego puczu, rozumie pan, co do pana mówię?

— Wykonam każdy pański rozkaz, *Herr Kommissar*. Volkera chyba to udobruchało.

— Nie ma pan pojęcia, pod jaką jestem presją. Wszyscy mi rozkazują— Roddewig, Brummer, Mantel i Schlüssel, który jest tylko tubą burmistrza. Domagają się rezultatów!

—Raczej kogoś, kogo można by powiesić.

—Chcą odpowiedzi, Axel!

— Robię, co mogę, *Herr Kommissar*. Kiedy tylko pojawi się jakiś trop, znajdujemy nowe ciało, które wszystko komplikuje.

Volker przechadzał się po niewielkim biurze.

—Jak to możliwe, że on działa tak szybko i tak bezczelnie? Pytanie było retoryczne, ale nasunęło Bergowi pewną myśl.

—Może ma pomocników.

—Jakiego rodzaju?

—Jeden się rozgląda i przytrzymuje ofiarę, kiedy drugi ją gwałci, a potem zamieniają się rolami.

—*Herrjemine*, czyli mamy dwóch morderców? — Berg wzruszył ramionami. — Chłopcy Hitlera?

—Byłbym skłonny udzielić odpowiedzi twierdzącej, gdyby nie fakt, że tylko jedna z ofiar, Regina Gottlieb, się broniła. Podejrzewam, że pierwsze dwie — Gross i Druer — znały mordercę. Albo morderców.

—I na razie ma pan tylko tajemniczego Rosjanina nazwiskiem Robert Schick?

—Który, jak sądzę, podaje się również za lorda Roberta Hurlbutta. Myślę, że ten człowiek jest winny śmierci Druer i Gross. Regina Gottlieb to inna historia. Nie była ani bogata, ani zaangażowana politycznie. Potajemnie pracowała dla żony Rolfa Schoennachta. On nienawidzi Żydów i być może gniewało go, że jest winny pieniądze Żydówce.

—Uważa pan, że Rolf Schoennacht zabił kobietę, bo nie chciał spłacić niewielkiego długu?

—Może jego antysemityzm pozwolił mu uznać, że dług wobec Żydówki jest nieważny.

—W takim razie dlaczego miałby ją zgwałcić?

—Aby dobitniej okazać pogardę kobiecie, którą uważa za zwyrodniałą sukę.

—Absurd. Jeśli zna pan doktrynę Hitlera, to wie pan, że seks z Żydami jest zakazany.

Berg zastanowił się chwilę.

—Mam inny pomysł. Dwie pierwsze panie uważały się za postępowe humanistki. Rolf Schoennacht jest marszandem, który handluje sztuką nowoczesną. Podobnie zresztą jak Anders Jo-hannsen.

—Kto?

—Anders Johannsen, człowiek, który znalazł zwłoki Reginy Gottlieb i Marleny Druer. Schoennacht i Johannsen mieszkają niedaleko od siebie i od miejsc, w których leżały ciała.

—Przyjaźnią się ze sobą?

—Według Johannsena nie. Na pierwszy rzut oka bardzo się od siebie różnią. Jeden jest postępowym homoseksualistą urodzonym w Lubece, a drugi staroświeckim bawarskim konserwatystą i sympatykiem Hitlera. Pewne rzeczy ich jednak łączą, przede wszystkim pasja do sztuki współczesnej. Obaj mają obrazy Ottona Diksa. Inne też, ale Dix rzucił mi się w oczy ze względu na brutalną tematykę. Są mniej więcej w tym samym wieku i obaj są wysocy. Wieczorem w dniu śmierci Annę Gross widziano z wysokim mężczyzną.

—Czy któryś z nich przypomina mężczyznę z portretu pamięciowego?

—Nie bardzo. I nie są do siebie podobni. Ale jeśli się ucharakteryzowali, to po ciemku...

—Dlaczego mieliby zabijać kobiety?

—Może jeden nienawidzi kobiet, bo jest homoseksualistą, a drugi nienawidzi liberałów i Żydów.

—Jakie ma pan dowody?

—Żadnych. Na razie usiłuję znaleźć wspólne ogniwo.

— Jak mieliby się poznać, skoro należą do różnych środowisk?

—Poznali się przez sztukę, *Herr Kommissar*. W galeriach, w domach aukcyjnych, w Paryżu. Johannsen sam to przyznał. — Berg oblizał wargi.

— Nie neguję, że to bardzo słaby trop, ale chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Schoennachcie i Jo-hannsenie.

—Byłe zachowywał się pan dyskretnie. Adolf Johannsen nic mnie nie obcho...

— Anders.

—Wszystko jedno. Stara ciota, on się nie liczy. Ale wiem, że Rolf Schoennacht to człowiek ustosunkowany. Uważa się za przyjaciela Rodericka Schlussela.

—Będę bardzo uważał — obiecał Berg. — Chciałbym przesłuchać męża Reginy Gottlieb, *Herr Kommissar*. Zanim zrobi się ciemno.

Volker ruchem dłoni pozwolił mu się odmeldować.

— Niech pan idzie.

Berg wstał, nie podzieliwszy się z Volkerem swoimi przemyśleniami na temat psiej obroży. *Herr Kommissar* uznałby to za dostateczny powód do aresztowania Johannsena. A motłoch zająłby się procesem i egzekucją, tak jak to było z Antonem Grossem. Żyd i homoseksualista: idealne kozły ofiarne dla Hitlera. Kolejny lincz był ostatnią rzeczą, której życzył sobie Berg.

Rozdział trzydziesty pierwszy

— Halo, Axel! — zawołał Storf.

Bez reakcji. Berg albo nie usłyszał, albo go zignorował. Storf rzucił się za nim w pościg i złapał go w drzwiach komendy przy Ett Strasse.

— *Grüss Gott*, gdzie się pali?

Berg nie zwolnił kroku, trochę niesymetrycznego z powodu uszkodzonego biodra.

— Nigdzie się nie pali, ale chciałbym dotrzeć przed zmrokiem na Gärtnerplatz i z powrotem. — Spojrzał na niebo. — I przed deszczem. Volker chce, żebym przesłuchał Gottlieba.

Nagle poczuł ostry ból w prawej nodze i kolano się pod nim ugięło. Storf złapał go za ramię, ratując przed upadkiem na twarz.

— Tak, tak...

Sam słyszał, że głos ma niepewny.

—Usiądź.

—Nic mi nie jest!

Berg chciał odtrącić pomocną dłoń Storfa, ale nie miał siły. Nadwreżwał swoje sponiewierane ciało, aż w końcu odmówiło mu posłuszeństwa. Twarz miał gorącą jak olej na patelni.

—Naprawdę nic mi nie jest — powtórzył. Storf pomógł mu odzyskać równowagę.

—Chodźmy na piwo, Axel.

— Nie chcę pić piwa, tylko chcę iść na przesłuchanie. A potem wrócić do domu. — Postawił kolejny krok i zawył z bólu. — *Herrjemine!* Zabiję skurwysynów za to, co mi zrobili!

Zdumieni przechodnie obchodzili ich z daleka ze spuszczoneymi głowami, sądząc, że Berg jest obłąkany, pijany albo jedno i drugie. W końcu się opanował.

—Naprawdę nic mi nie jest, Ulrich.

—W takim razie chodź ze mną, ja napiję się piwa, a ty dotrzymasz mi towarzystwa, *Herr Inspektor*.

Berg za bardzo cierpiał z bólu, żeby z nim polemizować. Po drugiej stronie ulicy była restauracja z ogródkiem. Storf zaprowadził Berga do wolnego stolika i usadowił go na krześle.

— Nie ruszaj się! Zaraz wracam.

Jak tylko Storf zniknął w środku, Berg usiłował wstać, ale ból wcisnął go z powrotem w krzesło. Zaklął jak szewc i kelnerki w tradycyjnych *Dirndl* poodwracały głowy. W końcu przyszedł Storf z dwoma kuflami. Po jednym łyku zimnego piwa Berg od razu poczuł się lepiej.

—Dzięki — mruknął zawstydzony.

—Nie powinieneś tak dużo chodzić.

—Nie dam rady jeździć na rowerze. Jak mam się poruszać z miejsca w miejsce?

—Są autobusy, tramwaje i dorożki. I zawsze możesz pożyczyć *Kra-
ftrad*. Twój problem jest taki, Axel, że za dużo pracujesz.

—Dopiero co byłem na dwutygodniowym urlopie i spójrz, co się stało pod moją nieobecność.

—Przecież nie zapobiegłbyś tym morderstwom, gdybyś nie wyjechał.

—Skąd wiesz? Może zdążyłbym złapać drania i Regina Got-tlieb by żyła.

—A może nie.

—Cóż, nigdy się tego nie dowiemy. — Berg pociągnął łyk, a potem haust piwa. — Ja jakoś przeżyję, ale póki ten sukinsyn pozostaje na wolności, parę kobiet może nie przeżyć. Muszę dotrzeć do Gottlieba przed zmrokiem.

—Jeden dzień nie robi różnicy, Axel.

—I tu się mylisz. Zresztą dostałem rozkaz od Volkera.

—A co jego obchodzi stary Żyd?

—Chciałby, żeby go aresztował za zamordowanie żony.

— A to on zamordował? — zdziwił się Storf.

—Nie sądzę, ale w przypadku Żyda wina lub niewinność nie mają dla komisarza żadnego znaczenia. Ważne, żeby kogoś aresztować.

—Zrzucanie winy na Żydów na dłuższą metę nie ma sensu — stwierdził Storf po chwili milczenia, wykazując się sporą przenikliwością.

Berg wyjął ulotkę informującą o wiecu zaplanowanym na następne popołudnie.

— Popatrz.

Storf przebiegł ogłoszenie wzrokiem.

— Jeszcze jeden wiec. I co z tego?

—Volker jest zaniepokojony. Boi się kolejnego puczu Austriaka.

—To nie jest dwudziesty trzeci rok. Nie ma kolejek za chlebem. Gospodarka może nie kwitnie, ale nie ma też takiego kryzysu jak wtedy. Jeśli Austriak zostanie kanclerzem, to nie na skutek zamachu stanu, tylko z woli narodu.

— Broń nas, Panie Boże.

— Zobaczymy, przed czym Pan Bóg zechce nas obronić. — Storf pociągnął długi haust zimnego piwa. — Ja porozmawiam z tym Żydem.

— Nic ci nie powie. Ja ci nie ufam, a co dopiero on!

— Myślisz, że tobie bardziej zaufa? — odparł ze śmiechem Storf. — Jesteś naiwny, Axel. Ty, ja, wszyscy Niemcy jesteśmy dla Żydów wrogami. A dla nas, Niemców, wrogami są oni.

—*Bitte!* — zawołał Berg zniesmaczony. Zajrzał głęboko do swojego kufła, jakby zawierał on jakieś tajemnicze lekarstwo na wszystkie bolączki Niemiec. I w pewnym sensie zawierał. Czego nie można wyleczyć kuflem piwa? — Mądrość austriackiego bękarta w tym momencie do mnie nie przemawia.

—Ja mówię to, co wszyscy tutaj myślą. — Storf pochylił się i zniżył głos. — Z tymi ludźmi nie można iść na układy. Oni nie są tacy jak ty i ja. To inny gatunek.

Berg zajrzał Storfowi w oczy. Nie dostrzegł tam płomienia nienawiści do szatańskiej rasy w stylu Hitlera, a tylko drobne rozdrażnienie, takie, jakim reaguje się na psa, który nasikał na podłogę. Storf był zirytowany, ponieważ jako policjant miał obowiązek posprzątać, kiedy ktoś nabałaganił, a winą za bałagan w Monachium obarczał Żydów. Berg dopił piwo.

—To był dobry pomysł, Ulrich. Czuję się na tyle wzmocniony, że mogę przesłuchać Gottlieba.

—Nie dasz rady iść o własnych siłach.

—Pójdę powoli.

—Posiedź jeszcze chwilę. Mam dla ciebie pewne informacje.

—Na jaki temat?

—Dyplomatów.

Berg wyjął z buta scyzoryk, otworzył go i zaczął czyścić paznokcie.

—Mów.

—Zleciłeś mi prawie niewykonalne zadanie — zaczął z uśmiechem Storf. — W Monachium jest zdecydowanie zbyt wielu byłych ambasadorów, konsulów, attaché, posłów i tak dalej, żeby każdego sprawdzić. Ale ponieważ zawężaliśmy poszukiwania do ludzi, którzy biegle mówią po niemiecku, angielsku i rosyjsku, wyszedłem od tego. Zacząłem od osób znających rosyjski, bo Rosja jest tylko jedna, a krajów z językiem niemieckim albo angielskim jest więcej. Miałem szczęście. Jest były dyplomata, niskiego szczebla, który pracował tutaj jako rosyjski attaché za Romanów. I miał żonę Amerykankę. Pomyślałem, że to brzmi obiecująco.

—Bardzo.

Tym razem w oczach Storfa płonął entuzjazm.

—Ten człowiek nie żyje, ale ma syna. — Zawiesił głos dla większego efektu dramatycznego. — Attaché nazywał się Dirk Schick...

—Wielkie nieba! — krzyknął Berg. — A syn ma na imię Robert?

—Rupert...

—Sukinsyn! Ten człowiek naprawdę istnieje.

—Na to wygląda.

—Co jeszcze?

—Sądziłem, że to całkiem sporo jak na trzy godziny przeglądania papierów — odrzekł Storf z obrażoną miną. — Wiesz, przez ile warstw biurokracji musiałem się przedrzeć, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć?

—Dobrze się spisałeś, Storf — udobruchał go natychmiast Berg. — Ja bym nie dał rady. W jaki sposób namówiłeś tych urzędasów do współpracy? Oczarowałeś parę *Staatsbeamtin**⁵¹!

—Mój urok tutaj nie wystarczy, Axel. — Westchnął. — Jest jeszcze mnóstwo akt, które musimy przejrzeć. To może potrwać miesiące.

—Przynajmniej wiemy, że Robert czy raczej Rupert Schick nie jest wytworem naszej wyobraźni. — Berg włożył szczyryk z powrotem do buta i spojrzał na zegarek. — Muszę iść, Ulrich.

— To pójdę z tobą.

Podniósł się i pomógł wstać Bergowi.

—To najzupełniej zbędne.

—Tak, tak.

Storf zapalił dwa papierosy i dał jednego Bergowi.

—Jesteś pewien? — spytał Berg.

—Mam więcej niż miesięczny zapas tytoniu. Nie krępuj się.

Berg zaciągnął się głęboko i poczuł ciepło w nozdrzach i płucach. Szli w milczeniu. Nie był to zbyt szybki marsz, ale dzięki temu Berg nie musiał zwijać się z bólu. Im bliżej mieszkania Gottlieba, tym ulice były węższe, tłum gęstszy, a zapachy intensywniejsze — od smakowitych aromatów jedzenia po odór moczu i śmieci. Przy ulewnych deszczach nisko położone obszary Isarvorstadt podchodziły wodami gruntowymi, które niosły ze sobą ścieki i choroby. W wielu kwartałach dopiero niedawno odwołano kwarantannę.

Tego popołudnia nawet bieda nie mogła jednak przesłonić błękitnego nieba i zasmrodzić rześkich wiatrów ciągnących od Alp. Rowerzyści przebijali się przez ludzką cizbę, wymijając konie, staroświeckie wózki i dzieci, które wypadały na ulicę, nie dbając o swoje bezpieczeństwo. Zagrzybiałe budynki chyliły się ku upadkowi. Na parterach większości domów mieściły się sklepy z brudnymi witrynami. Sprzedawano tam wszystko, począwszy od ubrań, a skończywszy na książkach. W okolicy panował zgiełk: krzyki i piski dzieci grających w *Kreisel* i palanta oraz rozmowy w wielu językach:

⁵¹ * *Staatsbeamtin* (niem.) — urzędniczka państwowa.

niemieckim, polskim, francuskim, czeskim i czasem jidysz, mowie ubogich imigrantów żydowskich. Berg i Storf minęli dwóch muzykantów, którzy stali na ganku. Jeden grał na akordeonie, a drugi leniwie ciągnął smyczkiem po strunach skrzypek, czego efektem było tęskne wykonanie *Es liegt in der Luft*.

—Ile lat ma teraz Rupert Schick?

—Sądzę, że jest człowiekiem po czterdziestce.

—Mniej więcej w wieku Rolfa Schoennachta? Storf przystanął.

— Schoennacht wygląda na trochę starszego, ale może nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat.

Ludzie spojrzeli na nich spode łba. Rzuciło się w oczy, że policjanci nie są stąd. Berg dopalił papierosa i rozgniół niedopałek stopą. Zobaczył grupę młodych bojówkarzy w brunatnych koszulach, którzy chwiejnym krokiem maszerowali ulicą i śpiewali zachrypłą, pijacką wersję *Horst Wessel Lied*. Mieli dużo miejsca, bo przechodnie trzymali się od nich z daleka. Wyróżniali się z tłumu jako jedyni umundurowani ludzie w okolicy. Berg zerknął na Storfa.

—Szykują się kłopoty.

—Nie robią nic sprzecznego z prawem. Nie można kogoś aresztować za coś, co może zrobić w przyszłości. Ledwo przeżyłeś pobicie, inspektorze. Nie kuśmy losu.

Berg schował dłonie do kieszeni i pokuśtykał przed siebie, starając się zapomnieć o bólu.

— Schoennacht i Schick — myślał głośno. — Nic nie wiemy na temat Ruperta Schicka, ale Rolf Schoennacht istnieje. Sprawdźmy, kim są jego rodzice.

Skrzywił się, bo za mocno stanął na lewej nodze. Storf zwolnił kroku.

— Wszystko w porządku?

Berg pominął to pytanie milczeniem.

—Mówisz, że Dirk Schick był żonaty z Amerykanką?

—Z niejaką Delią Weiss. W pierwszej chwili sądziłem, że to Niemka, ale do dokumentów dołączona była kopia jej wizy. Urodziła się w Bostonie.

—W niemieckiej rodzinie?

— Nazwisko na to wskazuje, ale nic o niej nie wiem. Szczerze mówiąc, na temat Dirka Schicka też jest bardzo niewiele. Trafiłem na niego po wielu godzinach poszukiwań. Wiem na pewno, że nie był zawodowym dyplomatą. Mieszkał w Monachium przez jakieś dziesięć lat.

— Czym się zajmował oprócz dyplomacji?

— Nie jestem pewien, ale do wizy podpisanych było kilka zezwoleń na wwóz do Niemiec rosyjskich antyków.

— Był marszandem? — zdumiał się Berg.

— Może. Kupił sporo pamiątek, ikon i kilka iluminowanych manuskryptów. Są kopie wszystkich transakcji. Kupował drogie rzeczy, widać, że miał pieniądze.

— Czy sprzedał coś z tego, co wwiózł? Storf wzruszył ramionami.

— Nie zdążyłem do tego dotrzeć. Może następnym razem.

— Dużo podróżował? — spytał Berg.

— Miał sporo pieczętek wizowych, ale to nic dziwnego u członka korpusu dyplomatycznego.

— Jeździł do Ameryki?

— A, angielski lord Robert Hurlbutt. Nie, nie widziałem amerykańskiej pieczętki. Nic nie wskazywało na to, żeby wyjeżdżał z Europy.

— Ale miał żonę Amerykankę, więc nasz Robert czy Rupert mógł się nauczyć angielskiego od matki.

— Pewnie tak, ale tego z dokumentów się nie dowiem. Jakaś chwilę przeciskali się przez tłum bez słowa, po czym

Berg powiedział:

— Załóżmy na moment, że Schoennacht i Schick to ta sama osoba. Czy istniał jakiś powód, żeby syn Dirka Schicka musiał się wstydzić za swego ojca?

— Niczego takiego nie znalazłem.

— A przecież często posługuje się innym nazwiskiem. — W głowie Berga kłębiło się od pomysłów. — Schoennacht wyjeżdża dziś wieczorem do Paryża. Trzeba sprawdzić, czy rzeczywiście wsiądzie do pociągu.

— Ty się do tego nie nadajesz.

— To pomóż mi i sam to zrób. Tylko nie mów nic Volkerowi. Storf uniósł brew.

—Każesz mi obserwować człowieka bez zgody komisarza i bez dodatkowych pieniędzy?

—Zdaniem Volkera Schoennacht jest za bardzo ustosunkowany, żeby policja mogła sobie pozwolić na nagabywanie go. Po mieście grasuje morderca, Ulrich. Jeśli ty tego nie zrobisz, to ja zrobię.

—Porozmawiam z Georgiem — obiecał po namyśle Storf. — Postaramy się jakoś to załatwić.

—Fajny z ciebie chłop, Ulrich, dziękuję. — Berg spojrział na kartkę z adresem. — Jesteśmy już prawie na miejscu. Teraz już dam sobie radę sam.

—Jak wrócisz do domu, Axel?

—Wezmę dorożkę.

— Dobrze. Nawet nie myśl o chodzeniu. Jeszcze jedno... — dodał po chwili. — Żeby ci zrobić jeszcze większy mętlik w głowie. Kiedy się dowiedziałem, że Dirk Schick sprowadzał antyki, skierowało to moją uwagę na Hanfstaengla, ponieważ obaj parają się handlem sztuką.

—Tak samo jak Anders Johannsen.

—Kto?

—Człowiek, który znalazł ciała Marleny Druer i Reginy Gottlieb.

—Ta ciota z dwoma psami? Przecież Müller nam mówił, że to kompozytor albo muzyk.

—Handluje też dziełami sztuki. Sztuki zdegenerowanej, jak by to nazywał Austriak. Wszyscy się tym zajmują. Spisek krytyków sztuki. — Berg pomasaował sobie skronie. — Co zamierzałeś mi powiedzieć na temat Hanfstaengla?

—Tylko tyle, że studiował w Ameryce. Berg zrobił wielkie oczy.

—Harvard?

— Harvard. — Storf rozgniół obcasem niedopałek i uśmiechnął się leniwie. — Sądząc po tym, jakim jest wesołym pianistą, musiał być duszą towarzystwa.

Rozdział trzydziesty drugi

Rodzina Gottliebów mieszkała na trzecim piętrze. Klatka schodowa cuchnęła potem, moczem i stęchlizną. Skoro przy chłodzie smród z trudem dało się wytrzymać, to co dopiero w lecie! Deski podłogi były zdarte i poczerniałe ze starości. W wielu miejscach popękały albo w ogóle ich nie było i każdy krok wymagał ostrożności. Po dotarciu na właściwe piętro Berg znalazł się w ponurym korytarzu oświetlonym jedną, żółtą żarówką. Brudne okno na końcu holu wpuszczało ostatki popołudniowego słońca. Przez cienkie ściany przedostawały się stłumione odgłosy dziecięcych sprzeczek, rozmów i radiowych trzasków. Zbliżała się pora kolacji, więc na korytarz wydobywały się zapachy jedzenia i miarowy stuk noża o deskę czy brzęk łyżki o talerz. Po zlokalizowaniu właściwego mieszkania Berg przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Basowy męski głos mówił coś stanowczym, miarowym tonem. Berg zapukał. Mówienie ustało. Axel usłyszał szybki tupot stóp, a następnie trzaśnięcie drzwi.

—*Wer ist da?*

—*Polizei.*

Milczenie. Berg zapukał ponownie.

— Halo! — Jeszcze raz stuk, stuk. — Muszę z panem porozmawiać, Herr Gottlieb. To nie potrwa długo.

Drzwi powoli się otworzyły. W progu stanął mężczyzna o spopielalej, przejętej strachem twarzy. Z jego brązowych oczu przebijała zgroza. Był średniego wzrostu, bardzo chudy, miał okulary i nos bardziej rzymski niż żydowski. Włosy koloru kawy krótko przycięte, z pojedynczym kosmykiem opadającym na czoło. Nad drgającymi ustami czernił się cienki wąsik. Mężczyzna miał na sobie czarne spodnie, białą koszulę, ciemnoszarą kamizelkę i stare, świeżo wypastowane buty. Zaprosił Berga do środka i zamknął drzwi na łańcuch.

— *Guten Abend.* — Opasał się mocno ramionami, jakby chciał w ten sposób powstrzymać drżenie. — Czego pan chce?

— Nie zajmę panu wiele czasu, Herr Gottlieb.

Spojrzał gospodarzowi przez ramię. W domu panował bałagan. Szafy były pootwierane, a ich zawartość leżała na podłodze. Na wysłużonym stole jadalnianym stały trzy pudła i dwie duże walizy.

— Dokądś się pan wybiera? — Mężczyzna jeszcze bardziej zszarzał, co wydawało się absolutnie niemożliwe. — Mogę spytać, jakie ma pan plany, Herr Gottlieb?

Splótł ze sobą palce, ale widać było, że ręce nadal mu drżą. Z trudem wydobywał z siebie słowa.

—Spotkała mnie straszna tragedia... i moje dzieci też. — Oczy zaszklily mu się łzami. — Zabieram córeczki w odwiedziny do krewnych na Węgrzech.

—Wygląda na to, że planuje pan dłuższą wizytę. — Milczenie. — Przeprowadzkę do innego miasta należy zgłosić władzom.

Mężczyzna odwrócił głowę i przebiegł wzrokiem panujący w domu bałagan.

— Nie wyprowadzam się.

Oblizal wargi i chciał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślił.

— Źle to wygląda, Herr Gottlieb, że w takim momencie postanowił pan złożyć krewnym długą wizytę. — Gospodarz nie zareagował. — Większość ludzi powiedziałyby, że człowiek, który wyjeżdża tak szybko po śmierci żony, ma coś do ukrycia.

Górna warga Gottlieba zaczęła drzeć.

—Nie mam nic do ukrycia, *Herr Inspektor*. Kochałem moją żonę. Ja... — Oczy wezbrały mu łzami. — Oddałbym życie za to, żeby ona wróciła.

—To niech pan ze mną porozmawia. Pomoże nam złapać człowieka, który zabił pańską żonę.

Spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Kiedy ja nic nie wiem.

— Może wie pan więcej, niż się panu wydaje. Gottlieb znowu zaprzeczył.

—Zostanę, *Herr Inspektor*. Zostanę i zrobię wszystko, co mi pan każe, ale błagam, niech pan pozwoli moim dzieciom wyjechać. Tutaj nie ma już

dla nich nic oprócz strasznych wspomnień, podejrzliwości, nienawiści i zagrożenia. — Zaczął dyszeć. — Mam trochę pieniędzy. Za mało, żeby uczynić pana bogatym człowiekiem, ale wystarczy, żeby pomóc panu przetrwać ciężkie czasy. Niech pan puści moje dziewczynki za granicę! — Nie potrafił powstrzymać drżenia. — Błagam pana!

—Tatusiu? — zakwilił cieniutki głos. — Wszystko w porządku, tatusiu?

Berg odwrócił się. Stały przed nimi dwa aniołki, oba niebieskookie, jedna dziewczynka miała jasne kręcone włosy, a druga ciemne i proste, splecione w warkocze. Miały gładką alabastrową cerę, lekko zaróżowioną. Uśmiechały się nieśmiało do Berga, ukazując białe zęby i dołeczki. Gottlieb szybko się nimi zajął.

— Wszystko jest w porządku. Ten pan to bardzo miły policjant, który próbuje nam pomóc. — Spocony Gottlieb wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł twarz. — Zaraz do was przyjdę. — Zaprowadził je do innego pokoju. — Zaczekajcie, aż tatuś skończy rozmawiać.

Gottlieb podszedł do drewnianej skrzyni, przesunął ją, uklęknął i podniósł luźną klepkę podłogi, spod której wyjął zamkniętą kasetkę, podobną do znalezionej przez Berga i jego kolegów w pokoju Marleny Druer. Otworzył ją i pokazał Bergowi, co jest w środku.

— To są całe moje oszczędności. Niech się pan zlituje nad moimi córeczkami. Niech pan zostawi mi tyle, żeby starczyło na wywiezienie ich na Węgry. — W oczach miał połączenie patosu i zaciekłości.

Berg zmierzył go wzrokiem, a potem zajrzał do kasetki. Była tam gotówka, mnóstwo gotówki. Ze swojej policyjnej pensji Berg nie zaoszczędziłby tyle przez dwadzieścia lat. Jak oni to robią? Skąd ci biedni Żydzi biorą tyle pieniędzy?

— Całe życie pracowałem — powiedział Gottlieb, jakby czytał mu w myślach. — Moja żona też. Sześć dni w tygodniu, dwadzieścia godzin na dobę, tylko w szabat odpoczywamy. Przysięgam, że to uczciwie zarobione pieniądze.

— Wierzę panu.

Berg zakołysał się na nogach, zdejmując ciężar z uszkodzonego biodra.

—Niech pan weźmie... — Podsunął kasetkę Bergowi.

—Dlaczego chce pan wyjechać, Herr Gottlieb? — spytał Berg, delikatnie odsuwając od siebie kasetkę. — Jeśli z powodu klimatu politycznego, to sądzę, że sytuacja się poprawi.

Gottlieb zniżył głos do szeptu.

—Mieszkam w Monachium od urodzenia. Jestem kombatantem. Biłem się za ten kraj. Ale teraz to jest już inne miasto. Przestało być bezpieczne dla żydowskiego rodu. Austriak ujawnił się ze swoimi przekonaniem.

—Monachium nie kończy się na Hitlerze — próbował go uspokoić Berg.

—Pan nie widzi tego, co ja widzę. Pan nie mieszka tu, gdzie ja mieszkam, *Herr Inspektor*. Codziennie widzę bandy jego ludzi. Brudne, pijane wyrostki. Terroryzują starszych ludzi. Wywracają ich, a potem się śmieją. Wyrwują im laski i biją ich nimi. Widzę, jak napastują kobiety, obmacują je i szczypią—robiliby gorsze rzeczy, gdyby nikt nie widział. To się dzieje w jasny dzień, na oczach wszystkich, *Herr Inspektor*. Nie mają za grosz wstydu. Ba, oni są dumni z tego, co robią. Rabują, wybijają kamieniami okna, straszą dzieci. Jakoś to znosiłem, kiedy miałem u swego boku żonę. To była twarda kobieta, która umiała wychowywać dzieci w tych ciężkich czasach. — Łzy popłynęły mu po policzkach. — Ale teraz jej nie ma. Nie mogę pozwolić, żeby moje córeczki dorastały w takich warunkach, żeby żyły w strachu. — Pot spływał mu po twarzy. — Jeśli następna kobieta zostanie zamordowana, obwinia o to Żydów. Obwinia o to mnie. Powiedzą, że chciałem zemsty, że chciałem odwetu, że chciałem krwi. Tak, chcę tego wszystkiego. Tak bardzo tego chcę, że na samą myśl zaczynam dygotać. Ale jest wbrew mojej naturze kogokolwiek krzywdzić. A już na pewno nie umiałbym nikogo zabić. Ale jakie to będzie miało dla nich znaczenie? Bojówkarze włamią się do mojego mieszkania i zabiją mnie. A moje córeczki... Nie chcę nawet o tym myśleć. — Znowu zaproponował Bergowi pieniądze. — Pomogę panu, ale pan musi pomóc mnie.

Berg spojrzał na metalową kasetkę, a potem na bladego Gottlieba, w którego oczach pałał zwierzęcy strach. Kiedyś Berg przypuszczalnie uznałby Gottlieba za obłąkanego, ale ostatnie kilka tygodni nie pozostało

bez wpływu na jego spojrzenie. Skoro brunatne koszule mogły bezkarnie pobić funkcjonariusza policji, to co by zrobili bezbronnemu Żydowi?

— Niech pan wyśle dzieci w drogę, ale pan, Herr Gottlieb, musi zostać. Jeśli pan spróbuje wyjechać, zostanie pan aresztowany i oskarżony o zabicie żony. Zapewniam pana, że ludzi na górze nie obchodzi, czy pan jest winny, zależy im tylko na wynikach. Nie chciałbym wyjść na idiotę, kiedy już spełnię pańskie życzenie.

Gottlieb zamrugał, żeby powstrzymać łzy.

—Dziękuję panu. Wiem, że musi pan wykonywać rozkazy zwierzchników, ale widzę, że jest pan dobrym człowiekiem.

—Tak, tak...

—Naprawdę, widzę to po panu. — Wyjął z kasetki garść banknotów i próbował je wręczyć Bergowi, który zachował się tak, jakby nie widział wyciągniętej ręki.

—Nie sprawia pan wrażenia zaskoczonego, że mógłby pan zostać oskarżony o morderstwo.

—Wiem, co się stało z tamtym Żydem, Antonem Grossem. On też nie miał żadnego powodu, żeby zabijać swoją żonę. I był bogatym człowiekiem. Skoro bogacz się nie uratował, to co dopiero mówić o mnie?

Berg położył mu dłoń na ramieniu.

—Herr Gottlieb, wiem, że stracił pan żonę, i wiem, że się pan boi, ale sądzę, że wie pan więcej, niż pan mówi. Teraz jest pora, żeby podzielić się ze mną tą wiedzą. Jeśli pan wie, co się stało z pana żoną, musi mi pan to powiedzieć. Zamordowała ją banda tych zbirów? Dlatego się pan boi? Boi się pan zemsty?

—Tak, oczywiście, że boję się zemsty, ale naprawdę nie wiem, co się stało, *Herr Inspektor*. Daję słowo.

—Ale ma pan swoje podejrzenia? — Gottlieb rozejrzał się dokoła, jakby się bał, że ktoś siedzi schowany w szafie. — A może to nie były gangi, tylko zwykła sprawa niezapłaconych pieniędzy? — W mokrych oczach Gottlieba mignęła zgroza. Berg wiedział, że trafił w jakiś istotny punkt. — Wiem, że Herr Schoen-nacht nie lubi Żydów.

—To zły człowiek — szepnął Gottlieb. — Regina odwiedzała madame Schoennacht tylko pod nieobecność jej męża. Błagałem Reginę, żeby przestała pracować dla tej kobiety. Jej mąż jest zagorzałym sympatykiem naziistów. Nienawidzi Żydów tak samo jak Austriak. Ale madame sporo jej płaciła. W końcu zabroniłem jej pracować dla tej pani i Regina mi uległa. Powiedziała, że to na pewno będzie jej ostatnia wizyta, bo...

—Proszę mówić dalej. Dlaczego to miała być ostatnia wizyta?

—Regina powiedziała mi... — Dyszał ciężko. — Kiedyś zobaczyła go przy wychodzeniu z mieszkania madame Schoennacht. Patrzył na nią bardzo dziwnym wzrokiem. Z nienawiścią, tak, ale tym się zbytnio nie przejęła. To dla nas chleb powszedni. W jego wzroku było coś jeszcze. — Zaczzerwienił się z wściekłości. — Patrzył na nią tak, jak mężczyzna nie powinien patrzeć na mężatkę... Moja żona była bardzo piękna, *Herr Inspektor*.

—Rozumiem, co pan do mnie mówi.

—Nie chciała już tam wracać, ale madame była jej winna pieniądze. Powiedziałem jej, żeby zapomniała o tym długu, ale Regina nie chciała o tym słyszeć. Zaproponowałem, że ja odbiorę pieniądze, ale ona się uparła, że zrobi to osobiście. Bała się, że jak przyjdę po pieniądze i Herr Schoennacht mnie zobaczy, to... zrobi mi coś złego. — Oczy znowu mi zwilgotniały i zawstydzony odwrócił głowę. — A teraz Regina nie żyje!

Zaniósł się szlochem. Ramiona mu dygotały. Jak można pocieszyć człowieka, którego spotkała taka straszna tragedia?

—Pańska żona była piękną kobietą i świetną krawcową — powiedział Berg, patrząc w sufit. — Suknia, którą uszyła dla madame Schoennacht, była olśniewająca, Herr Gottlieb. A raczej powinienem powiedzieć, że pańska żona wyglądała w niej powalające. Taka piękna niebieska suknia balowa.

—Nie rozumiem — odparł zaskoczony Gottlieb.

—Morderca musiał dopaść pańską żonę w chwili, kiedy zmierzała do domu Schoennachtów, bo znaleziono ją w niebieskiej sukni madame Schoennacht.

Gottlieb stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

—Dlaczego moja żona, prosta kobieta, miałaby chodzić po mieście w balowej sukni?

—Powiedziano mi, że chciała ją dostarczyć madame Schoennacht.

—Niemożliwe. Regina skończyła tę suknię co najmniej miesiąc temu i już dawno jej nie miała. Właśnie za nią madame Schoennacht była jej winna pieniądze.

Nagle Berg uświadomił sobie, że to rzeczywiście absurdalne: czemu Regina miałaby paradować po mieście w balowej sukni? Teraz on umilkł na dłuższy czas.

—Madame Schoennacht twierdziła, że Frau Gottlieb przyszła w sukni, żeby jej pokazać, jak wygląda ona na kimś — odezwał się w końcu.

—To po prostu nieprawda — odrzekł skonsternowany Gottlieb. — Jak panu mówiłem, dostarczyła ją miesiąc temu. Na pewno by jej nie włożyła na drogę. Przecież mogłaby się podrzeć albo pobrudzić. Nie, *Herr Inspektor*, Regina poszła tam po zapłatę. — Oczy mu pociemniały, a czoło zmarszczyła wściekłość. — Morderca! Ona też. Łatwiej im było ją zabić i ubrać w tę przeklętą suknię, niż zapłacić!

Hipoteza ta wydawała się prawdopodobna.

—Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego pańska żona miałaby włożyć niebieską suknię balową madame Schoennacht?

—Nie. Ale dlaczego pan mnie o to pyta, a nie ich?

—Zamierzam to zrobić, Herr Gottlieb, ale jeśli to oni ją zamordowali — a nie mówię, że tak było — to nie przyznają się, że mieli tę suknię już miesiąc temu. Czy pańska żona dostała od madame Schoennacht jakieś pokwitowanie?

—Nie wiem. Muszę sprawdzić. To chwilę potrwa, bo... — Rozejrzał się po pokoju. — Spory tu bałagan. *Bitte, Herr Inspektor*, niech mi pan pozwoli wysłać teraz moje córeczki w drogę. Później przejrzę papiery mojej żony, przyrzekam panu.

— Im szybciej będziemy mieli dowód potwierdzający pańską hipotezę, na przykład rachunek, tym szybciej rozwikłamy za gadkę tej zbrodni, Herr Gottlieb.

—Moja żona nie żyje, *Herr Inspektor*, ale moje córeczk tak. Znalezienie pokwitowania zajmie trochę czasu. Błagam pa na... Wyekspediuję je, a potem będę wyłącznie do pańskiej dys pozycji.

—Schoennacht wyjeżdża dziś wieczorem z miasta. Wolał bym mieć to pokwitowanie wcześniej. Chyba pan rozumie.

—*Mein Herr*, gdyby nie chodziło o moje córeczki, to natych miast bym panu pomógł. Błagam pana, *Herr Inspektor*, niech m pan da jeden dzień na wywiezienie ich z miasta. Chcę z tyn zdążyć przed wieczem.

Gottlieb ponownie zaproponował mu pieniądze. Tym razen Berg je przyjął.

TLR

Rozdział trzydziesty trzeci

Po długim dniu pracy Berg postanowił pójść do domu pieszo, mając nadzieję, że spokojny spacer przejaśni mu w głowie. Wybrał trasę przez Viktualienmarkt. Większość kramów była zamknięta na noc, ale w niektórych jeszcze handlowano. Beton zlano wodą, która miejscami pozamarzała, ale to powierzchowne mycie nie usunęło brzydkich zapachów. Wiatr unosił ostrą woń surowego mięsa, resztek ryb i przejrziałych warzyw. O tej porze roku, przy niższych temperaturach, zapachy dało się wytrzymać, jednak w lecie nie tylko wszystko szybciej się psuło, ale również zlatywały się muchy, toteż każdy rozsądny człowiek robił zakupy o wczesnej porze dnia. Berg wszedł do piekarni, która właśnie szykowała się do zamknięcia, i po obniżonej cenie kupił pół tuzina kajzerek. Pogryzając jedną z nich, pokuśtykał przez monachijską starówkę, uważając, żeby się nie potknąć na kocich łbach. Z wnętrza Hofbrauhaus dobiegło go basowe umpa-umpa na tubie. Do domu szedł czterdzieści minut i kiedy dotarł na czwarte piętro, kolacja była prawie skończona. Britta powiedziała, że nie mogli już dłużej czekać.

— Nie martw się. — Berg włożył bułki do koszyka, który postawił na stole. — Wystarczy trochę masła i dżemu plus kubek herbaty. Nie jestem głodny.

Britta obrzuciła męża spojrzeniem i doszła do wniosku, że jego zmęczenie bierze się z przepracowania, a nie z niewierności.

— Idźcie do swojego pokoju. — Berg pytającym wzrokiem spojrzał na swoją żonę, która nerwowo splatała palce. — Muszę zamienić z waszym ojcem parę słów.

— Ale ja jeszcze jem! — zaprotestowała Monika.

— To nie potrwa długo. Idźcie!

Dzieci wciąż się wahały, więc do akcji wkroczył Berg:

— Proszę słuchać matki!

Joachim i Monika wstali i powłócząc nogami, wyszli z pokoju, wyraźnie niezadowoleni, że ojciec i matka mają przed nimi tajemnice. Britta zaczęła, aż zamkną się za nimi drzwi.

—Chcesz zrobić ze mnie wdowę, a z dzieci sieroty?

—Nic mi nie jest.

— Wyglądasz strasznie! — szepnęła złowrogo. — Jeśli nie zrobisz sobie przerwy, by powrócić do sił, to zabiorę dzieci do moich rodziców. Nie mam wpływu na to, co robisz, ale nie muszę patrzeć, jak się niszczysz. Chodzisz po domu jak upiór. Dzieci się boją.

Miała rację. Boże, jak potwornie wszystko go bolało, ale co mógł na to poradzić?

—Już zrobiłem sobie przerwę, Britta — powiedział ściszone głosem. — Dłuższą, niż mi przysługuje.

—Nic mnie to nie obchodzi. Poradzimy sobie bez tygodniowej pensji. Musisz wrócić do zdrowia.

—Sytuacja jest wyjątkowa. Jutro odbywa się duży wiec na Königsplatz. Naziści łączą siły z BWP. Po Monachium grasuje zabójca. Volker domaga się wyników śledztwa.

—To niech sam je uzyska. Sukinsyn! To nie jego pobili na miazgę.

Rzuciła na stół szmatę, wymaszerowała do kuchni i napuściła do zlewu ciepłej wody.

Berg westchnął głośno. Wiedział, że skoro jego żona przeklina, to musi być naprawdę wściekła. Wstał i podszedł do Britty. Włosy miała związane z tyłu, a twarz zaróżowioną od ciepła pary wodnej. Na prostą niebieską sukienkę do pracy włożyła długi biały fartuch. Figurę wciąż miała młodą, pośladki jędrne, biodra zaokrąglone. Objął ją w talii i pocałował w szyję, kiedy skrobała jakiś garnek.

—Uciekaj! — Odganiała się od niego.

—Nie bądź wredna.

Wrzuciła garnek do pienistej wody i odwróciła się.

— Mam dosyć tego mieszkania, Axel. Mam dosyć tego miasta, a przede wszystkim mam dosyć twojej pracy!

—Byłaś bardzo cierpliwa, Britta. Niedługo złapiemy tego człowieka i będzie lepiej.

—Nie będzie lepiej, dopóki zostaniesz w *Mordkommission*! Dlaczego nie mogłeś dalej pracować jako zwykły policjant z regularnymi godzinami pracy?

—Bo jałowość i monotonia mnie zabijały. Przez cały dzień kierować ruchem, przez całą noc aresztować pijaków... Teraz przynajmniej używam mózgu. Jeśli to w ogóle można nazwać mózgiem.

Britta uśmiechnęła się, chociaż była zła.

—Twój mózg działa całkiem dobrze, a nawet za dobrze. Jak ktoś jest za bardzo ciekawski i wtyka nos w cudze sprawy, może mieć problemy. Ludzie tego nie lubią.

—Nikt nie chce mi zrobić nic złego. Jestem za mało ważny.

—Absolutnie w to nie wierzę. — Britta westchnęła. — Wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale mojemu tacie lat nie ubywa. Przydałby mu się ktoś z głową na karku.

Alfons Neugebauer, teść Berga, był właścicielem niewielkiej drukarni kawałek drogi na północ od Berlina. Trzydzieści lat ciężkiej pracy przyniosło mu spory majątek, jak również nieusuwalnie poczerniałe dłonie i płuca nasiąknięte trucizną.

—Już to przerabialiśmy, kochanie. — Potrząsnął głową. — To niemożliwe.

—Czemu jesteś taki uparty?

—Nie mogę pracować u twojego ojca.

—Nie możesz czy nie chcesz?

Usta miała zaciśnięte, a oczy domagały się odpowiedzi. Puścił ją.

— Nawet gdybym mógł pracować z twoim ojcem, Britta, to z twoimi braćmi naprawdę nie da rady.

Nie dodał: „Bo są leniwi i nie lubią mnie, ponieważ moja pracowitość rzuca na nich złe światło w oczach ich ojca”. Ona jednak zrozumiała, że taki jest podtekst, i złagodziła ton.

—Tata cię uwielbia, Axel. Traktuje cię jak swojego syna bardziej niż moich braci. Mógłby ci pomóc założyć jakiś interes w Monachium.

—I przez resztę życia drukowałbym ulotki informujące o następnym wiecu? Umarłbym z nudów.

— Twoim rozwiązaniem jest zapracować się na śmierć? Nie mając na to zadowolającej odpowiedzi, odparł:

—Przyrzekam ci, że jak to się skończy, poszukam sobie innej pracy.

—Poprzednim razem też tak mówiłeś.

—I szukałem pracy, Britta. Gospodarka przechodzi kryzys i ciężko o zajęcie. Już nie mówiąc o tym, że mam trzydzieści siedem lat i żadnych innych kwalifikacji. Co chcesz, żebym robił?

—Już ci to mówiłam. Oboje wiemy, że nie ma znaczenia, co ja chcę. I że tobie bardziej zależy na tym, żeby było ciekawie, niż na własnym zdrowiu i losie swojej rodziny.

—To nieuczciwe.

—Może i nieuczciwe, ale prawdziwe. — Britta wcisnęła mu do ręki gąbkę. — Ty posprzątaj. Ja jestem zmęczona!

I poszła sobie. Aż nim szarpnęło, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi sypialni. Bardzo długo czekał bez ruchu, ale słyszał tylko miarowe tykanie zegara. W maleńkiej kuchni było gorąco i duszno od pary wodnej i twarz Berga oblała się potem. Nie mając nic innego do roboty, zaczął sprzątać ze stołu. Po chwili zjawił się Joachim. Bez słowa zaczął mu pomagać.

—Zostaw talerz Moniki — powiedział Berg. — Jeszcze nie skończyła jeść.

—Wszystko w porządku, tato?

—Dalej rysujesz krwawiących Żydów? Jestem pewien, że będzie ich dużo po jutrzejszym wiecu. — Joachim skrzywił się na te ostre słowa. Berg wypuścił powietrze, a potem wziął głęboki wdech i pocałował syna w czubek głowy. — Jestem dzisiaj trochę rozdrażniony.

—Dlaczego ty i mama tak często się kłócicie?

„Bo tak robią małżeństwa!”, odpowiedział Joachimowi w duchu.

—Oboje jesteśmy zmęczeni, Joachim. Ciężko pracujemy. Przez to jesteśmy rozdrażnieni.

—Dlaczego musisz tak ciężko pracować? Z powodu tego człowieka, co zabija kobiety?

Berg nie bardzo wiedział, jak na to odpowiedzieć.

— Przeczytałeś o tym w gazetach?

— Nie musiałem czytać gazet. Wszyscy o tym mówią. Mama się boi.

Berg ustawił talerze w stertę, usiłując zdobyć się na optymistyczny ton.

— Policja wkrótce go złapie, synu. — Włożył talerze do zlewu. — Nie ucieknie.

— Herr Hitler mówi, że to Żydzi mordują kobiety.

— Herr Hitler to nadęty bufon.

— To prawda — uśmiechnął się Joachim — ale może w tym, co mówi, coś jest.

— Nie wolno ci wierzyć w nic z tego, co mówią naziści. To demagodzy i kłamcy. A jeśli nie kłamią, to manipulują. Hitler to człowiek ciężko nierównoważony.

— Może dlatego, że był ranny na wojnie.

— O to też pewnie obwinia Żydów, co?

— Mówi, że w wojsku byli zdrajcy.

— Od kiedy tak dużo wiesz o Hitlerze? — zdziwił się Berg. Chłopiec odwrócił wzrok.

— Mamy w szkole gościnnych wykładowców.

— A, tak. Tych, co pytają, które gazety czytają twoi rodzice.

— Przychodzą też socjaldemokraci — bronił się chłopak.

— I co mówisz nazistom, kiedy pytają, jakie gazety czytają twoi rodzice?

— Mówię im, że czytamy wszystko, że mój ojciec ma otwartą głowę.

Berg skinął głową.

— To dobra odpowiedź. I jak reagują naziści?

— Mówią, że jak głowa jest za bardzo otwarta, to mózg może wypaść.

Berg roześmiał się mimo woli.

— Sprytnie to sobie wymyślili. Joachim zachował powagę.

— Martwi mnie, że naziści szydzą z każdego, kto się z nimi nie zgadza. Czasem się zgłaszam. — Urwał. — Ale czasem siedzę cicho.

„Taki wielki ciężar dla takiego małego chłopca. W jakich my czasach żyjemy!”, pomyślał i uśmiechnął się serdecznie.

—Spryt polega między innymi na tym, Joachimie, żeby wiedzieć, kiedy trzymać język za zębami.

—Ale być sprytnym to nie to samo, co postępować zgodnie z zasadami.

—Wszyscy czasem idziemy na kompromis. — Ty nie.

—Oczywiście, że tak. Łatwiej jest mi udzielać ci wykładów z moralności, niż stosować się do własnych rad.

—W ogóle w to nie wierzę — powiedział Joachim z takim podziwem w głosie, że oczy Berga zwilgotniały.

—Dziękuję ci, Joachimie. Następnym razem, jak stanę przed jakimś trudnym wyborem, będę pamiętał, że we mnie wierzysz. —Wziął do ręki gąbkę i dodał zniżonym głosem: — I nie przejmuj się tym szaleńcem. Jesteśmy bardzo bliscy aresztowania go —skłamał. — Ale nie mów nikomu, bo to tajemnica.

—Przecież on na pewno wie, że go ścigacie, tato. — Berg wzruszył ramionami. — Skąd wiesz, że ci czegoś nie zrobi, zanim go aresztujesz?

—Bo... — Pytanie wprawilo Berga w osłupienie. — Bo to tak nie działa.

—Czemu nie?

—Bo... — Przypadł do brudnego talerza z takim zapamiętaniem, jakby chciał zmyć swój gniew. — Bo tak.

—To nie jest zbyt dobra odpowiedź.

—Będziesz musiał mi zaufać, Joachimie. — Wręczył synowi ścierkę. — Ja zmywam, ty wycierasz.

*

Jakoś zdołał kochać się z Brittą. Zdumiało go to. Nie wytrzymałość organizmu, nie fakt, że mimo bólu i ran osiągnął erekcję i szczytowanie — zdumiało go to, że Britta zawsze z ochotą mu się oddawała, nawet kiedy była na niego zła.

Nigdy nie mieli problemów, na które często skarżą się mężczyźni. Britta była w łóżku przyjemna, ciepła i entuzjastyczna — znacznie lepsza ko-

chanka niż Margot. Zdradził ją nie dlatego, że nie budziła w nim pożądania. Zdradził ją dlatego, że w jej reprimendach zawarty był ogromny ładunek goryczy. Zdradził ją dlatego, że z jej oczu biła dezaprobata. Zdradził ją dlatego, że elastyczność jego żony moralnie przewyższała jego rygorystyczny upór. Zdradził ją dlatego, że seks z Margot nie pociągał za sobą żadnych zobowiązań. Nie miało jednak znaczenia, dlaczego ją zdradził, tylko że to zrobił i że niewierność wzbudziła w nim poczucie własnej małości. Potem dorobił sobie usprawiedliwienie, że wszyscy mężczyźni zdradzają żony. Może zdradził ją dlatego, że w naturze mężczyzny leży oszukiwać, kłamać, kręcić — a potem błagać o przebaczenie w zimnej rzeczywistości porannego światła. A przecież ona do niego przychodziła z chciwymi ustami i jędrnym ciałem. Nawet jeśli Britta kochała się z nim z przekory, to najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. I zawsze była potem w lepszym nastroju, kiedy wzeszło słońce, kiedy pyliste snopy światła przebijały się przez zasłony. Po wyjściu dzieci do szkoły zazwyczaj jedli razem śniadanie — bułki z masłem i dżemem, a do tego kawa. Czytali gazety i jedli. Nie było rozmów. Cisza jest lepsza od pełnych pretensji słów.

*

Monachijskiej policji większość przedpołudnia minęła na naradach, którym przewodniczył RR Frank z *Abteilung**⁵² VI. Głównym tematem było *Versammlungswesen* — ochrona zgromadzenia — podczas zbliżającego się wiecu, a konkretnie: jak zapanować nad maszerującymi, ilu wysłać ludzi i jak pokierować ruchem wokół Königsplatz.

Berg siedział wyprężony jak struna wraz z innymi wyższymi funkcjonariuszami poszczególnych pionów, w pogrążonym w półmroku pokoju, który przy szarym niebie oświetlała tylko jedna słaba lampa elektryczna. Przyszedł RR Peter Biedermann z *Abteilung* III, zajmującego się bezpieczeństwem publicznym. On sam specjalizował się w *Schubwesen* — czarnym rynku — na którym rozkwitał ostatnio nielegalny handel bronią. Przyszedł Manfred Koppl z *Abteilung* IV, jednostek specjalnych, i Wilhelm

⁵² * *Abteilung* (niem.) — wydział.

Raetz z *Abteilung* VI, policji politycznej. Przyszło też kilka osób, których Berg nie znał, to jednak nie miało znaczenia. To nie było spotkanie towarzyskie, tylko odprawa służbowa — przebiegająca w chłodnej i napiętej atmosferze.

Volker rozrysował ulice zamknięte dla ruchu, punkty kontrolne i trasy awaryjne. Gdyby ludzie zachowywali się spokojnie i po wiecu rozeszli się do domów, największym problemem byłoby uprzątnięcie śmieci, przede wszystkim ulotek. W mało prawdopodobnym przypadku powstania pod kierunkiem nazistów policja byłaby przygotowana.

Po wystąpieniu Volkera nastąpiła dyskusja — kanonada pytań, na które padały sztapowe odpowiedzi. Berg czuł, że jego myśli odpływają.

Dlaczego Julia Schoennacht zeznała, że Regina Gottlieb miała jej dostarczyć suknię, skoro mąż Reginy stanowczo utrzymywał, że Schoennachtowie nabyli suknię miesiąc wcześniej? Czy Julia jest taka bezwstydną, żeby nosić suknię, za którą nie zapłaciła? Czy rodzina przeżywa kłopoty finansowe i nie bardzo było z czego zapłacić, czy też Rolf nie chciał płacić Żydówce i zażądał od Reginy, żeby wzięła suknię z powrotem?

„Ro jak Rolf.

Może Regina odmówiła odebrania sukni. Wywiązała się kłótnia i doszło do wypadku, w wyniku którego Regina poniosła śmierć. Potem Rolf włożył na nią suknię i zostawił ją w parku, chcąc pokazać, że strój nie znajdował się u jego żony. A rozmiar sukni? Czy mogła pasować na Reginę, jeśli była uszyta dla Julii? Jeśli przyjąć, że Rolf zabił Gottlieb z konkretnych pobudek, nie chciał jej zapłacić, to nasuwa się wniosek, że zamordowanie Reginy Gottlieb było niezależne od zamordowania Anny Gross i Marleny Druer. A przecież wszystkie trzy zostały uduszone. Co te trzy kobiety mają ze sobą wspólnego? Dwie z nich być może były komunistkami. Nic nie wskazuje na to, żeby komunistką była Regina, poza tym że wielu komunistów wywodzi się spośród Żydów. A nie ulega wątpliwości, że Rolf Schoennacht nienawidzi zarówno komunistów, jak i Żydów. Bergowi nietrudno było sobie wyobrazić wielkie ręce Rolfa zaciskające łańcuch na szyi wszystkich trzech kobiet.

Czy nienawiść do poglądów politycznych innej osoby może popchnąć zdrowego na umyśle człowieka do morderstwa? Hrabia Arco-Valley nienawidził Żydów i nienawidził komunistów. Jego fanatyczna wściekłość przerodziła się w obłęd, który doprowadził go do zamachu na Kurta Eisnera, Żyda i komunistę.

Ale w tym okresie w Monachium panował straszny powojenny zamęt. Wojna była przegrana, życie stanęło na głowie, monarchia została obalona, a Rosja tylko czekała odpowiedniej chwili, żeby najechać na Bawarię i przyłączyć ją do Związku Radzieckiego. W zaburzonym umyśle hrabiego Arco-Valley Kurt Eisner symbolizował wszystko, co było złe w trawionym chaosem Monachium. Zamach na Eisnera na chwilę zdławił nadzieje na czerwone Monachium.

Czy morderstwa tych trzech kobiet zmieniają polityczne oblicze miasta? Dla nazistów z pewnością był to doskonały pretekst do podjudzania tłumu. Hitler powiązał morderstwa z „degeneratami”. Można było przyjąć za pewnik, że tego wieczoru zrobi to ponownie. Nieważne, że Regina Gottlieb sama była Żydówką: Hitler nigdy nie przejmował się faktami. Przyciśnięty do muru, Austriak po prostu kłamał.

Czyżby wynajął zabójcę do wykonania brudnej roboty? Czy Schoennacht jest hrabią Arco-Valley bieżącej dekady? Może Anna Gross i Marlena Druer finansowały komunistów i Schoennacht w ten sposób zatamował strumień pieniędzy. Ale w takim razie dlaczego zamordował Reginę Gottlieb, nawet jeżeli potajemnie obracała się w wywrotowych kręgach? Schoennacht musiał liczyć się z tym, że on i jego żona zostaną przesłuchani na okoliczność śmierci Gottlieb. Po co ściągać na siebie taką uwagę? Jeśli Schoennacht jest sprawcą, to czy naprawdę sądził, że ujdzie mu to bezkarnie?

Za dużo luk w tej teorii. Berg potrzebował dodatkowych informacji. Zlecił Mullerowi i Storfowi, żeby śledzili Schoennach-ta po drodze z domu na dworzec kolejowy. Po wyjeździe marszanda mieli przesłuchać jego kamerdynera. Berg nie wiedział, czy im się to udało. Całe przedpołudnie przesiadywał na naradach poświęconych nudnej sprawie kontroli zgroma-

dzenia. Przez trzy godziny dyskutowano o trasach przemarszu, zmianie organizacji ruchu i punktach kontrolnych.

Berg miał świadomość, że są to ważne sprawy. Gdyby policja się nie przygotowała, w mieście mógłby zapanować chaos. Ale po Monachium grasował morderca. W Niemczech nadrzędna jest jednak zasada *Ordnung muss sein*^{*53}, toteż z łapaniem mordercy trzeba było poczekać.

TLR

⁵³ * *Ordnung muss sein* (niem.) — Porządek musi być.

Rozdział trzydziesty czwarty

Góra kiszonej kapusty zasłaniała gorące pastrami pod spodem. Kiedy Müller podniósł widelec do ust, część kapusty spadła z powrotem na talerz. Przeżuwał bez entuzjazmu, po czym powiedział:

—W tym tygodniu zabieram Karen na wieś. — Obliznął górną wargę. — Ona ma już dosyć tego miasta.

—Po wiecu wszyscy będą mieli dosyć tego miasta — odparł Berg.

—Jesteśmy przygotowani? — zapytał Storf.

—Jeśli gadanie przełoży się na działania, to nie będzie problemów. — Berg pociągnął łyk piwa. — Zadania zostaną rozdzielone o wpół do trzeciej. *Oberbürgermeister*⁵⁴ chce, żeby o trzeciej wszyscy byli na swoich stanowiskach w czystych mundurach. Początek wiecu jest przewidziany na czwartą.

—Jakie to są stanowiska? — dociekał Storf.

—Organizatorzy wiecu chcą, żeby tłum był ustawiony w półkole z jednym głównym przejściem przez środek. Naziści pójdą pierwsi. Hitler i SA pomaszerują głównym przejściem. Policja będzie ustawiona w przejściach, co kilka metrów jeden funkcjonariusz, z największym zagęszczeniem w pobliżu trybuny. *Kradstaffel*⁵⁵ znajdą się na obrzeżach. Będzie też kordon policjantów za Hitlerem, żeby nikt nie zakradł się od tyłu.

—A twoje stanowisko, Axel?

—Mnie przydzielono do *Kradstaffel*. Z powodu moich obrażeń nie mogę długo stać.

—A Storf i ja? — zapytał Müller.

—Wy stoicie przed środkiem trybuny. — Berg zareagował na ich jęk obronnym gestem. — To była decyzja Volkera, nie moja. Ale skoro już

⁵⁴ * *Oberbürgermeister* (niem.) — burmistrz.

⁵⁵ * *Kradstaffel* (niem.) — tu: eskadra zmotoryzowana.

będziecie na pierwszej linii, miejcie uszy i oczy szeroko otwarte. Może usłyszycie coś, co ma związek z morderstwami. Obserwujcie, kto się pojawi w bezpośrednim otoczeniu Hitlera. Na poprzednim wiecu był Kurt Haaf. Jestem ciekaw, jakie nowe twarze zobaczymy tym razem.

—Na pewno nie Schoennachta, tyle mogę ci powiedzieć — stwierdził Storf. — Wczoraj wieczorem pojechał prosto na dworzec, żeby zdażyć na nocny pociąg do Paryża.

—Zaraz po odjeździe pociągu wróciliśmy do domu — relacjonował Müller — w nadziei, że uda nam się porozmawiać z madame Schoennacht na temat sukni.

—Niestety, madame była niedysponowana. Nie odeszliśmy jednak z pustymi rękami. — Storf zaczął przeglądać jakieś notatki. — Ach,y"a. Helmut Dittmar. Kamerdyner Schoennachta.

—Nie pojechał z nim?

—Ano nie — odparł Müller. — Powiedział, że jest zajęty i nie może z nami rozmawiać, ale naciskaliśmy i umówił się z nami pod Chińską Wieżą o wpół do pierwszej. — Müller spojrzął na zegarek. — Mamy pół godziny.

—Brawo, chłopaki — pochwalił ich Berg. — Jestem zdumiony, że zgodził się porozmawiać z policją.

—Trzeba go było trochę przekonywać — zakomunikował Müller z pełnymi ustami.

—Ale nie za długo — powiedział Storf. — Jako służący Helmut nie nawykł kwestionować poleceń władzy.

*

Ponieważ w Englischer Garten znaleziono ciała dwóch zamordowanych kobiet — a zwłoki trzeciej opodal — w zielonej oazie nie było prawie nikogo. Kiedy Berg zwrócił na to uwagę kolegów, Müller wzruszył ramionami.

— I tak jest lepiej niż dwa tygodnie temu — stwierdził Storf. — Wtedy było tu cicho jak na cmentarzu.

Berg pomasaował ramiona i spojrzął na zegarek: Helmut Dittmar był już spóźniony o trzy minuty. Berg i Müller stali w cieniu Chińskiej Wieży, pięciopiętrowej pagody, która górowała nad parkowym ogródkiem piwnym. W ciepłe letnie miesiące było to sielankowe miejsce, gdzie monachijczycy odpoczywali i organizowali swoje życie towarzyskie. Berg podejrzewał, że architektura tej budowli miała stanowić egzotyczny akcent w krajobrazie bawarskiej stolicy, ale teraz, pod przygnębiającym ołowianym niebem, wśród zwiędłej trawy i ogołoconych z liści drzew, budynek przypominał szkielet tortu weselnego. Ogródek piwny jeszcze przez kilka miesięcy miał pozostać zamknięty, rzędy zielonych stołów i krzeseł stały puste i smutne.

— Gdzie on jest?

— Przyjdzie, przyjdzie. — Müller wyjął blaszaną papierośnicę, po czym przypalił jednego papierosa dla Berga i jednego dla siebie. — O, już jest.

Müller pokazał na niskiego, korpulentnego mężczyznę w czarnym płaszczu, który zbliżał się szybkim krokiem. Z tej odległości wyglądał jak podskakująca piłka. Potem jego krok się wydłużył, ale krótkie nogi i tak ledwo wystawały spod płaszcza. Czarny kapelusz był nasunięty na okrągłą twarz, bezbarwną i pozbawioną wyrazu, jeśli nie liczyć brązowych krzaczastych wąsów zasłaniających górną wargę i jasnoróżowego nosa.

— Inspektorze, oto Helmut Dittmar, kamerdyner Schoenna-chta — przedstawił go Storf, kiedy służący stanął przed nimi.

— *Grüss Gott.*

Dittmar strzelił obcasami. Na podstawie śladów siwizny na wąsach i pożółkłych zębów Berg ocenił go na jakieś czterdzieści pięć lat.

— Inspektor Axel Berg. Dziękuję, że zgodził się pan poświęcić nam trochę czasu.

— Herr Berg jest głównym inspektorem w *Mordkommission* — wyjaśnił Storf.

— *Mordkommission?* — przeraził się Dittmar. — A o co chodzi?

— Zgodnie z tradycją to my zadajemy pytania, Herr Dittmar. — Berg uśmiechnął się, żeby wyszło to mniej oficjalnie. — I nie mamy ich wiele. Papierosa? — Kamerdyner energicznie pokręcił głową. — Przykro mi, że muszę panu zawracać głowę takimi błahymi sprawami, ale chciałbym tylko wyjaśnić kilka szczegółów. — Berg znowu zaciągnął się nikotyną i powoli wypuścił dym. — Herr Schoennacht zasugerował przed wyjazdem, żebyśmy z panem porozmawiali.

—Ze mną? — zdziwił się kamerdyner.

—Pewnie dlatego, że zna pan jego obyczaje.

— Herr Schoennacht regularnie chodzi do klubu, prawda? — zaczął Storf.

Proste pytanie i Dittmar nie miał problemów z odpowiedzią.

— Chodzi do kilku klubów.

—A, pewnie stąd się wzięło całe zamieszanie — odparł Berg. — Jakie to kluby?

—Wiem, że Herr Schoennacht jest członkiem Rycerzy Zagranicznych Wojen.

—Jak często chodzi do tej *Verein* ?

—O ile mi wiadomo, spotykają się raz w miesiącu.

—Gdzie?

— O ile mi wiadomo, panowie spotykają się u poszczególnych członków.

— Nie ma pan pewności? — zapytał Müller.

— Herr Schoennacht nie dzieli się ze mną tego rodzaju informacjami — nastroszył się Dittmar. — Odkąd jestem u niego zatrudniony, nie zorganizował ani jednego spotkania, ale zawsze wysyłam dorożkę pod inny adres.

Müller zaciągnął się tak głęboko, że policzki mu wkleśły.

—A od jak dawna jest pan u niego zatrudniony?

—Od przeszło dwóch lat.

—A wcześniej także pracował pan jako kamerdyner?

— Całe życie — oznajmił Dittmar. — Przed Herr Schoennachtem przez szesnaście lat pracowałem u Emmanuela Boscha. — Oblizął wargi. — Może jednak zapaliłbym papierosa, jeśli można prosić.

—Ależ oczywiście — odparł Berg i poczęstował go. — Proszę mi opowiedzieć o Herr Boschu.

—Nie ma zbyt wiele do powiedzenia. To był wspaniały człowiek, pracowity, porządny i uczciwy. Bardzo się ze sobą zżyliśmy. Traktował mnie bardzo dobrze, *Herr Inspektor*. Troszczył się o mnie nawet zza grobu. Należał do tego samego klubu co Herr Schoennacht, który zatrudnił mnie wkrótce po śmierci Herr Boscha.

—Rozumiem — odrzekł Berg. Papieros najwyraźniej zmniejszył napięcie u tego człowieka. — Czy ze strony obecnego chlebodawcy również spotyka pana taka życzliwość?

—Na nic się nie skarżę. — Twarz Dittmara stężała. — Absolutnie na nic.

Widać było, że skłamał, ale Berg nie drażył tej kwestii.

—Do jakich klubów należał pański dawny chlebodawca?

—Jego ulubiona *Verein* to byli Strażnicy Królewskiego Herbu Bawarii.

—Czy Herr Schoennacht też jest jej członkiem? — zapytał Müller.

—Herr Schoennacht należy do wielu klubów. Prawie co wieczór wychodzi z domu sam.

Müller uniósł brew.

—I madame Schoennacht to nie przeszkadza?

—Często przyjmują gości, prawie w każdy piątek wieczorem. Odkąd jestem pod ich dachem, wydali całkiem sporo bankietów. — Dittmar dopalił papierosa i rozgniół niedopałek butem. — Szczerze panu powiem, *Herr Inspektor*, że moim zdaniem madame Schoennacht nie interesuje się jego sprawami. Schoennacht wyznał mi kiedyś, że życie towarzyskie w jego klubach wiąże się z jego interesami. Jestem pewien, że niekończące się rozmowy o interesach znudziłyby ją.

Berg miał inny pogląd na całe zagadnienie. Jej uroda i powab z pewnością stanowiłyby dla Schoennachta atuty. I czy nie powiedziała mu, że zamówiła u Reginy suknię, bo jakiś hrabia zaprosił ich na bal i chciała się po królewsku zaprezentować? Jeśli Herr Schoennacht bawił się po nocach bez udziału żony, to nie chciał jej mieć u swego boku z innych powodów niż interesy. Przypominał sobie uwagę Julii wygłoszoną ze zgryźliwą miną:

„Mężczyznom nie można ufać”. Były jeszcze słowa Gottlieba, który twierdził, że Schoennacht pożądliwie patrzył na jego żonę. Wszystko to układało się w pewien ciąg poszlakowy.

— Dlaczego nie towarzyszy pan Herr Schoennachtowi w jego podróży w interesach?

— Herr Schoennacht uznał, że będzie rozsądniej, jeśli zostanę i pomogę madame Schoennacht.

— Przecież są inni służący — zauważył Müller. — Miejsce kamerdynera jest przy jego panu.

Dittmar znowu się nastroszył.

— Ja jestem od wykonywania poleceń, a nie dyskusowania.

— Czy kiedykolwiek towarzyszył pan Herr Schoennachtowi w jakiejś podróży w interesach?

Poczerwieniał, co wskazywało, że nigdy nie został zaproszony i boleśnie ugodziło to jego dumę. Kamerdyner usiłował ukryć zażenowanie.

— Powiedział pan, że ma pan tylko kilka pytań, *Herr Inspektor*. Było już ich znacznie więcej.

— Przykro mi, że zabieram panu czas. — Berg zgodził się z nim. — Te informacje są nam naprawdę potrzebne. Ile lat ma Herr Schoennacht?

— To jest pytanie natury osobistej, *Herr Inspektor*. Chyba nie oczekuje pan, że bym na nie odpowiedział.

— Łysina i zmarszczki na szyi wskazują na człowieka po pięćdziesiątce.

— Jeszcze nie skończył pięćdziesięciu lat. — Twarz Dittmara znowu stężała jak воск.

— Państwo Schoennachtowie nie mają dzieci? — zapytał Müller.

— To również jest osobiste pytanie.

— Bynajmniej — odparł Berg. — Nie pytam o okoliczności. Chcę tylko wiedzieć, czy mają dzieci... ze sobą.

— Nie mają dzieci.

— Ona jest znacznie młodsza od niego — powiedział Berg do Müllera. — Zapewne jest jego drugą żoną. Może Schoennacht ma dzieci z pierwszego małżeństwa. Dittmar chrząknął i splótł palce dłoni.

— Czy mogę się odmeldować?

—Czy może mi pan powiedzieć, do którego klubu udał się Herr Schoennacht w dniu zabójstwa Reginy Gottlieb?

—Nie wiem.

—Mówił pan, że to pan zawsze instruował dorożkarza.

—Nie pamiętam. To było już dosyć dawno.

—Proszę się postarać, Herr Dittmar — powiedział Storf. — Nie zadawalibyśmy panu tego pytania, gdyby to nie było dla nas ważne. — Kamerdyner zaciągnął się drugim papierosem i westchnął głęboko. — Przypomina pan sobie, jaki to był dzień?

—Wtorek. — Berg poczęstował kamerdynera trzecim papierosem. — Może Mistycy Północy. — Dittmar chciwie wciągnął dym do płuc. — Tak, myślę, że Mistycy.

Berg zapisał tę informację.

—Gdzie oni się spotykają?

—Zazwyczaj w Osteria Bavaria.

—Ulubiona restauracja Hitlera — stwierdził Müller. — Czy Herr Hitler jest członkiem Mistyków?

—Nie wiem, ale sądzę, że nie — odparł Dittmar.

—Skąd to przekonanie? — zapytał Berg.

—Po prostu... Nie, nie czuję się upoważniony do wypowiedzania się na te tematy. Tak naprawdę nic nie wiem o klubach Herr Schoennachta.

—Wyświadcza pan swemu chlebodawcy i policji wielką przysługę — powiedział Berg. — Jeszcze tylko kilka pytań. Czy pamięta pan, o której godzinie Herr Schoennacht wyszedł z mieszkania?

—Nie. To było dwa tygodnie temu.

—A tak mniej więcej, Herr Dittmar? — naciskał Berg. — Siódma, ósma?

—To było przed kolacją, czyli inaczej niż zwykle. Herr Schoennacht prawie zawsze je kolację z madame.

—Oddany mąż — rzucił Müller.

—Ona tego żąda — wypnęło się Dittmarowi, który poczerwieniał.

—I słusznie — ocenił Berg. — O której wrócił ze swej nocnej eskapady?

—I tego dokładnie sobie nie przypominam. Z reguły wraca koło jedenastej, czasem później. Herr Schoennacht zarządził, że jeśli nie ma go do północy, to mam na niego nie czekać.

—Bardzo zanie z jego strony — uznał Müller.

—Czy w dniu, w którym zamordowano Reginę Gottlieb, Herr Schoennacht wrócił do domu po północy? — zapytał Berg.

W mózgu Dittmara przeskoczyła iskra. To nie jest zwykłe gromadzenie informacji: kamerdyner nareszcie sobie uświadomił, że policja podejrzewa jego pracodawcę o zabicie Reginy. Zrobił się cały czerwony i tak mocno zacisnął zęby, że mięśnie szczęki się uwypukliły.

—Przy wszystkim, co panom powiedziałem, musicie panowie wziąć poprawkę na moją kiepską pamięć. — Rzucił papierosa na ziemię i rozgniół go ze złością. — Muszę panów opuścić. Pod nieobecność męża madame bardzo mnie potrzebuje.

—Dziękuję, że poświęcił nam pan swój cenny czas — powiedział Berg. Dittmar podniósł niedopałek i rozejrzał się za koszem na śmieci.

—Chciałbym bardzo jasno stwierdzić jedną rzecz, *Herr Inspektor*. Jestem bardzo zadowolony ze swojej posady u Schoennachtów. Mówię to z całym naciskiem.

—Rozumiem — uśmiechnął się Berg, na co Dittmar zareagował wymuszonym uśmiechem.

—Nie sędę, żeby pan rozumiał, *Herr Inspektor*. Nie mam już więcej ochoty odpowiadać na pańskie pytania.

Stuknął obcasami, odwrócił się i odmaszerował alejką, żołnierz w armii subordynacji.

*

Uporządkowanie myśli zajęło Bergowi dłuższą chwilę. Niebo pociemniało i robiło się coraz zimniej. Postawił kołnierz płaszcza i potarł o siebie odziane w rękawiczki dłonie.

—Na moje oko Dittmar nie przepada za swoim pracodawcą — zwrócił się do kolegów. — Przypuszczalnie dlatego zgodził się z nami porozma-

wiać. Dobry kamerdyner pokazałby nam drzwi i zamknął je za nami na klucz.

—Może i za nim nie przepada, ale na pewno nie chce nam dopomóc w jego aresztowaniu — zaproponował Müller. — Zrobił się wyniosły, kiedy zdał sobie sprawę, dokąd zmierzają nasze pytania.

—Jeśli jego szef pójdzie do więzienia — włączył się Storf — to Dittmar zostanie bez pracy i bez referencji. To zdumiewające, że w ogóle z nami rozmawiał.

—Jedno nie ulega wątpliwości: Schoennacht to kłamca, a na dodatek głupi kłamca. Należało uzgodnić wersje z kamerdynerem, zanim wyjechał z kraju. — Berg poprawił szalik. Wyszedł z domu bez kapelusza, toteż zimno przenikało mu przez pancerz kręconych włosów do czaszki. — To pokazuje, że kiepsko u nich z łącznością. Z tego, co powiedział nam Dittmar, Schoennacht miał mnóstwo czasu na zabicie Reginy.

—Ale mógł też spędzić cały wieczór z Mistykami Północy w Osteria Bavaria.

—Nietrudno to zweryfikować. — Berg zerknął na zegarek, a potem spojrzał ku zachodzącemu słońcu. — Teraz nie ma na to czasu. Volker chce, żebyśmy za godzinę byli z powrotem. Z obsługą restauracji spróbujemy porozmawiać jutro wieczorem.

— Czyżbyś sugerował kolację? — spytał Storf. — Kto płaci? Müller wyrócił na lewą stronę puste kieszenie spodni. Berg pokręcił głową.

— Może tylko się czegoś napijemy po kolacji?

—Dobry pomysł, pod warunkiem że Hitler nie zmonopolizuje lokalu. Dasz radę iść, Axel, czy weźmiemy dorożkę?

—Chodzenie dobrze mi robi, zwłaszcza kiedy jest tak zimno. Inaczej bym zamarzł. — Po chwili spytał: — Co sądzicie o klubach Schoennachta? Mistycy Północy — słyszeliście o tym wariactwie?

—Wygląda na kolejne tajne sprzysiężenie aryjskie w rodzaju Thüle — odparł Storf.

—Nie wiem, dlaczego Niemcy tak bardzo chcą gloryfikować kulturę nordycką — stwierdził Berg. — Kiedy Norwegia ostatni raz zrobiła coś ważnego?

—Mają piękne kobiety — odrzekł Müller.

—Niektóre są piękne, a niektóre wielkie jak drwale — sprecyzował Berg.

—Co masz przeciwko Norwegii? — zdziwił się Storf.

—Nic, ale uważam, że Dania przewyższa wszystkie inne kraje skandynawskie, więc czemu nie idealizujemy Danii?

—Nas też masz tutaj na myśli?

—Jeśli bardzo chcesz.

—Czy ty sam nie mówiłeś, Axel — zaproponował Müller — że zdaniem Szwedów Duńczycy mówią tak, jakby mieli w gardle żyłki?

—To jest wynik niemieckich wpływów.

—Powiedz mi, Axel, kiedy Dania po raz ostatni zrobiła coś ważnego? — droczył się z nim Storf.

Berg przystanął.

—Dania osiągnęłaby znacznie więcej, gdyby inne kraje przestały ją najeżdżać.

—Najeżdżają, bo Dania jest słaba i mało istotna.

—Nieprawda: dlatego że Niemcy trawi hegemoniczna żądza.

—Skoro tak bardzo nienawidzisz Niemiec, to dlaczego nie wrócisz do Danii? — prychnął Storf.

Berg zastanowił się nad tymi słowami. Odpowiedź, której udzielił, zdziwiła nawet jego samego:

—Tak naprawdę, Ulrich, to nie chciałbym mieszkać w Danii. Zimno, w zimie prawie cały czas ciemno, kraj mały, kuchnia mi nie odpowiada. Urodziłem się w Danii i mam swoje pro-duńskie sympatie, ale jestem na wskroś Niemcem. Mieszkam w Monachium i raczej umrę w tym mieście, chyba że przyszła władza postanowi znowu wciągnąć nas w wojnę.

—Ja będę już za stary na wojowanie. I ty też — powiedział Müller do Berga.

—Chwała Bogu. Nie przychodzi mi do głowy gorszy los, niż zostać pochowanym w bezimiennym grobie na obcej ziemi.

TLR

Rozdział trzydziesty piąty

Berg był nie tyle zmarznięty, ile zeszywniały. Długi płaszcz mundurowy, rękawiczki, wełniane skarpetki i buty z cholewami trzymały ciepło, ale mimo to kończyny i palce miał sztywne jak stal. Od Alp ciągnął *Fohn*, nieprzyjemny zimny wiatr, który atakował zatoki i wysuszał gardło. Kilka razy prawie mu zwało z głowy policyjną czapkę. Mróz i wilgoć nie zniechęcały jednak tłumowi.

Trybunę dla mówców ustawiono koło Propylaen, bramy zachodniego Monachium, masywnej doryckiej budowli powstałej za panowania Ludwika I. Ta wapienna konstrukcja z symetrycznymi kolumnami, filarami i fryzami, pomnik dla dawnego króla, bardziej pasowałaby do słonecznych Aten niż do deszczowego Monachium. Przed tym monolitem ciągnął się olbrzymi trawnik. W tym momencie wydawało się, że każdy metr kwadratowy Königsplatz, każde źdźbło trawy jest zajęte przez ciżbę ubranych w ciemne stroje. Tłum składał się przede wszystkim ze zwykłych monachijczyków, którzy przyszli posłuchać tych obłąkanych tyrad. Znacznie groźniejsze od nich były puchnące — zwłaszcza wokół trybuny — szeregi brunatnych koszul. Na razie nikt nie zakłócał porządku, ale tak wielka liczba ludzi zgromadzonych w jednym miejscu nie wróżyła nic dobrego.

Kakofonia setek rozmów zlewała się w jeden głośny szum. W tle Berg słyszał podzwanianie tramwajów i okazjonalny klakson samochodowy. Umundurowane grupy opozycyjne, które stały na obrzeżach, przydawały zgromadzeniu kolorytu. Po swojej lewej ręce Berg miał około pięćdziesięciu mężczyzn w czarnych koszulach z komunistycznym oprzyrządowaniem w postaci czerwonych muszek i czapek. Socjaldemokraci w zielonych koszulach i czarnych spodniach ustawili się po prawicy inspektora. Próba zapanowania nad opryszkami Hitlera to już było niemałe zadanie, ale gdyby doszło do konfrontacji, sytuacja z pewnością szybko wymknęłaby się spod kontroli.

Im bliżej pory rozpoczęcia wiecu, tym wyraźniejsze były oznaki napięcia w szeregach policji. Funkcjonariusze przestępowali z nogi na nogę i z pałkami w dłoniach nerwowo przebiegali tłum wzrokiem. Zjawili się wszyscy wyżsi oficerowie, aby wesprzeć szeregowych policjantów autorytetem swojej rangi. Przybył Volker, *Direktor* Max Brummer i *Kommandant* Stefan Roddewig, bez wątpienia na polecenie Scharnagla, Mantela i Schlüssela. Stali w pobliżu trybuny, chociaż żaden z nich nie miał na sobie munduru policyjnego.

Ze względu na stan zdrowia Berga przydzielono mu *Kraftrad*, co w razie konieczności pozwoliłoby mu szybciej rozproszyć tłum czy rozbić walczącą grupę. Stał oparty o motocykl.

Nagle z tłumy dobyło się jakby jęknięcie, które stopniowo przeszło w głuchy ryk. Berg spojrział przez ramię. Nadchodzili naziści, po czterech w szeregu marszowym krokiem zbliżali się od strony Luisen Strasse. Mieli na sobie brunatne mundury, wysokie buty i brązowe czapki policyjne. Trzymali w górze kwadratowe transparenty z *Hakenkreutz*^{*56} NSDAP w białym kole na środku. Nad swastyką widniało słowo *Deutschland*, a pod spodem hasło *Erwache!* — Przebudź się!

I ludzie się przebudzili. Tłum zaczął głośno skandować. Stronnictwa opozycyjne odpowiedziały swoimi hasłami. W porównaniu z rykiem sympatyków Hitlera był to pisk myszy, ale Berg stał bardzo blisko i słyszał te protesty.

Kein Hitler! Kein Krieg!^{*57}

Dieser Führer wird führen... in den Krieg uns führen!^{*58} Kiedy brunatne koszule były już blisko placu, aplauz zrobił się ogłuszający. Formacja kroczyła głównym przejściem, a potem się zatrzymała. Nadal maszerując w miejscu, rozdzielili się na dwie kolumny, tworząc szpaler dla swego wodza.

Najpierw szli dwaj ochroniarze, nadęci i oficjalni.

⁵⁶ * *Hakenkreutz* (niem.) — swastyka.

⁵⁷ * *Kein Hitler! Kein Krieg!* (niem.) — Nie chcemy Hitlera! Nie chcemy wojny!

⁵⁸ * *Dieser Führer...* (niem.) — Ten wódz powiedzie nas... powiedzie nas do wojny!

Za nimi podążał sam obłąkany Austriak, ubrany we własnego pomysłu brunatny mundur i sięgające kolan oficerki. Czarne włosy miał przylizane, oczy patrzyły na wprost, a wąsik podrygiwał. Austriak był wzrostu trochę powyżej średniego, ale specjalnie dobrał sobie ochroniarzy niższych o pół głowy. Dzięki temu nie tylko wyglądał na wysokiego, ale również jego nabożni miłośnicy mogli go widzieć. Tupanie wprawiało w drgania całą nawierzchnię placu. W całym Monachium nie było *Bierhalle*⁵⁹, która pomieściłaby tak ogromny tłum.

Za Hitlerem znajdowali się sympatycy i urzędnicy NSDAP — Rohm, Himmler, Hanfstaengl, Göring i pół tuzina cywilnych twarzy. Berg znał z nazwiska tylko jednego z nich — Kurta Haa-fa, ojca Anny Gross. Reszta przypuszczalnie wywodziła się z rosnących szeregów zamożnych monachijskich burżujów, którzy popierali Hitlera. Większość z nich wydawała się Bergowi znajoma. Rozpoznał krzykliwego przedsiębiorcę, który bywał na innych wiecach. Przyszedł także trzeciorzędny aktorzyzna, który często pomstował na zawłaszczanie teatru przez Żydów i homoseksualistów. Nie dość, że kiepsko grał, to jeszcze był potwornie nudny, kiedy mówił od siebie. Trzeci jegomość skojarzył się Bergowi z Rolfem Schoennachtem — mniej więcej ten sam wiek i ta sama wyniosła postawa. Berg odrobinę spodziewał się, że zobaczy Schoennachta, ale jego koledzy potwierdzili wyjazd marszanda z miasta. Para ochroniarzy zamykała tyły. Potem nazistowscy żołnierze zwarli szyki i pomaszerowali za swoimi przywódcami.

Czas naglił. Popołudniowe słońce zsuwało się ku horyzontowi, szare światło przygasało z każdą minutą. Austriak był znany z tego, że długo przemawia. Gdyby wiec nie zaczął się szybko, Herr Hitler wykrzykiwałby swoje tyrady w ciemnościach. Nikt nie miałby głowy do słuchania wystąpień BWP, przewidzianych na później. Wiwaty spotężniały, kiedy mówcy stanęli w szeregu na trybunie: stopy rozstawione, dłonie za plecami, głowy zadarte, oczy utkwione w publiczności. Hitler stał pośrodku z kamienną miną, jego ciało było sztywne jak z brązu, kiedy chłonał aplauz tłumu. Ale pierwszy zwrócił się do ludzi Volker. Z megafonem w dłoni powiedział

⁵⁹ * *Bierhalle* (niem.) — sala piwna.

kilka słów, które nie przebiły się jednak przez ogłuszający ryk. Hitler wyciągnął rękę, żeby uciszyć tłum, ale skutek był odwrotny od zamierzonego: podniósł się frenetyczny wrzask.

Berg nerwowo rozejrzał się wokół siebie. Liczba brunatnych koszul wzrosła, w większości byli to ludzie młodzi i już lekko podchmieleni. Na uspokojenie wyjął z buta scyzoryk i zaczął nim czyścić paznokcie. Z nożem w garści poczuł się pewniej. Volker ponowił próbę. Tym razem Berg usłyszał go, ale nie zrozumiał słów. Kiedy tłum przycichł, opozycja stała się bardziej słyszalna.

Kein Hitler! Kein Krieg!

Kein Hitler! Kein Krieg!

Zaczęto obrzucać protestujących wyzwiskami. Ośmieliło to opozycję do jeszcze głośniejszego skandowania. Volker też ich usłyszał.

— Panowie z tyłu! — zawołał przez szczekaczkę. — Jeśli nadal będziecie zakłócali pokojowe zgromadzenie, zostaniecie natychmiast aresztowani!

Wiwaty tłumowi zagłuszyły skandowanie, ale tylko na chwilę. Kiedy hałas przygasł, znowu dało się słyszeć protesty.

— Daję panom dziesięć sekund na zaprzestanie tych krzyków! — nalegał Volker.

Protesty przybrały na sile. Szyderstwa tłumy też. Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Na czoło wysunął się Himmler, człowiek o gryzoniowatej, chudej twarzy, wątlym podbródku, zagiętych w dół ustach, z wąsikami jak u szczura. Za okularami kryły się szparki oczu. Wyciągnął rękę po megafon. Z tej odległości Berg nie potrafił ocenić reakcji Volkera, ale na pewno wywiązała się krótka walka o szczekaczkę. Potem, ku wielkiemu zdziwieniu Berga i zachwytowi tłumy, Volker przekazał u-rządzenie Himmlerowi. Stało się oczywiste, że szef SS Hitlera ma większe poparcie *Volk* niż komisarz.

— Żal mi panów policjantów! — zawołał Himmler. — Tam z tyłu musi strasznie cuchnąć zjełczałymi wiatrami degeneratów! Potężny ryk śmiechu. — Ktoś powinien wezwać straż pożarną, żeby zgasła te trujące wyziewy! — Znowu śmiech i oklaski.

—Żądamy przestrzegania porządku i szacunku dla władzy! Nie można kierować krajem bez szacunku dla porządku i władzy! — Opuścił na chwilę megafon, by rozejrzeć się dokoła; w jego okularach odbijała się rozentuzjasmowana horda. — Ale jak można mieć szacunek do władzy działającej przeciwko narodowi, którego rzekomo reprezentuje! — Okrzyk aprobaty. — Oczywiście nie mam na myśli policji. — Obłudny, złośliwy uśmiech. — Mam na myśli tchórzliwych zdrajców, którzy siedzą w Berlinie!

Jeszcze większy hałas. Berg ledwo słyszał Himmlera, kiedy ten podjął swoją przemowę.

— ...znienawidzony Weimar, który jest tylko marionetką w rękach zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych! — Burza oklasków. — ...rząd sterowany przez nikczemnych degeneratów — kosmopolitów i podrzędne rasy, które chcą zgwałcić i zniszczyć wybitną kulturę prawdziwego Aryjczyka! Jak prawdziwy Niemiec, prawdziwy Aryjczyk może mieć szacunek do tych sprzedawczyków!

Ryk był ogłuszający, ale wzmogły się też okrzyki opozycji. Berga zaczęła boleć głowa. Nogi miał zeszywniałe i stanie sprawiało mu ból. Znowu aplauz, znowu skandowanie.

Kein Hitler! Kein Krieg!

Kein Hitler! Kein Krieg!

— Nie poddamy się! — krzyknął Himmler, budząc zachwyty publiczności. — Nigdy nie poddamy się złodziejom i zbrodniom, którzy bezczeszczą nasz *Vaterland!* Dopadniemy i wytepiemy tych mieszańców, którzy terroryzują i kalają nasze miasto i nasz kraj!

Aż ziemia zadrżała, kiedy tłum wyraził swoją aprobatę dla tego planu. Z tak dużej odległości Berg nie był w stanie rozszyfrować wyrazu twarzy Austriaka, ale nie ulegało wątpliwości, że Hitler nie jest zadowolony, iż został przyćmiony przez swego pretorianina. Twarz demagoga wykrzywił uparty tik.

Demonstranci zaostrzyli swoją retorykę. Socjaldemokraci twierdzili, że Hitler jest zakałą Niemiec, że uciekinier z Austrii powiedzie kraj ku z góry skazanej na porażkę wojnie, w której kolejne rzesze Niemców poniosą bezsensowną śmierć. Komuniści nie bawili się w subtelności: oskarżyli nazistów o to, że są siewcami zła i nienawiści, jak również mordercami i niszczycielami cywilizacji.

Berg zgadzał się z tymi zarzutami w całej rozciągłości, ale zachował swoje zdanie dla siebie i przebiegał tłum wzrokiem w poszukiwaniu potencjalnych źródeł kłopotów. Zadanie ponad ludzkie siły — potencjalnym źródłem kłopotów był każdy.

Jeden z przedstawicieli komunistycznej bohemy — chudy, rudowłosy młodzieniec w okularach i z brodą — podniósł własny megafon i zaczął wrzeszczeć, nazywając Hitlera kłamcą, szerzycielem nienawiści i bękartem.

Tego Austriak nie mógł już zdzierżyć. Wyrwał Himmlerowi megafon i stanął przed nim na środku sceny. Wykrzywił twarz w takim grymasie, że wydawała się zniekształcona — przerażająca trójwymiarowa wersja obrazu *Lustmord* Ottona Dix'a.

Berg powędrował myślami ku psychologicznym interpretacjom *Lustmord* profesora Kolba. Czy w nadzwyczajnych okolicznościach każdy człowiek może stać się wyrachowanym mordercą, czy też ów krwiożerczy popęd ogranicza się do kultury germańskiej, zafrapowanej koncepcją nadczłowieka i paradygmatem życia-śmierci? Czy kwestie te — obsesja Niemiec na punkcie męskości oraz obowiązek i wola umierania za *Vaterland* — raz po raz popychały kraj do wojny? Czy gówniarze w brunatnych koszulach tak bardzo różnią się od żołnierzy, którzy rozszarpywali wroga pociskami artyleryjskimi i bombardowali wioski gazem musztardowym? Kiedy Berg służył w wojsku, nie odczuwał radości z walki, nawet zwycięskiej. Z innymi żołnierzami było jednak inaczej: walka ich podniecała, a po wygranej bitwie często znajdowało to ujście w gwałtach.

Berg przyglądał się Hitlerowi. Z tej odległości jego mina sugerowała morderczą wściekłość, ale w innym kontekście można byłoby uznać, że Austriak jest owładnięty namiętnością natury seksualnej. Jego styl bycia z

pewnością sugerował seksualne *de-strudo*. Może u Hitlera, tak jak u innych ludzi o skrzywionej psychice, seks i morderstwo są ze sobą splecione?

A może to Hitler jest monachijskim zabójcą? Berg nie po raz pierwszy rozważał tę hipotezę, którą uwiarygodniał fakt, że wśród zabitych kobiet była jedna Żydówka i dwie komunistki. Może któregoś dnia Austriak dołączy go grona najbardziej znanych niemieckich morderców: Fritza Haarmanna, Rzeźnika z Hanoweru, Wilhelma Grossmanna, śląskiego Sinobrodego, Karla Denkego, seryjnego zabójcy z Munsteru i wreszcie — najnowszy przypadek — „anonimowego” Wampira z Dusseldorfu.

Berg uśmiechnął się na myśl o swojej wybujałej wyobraźni. Jak zareagowałby Volker, gdyby jego inspektor na serio wysunął hipotezę, że monachijskim zabójcą jest Hitler? Monachium z pewnością *würde zittern von Spannung* — drżałoby z napięcia.

Powietrze było naładowane elektrycznie, i to nie za sprawą tramwajów, latarni czy nowo zainstalowanych kabli, które kołysały się między domami mieszkalnymi. Powietrze trzeszczało od przemocy i konfliktu.

Demagog ryknął przez megafon. Z kącików ust pociekła mu ślina.

— To takie robactwo jak wy toczy nasz ukochany *Vaterland*. Wytępimy was, nędzne żydowskie psy!

Reakcja była -obezwładniająca. Berg zobaczył, że wszystko, co nowoczesne i postępowe, w jednej chwili zostało zmiażdżone przez lawinę aplauzu.

Rudowłosy komunista nie ugiął się, był tak samo jak Austriak opętany swoim programem politycznym.

— Nie wystraszymy się Hitlera i jego opryszków! — krzyknął przez megafon. — Nie spoczniemy, dopóki Hitler i jego pełni nienawiści, pracy do wojny sympatycy nie znikną z monachijskiej areny politycznej!

— A my nie spoczniemy — odpalił Hitler — dopóki degeneraci, bohe-ma, kosmopolici i nędzne żydowskie psy nie znikną z całych Niemiec i z całego świata!

— Pozwól nam zająć się nim, *unser Führer**⁶⁰

⁶⁰ * *Unser Führer* (niem.) — nasz wodzu.

Prośba ta wyszła z szeregów małoletnich brunatnych koszul. Nagle na czoło tłumu wybił się Volker. Podniósł megafon do ust i zakomunikował stanowczo:

— Na tym wiecu nie będzie przemocy! Został bezceremonialnie gwizdany.

— Proszę o zachowanie spokoju, bo w przeciwnym razie zgromadzenie zostanie rozwiązane i policja rozpędzi tłum.

Gwizdy nasiliły się.

Nagle w stronę policyjnych urzędników poleciał kamień. Minał Volkera i *Kommandant* Roddewiga, ale trącił *Kriminal Direktor* Brummera w ramię. Po chwili świsnął następny pocisk. Jednak zanim Volker zdążył posłać w bój swoich funkcjonariuszy, uwagę tłumu ściągnęła na siebie zrozpaczona *Hausfrau*^{*61}. Z rozwianymi włosami wrzeszczała i biła się w piersi, zmierzając głównym przejściem. Na jej załzawionej twarzy malowała się zgroza.

— Jeszcze jedno morderstwo! — krzyczała. — Jeszcze jedno morderstwo! Leżą martwe w Englischer Garten! Moja biedna siostra! Moja biedna siostrzenica! Przecież to było jeszcze dziecko! — Szloch. — Małe dziecko!

⁶¹ * *Hausfrau* (niem.) — gospodyni domowa.

Rozdział trzydziesty szósty

Wybuchły zamęt i panika, w tych warunkach równie groźne jak szalenie z karabinem maszynowym. Trzeba przyznać, że *Kommissar* natychmiast zareagował, próbując stanąć na środku trybuny i doprowadzić do uporządkowanego rozejścia się ludzi, ale Austriak miał inne plany. Odepchnął Volkera i przemówił do tłumu, podsycając frenetyczny ogień:

— Degeneraci znowu podnieśli rękę na nasze kobiety! Tym razem te nędzne wszy posunęły się do najbardziej bestialskiego z nikczemnych zbroczeń, atakując dziecko! Kiedy policja nareszcie pojmie, z kim ma do czynienia i oczyści miasto z tego robactwa? — wrzeszczał Hitler, mierząc oskarżycielskim palcem w Brummera, Roddewiga i Volkera. — Wiecie, kiedy policja przywróci w Monachium bezpieczeństwo, przyjaciele? Kiedy my, obywatele, zażądamy, aby policja usunęła degeneratów z własnych szeregów!

Gromki aplauz. Berg pokręcił głową skonsternowany. Czemu Hitler zraża do siebie tak ważnych sojuszników? Sympatia Brummera i Roddewiga była dla niego wielkim atutem i nawet z tej odległości Berg widział, że dwaj panowie są wściekli.

— Kiedy przegonimy z naszego miasta te brudne żydowskie psy? — podjął Hitler. — Kiedy odzyskamy nasze banki z rąk zgniłych i diabelskich podrzędnych ras i przekazemy je zaufanym ludziom, takim jak nasz drogi Kurt Haaf, który zdążył już stracić córkę za sprawą żydowskiego psa! — Krzyki Austriaka, który miał twarz czerwoną jak rzodkiewka, przebijały powietrze. — Obcowanie obleśnych Żydów z naszymi czystymi aryjskimi kobietami musi zostać zakazane! Nie możemy pozwolić, aby Żydzi wpełzili nas w rozpacz i ruinę. Jeśli policja nie potrafi rozwiązać „problemu żydowskiego”, porządni obywatele Monachium zrobią to za nią! — Wszelkie próby polemiki ze strony policji utonęły w ryku tłumu. — To Żydzi mordują nasze kobiety! — zawyrokował Hitler. — To Żydzi stoją za każdą zbrodnią, która została popełniona od zarania dziejów! Przeniknęli do na-

szej wielkiej aryjskiej rasy i nie będzie spokoju i porządku, dopóki ich podrzędna rasa nie zostanie całkowicie wykorzeniona!

—Dorwać Żydów! — padł okrzyk od strony grupy brunatnych koszul.

—Tak, musimy dorwać Żydów! — poparł ich Hitler. — Musimy też oczyścić nasze miasta z innych nikczemnych bestii, które żerują na naszych rodakach! Musimy pozbyć się komunistów, którzy wspierają Żydów w ich diabelskich knowaniach!

Okrzyki „Dorwać Żydów!” przeplatały się z okrzykami „Dorwać komunistów!”, aż zrobiła się z tego śpiewna mantra.

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

Sytuacja przedstawiała się dosyć groźnie, ale *Kriminal Direktor* Max Brummer odważył się wyjść na środek sceny.

— W tym mieście nie będzie zamieszek! Z chwilą obecną rozwiązuję zgromadzenie...

Jego wystąpienie jeszcze bardziej podburzyło tłum. Reszta przemowy *Direktor* utonęła w gwizdach i szyderstwach. Skandowanie trwało dalej.

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

Berg odwrócił się do pobliskiej grupy komunistów. Napięcie i strach sprawiły, że ich szeregi skurczyły się o połowę.

— Sugeruję, aby panowie natychmiast się oddalili! — powiedział Berg do rudowłosego młodzieńca, prawdopodobnie ich przywódcy. — Jest ich dużo więcej niż was.

Młodzieniec poblądł i nerwowo poprawił czerwoną muszkę, ale wciąż robił dobrą minę do złej gry.

— A więc to tak monachijska policja chroni mieszkańców miasta?

— W tej chwili dysponuję tylko tym, żeby was chronić. — Pokazał mu swój scyzoryk. — Na litość boską, niech pan będzie rozsądny! Nie tak dawno był zamach na Eisnera. Idźcie stąd!

Upłynęło kilka chwil, zanim młodzieniec zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i powiedział do swoich ludzi: „Idziemy!”. Obrócił się i pobiegł. Na widok rejterady swego przywódcy pozostali obszarpańcy pogonili za nim.

Berg ponownie skierował wzrok w stronę trybuny. Hitler pocieszał zrozpaczoną kobietę, której nieuchwytny monachijski potwór właśnie zabił siostrę i siostrzenicę. Austriak uniósł prawą dłoń i przysiągł, że oczyści miasto albo umrze. Tłum powielił gest „ręka do góry”.

Brunatne koszule nadal skandowały:

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

Volker uznał, że miarka się przebrała. Podniósł megafon.

— Zgromadzenie skończone! Rozejść się! Kto nie posłucha, zostanie natychmiast aresztowany!

„Dorwać Żydów, Dorwać Żydów!”.

— Proszę natychmiast opuścić plac! „Dorwać komunistów! Dorwać komunistów!”.

— Proszę bezzwłocznie się rozejść w sposób uporządkowany!

„Dorwać Żydów, Dorwać komunistów!”.

— Wszystkie osoby, które pozostaną na placu, będą aresztowane!

„Komuniści uciekli! Dorwać Żydów!”.

Nagle groźby przerodziły się w czyny. W stronę umundurowanych policjantów, którzy otaczali trybunę, posypały się kamienie. Potem nastąpiła istna kanonada, w której oprócz kamieni w roli pocisków używano zepsutego jedzenia i butelek po piwie. Rozległ się dźwięk policyjnych gwizdków — sygnał do wkroczenia do akcji i stłumienia buntu. Policja zepchnęła Hitlera i jego towarzyszy z trybuny. Funkcjonariusze chwyтали każdego opryszka w brunatnej koszuli, który się nie poddał, bili pięściami, kopali, wywracali i dopiero wtedy zakładali kajdanki. Tłum zaprotestował przeciwko tym brutalnym działaniom nie tylko okrzykami, ale także czynami. Policja zareagowała jeszcze większą agresją, co z kolei spowodowało, że posypał się na nią jeszcze większy grad pocisków.

Tłum tworzył teraz jedną całość, ciemną, groźną, rozpedzoną chmurę. Horda zaatakowała policję, oskarżając monachijskich funkcjonariuszy o sprzyjanie wrogowi. Przypadkowe starcia szybko przeradzały się w regularne zamieszki. Walki toczyły się w rytm nieustannego skandowania:

„Dorwać Żydów!”.

„Dorwać Żydów!”.

Berg stanął przed dylematem. Chociaż miał już znacznie więcej sił, wciąż odczuwał skutki ciężkiego pobicia sprzed niecałych trzech tygodni. Bardzo chciał pomóc swoim *Kameraden*, bardzo chciał bić się na pięści z bojówkarzami i chuliganami, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo władzy, ale wiedział, że pod względem fizycznym jest do niczego.

„Dorwać Żydów!”.

„Dorwać Żydów!”.

W głowie mu wirowało. Wrócił 1923 rok. Na trybunie roilo się od brunatnych koszul, tworzących z policją brązowo-czarną mozaikę. Berg wiedział, że jest tam Müller i Storf, chociaż nie był w stanie wyłowić ich wzrokiem.

Na chwilę zawładnęła nim obłąkana myśl: pobiec środkiem przejściem, wskoczyć na trybunę i wspomóc ich, swoich kolegów funkcjonariuszy, kolegów inspektorów, swoich przyjaciół. Możliwość ta szybko została mu jednak odebrana, kiedy frenetyczna zgraja zaczęła się do niego zbliżać jak fala pływowa, pięściami usuwając z drogi wszystko, co na tej drodze stało.

„Co robić?”, myślał gorączkowo.

Śmierć pierwszej kobiety była powodem pobicia Berga. Wiedział, że po najnowszych morderstwach będą pobici kolejni ludzie, przede wszystkim Żydzi. Tak samo jak w dwudziestym trzecim roku naziści wykorzystają te ostatnie tragedie i wyniki z nich niepokoje do dewastowania i plądrowania miasta, do bicia i mordowania Żydów. W głowie przesuwwały mu się makabryczne obrazy, wspomnienia wojenne: tryskająca krew, rozdarte ciała, eksplozje bomb, zmasakrowani ludzie, ziemia usłana ich szczątkami. Nie zamierzał pozwolić, aby coś takiego powtórzyło się na jego własnym podwórku. Przewidywał, że złączą lincz od domu Reginy Gottlieb. Mimo że brutalnie ją zamordowano, winą za jej zamordowanie — jak również za wszystkie niedawne zabójstwa — naziści obarczą jej męża.

Na oczach Berga rozgrywał się dramat. Grupa brunatnych koszul odebrała się od tłumu i utworzyła dwuszereg. Z pięściami w górze maszerowali i krzyczeli:

„Śmierć Żydom!”.

„Śmierć Żydom!”.

Zmierzali na południowy wschód w stronę Isarvorstadt. Wciąż osłabiony Berg wiedział, że pieszo nie dotrzyma im kroku. Na szczęście należał do tych nielicznych funkcjonariuszy, którym przydzielono *Kraftrad*. Wsunąwszy nóż do cholewy buta, przekreślił kluczyk w stacyjce i ruszył przez tłum. Miał nadzieję, że dotrze do Herr Gottlieba przed brunatnymi koszulami.

Minął paradę sunących marszowym krokiem nazistów i myślał z obawą, czy przypomni sobie, gdzie mieszka Gottlieb. Pędził ulicami, budząc popłoch wśród przechodniów i zmotoryzowanych. W uszach dzwoniły mu okrzyki i pandemonium, które zostawił za sobą. Z oddali wciąż dobiegał go nieustanny refren:

„Śmierć Żydom!”.

„Śmierć Żydom!”.

Berg pomknął na motorze przez monachijską starówkę, jadąc po torach tramwajowych. Mijał sklepy i kawiarnie, minął skład tabaki i zakład modystyczny, minął majestatyczne budynki władz miejskich, Marienplatz i sklep z porcelaną, w którym zaopatrywali się bawarscy królowie. Po dotarciu do Viktualien-markt zwolnił, a miejscami nawet prowadził motocykl po kocich łbach, nic sobie nie robiąc z przekleństw handlarzy i wściekłych epitetów, którymi obrzucali go kupujący. Przejechał przez Gärtnerplatz, po czym skręcił w lewo, a potem w prawo.

Słońce osunęło się za horyzont. Za dwadzieścia minut zapadną ciemności. Władzę obejmie anarchia, królowa nocy. Za zasłoną ciemności kryją się groźne zjawy czyhające na te nieszczęsne dusze, które nie posiadają środków niezbędnych do tego, żeby się bronić. Berg spojrzał na szare niebo. „Obym znalazł Gottlieba, póki jest jeszcze widno”.

W prawo, w lewo, jeszcze raz w lewo.

Nie ma czasu do stracenia. Okolica powinna wyglądać znajomo, ale widział tylko sypiące się kamienice czynszowe, jedną podobną do drugiej. Przerażeni ludzie przemykali ulicami do swoich domów. Smągłokórzy

przybysze z Europy Wschodniej — Żydzi, Polacy, Czesi, Cyganie, Rumuni — uwijali się jak w ukropie, zabijając deskami okna i drzwi.

Wiedzieli, co się szykuje. Hałas wciąż był odległy, ale z każdą chwilą przybierał na sile.

Kolejny zakręt w lewo.

Ten odcinek ulicy wydawał się znajomy. Tak, to tutaj. Zwolnił i przyglądał się zniszczonym budynkom. Ten czy raczej tamten? A może ten po drugiej stronie ulicy? W końcu zdecydował się na jedną z czynszówek, licząc na to, że pamięć go nie zawiodła. Wciągnął *Krafrtrad* na schody, a potem do holu, w którym motocykl ledwo się mieścił. Berg rozejrzał się dookoła. Tak, to tutaj. Rozpoznał sfatygowaną podłogę i przegniłą poręcz schodów. Nie chciał zostawiać *Krafrtrad* na dole, żeby mu go nie skradziono, ale nie miał siły taszczyć go na górę. Obawiał się zresztą, że schody mogłyby nie wytrzymać ciężaru maszyny. Postawił motor przy schodach, poszedł na górę i zastukał do drzwi Gottlieba.

— Jestem Axel Berg! *Kommen Sie schnell, schnell**⁶² — Znowu załomotał. — Jak mi pan nie otworzy, to inni przyjdą i wywa...

Drzwi się otworzyły. Gottlieb był popielaty na twarzy, jakby w jego żyłach płynęła rtęć, a nie krew. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił dobyć z siebie słowa. Trząśł się jak galareta.

— Musi pan natychmiast ze mną iść! — powiedział Berg.

— Zapakuję kilka rzeczy.

— Nie ma czasu!

— Wezmę pieniądze. Nie mogę iść bez pieniędzy! Berg przyznał mu rację.

— Szybko. Będę na dole. Mam motocykl.

Zbiegł po schodach tak szybko, jak na to pozwalało uszkodzone biodro. Spocony z wysiłku i strachu, wyciągnął *Krafrtrad* na zewnątrz i włączył silnik. Gottlieb zjawił się po dwóch minutach.

— Do wózka! — rozkazał mu Berg.

Jak tylko pasażer zajął miejsce, Berg oddalił się od rudery.

⁶² * *Kommen Sie schnell, schnell!* (niem.) — Niech pan wyjdzie, szybko!

Co z nim teraz zrobić? Berg nie miał odwagi ukryć Żyda w swoim mieszkaniu. Przede wszystkim nie zdołałby go bezpiecznie przewieźć przez miasto. Poza tym nie chciał narażać swojej rodziny i kariery na niebezpieczeństwo, ściągając na siebie etykietkę żydofda. Ach, ale te dwie dziewczynki, z ich anielskimi twarzyczkami... Jakże szarpały go za serce! Nie miały matki. Jeśli Berg czegoś nie zrobi, to zostaną sierotami.

Skandowanie robiło się coraz donośniejsze.

„Śmierć Żydom!”.

„Śmierć Żydom!”.

Co zrobić? Doraźnie mógł aresztować Gottlieba, który w celi byłby bezpieczny. Ale policjanci z pewnością odebraliby mu pieniądze i przypuszczalnie pobili. Zresztą niewykluczone, że brunatne koszule opanują komendę, tak jak to zrobili w 1923 roku. A to oznaczałoby dla Gottlieba wyrok śmierci.

Bergowi wirowało w głowie, kiedy przeglądał malejącą listę możliwości. Przychodziło mu do głowy tylko jedno miejsce, w które mógł zabrać wdowca. Nie było to zbyt dobre rozwiązanie, ale tylko na to było go w tej chwili stać.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kiedy *Krafrad* dotarł do palarni, pierwsza grupa brunatnych koszul wałęsała się już ulicami, wymachując kijami i butelkami po piwie. Ich skandowanie i pijackie śpiewy zagłuszały wszelkie uliczne odgłosy. Policji nigdzie nie było widać.

Berg martwił się o Müllera i Storfa, którzy walczyli w samym centrum zamieszek. Żaden z nich od dawna nie pełnił służby patrolowej. Berg pamiętał to poczucie bezradności, kiedy zdany tylko na siebie walczył z przeciwnikami, którzy bezlitośnie kopali go i okładali pięściami. Do tej pory utykał i cierpiał ból. Przeżyć okopy i gaz musztardowy tylko po to, żeby zostać pobitym przez żadnych krwi zbirów, mieszkańców miasta, które Berg przysięgał chronić — bojówkarzy bez pracy, bez kwalifikacji, z ptasimi mózdkami, w których było miejsce tylko na nienawiść. Zatrzymał *Krafrad* przed sypiącym się budynkiem, rozchlapując oponami błoto. Niebieska farba, niegdyś pokrywająca deskowanie, złuszczyła się, a belki konstrukcyjne przegniły. Okiennice były pozamykane. Przed wejściem stała olbrzymia kałuża, tworząca brudną, śmierdzącą fosę wokół całego budynku. Każdy podmuch wiatru niósł ze sobą stęchłą woń. Berg skrzywił się z obrzydzeniem. W biodrze tępo pulsował ból, ale z takim jego natężeniem dało się żyć.

Wyjął z buta scyzoryk i kazał Gottliebowi wysiąść z bocznego wózka.

— Niech mi pan pomoże wciągnąć motor do holu. Gottlieb chwycił za wózek i razem zanieśli motocykl po przegniłych schodach na górę.

— Co teraz? — spytał Żyd.

— Niech pan nic nie mówi — warknął Berg.

Gottlieb strzelał oczami na boki, rozglądając się za brunatnymi koszulami. Berg nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zastukał głośno, wołając:

—Otwierać! Policja! — Żadnej reakcji. — *Herrjemine*, co teraz? — Spojrzał na Gottlieba. — Musimy wyważyć drzwi.

—Zrobię wszystko, co pan każe.

Na „raz-dwa-trzy” rzucili się na drzwi, używając prawych ramion jako taranów. Tors Berga przeszył ból. Trudno — później opatrzy rany.

— Jeszcze raz. *Eins, zwei...* *⁶³

Drzwi otworzyły się. Gruby recepcjonista gapił się na nich swoimi małymi oczkami. Twarz ociekała mu potem.

—*Sind Sie verrückt?* *⁶⁴

—Niech pan nam pomoże wciągnąć motor do środka, bo inaczej powiem chłopcom, że pan tu trzyma żydowskie kurwy!

—Myśli pan, że jeszcze o tym nie wiedzą? Jak pan sądzi, dlaczego hotel jest zamknięty?

Próbował zamknąć drzwi, ale Berg był szybszy — tak mocno uderzył ciałem o drewno, że aż zaskrzypiało. Kiedy znalazł się za progiem, walnął portiera z byka w brzuch, przez co przeciwnik zwinął się w pół. Berg pchnął portiera na ścianę, złapał go za włosy i przytknął mu nóż do jednego z tłustych podbródków. Po ramieniu Berga spłynęła jakaś czerwona ciecz.

—Rusz się, a poderżnę ci gardło — zagroził Berg z twarzą oddaloną o parę centymetrów od twarzy portiera. — *Verstanden?* *⁶⁵

—Tak — wychrypiał grubas.

Kątem oka Berg zauważył, że Gottlieb nie próżnował. Kiedy on zajmował się właścicielem, Żyd wciągnął motocykl do środka i zaryglował drzwi. Teraz stał zdyszany. Berg też ciężko oddychał.

— Nikt z nas nie chce, żeby policja zrobiła nalot albo żeby bojówkarze zdemolowali hotel, zgadza się?

Zamiast skinąć głową, grubas uniósł oczy. Gdyby się poruszył, nóż wbiłby się w tłuszcz jak w masło. Berg trochę odsunął ostrze.

— Czy ona jest na górze?

⁶³ * *Eins, zwei...* (niem.) — Raz, dwa...

⁶⁴ * *Sind Sie verrückt?* (niem.) — Zwariowaliście?

⁶⁵ * *Verstanden?* (niem.) — Zrozumiano?

— Tak — wychrypiał znowu grubas. Berg rozejrzał się dokoła, dalej szachując portiera nożem. Zauważył, że jedne z drzwi są uchylone. — Co tam jest?

—Schowek.

—Może być. Ręce do góry!

Grubas zawahał się. Berg potraktował go kolaniem w brzuch. Kiedy portier zgiął się w pół, Berg obrócił go, pchnął do ściany i ściągnął mu ramiona za plecy. Portier był tak otyły, że dłonie nie zetknęły się ze sobą. Z kieszeni munduru Berg wyjął kajdanki i skuł właściciela. Szarpnąwszy nim do pionu, zaprowadził go do schowka. Zanim zamknął drzwi, powiedział:

— Tam będzie pan bezpieczniejszy.

Berg sprawdził, czy drzwi wejściowe są dobrze zaryglowane. Jego myśli przeskakiwały z tematu na temat.

— Niech mi pan pomoże wstawić *Krafrad* za kontuar. Jeśli naziści włamią się do hotelu i zobaczą motor, to będą wiedzieli, że jest tutaj policjant.

— Czy to jest źle? — spytał Gottlieb.

— Prosiłem pana, żeby pan nic nie mówił — zdenerwował się Berg. — Teraz policja jest wrogiem. Ale nie takim wielkim jak Żydzi. Najpierw zaatakowałiby pana. Do roboty.

Razem dźwignęli motocykl i schowali za kontuarem.

— Na górę — rozkazał Berg. Na trzecim piętrze Berg zapukał do znajomych drzwi. — Otwieraj, Margot! — Załomotał jeszcze raz. — W tej chwili otwieraj! — Drzwi się uchylły. Berg wtargnął do środka, trącając Margot w ramię, przez co zatoczyła się do tyłu. — Przepraszam.

Oczy miała wielkie ze strachu. Nawet w takim stanie była piękna, rozkoszna w swoim przerażeniu i słabości — gibkie, anielskie ciało i twarz tak blada, jakby należała do istoty pozaziemskiej. Margot miała na sobie niebieską roboczą sukienkę i ciężki niebieski sweter. Dygotała tak mocno, że musiała spleść dłonie, aby utrzymać równowagę.

—W fabryce usłyszałyśmy krzyki. Koleżanki próbowały wrócić do domu, ale ja nie chciałam ryzykować. Jest bardzo źle?

—Bardzo.

—Kolejny pucz?

—Kolejne morderstwo... — Margot zachłysnęła się powietrzem. — A dokładnie dwa morderstwa, w tym jedno małej dziewczynki. Hitler wykorzystał to do podjudzania ludzi.

—A gdzie się podziała policja?

—Jest nas o wiele za mało. Musimy zaczekać do rana, aż ludziom wróci rozum.

—Do rana? — Margot trzęsa się jak galareta. — Dopiero zapadła noc. — Przeniosła wzrok na Gottlieba. — Kto to jest?

—Żyd. Musisz go ukryć...

—Zwariowałaś? Przyszłam tutaj, żeby sama się ukryć.

—Jeśli tego nie zrobisz, umrze.

—Wolisz, żebym ja umarła?

—Ma dwie córeczki. Jeśli zginie, zostaną sierotami.

—A ja na ile lat wyglądam?

Rzeczywiście, nie wyglądała na swoje dziewiętnaście lat.

—Pozwól mu się schować w skrytce, a sama wejdź pod łóżko. Jeśli włamią się do pokoju, szukając kurew, pokażę im legitymację i wyproszę ich.

—Nie jestem głupia, Axel. Pamiętam dwudziesty trzeci rok. Pamiętam, jaka skuteczna była policja.

Jej krytyka boleśnie ugodziła jego dumę, ale mimo to powiedział z przekonaniem:

—Teraz jesteśmy lepiej przygotowani, kochanie. — Zniżył głos. — Posłuchaj, Margot. Schowaj się pod łóżkiem. Obronię cię.

—Kto cię będzie słuchał? — odpaliła. — Jesteś oszustem i kłamcą. Wiem, co będzie, jak cię tutaj zobaczą. Oboje zginiemy. Najpierw zamordują cię, a potem znajdą mnie pod łóżkiem, zgwałcą i zabiją.

Okrzyki nienawiści na zewnątrz przybrały na sile. Margot zatrzęsa się w obrzydzenia. Nagle przesunęła stolik i podniosła klapę.

— Niech pan wchodzi — powiedziała do Gottlieba, który się zawahał.
— Niech pan wchodzi, zanim się rozmyślę. Niech się pan modli za nas wszystkich.

Berg popchnął Gottlieba do przodu.

— Niech pan tam zostanie do rana, a potem wyjedzie z kraju. Niech się pan nie da złapać i już nigdy nie wraca!

Gottlieb wytarł zwilgotniałe oczy.

— Nigdy wam tego nie zapomnę.

— Zapomni pan, ale to nieważne. Niech pan uważa na swoje córeczki. No, włącz pan!

Żyd ostrożnie wszedł do otworu. Margot zamknęła klapę i z powrotem przestawiła na nią stół. Wyrzała przez okno.

— Wchodzą do środka! — Twarz zbieleła jej ze strachu. — Masz dzieci, Axel. Schowaj się pod łóżkiem...

— Wykluczone!

— Jeśli tego nie zrobisz, to wydam Żyda. — Margot ciężko dyszała. — Jak wolisz.

— *Bist du verrückt?**⁶⁶ — zaśmiał się Berg. — Nie zrobiłabyś tego!

— Jak chcesz, to sprawdź! — Patrzyła na niego nieugiętym wzrokiem. — Jeśli Bóg nade mną czuwa, to zgwałcą mnie i nic więcej!

Gdzieś we wnętrzu palarni rozległ się tak głośny huk, że aż oboje podskoczyli. Potem usłyszeli tupot nóg na schodach. Drzwi otwierały się i zamykały. Ukryte za nimi żydowskie kurwy wrzeszczały.

— Pod łóżko! — krzyknęła Margot. — Natychmiast! — Berg dalej czekał. — Włącz! I nie wychodź, nieważne, co usłyszysz. Masz wybór, Axel. Wybierz życie!

Z nożem w dłoni Berg położył się na podłodze i wcisnął pod nieheblowane deski łóżka. Ledwo się tam schował, kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają.

Margot krzyknęła i deski nagle się ugięły, prawie dotykając brzucha Berga. Potępieńcze wrzaski mieszały się z pijackim rechotem. Mały pokój

⁶⁶ * *Bist du verrückt?* (niem.) — Zwariowałaś?

wypełniła kwaśna woń piwa i wódki. Berg słyszał okropne odgłosy ciosów zadawanych pięścią.

Znowu pijacki śmiech. Znowu uderzenia. Słowa przebijały mu czaszkę.

„Żydowska suko!”. Nic, tylko „Żydowska suko”, w rytm podskakiwania łóżka.

Łóżko się trzęsie, Margot błaga, żeby przestać, jęczy, żeby się nad nią zlitować.

„Podoba ci się to, co? Ty obleśna żydowska suko!”. Znowu odgłos ciosu. Stęki, prychnięcia i kwiknięcia zmieszane ze szlochem.

Berg zatkał sobie uszy, żeby nie słyszeć tych strasznych, budzących litość jęków. Zamknął oczy. Dalej czuł jednak, że łóżko się rusza. Mężczyzna szczytuje — znowu stęki, prychnięcia i kwiknięcia. W Bergu zakipiała krew. „Pomyśl o swoich dzieciach. Nie bądź idiotą. Ona przeżyje”. Kolejny odgłos mocnego ciosu! Berg szarpnął się do góry, wałąc głową o dno łóżka, ale na górze najwyraźniej nikt tego nie usłyszał. Wrzaski Margot ucichły do pochlipujących jęków. Łóżko znowu zaczęło się ruszać. Berg otworzył oczy, ale widział tylko białe gwiazdy. Poczul, że rośnie mu temperatura. Łomotało mu w głowie. Zamknął oczy i znowu zatkał uszy, ale jazgot był zbyt głośny, by zastopowały go dwa palce. Oblał się rzęsistym potem. Cuchnącym, ale jakie to miało znaczenie? Cały pokój śmierdział męską przemocą i wytryskami. Kiedy pot wyparował z jego skóry, Berg poczuł się sparaliżowany... żywcem pochowany. Stęki i jęki. Świńskie kwiknięcia. „Pomyśl o swojej rodzinie! Pomyśl o swoich dzieciach! Nie warto za nią umierać!”. Nie słyszał już Margot. Nie było wrzasków, szlochów, jęków. Cisza spadła na niego jak młot: dźwięki zgasły razem z jej duszą. „Pomyśl o swoich dzieciach, Axel!”. Stęk, stęk, kwik, kwik. Zaciśnięte zęby, zaciśnięta pięść. Palce prawej dłoni mocno coś trzymają. Nóż! „Pomyśl o swoich dzieciach”. Logiczne myśli nie miały już dostępu do jego majaczącego umysłu. Jego działaniami kierował ktoś inny. Bez takiego świadomego zamiaru Berg wydostał się spod łóżka i zaskoczonymi niebieskimi oczami oglądał horror w całej pełni.

W gruncie rzeczy byli to chłopcy. Niewiele starsi od Joachima, ale posunęli się za daleko, żeby ich młodość ich ocaliła. Wszyscy trzej osłupieli na widok Berga. Nagle zmaterializował się *Poltergeist**⁶⁷. Berg złapał najbliższego za lniane włosy i mocno szarpnął jego głową do tyłu. Szybkim, silnym, sprawnym ruchem z chirurgiczną precyzją Berg poderżnął chłopcu gardło od ucha do ucha i odepchnął go. Rana była głęboka i równa. Chłopiec chwycił się za szyję, wybełkotał jakieś słowa sprzeciwu i z zakrwawionymi dłońmi padł na podłogę. Potem przyszła kolej na chudego, przyszczatego gówniarza z kręconymi czarnymi włosami i zgrozą w niebieskich oczach. Berg ściągnął go z Margot i zdążył zauważyć maleńkie, na pół wzwiedzione prącie. Wbił nóż w zagłębienie pod grdyką, obrócił nim i poczuł, że kręgi się rozdzielają. Głowa chłopaka natychmiast odskoczyła do tyłu, krew trysnęła jak z fontanny, a szyja syczała niby kaloryfer, kiedy powietrze uszło z płuc. Padł na łóżko, a głowa oderwała się, huknęła o podłogę i potoczyła pod ścianę. Zanim Berg zdążył się rozejrzeć za trzecim bojówkarzem, chłopak uciekł. Przedśmiertne drgawki pierwszego chłopaka ustały dopiero po pięciu minutach. Berg bez ruchu obserwował swoje dzieło. W śmierci tych młodocianych opryszków nie było nic poetyckiego, heroicznego czy szlachetnego. Berg powrócił do okopów Wielkiej Wojny. Najpierw strzelał i rzucał granatami we wroga, a potem role się odwróciły. Ogień maszynowy, kule śmigają nad głową Berga. Śmiertelnie ranni wołają pomocy. Błagają, żeby dobić ich bagnetem... Zginęły dwa miliony ludzi — po co? Ci dwaj chłopcy — cóż znaczą jeszcze dwa krwawe zgony?

Berg stał jak wmurowany i dyszał zlany potem. Zamknął oczy i wypuścił nóż z ręki. Kiedy ponownie podniósł powieki, zobaczył Margot, która miała siną, spuchniętą twarz, rozciętą górną wargę i lewe oko zamknięte przez opuchliznę. Do rana pozostało jeszcze wiele godzin, ale dla niego noc już się skończyła. Miał gotowy plan działania. Wyrzwał przez okno: brunatne koszule zataczały się, rzygały, rzucały kamieniami i wymachiwały kijami. Słysząc było głośny huk, a potem odgłos pękającej szyby. „Śmierć Żydom! Śmierć Żydom!”.

⁶⁷ * *Poltergeist* (niem.) — tu: mściciel.

Kiedyś z ostrożnym optymizmem myślał o przyszłości *Vaterland*. Kiedyś...

TLR

Podszedł do Margot i wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją w swoją dłoń. Powoli dźwignął swoją dawną kochankę do pozycji siedzącej. Twarz miała zakrwawioną i mokrą. Patrząc na jedno oko, poszukała w nikłym świetle ubrania. Sukienka była podarta, ale sweter ostał się w jednym kawałku. Berg zarzucił go jej na ramiona. Spojrzał w zdrowe oko i zobaczył w nim gniew i żądzę zemsty, nie dostrzegł ani śladu kapitulacji.

—*Danke* — szepnęła.

—*Bitte* — odpowiedział szeptem.

Powoli wypuścił powietrze i z wielkim wysiłkiem wstał. Pokój przypominał rzeźnię. Z korytarza doleciał zablakany krzyk. Berga przeszły ciarki. Nagle przez panujący na dole rumor przebił się jakiś ostry dźwięk. Gwizdek, a raczej gwizdki policyjne. Berg podszedł do okna. Brunatne koszule rozbiegały się w popłochu na wszystkie strony. Dwa furgony motorowe z funkcjonariuszami policji stanęły przy krawężniku i stróże prawa uzbrojeni w pałki wysypywali się na ulicę.

W palarni rozległy się spanikowane okrzyki:

—*Polizei! Polizei! Raus hier!**⁶⁸ Dźwięk gwizdków przybliżał się.

—Musisz stąd iść! — wykrztusiła Margot.

— *Nein.* — Berg pokręcił stanowczo głową. — Nie zostawię cię tutaj, bo obwiniliby cię o moje grzechy.

— To będzie koniec twojej kariery.

— Napadli mnie. — Wzruszył ramionami. — Miałem prawo ich zabić.

Drzwi się otworzyły. Berg zobaczył wylot lufy. Nie po raz pierwszy stanął przed obliczem śmierci. Z Bożą pomocą, nie będzie to ostatni raz.

⁶⁸ * *Raus hier!* (niem.) — tu: Uciekać stąd!

Rozdział trzydziesty ósmy

— No, no! — Cmoknięcie. — Ale pan tu napaprał!

Trzymany na muszce artyleryjskiego lugera P.08, Berg uznał, że najlepiej będzie nic nie mówić. Broń wojskowa od lat była w Monachium zakazana, jej arsenały masowo zniszczono ponad dekadę wcześniej. Było jednak tajemnicą poliszynela, że wiele osób ukryło starą broń: pistolety lugera, bagnety — Berg widywał nawet schowane w szafach karabinki maszynowe MG 13. Nie wynikało to z sentymentu, lecz z obawy przed przyszłością. Dotychczas Monachium jakoś się trzymało, wyprzedzało anarchistów o krok, ponieważ zdobycie broni było trudne. Historia pokazała, że Niemcy uzbrojone to Niemcy toczące wojnę.

— Czy mnie w ogóle interesuje, co tu się stało? .

Berg ledwo zrozumiał te słowa. Palarnia rozbrzmiewała potępieńczymi krzykami, powarkiwanymi rozkazami i przenikliwym dźwiękiem gwizdów. Tuż za drzwiami odbywała się jakaś szamotanina.

—Na... — Berg przełknął linę i podniósł głos. — Napadli mnie.

—Nie widzę na pana ciele żadnych obrażeń, inspektorze. — Volker skinął głową w stronę Margot. — Na niej owszem, ale na panu? — Wzruszył ramionami. — Nic. — Powoli skierował lufę ku podłodze. — I nie jest istotne, czy pana napadli, czy nie, Axel. Pytanie brzmi, co pan tu w ogóle robił.

—Zapewne to samo co pan.

Nie patrząc już w czeluść lufy, Berg poczuł się odważniejszy.

—To nie jest zbyt dobra odpowiedź.

—W zaistniałych okolicznościach lepszej nie znajduję. — Berg wytarł spocone, zakrwawione ręce o spodnie munduru. — Niech pan na nią spojrzy, Volker! — Przebiegł wzrokiem swoje dzieło: dwóch martwych chłopców. — Niech pan spojrzy, na co przyszło mi zareagować, jako policjantowi, jako człowiekowi. I niech mi pan powie, co miałem zrobić.

—Naprawdę nie wiem — odparł Volker po długim namyśle. — Ale nawet jeśli wybrał pan słuszną drogę postępowania, to na pewno pan przesadził.

—Za późno na takie refleksje — szepnął Berg.

—Tu ma pan rację. — Volker rzucił Margot swoją chusteczkę. — Doprowadź się do porządku, moja droga. Musisz się stąd wydostać.

Margot podniosła się i nalała wody z dzbanka do miednicy. Zanurzyła chusteczkę w wodzie i zaczęła starannie zmywać z twarzy brud i krew. Woda natychmiast zrobiła się bordowa.

— Myślałem, że ma pan więcej rozumu, Axel — powiedział Volker. — Ale za późno na reprimendy. Wpakował się pan w ciężkie tarapaty.

Co prawda, to prawda. Berg czekał na werdykt. Volker zrobił kwaśną minę.

—Dobra, jeśli zdoła się pan stąd wymknąć bez niczyjej wiedzy, to nic nie powiem. Jeśli pana złapią, to osobiście rzucę pana psom na pożarcie. Rozumiemy się?

—Doskonale.

—Co pan sobie myślał? — spytał zaskoczony Volker. — Na Königsplatz dzieją się takie rzeczy, a pan sobie przychodzi do żydowskiego burdelu?

—Nie wiem, co myślałem.

—Jak pana złapią, to może pan zrzucić winę na nią. — Volker spojrzał na Margot i pokręcił głową. — Musisz wyjechać z miasta, moja droga. I nigdy nie wracaj. Jeśli wrócisz, to każę cię aresztować i stracić. — Pokazał na ciała. — Dwa morderstwa, moja droga. Jeśli władza cię nie powiesi, to motłoch rozerwie cię na strzępy.

Margot zadrżała. Jej policzki spływały łzami.

— Nie mam żadnych dokumentów.

Volker sięgnął do swojej teczki i wyjął zaklejoną kopertę.

— Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz, łącznie z pieniędzmi na podróż. Masz chyba jakieś inne ubranie?

—Coś się znajdzie.

—To pospiesz się.

Margot wyjęła poduszkę z poszewki i rozwiązała supeł. Okazało się, że poduszka zawierała jej garderobę: dwie spódnice, dwie bluzki, dwie zmiany bielizny i sweter. Szybko się przebrała na oczach dwóch mężczyzn, a z reszty ubrań zrobiła tobołek.

Volker położył dłoń na klamce.

— Brawo za przezorność. Zaczekaj na mnie na dole. Odprowadzę cię na pociąg. Czasy mamy takie, że kobieta nie może chodzić sama ulicami.

— Mogę się pożegnać z rodziną?

— Nie, nie możesz. Do zobaczenia na dole za piętnaście minut. Jeśli uciekniesz, pošlę za tobą moich ludzi.

—Dziękuję, *mein Herr* — powiedziała pokornie Margot.

—Nie ma za co. — Volker otworzył jej drzwi. — Idź. Wyszła bez dalszej zwłoki. Volker zamknął za nią drzwi i oparł się o nie.

—Czy oprócz tego worka sadła na dole ktoś widział, jak pan tutaj wchodził?

—Znalazł go pan?

—Nie ma zbyt wielu miejsc, w których mógł się ukryć. Niech pan odpowie na moje pytanie, Berg.

—Sądzę, że nie.

—Bardzo dobrze. Opuści pan hotel schodami przeciwpożarowymi i uda się prosto do domu. Dzisiaj w nocy niech pan już nie wychodzi. Mówię to niechętnie, ale nie mogę sobie pozwolić, żeby pana stracić. Po mieście wciąż grasuje morderca. Kiedy ta austriacka zawierucha rozejdzie się po kościach, spodziewam się, że znajdzie pan tego potwora. — Volker strzepnął z garnituru jakiś pyłek. — Wygląda na to, że poprowadzi pan to śledztwo w pojedynkę.

Puls Berga przyspieszył.

—Dlaczego? Co się stało z Müllerem i Storfem?

—Jak Bóg da, to się wykaraskają...

—W bardzo ciężkim są stanie?

— Müller ma złamaną nogę.

Zapadła cisza. Berg obszedł zwłoki jednego z nastolatków i usiadł na brzegu łóżka.

—A Ulrich?

—Te sukinsyny ciężko go pobiły. Trafił do szpitala. Berg zerwał się na nogi.

—Muszę się z nim zobaczyć!

—Nie, Axel, nie musi pan. — Volker złapał go za koszulę. — Nie słyszał pan, co do pana mówiłem? Do domu. Szala zwycięstwa przechyla się na stronę policji, ale do końca walk jeszcze daleko. Jeśli rano na ulicach będzie spokój, to zobaczymy się o dziewiątej. — Berg milczał. — O dziewiątej. Jasno się wyrażam?

—Najzupełniej.

Volker ponownie zlustrował pokój wzrokiem.

—Gdybym był inspektorem i zobaczył taki widok, to może uznałbym, że napalone samce pokłóciły się o kurwy. — Uśmiechnął się. — Kobiety to zguba naszego gatunku. — *Kommissar* podniósł z podłogi nóż Berga. — Może się to panu przydać. — Berg włożył nóż do cholewy buta. Volker pokazał w stronę schodów przeciwpożarowych.

—Pańska żona czeka.

—Co Himmler do pana powiedział, *mein Herr!*

—Proszę?

—Podczas wiecu. Oddał mu pan megafon. Niechętnie, ale zrobił pan to. Co panu powiedział?

—Że powinienem pójść mu na rękę, bo... — Volker uśmiechnął się zgryźliwie. — Bo pewnego dnia to on będzie wydawał mi rozkazy i zapamięta nie tylko wrogów, ale i przyjaciół.

—To człowiek z wizją, nawet jeśli trochę urojona—powiedział Berg.

—Ten człowiek to kawał gnoja!

—Ale dał się pan przekonać.

Volker zaczerwienił się — ze wstydu i gniewu.

— Sto tysięcy ludzi wzięło udział w tym wiecu, Axel. Nie jestem głupi — i nie przejmuję się. Któregoś dnia ten sukinsyn dostanie za swoje. —

Pokazał na okno, za którym znajdowały się schody przeciwpożarowe. — Niech pan idzie, inspektorze.

— Za chwilę. A raczej za kilka chwil. Muszę złapać oddech. Volker zmarszczył brwi.

— Niech pan nie zwleka zbyt długo. Britta będzie się martwiła.

— Jest przyzwyczajona do takich sytuacji.

Widząc, że Berg nie rusza się z miejsca, *Kommissar* w końcu wyszedł. Odczekawszy jeszcze kilka chwil, Berg odsunął stolik i uwolnił Gottlieba.

— Zmiana planów — powiedział. — Musi pan opuścić miasto, jeszcze zanim skończą się rozruchy. Kiedy *Oberbürgermeister* wprowadzi stan wyjątkowy, na ulicach będzie pusto i trudniej będzie się panu wymknąć. A jeśli spróbuje pan wyjechać z miasta w stanie wyjątkowym, to pana aresztują.

— Nic nie zrobiłem.

— To nie ma znaczenia. Chce pan żyć czy nie? — Berg zmierzył go wzrokiem. — Jest pan mniej więcej mojego wzrostu. Zamieńmy się ubraniami. — Gottlieb zrobił wielkie oczy. — Myślę, jak pana uratować, człowieku. W policyjnym przebraniu łatwiej pan ucieknie.

Gottlieb nie podzielał tego poglądu, ale rozebrał się do podkoszulka i kalesonów. Berg szybko włożył trzyczęściowy garnitur z brązowej wełny, świetnie skrojony i z bardzo dobrego materiału. Nie należało się temu dziwić, skoro Gottlieb był krawcem. Berga trochę jednak zirytowało, że Żyd imigrant ubiera się znacznie bardziej elegancko od niego, ciężko pracującego policjanta. Dobrze się poczuł w tym porządnym zrobionym garniturze. Wełna była ciepła i nie gryzła. Berg dorobił się zatem nowego garnituru, ale kiedy zaproponował Gottliebowi tę zamianę, nie powodowała nim wyłącznie chciwość. Volker oczekiwał jego zejścia po schodach przeciwpożarowych. Berg nigdy nie ufał komisarzowi, a teraz był szczególnie podejrzliwy. Może Volker zastawił na niego pułapkę. Skoro tak, to lepiej, żeby kulę dostał Gottlieb, a nie on.

Berg otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. Odgłosy rozruchów niesły się przez nocne powietrze. Nieco przycichły, ale miasto wciąż miało przed

sobą kilka niebezpiecznych godzin. Nagromadziło się tyle śniegu, że niewielki nawet bodziec mógł wystarczyć do uruchomienia lawiny.

TLR

—Czas już iść, Herr Gottlieb.

—Nie idzie pan ze mną?

— Jeśli zobaczą nas razem, obaj zginiemy. W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą.

— Nie zapomnę o panu.

— To nie ma żadnego znaczenia. Niech pan uważa na córeczki. Ja też mam dzieci. Niech Bóg nad panem czuwa.

Gottlieb ostrożnie wspiął się na parapet i zeskoczył na chwiejny żelazny podest schodów przeciwpożarowych. Berg szybko stracił go z oczu. Zamknął okno i oparł się o ścianę. Dyszał, czekał i myślał. Jeśli Gottlieba zamordują, to czy on będzie o tym wiedział? Jeśli zamordują Żyda i Volker się zorientuje, że uśmiercił nie tego człowieka, czy wróci na górę, żeby naprawić swój błąd? Myślał i czekał. Głównym wejściem czy schodami przeciwpożarowymi? W budynku wciąż się kotłowało. Nieważne. Już czas. Poprawił kołnierzyk, strzepnął kurz z kamizelki i otworzył drzwi na korytarz. Wszedł głównym wejściem i tak samo wyjdzie, z podniesioną głową i wzrokiem skierowanym przed siebie. Nie jak wystraszony królik, lecz jak mężczyzna. Opuścił pokój. „Idź spokojnie”, myślał. Piętro niżej. W drzwiach jednego z pokojów pojawił się policjant, zapinając rozporek. Na widok Berga poczerwieniał. Axel minął funkcjonariusza, jakby go nie zauważył. „Panujesz nad sytuacją”, upewniał się. Kolejne dwa odcinki schodów. Hałasy nasiliły się. Na ulicy ludzie biegali, krzyczeli, skandowali. Dał się słyszeć dźwięk gwizdka policyjnego, warkot silników motocykli, tupot końskich kopyt i różne dalekie odgłosy. „Idź dalej”, powtarzał sobie. Już tylko pół piętra do recepcji. Pięć kroków, cztery... Zatrzymał się. Droga była zatarasowana. W poprzek dwóch ostatnich stopni leżał gruby recepcjonista, z szeroko otwartymi oczami i ustami, w kałuży własnej krwi. Z szyi sterczał nóż. Nie poszedł na tamten świat samotnie.

Kilka metrów dalej leżała Margot, z trzema postrzępionymi dziurami w piersiach. Na podłodze walały się dokumenty, które dał jej Volker, nasiąknięte krwią i ekskrementami. Z tobołka wypadły spódnica i bluzka. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że doszło do starcia między Margot i recepcjonistą. Nasuwało się proste wytłumaczenie: grubas

chciał czegoś od kurwy, lecz ta mu odmówiła. Berg wiedział zresztą, że już dawno wpadła recepcjoniście w oko. Ale Berg znał się na tych sprawach. Margot była niską i niezbyt silną kobietą. Nawet pod wpływem strachu nie zdołałaby tak głęboko wbić noża na tak dużej wysokości. A gdyby grubas się pochylił, to kąt natarcia byłby inny — uchwyt noża sterczałby ukośnie do góry. Nożem posłużył się ktoś wysoki i silny. A strzelał ktoś, kto umiał posługiwać się rewolwerem. Nic nie dało się zrobić. Niestety, śmierć jest nieodwracalna. Berg znowu zaczekał chwilę, żeby złapać oddech. Potem z suchym okiem wyszedł z palarni i starannie wytarł podeszwy butów o ziemię. Sprzątanie domu kosztuje Britte wiele wysiłku — jak mógłby wnieść do domu krew?

TLR

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Berg wszedł do kliniki Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana. Utykał, ale nikt tego nie zauważył lub też nikogo to nie obchodziło. Personel miał pełne ręce roboty, a ponieważ Berg chodził o własnych siłach, słusznie go zignorowano. Z każdego zakamarka dobiegały jęki, pacjenci nie mieścili się w salach, więc siedzieli na korytarzach. Ci ze złamanymi kośćmi mogli mówić o szczęściu, jeśli spoczęli na noszach. Inni mniej ucierpieli, przyszli z rozmaitymi ranami i stłuczeniami, było też mnóstwo twarzy i oczu spuchniętych od anonimowych ciosów pięścią. Ci, dla których nie starczyło krzeseł, wyciągnęli się na podłodze.

Pielęgniarki uprawiały biegi z przeszkodami między pacjentami, trzymając w ręku papiery, wywoływały nazwiska, ustalwszy wcześniej wzrokowo, kto najpilniej potrzebuje pomocy. Kiedy Berg klepnął jedną z nich w ramię, zabiegana młoda kobieta w białym fartuchu szarpnęła się zaskoczona. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat, miała gładką cerę i bursztynowe oczy. Berg zobaczył w nich Margot, ale potem zamrugał kilka razy i obraz ten zniknął. Podniosła wzrok znad papierów, błyskawicznie otaksowała go wzrokiem i zakwalifikowała do kategorii hipochondryków.

— Musi pan najpierw zgłosić się do rejestracji.

W głębi korytarza rozległ się wrzask i przekleństwo.

— Jestem policjantem. — Berg pokazał jej legitymację. Mina pielęgniarki mówiła, że dokument ten nie zrobił na niej większego wrażenia. Podejrzewał, że po dzisiejszych rozruchach upłynie sporo czasu, zanim policja znowu zacznie budzić respekt. — Chcę znaleźć...

— Niech pan idzie sprawdzić w rejestracji. Przepisy są przepisami. — Wywołała czyjeś nazwisko, odfajkowała je na liście i pokazała Bergowi plecy.

Po paru minutach Berg ustalił, że Storf nie został zarejestrowany. Albo Ulrich trafił gdzie indziej, albo... Berg wolał o tym nie myśleć.

Georg Müller został przyjęty, ale zlokalizowanie go zajęło Bergowi ponad godzinę. Jego dobry kolega leżał na dwudziestoosobowej sali — dziesięć łóżek po każdej stronie, między nimi zasłonki. Zasłonka Müllera była odsunięta. Lewą nogę miał zabandażowaną i trochę podniesioną do góry na wyciągu. Biel szpitalnego fartucha uwypuklała czerwień jego spuchniętej twarzy. Georg miał kilka paskudnych zadrapań na prawym policzku, ale z pewnością nie pozostał dłużny napastnikowi.

U wezłowania stała jego żona Karen, załamując pulchne dłonie, co wyglądało tak, jakby ugniatała ciasto. Oczy miała zaczerwienione i wilgotne. Müller najwyraźniej nie doznał uszczerbku na wzroku, bo uśmiechnął się do Berga po jego wejściu.

— Dobrze cię widzieć, stary. — Z szerokim uśmiechem położył koledze dłoń na ramieniu. — Martwiłem się o ciebie.

— A ja o ciebie.

Müller zmarszczył nos i Berg od razu wiedział, że jego przyjaciel poczuł zapach krwi. Ręce i ramiona Berg splukał cztery razy, ale nie miał czasu umyć włosów. Müller był zawodowym policjantem, który umiał wykorzystać do swojej pracy nie tylko wzrok i słuch, ale także pozostałe zmysły.

— Nic ci nie jest, Axel?

— Cieszę się, że mogę chodzić — odparł Berg. — Dobry wieczór, Karen. Widzę, że troskliwie się nim opiekujesz.

—Lepiej niż policja.

—To na pewno.

—Jak tam w mieście? — spytał Müller.

—Przyjechałem tutaj swoim *Kraftrad* z Gârtnerplatz. Sytuacja się chyba uspokaja.

—Chwała Bogu. Ponad sto tysięcy ludzi na wiecu. Było nas o wiele za mało, Axel. Zwłaszcza w pobliżu trybuny. Sądzę, że gdyby Hitler przewidział taką frekwencję, to spróbowałby kolejnego puczu.

—W takim razie dobrze, że nie przewidział.

—Myśl o drugiej odsiadce mogła na niego podziałać odstrasżająco — dorzuciła Karen.

—Myślę, że rano wszystko będzie pod kontrolą — stwierdził Müller.

—Na jak długo? — zdenerwowała się Karen. — Czemu nieustannie panuje taki niepokój? Czemu Monachium przyciąga tylu wykolej eńców?

—Pewnie przez ten *Fóhn* — zażartował Berg.

— To nie jest śmieszne! — Karen wykrzywiła swoją pucołowatą twarz.

—Axel ma już jedną jędzowatą żonę, Karen, nie potrzebuje drugiej — skarcił ją Müller. Kiedy w jej oczach pojawiły się łzy, złagodniał. — Już dobrze, kochanie. Wiesz, że jestem trochę rozdrażniony. Proszę cię, nie urządzać sceny.

—To ta dzisiejsza młodzież! — piekliła się Karen. — Żadnego' szacunku dla władzy!

—Nie cała młodzież, Karen — polemizował Berg. — Twoje dzieci takie nie są, moje też nie. Ci chłopcy to zwykli chuligani, głupi gówniarze — mnóstwo agresji i pusto w głowie.

—Trzeba było ich posłać na wojnę, a nie takiego wrażliwca jak Georg. Tacy ludzie jak oni wciągnęli nas w tę wojnę. I prawdopodobnie zrobią to znowu.

— Do diabła, Karen, mam nadzieję, że nie — zaprotestował Müller, a do Berga powiedział: — Karen jest zagorzałą socjalde-mokratką.

—No, no! — Berg uśmiechnął się.

—Jednoosobowa mniejszość w moim domu.

Karen pokręciła z niesmakiem głową. Berg poklepał japo dłoni.

—Może pójdziesz coś zjeść, Karen? Ja się nim zaopiekuję, dopóki nie wrócisz.

—Świetny pomysł — poparł go Müller.

—Próbujecie się mnie pozbyć.

—Mamy pewne sprawy zawodowe do omówienia — wyjaśnił Berg. — To może być zbyt drastyczne dla twoich uszu.

—Sprawy zawodowe? — powtórzyła zbulwersowana Karen. — Nie widzisz, co te zwierzęta mu zrobiły? Nie możesz na jedną noc dać mu odpocząć?

—Dam sobie radę — zapewniał Müller. — Trochę pracy umysłowej pozwoli mi nie myśleć o bólu. Idź coś przekąsić, kochanie. Dobrze ci to zrobi.

Karen ustąpiła dopiero po kilku minutach dalszego przekonywania. Po jej odejściu Berg zaciągnął zasłonkę, która nie chroniła ich wprawdzie przed jękami i skargami pacjentów, ale dawała złudzenie, że mogą porozmawiać na osobności.

—Co się stało Ulrichowi? — szepnął Berg.

—Dźgnęli go nożem. Chyba pod pachą. — Müller westchnął głęboko.

— Rany boskie!

—Przeszedł operację. Stracił mnóstwo krwi. Ma pęknięte płuco.

—Cholera jasna! — zaklął Berg. — Jak bym dopadł tych zbirów, to bym ich porozrywał na strzępy.

—Jeśli nie wda się infekcja, to z Ulrichem powinno być wszystko w porządku.

—Co z tym nowym lekarstwem, które skutecznie leczy cholere? Pio... pio... piocjanaza, coś w tym guście.

Müller wzruszył ramionami.

— Jestem pewien, że lekarze starają się, jak mogą.

— Oczywiście. Spróbuję zobaczyć się z nim jutro.

— Dobry pomysł, nie będziesz już taki... aromatyczny. Z jakiej rzeźni przyszedłeś, chłopie? — Berg milczał, a Georg nie drażył tematu. — Idź do domu, Axel. Britta pewnie zamartwia się o ciebie.

—Już z nią rozmawiałem. Sąsiadka ma telefon. Britta wie, że jestem bezpieczny. — Do głowy Berga napłynęły czarne chmury. Przegonił je. — Jakoś przeżyje dzisiejszą noc... znacznie lepiej niż miasto. A na dodatek ten upiorny morderca zabrał się za dzieci.

—Może pobiera lekcje u Haarmanna albo Wampira z Dusseldorfu.

—Nie sądzę, żeby diabeł potrzebował lekcji. — Berg zacisnął pięść. — Nie mogę iść do domu, zanim nie dowiem się czegoś więcej o tych strasznych morderstwach. Nie widziałem jeszcze miejsca zdarzenia i nie chcę z tym czekać do jutra, bo istotne ślady mogą zostać zatarte.

—Sądzę, że zabrali już ciała do prosektorium, Axel. Poza tym nic nie zobaczysz w tych ciemnościach.

—W parku są latarnie gazowe, a ja mam lampę naftową. — Müller przewrócił oczami. — Powinienem przynajmniej odwiedzić rodzinę ofiar.

—Jest bardzo późno, Axel. Poza tym możesz tam zastać Austriaka.

—Do diabła z Hitlerem. O ile mi wiadomo, to nie on rządzi w tym mieście.

Müller wzruszył ramionami, a potem skrzywił się z bólu.

— Nie możesz tam iść, Axel, póki nie zmyjesz z siebie tego zapachu. Nie jesteś nawet w mundurze.

Racja, musi się odpowiednio ubrać, jeśli ma gdzieś iść w oficjalnym charakterze.

— Pójdę na komendę po mundur.

— A uzgodniłeś tę nocną wizytę z Volkerem?

—Jeśli Volker tam będzie, to poinformuję go o swoich planach, a jeśli nie, to zostawię mu kartkę.

—Bądź ostrożny, Axel. Sytuacja jest bardzo napięta i trudno odróżnić przyjaciela od wroga. — Myśli Müllera powędrowały gdzie indziej. — Ten najnowszy kryzys nie może trwać wiecznie. Ta walka o władzę, to przeciąganie liny... Prędzej czy później lina musi pęknąć!

*

Kommissar był ostatnią osobą, którą Berg miał ochotę zobaczyć, ale los zrzucił, że prawie zderzył się z Volkerem po wejściu na komendę.

— Po pańskim cywilnym stroju wnioskuje, że wybiera się pan do domu. — Volker zaczął się oddalać. — Dobrze, że nareszcie nauczył się pan wykonywać rozkazy.

Berg nie dał się zastraszyć.

— Musimy porozmawiać.

—Nie, musimy przywrócić w mieście porządek.

—Morderstwa, *Herr Kommissar*. Volker stanął jak wryty.

—O co panu chodzi?

Berg wiedział, że Volker pomyślał o Margot.

—O matkę i córkę znalezione w parku, *mein Herr*.

—A, tak. — Volker ruszył ponownie. — Później.

—Właśnie wracam ze szpitala, *Herr Kommissar*. Müller ma złamaną nogę, a Ulrich pęknięte płuco. Z zespołu, który brał udział w tym śledztwie, zostałem tylko ja.

—I na razie marnie się pan spisał, co?

Volker otworzył drzwi do swojego biura. Niezrażony Berg wszedł za nim do środka.

— Mam pewne tropy, Herr Volker. Muszę coś zrobić, zanim zginą kolejne kobiety.

Volker usiadł za biurkiem z ubawioną miną.

—Udręczony bohater. Chryste, świetnie pan gra męczennika.

—Jestem winny moim kolegom i miastu rozwiązanie tej sprawy. I rozwiążę ją. Dopilnuję, żeby sprawca tych bestialskich czynów trafił w bardzo ciemne i straszne miejsce.

—Rany boskie, co za retoryka! Może założy pan partię i zwoła wiec.

—Miałbym więcej do powiedzenia niż ten austriacki imbecyl.

—Bez wątpienia! — Na ustach Volkera zaigrał uśmiech. — Niech pan idzie do domu.

—Nie pójdę do domu. Przebiorę się w mundur i pójdę na miejsce zdarzenia.

—Teraz?

—Tak, teraz.

—Jest ciemno jak w piekle. Nic pan nie zobaczy.

—To pójdę obejrzeć ciała i odwiedzić rodzinę. Osłupiałe prychnięcie śmiechem.

—Axel, w mieście jest pandemonium!

—Dam sobie radę.

Volker znowu się uśmiechnął.

— Sądząc po tym, co się stało dzisiaj wieczorem, rzeczywiście da pan sobie radę.

Berg wziął głęboki wdech.

—Czyli wyraża pan zgodę. Volker wbił w niego wzrok.

—Przecież i tak pana nie powstrzymam, prawda?

Berg odetchnął z ulgą, ale potem ogarnęła go podejrzliwość. Czy to nie jest kolejna pułapka? Ale czy Volker kiedykolwiek zastawił na niego pułapkę? Zaczynał już trochę wariować od tego wszystkiego.

—Chciałbym, żeby poszedł ze mną profesor Kolb. Volker roześmiał się z niedowierzaniem.

—W mieście rozruchy, a pan chce ciągnąć ze sobą kalekę?

—Jeśli profesor zechce. Jego wiedza fachowa i dogłębne przemyślenia niezmiernie by mi się przydały.

—W jego żyłach płynie żydowska krew, Axel. Narazi go pan na ataki bojówkarzy. Jak będzie się bronił? Laską ich odpędzi?

—Jeśli powie, że się boi, to nie będę nalegał, ale sądzę, że zaryzykuje. Zawiozę go *Zweikrafrad*.

— Dobrze, Axel, niech pan idzie.

Nietypowa ustepliwość Volkera nastroiła Berga nieufnie. Wrócił myślami do Margot i osoby odpowiedzialnej za jej śmierć. Doskonale wiedział, czemu ją zabito. Biedna dziewczyna widziała, jak monachijski policjant zamordował dwóch chłopaków. Trzeba się było jej pozbyć. „Czy ja będę następny?”, zastanawiał się Berg.

— Dziękuję, *mein Herr*. Zaraz przebieram się w mundur.

— Tak, tak. Niech pan już idzie. Gra mi pan na nerwach. — Kiedy Berg miał zamknąć za sobą drzwi, usłyszał, jak Volker mówi do siebie szeptem: — To jest twój pogrzeb.

Rozdział czterdziesty

— Nie rozumiem, czemu nie zostałem natychmiast wezwany na miejsce zdarzenia.

Berg zaczerpnął głęboko tchu i powiedział sobie, że musi być cierpliwy.

— Po wiecu w mieście jest bardzo niespokojnie, *Herr Professor*. Może policja nie była w stanie do pana dotrzeć.

— Sądzę raczej, że ktoś nie życzył sobie, abym dotykał niemieckiej *Mädchen**⁶⁹ moimi żydowskimi łapami.

Kolb nie miał w zwyczaju okazywać po sobie rozdrażnienia.

— Austriak nie ma skąd wiedzieć o pańskim pochodzeniu, *Herr Professor*.

Kolb dotknął swojego nosa.

— Wystarczyłoby, żeby raz na mnie spojrzął.

Starszy pan miał świadomość, jaką atmosferę potrafi wytworzyć Hitler. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

— Nie wyobraża pan sobie, jakie zrobiło się zamieszanie, kiedy dotarła do nas wiadomość o morderstwach — uspokajał go Berg.

— Szkoda — odparł Kolb. — Jestem pewien, że wszystkie ślady zostały zatarte. Byłoby z tego znacznie więcej pożytku, gdybym mógł obejrzeć miejsce zdarzenia, zanim je zdeptano!

— To co, damy sobie teraz spokój z parkiem i pójdziemy tam za dnia?

— Tak sądzę. Chodźmy do prosektorium. Chciałbym zobaczyć zwłoki przed sekcją. Ocalmy te dowody, które jeszcze da się ocalić.

— Jak pan uważa, *Herr Professor*.

Kolb wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze.

— Zachowuję się dzisiaj niezbyt uprzejmie.

— Wszyscy jesteśmy rozdrażnieni.

⁶⁹ * *Mädchen* (niem.) — dziewczyna.

Berg mrugnął kilka razy, licząc na to, że usunie spod powiek nieprzyjemny obraz: nóż, jego nóż, wbija się w skórę. Nie potrafił jednak pozbyć się makabrycznych myśli, o zamordowanej matce i dziecku, o nożu przecinającym miękką tkankę tchawic, o krwi obryzgującej mu twarz.

„To były jeszcze dzieci. Diabelskie dzieci, ale jeszcze dzieci”, kołatało mu w głowie.

Na razie nie całkiem do niego dotarło, czego dokonał. W tej chwili należało się skupić na potworach zewnętrznego świata, a nie na tych kłębiących się w jego duszy. Jeśli chce znaleźć zabójcę, musi się skoncentrować. Później przyjdzie czas na rozliczenia z własnym sumieniem.

Pociągnął za dźwigenkę ssania *Kraftrad* i kilka razy przekręcił rączkę gazu.

—Siedzi pan wygodnie?

—Tak, ruszajmy.

Kolb mieszkał na obrzeżach miasta na północny zachód od Schwabing, w kawalerce na trzecim piętrze. Był to jeden z nowszych budynków, w których kable elektryczne puszczone już wewnątrz ścian. Profesor często pracował przy kiepskim świetle. Może dlatego miał takie grube okulary. Teraz Berg wywlókł go z domowych pieleszy, żeby poprosić go o pomoc. Powoli wyjechał motocyklem na ulicę.

—Mieszkają blisko pana, w Schwabing. To znaczy mieszkały...

—Ale zamordowano je w Englischer Garten?

—Nie wiem, gdzie je zamordowano, ale ciała znaleziono w Englischer Garten.

—A, tak. Ma pan jakieś przemyślenia na temat naszego potwora?

—O nikim innym nie myślę! Kto zacz, skąd pochodzi, co robi, co się kryje za jego zboczeniem.

—No i?

— No i bardzo niewiele wymyśliłem. Tropy, którymi dysponuję, prowadzą ku ludziom o różnych nazwiskach, różnych zawodach i różnych narodowościach.

— Słucham? Silnik tak wyje, że słabo pana słyszę.

Berg skręcił kilka razy, aż znalazł się na Ludwig Strasse. Tam zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik. Na wysadzonej drzewami ulicy, głównej arterii na osi północ-południe, było pusto i ciemno, z rozkazu *Oberbürgermeister* wyłączono elektryczne latarnie. Ze względu na nocną porę ucichło nawet wszędobylskie podzwanie tramwajów. Dwie godziny wcześniej w mieście wprowadzono godzinę policyjną. Każda osoba, która pojawiła się na ulicy bez zezwolenia, zostawała aresztowana.

Cisza była cokolwiek upiorna, ale z drugiej strony przywołała wspomnienia z młodości Berga. W takich rzadkich chwilach jak ta miał poczucie, że może dotknąć swego dzieciństwa, czasów sprzed pojazdów samochodowych i elektryczności, sprzed drastycznych ingerencji nowoczesnych wynalazków w naturalny porządek rzeczy. Kiedy Berg był małym dzieckiem, często udawał, że śpi, chociaż tak naprawdę godzinami leżał w łóżku i rozmyślał. Spod pierzyny wystawał mu tylko zmarznięty nos. Uważał, żeby się nie poruszyć i nie obudzić dwóch młodszych braci, którzy dzielili z nim łóżko. Jeśli nastawił ucha, w tamtych czasach mógł usłyszeć rzenie koni w stajniach. Zwierzęta te rządziły kiedyś miastem, ciągnęły furgony policyjne, tramwaje i dorożki. Teraz tylko targowci przekupnie zaprzęgali je do swoich furmanek, i to coraz rzadziej, bo konie hamowały ruch uliczny, a zmotoryzowani trąbili na nie i niejedną spłoszoną końską głowę stawał dęba. Berg nie uważał, żeby motoryzacja sama w sobie była czymś złym. Problem polegał na tym, że kierujący zachowywali się tak, jakby jezdnia należała wyłącznie do nich.

To było tak dawno, zanim wojna rozdarła świat na dwoje, zanim polityka podzieliła miasto. Komuniści przeciw rojalistom, socjaldemokraci przeciwko Niemieckiej Partii Robotniczej, robotnicy bawarscy przeciw Niemieckiej Partii Demokratycznej. I wszyscy przeciw Hitlerowi — tak przynajmniej twierdzili, mimo że poparcie dla Austriaka najwyraźniej rosło. Wszystko to było za bardzo skomplikowane.

— Nie powiedziałem niczego ważnego. — Berg wyjął kluczyk ze stacyjki i ciasno obwiązał szalik wokół szyi. Powietrze było wilgotne i mroźne. — Pan na pewno też to wymyślił.

Powtórzył, co powiedział na temat zabójcy, i Kolb skinął głową.

—Nawet ofiary pochodzą z różnych bajek, *Herr Professor*. Pierwszą była burżujka, która mieszkała w sześciopokojowym mieszkaniu na Widenmayer Strasse. Mężatka, przy nadziei. Druga to przyjezdna z Berlina, komunistka, a w każdym razie flirtowała z komunizmem. Zatrzymała się w pensjonacie w Giesing. Trzecia ofiara to imigrancka żydowska krawcowa, która mieszkała blisko Gartnerplatz. Teraz mamy dwa nowe morderstwa — kobieta z robotniczej rodziny i jej dziecko, zamieszkałe kawałek na wschód od Schwabing. Morderca nie wykazuje się konsekwencją, jeśli chodzi o sytuację majątkową, wyznanie i miejsce zamieszkania swoich ofiar. Ostatnie dwie przypuszczalnie zostały zabite w dzień, a pierwsze trzy w nocy. Można dostać szału!

—Ciekawe. — Kolb pogłaskał się po brodzie. — Z mojego punktu widzenia ofiary są bardzo do siebie podobne. Same młode kobiety, wszystkie uduszone, a ciała znaleziono w Englischer Garten, poza Marleną Druer, której zwłoki leżały jednak niecały kilometr dalej.

—Tak, to chyba zależy, z której strony na to spojrzeć — przytaknął Berg. — Ale sam fakt znalezienia ciał w Englischer Garten lub w pobliżu nie stanowi żadnej konkretnej poszlaki. Park jest olbrzymi, z dużą ilością drzew i zarośli. Nie przychodzi mi do głowy lepsze miejsce na porzucenie zwłok.

—To prawda — odparł Kolb.

—To co, idziemy do prosektorium?

—Najpierw proszę mi powiedzieć, co pan wie o najnowszych ofiarach — poprosił profesor.

—Na razie niewiele. Na pewno nie wiem, w jaki sposób zostały zamordowane, bo sędzę, że o to pan pyta.

—Czy dysponujemy jakimiś informacjami na temat ich sytuacji życiowej?

—Kobieta była wdową. Jej mąż zmarł przed czterema laty na zakażenie. Odnowiła mu się wojenna rana nogi.

— Czy zamordowana dziewczynka była jej jedynym dzieckiem?

—Nie, jest jeszcze syn.

—Czyli teraz został sierotą — odparł Kolb.

Berg zgarbił się pod niewidzialnym ciężarem, który poczuł na ramionach. Ponownie zapalił silnik i ruszył.

— Ciocia nazywa się Renate Dehmel — mężatka z dwójką dzieci.

— A ofiara?

— Edith Mayrhofer. Miała czterdzieści lat. A jej córeczka, Johanna, sześć albo siedem.

— A chłopiec?

— Ralph, dziesięć lat. Był w tym czasie u cioci Renate, która ma syna w tym samym wieku. Edith postanowiła skorzystać ze słonecznego dnia i zabrać Johanne na spacer. Nie wróciły po Ralpha o umówionej godzinie i Renate zaczęła się niepokoić. Poszła ich szukać.

— To ona je znalazła? — przeraził się Kolb.

— Nie wiem, ale dyżurny mi powiedział, że widziała zwłoki. To musiało być straszne, zwłaszcza że miała ze sobą syna.

—*Mein Gott*, to potworne!

—Okropne!

—Szkoda, że nie udało się nam zobaczyć ciał w takim ułożeniu, w jakim je znaleziono.

—Normalnie ktoś z *Mordkommission* musi wyrazić pisemną zgodę na zabranie zwłok, ale z powodu wiecu i zamieszek prawie wszystkie siły policyjne skierowano na Königsplatz i Gärtnerplatz.

— W prosektorium dowiemy się więcej — stwierdził Kolb.

— A potem odwiedzimy miejsce zdarzenia. Jestem pewien, że policja odgrodziła teren.

— Tak, to dobry pomysł.

Berg dosłuchał się w głosie profesora oznak zmęczenia.

—Ale możemy odłożyć to na rano. Nie chcę pana nadwreżać.

—Wytrzymam. Śmierć, drogi kolego, jest jeszcze bardziej męcząca — odparł z uśmiechem Kolb.

*

Prosektorium mieściło się w przyziemiu szpitala i smród nie przedostawał się na wyższe kondygnacje, ale już na schodach Berga prawie zemdliło.

Był tutaj dopiero po raz trzeci i poprzednie dwie wizyty nie przygotowały go na obecność.

Z kolei Kolb zdawał się nieczuły na makabryczny odór.

Asystent sekcyjny sprawiał wrażenie ubawionego reakcją Berga. Ten mocno zbudowany człowiek z głęboko osadzonymi oczami prowadził ich na dół po schodach, przyświecając sobie lampą gazową. W budynku było wprawdzie oświetlenie elektryczne, ale klatek schodowych nie okablowano.

— Co roku z utęsknieniem czekamy na zimę — powiedział. — Latem smród jest dużo gorszy. I dochodzą do tego owady. Przyciąga je woń rozkładającego się ciała. Zwłaszcza muchy. A jak wzrośnie wilgotność... — Machnął ręką. — Szkoda gadać.

Berg bezustannie przełykał ślinę, bo treści żołądkowe podchodziły mu do gardła. Owinął sobie usta i nos szalikiem. Zapach rozkładu jest silniejszy niż zapach morderstwa.

— Można się przyzwycząić — ciągnął asystent. — Czasem nawet jem obiad w sali sekcyjnej.

— Ohyda! — mruknął Berg.

— To lepsze niż głodować, inspektorze. — Dotarli na dół. Asystent otworzył drzwi prosektorium. — Tędy, *meine Herren*.

Weszli do istnego lochu, wilgotnego betonowego bunkra bez okien, nawet takich, jakie widuje się w piwnicach. Ani grama świeżego powietrza, ani grama naturalnego światła, nawet za dnia. Żarówki elektryczne migotały nikłym żółtawym blaskiem, do spółki ze starymi kinkietami gazowymi. Zanim asystent otworzył drzwi, Berg pomyślał, że zdążył już przyzwycząić się do smrodu. Był w błędzie.

— Tędy.

W prosektoryjnym amfiteatrze natężenie trupiego smrodu było tak intensywne, że Berg o mało nie stracił przytomności. Zrobiło mu się potwornie głupio. Podczas Wielkiej Wojny oddychał zapachem śmierci, otoczony wyzutymi z życia ciałami. To było jednak nic w porównaniu z bodźcami zapachowymi w prosektorium. Ale i widok robił ogromne wrażenie: rzędy stalowych stołów sekcyjnych i na każdym zwłoki, w sumie piętnaście do

dwudziestu. Niektóre były przykryte, ale co najmniej połowa nagich trupów patrzyła do góry pustymi oczami. Niektóre zwłoki zbyt długo wystawione były na działanie żywiołów, toteż skóra pomarszczyła się i poczerniała jak afrykańskie poobkurcza-ne głowy. Niektóre obrosły pleśnią jak zepsute mięso czy ser. Na półkach leżały zawinięte w białe prześcieradła ciała, które czekały na swoją kolejkę. Rozkład tkanek powodował, że na zwłokach pojawiały się kropelki cieczy. Nawet silny zapach środków odkażających nie potrafił zamaskować trupiego zaduchu.

Kilku patologów przeprowadzało sekcje zwłok. Jeden właśnie wykonał cięcie w kształcie litery Y, od ramion do przepony i dalej do obszaru łonowego. Inny właśnie wyjął serce, które kołysało się galaretowato w jego odzianych w rękawice dłoniach. Szybko położył ociekający krwią narząd na wadze.

Mózg Berga wypełnił się paletą różnych odcieni koloru czerwonego: rubinowym, karmazynowym, szkarłatnym, karminowym, wiśniowym, kasztanowym, cynobrowym... tyle wariantów... więcej odcieni niż nazw.

Starszy wiekiem lekarz, siwobrody okularnik, podniósł wzrok znad jednego ze stołów. Zbryzgany krwią biały kitel chronił garnitur i krawat. Na głowie patolog miał papierową czapkę, na dłoniach gumowe rękawice, a na ustach i nosie papierową maskę. Był tak korpulentny, że gdyby pofarbować cały fartuch na cynobrowo, Berg pomyliłby go ze Świętym Mikołajem. Lekarz spojrzał ma inspektora.

—Jest pan z policji?

—Tak.

—Dlaczego tak późno?

—Zaszły nieprzewidziane okoliczności. — Chcąc zostać zrozumianym, Berg musiał ściągnąć szalik. Smród zaatakował ze zdwojoną siłą, ale asystent miał rację: można się było przyzwyczaić. Berg oddychał bez dławienia się. — Inspektor Axel Berg z *Münchener Polizei, Mordkommission*. Prowadzę śledztwo w sprawie serii brutalnych morderstw.

—*Herr Doktor* Jakob Gebhardt. — Patolog stuknął obcasami. — Miło pana poznać, inspektorze.

—Mnie również, *Herr Doktor* — odparł Berg — aczkolwiek wolałbym zawrzeć z panem znajomość w sympatyczniejszych okolicznościach. To jest *Polizei Daktyloskoper* i analityk dowodów rzeczowych *Herr Professor*...

—Nie trzeba nas sobie przedstawiać, inspektorze, znam *Herr Professor* Kolba, wybitnego uczonego, od wielu lat. — Gebhardt uśmiechnął się. — Wszystkie hieny cmentarne się znają. Proszę chwileczkę poczekać, tylko się przebiorę i będę do panów dyspozycji.

Chwileczka potrwała dwadzieścia minut. Berg był zmęczony, ale jego mózg posyłał do krwi tyle adrenaliny, że i tak by nie zasnął. Zresztą bał się zamknąć oczy, takie koszmary czaiły się za powiekami.

—Wyglądasz na zmęczonego, Josef — powiedział Gebhardt do Kolba.

—Jest prawie pierwsza nad ranem, Jakob. Wyobraź sobie, że są ludzie, którzy w nocy śpią.

—Noc, dzień, tutaj to bez różnicy. Zanim nastąpiła elektryczność — zwrócił się do Berga — mieliśmy własny budynek z oknami, światłem dziennym i odpowiednimi warunkami pracy, ale kiedy miasto okablowało szpital i okoliczne budynki, odebrano nam prosektorium i zesłano nas tutaj. Tak jest oczywiście wygodniej, bo nie trzeba już wozić ciał ze szpitala, ale warunki są fatalne, zwłaszcza w lecie.

—Już im o tym mówiłem, *Herr Doktor* — wtrącił asystent.

—Tak przypuszczałem, Klaus. — Westchnął. — I to oświetlenie... coś strasznego. Jeśli nie dostawi się lampy naftowej, ledwo co widać. Czasem używam nawet pochodni! Ale wtedy się martwię, że wywołam pożar. — Gebhardt wyrzucił ramiona do góry. — Znacie te wszystkie mity o nocnych stworzeniach, które więdną za dnia? Myślę, że ktoś kiedyś zobaczył jednego z naszych patologów, który wyszedł z tej pieczary i zmrużył oczy, bo światło go oślepiło.

—Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy — powiedział Kolb.

— W żadnym razie. — Gebhardt spoważniał. — Co się stało tam na górze?

— Hitler, oto, co się stało — odparł Berg.

— Czy to się nigdy nie skończy? — Gebhardt pokręcił głową. — Przyjrzemy się najnowszym tragediom, które dotknęły nasze udęczone miasto?

— Gdyby był pan tak miły — odrzekł Berg.

— Mam tutaj jedno z ciał.

Gebhardt zatrzymał się przed stołem, na którym leżały zwłoki przykryte prześcieradłem. Berg poznał po rozmiarach, że jest to ciało dziewczynki. Taka kruszynka. Berg pomyślał o słodkiej twarzyczce Moniki i oblał się potem. Doktor chyba niczego nie zauważył.

— Niech pan zdejmie matkę, Klaus — polecił swemu asystentowi. — O ile dobrze pamiętam, to 5G.

Berg ponownie spojrzął na półki z ciałami. Nad najwyższą z nich widniał grawerowany w mosiądzu napis, sporządzony zwykłymi, a nie gotyczkimi literami — i słusznie, bo słowa były niemieckie, a nie łacińskie.

Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae.

— To jest miejsce, gdzie śmierć z radością uczy żywych — przetłumaczył Kolb.

— Święta prawda.

Gebhardt odkrył ciało dziewczynki, ładnej nawet po śmierci i z pewnością jeszcze ładniejszej za życia. Miała jasną cerę i długie złociste włosy. Niełatwo było określić kolor oczu, ponieważ źrenice osiągnęły maksymalne rozszerzenie, ale Berg dostrzegł jasnoniebieskie obwódki wokół czarnych kólek.

— Ta dziewczynka była od stóp dop głów Aryjką — powiedział Gebhardt. — Hitler bez wątpienia użyje śmierci tej biedaczki do rozgrywek politycznych.

Berg usłyszał za plecami stękanie Klause, który ściągał z półki¹ drugie zwłoki.

— W jaki sposób zginęła? — spytał.

— Niech pan sam zobaczy. — Gebhardt delikatnie przetoczył ciało na bok. Przy tym ułożeniu można było zobaczyć spore; wgłębienie z tyłu czaszki.

Kolb wyjął z kieszeni gumowe rękawice i dotknął palcami wgłębienia.

—Nie młotek — orzekł. — Za szerokie. Poza tym taka delikatna czaszka pękłaby.

—I nie wiosło, bo wgłębienie jest za małe — stwierdził Gebhardt. — Nie wygląda też na ślad po sprzączce od paska. Bardzo regularne koło.

—Sądzi pan, że to jest efekt kary cielesnej wymierzonej przez matkę? — spytał Berg.

—Już widywałem takie rzeczy, inspektorze. Niektórzy rodzice nie zdają sobie sprawy, jak kruche jest ciało dziecka. Z reguły paskiem posługuje się ojciec, a ofiarą pada mały chłopczyk, ale widziałem też małe dzieci zabite przez matki, na ogół niechący, z winy wybuchowego charakteru. W takich przypadkach obserwuję jednak również pręgi na nogach, ramionach, brzuchu i pośladkach. Jeden cios w głowę raczej się nie zdarza.

—Skoro matka została zamordowana, to chyba możemy z dużą dozą pewności założyć, że to nie ona ponosi winę za śmierć swojej córki.

—Właśnie — zgodził się z nim Gebhardt. — Potem pomyślałem o mężu tej kobiety. Mężczyźni potrafią ciężko pobić swoje żony.

—Była wdową — przypomniał Berg.

—Tak, tak... To pozwala nam wykluczyć męża z grona podejrzanych.

—Na moje oko została uderzona od tyłu laską — zawyrokował Kolb.

Berg uniósł brew.

— Czy są też ślady duszenia?

— Nie, kręgi są całe, skóra też nienaruszona — odparł Gebhardt.

— Zmierzymy wgłębienie, dobrze? — zaproponował Kolb.

Gebhardt wyjął z kieszeni suwmiarkę, zmierzył średnicę i podał im dokładną liczbę w milimetrach. Kolb zdjął gumowe rękawiczki i pogłaskał się po brodzie.

— Inna wielkość niż poprzednim razem — zwrócił uwagę Berg. — Morderca posłużył się inną laską?

— Niekoniecznie — odrzekł Kolb. — Dorosła kobieta ma twardsze kości. Laska napotkałaby większy opór. Czaszka dziecka jest delikatniejsza i cieńsza. Wgłębienie dokonane przy użyciu tego samego narzędzia i z tą samą siłą u dziecka byłoby szersze i głębsze.

— Bardzo cierpiała? — zapytał Berg ze smutną miną.

— Myślę, że natychmiast straciła przytomność — odparł Kolb.

Gebhardt przychylił się do tej opinii.

—Przygotowałem drugie zwłoki, *Herr Doktor* — powiedział asystent Klaus.

—To świetnie! — ucieszył się Gebhardt. — Rzucimy okiem, panowie?

Na widok nagiej kobiety Berg odruchowo odwrócił wzrok. Kiedy ponownie skierował je na ciało, zamrugał kilka razy: kiedyś była to żywa istota, która nazywała się Edith Mayrhofer, a teraz została z niej góra martwej tkanki, a z oczu —jasnoniebieskich jak u jej córki — zniknęło światło. Skóra była woskowa i szara, a twarz pobrużdżona. Kobieta miała brązowe kręcone włosy z pasemkami siwizny. Na czole po prawej stronie ziała wielka dziura, z której wylewała się krew i mózg. Berg spuścił wzrok na szyję: przebarwiona, ale żadnych śladów po duszeniu.

— A czy ją duszono? — spytał. Gebhardt przyjrzał się skórze na szyi.

—Odcisnąć palców nie widzę, więc na pewno nie rękami, Jak sądzisz, Josef?

—Jestem tego samego zdania co ty. Podłużnych wgłębień też nie widzę.

Berg westchnął. Nie to chciał usłyszeć. Pierwsza kobieta zmarła na skutek uduszenia. Reginę Gottlieb uderzono w głowę i duszono. Ostatnia ofiara zginęła od ciosów tępym narzędziem. Czyżby morderca uznał, że łatwiej jest zabić laską, i zmienił metodę, czy też sprawcą tego zabójstwa jest inny człowiek? Czy to może być możliwe, że żadne z morderstw nie są ze sobą związane?

—Zgwałcono ją? — dociekał Berg.

—Na podstawie wiedzy, którą obecnie posiadam, powiedziałbym, że nie. Zrobiłem wymaz i sprawdziłem pod mikroskopem: ani śladu plemników. Oczywiście należy uwzględnić możliwość, że sprawca nie szczytował. Obdukcji narządów intymnych jeszcze nie przeprowadziłem.

—Pierwsza ofiara odbyła stosunek, druga nie, Regina Gottlieb znowu tak, ta znowu nie...

—Do czego pan zmierza?

—Szukam schematu tam, gdzie żadnego schematu nie ma — myślał na głos Berg. — Pierwsze morderstwo, Anny Gross, wyglądało na zbrodnię z namiętności. Miała w sobie nasienie.

—Myślałem, że zabił ją mąż, bo przyprawiła mu rogi — powiedział Gebhardt.

—To była jedna z teorii, ale tłum zlinczował Herr Grossa, zanim zdążyliśmy zweryfikować tę hipotezę. — Berg nie rozwijał tematu. — Drugie morderstwo, Marleny Druer, też mogło być zbrodnią z namiętności. W jej pokoju znaleźliśmy list, który można zakwalifikować jako miłosny. Ale nie zgwałcono jej. Trzecie morderstwo z całą pewnością było poprzedzone gwałtem. Albo mamy do czynienia z różnymi zabójcami, albo dreszczyk fanatyczny zastąpił dreszczyk seksualny.

—*Lustmord* — powiedział Kolb. — Tym razem morderca posunął się jeszcze dalej w zaspokajaniu tego popędu: zabił dziecko. Kto następny padnie ofiarą jego żądz?

Berg pokręcił z odrazą głową.

—Miałby zabić małe dziecko dla zaspokojenia popędu?

—Podejrzewam, że zginęła przypadkowo — zasugerował patolog. — Może morderca zauważył ją dopiero po zaatakowaniu matki.

—Albo zobaczył w dziewczynce potencjalną kobietę, czyli obiekt swojej nienawiści — spekulował Kolb. — Zabij, zanim ona będzie zdolna zabić ciebie. Freud ma teorię, zgodnie z którą kobiety podświadomie pragną zniszczyć mężczyzn przez zazdrość o penisa. Robią to, wysyłając ich na wojnę. Z kolei mężczyźni zazdroszczą kobietom jako stworzycielkom życia. Mszczą się na nich, raz po raz uśmiercając je symbolicznie w akcie seksualnym.

—Słyszałem o tej koncepcji — stwierdził Gebhardt — ale nie wiem, czybym się pod nią podpisał.

— Zgadzam się z doktorem Gebhardtem — powiedział Berg. — Oprócz chęci zaspokojenia żądz mordy jest wiele powodów, dla których ludzie uprawiają seks.

— Ale seks i morderstwo mają pewien wspólny element: w obu tych aktach człowiek traci panowanie nad sobą.

— Ja tracę panowanie nad sobą, kiedy zwicznę sobie palec, Josef — powiedział Gebhardt. — To nie znaczy, że gwałcę i morduję.

— Oczywiście, że nie! Mordercy nie biorą się z powietrza — odparł Kolb. — Ale nie zaprzeczysz, Jakob, że tworzenie i niszczenie to dwie najważniejsze siły napędowe świata.

— Nie, nie zaprzeczę.

Berg skinął głową, jakby Kolb powiedział coś doniosłego. Nie mógł zrozumieć tego całego zamieszania wokół Freuda. Jakim sposobem ten wiedeński Żyd stał się taki sławny, głosząc rzeczy oczywiste?

TLR

Rozdział czterdziesty pierwszy

O trzeciej w nocy Berg zapadł w gorączkowy sen i obudził się gwałtownie dwie godziny później, by nareszcie wstać z łóżka o szóstej. Za bardzo zmęczony, żeby podgrzać wodę do mycia, obmył się gąbką zamoczoną w lodowatej wodzie z kranu i patrzył, jak brud spiralnym ruchem spływa do otworu w kuchennym zlewie. Otworzył nowe pudełko żyletek Sisu i wielokrotnie zaciał się przy goleniu. Ochlapał twarz wodą, a potem włożył podkoszulek z długim rękawem i kalesony, a następnie wełniane spodnie, gruby sweter zrobiony na drutach i dwie pary skarpetek. Na koniec wsunął stopy w popękane skórzane buty.

W środku było mu ciepło, chociaż głowę i dłonie wciąż miał zimne, a policzki nadal go piekły po nieuważnym goleniu. Zapalił żarówkę w części jadalnej salonu, zbyt słabą, żeby światło obudziło Joachima, który leżał na sofie z nogami zwisającymi nad podłogą. Cicho i ostrożnie Berg otworzył drzwiczki pieca, rozgrzebał węgle i przesunął kratkę regulującą przepływ powietrza. Po chwili kaloryfer zasyczał i zaczął emanować wilgotnym ciepłem. Berg postawił na piecu dzbanek do parzenia kawy. Woda zagotowała się po kilku minutach i gęsty aromat wypełnił niewielkie pomieszczenie. Berg nachylił się i przez nos wciągnął powietrze do płuc. Z parującym kubkiem w dłoni stanął w oknie, przebiegając wzrokiem pustą ulicę miasta wciąż spowitego ciemnościami. Nic jeszcze nie zapowiadało świtu. Na zaciągniętym chmurami niebie nie było widać ani jednej gwiazdy. Berg sparzył usta gorącą kawą. Drugi kubek wypił bardziej dla smaku niż dla rozgrzania się. Właśnie skończył jeść śniadanie złożone z bułki z masłem i marmoladą, kiedy usłyszał, że Joachim się poruszył. Jego syn o mało nie spadł z sofy, ale zdążył podeprzeć się stopami. Przetarł oczy i zapytał:

—Która godzina?

—Wpół do siódmej. Śpij jeszcze.

—Czemu wstałeś tak wcześnie, tato?

—Miałem pracowitą noc. Sądzę, że czeka mnie jeszcze bardziej pracowity dzień.

Joachim ponownie przetarł oczy i chwiejnym krokiem podszedł do stołu.

—Słyszałem, że były straszne rozruchy. Mama się martwiła.

—Dzwoniłem do niej. Wiedziała, że jestem bezpieczny.

—Ale i tak się martwiła. Powiedziała... — Urwał.

Berg poczęstował Joachima kubkiem kawy z mlekiem i cukrem.

— Co powiedziała?

Joachim łapczywie napił się kawy.

—Dziękuję.

—Co powiedziała mama? — Berg nie ustępował.

—Nic ważnego. Denerwuje się, kiedy w mieście jest niespokojnie, a ona nie wie, co ty robisz.

—W mieście zawsze jest niespokojnie.

—Wczorajszy wieczór był wyjątkowy.

— To prawda — przytaknął Berg. — A dzisiaj wszyscy będziemy cierpieli skutki działań tej hieny.

—To nie wina Hitlera, że niektórzy jego zwolennicy to bandziory.

—Przywódca nadaje ton — zaoponował Berg. — Austriak jest opryskiem i przyciąga opryszków. Żebyś widział, co brunatne koszule zrobiły na Gartnerplatz! Coś haniebnego!

Chłopiec z powagą skinął głową.

—Co tam robiłeś? — spytał.

—Chroniłem naszych mieszkańców. Wszystkich mieszkańców, czyli także biednych, Cyganów i Żydów. — Joachim zrobił minę, ale Berg udał, że tego nie zauważył. — Jestem pewien, że w szkole będzie mowa o zamieszkach. Nie daj się przekonać tym idiotom nauczycielom, że to nie była wina Hitlera, bo była!

— Przynajmniej cieszę się, że nic ci się nie stało. — Joachim spuścił wzrok. — Co z tymi dwoma nowymi morderstwami, tato? Słyszałem, że dziewczynka była w wieku Moniki. Berg skrzywił się.

—Jest postęp w śledztwie. Może byłby większy, gdyby naziści nie wywołali w mieście chaosu. — Nalał sobie resztę kawy, wyrzucił fusy do kosza, wypłukał dzbanek i zaparzył nową porcję, licząc na to, że aromat obudzi Britte. — Obiecuję, że go dorwiemy.

—Kogo dorwiecie?

Głos jego żony. Miała na sobie spłowiały różowy szlafrok i stare pantofle z dziurą na dużym palcu jednej stopy. Włosy w kolorze tlenionego blondu były zmierzwiłone. Rozczesała je palcami. Berg nalał jej kawy.

—Tego potwora — odparł Berg.

—Którego: Hitlera czy mordercę?

—Mówiłem o mordercy. Nie mogę w pojedynkę wytepić austriackiej zarazy. Do tego musielibyśmy się zjednoczyć.

—To równie dobrze można mu przekazać urząd kanclerski. Nie potrafimy się zjednoczyć nawet w naszym mieście, a co dopiero w całym kraju. Nie jesteśmy narodem, tylko zlepkiem wędrownych plemion, które wiecznie ze sobą wojują.

—To nie tak, mamó — zabrał głos Joachim. — Posłuchaj... Wiem, że nie lubisz Herr Hitlera, ale on zna problemy, przed którymi stoimy. Ciężko pracuje nad tym, żeby przywrócić naród niemiecki do dawnej chwały...

—Oj, przestań, Joachim! Jesteś za bardzo inteligentny, żeby wierzyć w takie bzdury. — Britta otworzyła niebiesko-białą papierośnicę Watto, zapaliła dwa papierosy i dała jednego mężowi.

—Dziękuję. — Berg zaciągnął się dymem i spojrzał na żonę. — Od kiedy tak bardzo nie znosisz Austriaka?

—Mam dosyć jego taktyki. Skoro ten osioł nie potrafi zapanować nad swoimi bojówkarzami, to jak chce zapanować nad całym krajem?

—Czasem najpierw trzeba zwrócić na siebie uwagę narodu — argumentował Joachim.

—Kto ci nagadał takich rzeczy? — Przewróciła oczami. — Nie musisz mi na to odpowiadać, sama wiem. Uwe Kanstinger, racja?

— Jestem na tyle duży, żeby mieć własne zdanie, mamó — obruszył się Joachim.

—Jeśli nie Uwe, to jego starsza siostra, racja? — prychnęła Britta. — Nie wypieraj się. Widziałam, jak rozmawialiście ze sobą.

—Rozmawiam z mnóstwem ludzi — zdenerwował się Joachim.

—Ta dziewczyna to wariatka — powiedziała Britta do Berga. — Kocha się w Austriaku. Ma na ścianie jego zdjęcie.

— I kto tu jest nietolerancyjny! — zaprotestował Joachim.

— Skąd wiesz, że to wariatka, skoro nigdy z nią nie rozmawiałaś? Tak się składa, że jest bardzo inteligentna.

— To dziwka, Joachim. Chłopiec huknął kubkiem o stół.

— To nieprawda! Nie powinnaś mówić takich rzeczy! Tak nie wolno, mamo! Mylisz się!

Wstał, pomaszerował do swojego pokoju i trzasnął drzwiami, budząc siostrę. Zaspana Monika jęknęła coś w proteście. Joachim warknął na nią. Zaczęli się kłócić.

— Cisza! — krzyknął Berg. — Obudzicie sąsiadów. Kłótnia przycichła do agresywnego szeptu, a potem całkiem ustała.

— Teraz już wiem to, co od jakiegoś czasu podejrzewałam.

— Britta zagryzła wargę. — Co za obrzydliwa suka! — On z nią sypia?

— Słyszałeś, jak jej broni! Co sobie myślisz?

—Przecież ona ma ze dwadzieścia lat! Zwariowała? Joachim to jeszcze chłopiec!

—Najwyraźniej nie dla niej. — Britta wbiła w męża srogie spojrzenie. — A odkąd to różnica wieku nie pozwala mężczyźnie posuwać kobiety?

Berg nie odpowiedział. Zresztą teraz nie miało to już znaczenia. Sprawa skończona, tak nieodwracalnie, jak nieodwracalna potrafi być tylko śmierć.

— Musisz z nim porozmawiać — powiedziała Britta. — Chłopiec musi wiedzieć, jak zapobiegać kłopotom. Chwała Bogu, że został ochrzczony jako luteranin i może coś w tej sprawie zadziałać.

—Nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiamy. — Berg pokręcił głową z konsternacją. — Joachim niedawno skończył piętnaście lat.

—Może gdybyś spędzał więcej czasu w domu, a mniej na ulicy, to byś wiedział, co się dzieje w życiu twoich dzieci! — Odwróciła się do niego

plecami, poszła do pokoju i trzasnęła za sobą drzwiami, sygnalizując, że dyskusja skończona.

Sam przy stole, Berg znowu wyrzął przez okno i zobaczył, że niebo z czarnego zrobiło się ołowiane. Zaświtał nowy dzień.

*

Wszystkie poranne gazety z wyjątkiem „Völkischer Beobachter” wydrukowały zwyczajową porcję felietonów i komentarzy, w których było zarówno wytykanie winnych palcami i domaganie się ich ukarania, jak też załamywanie rąk, samobiczowanie się i zagładanie we własne sumienia. Jak to się stało? Dlaczego to się stało? Czy miasto nie wyciągnęło nauki z pierwszego puczu (pytanie czysto retoryczne) i co należy teraz zrobić z Hitlerem?

Tym razem Austriak był sprytniejszy i usunął się w cień, jak tylko wybuchły zamieszki. Wyciągnął wnioski z błędów popełnionych w 1923 roku i opanował sztukę delegowania władzy, przenoszenia obowiązków na niższe szczeble. Dzięki temu wina nie spadła bezpośrednio na niego, tylko na jego pretorianów, na bojówkarzy i chuliganów, którzy „błędnie zinterpretowali” jego słowa, jak utrzymywał sam Hitler. Kiedy zatrzymane brunatne koszule prowadzono na sale sądowe, młodzi chuligani zachowywali się butnie, śmiali się i żartowali, każdy niecierpliwie czekał na swoją kolejkę, żeby pierdnąć władzy w twarz.

Miejsce w gazetach, którego nie poświęcono zamieszkom, w całości zajęła sprawa morderstw Edith Mayrhofer i jej córki Johanny. „Völkischer Beobachter” wrzeszczał z nagłówków, licząc na to, że z popiołów wczorajszych zamieszek wstanie feniks protestów. W normalnych okolicznościach Berg nie byłby zainteresowany czytaniem tego szmatławca, ale tego ranka nie miał wyboru, ponieważ *Kommissar* podsunął mu gazetę pod nos.

Volker wyglądał tak, jakby był zmęczony i cierpiał na niestrawność. Ubrał się jak zwykle starannie, ale był wymięty i nieogolony. Biadolił, przechadzając się tam i z powrotem po swoim biurze.

—Wielu mieszkańców popiera stanowisko tej gazety.

—To bardzo źle.

—Hitler na razie wymknął nam się spod kontroli...

—To też bardzo źle.

—Ale jedno zrobić możemy: odebrać mu argumenty do podjudzania ludzi! Chcę natychmiast mieć czyjaś głowę na talerzu! Niech pan kogoś aresztuje!

—Wypróbowaliśmy to z Antonem Grossem, *Herr Kommissar*, i nie poskutkowało. Musimy znaleźć prawdziwego sprawcę.

—To niech pan go znajdzie!

—Staram się, ale ciągle są jakieś przeszkody. A teraz jeszcze Müller i Storf są wyłączeni ze śledztwa.

—To niech pan dołączy Kalmera i Messersmita.

—Zrobię to, jeśli będę ich potrzebował. *Herr Kommissar*, mógłbym zrobić parę rzeczy, które popchnęłyby sprawę do przodu, ale wymagają pańskiego pozwolenia.

Volker zatrzymał się.

—Mów pan!

—Próbuję zweryfikować informację...

—Co pan ma, Berg? — zniecierpliwił się Volker.

—Mam serię drobnych faktów, które zaczynają się układać w pewną całość.

Volker nareszcie usiadł spokojnie i splótł dłonie na kolanach.

— Proszę mówić dalej.

Berg pozostał na stojąco, ponieważ jego zwierzchnik nie poprosił go o zajęcie miejsca.

— Próbuję namierzyć osobę z wizytówki, którą otrzymała Anna Gross. Na wizytówce jest nazwisko Roberta Schicka. Pokojówka Anny twierdzi, że ten człowiek kilka razy odwiedził jej panią pod nieobecność Antona Grossa. Podejrzewa również, że Schick jest rosyjskim komunistą. Zacząłem go szukać. Dzień później znaleziono zwłoki Marleny Druer. W jej rzeczach znalazłem list podpisany przez mężczyznę imieniem Robert. Udaliśmy się pod wskazany w liście adres. Mieszkał tam kiedyś niejaki Robert Schick, ale kiedy się tam zjawiliśmy, w mieszkaniu nie było nikogo.

—Wyprowadził się?

—Tak. I nie zostawił adresu.

—Proszę mówić dalej.

—Mieliśmy już stamtąd wyjść, kiedy amerykański dziennikarz, który mieszkał naprzeciwko Schicka, wystawił głowę przez drzwi. Powiedział nam, że w mieszkaniu tym mieszkał człowiek, który podawał się za angielskiego arystokratę, Roberta Hurlbut-ta. Nie była to zapyziała czynszówka, *mein Herr*, ale żaden arystokrata nie mieszkałby w takim lokalu.

— Czyli mamy do czynienia z hochsztaplerem.

—Tak, ale nie do końca. Ulrich przeszukiwał spis mieszkańców, zanim wybuchły zamieszki. Trafił na interesującą rodzinę. Mąż był kolekcjonerem sztuki, ale pracował także jako attache w rosyjskim korpusie dyplomatycznym. Nazywał się Dirk Schick, a jego żona, Della Weiss, urodziła się w Bostonie. Mieli syna Ruperta...

—Aha! — przerwał mu Volker. — To jest człowiek, którego szukamy! Niech pan go aresztuje!

Berg zrobił wielkie oczy.

—Zrobiłbym to, *Herr Kommissar*, gdybym potrafił go znaleźć. Byłoby dobrze, gdybym mógł przejrzeć kartoteki niemole-stowany przez urzędników. Może trafię na jakiś trop, który pozwoli mi go namierzyć.

—Urzednicy nie byliby urzednikami, gdyby pana nie molestowali. Niech pan siada, Berg. Szyja mnie boli od zadzierania głowy. — Berg wykonał polecenie. — W jaki sposób Rupert Schick jest związany z Frau Mayrhofer i jej córką?

—Nie wiem, czy jest związany — odparł zaskoczony Berg. — Jeszcze nie rozmawiałem z rodziną. — Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. — Mam kilka rzeczy do sprawdzenia. Chciałbym obejrzeć miejsce zbrodni, zanim przechodnie całkiem zalepczą ślady. Potem chętnie bym poszedł porozmawiać z siostrą ofiary. Miło byłoby usłyszeć, że istniał związek między nią a Schickiem.

—Dobrze. — Volker poklepał się po kieszeni marynarki. — Niech pan obejrzy miejsce zdarzenia, a potem porozmawia z rodziną. Chcę, żeby pan zdobył jak najwięcej informacji o ofiarach, zwłaszcza o matce. Jakich miała

przyjaciół i wrogów, jak się prowadziła, wszystko na jej temat. Niech pan spróbuje znaleźć związek między ostatnimi morderstwami a poprzednimi.

—Postaram się.

—Nie zależy mi na pańskich staraniach, tylko na wynikach! Ostatnie morderstwa mogły być przypadkowe, niezwiązane z wcześniejszymi. Ofiary poniosły śmierć za dnia i od ciosu tępym narzędziem, a nie przez uduszenie. Nie wygląda na to, żeby Frau Mayrhofer była kobietą zamożną, no i tym razem morderca podniósł rękę także na dziecko.

—Regina Gottlieb też nie była kobietą zamożną.

—Ale strój na to wskazywał. Widział pan sukienkę Edith?

—Tak, *Herr Kommissar*.

—Dosyć skromna w porównaniu z suknią balową Reginy.

—Praktyczna sukienka z brązowej wełny.

—Właśnie do tego zmierzam, Axel. Żadnych jedwabów i koronek.

—Zniknął jeden z butów, co może stanowić łącznik z poprzednimi morderstwami.

—Tak, ale może jakiś obłąkaniec naśladuje wcześniejsze morderstwa.

—Skąd by wiedział o zaginionym bucie?

—Stąd, że w *Mordkommission* zawsze znajdują się idioci, którzy za dużo mówią. Ile osób zostało przesłuchanych w związku z tymi morderstwami?

—Cztery.

—Kto weryfikował zeznania?

—Zdaje się, że Kalmer i Messersmit. Wszystkie zbadane tropy okazały się fałszywe.

—A nie mówiłem? Świat roi się od wariatów. Z jakiegoś powodu wszyscy trafiają do Monachium.

Volker wyjął papierośnicę i poczęstował Berga gratmohlem.

Berg zadał sobie pytanie, gdzie się podziła wykonana na zamówienie srebrna papierośnica i ręcznie zwijane papierosy. Może Volker zdenerwował się na niego i uznał, że inspektor nie zasługuje na taki luksus.

— *Danke*.

Berg zaciągnął się głęboko.

—*Bitte*. Kiedy pan będzie oglądał miejsce zdarzenia i rozmawiał z rodziną, ja spróbuję odpowiednio nastroić urzędników z miejskich archiwów. Niech pan nie liczy na to, że spojrzą na pana przychylnym okiem. Ale trudno, musimy znaleźć tego sukinsyna!

—Dziękuję, *mein Herr*.

—I ma pan za co dziękować! — Volker wydmuchnął pióropusz dymu i skierował oczy na sufit. — Walka z niemiecką biurokracją jest gorsza niż okopy. — Berg uśmiechnął się. — Mówię poważnie! A teraz niech pan idzie, zanim wyładuję na panu swoją nieodpartą żądzę zastrzelenia kogoś.

Uśmiech zgasł na ustach Berga. Może i te słowa Volker mówi poważnie?

TLR

Rozdział czterdziesty drugi

Poletko śmierci wyglądało tak samo zwyczajnie jak otoczenie: kawałek ziemi pokrytej brązową warstwą wilgotnych zgniłych liści. Jawory zaczynały się zielenić, a spod ziemi wychylały głowy krokusy. Oficjalnie do wiosny pozostało jeszcze kilka tygodni, ale natura kieruje się własnym kalendarzem.

Właśnie te zarośla znajdowały się opodal alejki opasającej Kleinhesselohrer See w północnej części Englischer Garten. Po spokojnej tafli szerokiego, pięknego jeziora powstałego przed ponad stu laty pływały kwaczące kaczki i gęgające gęsi. Podczas hiperinflacji, kiedy trudno było kupić coś do jedzenia, mnożyły się przypadki kłusownictwa. Do ochrony kaczek posłano dodatkowe siły policyjne, ale kiedy skończyły się kłopoty z żywnością, funkcjonariuszy wycofano. Było to korzystne z punktu widzenia wizerunku Monachium — w mieście znowu zapanowała uczciwość — ale niefortunne dla Edith i małej Johanny.

— Tutaj je znaleźliśmy, inspektorze.

Berg odwrócił się. Głos należał do Leopolda Hossa, niskiego, drobnego człowieka, który służył w policji monachijskiej od ponad dwudziestu lat. Twarz miał okrągłą, podobnie jak brązowe oczy. Wąsik, niewiele grubszy od kreski narysowanej węglem, nie zasłaniał górnej wargi, mimo że też była bardzo cienka. Na drodze do awansu przypuszczalnie stanęła mało imponująca postura funkcjonariusza.

— Dziewczynka była przysypana liśćmi, ale matki nie próbowano ukryć.

Może, tak jak sugerował Gebhardt, dziewczynka nie była celem napaści i przysypując ją, morderca chciał symbolicznie zatuszować swój makabryczny postępek. Niewielka pociecha, ale lepsze to niż myśl, że zbrodniarz czerpał przyjemność z rozlewu dziecięcej krwi. Berg przyglądał się wgłębieniu z ziemi, jakie zostawiły zwłoki matki.

— Kobieta leżała na brzuchu czy na plecach?

— Na plecach — odparł Hoss i dodał: — Włosy miała ułożone w wachlarz. To mnie zdziwiło, zwłaszcza że morderca zrobił to w biały dzień, a musiało mu to zająć trochę czasu.

Berg usłyszał w głowie głos profesora Kolba: „W akcie tym znajduje wyraz zuchwałość i arogancja, jak również freudowski nieodparty przymus. Morderca musiał stworzyć to dzieło sztuki, mimo że było to dla niego bardzo niebezpieczne”.

— Tak jakby upozował ciało do zdjęcia? — zapytał.

— Właśnie. — Górna warga policjanta zadrgała, wprawiając wąsy w fałisty ruch. — Leżała prawie tak, jakby się opalała. To znaczy nie mogła się opalać przy takiej pogodzie i w tym miejscu — zreflektował się. — Przy takim ułożeniu nie widać było śladu po ciosie w czaszkę.

Włosy ułożone wokół twarzy... Tak samo jak w przypadkach Anny Gross i Marleny Druer, ale nie Reginy Gottlieb. A może Regina też miała aureolę z włosów, tylko Messersmit i Kalmer nie odnotowali tego w aktach sprawy. Przypomniawszy sobie, że na pośmiertnych zdjęciach Regina leżała na brzuchu.

— Czy głowa leżała w kałuży krwi?

Hossa przeszedł ciarki. Zapewne nie tylko Berg miał koszmary senne.

— Tak, było całkiem sporo krwi, ale większość wsiąkła w ziemię.

— Matka była ubrana?

— Tak. Dziewczynka też. Nie wiem, co stwierdził patolog, ale nic nie sugerowało, że kobieta została zgwałcona. Kolorystycznie zlewała się z podłożem.

— Może dlatego zauważono ją dopiero po jakimś czasie. Mówi pan, że była całkowicie ubrana?

— Tak, *Herr Inspektor*.

— Łącznie z butami?

Hoss potarł o siebie odziane w rękawiczki dłonie.

— Był tylko jeden but. Szukaliśmy drugiego, i to dosyć długo, ale nie znaleźliśmy. — Berg rozejrzał się dokoła: zarośla z grubą warstwą liści, więc zaginiony but rzeczywiście nie rzucałby się w oczy. — Słyszałem, że

u innych ofiar też brakowało pończochy albo buta. To chyba wskazuje na tego samego sprawcę.

—Kto panu o tym powiedział? — zapytał Berg ostrym tonem.

Speszony Hoss odwrócił wzrok.

— Nie pamiętam, *Herr Inspektor*. Krąży taka informacja. Która miała przecież zostać zachowana w tajemnicy. Volker nie pomylił się w swojej ocenie wydziału. Było to prowincjonalne miasteczko, pełne plotek, insynuacji i pogłosek.

— A dziewczynka? — spytał Berg, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest wściekły. — Też nie miała jednego buta?

Policjant sprawdził swoje notatki.

—Nic tu nie mam na temat jej butów. A to przypuszczalnie znaczy, że były oba.

—Ale nie jest pan pewien?

—Nie, *Herr Inspektor*.

Berg zapisał w notesie, że trzeba to sprawdzić, jak również dokładnie obejrzeć fotografie z miejsca zdarzenia, które powinny być gotowe tego popołudnia, a w najgorszym razie następnego dnia.

—Przeszukano dokładnie teren, pod liśćmi też?

—Kilka razy.

—I poza zwłokami nic nie znaleziono?

—Nie. To znaczy... — Hoss przełknął ślinę. — Kiedy zabrano zwłoki, w miejscu, gdzie znajdowała się głowa, było mnóstwo krwi, a także fragmenty tkanki — relacjonował policjant ze zboląłą miną.

—To była zapewne tkanka mózgowa.

—Ja też tak myślę, *Herr Inspektor*. Biedaczka została bardzo mocno uderzona.

—Przesłuchanie zupełnie nic nie wniosło — powiedział Berg do Müllera. — Według rodziny Edith Mayrhofer biedaczka nie miała żadnych wrogów.

—Nie wiedziałeś, że wszyscy zmarli są święci? — odparł Müller.

— Edith różniła się od pozostałych ofiar. Pochodziła z robotniczej rodziny, zamieszkałej w Bawarii od wielu pokoleń. Nie została zgwałcona ani

uduszona. Nie była Żydówką, nie była komunistką i nigdy nie flirtowała z komunizmem. Nie była kosmopolitką ani nie należała do bohemy. Rodzina twierdzi, że była kompletnie apolityczna.

—Tu już na pewno kłamiasz, Axel. W Monachium nikt nie jest apolityczny.

—Nie miała znajomości w kręgach politycznych, Georg, co zasadniczo odróżnia ją od Anny i Marleny. I została zamordowana w biały dzień. Razem ze swoją córeczką!

—Makabra. Nasz morderca się rozzuchwiał, ponieważ kolejne zbrodnie uchodzą mu bezkarnie.

Berg znowu usłyszał w głowie głos Kolba: „Zabijanie zajęło miejsce seksu. Będzie potrzebował coraz silniejszych bodźców, żeby się podnieść”.

—O ile wszystkie zabójstwa są dziełem tej samej osoby.

—But, Axel.

—Ach, tak, but. — Berg wzruszył ramionami. — Mimo że nie podaliśmy tego do wiadomości publicznej, mnóstwo ludzi wie o bucie.

—Na przykład kto?

—Zapytaj dowolnej osoby na komendzie.

—Komenda to nie jest mnóstwo ludzi.

—Ale rozmawiają ze swoimi żonami i dziewczynami, które na pewno próbują z nich wyciągnąć wszelkie informacje. — Berg spojrzał w sufit. — Wiesz co, Georg, nawet nie wzięliśmy pod uwagę innej nieprzyjemnej możliwości.

—A mianowicie?

—Że to jest ktoś z policji.

Müller spróbował usiąść i skrzywił się z bólu. Lewą nogę nadal miał podniesioną na wyciągu, chociaż zdjęto mu już szynę.

— *Bist du verrückt?* Kto tak powiedział?

— Nikt. — Berg przyjrzał się koledze. Twarz Müllera była znacznie bardziej opuchnięta i fioletowa niż poprzedniego dnia, co oznaczało, że rozpoczął się proces gojenia. — Po prostu przyszła mi do głowy taka myśl.

— Chyba nie mówisz tego serio, Axel.

— Zbrodni dokonano w biały dzień, Georg. Na zwykłego człowieka buszującego w krzakach ktoś mógłby zwrócić uwagę, ale na policjanta? Na widok munduru ludzie uciekają wzrokiem.

— Nie mogę w to uwierzyć. Nie chcę w to uwierzyć.

—Zabójstwa dokonał ktoś bardzo zuchwały i z poczuciem wszechwładzy. Czy to nie wskazuje na policjanta? Poza tym funkcjonariusz umie posługiwać się bronią i ma do niej dostęp, w przeciwieństwie do zwykłych obywateli.

—Nie tak dawno była wojna, Axel. Wiesz, ilu ludzi ma schowanego w szafie Iugera albo bagnet?

— Mnóstwo.

— A widzisz. Poza tym przychodzi mi do głowy całkiem sporo niesłychanie zuchwałych ludzi, którzy nie są policjantami. Choćby Hitler.

— Więc może to Hitler — zasugerował Berg. Müller parsknął śmiechem.

— Axel, nawet taki radykalny komunista jak Gerhart Leit nie miałby problemów ze zidentyfikowaniem Hitlera.

Berg zmarszczył brwi: człowiekiem, który poszedł z Anną Gross do teatru, z pewnością nie był Hitler.

—Baranek ofiarny — powiedział Berg.

—Co?

—Nieważne.

Berg pociągnął dłońmi po twarzy, jakby ją mył.

— Mamy portret pamięciowy, Axel, i mamy człowieka zidentyfikowanego na jego podstawie — Rosjanina imieniem Ro albo Roman, jak w nazwisku Romanow. Poza tym na wizytówce znalezionej u Anny Gross widnieje nazwisko Roberta Schicka, o którym wiemy, że jest komunistą. Imię Robert pojawia się w liście znalezionym w rzeczach Druer — także komunistki...

— Podobno komunistki — skorygował go Berg. — I podobno arystokratki. Ale on jest hochsztaplerem.

— To nie zmienia faktu, że istnieje, Axel. Rupert Schick jest synem attaché, który pełnił służbę w Rosji. Drogi kolego, jeśli znajdziesz w policji

człowieka, który ma na imię Robert, Roman albo Rupert, odpowiada- portretowi pamięciowemu i płynnie mówi po angielsku, wtedy będziesz mógł rzucać oskarżeniami.

Berg przewrócił oczami.

— Nie mówię, że to był ktoś z policji, tylko że to był ktoś arogancki i z poczuciem władzy. Taki jak Volker.

— *Herrjemine*, Axel, znowu zaczynasz.

— Podchodzimy do tego od złej strony, Georg. Czegoś nie dostrzegamy.

— Z tym się zgodzę, ale rzucanie niedorzecznych sugestii na temat Hitlera czy Volkera nie przybliży nas do rozwiązania zagadki.

— Musimy zmienić tok myślenia, Georg.

— Nie zgadzam się z tobą, *Kamerad*. Nie zbaczaj z obranej drogi. Idź tym tropem, który mamy. Znajdź Ruperta Schicka.

Berg stłumił w sobie irytację.

— Masz jakieś sugestie, jak się do tego zabrać? Müller zamknął oczy.

— Nie. Mam kompletną pustkę w głowie, *Herr Inspektor*. Muszę powiedzieć, że chyba bym się z tobą w tej chwili nie zamienił.

Berg skarcił się w duchu, że tak nęka przykutego do szpitalnego łóżka kolegę.

— Musisz odpocząć, stary. Jesteś strasznie blady.

— Jestem zmęczony — przyznał Müller. — Dokąd się wybierasz, jak stąd wyjdiesz?

— Spróbuję odwiedzić Ulricha.

— Słyszałem, że jest z nim lepiej, dzięki Bogu.

— Dzięki Bogu. A potem, jeśli Volker załatwił mi nieskrepowany dostęp do miejskich archiwów, spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Schicków.

— Powodzenia.

— *Danke*. — Berg poklepał kolegę po ramieniu. — Do zobaczenia wieczorem, jeśli czas pozwoli.

— Raczej jeśli Karen pozwoli.

— Ach. — Berg uśmiechnął się. — Twoja żona nie życzy sobie mojej obecności?

—W tej chwili moja żona nie przepada za nikim w uniformie — policjantami, lekarzami, pielęgniarzkami, urzędnikami, motorniczymi tramwajów, kolejarzami, ekspedientkami z piekarni, rzeźnikami, kelnerami i wreszcie wszystkimi osobami związanymi z armią lub którąś partią polityczną.

—Czyli za całym Monachium. — Berg roześmiał się.

—W rzeczy samej. Karen jest ostatnio sporym mizantropem.

*

Berg zajrzał przez okno do izolatki. Ulrich spoczywał wewnątrz żelaznego płuca, a jego ciało sprawiało wrażenie zabandażowanego od stóp do głów. Lekarz powiedział, że postępy są nadspodziewanie szybkie, zdrowe płuco zaczyna przejmować zadania uszkodzonego i Storf znacznie lepiej oddycha. A zapadnięty organ powinien się wypełnić w ciągu tygodnia.

Berg musiał uwierzyć lekarzowi na słowo, bo z perspektywy laika nie wyglądało to zbyt dobrze.

Zadumał się. Perspektywa to rzecz zmienna. Widok zmienia się wraz z kątem patrzenia. Przyglądając się rannemu koledze, Berg uznał, że tego właśnie potrzebuje: zmiany kąta patrzenia.

Rozdział czterdziesty trzeci

Idąc długimi szpitalnymi korytarzami, Berg rozważał w myślach proste słowa Georga: znajdź Ruperta Schicka.

Wiedział, że niezależnie od tego, kim naprawdę jest Schick, nie da się go znaleźć w jego obecnym wcieleniu. Rupert Schick nie występował w monachijskich kartotekach ani w archiwach żadnego z pobliskich miast i miasteczek Bawarii. Oprócz imienia i nazwiska oraz portretu pamięciowego Berg nie miał się na czym oprzeć. „A jeśli Leit nie był dostatecznie precyzyjny?“, myślał sobie. Rysunek był na tyle ogólny, że mógł się kojarzyć z mnóstwem ludzi. „Może szukam nie tego człowieka, co trzeba?“.

Trzy odcinki schodów pokonał dosyć sprawnie. Z jego biodrem z każdym dniem było coraz lepiej. Na zewnątrz powitało go chłodnawe, ale przyjemne wiosenne popołudnie. Po lazurowym niebie snuły się watowate chmury, a zatem nieboskłon składał hołd kolorom flagi Bawarii. Berg mógł pojechać tramwajem, ale do miejskiego archiwum szło się ze szpitala tylko dziesięć minut. Wykorzystał ten czas na zastanowienie się. Kto podaje się za Ruperta Schicka i dlaczego?

Berg zaczął od początku: Gerhart Leit.

Leit podał mu opis człowieka, który przyszedł do teatru z Anną Gross. Może to on zamordował Annę i celowo skierował Berga na fałszywy trop. Był wprawdzie niski i chudy, ale z pewnością starczyłoby mu siły w rękach, żeby zacisnąć pończochę na szyi Frau Gross. Ale dlaczego miałby ją zabijać? Berg nie natrafił w śledztwie na nic, co by sugerowało udział Leita. Nie można go było całkowicie skreślić z listy podejrzanych, ale Berg umieścił go w jej dolnych partiach. Przyjął założenie, że Leit mówił prawdę, iż Anna Gross przyszła do teatru z wysokim mężczyzną ubranym jak arystokrata, z monoklem i w cylindrze, z mężczyzną podobnym do Putziego Hanfstaengla.

Właśnie: Putzi Hanfstaengl.

Marszand z pewnością był dostatecznie arogancki, aby mieć kochankę i afiszować się z nią po teatrach. Płynnie mówił po angielsku. Amerykański reporter Green rozpoznał w mężczyźnie z portretu pamięciowego lorda Roberta Hurlbutta i powiedział, że Hurlbutt to znane nazwisko na Harvardzie. Putzi studiował na Harvardzie i podobnie jak nieuchwytny Schick miał matkę Amerykankę. Może Putzi poznał na Harvardzie prawdziwych arystokratów? Może znany pianista postanowił prowadzić drugie życie jako lord, szlajać się z kochankami, a potem je mordować, kiedy odkryły, że podszywa się pod kogoś innego?

Ale Hanfstaengl nie był wysoki, tylko strasznie wysoki — bardzo rzucał się w oczy. Nawet w przebraniu zwróciłby czyjaś uwagę. Berg uznał, że hipoteza z Putzim nie jest zbyt wiarygodna, na pewno nie nadaje się na pierwsze miejsce na liście.

Anders Johannsen.

Znalazł nie jedną, lecz dwie ofiary. Był wysoki i miał jasne włosy, od biedy przypominał mężczyznę z portretu pamięciowego. Jego francuski piesek jako obrożę nosił złoty łańcuszek, a zarówno Marlina Druer, jak i Regina Gottlieb zostały uduszone za pomocą łańcuszka. Ponadto jego historia życiowa brzmiała nie do końca prawdopodobnie: nieobecny ojciec, który go nienawidził, matka artystka, która odumarła go jako chłopca, usamodzielnienie się w wieku czternastu lat.

Berg zdjął rękawiczki i spojrzał na niebo. Słońce akurat wyszło zza chmury i Berg z lubością grzał twarz w jego ciepłe. Pomysły coraz szybciej napływały mu do głowy.

W każdym kłamstwie z reguły jest ziarno prawdy. Może ekscentryczna matka porzuciła Johannsena? Wtedy niewątpliwie miałby powód do pielęgnowania w sobie urazy. Kolb był przekonany, że zwyrodniały morderca nienawidził swojej. Może Johannsen też nienawidzi swojej matki. Ale czy jego nienawiść jest dostatecznie silna, żeby popychała go do mordowania Bogu ducha winnych kobiet?

Johannsen, podobnie jak Putzi, należy do światka artystycznego. Zwłoki ofiar, poza dziewczynką, upozowano. Johannsen powiedział, że to on znalazł ciało swojej matki. Czy włosy okalały twarz aureolą? Czy brakowało

jednego buta? Czy Johannsen w ten patologiczny sposób powieła jej śmierć?

Sam przyznał, że potrafi się porozumieć po angielsku. Czy zna również rosyjski? Czy może być szarmanckim, wyrafinowanym (aczkolwiek fałszywym) arystokratą opisanym przez Greena?

Berg przesunął Duńczyka na czoło listy. Na koniec zostawił sobie swojego ulubionego podejrzanego, Rolfa Schoennachta.

Ostatnie morderstwa odznaczały się niezwykłą zuchwałością, a tak aroganckiego człowieka jak Schoennacht ze świecą szukać. Schoennacht sprawia wrażenie człowieka dostatecznie brutalnego, żeby kogoś zabić. Jest wysoki, wytworny i z grubsza pasuje do portretu pamięciowego. Nie ma znaczenia, że jest łysy, od czego są tupeciki? Zresztą Leit powiedział, że człowiek towarzyszący Annie Gross miał na głowie cylinder. Inicjały Schoennachta to R.S., podobnie jak Ruperta Schicka, również wiek jest zbliżony. Wreszcie Schoennacht osobiście znał Reginę Gottlieb.

Ro jak Rolf.

Ale kiedy popełniono ostatnie morderstwa, Schoennachta nie było w mieście. Koledzy Berga śledzili go aż pod sam dworzec kolejowy. Ale może Schoennacht w ostatniej chwili zmienił zdanie i postanowił pójść na wiec Hitlera?

Berg zatrzymał się. Pomysły napływały tak szybko, że nie nadążał z ich analizą. Czy wśród członków świty Hitlera, którzy podchodzili do trybuny, nie było człowieka podobnego do Rolfa Schoennachta?

Tak, Schoennacht z pewnością zasługiwał na pierwsze miejsce na liście Berga.

Johannsen, Schoennacht i Hanfstaengl: wszyscy mniej więcej w tym samym wieku, wszyscy wysocy, wszyscy handlują dziełami sztuki. Aureola włosów wokół twarzy: doskonałe tło dla portretu. W ogóle zwłoki to idealny model malarski, ponieważ raz upozowane nie ruszają się.

Może kobiety zamordowano w ramach jakiegoś zboczonego projektu artystycznego. Okoliczności zbrodni podobne, ale nie identyczne — może każda miała innego sprawcę. Każdy artysta dokonał własnej interpretacji

tematu. W Niemczech roi się od tajnych stowarzyszeń — może to jest jedno z nich.

Zagadka *Lustmord*. Zjawisko zrodzone w okopach Wielkiej Wojny, w czasie, kiedy morderstwo i patriotyczny obowiązek były ze sobą splecione, kiedy pienili się gwałty na pokonanych i krew obficie spływała do Marny. Potem *Lustmord* przeniesiono z pola bitwy do cywilnego życia, wykarnione przez awangardę. Temat morderstwa na tle seksualnym w malarstwie, literaturze, teatrze, filmie i fotografii był szalenie a la mode.

Johannsen, Schoennacht i Hanfstaengl.

W pewnym sensie idealnie dobrane trio — wysocy, wytworni, obeznani z najnowszymi trendami, marszandzi sztuki nowoczesnej. Z drugiej strony dalece różnią się w poglądach politycznych: Schoennacht i Hanfstaengl to zagorzali zwolennicy NSDAP, podczas gdy Johannsen gardzi Austriakiem.

Właśnie: Austriak.

Berg szukał człowieka aroganckiego, a Hitler, autor puczu z 1923 roku, z pewnością był takim człowiekiem. Pycha zaprowadziła go do więzienia. Pobyt za kratkami nie złamał Austriaka. Hitler radził tam sobie doskonale, z pomocą drużyny wiernych pretorianów. Wystarczyło sięgnąć pamięcią kilka dni wstecz. Na wiec tego obłąkańca przyszło sto tysięcy rozentuzjuszowanych Niemców. Z lojalnych akolitów Austriaka można by stworzyć całą armię. Krążyły pogłoski, że Hitler jest bękartem, że jego ojciec nie umarł, tylko porzucił jego matkę, kiedy była w ciąży albo tuż po narodzinach Adolfa. Chociaż austriacki ojczym adoptował go i dał mu swoje nazwisko, z korzeniami Hitlera wiązało się pewne piętno. Takie plotki muszą być dla dziecka bolesne i skonfliktować je z matką. Ale czy tego rodzaju skaza roznieciłaby w nim nienawiść mordercy? I czy Austriak narażałby na szwank wszystko, nad czym tak ciężko pracował, żeby mordować niewinne kobiety i dzieci?

Johannsen, Schoennacht i Hanfstaengl — wszyscy związani ze sztuką.

Hitler też, kiedyś chciał zostać zawodowym artystą. Zgłosił się nawet do Akademii, ale nie przyjęto go i nadzieje szybko prysły. Profesorowie uznali, że jego prace są banalne, nudne, nieoryginalne i nieciekawe. Był po prostu zbyt kiepski. Berg podzielał tę opinię. Uważał, że twórczość Austriaka

jest wtórna, ckliwa i nie mówi niczego ciekawego o kondycji ludzkiej. Twórczość Berga była nie lepsza, ale on przynajmniej znał swoje możliwości i nigdy nie miał wielkich aspiracji.

Hitler żywił ogromne ambicje — ale nawet tak bolesny zawód nie zrobiłby ze zdrowego psychicznie człowieka mordercy. Czy Hitler jest zdrowy na umyśle? Bękart, arogant, człowiek, który uważał, że ma wyjątkowy talent, a tymczasem został uznany za artystę miernego albo jeszcze gorzej. Może Austriak chce w niezwykle drastyczny sposób udowodnić swoim krytykom, że się pomylili?

*

Archiwa miejskie znajdowały się w trzykondygnacyjnym kamiennym gmachu z zespołem kolumn doryckich po obu stronach kilkunastu stopni, które prowadziły do płaskorzeźbionych dwuskrzydłowych drzwi z drewna orzechowego. Po znalezieniu się wewnątrz Berg nacisnął guzik dzwonka. Chwilę później pojawił się recepcjonista. Urzędowa procedura wpuszczenia Berga do archiwum trwała wyjątkowo krótko. Volker wywiązał się z obietnicy.

W towarzystwie recepcjonisty Berg wchodził głównymi schodami z czarnego orzecha włoskiego, czując pod dłonią gładką, błyszczącą poręcz. Ciemne marmurowe flizy odbijały echem jego kroki, kiedy maszerował białym korytarzem. Urzędnik zatrzymał się przed jednymi z licznych drzwi, wpuścił Berga do środka i wrócił na dół.

Berg zdjął policyjną czapkę i rozejrzał się dokoła. Sala ze sklepieniami sufitami i wielkimi oknami robiła wrażenie. Było tam również zimno jak w lochu. Mimo że kaloryfer syczał gorącą parą, Berga przeszedł dreszcz.

Wystrój był minimalistyczny: długi drewniany stół otoczony dziesięcioma krzesłami. Dyndające na kablach żarówki świeciły bursztynowo. Na ścianie naprzeciwko półek bibliotecznych wisiały portrety bezimiennych polityków z minami równie sztywnymi jak białe kołnierzyki pętające ich szyje. Dwie flagi: żółto -czarno- czerwona niemiecka i niebiesko-biała bawarska, świadczyły o urzędowym rozdwojeniu jaźni. Chociaż tyle się mó-

wiło o jedności Niemiec, lojalności zmieniały się tak często jak kierunek wiatru.

Drzwi otworzyły się i atrakcyjna rudowłosa kobieta z miłymi dla oka krągłościami położyła na stole stertę teczek. Na widok Berga w jej szmaragdowych oczach pojawiło się rozczarowanie.

— Gdzie ten drugi?

— Inspektor Storf? — Wzruszyła ramionami na znak, że nie zna nazwiska. — W szpitalu.

Szmaragdy powiększyły się, a dłoń powędrowała do ust.

—Co się stało?

—Pobito go podczas zamieszek. Zamrugwała kilka razy.

—To straszne!

—Kiedy na ulicach zaczynają rządzić bojówkarze, dzieją się straszne rzeczy.

—A gdzie była policja?

—Inspektor Storf sam jest policjantem. Niestety, bojówka-rzy było o wiele więcej niż nas.

—Mogę go odwiedzić? Berg skinął głową.

—Da się to załatwić. Powiem mu, że się z panią widziałem i że bardzo mi pani pomogła z dokumentami dotyczącymi rodziny Schicków. — Pokazał na teczki. — To są te akta, prawda?

Skinęła głową, a jej oczy zaszkliły się.

—Nie wystarczy, że nasi mężczyźni ginęli na obcej ziemi? Teraz jeszcze muszą walczyć ze sobą nawzajem? Obłąd.

—Doskonale streściła pani sytuację. — Wyjął ołówek i notes. — Jeszcze raz dziękuję pani za pomoc.

—Czy jeszcze panu czegoś potrzeba?

—Może popielniczki.

—Tutaj obowiązuje zakaz palenia.

Berg schował papierośnicę z powrotem do kieszeni marynarki.

— W takim razie chyba niczego nie potrzebuję.

Odwróciła się i wyszła powoli, dzięki czemu Berg miał możliwość podziwiać jej rozkołysane biodra i jędrny tyłeczek. Zastanawiał się, czyby nie

poprosić ją o herbatę jako pretekst dla zatrzymania jej na dłużej, ale po chwili przeszła mu na to ochota, rozwiąła się tak samo jak wiele innych straconych okazji.

*

Wielogodzinna lektura przyniosła więcej rozczarowań niż rewelacji, ale akta pozwoliły Bergowi ustalić harmonogram dziesięcioletniego pobytu Dirka Schicka w Monachium. Schick przybył do stolicy Bawarii w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Rok później poznał Amerykankę, Delię Weiss, i ożenił się z nią. Osiem miesięcy po ślubie urodził im się syn, któremu dali na imię Rupert.

W 1905 roku rodzina została wezwana do Rosji, miesiąc po krwawej niedzieli, brzemienym w skutki starciu między armią carską a demonstrantami w Sankt Petersburgu. Politycy stale powoływali się na krwawą niedzielę jako przykład tego, że policja powinna powstrzymać się od użycia broni palnej, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Rozruchy rozpętane dwa dni wcześniej przez Hitlera najwyraźniej nie zaliczały się do kategorii „absolutnie konieczne”. Gdyby Ulrich użył broni, zostałby co najmniej zawieszony w obowiązkach.

Z akt wynikało, że rodzina Schicków już nigdy nie wróciła do Monachium. Wszystko wskazywało na to, że Rupert wychowywał się w ZSRR jako obywatel radziecki. Mówił zatem po rosyjsku, a w dzieciństwie z pewnością nauczył się niemieckiego. Nazwisko Schick wskazywało na niemieckie korzenie Dirka, więc być może komunikował się z synem po niemiecku, w nadziei na podtrzymanie przy życiu języka swoich przodków. Można było także bezpiecznie założyć, że Della Weiss, Amerykanka, nauczyła swego syna biegle władać angielskim.

Kim jest Rupert Schick i gdzie teraz przebywa?

Tych istotnych informacji akta nie zawierały, ale czas spędzony w archiwach nie był całkowicie stracony. Berg natrafił w dokumentach na trzy adresy. Dwa pierwsze kierowały do dzielnicy biurowej, ale trzeci adres dotyczył kamienicy nad Schwabinger Bach — niewielką odnogą Izary, która przecinała Englischer Garten i biegła wzdłuż jego zachodniego krańca.

Numer wskazywał, że budynek znajduje się przy północnym końcu parku za Kleinhesseloher See.

Może Rupert Schick powrócił w rodzinne strony, aby załatwić jakieś niedokończone obłąkane sprawy, mordując kobiety w parku. Co ważniejsze, może ktoś zapamiętał Dirka i Delię Schicków sprzed prawie ćwierćwiecza, zanim zniknęli z archiwalnych rejestrów.

TLR

Rozdział czterdziesty czwarty

Okolice Schwabinger Bach zawsze kojarzyła się Bergowi z Wenecją. Od wschodu ze strumieniem graniczył park, a wzdłuż zachodniego brzegu stały piękne domy i miejskie pałace. Brakowało tylko gondoliera odpychającego się tyką od dna. Berg dwa razy był we Włoszech, ale w Wenecji nigdy nie zawitał. Życie jest długie, mówił sobie. Któregoś dnia...

Po ostatnich deszczach poziom strumienia był wysoki, tylko dwa metry betonowych umocnień wystawały z wody. Adres zapisany przez inspektora na kartce odpowiadał czteropiętrowej żółtej kamienicy okrytej pajęczyną bezlistnych pnączy. Kryty czerwoną dachówką dach zwieńczony był dwiema symetrycznie rozmieszczonymi mansardami. Berg wszedł do holu. Po lewej ręce miał skrzynki na listy, a na wprost ciągnęły się schody.

Mieszkanie numer siedem, wymienione w aktach Schicków, teraz należało do Beckmannów. Berg zapukał do drzwi. Otworzyła mu sześć-, może siedmioletnia dziewczynka, która patrzyła na niego jasnobrązowymi oczami, ściskając w palcach dwa warkoczyki koloru słomy. Miała na sobie tradycyjną *Dirndl*. Po chwili zjawiała się Frau Beckmann — starsza, mniej urodziwa wersja dziewczynki — i szarpnęła nią do tyłu.

— Ile razy ci mówiłam, żebyś nie otwierała drzwi? — Mała ułożyła usta w podkówkę, a jej policzki spłynęły łzami. — Nie płacz, Birgitta. Jeśli będziesz grzeczna i zaczekasz na mamusię w swoim pokoiku, to dostaniesz ciasteczko.

— Czekoladowe? Birgitta wytarła łzy.

— Migdałowe. Ale musisz iść od razu.

Dziewczynka zniknęła. Kobieta zlustrowała umundurowanego Berga od stóp do głów.

—*Griiss Gott*.

—*Guten Tag*. Inspektor Axel Berg z policji monachijskiej. Szukam Frau Beckmann.

—Pan jest inspektorem? — Kobieta pobladła. — *Mein Gott!* Co się znowu stało?

—Nic się nie stało, zapewniam panią, że wszystko jest w najlepszym porządku. — Zaczekał, aż kobieta złapie oddech. Po dokładniejszych oględzinach uznał, że mimo zmarszczek jest całkiem ładna. — To pani jest Frau Beckmann?

—Tak. — Wypuściła powietrze. — Co mogę dla pana zrobić, inspektorze?

—Interesuje mnie rodzina, która mieszkała tutaj przed mniej więcej, dwudziestu pięciu laty...

—Myśmy się wprowadzili trzy lata temu — przerwała mu. — Nie mogę panu pomóc.

Zaczęła zamykać drzwi, ale Berg wykazał się reflekssem i zdążył włożyć stopę między drzwi a futrynę.

—Wręcz przeciwnie, jestem pewien, że może mi pani pomóc.

—Niby jak? — Dziewczynka zawołała do niej z pokoju. — Muszę iść...

—Szukam kogoś, kto ich pamięta. — Berg przestąpił przez próg. — Schickowie — tak się nazywali.

—Mówię panu, że mieszkam tutaj dopiero trzy lata. Czego się pan mnie czepia? Niech pan idzie się przyczepić do nazistów, którzy rzucają jajami w budynek.

—Przekażę kolegom, żeby zajęli się tymi wandalami. Gospodyni miała sceptyczną minę.

—Mogę już iść do córki?

—Czułbym się niezręcznie, gdybym musiał pukać do wszystkich drzwi, Frau Beckmann. Może pani wie, kto mieszka w tej kamienicy najdłużej.

—Niech pan spróbuje pod jedenastym — powiedziała z szyderczą miną. — Oskar Krieger. Stary rozpustnik, który mieszka tutaj od zawsze.

*

Mężczyzna wyglądał na siedemdziesiąt parę lat, był chudy jak tyczka i miał na głowie szopę siwych włosów, które opadały mu na czoło. Cera odzwierciedlała jego wiek: pstra mozaika wątrobianych plam i pomarańczowych piegów. Ciemnobrażowe oczy patrzyły jednak trzeźwo i inteligentnie.

Berg przedstawił się oficjalnie.

—Szukam Herr Kriegera.

—To znalazł go pan. Zamierza mnie pan aresztować?

—Aresztować? — Berg powstrzymał się od uśmiechu. — A co pan zrobił?

—Nic nie zrobiłem, ale dla policji to przecież nie jest żadna przeszkoda. — Parsknął głośnym śmiechem, po czym teatralnym gestem otworzył drzwi do końca. — Proszę do środka. Po co sąsiadki mają nas usłyszeć? Zaraz byłyby plotki. Chociaż te stare przekupki nie potrzebują powodu do plotkowania.

Berg przekroczył próg. W mieszkaniu unosił się gęsty zapach popiołu z papierosów. Berg policzył przepełnione niedopałkami popielniczki: było ich siedem. Jeśli pominąć stęchlą woń dymu, pokój był całkiem przyjemny. Z dużego okna rozciągał się piękny widok na park, nadający niezbyt rozległemu pomieszczeniu wrażenie przestrzeni. Każdy centymetr kwadratowy ścian zajmowały obrazy i półki z książkami, które zalegały też na sofie i podłodze. Obrazy reprezentowały różne gatunki, od klasycznych portretów po płótna kubistyczne i ekspresjonistyczne. Nowoczesne prace na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie abstrakcyjnych, ale po wnikliwszych oglądzeniach Berg dopatrzył się na nich zielonej twarzy, fioletowego psa, zdekonstruowanej pomarańczy i niebieskiej wiolonczeli.

—To pan malował? — spytał Berg. — Tylko ten tak zwany kubistyczny.

—Bardzo dobry.

— Ja uważam, że okropny. Namalowałem go dwadzieścia lat temu i trzymam go tylko po to, żeby nie zapomnieć, jak marnie jestem uzdolniony. Pokora to dobra rzecz. Tradycyjne obrazy to dzieło mojego ojca.

Berg nagle skojarzył.

—Lukas Krieger? — Starszy pan wzruszył ramionami. — A, Oskar Krieger. — Berg stuknął się w czoło. — Poeta.

—Poeta, dramaturg, powieściopisarz... Tak o mnie mówią, a mimo to nie mam z czego płacić rachunków. Sukcesywnie wyprzedaję obrazy ojca. Chwała Bogu, że był płodnym artystą, bo inaczej siedziałbym w więzieniu za długi.

—Pański ojciec i Lenbach długo ze sobą konkurowali, prawda?

—Konkurencja to chyba nie jest właściwe słowo.

—To może rywalizacja?

—Raczej zajadła nienawiść. — Krieger roześmiał się i wyjął papierosa.

— Skąd policjant tak dobrze zna się na malarstwie i poezji?

—To moje hobby.

— Ie pan wybrał zawód, drogi kolego.

— Ale ja mam z czego płacić rachunki.

— *Touche*. — Poczęstował Berga papierosem. — Proszę siadać. Nastawię wodę na herbatę.

— Proszę się nie kłopotać.

— I tak miałem to zrobić. — Zniknął w kuchni i wrócił po paru minutach, zapalając następnego papierosa. — Mój ojciec — zaczął Krieger i wydmuchnął dym — nie znosił stosunków panujących na Akademii i oczywiście zrzucał wszystko na Lenba-cha. Tata był w głębi serca Francuzem. Przyjaźnił się ze wszystkimi malarzami światła — Renoirem, Monetem, Degasem, Su-euratem, Pissarrem.

— Wychowywał się pan we Francji?

— Nie. Styl bycia taty był nie do pogodzenia z małżeństwem. Ojciec interesował się zbyt wieloma kobietami. Mama i ja zostaliśmy w Berlinie z naszymi frustracjami. Potem wybuchła wojna francusko-pruska. Prusacy uważali mojego ojca za Francuza, a Francuzi za Niemca. Uciekł do Szwajcarii i podawał się to za Francuza, to za Niemca, w zależności od tego, jak było bezpieczniej. — Krieger zaniósł się niepohamowanym śmiechem. — Zwerbowano mnie do wojska i walczyłem po stronie pruskiej. Ależ to było upokarzające. Złapali mnie Francuzi, znalazłem się w elitarnym gronie ich jeńców... Trafiłem do więzienia. Moja dieta składała się ze zgniłych rzep i

skazonej wody. Zachorowałem na cholere i dwa razy byłem bliski śmierci. Ojciec dowiedział się, że jestem w więzieniu. Podrobił francuskie dokumenty i urzędowe pieczęcie. Nie miał z tym problemu, w końcu był wybitnym artystą! — Śmiech. — Kochany tata. Dzięki tym fałszywym dokumentom wyciągnął mnie stamtąd. Kiedy ja siedziałem w lochach, Prusacy dali ciężkiego łupnia armii Ludwika Napoleona. Wróciłem do Prus.

—Co sprowadziło pana do Monachium? Czajnik zagwizdał.

—Zaraz panu powiem.

Po paru chwilach wrócił z dwiema szklankami herbaty koloru brązu, plasterkami cytryny i kostkami cukru. Postawił tacę na kanapie, włożył między zęby kostkę cukru i pił przez nią.

— Ach, to jest jedyna chwila, kiedy nie palę. Proszę usiąść. Berg wymownie spojrzał na krzesło, na którym piętrzyły się książki.

— Niech pan je przełoży byle gdzie — zaproponował Krieger.

Berg relegował książki na podłogę, wziął do ręki szklankę herbaty, wypił łyk i usiadł.

— Dziękuję. Dobrze jest napić się czegoś gorącego.

—Tak, chłodno tutaj. Nie mogę się uporać z tym przeklętym kaloryferem. Jest albo za gorący, albo za zimny. Myślę, że to przez wiatr, który ciągnie od Bach.

—Ładny widok.

—Widok jest, owszem, cudowny, ale smród, jaki stamtąd idzie, już nie. Ale cóż, latem nawet Wenecja śmierdzi. — Wypił kolejny łyk herbaty. — Co sprowadziło mnie do Monachium? To długa i zawiła opowieść z wieloma przystankami po drodze: Paryż, Rzym, Wenecja, Salzburg, Praga. Ach, te Czeszki... Na przełomie stuleci Monachium było tętniącym życiem ośrodkiem kulturalnym, w awangardzie sztuki i literatury. Panował tutaj liberalny klimat. Oficjalnie mówiłem sobie, że Monachium to jest kolejny przystanek, ale w głębi duszy tęskniłem za krajem, za rodzimym językiem i kulturą. I spędziłem na przystanku trzydzieści pięć lat.

—Co pana przekonało, żeby tutaj zostać?

—Okoliczności. Kiedy wybuchła Wielka Wojna, nie bardzo mogłem wrócić do Francji. Nie patrzyli tam na Niemców zbyt łaskawym okiem. — Uśmiechnął się szeroko. — Nie było mi źle. Wszystkich tych biednych chłopców wysyłano do Francji, a ja, jako człowiek nie pierwszej już młodości, z ochotą pocieszałem ich kobiety. — Puścił do Berga oko. — Byłem bardzo dyskretny i czuły, co przysparzało mi popularności. — Zapalił papierosa. — Ach, jak to dobrze, że tytoń nie jest już reglamentowany.

Berg skinął głową.

—Mieszka pan w Monachium od trzydziestu pięciu lat?

—Wstyd się przyznać, *Herr Inspektor*, ale tak, mieszkam w Monachium od trzydziestu pięciu lat. — Kolejny łyk herbaty, kolejne zaciągnięcie się papierosem. — Mój ojciec na pewno przewraca się w grobie. Był przekonany, że, tak jak on, trafię do Paryża. Oczywiście Paryż jest wspaniałym, przepięknym, niezrównanym miastem. Kocham Paryż! — Nachylił się i powiedział konspiracyjnym szeptem: — Ale nie cierpię Francuzów! Rzecz jasna, trudno mieć do Francuzów pretensje o to, że nienawidzą Niemców. Narobiliśmy im tyle spustoszeń.

—To вина Schlieffena.

—Schlieffen stworzył plan, ale realizował go rząd, dzięki tym nieszczęsnym Austriakom, którzy wciągnęli nas w swoje wewnętrzne kłopoty. Dzisiejsze czasy są wyjątkowo niepokojące, bo wygląda na to, że kolejny Austriak poprowadzi nas na skraj wielkiej przepaści.

— Miejmy nadzieję, że nie. Krieger westchnął i pokręcił głową.

— Długo tutaj mieszkam. Intuicja mi mówi, że ten człowiek nie szykuje dla nas niczego dobrego. Austria zawsze była naszym przekleństwem. Albo dają sobie zamordować członków rodziny królewskiej, albo przysyłają nam swoich wariatów. Freud wymyślił kompleks niższości, bo znał ten temat z własnego doświadczenia. — Spojrzał na Berga. — Nie powiedział mi pan, po co pan do mnie przyszedł.

—Mieszka pan w tym budynku od trzydziestu pięciu lat?

—Tak.

— To może pamięta pan rodzinę Schicków. Mieszkali pod siódemką. — W oczach Kriegera nie pojawił się błysk przypomnienia. — Zdaję sobie sprawę, że to było dawno. Mieli synka Ruperta...

—A, tak, oczywiście! Della, tak?

—Della — odparł zachwycony Berg.

— Prześliczna kobieta. Umilkł.

— Co jeszcze może mi pan powiedzieć na jej temat? — zapytał Berg. Krieger sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach.

— Była bardzo smutna, *Herr Inspektor*. Jak ptak w klatce. Zupełnie nie nadawała się do roli gospodyni domowej.

— Dlaczego?

Starszy pan utkwiał wzrok w obrazach z przeszłości.

— Pamiętam jej chłopczyka. Często zabierała go wózkiem na spacer. Kilka razy trafiłem na nią w parku. Siedziała na ławce i płakała, wstrząsana szlochem. A ponieważ ona płakała, to dziecko oczywiście też. Bywała taka roztrzęsiona, że nawet nie brała dziecka z wózka, żeby je uspokoić. Biedaczka nie miała z kim porozmawiać. Od czasu do czasu zapraszałem ją na herbatę, ale nie siedziała długo, bo bała się plotek. To znaczy i tak były plotki. Sąsiadki ciągle ją obmawiały.

— Co jej zarzucały?

— Że jak przystało na Amerykankę, niemoralnie się prowadzi.

— I rzeczywiście niemoralnie się prowadziła? Krieger parsknął śmiechem.

—Może tak, może nie, to nie miało znaczenia. Te kobiety były bardzo prowincjonalne. Uważały, że wszystkie Amerykanki to rozpustnice, które noszą frywolne spódniczki, krótko obcinają włosy i piją bimber. Ich celem w życiu jest wyjść bogato za męża, żeby móc pomiatać służbą i palić cygara.

—Libertynki.

—Właśnie takie je lubię! — Starszy pan znowu zatrzęsł się od serdecznego śmiechu. — Josephine Baker, która tańczyła w skórkach od banana, podtrzymywała ten stereotyp. Widziałem ją raz, oczywiście nie tutaj. Pojechałem do Berlina. Miała taką piękną ciemną skórę i taki cudowny wielki

zad. Myślę, że Niemki bały się *Niggerlippen* —jakby ciemny kolor skóry był zaraźliwy. Żałuję, że nie jest.

— Czy Della była liberynką?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ja zawsze zachowywałem się wobec niej jak dżentelmen. Nie ma sensu kłaść własnego gniazda. Coś panu powiem, inspektorze: ona uwielbiała swojego chłopczyka. Był śliczny i bardzo inteligentny. Miał jasne włosy i był dosyć wysoki. — Zawiesił na chwilę głos. — Inaczej niż ojciec, niski brunet. Rzecz jasna, sąsiadki jeszcze bardziej się rozgadały.

— Rozumiem.

Krieger uśmiechnął się złośliwie.

— Muszę powiedzieć, że o nikim się te kwoki tyle nie na-gdakały, co o Delii. Ale to słowo mówiły szeptem, bo wstydziły się wypowiadać je na głos.

— Jakie słowo? Bękart?

— Jeszcze gorzej — odparł Krieger. — Della była rozwiedziona.

Berg oblizał wargi, czując, że serce łomocze mu w piersiach.

— Dirk nie był pierwszym mężem Delii?

Kolejne zaciągnięcie się papierosem. Kolejny uśmiech.

— Tak, była kobietą upadłą.

— Wie pan, z kim była wcześniej zamężna?

— Z jakimś zarozumialcem, który wyglądał tak, jakby ktoś wbił mu do tyłka kij od miotły. Nikt go nie lubił. Sąsiadki miały używanie. Mówiły: „Nic dziwnego, że nie chciała być jego żoną, ale żeby się zaraz rozwodzić?”. Oliwy do ognia dolał fakt, że bardzo szybko ponownie wyszła za mąż, a dziecko urodziło się osiem miesięcy po ślubie.

— Dzieci nie zawsze chcą czekać i przychodzą na świat wcześniej, niż zaplanowano.

— Tak, ale wtedy dziecko raczej nie waży cztery kilo.

— Czyli zaszła w ciążę przed ślubem.

— Na to wygląda. A potem się okazało, że dziecko nie jest podobne ani do pierwszego męża, ani do drugiego. To dopiero był skandal. Musi pan

pamiętać, że w tamtych czasach ludzie nie byli tacy wyrozumiali jak dzisiaj.

— Aha.

— Na tyle, na ile dało się to ocenić z zewnątrz, Herr Schick mimo wszystko był dla niej dobry — i ona dla niego też. Sądzę, że byli udanym małżeństwem. Rupert był uroczym chłopczykiem i na pewno łagodził ból po pierwszym małżeństwie. Były mąż Delii zrobił rzecz straszną.

— A mianowicie?

— Przekupił lekarza, żeby zeznał, że Della nie nadaje się na matkę. Co było wierutną bzdurą.

— Dlaczego mu na tym zależało, skoro dziecko nie było jego?

— Nie chodziło o Ruperta, tylko o jej drugiego syna. Berg poczuł, że puls mu przyspieszył.

— Miała syna z pierwszym mężem?

— Tak. Jeśli dobrze pamiętam, miał około dziesięciu lat, kiedy wyszła za mąż po raz drugi. Widziałem go tylko raz, kiedy przyszedł z opiekunką zobaczyć się z Delią. Jestem pewien, że odbyło się to bez wiedzy jej męża. Chłopiec był bardzo smutny, podobnie jak matka. Co za przygnębiająca historia.

— Pamięta pan nazwisko pierwszego męża Delii? Starszy pan zastanowił się chwilę.

— Przykro mi, ale nie.

Berg zaczął od najmniej prawdopodobnego podejrzanego:

— Leit? A może Johannsen? Krieger wzruszył ramionami.

— Nie wiem, czy w ogóle poznałem nazwisko jej pierwszego męża. Ale pamiętam, jak miał na imię chłopczyk. Della przedstawiła nas sobie. Był z niego bardzo poważny, mały jegomość. Podejrzewam, że wyrósł na takiego samego sztywniaka jak jego ojciec.

Berg usiłował ukryć podniecenie.

— Jak miał na imię, Herr Krieger?

— Jak sam mi zakomunikował, zwał się Rolf.

— Rolf Schoennacht?

— Rolf Schoennacht? Ten marszand? — Krieger osłupiał. — *Herrje-*
mine, chce mi pan powiedzieć, że ten dzieciak to był Rolf Schoennacht? —
Przyszła kolej na Berga, żeby wzruszyć ramionami. — To byłoby niesa-
mowite. Schoennacht specjalizuje się w sztuce nowoczesnej, prawda?

— Tak, to jest główny obszar jego zainteresowań.

. — Kto by pomyślał — podjął zbulwersowany Krieger — że taki na-
dęty i smutny chłopiec wyrobi sobie taki postępowy gust estetyczny?

—Może ma postępowe gusta, Herr Krieger — stwierdził Berg, uśmie-
chając się półgębkiem — ale na pewno nie poglądy. Jest sympatykiem Au-
striaka.

—Jest to dla mnie wiadomość przykra, ale nie nazwałbym jej nieocze-
kiwaną.

— Co pan ma na myśli? Krieger wzruszył ramionami.

— Takie są skutki braku macierzyńskiej miłości. Wszyscy mężczyźni
potrzebują maminego cycka. A jeśli go nie mają, to biada światu. Brak
cycka, drogi kolego, zamienia mężczyzn w potwory.

Rozdział czterdziesty piąty

Dostęp do świadectw urodzin był łatwiejszy niż do spisu adresowego. Biurokratyczne młyny miały jednak powoli. Berg musiał wypełnić cały szereg formularzy i czekać na zgodę. Krągła rudowłosa dopiero następnego ranka zlokalizowała żądane świadectwo urodzin.

— Jak się czuje pański kolega?

— Nie zaglądałem dzisiaj rano do szpitala. Przyjrzała się uważniej jego twarzy.

— Miał pan ciężką noc?

Uśmiech Berga nic jej nie powiedział. Sen był serią koszmarów. Po kilku godzinach zmagania z diabłem Berg skapitulował. Teraz ratował się kawą, ale jak długo tak można? Postawił termos na pokancerowanym blacie stołu.

— Przyniosłem ze sobą kawę. Poradzę sobie.

— Nie wolno tutaj spożywać napojów, *Herr Inspektor*. Mógłby pan załać dokumenty.

Berg westchnął z cicha.

— Zastosuję się do tego.

— Może przymknę na to oko, *Herr Inspektor*. — Rudowłosa uniosła brew. — Niech się pan postara, żebym pana na tym nie przyłapała.

Po jej wyjściu Berg otworzył teczkę. Jego zamglony wzrok spoczął na zawartym tam pojedynczym dokumencie. Rolf Josef Schoennacht urodził się w marcu 1885 roku, miał zatem czterdzieści pięć lat, zgodnie z szacunkową oceną jego kamerdynera. Ojciec: Gunnar Schoennacht, matka: Della Weiss. Rolf był dzieckiem donoszonym, po urodzeniu ważył niecałe cztery kilo i mierzył ponad pięćdziesiąt centymetrów. Przyszedł na świat o wpół do czwartej rano.

Jak wyliczył Berg, w chwili zjawienia się w ich życiu Rolfa Gunnar miał pięćdziesiąt dwa lata, a Della osiemnaście. Spora różnica wieku, pomyślał Berg.

A fe, niegrzeczna dziewczynka.

Potem pomyślał o Margot. Dochodzenie w sprawie jej śmierci umorzono, ustalwszy, że była to prostytutka, którą zamordował jej alfons (repcjonista), ponieważ widziała, jak okradł i zabił dwóch jej klientów (bojówkarzy Hitlera). Śledczy mógł napisać w swoim raporcie, co tylko chciał, bo ofiary nikogo nie obchodziły. Berg rzadko myślał o Margot na jawie, ale teraz mu się to zdarzyło i oblał się zimnym potem.

Della miała osiemnaście lat w chwili urodzenia dziecka, czyli siedemnaście w momencie poczęcia. Oskar Krieger określił Gunnara Schoennachta mianem sztywnego zarozumialca i powiedział, że nawet rozplotkowane sąsiadki Delii rozumiały, dlaczego kobieta nie chce być z takim mężczyzną. Co pociągnęło siedemnastolatkę do nadętego mieszczaucha, który mógłby być jej dziadkiem? Najprawdopodobniej było to małżeństwo zarządzone. Starsi mężczyźni są dobrą partią dla młodych dziewczyn ze względu na pieniądze i pozycję społeczną. Często bywają mniej wymagający seksualnie. Trafiają się wśród nich wdowcy z dziećmi z poprzedniego małżeństwa. Czy Gunnar miał żonę przed Delią?

Zlokalizowanie rudowłosej zajęło Bergowi kilka minut. Jej biuro znajdowało się na drugim końcu korytarza. Na tabliczce widniało nazwisko Ilse Reinholt. Podniosła wzrok i zsunęła okulary na czubek kanciastego nosa.

— Skończył pan?

—Potrzebuję dodatkowych informacji, Fräulein Reinholt. Wszystko, co pani ma na temat Gunnara Schoennachta: świadectwo urodzin, akt ślubu — a raczej akty, bo sądzę, że był żonaty więcej niż raz — i wreszcie świadectwo zgonu, jeśli jest.

—To niemożliwe! — przeraziła się Ilse. — Bez odpowiednich formularzy archiwista nic mi nie wyda.

—A nie mogłaby pani... pożyczyć tych dokumentów, kiedy archiwista pójdzie na obiad?

— Je za biurkiem. Zresztą tak jak wszyscy. Pracujemy bardzo wydajnie.

—Bardzo się to wam chwali — stwierdził Berg z chłopięcym uśmiechem. — Ale ten pan na pewno korzysta z toalety, Fräulein Reinholt. — Rudowłosa tylko na niego patrzyła. — Przyrzekam, że to jest pierwszy i

ostatni raz. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby czekać kolejny dzień, aż jakiś urzędnik podbije formularze. Czy przed wytarciem nosa też trzeba wypełnić formularz?

—Pan nie jest stąd, prawda?

—Jestem z Westfalii.

—Nie chodzi mi o Monachium, tylko o Niemcy. Podejrzewam, że nie urodził się pan w Niemczech.

—Urodziłem się w Danii — przyznał z uśmiechem Berg — ale moja rodzina przeniosła się do Münsteru, kiedy miałem trzy lata.

—To bez znaczenia. I tak pozostaje pan Duńczykiem.

—Niektórzy uznaliby to za komplement.

—A niektórzy nie. — Na jej ustach powoli wykwitł uśmiech. — Wie pan, *Herr Inspektor*... — Pomasowała się po brzuchu. — Zawsze jem na obiad to samo: dzień w dzień kielbasa. Czasem z sałatką ziemniaczaną, czasem z kapustą. — Westchnęła. — Bardzo jestem ciekawa, jak by to było zjeść obiad w jednej z tych eleganckich restauracji na starówce...

Owszem, Berg bardzo chciał szybko otrzymać potrzebne mu informacje, ale nie zamierzał przy okazji zbankrutować. Restauracje są na specjalne okazje, a nie dla jakiejś kobiety, która chce się za darmo najeść.

— Nie mam pojęcia, *Fräulein Reinholt*. Te lokale są daleko poza zasięgiem finansowym policjanta.

Ilse błyskawicznie dostosowała swoją strategię do nowych okoliczności.

—Tak, na pewno każą sobie płacić o wiele za dużo jak na to, co podają. Szybki obiad w *Das Kochehaus* też mnie zadowoli.

—Co za miły zbieg okoliczności, *Fräulein Reinholt*, bo ja też jestem głodny. Da się pani zaprosić?

—Z rozkoszą, *Herr Inspektor*. — Jej uśmiech świecił jak latarnia gazowa. — Niech pan zaczeka tutaj, pójdę po płaszcz i kapelusz.

*

Była jego rówieśniczką, chociaż wyglądała młodziej. Podobnie jak dziesiątki kobiet po trzydziestce, miała kiedyś narzeczonego, który wrócił z

wojny bez nóg. Rok później zmarł na gripę. Po tych doświadczeniach Fräulein Reinholt straciła apetyt na miłość.

„Ale nie na jedzenie”, pomyślał Berg. Pochłonęła sznycel z ziemniakami i burakami, a do tego zjadła dwie kromki żytniego chleba i wypila dwa piwa, a że jeszcze było jej mało, dodatkowo zamówiła kompot jabłkowy. Zanim skończyła obiad i swoją smutną opowieść, minęła godzina i czas był wracać do pracy. Po drodze do *Stadthaus**⁷⁰ spytała o Storfa. Odpowiedź Berga cechował ostrożny optymizm.

—Chciałabym go odwiedzić. Kiedy miałam osiemnaście lat, przeszłam specjalne szkolenie i zgłosiłam się na front, ale zanim zdążyłam wyjechać, mój brat zginął w pierwszej bitwie pod Ypres i rodzina mi zabroniła. Zresztą za linią frontu też było dla mnie mnóstwo roboty. — Berg skinął głową z nieobecną miną. — Jest pan myślami gdzie indziej — powiedziała ostrym tonem, który przywrócił go do rzeczywistości.

—Ma pani rację, Fräulein Reinholt. Bardzo panią przepraszam.

—O czym pan myśli?

—O pracy.

—Zawsze pan myśli o pracy?

—Wolę myśleć o pracy niż o wojnie.

*

Gunnar Schoennacht ożenił się po raz pierwszy w wieku czterdziestu czterech lat. Panna młoda, Lily, miała dwadzieścia pięć lat. Dziesięć miesięcy później urodziła pierwsze z czwórki dzieci, a sześć lat po ślubie zmarła na gorączkę połogową. Pięćdziesięcioletni Gunnar został zatem wdowcem z czwórką potomstwa. Po dwóch latach rolę żony i matki przejęła Della Weiss, która osiem miesięcy później obdarzyła go kolejnym dzieckiem.

Jakie to musiało być dla niej trudne! Osiemnastoletnia Amerykanka w obcym kraju, próbuje prowadzić dom staremu, stetryczalemu Bawarczykowi, obarczona odpowiedzialnością za piątkę dzieci. Jak do tego doszło?

⁷⁰ * *Stadthaus* (niem.) — ratusz.

Dziesięć lat później zdecydowała się na niesłychany krok: rozwiodła się, a przy okazji straciła syna. Widocznie rozpaczliwie pragnęła wyrwać się z pęt Gunnara. A może to Gunnar wystąpił o rozwód? Berg pomyślał o Rolfie Schoennachcie i co najmniej dwadzieścia lat młodszej od niego Julii. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Berg przejrzał akta rozwodowe Gunnara Schoennachta, dokumenty sądowe, które dały mu opiekę nad Rolfem, dziesięcioletkiem w czasie rozwodu, dwudziestolatkiem w momencie wyjazdu Delii do Rosji. Jako człowiek pełnoletni mógł już wtedy decydować o sobie. Czy próbował skontaktować się z matką przed jej wyjazdem z Monachium? I czy to wszystko miało coś wspólnego z Rupertem Schickiem i morderstwami? Czy Rolf podszył się pod swego młodszego przyrodniego brata, owoc cudzołożnego związku jego matki z Dirkiem Schickiem, a może jeszcze innym mężczyzną? Oskar Krieger powiedział, że mały Schick w ogóle nie był podobny do ojca. Czy Rolf wyładowuje na kobietach furie spowodowaną tym, że jego matkę napiętnowano jako kobietę upadłą?

Berg kartkował ostatnie dokumenty i nagle się zatrzymał. Przed oczyma miał trzeci akt ślubu.

Dwa lata po rozwodzie z Delią Weiss Gunnar Schoennacht ożenił się po raz trzeci. Czyli psychiczny garb Rolfa składał się nie tylko z matki uznanej za upadłą, ale również z macochy. A w przeciwieństwie do dzieci Gunnara z pierwszego małżeństwa nie miał prawdziwych braci i sióstr, z którymi mógłby się podzielić swoim nieszczęściem. To może wzbudzić w człowieku agresję. Gunnar w wieku sześćdziesięciu czterech lat po raz trzeci poszedł do ołtarza. Potem nie było już żadnych dokumentów dotyczących małżeństwa ani rozwodowych. Wyglądało na to, że Gunnar został ze swoją trzecią żoną aż do śmierci, która nastąpiła w 1910 roku, kiedy miał siedemdziesiąt sześć lat. Akta nie mówiły nic o dzieciach z tego związku. Gunnar albo nie mógł, albo nie chciał się więcej rozmnażać.

Trzecia żona miała na imię Hannah. Wyszła za Gunnara w wieku trzydziestu dwóch lat, przypuszczalnie sama była wdową albo starą panną. Nagle Berg sapnął głośno, wpatrując się w imię, które widniało przed nim na

papierze. Hannah Schoennacht. Hannah Schoennacht *de domo* Hannah Weiss. Niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności.

Della, Dirk i Rupert Schick już dawno zmarli i zostali pochowani pod tą pokrywą lodową zwaną Związkiem Radzieckim. W aktach znajdowało się świadectwo zgonu Gunnara Schoen-nachta, ale nie Hannah.

Hannah Weiss Schoennacht. Miałaby sześćdziesiąt pięć lat. Trzeba tylko ją znaleźć. To okazało się najłatwiejsze. W bieżącym miejskim spisie adresowym podane było jej miejsce zamieszkania.

TLR

Rozdział czterdziesty szósty

Miejsce to znajdowało się zaledwie o kilka przecznic od pensjonatu Der Blumengarten, ostatniego znanego adresu Marleny Druer. Okolica składała się ze starych czynszówek i dróg gruntowych z koleinami, w których stała woda. Budynek, w którym mieszkała Hannah Schoennacht, wyróżniał się na korzyść. Był to niedawno zbudowany czteropiętrowy dom mieszkalny z szarego kamienia, z dwuspadowym dachem i łukowato zwieńczoną bramą wejściową. Choć zaprojektowany bez zbytej dbałości o estetykę, budynek mógł się poszczycić wewnętrzną kanalizacją, przyłączami gazowymi w kuchniach, szklanymi szybami i elektrycznością.

Hannah Schoennacht mieszkała na trzecim piętrze. Siwe włosy upięła w kok, policzki miała gładkie i pulchne, a ramiona i kark grube. Śliwkowa wełniana sukienka z krótkimi rękawami opinała obfite piersi, miała talię i szerokie biodra. Do czarnych pończoch włożyła czarne buty na płaskim obcasie. Leśnozielony szal w połączeniu z fioletową sukienką sprawiał, że wyglądała jak oberżyna.

Berg przedstawił się jako inspektor policji i Hannah zaprosiła go do środka. Szeroki uśmiech obnażył poplamione herbatą zęby. Może były przebarwione, ale bez wyjątku jej własne. Tylko oczy sugerowały, że ta kobieta przeżyła na tym świecie sześćdziesiąt pięć ciężkich lat.

W mieszkaniu było ciepło. Za oknem widać było stalowoszare monachijskie niebo. Meble okres największej świetności miały już za sobą. Kanapa i krzesła były spłowiałe i gruzłowate, ale zrobione na szydełku kolorowe afgany przerzucone przez oparcia trochę je rozjaśniały. Wszędzie leżały serwetki rozmaitych kształtów i rozmiarów, zasłaniające podartą tapicerkę i pokancerowane blaty. Na ścianach po obu stronach kanapy wisiały kinkiety z białymi żarówkami elektrycznymi na górze i lampkami gazowymi w kształcie świec na dole. Jednakowa intensywność światła wskazywała, że Hannah przerobiła lampki gazowe na prąd. Między kinkietami wisiał portret w tonacji sepii — starszy pan w wojskowym stroju obok krągłej

panny młodej z dużymi oczami. Można by ich wziąć za ojca i córkę, ale Berg miał dokładniejsze dane. W rogu pokoju stało radio, z którego wylewała się muzyka ludowa okraszana trzaskami.

Hannah bez pytania nastawiła wodę w czajniku. Bardzo szybko zagwizdał i po chwili gospodyni wniosła do pokoju herbatę i ciastka. Berg usiadł na skraju krzesła.

—Cukru? Mleka? — spytała.

—Odrobinę mleka, jeśli można prosić.

—Można. Świeżutkie.

—Ani przez chwilę w to nie wątpiłem — odparł z uśmiechem Berg.

Nalała mu herbaty do szklanki i dodała trochę mleka.

—Niedawno wróciłam z Viktualienmarkt. Chodzę tam co rano. Nie, żebym nie miała zaufania do lodówki, ale co świeże, to świeże. Mój mąż, Herr Schoennacht, tak mawiał.

—Lubił świeże?

—Jeszcze jak! Codzienne musiała być bułka prosto z pieca. — Przerwała na chwilę, koncentrując się na podaniu Bergowi szklanki z gorącą herbatą. — Mój mąż zasnął w Panu, ale wciąż słyszę, jak do mnie mówi. Czasem mam wrażenie, że jest tuż koło mnie.

—Jak długo byliście małżeństwem? — zapytał, chociaż znał odpowiedź.

—Trzydzieści lat. Krócej niż Berg.

—To długo. Kiedy umarł?

—Prawie dwadzieścia lat temu.

—Pani mąż nazywał się Gunnar Schoennacht, prawda? Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

—Znał go pan?

—Nie, Frau Schoennacht, nie miałem przyjemności. Ale poznałem pani syna, Rolfa Schoennachta.

—A. — Urwała. — Rolf.

—Tak naprawdę to jest pani przysposobiony syn, tak? — Nie, to mój syn. Formalnie adoptowałam wszystkie dzieci Herr Schoennachta.

Uśmiechnęła się do Berga, a on odwzajemnił uśmiech.

—Wnuki są?

—Czternaście. — Posmutniała. — Rzadko widuję wnuki. Rzadziej niż za życia Herr Schoennachta. Uwielbiały odwiedzać *Opa**⁷¹. A on był w nich zakochany. Strasznie je rozpieszczał — powiedziała karcącym tonem. — Jak tylko rodzice nie patrzyli, dawał maluchom cukierki. Bardzo mnie to dziwiło, bo był surowym ojcem.

—Rozpieszczanie wnuków to przywilej dziadków.

—A przynajmniej dziadka — stwierdziła z odrobiną pretensji w głosie. — Ja jestem i zawsze będę rozsądną i pełną umiaru babcią. Jako matka byłam znacznie bardziej wyrozumiała. Oczywiście trzeba być elastycznym, kiedy wychowuje się adoptowane dzieci.

W jej głosie coraz silniej zaznaczały się stare urazy.

—Często widuje się pani z dziećmi?

—Tak często, jak tylko mogę — odparła ze smutnym uśmiechem. — Są ostatnio bardzo zajęte.

—Opieką nad dziećmi?

—Najróżniejszymi rzeczami.

—Rolf nie ma dzieci.

—Jeszcze nie, ale jego żona jest młoda.

—Tak, to prawda. Rolf dużo podróżuje, czy nie? — Hannah skinęła głową. — Do Stanów. — Znowu przytaknęła. — Pani urodziła się w Stanach, prawda?

—Skoro tak stawia pan pytanie, to znaczy, że zna pan odpowiedź.

—Złapała mnie pani — odrzekł z szerokim uśmiechem.

—Jestem bystrzejsza, niż wyglądam. — Pogroziła mu palcem. — Przyszedł pan tutaj w określonym celu. Co chciałby pan wiedzieć, inspektorze?

Wypiła łyk herbaty i czekała. Jak sama powiedziała, była kobietą rozsądną i pełną umiaru.

⁷¹ * *Opa* (niem.) — potocznie: dziadek.

— Tak naprawdę przyszedłem tutaj po informacje na temat pani siostry Delii.

Hannah długo się w niego wpatrywała.

—Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Nie rozmawiałam z siostrą od dwudziestu dwóch lat.

—Rozumiem. — „Co robić?“, panikował Berg. — Czy w dzieciństwie byłąście ze sobą zżyte?

— Nie bardzo.

Żadne z nich się nie odzywało. W końcu Berg przerwał milczenie.

— Kiedy po raz ostatni miała pani z nią kontakt?

— Dwadzieścia dwa lata temu. Mam wrażenie, że już to panu mówiłam.

„Wymyśl coś!“, ponaglał się Berg.

— Zdaję sobie sprawę, że trudno się pani o niej rozmawia. Wypiła kolejny łyk herbaty i spojrzała na niego znad szklanki.

—Dlaczego interesuje się pan Delią, inspektorze? To jest odległa i dawno zapomniana przeszłość.

—Nie dla mnie, Frau Schoennacht, ponieważ sądzę, że rzuca ona na teraźniejszość. Jak to się stało, że adoptowała pani dzieci swojej siostry?

—Rolf nie był dzieckiem Delii, tylko mojego męża. Ktoś musiał się nim zająć, kiedy go porzuciła.

—Przecież on jej nie pozwalał się z nim widywać.

—Porzuciła Rolfa dużo wcześniej, inspektorze, kiedy nie była wierna swemu kochającemu mężowi. Herr Schoennacht był zdruzgotany, kiedy się o tym dowiedział. Kochał ją szaloną miłością. Tak bardzo się starał, żeby była szczęśliwa. Moja siostra była piękną kobietą — przynajmniej z wierzchu. Wszystko zmarnowała.

—Wyszła za mąż jako siedemnastolatka. Z pewnością nie jest łatwo wychowywać cudze dzieci, kiedy samemu jest się jeszcze dzieckiem.

— Ach... — Hannah machnęła ręką. — Miała służbę, miała nianie, miała wszystko, czego chciała. Herr Schoennacht dałby jej gwiazdkę z nieba. Kochał ją szaloną miłością.

Tym razem powiedziała to rzeczowym tonem, bez zgryźliwości w głosie.

—Była jeszcze bardzo młoda — powtórzył Berg.

—Tak, młoda, ale także głupia i nieodpowiedzialna. Herr Schoennacht uratował moją siostrę przed hańbą — dodała ściszym głosem. — Della była przy nadziei, kiedy się z nią ożenił.

—Czyli postąpił szlachetnie, zwracając ją ze złej drogi.

—Boże święty, postąpił szlachetnie! — obruszyła się. — Pan nic nie rozumie, inspektorze. Rolf nie był nawet jego dzieckiem! Herr Schoennacht był starym znajomym naszego ojca i przebywał w Stanach Zjednoczonych, kiedy to się stało. Della zawsze traktowała go jak dobrego wujaszka. Kiedy dowiedziała się o dziecku, bała się powiedzieć o tym rodzicom, więc powiedziała jemu. A on zachował się jak dworny rycerz i oświadczył się mojej siostrze, żeby oszczędzić jej wstydu i upokorzenia. Pobrali się zaledwie trzy tygodnie później. Herr Schoennacht przeprowadził się wraz z nią do Monachium, licząc na to, że jako bawarska żona i matka odmieni swoje obyczaje. Nie odmieniła.

—Nadal oglądała się za mężczyznami?

—To było straszne. — Hannah zagryzła dolną wargę. — Kiedy rzecz się powtórzyła, Herr Schoennacht był załamany.

—Co się powtórzyło?

—A jak pan sądzi? Poklepała się po brzuchu.

—A, kolejne dziecko w drodze.

— Kolejny... bękart! — dokończyła szeptem. Oczy jej zwilgotniały. — Gunnar chciał mieć z nią dzieci, ale ona mówiła, że ma dostatecznie dużo roboty z niańczeniem jego bachorów. Oczywiście nie spierał się z nią. W końcu była taka piękna!

Berg rozpoznał typowy rodzinny schemat: Hannah jako starsza, brzydsza, rozsądniejsza siostra, a Della jako ta piękna i nieokiełznana. Rozumiał Hannah, ale dużo lepiej rozumiał Delię, bo sam był pupilkiem rodziców.

—Co zrobił Herr Schoennacht, kiedy dowiedział się o ciąży? Po jej policzkach potoczyły się łzy.

—Był zdruzgotany.

—Skąd wiedział, że to nie jego dziecko?

— Był wtedy w długiej podróży służbowej. Mimo to zajął się tą sprawą.

— To znaczy?

— Załatwił... — Spuściła wzrok. — Porządny katolik, ale o wszystko się zatroszczył! Bo ona tego chciała. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to musiało być dla niego trudne?

— Straszne...

— Obrzydliwość! — przerwała mu. Berg skinął głową.

—Ale w końcu zdecydowała, że będzie wychowywała to dziecko — kontynuował.

—Nie, postanowiła się go pozbyć, mimo że Herr Schoennacht zaproponował, że wychowa je jako swoje!

Berg był cokolwiek zdezorientowany.

—Pozbyła się dziecka?

—Twierdzili, że zmarło przy porodzie. Nie bardzo w to wierzę.

—A pani zdaniem jak było naprawdę?

—Myślę, że oddała je do adopcji, a ludziom mówiła, że zmarło. — Zmarszczyła nos. — Oczywiście nie mam na to dowodów.

Berg podrapał się w głowę.

— Skoro dziecko zmarło albo zostało oddane do adopcji, to kto to jest Rupert?

Hannah prychnęła gorzkim śmiechem.

—Rupert to owoc kolejnego grzechu, inspektorze. Herr Schoennacht był przekonany, że po takich traumatycznych przeżyciach Della wróci na dobrą drogę, ale znowu się przeliczył. Po tym wszystkim, co przeszła, po tym wszystkim, co przeszedł Gunnar, żeby ją uratować, nie rozstała się ze swoim kochaniem. Kiedy mój mąż dowiedział się, kto to jest, miał dosyć. Natychmiast wystąpił o rozwód i wyłączną opiekę nad Rolfem.

—Mimo że Rolf nie był jego dzieckiem...

—Bzdura — odparła Hannah. — Herr Schoennacht był jedynym ojcem, jakiego znał Rolf.

—Tak, oczywiście. — Berg wziął do ręki ciasteczko z makiem i wbił w nie zęby. — Pyszne.

—Dziękuję. — Zdobyła się na nieznaczący uśmiech. — Jeszcze herbaty?

—Tak, proszę.

Kiedy jego szklanka była pełna, Hannah dołała też sobie. Berg starał się poruszyć interesujący go temat najdelikatniej, jak umiał. — Kiedy pojawił się Rupert?

—Rupert... — Hannah pokręcił głową. — Parę tygodni po rozwodzie Della dowiedziała się, że znowu jest w ciąży. Z tym samym mężczyzną — zonatym mężczyzną. Teraz nie dało się już niczego ukryć, bo wszyscy wiedzieli, że od wielu miesięcy Herr Schoennacht i Della nie są ze sobą. I wtedy moja siostra powieliła pierwotny scenariusz.

—To znaczy?

—Teraz było już wiadomo, że jej zonaty kochanek nie odejdzie od swojej żony. Della znalazła więc sobie starego capa, który się z nią ożenił. Dirk Schick nie grzeszył urodą. Był zatwardziałym starym kawalerem i człowiekiem znacznie starszym od niej. Na pewno go uwiodła, a potem zdołała przekonać, że dziecko jest jego.

—Przecież to całkiem wiarygodne. Dziecko urodziło się tylko miesiąc przed czasem.

—Widzę, że zbadał pan sprawę. Ale niezbyt dokładnie, bo dziecko urodziło się dwa miesiące przed czasem, ważyło jednak ponad trzy kilo. Dirk musiał się zorientować, że coś jest nie tak, ale ten głupiec już się z nią ożenił.

Berg przypomniał sobie słowa Kriegera, że Dirk był dla niej bardzo dobry. Della musiała mieć w sobie coś niezwykłego, skoro tak bardzo ją kochał.

—Czyli twierdzi pani, że Rupert nie był dzieckiem Dirka.

—Absolutnie.

—Oraz że Rupert i Rolf mieli tego samego ojca — bezimiennego, zonatego mężczyznę?

—Całkowitej pewności oczywiście mieć nie mogę i niech Bóg mi wybaczy, jeśli się mylę, ale... — Spuściła wzrok na kolana i zniżyła głos do szeptu. — Jestem pewna, że wiem, kto to jest... a raczej był. Dowiedziałam się tego znacznie wcześniej niż mój mąż. Sprawa o tyle bardziej obrzydliwa, że wszyscy trzej byli kolegami z dzieciństwa.

—Wszyscy trzej?

—Mój ojciec, Herr Schoennacht i... ten człowiek. — Miała łzy w oczach. — Nie mogę wymienić jego nazwiska, ponieważ jest to znana monachijska rodzina. Powiem panu tylko, że to był zły człowiek, inspektorze. On, Herr Schoennacht i mój ojciec znali się jeszcze z Niemiec. Mój ojciec ożenił się z Amerykanką i wyjechał do Bostonu. Ten mężczyzna... Jego żona pochodziła z szanowanej bostońskiej rodziny. Razem z Herr Schoennachtem odwiedzali mojego ojca. Bawili się z Delią i ze mną, zgrywając dobrych wujaszków. Mówiliśmy do niego wujek Hansy. To najbardziej przeraziło Gunnara: że ten człowiek był taki nikczemny, aby uwieść Delię pod nosem mojego ojca. Oczywiście Herr Schoennacht dowiedział się o tym znacznie później. A kiedy mu powiedziałam, co się stało ze mną... — Łzy popłynęły obficie niż poprzednim razem. — Najpierw uwiódł mnie, inspektorze! Myślałam, że mnie kocha! — Wytarła oczy chusteczką. — Ale jak tylko Della trochę podrosła, przerzucił się na nią. Jakież to było głupie! Dziękuję Bogu, że nie stało się ze mną to, co z Delią. — Pociągnęła nosem i wytarła go w chusteczkę. — Widziałam, jak ją całuje. Pocałował ją na moich oczach i mrugnął do mnie. Przez tydzień to odchorowywałam. Nie mogłam wstać z łóżka. I już nigdy się do niego nie odezwałam.

—Spłodził jej dwóch synów. Może go kochała.

—Może wyszła za Herr Schoennachta tylko po to, żeby się przeprowadzić do Monachium i być z nim.

—Bardzo by mi pomogło, gdybym znał jego nazwisko. Hannah pokręciła głową.

—Co to za różnica?

— Sprawa może się łączyć z pewnym ważnym dochodzeniem. — Utkwił w niej wzrok. — Bardzo ważnym dochodzeniem.

Hannah pozostała nieugięta.

— Przykro mi, ale nie mogę tego wyjawić, póki Rolf żyje.

— Rolf nigdy się nie dowiedział, że Herr Schoennacht nie był jego ojcem?

Hannah zeszywniała ze strachu.

— Nie należało nic panu mówić. Musi mi pan przysiąc, że nikomu nie powtórzy pan tego, co pan ode mnie usłyszał!

Przyszedł czas, aby okazać staruszce współczucie.

—Bardzo długo żyje pani z tym brzemieniem, Frau Schoennacht. Za długo! Niech pani nie robi sobie wyrzutów, że pani ze mną rozmawia.

—Proszę dać mi słowo, że nie powie pan Rolfowi tego, co pan ode mnie usłyszał.

—Nie widzę żadnego powodu, żebym miał mu to mówić. Bardzo by mi jednak pomogło, gdybym poznał nazwisko tego wiarołomcy.

—Przykro mi, inspektorze, ale nie mogę.

—Bardzo panią proszę, Frau Schoennacht. Jeśli nie teraz, to może później mi pani powie.

Hannah skinęła głową.

—Dobrze, inspektorze, zastanowię się nad tym.

—Proszę wziąć pod uwagę, że od pani decyzji może zależeć ludzkie życie.

Hannah nastroszyła się. Nie lubiła być przymuszana. Dla złagodzenia sytuacji Berg zmienił temat.

—Musiało być pani bardzo ciężko, Frau Schoennacht, wychowywać piątkę dzieci, w tym jedno pani siostry.

—Trudno powiedzieć, że Rolf był jej dzieckiem. W ogóle się nim nie zajmowała. Za dużo czasu poświęcała swemu żonatemu kochankowi. Nie, inspektorze, Rolf nigdy nie miał innej matki oprócz mnie. Jeśli chodzi o Rolfa, to Della nigdy nie istniała.

Berg nie był tego taki pewien. Potajemna wizyta z nianią wskazywała, że Rolf był zainteresowany swoją matką.

—Czy Della jeszcze żyje?

—Nie mam pojęcia. Po śmierci naszej matki Della na dobre zniknęła z mojego życia. Mama mówiła mi o niej, więc można powiedzieć, że za jej życia miałam z Delią pośredni kontakt, ale potem i to się skończyło.

—I to pani została prawdziwą Frau Schoennacht.

—Tak. Wychowywałam te dzieci tak, jakby były moje. Kiedy ja się nimi opiekowałam, Delii w ogóle tu nie było. — Spojrzała na Berga znaczącym wzrokiem. — Ma pan dzieci, inspektorze?

—Dwójkę, Frau Schoennacht.

—W takim razie rozumie pan, o co mi chodzi. Dzieci potrzebują prawdziwej matki, a nie tylko nominalnej.

—Tak, wiem. Macierzyństwo często jest niewdzięczną pracą. Ale najważniejszą na świecie.

—Właśnie — westchnęła staruszka.

Hannah dopiła herbatę i zaproponowała Bergowi dolewkę.

—Nie, *danke*, ale zjadłbym jeszcze jedno ciastko z makiem.

—Ależ proszę. Niech pan weźmie trochę dla dzieci.

—Bardzo chętnie.

Wstała i poszła po jakiś papier do zawinięcia ciasteczek. Odmówiła podania mu nazwiska kochanka Delii, ale coś się jej wymknęło.

„Wujek Hansy”, pomyślał Berg.

Anders Johansen? Raczej za młody, żeby być kolegą z dzieciństwa ojca Hannah. Może ojciec Andersa, marynarz. Ale Hannah niechętny zostawiła inny istotny trop.

Jego żona pochodziła z szanowanej bostońskiej rodziny. Katherine Hanfstaengl pochodziła z bostońskiej rodziny Sedgewicków, czym zawsze się szczyciła.

Berg uznał, że kochankiem Delii był mąż Katherine i ojciec Putziego, Edgar, ale jak to sprawdzić? Wiedział, że od Hannah na razie nic więcej nie wydobydzie. Na pewno starczy jej grzebania się w smutnej przeszłości podczas jednej wizyty. Hannah jest samotną kobietą. Kiedy Berg przyjdzie do niej ponownie, Hannah przywita go jak starego przyjaciela. I znowu zacznie snuć wspomnienia. Gdyby hipoteza z Hanfstaenglem okazała się słuszną, to by znaczyło, że Schoennacht, Putzi i Rupert Schick byli przyrodnimi braćmi. Jeśli mężczyzną który przyszedł z Anną Gross do teatru, był Schoennacht albo Schick, określenie Leita „w typie Putziego Hanfstaengla” zyskiwało uzasadnienie. Wszyscy trzej mieli powody nienawidzić Delii: Putziem uroziła rodzinę, Rolfa porzuciła, a Rupert nienawidził jej, bo była kurwą. Może Rupert wrócił do Niemiec, żeby uregulować dawne porachunki. Berg wiedział, że jest na właściwym tropie, ale na razie musiał opierać się na domysłach. Ciężko mu się myślało. Potrzebował świeżego

spojrzenia innej osoby, zastrzyku nowych pomysłów. Postanowił odwiedzić Georga.

Hannah wróciła z gazetą i zaczęła pakować ciasteczka.

— Czyli nie miała pani wiadomości od swojej siostry, odkąd wyjechała do Związku Radzieckiego? — zapytał.

Hannah przerwała pakowanie.

— Tak. Już to panu mówiłam.

— Muszę odszukać pani siostrę, Frau Schoennacht.

— Po co?

— Chodzi o sprawy policyjne. Nie mogę wyjawić pani szczegółów. Powiem pani tylko, że muszę natychmiast skontaktować się z pani siostrzeńcem, Rupertem Schickiem.

— To niemożliwe, inspektorze.

— Wystarczy mi adres. Przyrzekam nikomu nie zdradzić, że otrzymałem go od pani.

— Nie skontaktuje się pan z Rupertem, ponieważ zmarł w 1915 roku.

— Na wojnie?

— Tak sędzę. — Hannah wzruszyła ramionami. — Matka mi tego nie powiedziała, a ja się nie dopytywałam.

Dopiero wtedy Berg uzmysłowił sobie, co właśnie usłyszał.

— Rupert nie żyje?

— Można powiedzieć, że to była pomsta Boża — stwierdziła Hannah, ale natychmiast się zreflektowała. — To grzech tak mówić. Bóg jest miłosierny i wybaczący.

Berg był za bardzo wstrząśnięty, żeby zareagować. Cały czas szukał nieżyjącego mężczyzny! Spadł na niego grad nowych pytań: Kim jest Robert Schick z wizytówki Anny? Kim jest mężczyzna z portretu pamięciowego, zidentyfikowany przez muzykanta jako Rosjanin? Kim jest tajemniczy Robert Hurlbutt z Harvardu? Skoro to nie Rupert Schick, to może Schoennacht albo Putzi? A może Robert Schick jest zupełnie inną osobą? Czego brakuje w tej układance? A potem doznał olśnienia.

— Czy... — Wypuścił powietrze i zaczął jeszcze raz. — Czy Della miała jakieś inne dzieci?

Hannah zamyśliła się.

—Wie pan co? Mama mi mówiła, że niedługo po śmierci Ruperta Della adoptowała sierotę, nastolatka, którego rodzice zmarli podczas rewolucji bolszewickiej.

—Czyli było inne dziecko.

—Chyba tak. Słyszałam od mamy, że Della w końcu się ustatkowała i dostosowała do życia w małżeństwie. Może spowodowała to utrata Ruperta, a może sowieckie stosunki. Może pomyślała o dziecku, które porzuciła, i postanowiła zrobić coś szlachetnego. Albo były to tylko pobożne życzenia mojej matki.

—Nie pamięta pani przypadkiem imienia adoptowanego chłopca?

—Pamiętam, Rodion. Ładne rosyjskie imię, tak w każdym razie słyszałam.

—Rodion — powtórzył Berg do siebie.

—Zapamiętałam je, bo pomyślałam sobie, że to ciekawy zbieg okoliczności. Imiona wszystkich synów mojej siostry, nawet tego adoptowanego, zaczynają się na R!

Rozdział czterdziesty siódmy

Berg strzepnął poduszkę, włożył ją pod plecy Müllera i pomógł mu usiąść na szpitalnym łóżku.

— Jeśli w badaniach nie wyskoczy nic nieoczekiwanego — powiedział Georg — jutro stąd wyjdę.

— Na pewno się z tego cieszysz.

— I tak, i nie. Tutejsze zakonnice są despotkami, ale Karen też.

— Na zdrowy rozum lepszy swój despota niż obcy.

— Nie jestem tego taki pewien. Widziałeś, jaka jest Karen, kiedy się ze-
złości.

Berg podał mu szklanę wody.

— Dobrze widzieć, że wracasz do sił. Jeszcze lepiej będzie zobaczyć, jak stajesz na nogi.

Georg położył rękę na gipsie.

— Muszę stanąć, bo bez tego stąd nie wyjdę.

— Racja. — Berg spojrzał do góry. — Właśnie odwiedziłem Ulricha...

— To do niego wolno przychodzić?

— Tylko na kilka minut. Odłączyli go od żelaznego płuca.

— Co za wspaniała wiadomość!

— Tak, lekarze mówią, że jest ciągły postęp. Rozpoznał mnie dzisiaj — uśmiechnął się Berg. — Zdołał nawet powiedzieć „Berg”.

— To cudownie! — Georg oddał Bergowi szklanę, po czym naciągnął kołdrę na brzuch. — Czyli może mówić?

— Z trudem, ale może. — Berg oblizał wargi. — Jestem pewien, że to tylko kwestia czasu. — Spojrzał na Müllera z nadzieją, że nie widać po nim niepokoju. — Jestem bliski rozwiązania zagadki, Georg, ale potrzebuje pomocy.

— Co z Kalmerem i Messersmitem?

—Ach, *bitte!* Ci dwaj potrafią złapać mordercę, który stoi nad zwłokami z zakrwawionym nożem, ale jak trzeba pomyśleć...

Berg machnął ręką.

— Nie wszyscy mogą być inteligentni. — Müller poprawił się na łóżku. — Poza tym doskonale dajesz sobie radę sam, Axel. Ten Rodion, adoptowany syn Delii: przyjąłeś, że to jest Ro, o którym mówił muzykant.

Berg wzruszył ramionami.

— Nie znalazłem w kartotekach żadnego Rodiona Schicka, ale ten człowiek występuje pod tyloma nazwiskami, że może być każdym. W tej chwili mogę powiedzieć tylko tyle, że szukamy mężczyzny, który płynnie mówi po rosyjsku.

Müller skinął głową i zamyślił się.

—Sądzę również, że musimy uważniej się przyjrzeć Rolfowi Schoennachtowi — stwierdził Berg. — Rodion Schick i Schoennacht mają tę samą matkę, a Rolf znał Reginę Gottlieb.

—Schoennachta nie było w mieście, kiedy zabito Edith Mayrhofer.

—Może potajemnie wrócił.

— Jeśli wierzyć Hannah, Rolf Schoennacht nie widział się z matką po jej wyjeździe do Rosji. Przypuszczalnie nawet nie wie, że jego przyrodni brat Rupert zmarł w 1915 roku. Skąd miałby wiedzieć o chłopcu adoptowanym przez jego matkę wiele lat później?

Berg zagryzł wargę.

—Nie śmieć się ze mnie, Georg, ale czy to możliwe, żeby Della z powrotem adoptowała własnego syna po śmierci Ruperta?

—Tak samo możliwe jak człowiek na księżycu. — Müller zmarszczył nos. — Jak by go w ogóle znalazła?

—Może śledziła jego losy. Może wiedziała, że mieszka w sierocińcu...

—*Bitte!* — Müller pokręcił głową. — Zajmij się Rolfem Schoennachtem. On przynajmniej mieszka w Monachium.

—Dobra — uśmiechnął się Berg. — Przyjrzyjmy się Schoen-nachtowi. Nieślubne dziecko porzucone przez matkę. Nienawidzi jej, ale nie może jej zabić, bo nie ma jej w kraju. Wymyśla więc zastępczą zemstę: zabija kobiety i zrzuca winę na swoich braci, Rodiona i Ruperta Schicka.

—Roberta Schicka.

—Niewielka różnica. Ważne jest to, że mści się na matce i jej nieślubnych dzieciach, zabijając pod ich nazwiskami. Nienawiść Schoennachta jest bardzo głęboka i nigdy nie wygaśnie. Będzie zabijał, dopóki nie zostanie powstrzymany. I na pewno zna angielski, skoro jego matka i macocha były Amerykankami.

—Dlaczego Schoennacht miałby zacząć mordować teraz, po wielu latach życia jako szanowany obywatel Monachium? Po drugie, dlaczego miałby zabijać Reginę Gottlieb, którą znał, i tym samym ściągać na siebie podejrzenie? Po trzecie, Rolf przypuszczalnie zna angielski, ale nie masz dowodów na to, że mówi po rosyjsku. Po czwarte, Schoennachta nie było w mieście, kiedy zginęła Edith i mała Johanna. Wreszcie mężczyzna z portretu pamięciowego nie przypomina Rolfa Schoennachta.

—Rysunek jest na tyle ogólny, że może przedstawiać każdego. Wystarczy zmienić kilka elementów, żeby to był Rolf.

— Wystarczy zmienić kilka elementów, żebym to był ja. Berg jeszcze nie był gotów skapitulować, ale spieranie się o rzeczy oczywiste nie miało sensu. Przeszedł do innego tropu.

— A jak ci się podoba koncepcja, że Putzi Hanfstaengl podszywa się pod Rodiona Schicka?

Müller zastanowił się nad tym przez chwilę.

—Hanfstaengl jest Amerykaninem, więc na pewno mówi po angielsku, ale nic mi nie wiadomo o tym, żeby odwiedzał bary w sowieckim Monachium ani żeby znał rosyjski. Poza tym Hanfstaengl na pewno nie jest mężczyzną z portretu pamięciowego.

—Co sądzisz na temat hipotezy, że ojciec Putziego spłodził dzieci De-
lii?

—Wyciągać króliki z kapelusza może magik, a nie inspektor z *Mordkommission*. Nie masz żadnego powodu podejrzewać, że Hanfstaengl albo ktokolwiek z jego rodziny jest zamieszany w tę sprawę.

—Gerhart Leit powiedział, że mężczyzna, który towarzyszył Annie Gross, był w typie Putziego Hanfstaengla.

—Lecz o ile mnie pamięć nie myli, powiedział również, że to nie był on. Na twoim miejscu nie rozpuszczałbym żadnych pogłosek. Hanfstaengl jest ustosunkowany.

—Masz na myśli Hitlera? — Berg roześmiał się. — Nie zamierzam się przejmować bojówkarzem, przestępcą i cudzoziemcem.

—Nie to miałem na myśli. Hanfstaengla stać na najlepszych adwokatów. Rodzina nie będzie tolerowała rozpuszczania przez policję bezpodstawnych podejrzeń pod jego adresem.

—Hannah Weiss Schoennacht nazwała mężczyznę, który próbował ją uwieść, „wujkiem Hansym”.

—To ciekawe, ale ojciec Putziego ma na imię Edgar.

—Hanfstaengl! — przypomniał mu Berg.

—Wtedy byłby wujek Hanfy, nie Hansy. — Georg westchnął zniecierpliwiony. — Brawo za kreatywność, Axel, ale nie masz nic na poparcie tych hipotez. Nie lubisz Hanfstaengla, bo jest bogaty, bo jest snobem, bo jego matka pochodzi z arystokratycznej amerykańskiej rodziny, a on jest zagorzałym sympatykiem Austriaka.

Berg chciał zaprotestować, ale potem zastanowił się nad słowami Müllera.

—A wiesz, że masz rację? Nie lubię go właśnie z tych powodów.

—Schoennachta też nie lubisz i dlatego upierasz się przy nim jako podejrzanym.

—To nieprawda. To znaczy rzeczywiście nie lubię Schoennachta, ale i bez tego bym go podejrzewał.

—Ale my nie szukamy Bawarczyka, który zna angielski, tylko Rosjanina, który płynnie mówi po niemiecku i angielsku. Masz nazwisko, chłopie. Idź do sowieckiego Monachium i pokazuj portret pamięciowy. Szukaj Rodiona Schicka!

Berg szarpnął głową do tyłu, zaskoczony stanowczością Mullera.

— Dobra, pójdę do sowieckiego Monachium z portretem pamięciowym. Poszukam Rodiona Schicka.

— Nareszcie! — Müller opadł z powrotem na poduszkę. — Zuch chłopak!

Berg nie był jednak do końca zadowolony z tego rozwiązania. Pokazywanie portretu pamięciowego może potrwać wiele godzin czy nawet dni, a w tym czasie morderca będzie planował następne posunięcie. Kim jest ten zbrodniarz? Berg nie był jeszcze gotowy zrezygnować z Schoennachta. Na poczesnym miejscu w jego domu widział obraz *Lustmord*. Muzyk grający na bałajce nie powiedział, że mężczyzna, którego rozpoznał na portrecie pamięciowym, miał na imię Rodion, tylko Ro. A Ro to może być skrót od Rolf. W tej chwili nie dało się jednak nic zrobić, bo marszand wyjechał z miasta. Poza tym nie było żadnych dowodów na to, że Rolf Schoennacht mówi po rosyjsku.

Tajemniczy morderca przypuszczalnie nie urodził się w Niemczech. Nawet Amerykanin Green wspomniał, że śledzony przez Berga i jego kolegów człowiek mówił po niemiecku z nieznacznym akcentem. Ale morderca przyjechał do Monachium i dostatecznie zasymilował się z ludnością Bawarii, żeby zdobyć serca Anny Gross i Marleny Druer — dwóch kobiet, które flirtowały z komunizmem. Rodion Schick niewątpliwie był Rosjaninem, człowiekiem wychowanym w państwie komunistycznym.

Rodion Schick.

A co z Andersem Johannsenem?

Może nie „Ro”, tylko „Jo”? Anders nie urodził się w Monachium. Sam zeznał, że wiele podróżował. Może zatrzymał się na dłużej w Rosji? Złota obroża na szyi jego psa mogła zostać użyta jako narzędzie zbrodni. Poza tym to bardzo dziwne, że Anders Johannsen znalazł nie jedno, lecz dwa ciała. Berg wiedział, że wielokrotni mordercy, tacy jak Haarmann i Wampir z Dusseldorfu, lubią bawić się z policją w kotka i myszkę. Z drugiej strony Johannsen sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego po znalezieniu zwłok Reginy Gottlieb. Poza tym był starszy od Rodiona i niepodobny do mężczyzny z portretu pamięciowego.

Rodion Schick: morderca dostatecznie zuchwały, by zabijać w biały dzień. A zatem człowiek z dużym poczuciem władzy. Anders Johannsen nie był człowiekiem zuchwałym i silnym, wręcz przeciwnie — zgorzkniałym homoseksualistą. To rzecz ogólnie znana, że homoseksualni mordercy z reguły zabijają innych homoseksualistów. Rodion Schick.

Ktoś bardzo pewny siebie, o mocnej pozycji życiowej. Rodion Schick.

Rolf i Anders są wysocy. Putzi to istny olbrzym. Rodion Schick.

Ro jak Rodion. Ro jak Rolf. Ro jak Jo. Ro jak Roderick... Tyle że Schlüssel urodził się i wychował w Bawarii i jest o wiele za stary na to, żeby być synem Delii. Ro jak Vo, ale Volker też jest za stary.

Rodion Schick.

Schick Rodion.

Nagle Berg otworzył szerzej oczy. Georg kpił z kreatywności Berga, ale kreatywność czerpie z głębin podświadomości. Właśnie stamtąd wypłynął pewien pomysł.

Rozdział czterdziesty ósmy

Wszystko ułożyło się w jedną całość, dziwne zestawienia kolorów i form stworzyły oniryczny portret nienawiści i zemsty. Berg mówił cicho, nachylony tak blisko Müllera, jakby uwodził kobietę.

Wyszeptał pewne nazwisko. Müller zrobił wielkie oczy, spopielął i oblał się potem.

—Nie mówisz tego poważnie! — Berg wytarł koledze twarz chusteczką. — Nie powinieneś nawet stawiać takich sugestii w miejscu publicznym!

—Dlatego mówiłem szeptem.

—Nawet tego nie rób! — Na policzkach Müllera znowu wykwitł rumieniec. — Wbijam ci do głowy, Axel, że to nie jest jeden z nas, ale ty jesteś uparty jak osioł. Napytasz sobie biedy, chłopie.

—Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie to jest tylko hipoteza...

—I to cieniutka! Nie masz ani śladu dowodu!

—Chcesz wystąpić w roli jego adwokata czy przynajmniej mnie wysłuchasz?

Müller pokręcił głową.

— Myślę, że zwariowałeś, ale mów. Postaram się zachować obiektywizm.

Takiego Georga znał Berg.

—Dziękuję.

—Udzielam ci głosu.

Berg rozpoczął swoją opowieść.

Della i Dirk Schick adoptowali nastolatka Rodiona. Może chłopiec był rosyjskim sierotą, a może biologicznym synem Delii odzyskanym po utracie Ruperta. Na pewno wiadomo, że adopcji dokonano jakiś czas po śmierci Ruperta, która nastąpiła w 1915 roku.

Müller uniósł palec.

—Nawet tego oficjalnie nie ustaliliśmy.

—Tak słyszałem, Georg, i przyjmuję, że to prawda. Bez tego założenia trop Roberta Schicka prowadzi donikąd. Pseudonim się zgadza, przybliżony wiek się zgadza. Nawet ty musisz przyznać, że... — „Bez nazwisk”, skarcił się Berg. — ...że ten człowiek trochę przypomina mężczyznę z portretu pamięciowego.

—Podobnie jak tysiące innych osób.

—Już to mówiłeś.

—I będę to powtarzał, choćby po to, żebyś się trochę zreflektował. Przyjęcie założenia, że Rodion Schick istnieje naprawdę, może być naszym pierwszym wielkim błędem.

—Czy mogę kontynuować? — spytał Berg z cierpliwością.

—Tak, przepraszam cię, mów dalej — odparł z uśmiechem Müller.

Della adoptowała Rodiona po śmierci Ruperta. To znaczy, że nastolatek został wychowany w Związku Radzieckim przez rosyjskiego ojca o niemieckich korzeniach i niemiecko-amerykańską matkę. Mówi zatem wszystkimi trzema językami. To pozwala rozwiązać jeden problem: jak pogodzić komunistę Ro z Niemcem Robertem Schickiem na wizytówce u Anny Gross i z anglojęzycznym lordem Robertem Hurlbuttem. Rodion nie był w Związku Radzieckim szczęśliwy. Kto byłby szczęśliwy, żyjąc pod rządami Stalina? Ale za jego melancholią kryły się dodatkowe, podświadome przyczyny. Stracił dzieciństwo i chociaż później los się do niego uśmiechnął i został adoptowany, wiedział, że nie był chcianym dzieckiem, tylko substytutem dwóch synów straconych przez Delię. Pielęgnował w sobie urazy: wobec zmarłego brata, wobec niemieckiej matki, ale przede wszystkim wobec tej matki, która narzuciła mu rolę substytutu. Nastolatki nawet bez powodu nienawidzą cały świat, a ten miał powód. Jego wściekłość rozrastała się jak chwasty i wkrótce przestał nad nią panować. Zaczął snuć myśli o zemście.

Müller słuchał z zainteresowaniem, co dodało Bergowi pewności siebie.

Kiedy Rodion osiągnął wiek dorosły, wyjechał za granicę, podając się za Niemca, i w końcu osiadł w Monachium. Może trochę znał to miasto ze wspomnień rodziców. Tutaj urodzili się jego dwaj znenawidzeni bracia. Rodion odziedziczył po matce wielki urok osobisty i brak skrupułów. Po-

został w stanie wolnym, z dwóch powodów: po pierwsze, żona i dzieci mogłyby niechętnie ujawnić jego prawdziwą tożsamość, a po drugie, nie-spętany obowiązkami rodzinnymi mógł łatwiej osiągnąć pozycję dającą władzę. Instynktownie wyczuwał, kto może mu pomóc w zrobieniu kariery politycznej. Jako zwierzę polityczne umiał działać dyskretnie. Tylko człowiek dyskretny mógł przez tyle lat skutecznie udawać urodzonego w Niemczech urzędnika policyjnego. Tylko człowiek dyskretny mógł wcielić się w rosyjskiego hrabiego lub Anglika, kiedy zaszła taka potrzeba.

—Ale dlaczego miałyby przybierać tyle fałszywych nazwisk i narażać się na zdemaskowanie?

—Bardzo dobre pytanie.

—Chciałbym usłyszeć odpowiedź.

—Daj mi trochę czasu. Jeszcze tego do końca nie przemyślałem.

Müller znowu się uśmiechnął.

—Nie spiesz się. Po prostu się czepiam. Z nudów.

—Ja na twoim miejscu już dawno bym tu zwariował. — Berg uporządkował myśli. — Myślę, że po tylu latach uprawiania aktorstwa jako syn Delii nie miał problemu z wcielaniem się w inne osoby. Jestem pewien, że to lubił. Poza tym z udawaniem rosyjskiego hrabiego wiązały się pieniądze. Marlena Dru-er była bogatą kobietą stanu wolnego, ze świata artystów, zauroczoną ideą rewolucji. Rodion udawał, że podziela jej entuzjazm dla komunistycznego buntu. Powiedział jej, że wcieli w życie fantazje, które razem snuli. Dała mu pieniądze na sfinansowanie jego planów.

—I nie wiedziała, kim on naprawdę jest?

—Nie była w Monachium i właśnie dlatego padło na nią. Nawet szefowie monachijskiej policji nie są osobami znanymi w całym kraju. Marlena wierzyła, że rosyjski hrabia podpisujący się „Ro” zaprowadzi w Monachium komunizm, tak jak kilkanaście lat temu zrobił to Kurt Eisner.

—Dobra, to się w miarę trzyma kupy — powiedział Müller. — Jak się w to wszystko wpisuje Anna Gross?

—Z powodów, które już wymieniłem, Ro nie chciał się żenić, ale potrzebował kobiety.

—Od tego są kurwy, Axel.

—Na kurwy też z pewnością chodzi, ale taki człowiek jak on lubi dreszcz ryzyka. Czy jest coś bardziej podniecającego, niż uwieść komuś żonę? Hochsztaplerzy grają role, ponieważ sprawia im to przyjemność. Jako rosyjski hrabia, zbuntowany komunista i artysta z bohemy poszukuje dreszczyków. Cóż za kontrast z jego codziennym życiem porządnego niemieckiego urzędnika państwowego!

—Ale Anna mieszkała w Monachium, więc wiedziałyby, kim on jest.

—Niekoniecznie. Rzadko pokazuje się publicznie, działa głównie zakulisowe. A może spotykał się z nią ucharakteryzowany? W rosyjskim hrabim trudno dostrzec monachijskiego policjanta, prawda? Nigdy się nie dowiemy, czy Anna знаła jego prawdziwą tożsamość, wiemy natomiast, że w chwili śmierci była w ciąży. Mamy również informację od pokojówki Anny, że ona i Anton bezskutecznie starali się o dziecko.

—Czyli nie była w ciąży ze swoim żydowskim mężem.

—Tak. I może wszystko byłoby dobrze, gdyby Anna udawała, że dziecko jest Antona. Ale założmy, że nie chciała więcej udawać. Założmy, że zakochała się w powalającym rosyjskim hrabim i chciała wyjść za niego. A to było niewykonalne. Po pierwsze, jako kobieta, która miała na swoim koncie małżeństwo z Żydem, byłaby bardzo niepożądaną partią dla człowieka zaangażowanego w politykę. Po drugie, Rodion wiedział, że gdyby się z nią ożenił, to prędzej czy później zostałby zdemaskowany. Musiał się jej pozbyć.

—Ale najpierw zginęła Druer. Jak ona lokuje się w twojej opowieści?

—Trochę się nad tym zastanawiałem — odparł Berg. — Sądzę, że Marlena dowiedziała się o jego romansie z Anną i zagroziła, że wyda go władzom i odetnie mu fundusze. Napisał więc do niej list, w którym obiecał jej zacieśnienie stosunków, kiedy już uporządkuje swoje sprawy. List na tyle udobruchał Druer, że przywiozła do Monachium dużą sumę pieniędzy dla niego. Kiedy Rodion miał już te pieniądze w kieszeni, zajął się Marleną, a potem Anną.

— Gdyby było tak, jak mówisz, to nie znaleźlibyśmy w kasetce tylu pieniędzy.

Berg rozważył obiekcje Müllera i ponownie zniżył głos.

—Jak pamiętasz, zostawiłem trochę banknotów, bo pusta kasetka wyglądałaby podejrzanie. Może on przyjął taką samą strategię? Może pierwotnie w kasetce było jeszcze więcej pieniędzy? Wiedział, że przeszukamy pokój Marleny, więc zostawił trochę forsy, żeby nie budzić w nas podejrzeń.

—Powiedzmy, że uwierzę w tę bajkę — odparł Müller po chwili milczenia — ale nie tłumaczy ona, dlaczego Rodion dalej mordował po zabiciu Anny Gross.

—Bo zawładnął nim *Lustmord*...

—Idiotyzm!

—Dwa pierwsze morderstwa ośmieliły go. Ogarnięty wolą mocy, był gotów przystąpić do realizacji planu zemsty. Dlaczego wybrał Reginę Gottlieb? Bo chciał rzucić podejrzenie na Rolfa Schoennachta, prawdziwego syna swojej matki i człowieka, którego szczerze nienawidził.

—A skąd by wiedział o erotycznych zakusach Schoennachta na Reginę?

—Wiemy, że on i Rolf obracają się w tych samych kręgach politycznych. Obaj należą do wielu *Vereine*. Może w jednej z nich poznał Rolfa, który zwierzył mu się ze swoich zdrożnych chuci.

—Nie masz nawet dowodu na to, że w ogóle się znają, a co dopiero wymieniają zwierzenia o intymnych sprawach.

—Nietrudno będzie sprawdzić, do których klubów należą— zareplikował Berg. — Rolf mógł nigdy nie słyszeć o swoim przybranym bracie, Rodionie, ale Rodion z pewnością wiedziałby o swoim utraconym bracie Rolfie. Ro nareszcie znalazł sposób na wrobienie brata — rzucił na niego podejrzenie o zabicie Reginy Gottlieb.

— Dobra, mogę przyjąć tę hipotezę, chociaż wymaga ona sporej elastyczności umysłu. A teraz musisz mi wyjaśnić, jak w tym wszystkim mieszczą się dwie ostatnie ofiary — spokojna robotnica i jej córeczka. Rolfa Schoennachta nie było w mieście, więc nie dało się zrzucić winy na niego. Poza tym te morderstwa wzburzyły ludzi i wywołały zamieszki, w których wiele osób zginęło. Dobre imię policji mocno ucierpiało. Po co miałby kłaść własne gniazdo?

— Żeby osłabić pozycję Maxa Brummera i zdobyć więcej władzy.

Müller odpowiedział wzruszeniem ramion. — Interesujące, Axel. Stworzyłeś iście mitologiczną sagę, z uwiedzeniem młodej dziewczyny i zakazaną miłością.

—Nie zmyśliłem sobie tego, tylko usłyszałem od siostry Delii.

—Ale zmyśliłeś historię zemsty brata na bracie.

—Historia równie stara jak Biblia.

—Tak, to prawda. — Müller prychnął krótkim śmiechem. — Dobra, podoba mi się ta historia. Przyznaję, że może coś jest na rzeczy. Ale musisz ją zweryfikować, zanim zaczniesz stawiać zarzuty. Nie powtarzaj tej wersji nikomu, zanim nie znajdziesz dowodów, bo narobisz sobie wrogów.

Berg wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze.

— Właśnie dlatego przedstawiam ci moje teorie: żebyś mógł się nad nimi zastanowić. Chociaż nie możesz fizycznie pracować, to możesz myśleć.

—Tylko czasami — roześmiał się Müller.

—Przede wszystkim muszę obserwować jego ruchy, bo może znowu uderzyć — stwierdził Berg. — Kiedy będę wiedział na pewno, że jest w pracy, dyskretnie przyjrę się jego fałszywym papierom imigracyjnym. Muszę też zbadać kluby Schoennachta i znaleźć ludzi, którzy mogą zaświadczyć, że przyjaźnił się z naszym człowiekiem.

—Kupa roboty dla jednej osoby, Axel. W jaki sposób zamierzasz być w dwóch miejscach naraz?

— Nie zamierzam. I dlatego potrzebuję ciebie. Musisz wyzdrowieć, chłopie! Potrzebuję pomocy!

*

Wychodząc ze szpitala, Berg spotkał Volkera, który spojrzał na niego czujnym okiem.

—*Herr Inspektor.*

—*Herr Kommissar.*

Serce Berga łomotało w piersiach. Ostatnia osoba, z którą chciał w tej chwili rozmawiać, to ktoś wysoko postawiony w policji.

— Jak się czują Müller i Storf?

— Znacznie lepiej, *mein Herr*. Storf reaguje na proste polecenia. — Berg spojrzał na sufit, próbując uspokoić oddech. Rozstroiło go nie tylko spotkanie z Volkerem, ale także wszystko, o czym rozmawiał z Müllerem.

— A z Georgiem jest świetnie. Jutro go wypisują.

— Wspaniała wiadomość.

— Tak jest.

Zapadła niezręcznie długa cisza.

— Jak panu poszły badania w archiwach?

— Dobrze, *mein Herr*. Bardzo dobrze.

— Czyli jest pan blisko poznania tożsamości Schicka?

— Nie tak blisko, jak na to liczyłem. — Berg miał nadzieję, że wypowiedziane przez niego słowa nie są tak rwane, jak jego myśli. — Ale jutro jest nowy dzień.

— Boże święty, Axel, naprawdę nie wiem, czy tą drogą do czegoś pan dotrze.

— To samo sobie pomyślałem, że może byłoby najlepiej, gdybym przeprowadził rutynowe działania. — Volker czekał na wyjaśnienie. — Wie pan, porozmawiał trochę więcej z rodziną i znajomymi Edith Mayrhofer. Może spotykała się potajemnie z jakimś mężczyzną.

— Tym samym, który zadawał się z pozostałymi ofiarami?

— Może tak, może nie. — Berg zmartwił się, że może w oczach Volkera za łatwo rezygnuje ze swojej pierwszej linii: dochodzenia. — Chciałbym

pokazać jej znajomym portret pamięciowy mężczyzny, który był w teatrze z Anną Gross. Nie jestem jeszcze gotów postawić krzyżyk na Rupercie Schicku. Ale muszę mieć alternatywny plan śledztwa, na wypadek, gdyby się okazało, że to jest ślepa uliczka.

—Zgadzą się — odparł Volker. — A jeśli znajdzie pan w życiu Edith innego tajemniczego mężczyznę, który będzie dobrym podejrzanym, to przyjmie pan założenie, że śmierć Edith i jej córki nie była powiązana z pozostałymi.

—Niewykluczone. — Berg zmusił się do uśmiechu. — W tej chwili nie jestem pewien, co mam myśleć. Dlatego jestem dobrym inspektorem. Muszę mieć poukładane wszystkie fakty, zanim zacznę wyciągać wnioski.

Volker uniósł wargę w kpiącym uśmiechu.

— Nie wiem, czy to jest do końca prawda, inspektorze. W przeszłości zdarzało się panu stawiać hipotezy.

— Hipotezy to nie to samo, co wnioski.

— Dzieli pan włos na czworo, Axel.

— Może nawet i na więcej — uśmiechnął się szczerze Berg.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Kiedy Berg wsiadał do *Triebwagen*, w głowie mu wirowało od nowych koncepcji i przypuszczeń, za którymi na razie stało głównie jego gorące pragnienie, żeby się potwierdziły. Krótkie spotkanie z Volkerem wytrąciło go z równowagi. Wiedział, że musi jeszcze raz udać się do miejskich archiwów, żeby wstępnie zweryfikować swoje teorie, ale do tego potrzebował pisemnej prośby Volkera. A nie mógł o nią wystąpić, zważywszy na to, kogo chciał przeświecić. Musiał to zrobić potajemnie. Był teraz sam, bo oprócz Georga nikomu nie mógł zaufać.

Kiedy tramwaj ruszył, Berg zdał sobie sprawę, że wciąż stoi. Przytrzymał się skórzanej pętli, uznawszy, że jest za bardzo zdenerwowany, żeby siedzieć. Jego myśli bezproduktywnie kręciły się w kółko.

Zawsze jest Ilse Reinhold, pomyślał. Wiedział, że rudowłosą urzędniczkę da się kupić, chociaż tym razem nie wystarczy obiad w piwiarni. Wciąż miał prawie wszystkie pieniądze skradzione z kasetki Marleny Druer, jak również banknoty, które wcisnął mu do rąk Gottlieb. Czy można lepiej wykorzystać nielegalnie pozyskane fundusze niż do rozwiązania zagadki morderstwa?

Spojrzał na zegarek. Archiwa były zamknięte od wielu godzin. Trzeba będzie pójść jutro rano...

Ktoś trącił go mocno w ramię. Berg wykonał piruet, ale zobaczył tylko grupę siedzących pasażerów z obojętnymi minami. Czyżby miał urojenia?

„Spokojnie, Axel, spokojnie. Odetchnij głęboko”, uspokajał się.

Wiedział, że nie powinien iść do domu, tylko szpiegować Rodiona. To byłaby zbrodnia pozwolić mu grasować po mieście. Ale jak to technicznie rozwiązać? Iść dziesięć kroków za nim, a potem czekać, aż wyjdzie z teatru czy restauracji? Kręcić się po sowieckim Monachium, gdzie z pewnością odstawałby od tłumu? Czy powinien czuwać całą noc pod jego mieszkaniem? Zaledwie pół godziny temu był bardzo przejęty swoją koncepcją, a

teraz, kiedy trochę ochłonał, zaczął tracić przekonanie. Liczba faktów w porównaniu z liczbą domysłów była zbyt mała.

Tramwaj nagle się zatrzymał i Bergiem szarpnęło do przodu. Był tylko człowiekiem — zwykłym, kruchym człowiekiem o podstawowych potrzebach: jedzenia, wody, snu, miłości... Jego ciało nękał głód i samotność. Potrzebował iść do domu, żeby się fizycznie i emocjonalnie posilić. Potrzebował pocałować żonę w czoło i przytulić dzieci. Potrzebował pozbyć się myśli o krwi, żądzy i morderstwie, ponieważ coś w jego mózgu stale mu przypominało, że on również zabawił się kiedyś w Boga i zgasił ludzkie życie. Gdyby wychowywał się w takich samych warunkach co Rodion, to może też popadłby w obłąd. Był tak bardzo pochłonięty swoim koszmarem na jawie, że o mało nie przejechał swojego przystanku. Wskoczył w ostatniej chwili, za co został skarcony przez motorniczego.

„Uspokój się, Berg. Oddychaj powoli”, tłumaczył sobie.

Przez chłodną wieczorną mgłę ruszył do domu, od którego dzieliło go kilka przecznic. Miał za sobą wyczerpujący dzień: umysłowa gimnastyka często bardziej męczy niż praca fizyczna. Na ulicach było pusto, jeśli nie liczyć jednego samochodu zaparkowanego pod jego budynkiem. Otworzył drzwi klatki schodowej, wyjął ze skrzynki pocztę i powłókł się na czwarte piętro. Na klatce było ciepło od wieczornego gotowania. Apetyczne wonie uderzyły go w nozdrza i zaburczało mu w żołądku. Nagle zdał „sobie sprawę, że przez cały dzień prawie nic nie jadł. Nawet podczas obiadu z Ilse ledwo co skubnął. Głód z pewnością pogłębiał zmęczenie. Szedł korytarzem w stronę mieszkania. Ponownie spłynęły na niego wyrzuty sumienia z powodu śmierci Margot i nie zwrócił uwagi, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Zresztą nie było w tym nic nadzwyczajnego. Znali wszystkich sąsiadów.

Drzwi często zostawiano otwarte, zwłaszcza w porze kolacji, bo zawsze ktoś coś pożyczał — cebulę, rzepę czy łyżeczkę soli. Ze środka dobywały się pyszne zapachy. Britta była fantastyczną kucharką.

Dopiero kiedy znalazł się w środku, zauważył, że coś jest nie tak. Jego żona i dzieci siedziały na skraju kanapy z przerażonymi minami. Britta w środku, z załzawionymi policzkami przytulała do siebie Monikę i Joachima.

Berg podniósł wzrok. Za kanapą stał mężczyzna, który przez minioną godzinę zajmował jego myśli. Obrazki migają mu przed oczyma jak w animowanej książeczce dla dzieci. Każda ze stron zawierała nieruchomy rysunek, ale jeśli sieje szybko przekartkować, to rozgrywała się ruchoma scenka. Gość miał po jednym pistolecie w każdej dłoni: luger P.08 i mauzer C96.

—Dobry wieczór, inspektorze.

—*Kommandant*... — szepnął.

—Niech pan wejdzie i zamknie za sobą drzwi. Po co robić przeciąg?

Berg wykonał polecenie i postawił krok do przodu, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał stuknięcie odwodzonego kurka. Lufa mauzera była przystawiona do skroni jego syna. Ten szatan z piekła rodem nie był w ciemnię bity. Dla mężczyzny nie ma nic cenniejszego niż życie jego syna. *Kommandant* zdążył już zabić bezbronną dziewczynkę. Uśmiercenie starszego chłopca z pewnością nie wzbudziłoby w nim najmniejszych skrupułów.

—Niech pan się nie rusza bez mojego rozkazu.

—Tak, *mein Herr* — odparł Berg.

—Zdyscyplinowany z pana policjant. — Stefan Roddewig machnął pistoletem w powietrzu. — Niech pan siada. — Berg ruszył w stronę kanapy. — Nie, nie tutaj. Na krześle, inspektorze. Naprzeciwko żony, syna i córki. Żebym pana widział... twarzą w twarz. — Berg usiadł. — Ręce na kolana, żebym je widział. — Berg zastosował się do polecenia. — Miałem dzisiaj gościa. Porządnego obywatela Monachium, który był bardzo wzburzony. Wygląda na to, że wprawił pan jego matkę w rozstrój nerwowy, wtrącając się do jej prywatnych spraw. — Berg milczał. — Do starych spraw rodzinnych... Pan wie, o kim mówię. — Berg wciąż nie reagował. — Niech mi pan odpowie! — ryknął Roddewig i strzelił z lugera w sufit, z którego po-

sypał się tynk. Monika wrzasnęła przeraźliwie, ale Britta zatkała jej usta dłonią. — Następna kula trafi w chłopaka. Nie lubię, jak się mnie ignoruje.

—Przepraszam za nieuprzejmość, *Herr Kommandant* — powiedział Berg zaskakująco mocnym głosem. Upewnił się, że nikomu z rodziny nic się nie stało. Trzęśli się ze strachu, ale wyglądało na to, że na razie nikomu włos z głowy nie spadł. Berg utkwiał spojrzenie w mauzerze, trzymanym przez Roddewiga pewną ręką. — Sądzę, że ma pan na myśli Rolfa Schoennachta. W żadnym razie nie zamierzałem wytrącać z równowagi ani jego, ani nikogo innego, zwłaszcza pana.

—Czyżby? — *Kommandant* sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego. Tylko tik w jednym oku zdradzał, że za stalową fasadą kryje się zderzenie. — W takim razie rozminął pan się ze swoim zamierzeniem.

— Jeszcze raz przepraszam. Roddewig ze złością wypuścił powietrze.

— Gdyby problem ograniczał się do tego idioty Rolfa, moglibyśmy załatwić sprawę w biurze, między nami dwoma, Berg. Ale pan wciągnął w to jego matkę!

„To ja zachowałem się jak idiota. Było oczywiste, że Hannah powie swemu synowi o mojej wizycie”.

— Co pan sobie myślał?

„No, co ja sobie myślałem?”. Ale w tym momencie Berg coś sobie uświadomił. Jak Hannah mogła rozmawiać ze swoim synem, skoro rzekomo wyjechał do Paryża lub Ameryki? Albo skrócił podróż, albo wcale nie opuścił Monachium. To oznaczało, że mógł być w mieście, kiedy zabito Edith i jej córeczkę. Może Roddewig i Schoennacht dokonywali morderstw w duecie.

— Bardzo... — Berg starał się zachować spokój, zdołał nawet uśmiechnąć się do Joachima, ale chłopiec był za bardzo sparaliżowany, żeby zareagować. — Bardzo mi przykro. Niech pan ze mną zrobi, co pan chce, *Herr Kommandant*, ale proszę, niech pan zostawi moją rodzinę w spokoju.

Błąd. Na ustach Roddewiga zaigrał uśmiech.

— A, teraz zrobił się z pana wielki domator. Skoro kochanka nie żyje, to trzeba zadowolić się żoną, co?

Berg zamknął oczy, nie śmiał spojrzeć na rodzinę, ale natychmiast je otworzył.

„Nie odrywaj wzroku od pistoletu, idioto”, krzyczał na siebie w duchu.

Berg podskoczył, kiedy usłyszał ciche stuknięcie, coś jakby wystrzał z pistoletu z pustą komorą.

— Coś się stało, inspektorze?

Berg spojrzał na mauzera Roddewiga, wciąż wymierzonego w skroń jego syna. Teraz z kolei miał złudzenia słuchowe. Mózg płatał mu figle.

— Nic.

— Podskoczył pan. — Zimno tutaj.

— Niech pan siedzi spokojnie. Denerwuje mnie pan, jak pan tak skacze. Chyba pan nie chce, żebym się zdenerwował?

— Nie, *mein Herr*.

— To dobrze — uśmiechnął się Roddewig. — Teraz rozumiem, dlaczego Martin koniecznie chciał pana postawić na czele *Mordkommission*. Jest pan wymagający wobec swoich podwładnych. Dzięki panu Martin wychodzi na dobrego zwierzchnika. Pańskie drobiazgowość i uparte poszukiwania zabójcy robią wrażenie. Ale nie tak wielkie, jak szczegóły, które pan jakimś cudem wygrzebał spod ziemi, a potem zbudował z tych urywków całkiem wiarygodną historię.

Naturalnym odruchem Berga było milczeć, ale rozum mu mówił, że należy coś powiedzieć.

—Dziękuję, *mein Herr*.

—Był pan tak blisko, drogi kolego, tak blisko. Berg oblizał wargi.

—Przypisuje mi pan zbyt wielką zasługę...

Kula z lugera śmignęła mu koło ramienia. Berg był zaskoczony, ale zdołał się nie ruszyć.

— Nie jest pan idiotą, więc niech się pan nie zachowuje jak idiota. Sporo pan wie, ale nie wszystko. Życzy pan sobie, abym uzupełnił pana wiedzę?

Znowu tik, ale mniej widoczny. Roddewig był coraz spokojniejszy.

— Tak, chętnie posłucham wszystkiego, co zechce mi pan powiedzieć — odparł Berg.

Roddewig skinął głową.

— Dobra odpowiedź. Chociaż nie składa mi pan raportów, inspektorze, wiedziałem, co pan robi. Z akt archiwalnych można wyczytać ciekawą historię, prawda?

Tylko dwie osoby wiedziały, że był tego przedpołudnia w archiwach. Jeden z nich leżał w szpitalu. A drugi przyszedł tam wieczorem. Jakiż Berg był głupi i naiwny, że poinformował Vol-kerja o swoim planie gry.

—Gdyby uważniej śledził pan Rolfa, to by pan wiedział, że był w mieście, kiedy zamordowano Edith. Brak jego amerykańskiego alibi rzuciłoby na niego bardzo mocne podejrzenie.

—Jestem pewien, że dowiedziałbym się o tym, *mein Herr*, i postawiłbym mu zarzu...

—Nie, nie, nie! — Roddewig cmoknął językiem. — Niech pan nie obraża mojej inteligencji! Kiedy usłyszałem, że pan rozmawiał z moją pomyloną ciotką, wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim się pan zorientuje, kim jestem.

Znowu to samo wyraźne stuknięcie. Nie przesłyszał się! Berg starał się zachować skupienie i kamienną minę. Dźwięk dochodził z za jego pleców. Jeszcze ktoś jest w pokoju? Nie miał odwagi obejrzeć się przez ramię. Zamiast tego nad głową żony patrzył na wiszący na ścianie rysunek Joachima. Szybka posłużyła mu jako lustro, ale nie zobaczył nikogo za swoimi plecami. Ale stuknięcie nie było wyimaginowane! Skoro nie dochodziło z pokoju, to musiało dochodzić z za drzwi wejściowych. Które nie były zamknięte na klucz.

Ktoś chciał wejść do środka i zabierał się do tego bardzo cicho. „Może pożyczę dostatecznie długo, żeby się dowiedzieć, kto to jest”, pomyślał Berg. „Graj na zwłokę! I pamiętaj, żeby się uchylić!”

Berg odchrząknął.

— W dalszym ciągu możemy obarczyć Schoennachta winą za wszystkie morderstwa, *mein Herr*. Znał Reginę Gottlieb, która pracowała dla jego żony. Nienawidzi Żydów. Doskonały kandydat na podejrzanego.

— On ją naprawdę zamordował, tumanie! — Usta Roddewiga znowu wykrzywiły się w chorobliwym uśmiechu. W połączeniu z tikiem dałoby to efekt istic komiczny, gdyby *Kommandant* nie był uzbrojony. — Rolf Schoennacht... mój faworyzowany starszy brat... wysławiany przez moją matkę jako wzór wyrafinowania i dobrego smaku. Za którym moja matka potwornie tęskniła, mimo że sama go porzuciła. Chociaż ta pozbawiona kręgosłupa moralnego ladacznica w niczym nie dostrzegała swojej winy.

Lufa mauzera zsunęła się ze skroni na szczękę Joachima. Jeszcze odrobina, a Berg miałby szansę, jeśli byłby dostatecznie szybki.

— ...wielki Rolf Schoennacht płaczący jak dziecko. — Uśmiech zrobił się szerszy. — Przybiegł do mnie spanikowany, licząc na to, że wyciągnę go z opresji. Ale nawet panika i strach nie przeszkodziły mu w tym, żeby osiąść tę żydowską sukę... i to dwa razy.

Berg przełknął ślinę.

— Wykorzystał ją, kiedy już nie...

— Kiedy człowiekiem zawładnie żądza... — Szeroki uśmiech. — Ale pan doskonale o tym wie, inspektorze. Margot była nader pociągającą kobietą.

Tym razem Berg nie zamknął oczu, chociaż pokusa była bardzo silna. Niczym niezmacona nienawiść w oczach Britty była nożem wbitym w jego serce. Zaslugiwał na najcięższe potępienie. Przez swoją głupotę naraził rodzinę na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie umiałby żyć z takim poczuciem winy — wolał umrzeć. Przypuszczalnie to go właśnie czekało — ale czy musi pociągnąć za sobą rodzinę?

Roddewig cały czas mówił.

— ...z racji naszej głębokiej przyjaźni powiedziałem Rolfowi, że się tym zajmę. Rzecz jasna, wiedziałem, w jaki sposób zginęły pozostałe kobiety.

„Bo to ty je zamordowałeś”.

— Odcisnąłem na szyi Gottlieb takie same ślady, jakie zostawił naszyjnik na Marlenie. Wiedziałem, że ten orlonosy Żyd Kolb jest dostatecznie bystry, aby to zauważyć.

Znowu stuknięcie za jego plecami. „Graj na zwłokę”, polecił sobie Berg. Trzeba było coś powiedzieć.

—Policja i mieszkańcy uznali, że winnym śmierci Anny jest Anton Gross. Wystarczy, że zarzucimy Schoennachtowi zamordowanie pozostałych ofiar, *Herr Kommandant*. To nie będzie trudne.

—I taki jest właśnie mój plan, inspektorze. Wina spadnie na Rolfa. Niestety, to panu wcale nie pomoże. Za dużo pan wie o tych morderstwach, a co ważniejsze, za dużo pan wie o mnie. Zachowanie pana przy życiu byłoby zbyt niebezpieczne. Ale jestem człowiekiem miłosiernym, przyjacielu. Najpierw zabiję pana, a dopiero potem pańską rodzinę, żeby nie musiał pan na to patrzeć. Co się zaś tyczy mojej ciotki, to czeka ją bardzo łagodna śmierć. — Szeroki uśmiech. — W końcu to członek rodziny.

Stuknięcia zza pleców ustały. „Graj na zwłokę”.

—Tak między nami, *mein Herr*: w jaki sposób zamierzał pan obarczyć Schoennachta winą za zamordowanie Edith i Johanny Mayrhofer?

—Rolf miał wyjechać do Paryża, ale nie wyjechał. Ta zmiana planów bardzo mocno go obciąża.

—Dlaczego nie wyjechał?

—Hitler poprosił go, żeby wziął udział w wiecu. Schoennacht poczuł się zaszczycony. Ten człowiek idzie na lep sławy. Dlatego tak dobrze się ze sobą dogadywaliśmy. Ten idiota uważał, że ma policję w kieszeni.

Lufa mauzera zsunęła się jeszcze bardziej, ale teraz celowała w głowę Moniki. Berg musiał zachować cierpliwość.

—Rozumiem.

—Rolf Schoennacht to niezrównoważony psychicznie brutal, inspektorze. Kiedy oskarżę go o zabicie Marleny i Reginy, monachijczycy nie będą mieli problemu z uwierzeniem, że dwa pozostałe morderstwa również są jego dziełem. Sądzę, że będą chcieli w to uwierzyć.

Roddewig miał rację. Obywatele Monachium domagali się odpowiedzi. Problem w tym, że każda odpowiedź by ich zadowoliła. Skoro policja zarzuca Antonowi Grossowi zamordowanie swojej żony, to Anton Gross jest mordercą. Skoro politycy twierdzą, że diabolicznym zbrodniarzem jest Rolf Schoennacht, to diabolicznym zbrodniarzem jest Rolf Schoennacht. Prawda jest wielką wartością, ale kiedy nie można do niej dotrzeć, musi wystarczyć kozioł ofiarny. Taka jest niemiecka mentalność: naród zbyt dumny, by

przyznać się do porażki, zbyt wyniosły, by uczciwie rozdzielić winę. Zawsze winien jest kto inny. Roddewig cały czas mówił.

—...uważany za bohatera, który rozwiązał zagadkę tych makabrycznych morderstw i przywrócił w naszym mieście ład. To ja postawię mordercę przed obliczem sprawiedliwości. Politycy zbiegną się, żeby całować mnie w stopy, ci sami politycy, którzy stracili szacunek do *Herr Direktor* Brummera, ponieważ nie zdołał utrzymać w mieście porządku po ostatnim wiecu Hitlera. Wie pan, że domagają się jego dymisji?

—A pan będzie logicznym kandydatem na jego następcę.

—Tak jak pan przewidział dziś po południu. Muszę przyznać, Berg, że bystrzak z pana.

„Przewidział dziś po południu? Skąd Roddewig wie, co powiedziałem dziś po południu do Georga? Chyba że... Jak mógł?”.

Na widok rozpaczy na twarzy Berga Roddewig parsknął głośnym śmiechem.

— To bardzo smutny stan rzeczy, kiedy nie można ufać nawet najwierniejszym sojusznikom.

Ta zdrada była niepojęta. Berg pracował z Müllerem od prawie dwóch lat. Razem jedli, razem pili, razem ukradli pieniądze. Ich żony się znały. Ich dzieci bawiły się ze sobą. Berg wiedział nawet, z którymi kurwami Georg zaspokaja chuć. Jak Müller mógł dopuścić się takiej niełojalności, takiej zdrady?

— Müller zawsze miał wielkie ambicje — powiedział z uśmiechem Roddewig — ale niestety jest strasznie leniwy. Bardzo go zabolalo, kiedy Volker mianował pana szefem *Mordkommission*. Oczywiście to był właściwy wybór, ale to nie znaczy, że Müller go zaakceptował. W końcu jest o pięć lat starszy od pana i w przeciwieństwie do pana urodził się w Bawarii. Przyszedł do mnie w tajemnicy i spytał, jak może uzyskać awans. Powiedziałem mu, co ma dla mnie zrobić, i dobiliśmy targu. Zaczynał się niecierpliwić i wtedy wyszła sprawa tych morderstw. Wszystko układało się dla niego bardzo pomyślnie. Pan u Bozi, Storf kaleka — Müller będzie oczywistym kandydatem do awansu.

Rewelacje Roddewiga sparaliżowały Berga. Jak to możliwe?

Ale przyście *Kommandant* do domu Berga świadczyło o prawdziwości jego słów. Berg znowu usłyszał stuknięcie klamki, a potem cichutkie skrzypnięcie otwieranych drzwi. Dźwięk ten przywrócił mu trzeźwość umysłu. Nie ma się co pieklić, że został zdradzony, kiedy trzeba ratować rodzinę.

„Mów coś, żeby nie usłyszał tego, co ty słyszysz”, zmuszał się do działania.

—Czyli Georg wszystko panu powiedział.

—Zadzwoił na komendę, jak tylko pan od niego wyszedł. Miałem szczęście, że nie odkrył pan prawdy trochę wcześniej. Gdyby Müller wciąż miał nogę na wyciągu, nie dotarłby tak łatwo do aparatu. Teraz może usiąść na wózku.

„Niech mówi”.

—Proszę mi powiedzieć, *Herr Kommandant*, jak daleko byłem od prawdy.

—Pomylił się pan tylko co do morderstwa Reginy Gottlieb.

—To już wiem, ale co z innymi? Co z Anną Gross? Dziecko było oczywiście pańskie.

—Nie wiem, czy moje, ale na pewno nie Żyda. — Kolejny uśmiech. Żadnych tików. Roddewig czuł się wybornie. — Najdziwniejsze jest to, Berg, że pierwotnie nie planowałem morderstwa. Marlena stale dawała mi pieniądze. Miała mnie za dobrego sowietę ze Schwabing, który za pomocą jej funduszy propaguje w Monachium komunizm. Część tych pieniędzy chciałem przeznaczyć na aborcję Anny.

—Ale Anna odmówiła.

—Tak.

—I zagroziła, że powie Marlenie.

—Powiedziała Marlenie, suka.

—I pieniądze się skończyły.

—Suka! — powtórzył Roddewig. — Marlena uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy jej się oświadczyłem.

—Ale nie mógł się pan z nią ożenić.

—Z nikim nie mogłem się ożenić. Grałem rolę komunistycznego hrabiego wobec kilku pań. Gdyby Marlena lub Anna dowiedziały się, że pracuję w policji, straciłbym ważne źródło finansowania.

—Więc musiał ją pan zamordować.

—Nie chciałem, ale... — Roddewig zamrugał kilka razy. — Powiedziałem Marlenie, że planuję duży komunistyczny wiec i potrzebuję mnóstwo pieniędzy na jego zorganizowanie. Powiedziałem jej, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w Monachium wybuchnie rewolucja, a potem się pobierzemy.

—Uwierzyła panu.

— Jestem ze Związku Radzieckiego. Umieję wyrecytować z głowy *Manifest komunistyczny*. Czemu miałyby mi nie uwierzyć?

— Spotkał się pan z nią w pensjonacie. Zabrał pan większość pieniędzy, ale trochę pan zostawił, żeby policja mogła je znaleźć. Potem pan ją zabił.

Oczy Roddewiga zaszklily się.

—Nie posłano mnie na front podczas Wielkiej Wojny, Berg.

—Miał pan wielkie szczęście.

—Wręcz przeciwnie, czułem się jak czarna owca. Ten idiota, mój ojciec, użył swoich niemałych wpływów i pieniędzy, żeby załatwić mi pracę za biurkiem. W odróżnieniu od większości moich *Kameraden* nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem. Zaskoczyło mnie, jakie to łatwe. — Roddewig urwał na chwilę. — Mam ten rzadki dar, Berg, że nic nie czuję, kiedy zabiję. Zamordowanie Anny i zatrzymanie pieniędzy dla siebie wydawało mi się znacznie mądrzejsze niż załatwienie tej kretynce aborcji. I sprawa by przycichła, gdyby Rolf jej nie rozdmuchał, zabijając tę żydowską sukę.

—I wtedy postanowił pan skierować podejrzenie o zabicie Reginy i Marleny na Rolfa.

—Otóż to.

— Ale co panu zawiniła Edith Mayrhofer i jej Bogu ducha winna córka?

Roddewig zmrużył oczy.

—Żądza *Lustmord* jest bardzo silna, Berg. Wiedzą o tym tylko ci, którzy tego zakosztowali.

—Sądzę, że we mnie wzbudziłoby to obrzydzenie, *mein Herr*.

—Szczęściem większość pana bliźnich czuje tak samo, bo inaczej wszystkie kobiety świata poszłyby do grobu.

— Ale dlaczego dziewczynka?

— Bo się nawinęła. — Roddewig wpatrywał się w Berga pozbawionymi wyrazu oczami. — Nie, Edith to nie było moje pierwsze *Lustmord*. — Lufa mauzera mierzyła teraz w podbródek Britty. — I nie będzie ostatnie. — Położył Britcie dłoń na twarzy. — Ale rola Schoennachta jako kozła ofiarnego już się skończyła. — Był taki podniecony, że zaczął się ślinić. — Wszystko dokładnie zaplanowałem, Berg.

Berg znowu usłyszał skrzypnięcie drzwi.

—Naprawdę chce pan wiedzieć?

—Jestem ciekawski.

— To prawda. — Znowu zmrużył oczy. — Müller mówił mi, że ma pan obsesję na punkcie tych morderstw. Zabili panu kochankę, więc nie miał pan gdzie pójść, żeby sobie ulżyć. Musiał pan zadowolić się żoną, ale kiedy pana odtrąciła... Tego już pan nie wytrzymał.

— Rozumiem. — Berg skinął głową.

— Nie, nic pan nie rozumie. No to panu powiem. Najpierw pan sobie z nią użył...

Roddewig zaczął głaskać Brittę po twarzy. Była taka spokojna, taka dzielna. Berg odważył się spojrzeć jej w oczy. „Tak cię przepraszam, kochanie, tak bardzo cię przepraszam”.

Po jej policzkach pociekły łzy.

— Policja znajdzie dowody — podjął Roddewig — że pan ją zgwałcił. — Kolejne skrzypnięcie. — Posiadł pan ją siłą na oczach dzieci. Błagały pana, żeby pan przestał. A kiedy pan ochłonął i uprzytomnił sobie, co zrobił, nie był pan w stanie spojrzeć jej w oczy, dzieciom też. Wpadł pan w absolutną rozpacz.

Podmuch wiatru otworzył drzwi na oścież. Berg natychmiast skoczył do przodu, ściągnął rodzinę na podłogę i osłonił ich własnym ciałem. Nad ich głowami huczał krzyżowy ogień. Bergiem zawładnęły odruchy z czasów żołnierskich. Pamiętał o tym, żeby się uchylić.

Rozdział pięćdziesiąty

Roddewig upadł na plecy z dwiema kulami w klatce piersiowej i jedną w twarzy. Martin Volker wyszedł z wymiany ognia bez szwanku.

— Tak to już jest, jak ktoś nie ma doświadczenia bojowego. — Podniósł z podłogi pistolety komendanta i schował do kieszeni. — Nie umieją się osłaniać i strzelają jak dziewczyny.

Berg po kolei postawił członków swojej rodziny na nogi. Przytulił dzieci.

— Zabierz je do ich pokoju i zamknij drzwi — powiedział do Britty. Pocałował ją w policzek, objął i szepnął: — Schowajcie się pod łóżkiem i pod żadnym pozorem nie wychodźcie. — Na głos dodał: — Idźcie.

— Chcę zostać z tobą, tato — powiedział Joachim.

— Nie możesz z nim zostać! — zdenerwowała się Britta. Berg spojrzał synowi w oczy.

— To nie potrwa dłużej niż kilka minut. Poza tym musisz się zaopiekować swoją mamą i siostrą. — Pocałował go w czoło. — Zawsze opiekuj się mamą i siostrą.

— Dlaczego? — Po policzkach chłopca popłynęły łzy. — Co zamierzasz zrobić?

— Zaczynam tracić cierpliwość — oznajmił Volker. Britta zabrała dzieci i zniknęła w pokoju. Po paru chwilach

Berg usłyszał odgłos przesuwania mebli. Barykadowali się.

— Skąd pan wiedział, że *Kommandant* tu jest? — spytał komisarza.

— Nie wymagało to wielkich umiejętności dedukcyjnych. — Volker trzymał w dłoni mauzera Roddewiga. — Usłyszałem, jak Müller rozmawia przez telefon, a raczej krzyczy do słuchawki. Pewnie miał kiepskie połączenie. Rozczarował mnie pan, Axel. Nie zauważył pan samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy?

— Zauważyłem.

—Ile osób z okolicy ma samochód? Berg ponownie przeklął swoją głupotę.

—Od jak dawna wie pan o Müllerze?

—Od jakiegoś czasu miałem podejrzenia. W zeszłym roku kilka razy widziałem, jak wychodził z biura Roddewiga o bardzo późnej godzinie. Ten człowiek jest zupełnie pozbawiony kręgosłupa moralnego. Nie musiałem go długo przekonywać, żeby wszystko mi powiedział.

—Czy o tym, że mordercą jest Roddewig, Müller dowiedział się wcześniej niż dzisiaj po południu?

—Nie wiem, Berg. Nie jest człowiekiem zbyt prawdomównym, więc wszelkie jego zaprzeczenia nie zasługiwałyby na wiarę. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego pan chce z nim pracować.

—Uważałem go za swojego przyjaciela. — Aby ręce mu nie drżały, włożył je do kieszeni. — Pomyliłem się.

—Co do Müllera, ale nie Roddewiga, tego aroganckiego gnoja. To będzie koniec kariery Maxa Brummera. — Nieznaczny uśmiech. — Politycy nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że Brummer mianował komendantem wielokrotnego mordercę.

—Można oczekiwać, że pan zajmie jego miejsce.

—Można by oczekiwać, gdyby nie fakt, że znajdą się tacy, którzy uznają, że nie postąpiłem mądrze, zabijając zwierzchnika.

—Przecież on był wielokrotnym mordercą!

—Tak, tak, oczywiście, ale niektórzy pomyślą, że zrobiłem to dla własnej korzyści.

Berg spojrzał w oczy Volkera: powiedziały mu, że jego chwile są policzone. Volker pokręcił głową.

— Mam ciężki problem z wyjaśnieniem wszystkiego. I chociaż pan stanąłby po mojej stronie, sytuacja byłaby dla mnie bardzo niewygodna. Pan zna prawdę, tak samo jak zna pan prawdę o Margot. Niestety dla pana, po prostu za dużo pan wie.

Berg usłyszał stuk odwodzenia kurka i poczuł lufę mauzera na swoim czole.

— Uratowałem pańską rodzinę, Axel. Uratowałem pana od przejścia do historii jako obłąkany zabójca, kolejny niemiecki zbrodniarz owładnięty *Lustmord*. Uratowałem pańską żonę, córkę i syna. Szkoda, że nie mogę uratować pana. — Berg milczał. — Jeden strzał w głowę z pistoletu Roddewiga. Pańska praca przy tym śledztwie nie pójdzie na marne. Umrze pan jako bohater.

Berg był zaskoczony, że serce bije mu tak spokojnie, że jest pogodzony z nieuchronnym. Nawet gdyby udało mu się pokonać Volkera, jego los byłby przesądzony. Po śmierci dwóch zwierzchników w jego salonie Müller zmyśliłby jakąś historię przeciwko niemu, a Berg nie miał w komendzie nikogo, kto by go popierał. Zostałby aresztowany i skazany. Zmarłby w więzieniu albo z ręki kata. Jego rodzinę poddano by ostracyzmowi i ekskomunikowano.

Już teraz był bardziej martwy niż żywy. Przyszedł czas napisać testament i uczynić Volkera jego wykonawcą.

—Co z moją rodziną?

—Zatroszczę się o nich.

—Jak zdobędzie pan ich zaufanie, kiedy mnie pan zamorduje?

—Powiem im, że nie zamordowałem pana... sam pan to zrobił.

— Samobójstwo? — uśmiechnął się Berg.

— Nie mógł pan znieść poczucia winy i wstydu z powodu Margot. Nie był pan w stanie spojrzeć żonie i dzieciom w oczy. Zachował się pan honorowo, żeby oszczędzić rodzinie upokorzenia.

— Britta panu nie uwierzy.

— Strzał padnie z bliska. Przecież nie pozwoliliby pan mi zabić się bez walki. Poza tym Britta nie przejmie się tym. Gardzi panem.

— Panem też.

— Ale w tej chwili nie tak bardzo jak panem. Naraził pan ją i dzieci na niebezpieczeństwo. Powiem jej, że sam pan wymyślił historię, która oszczędzi rodzinie hańby związanej z pana samobójstwem. Walcząc w obronie swojej rodziny, odważnie wyrwał pan pistolet Roddewigowi, ale o ułamek sekundy za późno. Strzelił pan mu w klatkę piersiową i głowę, ale on śmiertelnie ranił pana w głowę.

—Rozumiem.

—Kiedy wszedłem, pan leżał umierający.

—Tak, myślę, że Britta przystanie na taką wersję. — Berg potarł o siebie dłonie. — Niech mi pan obieca, że wywiezie ich pan z kraju. — Volker uniósł brew. — Roddewig był zaprzyjaźniony z Hitlerem. Austriak stracił przeze mnie cenny kontakt w policji. Kiedy dojdzie do władzy, może się mścić na mojej rodzinie.

—Hitler nie zdobędzie władzy.

Przyszła kolej na Berga, żeby się uśmiechnąć.

—Ja też kiedyś byłem optymistą. — Pokręcił głową. — Bojówkarze mnie pobili, a ja nie traciłem nadziei. Ale po ostatnim wiecu zmieniłem zdanie. Zobaczyłem, do czego są zdolni jego ludzie, *Kommissar*. Zobaczyłem sto tysięcy Niemców wiwatujących na jego cześć. Pan też nie jest ślepy. Austriak jest bezwzględny i wytrwały. To tylko kwestia czasu, *Kommissar*, a może raczej powinienem powiedzieć, *Direktor*. — Volker znowu uniósł brew. — Prędzej czy później będzie pan musiał przejść na jego stronę, *mein Herr*. Jeśli zachowa pan neutralność, uzna pana za wroga. Tak funkcjonują barbarzyńcy. — Berg wzruszył ramionami. — Mnie już przy tym nie będzie. Musi mi pan przyrzec, że uzyska pan wizy dla całej mojej rodziny i wyekspediuje ich z kraju. Wtedy zrobię to, czego pan żąda.

Volker nie odejmował lufy pistoletu od skroni Berga.

—Ma pan rodzinę w Danii, prawda?

—Nie chcę, żeby wyjechali do Danii, *mein Herr*. Niech pan im załatwi wizy angielskie, a jeszcze lepiej amerykańskie.

—Ma pan rodzinę w Stanach?

—Dalekiego kuzyna. Każdy ma dalekiego kuzyna w Stanach. Ale przyszedł mi do głowy inny pomysł. Niech się pan skontaktuje z reporterem, który nazywa się Green. Pracuje dla londyńskiej gazety, „London Eagle” czy coś w tym guście. Pochodzi z Bostonu. Powie mu pan, że dostanie tę historię wielokrotnego mordercy na angielską wyłączność w zamian za pomoc w uzyskaniu wiz amerykańskich dla mojej rodziny. Powie mu pan, że chciałem, aby byli jak najdalej od tych strasznych wspomnień. Wyjazd z Niemiec to jedyne rozwiązanie. Niech Green to napisze w konwencji hero-

icznej. Rząd wykazałby się bezduszością, gdyby nie spełnił przedśmier-
nej prośby bohatera. Tak musi pan zrobić. Musi pan powiedzieć Greenowi,
że takie wyraziłem ostatnie życzenie, kiedy leżałem umierający w pana ra-
mionach. Volker wzruszył ramionami.

—Chyba da się to załatwić.

—Nie, musi mi pan przyrzec. Musi mi pan dać słowo honoru. Volker
ponownie wzruszył ramionami.

—Słowo honoru.

—*Vielen Dank*^{*72}. Gdzie mam stanąć?

—Skoro wyrwał pan pistolet Roddewigowi, to gdzieś blisko niego.

—Niech mi pan wskaże miejsce.

— Myślę, że tuż przed kanapą. — Volker obszedł kanapę, aby stanąć
tam, gdzie przed upadkiem znajdował się Roddewig. Potem spojrzał Ber-
gowi w oczy. — Niech się pan nie rusza.

—Bez obawy, nie ucieknę panu.

Volker przyłożył Bergowi pistolet do głowy.

—Dlaczego Stany, Berg? Dlaczego wysyłasz ich tak daleko od ojczy-
zny?

—Mój syn zawsze chciał zobaczyć taniec Josephine Baker.

—Wystarczy pojechać do Berlina.

Berg zastanawiał się przez chwilę, jak to ująć.

—Ile razy pan słyszał słowa Hitlera, że musiał być jakiś powód, dla
którego dwa miliony Niemców poległy na obcej ziemi?

—Do czego pan zmierza?

—Oczywiście, że był powód, Volker. Bardzo prosty powód: rozpoczę-
liśmy wojnę zaborczą i przegraliśmy. Chlubimy się dumną historią podbo-
jów i hańba klęski wciąż jest zbyt wielka, żebyśmy o niej głośno mówili.
Na naszej ziemi fizycznie nic nam o niej nie przypomina, ponieważ tutaj
nie było żadnych bitew. Jedynymi pozostałościami Wielkiej Wojny są ka-
lcecy żołnierze, którzy powoli wymierają. Hitler nie pogodził się z porażką,
podobnie jak połowa ludności naszego kraju. Jest wielu takich, którzy do-

⁷² * *Vielen Dank* (niem.) — bardzo dziękuję.

magają się zemsty i dążą do zemsty. — W 1917 byliśmy bardzo bliscy zwycięstwa. Ententa ledwo się trzymała: Belgia zdziesiątkowana, Francja w rozsypce, Anglia na skraju wyczerpania. — Berg uśmiechnął się cierpko. — A potem do wojny przystąpili jankesi. Miliony świeżych żołnierzy z karabinami, amunicją, nowoczesnymi samolotami i bombami. — Pokręcił głową. — To nie ententa wygrała wojnę, Volker, tylko Ameryka. Obywatele Stanów Zjednoczonych wrócili do domu z dreszczem zwycięstwa w sercach, a my od ponad dziesięciu lat nie możemy się podźwignąć z upokorzenia i wstydu. Chciałbym odejść ze świadomością, że jeśli będzie kolejna wojna, w której polegną miliony, mój syn będzie nosił mundur zwycięzców.

—Martwy to martwy.

—Można jednak być cieleśnie żywym, ale duchowo martwym. Niech pan spojrzy na Hitlera. Ten człowiek jest przyszłością Niemiec. Jeśli pan dotrzyma słowa, Volker, to przynajmniej Hitler nie będzie przyszłością moich dzieci. I dlatego przyjmę pana kulę z uśmiechem na twarzy.

Epilog

Nowy Jork 2005 rok

Nie znalazłem się pośród milionów poległych, chociaż byłem na polach bitwy. Zgodnie z ostatnim życzeniem mego ojca nosiłem zielony mundur amerykański. Wiem wszystko na temat tamtej ostatniej rozmowy, bo podczas gdy moja siostra i matka zachowały się jak przystało na Niemki i posłuchały rozkazu ojca, ja byłem buntownikiem o gorącej głowie. Podśluchiwałem przez dziurkę od klucza. Mama nie protestowała, bo postawiła krzyżyk na wszystkich mężczyznach w rodzinie.

Nigdy nie powiedziałem matce i siostrze o tym, co się rozegrało w salonie naszego małego mieszkania, ale udałem się w tej sprawie do Martina, jak tylko ukazały się nagłówki w „Miin-chener Post”. Dotrzymał słowa, czego nigdy do końca nie zrozumie. Może postąpił tak dlatego, bo ojciec zmarł bohaterską śmiercią, walcząc ze zbrodniarzem. Stefana Roddewiga ochrzczono Monachijskim Mordercą i pośmiertnie oskarżono o zabicie Anny Gross, Marleny Druer oraz Edith i Johanny Mayrhofer. Antona Grossa pośmiertnie oczyszczono z zarzutu zabójstwa żony. Przypadek Reginy Gottlieb oficjalnie pozostaje nierozwikłany. Sądzę, że Martin potrzebował Schoennachta do innych celów. Dowiedziałem się, że Rolf został osądzony za zbrodnie wojenne i zamordowany tuż przed wydaniem wyroku. Zamordowany w makabryczny sposób.

Kiedy Jankesi przystąpili do wojny, byłem za stary, żeby walczyć na linii frontu, ale ponieważ osiągnąłem już pewną renomę jako artysta i fotograf, zwerbowano mnie i wysłano za morze, abym rejestrował atramentem i azotanem srebra to, co się działo podczas najkrwawszych bitew. Wielekroć miałem również do czynienia ze śmiercią na plażach Utah i Omahy, gdzie można było zobaczyć zmasakrowane, wypatroszone, pozbawione kończyn zwłoki — skutki działania karabinów, armat, granatów i bagnatów.

Widywałem również chodzących zmarłych. Przydzielony do 7. Armii, a ściślej do 20. Dywizji Pancерnej, fotografowałem istne szkielety, zarobaczone, przeżarte gangreną i zakażeniem. Ich mózgi trawiła gorączka tyfusu i innych strasznych chorób. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci, stłoczonych na małej przestrzeni, wycierających z kątów i zakamarków, wpatrzonych w nas, niektórzy mieli odwagę dotykać nas kościstymi dłońmi i sękatymi palcami. Więźniowie Dachau byli wycieńczeni z głodu. Amerykanie w swojej prostoduszności rzucali im konserwy i tabliczki czekolady. Wielu więźniów przeżyło nazistowskie bestialstwa, by umrzeć od jedzenia, którego ich żołądki nie potrafiły strawić. „Śmierć z konserwy”, jak to nazywano. Sfotografowałem to wszystko, jak również cztery poczerńiałe piece krematoryjne. Nad bawarską ziemią unosił się swąd spalonych ciał, a oczy piekły od dymu, ale miasto twierdziło, że o niczym nie wiedziało. Wiemy tylko to, co chcemy wiedzieć.

Był 1945 rok i po raz pierwszy od prawie dekady odważyłem się użyć niemieckiego. Od 1936 roku, kiedy moja matka zmarła na zapalenie opłucnej, język ten nie był mi do niczego potrzebny. Z siostrą rozmawiałem wyłącznie po angielsku, bo bardzo zależało nam na tym, żeby uznano nas za pełnoprawnych Amerykanów. Łatwo było zapomnieć ojczysty język: wychodził z moich ust tylko w koszmarach sennych. Kiedy zacząłem śnić po angielsku, koszmary ustały. Byłem więc zaszokowany swoją biegłością, kiedy z moich ust bez problemu popłynęły niemieckie słowa. Więźniowie obozu płakali, kiedy do nich przemówiłem, z wyraźnym bawarskim akcentem. Płakali nie dlatego, że mówiłem po niemiecku. Płakali dlatego, że powiedziałem im, że jestem Żydem. Z nazwiskiem Berg mogłem udawać Żyda, chociaż gdyby więźniowie byli zdrowsi, to z pewnością uznaliby moje semickie korzenie za mało wiarygodne. Kręcone blond włosy, niebieskie oczy, wysoki i umięśniony od ćwiczeń z hantlami — nadawałem się na hitlerowski plakat z wzorcem rasy aryjskiej.

Mój kapitan osłupiał. Gdzie ja się nauczyłem tak płynnie mówić po niemiecku? Bo widzicie, przedstawiłem się wojsku jako sierota — zgodnie z prawdą— ale sierota amerykański —już niezgodnie z prawdą. Natychmiast zrobiono ze mnie tłumacza, chociaż wielu więźniów było polskimi Żydami, nie niemieckimi. Dostyc szybko jednak nauczyłem się rozumieć język jidysz, w którym zasypywali mnie makabrycznymi historiami. W Stanach Zjednoczonych było wiele osób, które nie chciały wierzyć w prawdziwość tych opowieści. Czy człowiek może dopuścić się takiego okrucieństwa przeciwko innemu człowiekowi? Ja nie miałem żadnego kłopotu z uwierzeniem. Chociaż emigrowałem do Stanów Zjednoczonych na długo przed powstaniem obozów koncentracyjnych, wiele przewidujących osób wiedziało, co się szykuje. Inni, tacy jak Martin, potrzebowali bezpośredniego zagrożenia. Wyjechał do Stanów w 1933 roku, zaraz po tym, jak Heinrich Himmler został monachijskim *Kommissarischer Polizeipräsident**⁷³. Emigrował nie dlatego, że był nieprzejednanym antyna-zistą. Emigrował dlatego, że on i Himmler szczerze się nienawidzili od tego pamiętnego wieczoru.

Moja matka poświadczyła, że Martin jest naszym bliskim krewnym — nigdy do końca tego nie zrozumieć. Martin był odpowiedzialny za śmierć ojca, ale podejrzewam, że ojciec i tak zginąłby straszną śmiercią. Nie wyjechałby z Monachium i z pewnością nie zgodziłby się na to, żeby jego jedyny syn został zwerbowany do wojska niemieckiego i walczył za Hitlera. Sądzę zatem, że straszna chwila, którą przeżył po naciśnięciu spustu przez Martina, była lepsza od męczarni, które czekałyby go w Dachau jako dysydenta politycznego.

Maluję w czerwieni, bo czerwień jest kolorem krwi. Krytycy mi mówią, że moje obrazy są nasycone wojną i śmiercią. To prawda, ale nie całkowicie. Krew symbolizuje śmierć, ale krew to także życie. Czasem jednocześnie. Wybierając śmierć, ojciec dał mojej siostrze i mnie szansę na życie bez poczucia winy, wstydu i poniżenia, których brzemień dźwiga wielu moich kolegów z dzieciństwa. Muszą wytłumaczyć swoim dzieciom, co oni i

⁷³ * *Kommissarischer Polizeipräsident* (niem.) — komisaryczny naczelnik policji.

ich naród uczynił pod płaszczykiem cywilizacji. Muszą wyjaśnić, dlaczego stali z założonymi rękami albo nawet klaskali, kiedy część rdzennej ludności Niemiec bito, gazowano, palono w piecach krematoryjnych i rozstrzelowano bez litości — mężczyźni, kobiety i dzieci, nawet niemowlęta, których kosteczki rozpływały się w nasiąkniętej krwią ziemi.

Nie usprawiedliwiam moich dawnych kolegów, ale im współczuję, bo przecież tak łatwo mogłem stać się jednym z nich.

Maluję w czerwieni na cześć życia i śmierci.

Maluję w czerwieni na cześć mojego ojca.

TLR